K

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/synjazdona0000jikr

SYN JAZDONA.

DRUKIEM PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

SYN JAZDONA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

z czasów Bolesława Wstydliwego i Leszka Czarnego

przez

J. I. Kraszewskiego

TOM I.

WARSZAWA
NAKŁADEM M. ARCTA.
1912.

Printed in Poland

I.

Szaro było na ziemi i niebo oblokło się szarą oponą. Nad źródliskami ciepłemi ledwie gdzie majaczyła wątła blada zieloność, niby wiosenna, ponad którą sterczały zeschłe, trupie badyle i wymokłe trawy przeszłego lata.

U strumieni stojące wierzby już się okrywały puchem, jakby nim przyszłe liście od chłodu otulić chciały— lecz liści jeszcze nie było i pączki stały szczelnie otulone i zamknięte. Wcześnie przybyłe bociany smętne włóczyły się po dolinach, stały u moczarów, strzepując skrzydłami zmęczonemi długą podróżą. Ponad rolami ulatywał skowronek, patrzał w niebo, a piosnkę chłód mu w dziobku tłumił, i oczy próżno szukały w górze niebios lazurowych.

Smutno było na świecie, tylko stada kruków unosiły się w powietrzu gwarliwe, krzykliwe, wesoło jakiemś strasznem naigrawaniem się tej żałobie. Co przysiadły na suchych gałęziach drzew, to zrywały się kołować w powietrzu. I wirowały, niby pijane, to podnosząc się do góry, to spadając, szukając jakiejś pastwy obiecanej. Aby dojrzeć, kędy ona była, zrywały się tak czasem w obłoki, a nie dojrzawszy jej, spadały na drzewa i ziemię. Ze wszech stron nadciągały one chmurami, jak na zawołanie wiecowe, jak po wiciach do wojny. Gdy się spuściły na łąkę, czerniała od nich, ruszyły się,—jakby potwora legła na niej, gdy się zerwały w obłoki, wiły się w nich jak smok czarny— a gdy krakały, nie słychać było ani szumu drzew, ani poświstu wiatru, ani szczebiotania innego ptactwa, ani mruczenia strumieni, które wezbrały od deszczów i śnieżysk.

Na pustej dolinie u skraju lasu chata stała, zamiast płotu obrzucona gałęźmi, na kupę nagromadzonemi wysoko, tak wysoko, że ledwie z poza nich widać było dach słomiany, okopcony, z odartym dymnikiem. Sama sobie na ustroniu, wśród puszczy stała ta chiżyna, niby straż wysunięta, niby kół zabity na znak, że tu poczynać się miało życie ludzkie, gdzie niedawno zwierz i pustynia panowali sami.

Ponad dachem dymiło; jak oparszły wszystkiemi szczelinami kłęby sine i wisiały nad nim leniwe, a snuły się senne dokoła i kładły aż na dolinie. W górę się im chciało, aby wiatr nie poszarpał ich na sztuki. Wrota stały otworem, jakby już trzoda wyszła na paszę w las, na młode gałęzie i pączki. Kiedy niekiedy mimo wrót przemknęła biała spódnica niewiasty i znikła.

Naprzeciw wrót siedział duży pies kudłaty i patrzał w dal, to ziewając, to burcząc. Na stada krucze to spojrzał to drgnął, zrywał się, jakby na nie chciał rzucić, ale rozum jego psi powiadał mu, że przeciw nim niemocen był. Ciągnął powietrze nosem: wiatr mu przynosił różne wieści, psisko się od nich zżymało, rozumiejąc tę mowę woni, która doń przylatywała zdaleka. Dla niego były w niej wiadomości i od zwierza w lesie i wieści od ludzi i obcych włóczęgów swędy, z góry od niebios przestrogi i z dołu ziemskie języki. Dlatego pies nosa nastawiał, a głową rzucał. Dużo mu przychodziło, nie wszystko rozumiał, żzymał się coraz więcej, aż wstał, zerwał się jak do chodu, siadł znowu, rzucił się ze szczekaniem naprzód—i cofnął głowę opuszczając zadumany.

Z chaty wyśliznęło się dziewczę, przyszło go pogłaskać. Odwrócił łeb, polizał rękę, ale na straży pozostał; miał poczucie obowiązku... Uszy mu się jeżyły i sierść na grzbiecie pręgiem długim rosła do góry.

Wiatr znużony przypadł gdzieś w lesie, zrobiło się cicho. Kruków stado pociągnęło nad lasy, puszcza szumiała teraz sama głucho i posępnie. Wśród milczenia rozeznać było można tętent jakby pędzonej trzody, krzyk jakby ludzki, urywany, to szyderski, to przelękły—poza nim śmiech i hukanie.

Pies stał i trząsł się cały, zerwał się, odbiegł naprzód kroków kilkanaście, a czując się bezsilnym, przysiadł, pysk do góry podniósł—zawył. Wył urywano, bo słuchał razem, oczy mu się iskrzyły—sierść już cała jeżyła.

Z drugiej strony doliny, przesmykiem z lasu biegła ku chacie pędem rozbita, rozproszona trzoda owiec burych, czarnych i białych, przodem bydło z ogonami poddartemi do góry. Po dolinie rozsypało się to na wszystkie strony w popłochu, jak szalone dróg szukając ku chacie.

Tuż za trzodą, za bydłem, za krzyczącymi pastuszkami przemknął się konny człek, z nim dwu innych i zgraja psów. Psy się niosły za owcami, dusząc je, chwytając, kalecząc, a co który zgniótł i do ziemi przybił barana, z koni odzywały się krzyki wesołe.

Tętnienie i wrzawa obudziły ludzi w chacie, wszystko biegło ku wrotom. Stary z włosy siwemi, niewiasta w zawiciu białem, dzieweczka w wianku z kosami długiemi, chłopię małe napół nagie.

Pies, jak wściekły ujadał, ale bezsilny cofał się też ku wrotom i wył. Tuż bydło spłoszone, co przodem biegło, poczęło, nie bacząc na ludzi, jak szalone cisnąć się we wrota. Owce, które uszły psich zębów, jak pijane na podwórko wpadły. Tuż za niemi gnały ogromne molossy z pokrwawionemi paszczękami, za niemi na koniach trzech jeźdźców..

Gonili, weseląc się, śmiejąc, hukając.

Pierwszy, co przodem jechał, panem był albo synem pańskim, bo i koń pod nim ubrany a piękny z nozdrzami rozwartemi, z oczyma pałającemi czuł, że dźwiga na sobie takiego, co wszystko rozbijać ma prawo.

Paniątko, co na nim siedziało, ledwie z lat dziecięcych do młodzieńczych dochodziło. Wyrostek był smukły, giętki, silny, twarz cała ze zmęczenia aż krwawa, oczy czarne a ogniste, włos na ramionach długi, nad czołem kołpaczek z piórami; na nim suknia cała bramowana, cała szyta, obwieszona w sznury, róg przez ramiona pozłocisty, łuk kowany, pas nabijany, nóż u boku świecący.

Cała ta ozdoba nie stała za nic przy obliczu chłopaka tak zuchwałem, tak rozpalonem radością dziką, szałem jakimś, iż zdawało się świat do boju wyzywać. W ręce żyla-

stej podnosił do góry oszczepek i machał nim, psy swe zagrzewając.

— A huź.

Z otwartych ust jego zęby białe, choć się śmiały, zdały się kąsać, wargi krwawe trzęsły się, na młodych policzkach drgała krew rozszalała — pijany był sobą i młodością.

Dwaj towarzysze jego lecieli za nim też bez głów, krzykiem jego, jak psy, zagrzewani, ale wśród tego szału, gdy spojrzeli po sobie przebiegał ich jakiś strach, nagle im coś usta zamykało,—obawa czy litość.

Psy, jeźdzcy, trzoda, wszystko razem niemal ścisnęło się we wrotach, które starzec napróżno chciał zamknąć.

Rzucił je wkońcu. I on i niewiasty zbiegać poczęli przerażeni do chaty. Dziewczę tylko wyrostek, któremu żal było owiec, a strach nogi podciął, zawięzło w progu.

Z konia piorunem skoczył panicz i pochwycił ją już wpół mdlejącą i krzyczącą. Spojrzawszy w załzawione oczy niebieskie, porwał na konia, który zbywszy pana, otrząsał się właśnie. Dwaj towarzysze stali osłupieni, gdy chłopak ze swą zdobyczą mdlejącą a wzywającą ratunku, począł znów dosiadać siwego.

— Hej! to łup! to łup, na którym ja czyhał dawno!— krzyknął, zanosząc się dziko—do lasu z nią!

Dziewczyna, ręce podnosząc, wołała ratunku... lecz drzwi chaty stały zaparte, nikt nie śmiał wybiedz na obronę, tylko pies jeden za nogę pochwycił panicza, ale wnet dwa ogary z krwawemi paszczęki padły nań i zdusiły.

W podwórku już one dużo nagospodarowały. Młody byczek leżał rozciągnięty na ziemi z oczyma zeszklonemi, a psy chciwie chłeptały z gardła ciekącą krew. Kilka owiec dyszało i broczyło.

Chłopak śmiał się wielkim głosem.

— Do lasu! — wołał. — Uszłaś ty mi nieraz, gdym cię gnał na jagodach... przyszedł na ciebie czas.

Drzwi chaty otwarły się nagle, wypadł siwowłosy z rękami załamanemi.

— Zlitujcie się! zlitujcie!—jęczał.

Na krzyk jego przybiegły psy pańskie i poczęły na

nim szarpać odzienie, kąsać ciało. Nie czuł tego i wołał:

— Zlituj się!

Młody szaleniec nie słuchał. Dwaj pachołkowie pobledli, z twarzy ich zeszedł szał, strach i zgroza je ściągnęły. Patrzali na pana, to na siebie. Wahali się. On nie zważał na nic, w silne ręce ująwszy dziewczę, sadzał je już na konia i sam się za niem sadowił.

Stary, którego psy szarpały, wlokąc je za sobą, przybiegł jęcząc i pochwycił go za nogi. Z chaty ukazała się zawodząca płaczliwie niewiasta, ręce łamiąc nad głową i wyjąc jękiem nieludzkim.

Wszystkiego tego chłopak nie słyszał, koniowi ściągając wodze i już do wrót się mając z dziewczyną.

Wtem we wrotach ukazał się nagle jeździec.

Człek był stary na silnym koniu, w prostej opończy z głową nieokrytą. Przez plecy miał sznur z trąbą myśliwską z prostego rogu. Siwe włosy wiatr mu porozrzucał, i na ramiona i czoło rozsypał. Twarz bladą miał jak trup, oczy zagasłe a straszne, czoło pomarszczone w grube wały—pierś szeroką, dyszącą. Siłę w nim czuć było i moc jakąś taką, że gdy jego oczy się z wejrzeniem chłopca spotkały—czerwony, oszalały panicz zbladł, zęby mu się ścięły, jakby zgrzytał.

— Szatan cię tu przyniósł, Wojusz!—zakrzyczał nagle, wściekając się ze złości i próżno usiłując się wymknąć wrotami z dziewczyną.

Wojusz wpoprzek ich stał jak mur, mówić jeszcze nie mogąc, dyszał, a choć nie mówił, oddechem tym był groźny—wrzało w nim.

— Pawlik! Puść mi wnet dziewczynę!—zakrzyczał wreszcie głosem ogromnym.

Coś było w tym głosie rozkazującym takiego, że ręce, co trzymały łup pochwycony, siłę traciły i dziewczę, skorzystawszy z chwili tej, wyśliznęło się jak wąż, zsunęło na ziemię, padło ku starcowi, który je pochwycił, a z nim do chaty. Drzwi jej zawarły się z łoskotem ogromnym.

Psy, które za uchodzącymi goniły,m ordami biły o drzewo, wewnątrz zapadła zapora.

Pawlik, gdy mu się zdobycz wymknęła, już nie gonił

za nią, ale na Wojusza wściekły, jął się miotać i oczyma błyskać groźno. Ten się nie uląkł. Patrzyli tak na siebie, wojując wejrzeniami piorunującemi, aż chłopię głowę spuściło.

Stary Wojusz dyszał zgrozą, rozpaczliwą boleść jakąś widać w nim było.

— O! ty niegodny synu Jazdona—począł głosem grubym i warczącym.—Ktoby w tobie poznał ojca? Na to my cię wypiastowali, na tom ja na ręku nosił abyś na zbója wyszedł i zbytnika? Jeszcze ci się wąs nie wysypał!

Podniósł pięść do góry.

— Za mną! na zamek!—dodał—za mną! Tym razem nie utaję przed starym, nie! Dosyć tych psot. My cię nie utrzymamy, ja stary, na ciebie potrzeba ręki żelaznej.

Popatrzył na krwawe ofiary psów.

— To twoja zabawa! to twoje łowy! Mało ci zwierza w lesie, byś biednemu zagrodnikowi trzodę dusił psy twojemi, wściekłemi jak ty, i dziecko mu chciał porwać!

Pawlik, jak skamieniały, słuchał, ale gniew w nim drgał. Wojusz skinął.

— Na zamek! Psy na sznury! Służbo, ty pana warta!

Odwrócił się do dwu pachołków, którzy wnet skoczyli z koni.

Pawlik jeszcze był niemy, gdy Wojusz powtórzył głośniej:

— Na zamek!

Młody odwrócił głowę i zamruczał:

— Długo ty mi myślisz rozkazywać? ty?

— Póki mnie ojciec twój od tego ciężaru nie zwolni—odparł Wojusz—dopóki ja za ciebie odpowiadać muszę Bogu, Jazdonowi i pamięci twej matki.

— Na zamek!—powtórzył raz jeszcze.

Ale chłopię zuchwałe, uparte, nie ruszało się.

— Związać każę i powiozę, jak barana!—krzyknął stary.—Potem ojcu do nóg padnę, niech z wami robi, co chce. Mnie już was dosyć! Wolę śmierć, niż dozór nad tobą! Na zamek!

Psy już były na sznurach i zmęczone posiadały, dysząc, a krwawe liżąc pyski. Pachołkowie posłuszni dosiedli koni, tylko Pawlik się nie ruszał. Wojusz przybliżył się doń,

konia mu za uzdę targnął. Młodemu drgnęła ręka, w której oszczep trzymał, jakby się bronić chciał—i opadła. Zamruczał coś, spuścił głowę i koniowi dał ostrogę.

Milczeli, wyjeżdżając z podwórka, tylko Wojusz dyszał jeszcze gniewem. Pawlik ze złością spoglądając na starego, dał koniowi za nim ciągnąć, pachołkowie wlekli psy za sobą.

Wyjechali tak z podwórza, a drzwi chaty jeszcze się odemknąć nie śmiały i byli już ostai kilkoro, gdy naprzód otwarło się okno i wysunęła głowa siwa, potem chwiejąc się na pokrwawionych nogach, wybiegł siwowłosy, ręce łamiąc—stanął posoką oblane pobojowisko oglądać. U progu leżał stary druh domowy, pies z wywieszonym językiem i wysadzonemi z pod czaszki oczyma.

Przodem Pawlika puściwszy, wślad za nim jechał Wojusz, opodal ciągnęli, szepcąc z sobą pachołkowie, których odeszła ochota i wesele. Chmurno spoglądali to na siebie, to na panicza, to na starego, który w pole wyjechawszy, gdy powietrza w piersi szerokie wciągnął, splunął raz i drugi, i groźno spozierając na milczące chłopię, począł wywoływać wpół do niego, pół do siebie.

— A to mi piękny syn mężnego Jazdona, comesa na Przemankowie, co go książęta we czci mieli i do rady przyzywali, którego Leszek błogosławionej pamięci, choć chorego na każdy sąd wzywał, a gdy on słowo rzekł, ważyło ono za dziesięć innych! A! piękny mi syn rodzica sławnego, dobry wychowanek starego Wojusza, co go od kolebki uczył rozumu i cnoty! Na co się to wszystko zdało? Na co? Groch o ścianę! Jakiem źdźbło było, gdy kiełkowało takiem i wyrosło—badylem. W kolebce niańkom włosy obrywał i twarze drapał, psy i koty męczył—teraz bydłu i ludziom pokoju nie daje! A piękny to syn Jazdona! dobra rodzicowi pociecha! Spuść go z oczów na godzinę, nie wycierpi, żeby krwi nie pokosztował, psoty komu nie wyrządził, biednym ludziom nie zalazł za skórę.

— Syn Jazdona!—powtarzał stary, to śmiejąc się szydersko, to buchając niemogącym utamować się gniewem.

Burczał tak, a młody jak pod chłostą jechał z głową zwieszoną, nie odwracając się, jakby nie słuchał. Czasem

konia spiął, aby od tych słów uciec, ale stary go doganiał.

Choć Pawlik się nie odwracał i nie chciał dać poznać po sobie, że czuł gorące słowa, któremi go smagano, wydawał się z tem mimowoli, iż cierpiał. Drgały mu ramiona, ściągał ręce, pięści ściskał, głową rzucał, nie zwracając jej, nogami konia dusił. Trzymał tak w sobie młody gniew, aż wreszcie buchnął:

— E! ty stary wywłoko! Milczałbyś. Grzybie zgniły! W tobie już krwi niema i kropli— to siedź u ognia... grzej się, a młodym tobie nie rozkazywać. Myślisz, że mnie ty, czy kto słowem lub pięścią strzyma, kiedy we mnie krew zagra i zakipi? Albo że ją klecha zażegna, albo ją strach ostudzi?

Rozśmiał się dziko i szydersko.

— A pocoby mnie życie, gdybym je miał związany w kącie pędzić! Mnichem nie jestem, mnie trzeba swobody... ja muszę wszystkiego pokosztować i nacieszyć się życiem... Na pokutę i na gnicie dość będzie czasu.

— A któż ciebie będzie trzymał w jamie i kuł w dyby?— zakrzyczał stary sierdzisto.—Puszczą cię przecie! puszczą w świat! Masz ledwie dziewiętnasty rok. Pójdziesz, pójdziesz! abyś tylko powrócił... A no, dziś ty jeszcze chłystkiem!

— Nie!—zaprzeczył Pawlik. —Nie! Krzywoust młodszy był, gdy wojował, drugim żony dawali w tym wieku! A ja co? W podwórku mi każą biegać, jak koniowi na postronku, za wrota ni rusz! Ksiądz pół dnia więzi nad księgą, trzyma i w łeb kładzie, co mi na nic! Pisarzem ja nie będę, ani kanclerstwa chcę! Ty ciemięgo, włóczysz się za mną, jak cień, abym sam sobie nosa nie utarł. Co za dziw, że gdy się wyrwę, to szaleję? E! ty stary! Niby ty nie wiesz, że jak hacią wodę zaprzesz, to ci ona i hać i młyn i dom wyniesie!

Stary zżymał się, zły był jeszcze, ale widać było, że wymowa chłopca nań działała, niemal się nią cieszył. Rozbrajała go. Uśmiech po ustach mu się prześliznął. Wszelako chciał być nieprzebłaganym i gniewnym.

Jechali dalej, sporząc ciągle.

— O! kaznodzieja z ciebie dobry!—mówił stary.—

Więcej u ciebie języka, niż statku! Żeby cię, jako teraz na gorącym uczynku złapać, potrafisz się wyłgać! Chłystek, mleko pod nosem, a już mu cudzej dziewczyny się zachciało! Coś ty powinien wiedzieć o dziewkach, ty, coś niedawno na pasku chodził.

Pawlik parsknął i nic nie odpowiedział, — a gdy stary zmilkł, mruknął:

— Toćbym jej nie był zjadł! A co wielkiego zagrodnika dziewka, żeby jej panu tknąć broniono? Jak grzyb wyrosła na mojej ziemi!

— Milczałbyś, gołowąsie jakiś!—przerwał stary.— Dość mi tego! Myślisz, że Jędrek nie przyjdzie do miłościwego naszego na skargę. A toć mu pół trzody twe psy niepoczciwe wydusiły, jego pokąsały, a dziewka odchoruje ze strachu.

Pawlik się znów rozśmiał.

— Dziewka ma chorować ze strachu!—krzyknął.— Porzućże stary. Widziała, żem nie wilk, ni wilkołak i krwi jej pić nie będę. Jutroby się była śmiała.

Lekceważył coraz bardziej gniew starego, przychodząc do siebie i już poświstywać zaczął. W tej wesołości udanej było nieco trwogi.

Staremu Jędrkowi—dodał—za trzodę i za strach da się co.

— Kto da? Co da?—wrzasnął Wojusz.—Ty chłystku nie masz nic, na łasce ojcowskiej jesteś. Z panem ojcem, ty wiesz, nie żarty!

Pawlik za całą odpowiedź ramionami ruszył.

— Napół on martwy—ciągnął Wojusz dalej—ale tej połowy, co żywa została, dosyć będzie, aby ci dobrą dał pamiątkę.

— Gdy ty mnie zaskarżysz!—wtrącił Pawlik.

— A ja mam zataić? duszę gubić? tobie dać szaleć, abyś się do reszty rozwydrzył—zawołał stary.—A! niedoczekanie twe! Miałem ja litość nad tobą, dosyć nadto... Czas cię w żelazne kleszcze wziąć!

— Czas mi wolę dać!—przerwał młody.

— Ufasz w to, żem ja cię wyniańczył, twoje psoty pokrywał—ale już tego dość! dość!

Wyjeżdżali z doliny i zarośli; na polu, na wzgórzu, widać było zagrodę dużą, wały i wodę dokoła, z pośrodka drzew dachy sterczące, pół wieżyce i strażnice. Był to gródek Przemankowski.

— Do niego jadąc, tak, jak oni jechali, już i pół godziny drogi nie było.

Młody musiał wszakci rachować na ten przeciąg czasu, iż on starczy, aby się stary Wojusz wyburzył. Zwalniał kroku dla większej pewności tak, że jadący równo z nim stary stanął obok z koniem—i pierwszy raz sobie znowu w oczy spojrzeli. Młody, w którym już ostygło, uśmiechał się; stary burczał, ochłonąwszy też znacznie. Pot tylko z czoła ocierał.

Jechali dobry czas, nic nie mówiąc do siebie.

Chłopak teraz, gdy w nim namiętności się ukołysały, krew wzburzona uspokoiła, wyglądał ślicznie, rozkwitły bujną młodością. Samo szaleństwo jego miało pewien wdzięk, któremu mógł się dać ująć stary dozorca. Łatwo to pojąć było.

— Żebym był do stajen nie poszedł chorego konia pańskiego opatrywać—odezwał się Wojusz—konia, na którym on już nigdy siedzieć nie będzie, a codzień go sobie przyprowadzać każe... żeby nie ten koń, nie byłbym ci ja dał się wyrwać ze psy i z tymi psubraty, co za tobą poszli na rozpustę!... Co tobie ojciec sprawi, łaźnię czy kaźnię—to jego rzecz—ale że ja—dodał, zwracając się z pięścią do jadących z tyłu—że ja tym łozami do krwi skórę wygarbuję, to tak pewna, jak żem dziś żyw, że się zowię Wojusz Sowa, żem zawołania Półkoza, i żem ciebie na trutnia wychował.

— A wiesz, czemuś mnie na trutnia i nicponia wychował?—dosyć chłodno odparł Pawlik.

— Wiem, bom za dobry był—huknął stary.—Trzeba cię było siec, a siec, a tłuc i ducha słuchać, nic nie darować.. Jam głupi był i często śmiał się, gdy płakać było trzeba.

— A nie! nie! — przerwał Pawlik.—Gdybyś ty mnie tak nie niańczył, na pasku nie wodził, dał mi się zawczasu wybrykać, jak chłopskim dzieciom, a zakosztować swo-

body i guzów sobie nabić, tobym ja teraz na swobodę i guzy tak łakomym nie był.

Stary Wojusz, usłyszawszy te słowa, z pewnem podziwieniem głową potrząsł. Może w duszy prawdę im przyznawał, a potwierdzić jej nie mógł i nie chciał. Zbliżał się już ku dworowi Przemankowickiemu.

Wojusz, który niedawno z niego wyskoczył, goniąc za straconym wychowańcem, bo wiedział, że gdy się wyrwie szalonego coś pocznie—patrząc zdala na gródek, głową trząsł, bo się około niego działo coś niezwyczajnego.

Pusty to był kąt, zaszyty w lasy, gościńce wielkie tędy nie wiodły, rzadko kto obcy zawitał. Około dworu cudzych ludzi ledwie parę razy do roku spotkać było można i to albo należących do zawołania Półkozów, albo zabłąkanych na puszczy. Teraz zaś pod wałami roiło się ludem. Z kilku stron widać było ciągnące kupki zbrojne, podążające ku dworowi. Niektóre się już były na podgrodziu porozkładały obozami, jakby dla nich w środku miejsca zabrakło. Widok to był tak niezwykły, że i Pawlik mu się zdumiał.

— Patrzno! co to jest?—zawołał.—Co to tam za ludzie naszli?

— Widzęć, ale Bóg skarz, nie wiem jacy—odparł Wojusz, cały już tem zjawiskiem zajęty i niespokojny.— Przecieżem niedawno z gródka wyjechał, nie spodziewano się tam nikogo, o nikim słuchu nie było. To są jakieś zbrojne kupy.

W Pawliku krew zagrała, oczy mu się zaiskrzyły, nie mówił nic. Stary odgadł, że mu się do tych orężnych zachciało. Na rękę też było chłopcu, iż na gródku coś zaszło, co porządek pomieszało i mogło dać o nim zapomnieć.

Wojusz tak był zdziwiony i zmieszany tem, że chłopcu przestał czynić wymówki i zapomniał go karcić. Jechał ze zmarszczonemi brwiami, myśląc a zgadując, co się stać mogło, iż na starego Jazdona tak najechano.

Jazdon ów, Półkoza, możny pan, za Kazimierza i Leszka w radzie książęcej i na wojnach sławny, do baronów i comesów się liczył, póki stało siły, około dworu i wojska się zaprzątając. Po onej Gąsawie nieszczęsnej i po zawieru-

chach a wojnach książęcych, które potem niemało się lat ciągnęły, ręce mu do wszystkiego opadły... Nie było widoku, aby z nich co dobrego wyjść mogło.

Jazdon miał jedno na sercu i myśli: znowu ową monarchię sławną Mieszków i Bolków przywrócić i władzę w jedną dłoń skupić, a tu się one ziemie i powiaty coraz bardziej rozpadały. Dzielili się książęta, mnożyli, ziemi i grodów ledwie dla nich stało. Każdy sobie brał jakiś płacheć i krwawił się oń bodaj z rodzonym bratem, bodaj z ojcem, aby co najwięcej ziemi urwać, a potem mieć co między dzieci dzielić.

Już było wtedy owych dzielnic nie policzyć, a wojen nie powstrzymać. Nad karkiem wisiała Ruś i Połowcy, Prusacy, poganie i Litwa, co się w siłę wzbijała. Królestwa dokoła rosły silne, zewsząd wstawały zastępy wrogów, a w krainie Mieszkowej kotłowało i wrzało, a jadło się, co żyło.

Jazdon, choć z Leszkiem trzymał wprzódy, gdy go nie stało, a książęta śląscy, co niemczeli strasznie i także się ziemią dzielili, niewiele obiecywali, przystał był duszą i ciałem do Konrada Mazowieckiego.

Krwawy to był pan, straszny człek, ale mąż taki, co mógł wszystkich zwojować i pod jeden płaszcz całą ziemię zagarnąć. Nie było mu co wierzyć, bo słowa łamał, nie można go było kochać, bo on nie miłował nikogo, ale dłoń miał żelazistą, potężną i głowę, w której jedna myśl tkwiła— panować szeroko.

Więc Jazdon mu służył i wspomagał, a cały był z nim, nie zsiadając z konia prawie, bo jeśli się nie bił, to mu szpiegował, posłował, chwytał jeńców, gotów będąc posługi pełnić najlichsze, aby się raz to ciało, na sztuki rozpadnięte, znowu zrastać poczęło.

Lecz żaden znój nie pomagał, bo nie nadeszła była jeszcze godzina, którą Pan naznaczyć miał, aby się stał cud ten, o jakim u grobu męczennika Stanisława powiadano, że ciało jego poćwiartowane orłowie znieśli znowu kawałami i zrosło się, jako za żywota było. Jazdon na duchu padł, patrzeć nie chcąc na kalectwo ziemi swej i jak raz

powrócił, mało co cięty w ramię z wojny legł już doma i więcej ruszać się nie chciał.

— Oczy moje już nie zobaczą, czego dusza pragnie!— mawiał.

Puścił potem brodę stary, aby rosła, i w Przemankowie swym siadł, a zaraz mu, czy od owego cięcia, czy od tego smutku pół ciała odjęło tak, że jedną połową żył, a drugą był jak umarły. Jedno oko zamknęło mu się na wieki, połowica ust nie ruszyła, ręka jedna i noga nie miały władzy.

Przecież leżeć tak, jak kłoda nie chciał. Całe życie spędziwszy na koniu i na nogach, i teraz nie mógł w izbie usiedzieć. Miał więc dwu ludzi, barczystych, niewolników rusinów czy połowców, z postrzyżonemi głowy, silnych, jak niedźwiedzie, coby wołu na barkach unieśli. Tym się nosić kazał czasem po całych dniach. Brali go oni na ręce, a lewicę jego, która martwą była, jeden sobie wiązał do szyi, i tak ze starym po grodzie, po szopach, po wałach włóczyć się, dźwigając go, musieli. Mieniali się tylko to na prawo, to na lewo, z kolei przechodząc, boby żaden dnia całego nie wytrzymał po jednej stronie. Stary bowiem zły był, porywczy okrutnie, a gdy się rozsierdził, ręką, która władzę miała, tłukł i bił, lub za włosy niosących go targał, sińce nabijał, ba i do krwi raził nieraz.

Niucha i Mucha, dwaj niewolni, znosili to w milczeniu, ledwie że który się śmiał otrzeć, gdy mu krew popłynęła. Nawykli byli do tego. Karmił ich też i poił, jak bydło na rzeź—co w nich wlazło. Mało co przy nim mieli spoczynku, bo i w nocy u progu legiwać musieli na zawołanie, a stary, gdy mu co przyszło do głowy, budził ich po nocach czasem, kazał pochodnie zapalać i po grodzie się naszać.

Człek był srogi, popędliwy, ale też sprawiedliwy. W życiu domowem, mówiono o nim cicho, że za dawnych czasów więcej sobie pozwalał, niż przystało—szalał okrutnie i żył obyczajem pogańskim. Gdy żonę stracił, która syna mu dawszy, zmarła, dwór był, jak u dzikich, pełen niewiast różnych, które kupowano dlań w dalekich stronach. Pijano też nad miarę i dokazywano okrutnie. Niejednego ubitego Jazdon miał na sumieniu, ale za krew

płacił sowicie i kajał się, choć—byle kto go zadrasnął, nazajutrz znów łby gotów był ścinać.

Syna jedynego dał chować Wojuszowi, który mu był powinowatym jakimś.

Sowa ojcowiznę pozastawiał i posprzedawał, potem do Jazdona przyszedł raz odarty i u ognia siadł, mówiąc:

— Już stąd nie pójdę. Ostatni spłacheć ziemi dałem za dwa sokoły, dwa psy i opończę. Sokoły mi przepadły, psy się powściekały, opończa podarła... teraz wy mnie żywić musicie, bom swoja krew, zwalać się jej nie możecie dać.—Półkozać jestem.

Na to mu Jazdon odrzekł:

— Siedźże, ale mi syna weź w ręce dobrze i trzymaj ostro, bo w nim tak, jak ongi we mnie, kipi krew szalona. Odsłużysz za chleb, bo ci ta bestya oczy wydrze. Nie strzyma go nikt, chyba drugi Półkoza, jako my.

A był dzieciak Jazdonów istny borsuk młody, którego się nie tkniesz, żeby cię nie pokąsał. Miał z nim Wojusz nieustanną wojnę, czasem zmuszony i siec i karcić strasznie, chociaż to nie pomogło, bo chłopak zbity gorszym się jeszcze stawał. Dodali mu potem z Krakowa od św. Jędrzeja klechę, pół księdza, co go miał w religii ćwiczyć i do nauki jakiej sposobić. Zwano go mistrzem Zulą; ten gorzkiemi łzy opłakiwał swą dolę, tak ów Pawlik nieunoszony był.

Poskarżyli się czasem ojcu; kazał siec, więzić, głodzić. Pawlik dawał się chłostać, ściąwszy zęby, ani pisnął, albo tych, co go trzymali, za ręce kąsał. Dawał się zamykać, jadł chleb, wodę pił, z jamy się nie wypraszał. Gdy go puszczono, wnet znów broił tak samo.

Było z nim trudu strasznego nie mało... do tych dziewiętnastu lat, których teraz doszedł. Stary Jazdon przecież dziwna rzecz, choć go sam bywało, zdrową ręką za włosy wytargał i obił, nie brał do serca tej krnąbrnej natury. Czasemby był przysiągł Wojusz, że się z chłopca śmiał i cieszył, tak mu wąsy i broda z jednej strony drgała. Niekiedy mruknął:

— Będzie z niego człek, z gnoju niema nic.

Na to Wojusz głową trząsł—nie dowierzając, choć i ten go kochał... Klecha zaś, Zula, którego chłystek żywcem zamęczał, miał doń przywiązanie, jak do własnego dziecka.

II.

Gdy się ku gródkowi zbliżać zaczęli—a jechali teraz wolno,—Wojusz pierwszy poznał, iż owemi gromadami zbrojnemi na podzamczu nie mógł być kto inny, tylko wojskowe dwory rycerstwa ziemi krakowskiej i okolic ode Śląska. Ale poco się one tu ściągały i co robiły, nie pojmował, ni się domyślał.

Do Jazdona na radę nie jeździł teraz nikt, bo stary się już tu tak zamknął, że o Bożym świecie nie wiedział nic. Więc jakaś bieda, czy potrzeba tych ludzi zapędzić musiała w lasy. Albo od nieprzyjaciela uchodzili, lub czyhać nań chcieli, w puszczy się gromadząc.

Wojna tych lat, nie była rzeczą osobliwą, ale powszednią. Od Wisły i Wieprza począwszy, po Wartę i Łabę niemal siedziało książątek Piastowiczów różnych, poniemczałych, podziczałych, kłótliwych—tyle, że ich policzyć było trudno. Jeden drugiemu ziemi zazdrościł, powiaty obrywał. Chwytali się po kościołach na modlitwie, jeden drugiego sadzali do więzień, nietylko sami, ale żony i dzieci, zabijali się i mordowali o dziedzictwa, do których prawa rościli. Nie ten to ów wojował i wichrzył.

Nie stało tych waśni domowych, najeżdżała Ruś, napadali Prusacy, Jaćwieże, Litwa, Połowcy. Nie było ani dnia spokoju, chyba w takich kątach, do których przez błota, moczary i puszcze dostać się nie było podobna. A Przemanków taki był, mówili, że siedział, jak u Boga za pazuchą.

Podjechawszy pod gród, gdy Wojusz się począł rozpatrywać w tych kupach, pozdrawiali go przybylcy, widząc, że domowym być tu musiał.

Ludzie wszyscy stali zbrojni mocno, jak na wyprawę gotowi, ale strwożeni jacyś i niebutni. Kładli się opieszale, niby obozem, jakby nie wierzyli, że tu długo potrwają.

Już do wrót otwartych podjeżdżając, stary Wojusz, oczyma rzuciwszy po tych, co go Boga chwaląc, witali, poznał podeszłego, jak on rycerskiego człeka, z którym niegdy razem w polu bywał—Rokitę.

Huknęli do siebie zdala. Sowa stanął.

— A was tu co przyniosło?—zapytał.

— Nie pytaj! Cóżby mogło, jeśli nie bieda—począł, podchodząc ku niemu Rokita, który, że jeszcze nie miał czasu nic zdjąć z siebie, jak jeż był cały nasrożony łukami, kołczany, oszczepami i nożami. Zdało się, że co miał doma żelaza i broni, wszystko na się wziął.

— Co za bieda?—pytał Wojusz.

— Jakbyście to nie wiedzieli—mówił Rokita.—Choć wy w lesie siedzicie, ale już kąta niema na tej ziemi, gdzieby nie jęknęło i nie zadrgało trwogą. Alboście to nie słyszeli o tej tłuszczy, o tej chmurze, co na nas, jak potop się leje, Ruś już zawojowawszy całą.

Wojusz zżymał ramiony.

— Juścim słyszał o tych, co ich nasz klecha zowie Gogami i Magogami—rzekł powoli—jakoby się oni odgrażali całą ziemię podbić sobie, jak o nich w Piśmie ma stać, i że chcą całe chrześcijaństwo wygubić. He!—ale Pan Bóg nie dopuści.

— Dopuścił!—wtrącił Rokita gorąco.—Wyście tu widzę pogłuchli i poślepli, a tam już ziemia się trzęsie i krew rzekami płynie. Oniż już u nas na karkach, już w popiołach całe powiaty... bo ta dzicz nie żywi nikogo!...

— Drugie Połowcy!—odparł spokojnie Wojusz—ja ich znam!

— Co? Połowcy? To byli jeszcze ludzie, choć ludzi zabijali, a to dziki zwierz, co trupami żyje! A idzie tego taka moc straszna z wozami, z końmi, z babami, że na piętnaście mil szlaki zalegają ławą.

Westchnął mówiący i pot otarł.

— Więc cóż?—spytał Wojusz dosyć obojętnie.

— Mamy ginąć,—dodał Rokita—pan wojewoda kra-

kowski powiada, gińmy po rycersku, po chrześcijańsku. Uciekać już niema i dokąd; plądrują oni wszędzie, a płyną falą ogromną, jak woda. Trzeba stanąć i dać życie z cześcią, nie w jamie się dać brać bezbronnym.

Westchnęli oba, spoglądając ku sobie: wtem słuchający dotąd Pawlik, któremu twarz znowu gorzeć zaczynała, wyrwał się:

— Pójdę i ja z wojewodą!

Wojusz nań spojrzał, ramionami ruszając.

— A co po takim chrząszczu!—odezwał się pogardliwie.

Pawlik aż za nóż się pochwycił, bo mu obcego wstyd było.

— Pójdę—powtórzył—pójdę!

Rzekłszy to nagle zęby zciął i zamilkł.

Wojusz z Rokitą poszeptali coś jeszcze i stary z chłopcem, który mu się już naprzód wyrywał, jechał na zamek. O owem szaleństwie, za które go karać miano, mowy już nie było.

W podwórza bardzo przestronne za wałami, ledwie się mogli wcisnąć i to wołając ciągle, aby ich przepuszczono, bo domowi są i to się im należy.

Ludu wszędzie było pełniusieńko, a przed dworcem pańskim starszyzna, co się już w izbie pomieścić nie mogła, kołem stała we zbrojach niemieckich, w hełmach, w szatach jasnych i pstrych, otaczając Jazdona, który się swoim niewolnym Niusze i Musze, na dwór do panów braci wynieść kazał.

Widok był osobliwy, bo stary pan, którego słudzy na barkach trzymali, górował nad tłumem, jakby podniesiona chorągiew. Ogromny tułów jego wisiał napół bezwładny na ramionach tych obrów silnych, z bladą twarzą długą, o jednem zamkniętem oku, z brodą siwą, co mu nie kręcąc się rosła, gdyby trawa prostemi, grubemi włosy, z usty krzywemi, zapadłemi, z tą jedną ręką białą, jakby trupią, chustą przywiązaną do szyi Musze, z drugą w pięść gulowatą zbitą, kościstą, żyłami grubemi oplecioną. Suknia na nim prosta wełniana na piersiach była rozwarta

i z pod brody przeglądało wyschłe ciało ze sterczącemi żebry, z pofałdowaną skórą żółtą.

Słuchał Jazdon opowiadania, to usta bezzębne otwierając napół, to je zaciskając. Oko zamknięte drgało mu, a z otwartego zakrwawionego płynęła łza długa, po bladym zmarszczonym policzku.

Obok tej twarzy pół umarłej, a jeszcze życiem jakiemś tętniącej, dwa łby ostrzyżone krótko z obliczami śniademi, bezwłosemi, krągłemi, ze lśniącemi bydlęcą tłustością policzki, obumarłe, zmęczone—stały, jak dwa posągi kamienne.

Wokoło przybyli rozprawiali gwarno, przerywając sobie, wtrącając słowa z bólem wielkim, z ogniem rozpaczliwym. Wśród rycerstwa zbrojnego widać było i kilku duchownych. Stał tu, wcisnąwszy się i mistrz Zula, domownik Jazdona, nauczyciel Pawlika i kilku księży przyjezdnych z twarzami posępnemi, jak gdyby po nich śmierć przeszła.

Gdy Wojusz i chłopak z koni pozsiadali, a poczęli zbliżać się ku dworowi, co z niemałą przychodziło trudnością, bo i koni i ludzi było jak nabito—urywana rozmowa kawałkami ich tylko dochodziła. Chwilami przerywało ją milczenie, to znów głosy podnosiły się gwarne i jedne i drugie głuszyły. Ludzie się wynosili z tego koła i cisnęli doń. Zamęt wielki widać było między nimi, jakby głowy potracili i nie wiedzieli, co czynili.

Wojusz przybliżając się, postrzegł tuż obok Jazdona, którego niewolni dźwigali, poprawiając mu to rękę, to nogę bezwładną, znanego dawniej Sulisława, brata wojewody krakowskiego.

Ten jeden miał oblicze wygładzone i spokojne, choć posępne, jako ten, co z Bogiem się pojednawszy, wie, iż śmierć idzie, i nie dba o to. Odbijał on sam od tych wszystkich rozpłomienionych, po których rysach biegało i męstwo i trwoga, i ból, i co tylko ze wzburzonego serca ludzkiego na wierzch krew wynieść może. Jedni rękami chwytali się za włosy i po czołach uznojonych tarli, drudzy podnosili je ku niebu drżące, inni załamywali bezsilni. U wielu słowo się kłóciło z dłońmi, a mowa z postawą.

Stary Jazdon słuchał, a już Wojusz i Pawlik, docisnąwszy się tu, mogli lepiej chwytać te rozbujane słowa, latające, jak wicher czasu burzy.

— Koniec nam! W więzy wszyscy pójdziemy, lub pod rzezak ich! Koniec nam!—mówił ogromny mąż z wąsy szpakowatemi, które zagryzał.—Nie oparło się nic tej dziczy, zaleje ona i nas... a po trupach naszych powali się dalej het, póki świata stanie, póki ziemi, póki pastwy!

— Nie zjedliż nas Połowcy, ani drugich Prusacy, a i Jaćwa, choć nieraz tysiącami u nas bywali! — przerwał drugi.—Wszystkich nie pożrą i ci!

— Ale bo ich takiej mnogości plugawej nie było, jak świat światem—wtrącił inny.—Posłuchajcie-no tych, co od Lublina, od Zawichosta, od Sandomierza zbiegli. Wojsko to nic, tłum nic, ćma nic, aleć ich tyle, że ode Dniepru, het, zawalili ziemię, jako mrowie, jako gad. Sta stu tysięcy wylało się tego ze stepów—kto to zmoże?

Wśród milczenia jeden z duchownych począł:

— Na zgubę poszło imieniowi chrześcijańskiemu, jako stoi w Piśmie! A co wolą Bożą i dopustem jest, przeciw temu człowiek mizerny nie może nic! Ruś cała w ich ręku; kneziowie służyć im muszą, a którzy głowy nie dali w łykach strzemiona im podają. Mało kto z nich ocalał... nie dają życia nikomu, prócz młodzieży, którą w niewolę na pastwę chuci bydlęcych pędzą. Starych rzezą wszystkich, niewiasty, mężów dzieci... a krew ich piją.... trupy jedzą.

Sulisław słuchał milczący, i trochę oczów spuszczając, rzekł zwolna:

— Toć nie mając już przed sobą nic tylko śmierć, trzeba ważyć resztę życia, aby poczciwości nie postradać. Co nas rycerstwa jest, musimy się zebrać do kupy i czoło stawić... a ginąć, to ginąć!

— Będzie nas może jeden na ich sto!—zamruczał ktoś z boku.

— Choćby jeden na tysiąc—odparł chłodno Sulisław—śmierć zawsze równa. Albo musimy sami przeciwko nim iść, lub się łączyć z księciem Henrykiem, który pod Lignicą zbiera siły. Oni tam pono, wrocławskiego grodu nie dostawszy ciągną.

— A któż z księciem Henrykiem? Juści nie sam?— zamruczał siwy wąsaty.

— Garną się ku niemu wszyscy—mówił Sulisław— i nam iść tam potrzeba, a ginąć po rycersku. Niemieckiego żołnierza będzie tam dosyć, bo i na Niemce i na cesarza padł strach. Przez nasze ziemie oni na nich idą. Trwoga u nas, ale ogarnęła też świat cały, bo ich nie strzyma nic. Pójdą, wywrócą cesarstwo i Rzym zawojują, przepowiedziane im panowanie nad światem!

— Tak mówią! Tak oni głoszą—z westchnieniem rzekł duchowny,—ale w mocy Bożej wszystko! Kto może wiedzieć, ażali się nie nawrócą, bo do nich Ojciec Święty posłał kapłanów i apostołują u nich bracia nasi, a powiadają inni, że są między nimi, co w Chrystusa uwierzyli i chrztu pragną.

— Wiatry niosą baśnie i kłamliwe języki—odezwał się jeden z koła.—Tyle teraz fałszu, iż w nim odrobiny prawdy nie rozeznać.

— Tylko to prawda, że za niemi pustynia i trupy, że się im nie oparł nikt — zamruczał inny, czyniąc ruch rozpaczliwy.

Zaczęto się sprzeczać. Jedni drugim zadawali strach i trwogę, aż wyrwał się Wierzbięta i począł na głos wołać:

— Żeleziec, chodź ino tu! Żeleziec! Tenci był w Lubelskiem, gdy przyszli i wie najlepiej, co są. Patrzał na nich niech opowie.

Zaczęli się oglądać i rozstępować wszyscy, owego Żelezca szukając pilno między sobą. Ten się podczas w drugiej kupie znajdował, już pono po raz setny prawiąc, jak się z pod miecza i łyk tatarskich wyzwolił cudem łaski Pańskiej. Ledwie Żelezca z pośrodka ciekawych wydobyto i ściągnięto.

Wojak to był niegdyś, stary już człek, chudy strasznie, wysoki, łysy, skóra a kości, blady, kaszlący, tak, że mu co chwila tchu nie dostawało, a piersiami robił, jak miechy i ręką się za nie ustawicznie chwytał.

Odzież miał na sobie poszarpaną i oplamioną, na którą mu ktoś opończę dał z miłosierdzia, a ta mu ledwie do kolan sięgała. Szedł, kaszląc i spluwając; choć tak mizer-

nie wyglądał, przecie jako jedyny tu świadek, czuł się drugim równy na teraz i od wielu lepszy. Dawał się prowadzić starszyźnie, jakby na stolicę, a gdy wszyscy zamilkli, głowy ku niemu pozawracawszy, chrząknął, pogładził się po czole i rozpoczął:

— Już myśmy o nich, tych bestyach krwiożerczych, słuch mieli, wprzódy nim nadciągnęli. Co nocy niebo gorzało. Nie chciało się temu wierzyć, co ludzie przynosili. W powietrzu smród był zgorzelizny i trupów na trzy dni przed nimi. Krucy niebo zasłaniali; nocą, gdy cicho było, coś czasem przeleciało z poświstem, jakby tysiąc płaczów i jęczenie konających.

Żegnali my i księża krzyżem świętym tamtą stronę—nic nie pomogło. Z lasów popłoszony zwierz zaczął stadami biedz, jak oszalały, bo puszcze gorzały. Pomyśleliśmy—przyszła ostatnia godzina. Trzeba było z chaty precz. Wzięliśmy się ładować na wozy... do lasów... na błota. Było rano. Wiatr przynosił smród i dym coraz straszniejszy. Tętniała ziemia, ręce się nam już trzęsły.

Jedno zbawienie w las—jeżeli go nie zapalą, w głąb, za moczary. My ładujemy tu jeszcze, kiedy za nami trzęsie się, huczy, świszcze, wyją głosy dzikie, niby wilcy głodni. Pochwyciliśmy na ręce dzieci... wozy rzucając aby prędzej do lasu z życiem.

Spojrzałem ja na lewo, gdzie dolina była, jak okiem zajrzeć. Ruszało się coś jakby jedno wielkie ciało szare i plugawe żmij. Ponad niem opary i dym jakiś, a głos, jakiegom ja w życiu nie słyszał. Gdyby dzikich bestyi wyło tysiąc—nic! Włosy stawały na głowie. Jakby chmura padła na dolinę—nic na niej rozeznać nie było można, tylko niby ścierw ogromny, co się sunął naprzód. Przed nim, jakby nogi powyciągały z pod siebie, sznurkami wysuwały się stworzenia jakieś i ruszały szybko naprzód.

Wbiegliśmy szybko do lasu, bo się i to bestyjstwo chyżo dźwigało i pełzło, jak gad coraz bliżej. Co żyło z nas pędziło, drudzy padali na drodze, z sąsiedniego przysiółka ludzie tylko co się dobywać zaczęli—po niewczasie! My z żoną i dziećmi zapomniawszy o wszystkiem, jakeśmy stali w koszulach jednych... puściliśmy się do lasu, aż na

drodze z tego popłochu białogłowie tchu i sił zabrakło, z dzieckiem na ręku obaliła się na ziemię, krzycząc. Obejrzałem się ku niej, bo już była o staję za mną, chcąc biedz na ratunek—o! Boże miłosierny! już było zapóźno!

Dzicz ta, co przodem przed zgrają gnała przypadła; jeden strzałę w pierś jej ugodził, drugi dziecko moje schwyciwszy za nogi, rozdarł je w sztuki. Inni na czeladź wpadli, rzeząc i nikomu nie przepuszczając.

Stałem skamieniały—bom ruszyć się nie miał siły i nie wiem, jakim cudem łaski Bożej nie postrzegli mnie. Ocalały... dobiłem się do lasu sam o sobie nie wiedząc, tylko krew moją niewinną przelaną mając przed oczyma.

Jakem się ratował—Bog świadek, nie wiem, nierychło oprzytomniałem. Tak, jak zwierz jaki, bez myśli zbawienia, życia szukałem, choć śmierć-by mi milszą była. Co mnie do lasu poniosło? jaka siła? Bogu tylko wszechmocnemu wiadomo. Za sobą słyszałem wycie i trzęsienie ziemi, świst i turkot, jakby sądny dzień nadszedł, jęki i płacz, bo tam całą wieś rzezali już i palili. Gdym za siebie spojrzał, już to czarne mrowie, wszystko na małych włochatych koniach, osmolone z psiemi pyski szerokiemi zataczało tuż pod skraj lasu. Ledwiem miał czas, nie pomnąc, co czynię, zwierzem się prawie stawszy—kroków kilkanaście uskoczyć w głąb. Jakem się na gęstą choinę dostał po gładkim pniu, prawie do wierzchołka—Boże mnie skarz, jeżeli dziś przypomnieć mogę! Od młodości nigdym na drzewa nie łaził, nawet dla własnych braci, a ze strachu i bólu nogi i całe ciało drżały i dygotały... opatrzyłem się zaś dopiero, gdym na rosochatych dwu gałęziach się oparł. Już dalej leźć nie było gdzie.

Tum dopiero mój popłoch i głupotę kląć począł, bom się wrzekomo zgubił tem drzewem. Lepiej było dalej biedz w puszczę... a tu już dobijała się dzicz, zajezdżała pode drzewa, poczęła stawać i mieścić się.

Złazić nie było już czasu, boby mnie łacno spostrzegli. Poleciwszy więc duszę Bogu, gdym u pasa wiszący nóż zobaczył—rzekłem sobie, że gdyby mnie brać chcieli, to go sobie w pierś wrażę, abym męczeństwa uniknął.

Psiarstwo to jednak zwijało się na skraju, mnie do-

tychczas nie widząc, tylko psy duże, kosmate, na nogach wysokich, które zaraz za mną nadbiegły, poczęły tropem gonić, aż pod sosnę. Tu łby podnosiły, pociągnęły nosami, łapami się pospinały i nuż ujadać. Bóg łaskaw, że nikt na to nie zważał. One też trochę tak naujadawszy za mną, nazad pędem zawróciły żer gdzieś czując.

Jakom tu dzień cały przetrwał, żem patrzał i serce mi nie pękło, żem nie krzyknął, a nie padł z bólu, cud jest, jak to wszystko, co się ze mną stało, jednym cudem było. Poczęli się u lasu z wozami ustawiać, a były one, jakichem w życiu nie widział, na dwu kołach ogromnych, wysokich, ponakrywanych wojłokami, jakby namioty, ciągnione bawoły i końmi. W tych półnagie baby gospodarzyły, wyglądały z nich, śmiejąc się, wywijając rękami, gdy rzeź zobaczyły.

A tu zaczęli gnać a napędzać naszych! O! Jezu miłosierny! Arkanami za szyję połapanych, niewiasty i dziewczęta ciągnąc, bijąc pletniami. Niektórzy żywym uszy i nosy rzezali, drudzy głowy ucięte i krwawiące jeszcze na dzidy zatykali.

Tak mi Boże dopomóż, jakobym widział, gdy Salomonowej dziewce piersi poobrzynali i jedli je,a drugi do krwi płynącej przycisnąwszy usta ssał, póki nieszczęśliwa żywą była. Spędzili z Dubinek naszych całe stado pod las, na koniach za niemi gnając. Dopieroż za włosy co młodszych wyrywać poczęli na stronę i pędzić, a który się opierał, bić i kaleczyć, potem, który kaleką był, dorzynać. W ostatku, gdy jeno starzy zostali niewiasty i mężowie, padli na nich mieczami, łby ścinając ze śmiechem na wyprzódki. Uszy zasię wprzódy im poobrzynawszy, które jeden jadący w koło do wielkiego wora skórzanego zbierał.

Com cierpiał—Boże jedyny! Na przemiany płacz mi się rwał z wnętrzności, jakbym krwią płakać miał, to szaleństwo napadało, że się chciało rzucić jednemu przeciw tysiącom—bodaj paść! Oczy mi chwilami ślepły! Szlochałem głośno, a że mnie nie posłyszeli, nie wiem, jak się stało. Prawda, że w owym tłumie gwar był okrutny i z doliny, hen—huczało, jakby ciągłym, głuchym grzmotem...

Czego się moje oczy napatrzyły tego dnia... żem nie oszalał...

Żeleziec umilkł trochę, łzy począł ocierać, drudzy stali posępni, wstrzymując łkanie. Księża płakali wszyscy. Jazdon pięść zdrową ścisnął tak, że mu długie paznokcie w mięso się wpiły i krew kapała na ramię Niusze.—Pawlik zęby ściął, oczy mu się paliły, jako dwa węgle żarzyste.

— Com z sobą począć miał?—ciągnął dalej Żeleziec.— Powaliłem się między gałęźmi, oczy zasłoniwszy, ale co wrzask się dał słyszeć, tom musiał, jakby gwałtem powieki otwierać i patrzeć. Rozwierały mi się same. Wkońcu i one jakby skostniały, patrzyłem, jak trup—nie widząc.

Zdawało mi się, nie mierząc, jakbym już nie był żyw, tylko śnił krwawo—i nie na świecie był, ale kędyś w otchłani za grzechy rzucony, szatanów mając przed sobą.

Anibym przysiągł, czy to ludzie byli, czy tylko podobne do ludzkiego lice pobrali, zwierzęty będąc, bo tam żadnej ludzkiej litości nie pokazał ni jeden. Na trupach się wylegali śmiejąc, a który niedobity drgnął, biegli go, chichocząc, dorzynać i znęcać się nad konającym.

Na tem miejscu pod lasem, gdzie wszystek lud spędzili z wiosek okolicznych, aby z niego przebrać wyrostki, gdy poczęli starszych zabijać, krew popłynęła strumieniami.

Jakbym widział ją jeszcze, krew tę naszą, gdy pieniąc się biegła i bąblami a szumowinami się okrywała, do której psy się zbiegały i chłeptały ją chciwie. Leżały dokoła poobcinane ręce i nogi. Poznawałem ludzi, com ich wczoraj żywych widział, dziś poćwiartowanych.

Siadło potem to bestyjstwo jeść i pić, jakieś mięsa surowego sztuki dobywając z pod wojłoków, na których na koniach siedzieli, i jakiś napój ze skórzanych worów nalewali sobie. Baby im podawały drewniane miski z tych wozów, na których jechały, a drugie stare, napół nagie widziałem między niemi na koniach się upędzające zarówno z mężami, strzelające jak oni, tak rzeżące, jak tamci. Te też obcinały uszy trupom i żywym, innym głowy, a cieszyły się niemi, nosząc i podrzucając, jak zabawką.

Spędzili pod las kupy co pobrali ludu z okolicy, ry-

...stwo, duchownych i chłopów, poodzieranych nagich, pokrwawionych powiązanych, wszystką młodzież krzepką, na...nym żyć nie dawali. Ci, pomarli z zimna, strachu i głodu, tylko, że się obracać mogli. Niektórzy padali i już się nie podnosili.

Najdalej mnie chaty te ich wozy, za któremi tym nic nie widział, gdyby nie owe sosna wysoka, na której wszystkich się wdrapałem.

Po owej rzezi i pędzeniu poczęli się na ziemię kłaść, ogień palili gdzieniegdzie, kotły stawiali i zbierali się kupkami, każdy pod chorągwią czy wotnikiem, który płotnię mając w ręku, rozkazywał i dworzył. Zaraz za wozy temi, co wyglądały, jak chaty okrągłe i namioty. Inych pełno rzuconych trupów i na nich. Dalej nieco zatoczył się ogromny wóz, który, jak się domyślałem, musiał być ich wodza, bo podobizny rył kwiecistemi różnemi i chwastu. Ale same w nim baby jechały, bo wozu tego zobaczywszy zaraz na kwiku, jak drudzy przed nim padali na kolana i na twarz, a on ich nie kazał i dwu przy kołach, na com patrzał. Sami szyje nastawili, przyszedł kat i zamachem jednym postrącał im z kadłubów głowy, a ścierwa wnet sprzątnięto.

Jeszcze znowu Żeleziec, a jeden z duchownych wtrącił pytanie:

— Czyście mówili, iż do ludzi mało podobni są?

— Bom takich mord, jako żywo, nie widział — rzekł Żeleziec. — Wszyscy do siebie podobni, jako rozczesani, śniadzi, kiedy na twarzy włosa mało, albo i nic, policzki szerokie i wypukłe, oczy małe, głęboko wcięte, nosy płaskie a szerokie, twarze nydlęce i straszne, zęby gdyby u zwierza kły, ostre i białe. Nie olbrzymy to, choć na koniach się zdadzą duzi, bo nogi krótkie mają, przecie siłą ich straszna. Widziałem jako naszymi miotali, tak, że się o ziemię rozbijali.

W głębokiem milczeniu słuchali wszyscy — szmer ustał. Żeleziec, zakaszlawszy się, już mówić nie mógł, gdy jeszcze go słuchano.

— A jakżeż się stamtąd wydarli? — zapytał zwracając się ku niemu, Sulisław.

— Jak i po co? Albo ja wiem — jęknął Żeleziec. — Wszystko, co się ze mną tego dnia i nocy działo, stało się nieświadomo. Ani wiem, czym sobą władał, czy siła jaka obca. Oschły mi oczy patrząjąc, w gębie i w gardle ogniem piekło, głowa pękała. Tylem przytomnym był, żem pacierz jeden zaczynał ciągle, dokończyć go nie mogąc.

Gdy mrok nadchodzić począł, nie wiedziałem, czy się noc we mnie poczyna, czy na świecie, czy rok siedziałem, czy dzień jeden, czym żywy, czym umarły. Wiatr jeszcze od ogniów ich dym precz mi pędził na las i oczy wygryzał. A kurzyło i od kotłów ich i z tych wozów, które u góry miały dymniki, przewijało się przede mną różnych, do siebie podobnych starszyzny i szui mnóstwo. Niektóre ich wyrostki, okrutniejsze jeszcze od starych, pod wieczór szli jak na igraszkę do jeńców, aby ich kłuć, strzelać, dziewczęta za włosy wywlekać i pastwić się nad niemi...

Otroki te dusiły dla igraszki za szyję ująwszy młodszych, na com wszystko patrzeć musiał, aż póki ciemności nie padły. Postawili niby straże jakieś, uczynili porządek i tuż kładli się na spoczynek. A jak surowe mięso gdyby wilcy żarli, tak i posłania im nie było trzeba. Mało który wojłok wziął pod się. Baby też ledwie płachtami pookrywane chodziły i jeździły.

Konia który za grzywę lub łeb ułapił, to już na nim siedział. Widziałem też, gdy do kruków strzelali pod wieczór, co na trupy naciągnęły ze psy razem, że ich strzałami w powietrzu ubijali, nie chybiąc nigdy, a potem mięso ich jedli.

Żadnej tam modlitwy ani Bożego nic nie było, tylko u wozów, gdzie wojłoki wisiały u wnijścia, poczepiane były bałwanki jakieś, którym się baby kłaniały i palce do nich przykładały.

Jednego, co krztę napoju jakiegoś na ziemię wylał, z wielkim krzykiem zaraz za to ścięto. Drugiego, który się napitym zdał, wrzeszcząc, baby wygnały z namiotu, a znać czemś splugawił swą chatę, bo go też zaraz za karę uśmiercili.

Gdy noc padła a zimno stało się większe jeszcze, jużem czuł, że na drzewie nie wytrzymam dłużej, chyba padnę. Bestjalstwo to poczęło spać opodal, tylko niektórzy stróżowali. Wziąłem się spuszczać na dół po drzewie — więc o sęki i wystające suche gałęzie poraniwszy się i ciało do krwi podarłszy, więcejem spadł, niż zsunął się, na ziemię lecąc. Myślałem, że od szelestu tego pobudzą się i wezmą mnie. Psy tylko zdala zaszczekały, a niektórzy śpiący głowy popodnosili, z wozu jednego baba też się wytknęła, a jam leżał rozbity, ruszyć się nie mając siły.

Ucichło. Las przede mną był gęsty, noc ciemna, począłem się nierychło na nogi zbierać i na czworakach pełznąć, nim się zdołałem rozkurczyć, podnieść, a na ostatek, iść—albo wlec się. A że ciemności były wielkie, o drzewam się tłukł, na korzeniach padał. Nic mnie nie bolało, ani rany, com je sobie poczynił z drzewa upadając, ani guzy od stłuczenia. Szedłem, pełzałem, wlokłem się, nie wiedząc dokąd, pókim tylko słyszał za sobą gwar ich obozowiska. Wreszcie, nie wiem, kiedy i jak, padłem pod kłodą pół martwy — i co się już ze mną działo—nie pamiętam.

Gdym do przytomności przyszedł, poczułem boleści wielkie i kłócia. Całego mnie już mrówki czarne obsiadły. Chciałem wstać, alem siły nie miał, dopiero nierychło ostatek jej dobywszy, ruszyłem się, zgartując z siebie to plugastwo całemi dłońmi z twarzy, z szyi, z rąk, z ciała, bo wszędzie się już rozlały.

Szczęściem, że obok woda była, choć jak lód zimna, w której obmywszy się, odzienie zrzuciwszy, potem wdziawszy je znowu, orzeźwiałem jakoś. Począłem się rozpatrywać po lesie, i nierychłom poznał, żem był na uroczysku Wąsoczem, z któregom już drogę wiedział.

A no — gdzie iść? kędy była ta szarańcza? gdzie jej nie było? kędy uciekać?

Począł mnie trapić głód straszny, którego nie było czem ukoić. Bóg łaskaw, żem na grzyby jakieś natrafił, któremim życie podtrzymał, potem pączki młode gryząc. Same nogi mnie niosły ku Rządzinom.

Gdym z lasu wyszedłł i spojrzał na znaną okolicę, ręce załamałem.

Wsi, gdzie stała, nie było śladu, z kościoła sterczała jedna ściana okopcona, na polach wkoło ni żywego ducha. Nie zostawili po sobie nic, ino zgliszcza. Stado krucze pokazywało, kędy trupy leżały.

Dopierom nad wieczór w lesie innych zbiegów natrafił, co się nade mną ulitowali. Z niemim w puszczy siedział, ażem od jednych do drugich obozów w borach wlokąc się tu dostał.

Gdy Żeleziec mówić przestał, na twarzach słuchających widać było politowanie — ale i niewiary trochę. Patrzyli nań niektórzy koso, chrząkali i milczeli, drudzy po sobie spoglądali. Wtem Sulisław, brat wojewody, odezwał się do bliższych:

— To, co ja o nich wiem, godzi się z tem, co powiada. Co się z nim działo, Bogu jednemu wiadomo, bo mu się i w głowie pomieszać mogło.

Ruszyli ramionami starsi. Żeleziec domyślał się może niewiary, bo się tłuc w piersi począł mocno i przysięgać, że nie inaczej mówił, tylko tak, jak się rzecz działa, z dopustu Bożego, a że mu ludzie spełna wiary dawać nie chcieli, nie dziwował się, gdy on sam nie pewien był tego, co oczy widziały.

Ścisnęło się koło starszyzny, obradować ciszej zaczęto. Rady innej nie było nad tę jedną, aby się kupić do księcia Henryka Śląskiego, bo przy nim większa siła się zbierała, po chrześcijańsku na śmierć iść, po rycersku ginąć.

Jazdon, który słuchał narady, głowę na piersi zwiesił, pięść, którą trzymał zawartą, otwarła się. Nogą, którą władał, kopnął Muchę i skinął, aby go niesiono do izby, bo Pawlika zobaczywszy i Wojusza, brew mu się namarszczyła i usta skrzywiły groźno.

III.

Razem z Jazdonem, którego niewolni wnieśli do izby, we drzwiach nizkich opuściwszy starca na rękach— wszedł też powołany Pawlik, a w ślad za nim Wojusz.

Stary mruknął coś niewyraźnie, lecz ludzie, do tej mowy nawykli, wiedzieli, że drzwi kazał za sobą zamknąć. Pawlik pozostał trochę u proga.

Wojusz śmiało chociaż posępny szedł za Jazdonem, groźno się oglądając ku chłopcu.

Gdy stary legł na posłaniu, a Niucha i Mucha, ocierając pot z czół, pod próg wrócili wodę pić, odezwał się głos dziwaczny, a raczej bełkotanie, które z napół bezwładnych ust starca wychodziło.

Ci tylko, co przyzwyczajeni byli go słuchać, mogli tę mowę niewyraźną, jakby z grobu wychodzącą, ponurą, niby łkaniem poprzecinaną, zrozumieć. Przypominała ona wycie jakiegoś zwierzęcia, gdy dogorywa, choć ludzką była. Połowa słów połknięta nie mogła się dobyć z tej piersi zeschłej i skostniałej. — Gdy starzec mówić chciał, a niemoc go ta opanowywała, wpadał zwykle w złość wielką, rzucał połową ciała, okiem jednem miotał groźno.

Wojusz stał przed nim.

— Gdzie ten niecnota był? gdzie? Jakeś śmiał na jedną chwilę z oczów go spuścić? Ty! ty!

— Winienem — rzekł krótko Wojusz — ale słuchaj, stary, — nie złość się. Ja tego twego źrebaka dłużej ujeżdżać nie myślę i chleba twego nie chcę, łaski nie żądam, pójdę stąd precz! Dosyć!

— O! o! — zagrzmiało z piersi Jazdona — o! ty! Mów, gdzie był?

I pięść podniósł ku synowi. Ten stał ledwie nie wyzywająco patrząc ojcu w oczy. Milczał.

— Pytasz gdzie? — przerwał gniewem starego podrażniony Wojusz — a gdzież ta twoja krew szaleć miała, jeśli nie tam, gdzie mogła ludzi i bydło dusić, a znęcać się, albo dziewki dostać! Bo i to mu już pachnie. Spytaj go się, spytaj gdzie był, jak konia porwał, dwóch pachołków zmusił z sobą, psy wykradł i pojechał zagrodnikowi barany mordować, trzodę rozpędzać, a wkońcu sobie wsadził na koń dziewczynę wyrostka, z którą już w las chciał biedz, gdym ja naskoczył.

Jazdon drgnął, ale złość, która miała zeń wybuch-

nąć, gdzieś w piersi w kłąb się zwijała i tylko chrapanie głuche a straszne słyszeć się dało.

— Do jamy z nim, na chleb i wodę, trzymać, dopóki nie powiem! do jamy! Ażeby mi nad suchy chleb nie miał nic! Wiur niech stanie na straży. — Jak stoi rzucić go do jamy! wnet!—wyjąkał stary.

Pawlik żywo podbiegł do ojca.

— Nie pójdę do jamy! — krzyknął — nie! — tego dość! nie pójdę!

Nastąpiło milczenie straszne jakieś, a obrywa, stojąc u progu, dech w piersi wstrzymały ze trwogi.

— Nie pójdę — powtórzył Pawlik, nabierając coraz śmiałości. — Jam już nie chłystek! Wąs mi się sypie! W niewoli się trzymać nie dam, na Tatary pójdę z innymi!

Jazdon ze spuszczoną głową słuchając, nie rzekł nic, Niusze tylko i Musze znak dał jakiś, wskazując syna. Zrozumieli, iż go wziąć mieli i wlec, ale ich trwoga ogarnęła, gdy Pawlik na nich rzucił młodemi, pańskiemi swemi oczyma, parząc wejrzeniem, jak ukropem.

Zawahali się. Stary powtórzył rozkaz nie słowem już żadnem, ale rykiem. Zadrżeli Niucha i Mucha, postąpili krok, wtem drzwi niezaparte otwarły się i w progu ukazał się Sulisław Jaksa, brat wojewody.

Ujrzawszy go, Jazdon namarszczył brew, czoło mu się ściągnęło: nie chciał mieć świadka sprawy domowej. Za późno się opatrzył wszakże, bo Sulisław, nim drzwi otworzył, rozmowę całą podsłuchał i zrozumiał. Pawlik ku niemu się zwrócił oczyma błagającemi, jakby go sobie chciał pozyskać.

— Ojcze miły — odezwał się, podchodząc Sulisław, którego rycerska, szlachetna postać wrażała uszanowanie mimowolne — nie czas teraz krnąbrne karcić dzieci, gdy Bóg nas tak wszystkich smaga.

Nim Jazdon miał czas wyjąknąć odpowiedź, Pawlik go uprzedził.

— Chcę z wami iść! chcę iść! Dość mi doma gnić było! Weźmijcie mnie z sobą — na miłość Bożą! weźmijcie mnie z sobą!

I ten dziki przed chwilą chłopak, do ręki Sulisława przyskoczywszy, stał się niemal pokornym.

— Dajcie mu iść ze mną, kiedy serce ma! — zawołał Sulisław.

Wojusz na bok ustąpił, nie mieszał się — czekał. Co się w starcu działo, Bóg jeden mógł wiedzeć; nie poruszał się, nie mówił, nawet jedyne oko przywarła powieka. Długo zdawał się nie dychać nawet, jakaś walka wewnętrzna nim miotała i pół ciała mimowolnemi ruchy drgało tylko.

Sulisław spoglądał smutnie a poważnie na stojącego przy sobie, proszącego o opiekę Pawlika.

Nagle ręka spuszczona Jazdona podniosła się gwałtownie i opadła; wybuchnął z gniewem:

— Bierz go! bierz...

Pawlik piorunem do nóg mu się rzucił, ale Jazdon jedną nogą z łoża zwieszoną, kopnął go tylko i nie patrząc nań, zwrócił się do Sulisława:

— Bierz go... tego łotra... ale na powróz!

Pawlik wstał z ziemi i cofnął się. Raz jeszcze spróbował się do ojca przybliżyć — odepchnął go Jazdon z jakąś rozpaczą.

— Ma być takim jakim był, niech licho ginie poczestnie! — krzyknął... — Precz mi z oczów ty gadzie! precz!

Pawlik ku drzwiom się puścił i zniknął.

— E! e! — rzekł zwolna Sulisław — młode piwo! Kiedyż chcesz, aby w nas żywiej grała krew? Synowi przebacz... nie o tem myśleć teraz.

Wojusz ciągle czekał na uboczu. Jazdon spojrzał nań.

— Kiedy on idzie, toć i ja z nim! — zamruczał Półkoza. — Ja tobie tu na nic, dosyć masz bab i sług, a szalonego urwisza trzeba strzedz. Kto go za łeb weźmie tam, kiedy nie ja? Na mnie się on ręki podnieść nie waży.

Gdy to posłyszał starzec, twarz mu się dziwnie zmieniła, spadł z niej wyraz surowy, rękę drżącą wy-

ciągnął ku Wojuszowi, który podszedłszy prędko, do piersi ją przycisnął.

Sulisław przysiadł na ławie.

— Jedź z nim! — odezwał się przerywanym, niewyraźnym głosem Jazdon, — jedź z nim. Konie najlepsze bierz, zbroje najlepsze... Co jest, bierzcie. Dziesięć, piętnaście ludzi z wami, dobrze zbrojnych... ilu znajdziesz!

Mówił coraz prędzej, Sulisław mu przerwał.

— A żwawo z wyborem się zawijajcie, my tu leżeć i czekać nie mamy czasu! Dziś jeszcze stąd ciągnąć potrzeba. Pod Lignicą na nas czekać nie będą. Przyjdzie paść, to przynajmniej w kupie, ze swymi, nie gdzieś w kącie, schwytanym. Ks. Henryk i inni z nim ludzie wojenni, jeżeli się nie oprą — to już chyba nikt! Ani Cesarstwo nawet!

Wojusz do drzwi się zawróciwszy, śpieszył, lecz te się zaledwie otwarły, gdy inni ze starszyzny, w podwórzu stojący, poczęli do izby się wdzierać z różnemi pytaniami i potrzeby. Od tatarskich zagonów co chwila nowe przybywały wieści, od Wrocławia i Lignicy nadchodziły gońce.

Wszyscy oni o tej strasznej śmie najeźdźców, którą na sta tysięcy liczono, bo całemi powiatami zalewała ziemię, opowiadali toż samo, że się jej nic oprzeć nie mogło, że szła, jak ogień, rwała jak wody wiosenne, pędziła, jak chmura, jak burza, która wszystko niszczy, co spotyka.

Ci, co szli przeciwko niej, pewni śmierci, kroczyli z zimną krwią rycerską, jaka przychodzi w ostatniej godzinie, gdy już żadnego niema ratunku, a mężowi okazać trzeba, iż go postrach śmierci nie złamie. Czasem wspomniawszy na swą cichą zagrodę, westchnął który i stłumił wnet niemęski żal; a przeżegnał się, odpędzając pokusę słabości.

— Dopust Boży! — powtarzali.

Pawlik z izby wybiegłszy z zaiskrzonemi oczyma, wprost do swej komory śpieszył. Drzwi ledwie nie wybił, tak w nie się cisnął gwałtownie, na czeladź swą krzy-

cząc. Jeszcze w progu stał, gdy mistrz Zula nadbiegł za nim przestraszony.

— E! klecho! — wykrzyknął, ujrzawszy go, Pawlik — bywaj mi zdrowy! Dosyć ty mnie nad księgami namordowałeś. Skończyło się panowanie twoje!

Ksiądz oniemiały stał i żegnał się.

— Co ci to, Pawlik?

— Co mi? Klecho! otom swobodny! Na konia siadam! Rozumiesz — na konia! I wylecę raz przecie z tej obrzydłej dziury na świat! Tak!

Czeladź nadbiegła. Pawlik wnet porzucił klechę, który stał osłupiały w progu, jeszcze się ruszyć nie mogąc, tak był zdumiony tą mową.

— Konia siodłać! Zbroję dawać! słyszysz! Szmyga pójdzie pode mnie... Was dwu łajdaków ze mną! a zbrójcie się po uszy!

Chwycił za miecz ze ściany, który zerwał niecierpliwie razem z kołkiem, na którym wisiał, tuż i za zbroję porywając, rozrzucając wszystko dokoła siebie jak szalony. Pijany był — pamięć postradał, nie wiedział, co czynił.

Na tę chwilę nadbiegł Wojusz, do którego Zula się zwrócił, oczyma pytając go, co to wszystko znaczyć miało. Pawlik spojrzał nań z ukosa, podejrzliwie, bo Słowa zaczynał czeladzią rozporządzać i dawać rozkazy:

— Dziesięciu najmniej na koń, z nami. Jontek, Brzyż, Duma, Kołek.

Pawlik zwrócił się dumnie.

— Co to z nami? — spytał — nie z nami, tylko ze mną!

— Nie z tobą, tylko z nami! — zakrzyczał Wojusz. — Tak! Jeszcześ ty mi się z garści nie wyrwał! nie! Pojedziesz, ale ja cię poprowadzę.

Pawlikowi wypadł z rąk mieczyk, który trzymał.

— O tak! tak! — burczał stary — nie zbędziesz się mnie łatwo. Trzeba będzie ginąć, poginiemy razem, a można będzie szałuna za uszy wyciągnąć z topieli, jeszcze się stary zda.

Pawlik się uśmiechnął, odeszła go nieco buta. Po chwili namysłu zaczął znów napędzać do pośpiechu.

W podwórcach już były wydane rozkazy do drogi, odzywało się z różnych stron trąbienie, ludzie zgromadzeni tu, skupiali się, nawoływali i zwolna na podzamcze wyjeżdżali. Niektórych dokarmiano jeszcze z necułek, pojono z wiader, opóźniali się przy nich, inni nalewali w podróżne beczułki, chwytali mięsiwo do torb, większa część z odrętwiałością jakąś szła bezmyślna, czując niechybną zgubę, nie dbając o nic.

Starszyzna jedna szła żegnać się ze starym Jazdonem, druga zmawiała się, jak i kiedy ku Lignicy do księcia Henryka ciągnąć mieli.

Nie wszyscy przecie byli tak złej myśli, jak ci, co się o Tatarów już otarli. Wiedziano o wielkich siłach, gromadzących się na Śląsku, i że im też czeskie posiłki w pomoc ciągnęły Krzyżacy, (jak mówiono) całym zastępem z pod Prus, z Morawy książę i inni polscy Piastowicze.

Choćby mrowia pogańskiego najwięcej było, tym, co się jeszcze łudzić chcieli, nie zdawało się podobnem, aby niemiecka broń i ład tłumom dzikim nie podołały, zwłaszcza, że owe Tatary, jak Żeleziec i inni opowiadali, zbroi żadnych osobliwych nie mieli, ale liche tylko skórzane, bawole pancerze z przodu, a miecze małe i kuszy żadnych, tylko łuki. Zdało się mężom, okutym w żelazo, wojować umiejącym, iż tę hałastrę, choć mnogą, znieść będą mogli i rozpędzić łatwo.

Tak gwarząc, serca sobie dodawano. Inni słuchając, milczeli i ramionami poru zali.

Pawlik rwał się, aby co najprędzej gotowym być, a tu mu z rąk z pośpiechu padało wszystko. Czeladź na pożegnanie rozbiegła się do dziewcząt, konie ledwie odziewać zaczęto. Wojusz nawet stary głowę straciwszy, biegał i klął, nie mogąc pozbierać, co mu było potrzeba.

Pawlikowi tymczasem chłopcy zbroję rzemykami przymocowywali, ksiądz stał z załamanemi rękami. Poczciwy klecha przywiązał się był do ucznia swojego. Szalony chłopak, choć do ksiąg ochoty wielkiej nie miał, gdy go do nich i do nauki przyparto, zdolności zdradzał tak wielkie, iż nieraz powolnego umysłu ks. Zulę w zdumienie wprawiał. Klecha powiadał czasem, że gdyby je-

no Pawlik chciał, a łaska Boża nań zstąpiła, łatwoby mógł zostać wielkim świecznikiem kościoła.

Ile razy to mówił mistrz, Pawlik się za boki brał ze śmiechu i poświstywał, zaklinając się, że wolałby głowę stracić, niż się dać postrzydz i wdzieć suknię kleszą.

— Jam się do tego nie zdał—wołał—a gdybym pastorał do rąk dostał, byłby w rękach moich kijem i dałby się we znaki grzbietom waszym.

Pamięć chłopak miał szaloną, tak, że raz przeczytawszy lub przesłuchawszy pieśń czy modlitwę, zaraz ją powtarzał bez omyłki i już raz na zawsze umiał. Nauczył go był ks. Zula czytać dobrze, a i pisać podczas, gdy mu ochota przyszła, potrafił tak, jak najlepszy kaligraf lub skryba, wywijać około liter zygzaki i floresy, bo go to, gdy ze psami iść w las nie mógł, — zabawiało. Miał zaś naturę tak rzeźką, że do góry brzuchem nigdy leżeć nie mógł i musiał zawsze coś robić, gzić się, prześmiewać, judzić drugich, biegać, psoty wyrządzać — byle spokojnym nie siedzieć.

Wy ywał się z rąk nauczycielowi, Wojusz go też utrzyma nie mógł, ludzie, co mu służyli, choć który z nich miał łaskę, wszyscy od niego cierpieć musieli, bo najmniejszego przeciwieństwa swej samowoli nie znosił.

Gdy mu który odbąknął, gotów był ubić, a w uniesieniu namiętności nie zważał na nic; w ogień, w wodę, byle postawić na swojem.

Ojciec cicho czasem mruczał skarżącemu się Wojuszowi:

— Takim ci ja był!

Trzeba go było kochać, albo nienawidzieć, bo umiał zarówno łaskę pozyskać, gdy chciał, i wrogiem zrobić człeka, a co dziwna, większą mu pono radość sprawiało zalać komu sadła za skórę, do wściekłości doprowadzić, do szaleństwa rozłaskotać, niż się kochać kazać. Natura była taka zjadliwa, co się cudzym bolem napawała z jakąś rozkoszą okrutną.

Ludzie jeszcze byli dzicy w tych czasach, przynajmniej ci, których religia nie czyniła namiętnie pobożny-

mi; wszystko przebierało miarę: wiara przechodziła w fanatyzm, męstwo — w okrucieństwo, pokora we Franciszkowe spłaszczenie się i nędzę.

Dzieci rodziców takich, jak Jazdon, dziedziczyły po nich krew wrzącą. Znał to najlepiej piastun Pawlika Wojusz, który od dzieciństwa przy nim będąc, nieraz słowy nie mogąc mu dać rady, pięści nań zażywać musiał. Przychodziło do walki z wyrostkiem, który, jak zwierzę, kąsał swego dozorcę. Naówczas Sowa, silniejszy jeszcze, brał na ręce rozwścieklonego i spętanego kładł na pokutę, dopóki się nie wyburzył.

Rosło to niepoprawne, tak, że z oka go spuścić nie było można na chwilę. Wojusz widział to i wiedział, że żadne wyrwanie się na swobodę bezkrwawe i bezkarne być nie może. Wszystkie namiętności rozwinęły się w nim bujno i przedwcześnie. Zapamiętale gnał na łowy, na dzikie, nieujeżdżone skakał konie, chłopców, danych mu do posługi, mordował, czeladź niewieścią ścigał po kątach bezwstydnie. Chłosta, głód, łajanie nie pomagały nic. Czasem już Wojusz z rozpaczy próbował łagodności, słów dobrych, ksiądz Zula czytał przykłady, kazania prawił. Lecz że klecha powolny był i trwożliwy, a dziecko zuchwałe, najczęściej się na tem kończyło, że mistrzowi gębę zamknął szyderstwem bezbożnem, które posłyszawszy, truchlał.

Kajać mu się kazać próżno było: nie lękał się niczego, siłę w sobie czuł niezwyciężoną.

Wojusz myślał czasami, że gdy się to piwo wyrobi, rycerz będzie z niego dzielny, bo był łowiec namiętny, a we wszystkich igrzyskach wojaczych bardzo zręczny. Mimo to ducha prawdziwie rycerskiego nie miał. Przykrzyło mu się myśliwstwo, gdy długo trwało, gonitwy, gdy się przeciągnęły, nawet koń i psy; potrzebował ciągłych zmian, aby mu życie smakowało.

Jedno tylko tkwić mu się zdało, jak gwóźdź, w głowie i sercu — to chęć przewodzenia wszystkim i rozkazywania. On sam słuchać nie umiał, lecz wolę swą gotów był przemocą narzucać drugim. Na gródku, gdy się jeno ukazał, ludzie uciekali, starych i młodych natychmiast

brał w garść, a rozkazywał im takie szaleństwa, jakie sam popełniał. Naumyślnie wydumywał niemożliwe rzeczy, aby czeladź dręczyć niemi. Toż samo robił z innemi stworzeniami. Oparł mu się koń, to się z nim borykał, tłukł, bił, aż najczęściej i sam się pokaleczył i jego zamordował. Pokąsał go pies podrażniony, to go za gardło chwycił i zdusił!

Bali się go we dworze, jak ognia, a mało było takich, coby śladów igraszek nie nosili na sobie.

— Rycerzem ci nie być, chyba zbójem! — mruczał Wojusz.

Pawlik ramionami trząsł.

— Albo ja wiem, czem będę? — odpowiadał, śmiejąc się — będę takim, co rozkazuje. Mnie jedno, czy z konia, czy ze stołka, czy z pod ołtarza... bylem nikogo nie słuchał, a za łby wodził drugich.

Wojusz kręcił głową.

— Biskupi też rozkazują, jak i książęta — mówił, szydząc zeń — łatwiej zostać biskupem, niż księciem... Chce ci się widać pierścienia, plechy na głowie, a co naówczas będzie z dziewczętami, na któreś tak łasy?

Pawlik pogardliwie się uśmiechał.

— Czem ja będę, — wołał dumnie, — ani ja wiem, ani twoja głupia głowa odgadnie. — To pewno, że zginąć zginę, a słuchać nie myślę, bo mi karku nikt nie ugnie.

Takiego to wychowanka miał na krwawą wojnę prowadzić Wojusz, który się doń przywiązał i żal mu go było puszczać samego. Wiedział, iż ocalić go może i że zginie pewnie. Staremu już ochłap życia pozostały niewiele był wart, ceny doń nie przywiązywał, śmierć lekceważył i wybierał się obojętnie na tę wojnę, pewien, że z niej nie powróci.

Jazdon przemyśliwał, dumając, ażali już syna nie zobaczy, ale strzymać go nie miał siły, ani on, ni Wojusz, nikt! Między ludźmi mógł się otrzeć i guza napytawszy, złagodnieć. Wola Boża!

Gdy Pawlik, przywdziawszy zbroję, przypasawszy

miecz, dumny swą rycerską postawą, która go, jak dziecko bawiła, przyszedł do ojca żegnać się i do nóg mu padł, stary się rozrzewnił, milcząco go do piersi wyschłej przycisnął, zapłakał i pobłogosławił.

— Statkuj, nie szalej! — zajęczał. — Wojusza słuchaj, ja zdaję nań władzę ojca! Bóg z tobą, Bóg z wami!

Wskazał im ręką, aby odeszli prędzej, bo mu tak we łzach rozmięknąć wstyd było.

Gdy za sobą zamknęli drzwi izby i wyszli siadać na konie, już owo rycerstwo, z którem jechać mieli, wytoczyło się z ogródka na pole i szło, nie czekając dalej. Pawlik wiedział, że je łatwo dogoni, a tu jeszcze chciał żegnać czeladź, która mu się, choć pobita i potłuczona— kłaniała do ziemi, mało nie szlochając. Żal im go było.

Dalej stały u drugiego dworu białym pasem, ściśnięte w gromadę, stare i młode niewiasty, które wszystkie powybiegały patrzeć na wyjeżdżającego pana. Niektóre fartuszkami łzy ocierały.

Nie mógł wstrzymać się Pawlik i choć zgroza była wielka, a Wojusz mu drogę zapierał, wyrwał się z koniem wprost na ten zastęp babi.

Jadąc, śmiał się i mrugał na nie bezwstydnie.

— Słuchaj ty, mała Dońka! Żebyś mi wianka nie straciła, dopóki ja nie wrócę! — krzyczał na głos. — Kto ci go weźmie, łeb mu ukręcę, tak mi Boże dopomóż. Stara Rędzicha pilnuj mi jej, jak oka w głowie, bo i tobie bicz plecy poskrobie. Ty, Marusza! nie szalej też, a do parobków zębów nie szczerz... Jeszcze ja powrócę.

Niektóre się pochowały przed nim, inne, śmiejąc się, głowy podniosły, on do konia się przytuliwszy, rychotał też i znaki im dawał.

— A to srom i hańba! — krzyknął Wojusz — coby miał, psia wiara, jechać do kaplicy, żeby mu Zula choć błogosławił na drogę, idzie do dziewcząt, niezdara, po błogosławieństwo! A dam ja ci, ty...

Zamachnąwszy się, z koniem za nim popędził Wojusz, aby go od bab odegnać, ale Pawlik już umknął, i poleciał w drugi koniec dziedzińca. Tam wistocie stał

kleryk Zula z kropidłem i książeczką, z modlitwą i łzą w oku.

Chłopak strzymał przed nim konia.

— Słuchaj, Zula! Co ty tu będziesz siedział sam jeden w tej dziurze? Albo to ty dwóch rąk nie masz? Niby ś ty klecha, ale nie święcony pono ze wszystkiem. Na koń ci lepiej z nami siąść, niż ze staremi babami zostać, bo do młodych masz obrzydliwość! Jedź i ty ze mną! Coś ty, nie mężczyzna? A no— jedź! Będziesz nam błogosławił po drodze i modlitwy czytał, abyśmy o Panu Bogu nie zapomnieli. Zula! na koń! z nami!

Blady klecha drgnął. Głos był nakazujący jakiś, nie dozwalający, by mu się opierano.

— Zula, na koń—powtórzył Pawlik.

Wojusz, obok stojący, milczał z podziwienia. Widział, że powolny klecha już się wahał i nieledwie go był gotów słuchać.

A Pawlik śmiał się. Właśnie mu to robiło rozkosz wielką, iż klechę gził i stawił go w trudnem położeniu.

— Zula na koń! Czykor, podaj klesze wołochatego, tego, co lekko nosi. To dla niego koń! Baba-by na nim z garnkiem mleka jechać mogła, a nogi żelazne!

Z Zulą stało się coś takiego, iż gotów był już usłuchać rozkazania i zamiast w podróż błogosławić, sam się w nią wybrać. Sowa ciągle ramiony ruszał i spluwał; na przekorę mu chłopak nalegał:

— Zula, jedź! Przynajmniej z tobą dusz nie pogubimy, o Bogu nie zapomnim, a padniemy, będzie komu *Requiem* zaśpiewać. Dwie sfory psów i klechę — dodał zuchwale — muszę z sobą wziąć... to darmo... Nie pojadę bez nich!

Wojusz buchnął łajaniem.

Wtem stała się rzecz niepojęta: klecha jakby rażony nagle myślą jakąś, zawołał: aby mu dano opończę i poszedł do konia. Rzekł stanowczo:

— Jadę!

Widząc to, pachołkowie śmiechem parsknęli.

Wojusz się gniewał. Zaczął burczeć:

— Jedną tylko gębą więcej! Ciemięstwo będzie! Klecha się podpije i zostanie gdzie.

Lecz w mgnieniu oka Zula już był odziany, agendkę do kieszeni kładł.

Tak — rzekł — słuszna rzecz. Boga wam przypominać będę, zdam się. Chleba nie odjem wiele.

Postawiwszy na swojem, Pawlik zdawał się już dbać o to niewiele. Odwrócił się od księdza, który z tyłu pozostał. Konia ściągnął, po podwórcach butnem rzucił okiem, jakby je żegnał, i nim się Wojusz opatrzył, wczwał puścił się za bramę. Za nim konie czeladzi, nawykłe go ścigać, wyrwały się, jak szalone, nie można było ich strzymać.

Wojusz i Zula musieli doganiać, stary Półkoza klął:

— Bodajeś karku nakręcił!

Z tym szaleńcem nie można było inaczej.

Rycerstwo z Jaksą Sulisławem, już dobrze się od ogródka odbiwszy, wjeżdżało w las i ogon tylko pochodu widać było w dolinie, gdy Pawlik z wrót wyskoczywszy, gonić począł, jak szalony.

Po koniu i po nim znać było, że się z długiej niewoli na swobodę wyrwali. Zamiast jechać wprost na ludzi Pawlik począł kręgami wywijać po dolinie na złość Wojuszowi, sadząc przez rowy i opłotki. Psy za nim, czeladź za niemi. Harce się niepotrzebne zawzięły, a Sowa piersi zrywał, wołając opamiętania.

Zula, którego koń nosił, trzymał go z sił całych, nie mogąc powściągnąć, aż zdawszy się na wolę Bożą, dał szkapie szaleć, jak chciała.

Nagle Pawlik zerwał swojego i stanął jak wmurowany, wyprostował się i jechał stępią.

Poplątawszy się chwilę, wszyscy zdyszani zaczęli się przy nim i za nim ustawiać. Wojusz dopadłszy, łajał i klął w niebogłosy. Chłopak śmiał się.

Jechali tedy już po ludzku, naprzód krok za krokiem, aby się szkapy wysapały, potem kłusem, by dogonić Sulisławowych, którzy się mieli czas oddalić.

W lesie przed nimi słychać było nuconą przez wojsko pobożną, starą pieśń do Bogarodzicy. Jeden bowiem Pawlik może jechał tak rozszalały, reszta wszystka smętna była i poważna. Wiedzieli, że niosą życie na ofiarę za wiarę, kościoły, rodziny i domy.

Każdy jechał, na śmierć się sposobiąc. Obawiano się, aby z niewielkim oddziałem zdążając ku Lignicy, nimby się z księciem Henrykiem połączyli, nie wpadli gdzie na zagon tatarski, któremuby ze słabą garścią opierać się nawet nie mogli.

Trzeba więc było lasami się przedzierać, słać przodem na zwiady, aby bezpiecznie się prześliznąć. Rzadko gdzie dzicz tatarska, i to tylko popłoszona, zapuszczała się w gąszcze i lasy. Najezdnicy, nawykli do stepów, czuli się w polu bezpieczniejszymi.

Sulisław mądrze swoich prowadził. O Tatarach też wieści łatwo było dostać. Szli, prawda, i spadali na nieopatrzne ziemie, kędy się ich nie spodziewano, lecz poprzedzały ich łuny i dymy, za małemi oddziałami nie wyrywali się naprzód.

W lasach też wszędzie spotkać było można tych, co pośpieszyli uchronić się przed nawałą. Zbieg był najpewniejszym znakiem zbliżania się dziczy. Spustoszenie które ona niosła z sobą, rozciągało się na mil kilkanaście wkoło, lecz pasem szło, szerokim szlakiem, jedną wielką ławą — a co zbieżało w czas, ocalało z żywotem.

Dlatego po owych najazdach tatarskich, morderczych i strasznych — klęski były niezmierne, straty niepowetowane, ale się kraj prędko odżywiał, bo więcej zawsze uratowało się, zbiegając, niż padło.

Gdy z małą swą drużyną Pawlik nareszcie się z oddziałem Sulisława połączył, trafił w nim zaraz niemal na tak młodego, jak sam był rycerza, do którego, śmiałym będąc zawsze, natychmiast się zbliżył podjechał i zagadnął go poufale jako brata po mieczu.

Był to mężny, sławny już z niejednego rozgłośnego czynu Janisław, młodzian urodziwy, pięknej postawy, w którym widać było rycerskie męstwo, ale razem statek i powagę, nad wiek może. Nadrabiał miną, aby się starszym wydał.

Pawlik mu dość w oko wpadł, domyślił się w nim kto był, bo już po wojsku rozpowiadano, że syn Jazdona miał się do nich przyłączyć. I, jak zawsze dwie natury sprzeczne ku sobie ciągną, Janisław ten, co słynął z karności, upodobał sobie warchoła.

Pawlikowi też nikt milszym być nie mógł nad takiego jednolatka, z którym mógł być jakby z bratem.

Poczęli rozmowę naprzód o koniach, bo syn Jazdona Tatarów w głowie nie miał, a był im bardzo wdzięczny, że mu do wyzwolenia z domu w pomoc poszli. Miał i ten przymiot Pawlik szalony, że gdy o myśliwstwie albo o koniach rozpowiadał, niestworzone rzeczy lubił wymyślać. Śmiał się z tego sam, bawiło go, gdy ludzie się zdumiewali i sarkali. Poważny Janisław dał mu się tem rozrywać. A że reszta oddziału srodze była posępna, Pawlik zaś pustował i śmiał się, wszyscy się za nimi oglądali, radzi temu, że im jeszcze ktoś trochę wesela przyniósł do ich czarnego smutku. Radzi mu byli jakoś, że on jeden serca nie stracił, co drugim go dodawało.

Niemal do nocy, jadąc przy nim, gdy mu się gęba nie zamykała, Janisław więcej słuchał, niż mówił. Aż gdy już ku spoczynkowi noclegowemu się zbliżali i zaczęto obozowisko wytykać, z którego przed świtem ruszać mieli dalej, nowy towarzysz rzekł do swobodnie poczynającego sobie Pawlika:

— Patrzajcie-no, abyście, gdy na spoczynek zatrąbią, nie szaleli, bo z naszym panem Sulisławem igrać niezdrowo... Słuchać potrzeba i patrzeć skinienia.

Pogroził mu nieco.

— Słuchać? — powtórzył oniemiały na chwilę Pawlik, patrząc mu w oczy ciekawie. — Słuchać! No! ciury juściż powinni tu słuchać, ale my?

Janisław uśmiechnął się doń łagodnie.

— My tu wszyscy ciurami — rzekł — gdy władza przy jednym. Ktoby się ważył na co przeciw woli wodza, łeb mu zetną jak nic.

Pawlik brał to za żarty, poruszył ramiony i stanęli na nocleg w lesie obozem.

IV.

Klasztor w Krośnie ledwie mógł pomieścić gości, którzy doń, szukając schronienia, zbiegli z Trzebnicy.

Księżna Jadwiga, wdowa po Henryku Brodatym, pobożna pani, której życie upływało w najsroższej katowni własnego ciała a posługach najpokorniejszych siostrom zakonnym i ubogim, pani, która już duchem napół była w niebiosach, a po ziemi szła, zdając się jej nie czuć i nie tykać, przybyła do warowniejszego Krośna, ciągnąc za sobą kilkadziesiąt sióstr Cystersek, swój dwór cały i tych trzynastu ubogich, na których nędzy i chorobach uczyła się miłcsierdzia bezmiernego.

Uchodziła ze swej Trzebnicy, z pięknego klasztoru, od swego drogiego kościoła i szpitala, z tych miejsc, które na jej skinienie wśród trzęsawisk i moczarów, jakby cudem murami się okryły, — nie dla własnego bezpieczeństwa, bo męczeństwo dla niej upragnionem było, ale dla tych sióstr swych, co z trwogi marły w Trzebnicy, modlić się nawet i Boga chwalić nie mogąc.

Napróżno tę ich lękliwość karcąc surowo, księżna Jadwiga przypominała im, że bez woli Bożej włos nie spada z głowy człowieka, a przed wyrokiem Bożym żadna warownia nie obroni; lękliwego ducha siostry błagały ją tak, że wkońcu, litując się im, księżna wszystkim, co Trzebnicę zaludniali, ruszyć kazała do Krośna.

Tu świeżo wzniesiony klasztor dla Klarysek przyjąć ich musiał i dać schronienie mężnej pani z jej trwożliwemi towarzyszkami.

Jej jednej w najstraszniejszych życia próbach nigdy nie opuścił spokój, na który patrząc, truchleli ludzie, tak do nieczułości i odrętwienia był podobnym.

Nigdy łza nie postała na jej licu, chyba, gdy rozgorzała na modlitwie samotnej, nigdy jęk się z jej piersi nie dobył.

Tego czasu księżna Jadwiga była już chodzącym posągiem świętej. Wychudła, wybladła, woskowo-żółta

niewiasta, w jednej zawsze sukni wełnianej, na włosiennicę narzuconej, bosonoga zimą i w lecie, z poranionemi stopy — jak dzień i noc snująca się po korytarzach, po kościele, po barłogach najwstrętliwszego ubóstwa, którego plugawe rany całowała z rozkoszą — żyła już tylko jakimś cudownym nadziemskim żywotem.

Nie miała nigdy spoczynku, nie znała łoża, nie siadała do stołu, żyć się zdawała niczem, krwią własną, siłą woli. Nocą znajdowano ją w kościele na ekstatycznej modlitwie, dniem albo wymiatającą śmiecie klasztorne, lub całującą ślady sióstr i pijącą wodę, w której się myły. Pokora jakaś okrutna nadawała jej majestat dziwny.

W twarzy tej zastygłej, martwej, nieporuszającej się niczem, oczy zaiskrzone, śmiałe, patrzały tak, jakby człowieka aż do wnętrza duszy jego na wskroś przejrzeć mogły. I miała tę moc, że go widziała wistocie. Nie jeden raz, gdy przychodzącą zakonnicę oczyma zmierzyła, dobyła z niej, o czem Bóg jeden mógł wiedzieć.

— Idź stąd — mówiła do strwożonej — idź i spowiadaj się z tego ciężkiego grzechu, którym obrzemieniona tu przychodzisz.

Zawstydzona grzesznica uciekała, zasłaniając oczy, rażona tem jasnowidzeniem cudownem.

Gdy Henryk Brodaty, mąż jej, z którym już oddawna nie żyła, nawiedzał ją w Trzebnicy, a zapytywał o śmierć swoją, westchnąwszy, radziła mu, ażeby nie wyjeżdżał z Lignicy. Pomimo przestrogi udał się książę Henryk do Krośna i tam nań śmierć przypadła.

Nim jej o zgonie jego wiedzieć dano, wiedziała już o nim, ale gdy klasztor rozległ się płaczem i żalem po dobroczyńcy swym, poczęła karcić siostry surowo. Sama nie wylała łzy jednej.

— Należy się zgodzić z wolą Bożą, a nie szemrać przeciw niej i wyrzekać — mówiła spokojnie.

Widok zwłok męża nie zmienił tej żelaznej bezlitości pobożnej a strasznej, bo ona w niej ludzkie wyssała serce.

Patrzano z trwogą na tę istotę błogosławioną, której śmierć sama zatrwożyć ani poruszyć nie mogła.

Z tego wyrzeczenia się wszelkiego uczucia ludzkiego nic ją wyrwać nie zdołało; nie była już żywą niewiastą, ale cieniem z drugiego świata, wygnanym na ziemię. Miała litość w sercu, ale tylko nad tymi maluczkimi a nędznymi, którzy swą nędzą spadli już na ostatni szczebel, dzielący zwierzę od człowieka.

Trzynastu takich nędzarzy, pokrytych rany obrzydliwemi, krostawych, brudnych, ropiejących, połamanych, miała przy sobie zawszena wypróbowanie chrześcijańskiego miłosierdzia. Tych ona sama wybierała sobie najpoczwarniejszych, najwstrętniejszych, najdzikszych, wpół oszalałych, aby od nich i przez nich jak najwięcej cierpieć mogła. Tych trzynastu kaleków obchodziło się z nią bezlitośnie, wiedząc, że im wszystko wolno było. Ludzie ci, albo raczej potwory, znęcali się nad świętą niewiastą, która od nich z rozkoszą znosiła wszystko. Im więcej ją dręczyli tem szczęśliwszą była. Wszystka ta gawiedź potworna, na wozach, jak najdrozszy skarb księżnej do Krośna za nią przewiezioną została.

Tuż u drzwi klasztornych musiała mieć tę wrzawliwą gromadę bab i dziadów dobrocią jej rozzuchwalonych. Dla nich szło najlepsze jadło, okrycie najdroższe, napój najczystszy, gdy ona sama żywiła się tem tylko, co wstręt obudzać mogło.

Oprócz tego osobliwego dworu, wiodła z sobą księżna Jadwiga synowę, nieszczęśliwą a zbolałą niewiastę, żonę Henryka Pobożnego, matkę kilkorga dzieci, której mąż właśnie się przygotowywał w Lignicy na odparcie dziczy tatarskiej. A gdy Anna zalewała się łzami, o mężu myśląc, kamienna święta matka zawczasu już wiedziała, że syn jej polegnie śmiercią męczeńską i synowej nie czyniąc żadnej nadziei — powiadała jej:

— Zabiją go! zabiją! Ty stracisz męża, ja syna, ale umrze święcie za wiarę chrześcijańską, w walce z poganami i odkupi krwią grzechy swoje!

Bezlitośnie, okrutnie, nie szczędząc synowej ni siebie, powtarzała te słowa mieczowe, wprost je miotając do jej serca.

— Tak jest, Anno, padnie mąż twój, padnie syn

mój, a nam się go opłakiwać nie będzie godziło. Łza grzechemby była.

Taką była Jadwiga, wyschła od postów, z poranionemi od mrozów i chodzenia po kamieniach nogami, z ciałem, od chłost codziennych popadanem — ubłogosławiona za życia, lecz nic już ludzkiego nie mająca w sobie.

Czczono ją też jak świętą, lecz na widok jej nie miłością, a trwogą napełniały się dusze. Dorównać jej nikt nie mógł, wstydzić się musiał każdy — spojrzenie napełniało strachem.

Był dzień wczesnej wiosny, zimny i wietrzny. Gdy księżna, która i tej nocy do snu się nie kładła, spędziwszy ją na modlitwie w kościele, rano wyszła ku dworowi swemu, rzekła, obracając się do kapłana swego, Lutolda i komorników:

— Patrzajcie, aby była gotowa strawa na stół, bo tylko nie widać Henryka, który tu nadbieży z Lignicy.

Przytomna temu synowa, księżna Anna, stojąca za nią, zbliżyła się w rękę ją całując.

— Matko kochana — zawołała żywo i rumieniec wystąpił na twarz jej zbladłą i zmęczoną — matko, mieliście więc posłanie od Henryka?

Księżna Jadwiga potrząsła głową.

— Posłaniec niebios powiedział mi na modlitwie, iż go tu dziś widzieć będziemy! Tak, przybędzie tu raz jeszcze po błogosławieństwo moje, na pożegnanie z tobą... raz ostatni.

Spojrzawszy na synowę, zachodzącą się od płaczu, zamilkła ks. Jadwiga, ale twarz jej smutna zawsze, przybrała wyraz surowy.

— Nie płaczże — dodała sucho — nie godzi się przeciwić woli Boga, ani żałować tych, co idą ku niemu do wiekuistej światłości.

Księżna Anna, nie śmiejąc odpowiedzieć, stłumiła łzy.

Radosna przepowiednia przybycia walczyła w niej

ze straszną wieszczbą śmierci, w której niechybność wierzyć się nauczyła.

Nieporuszona temi łzami, które zdradzało łkanie, księżna Jadwiga poszła wedle zwyczaju do ubogich. Izby u furty dla nich wyznaczone, nizkie, ogrzane i okadzone — pełne były dzikiego, niesfornego gwaru. Wybrańców tych księżnej żadna siła poskromić nie mogła, czuli, że tu byli panami.

Izba przedstawiała obraz wstrętliwy i ohydny. Na posłaniu ze słomy dokoła leżeli ludzie z nieludzkiemi twarzami, okryci ranami szpetnemi, z narośćiami, które ich twarzom i głowom nadawały potworne, niebywałe kształty. Zaraz u drzwi leżący, kijem wywijając, kłócił się ze wstecznemi słowy człek z okiem wysadzonem z powiek, ogromnem, sinem, sterczącem jak szyszka. Był to najzuchwalszy z nich; — krzyk jego, a raczej wycie namiętne, rozlegało się po izbie. Dalej na przemiany, w łachmanach brudnych i kosztownych płachtach, przez księżnę darowanych, które się wśród śmiecia z niemi tarzały — leżeli garbaci, chromi, okryci trądem śliznącym, ranami cieknącemi — ulubieńcy księżnej.

Wszystko to rwało chciwie z mis stojących między nimi, piło z kuflów drewnianych i rozzuchwalone, waśniło się, wyrazy plugawemi i sprośnemi w oczy sobie rzucając.

W chwili gdy się otwarły drzwi, a księżna stanęła w nich z dwiema towarzyszkami, ulubioną Rasławą i Pianozą, syknął jeden z ubogich, i nagle nastąpiło milczenie.

Nie trwało ono długo, nastąpiła wrzawa straszniejsza jeszcze. Bliżsi drzwi, wyciągając ręce, poczęli za szaty chwytać wchodzącą, która się ku nim z kolei dobrotliwie pochylała, drudzy przywoływali ją ku sobie. Nie unikając zetknięcia z nimi, szukając go, księżna szła zwolna, lubując się widokiem tego cielesnego plugastwa, które dla niej wszystką świata marność i brzydotę uosabiało.

Tu na tej męczarni oczów i oddechu, wśród tych wyziewów choroby i zgnilizny było jej najlepiej, tu uczyła się pogardzać skorupą życia, tu nie spotykała ani zwodni-

czego wdzięku, ani uroczej młodości, ani tego, co kusi ponętą świata. Tu się jej usta nieco uśmiechnąć umiały, nawet niezdarnym wyrazom tych istot potwornych, które nie nauczyły się uszanować jej.

Dwie towarzyszki księżnej szły za nią strwożone, ale posłuszne, na licach ich widać było obrzydzenie, wstręt do tej rozpasanej zgrai.

Drgały i bladły, a gdy spowiednik księżnej, opat Gunther, otworzył drzwi, wołając, iż książę Henryk przybywa — odetchnęły lżej, bo księżna musiała iść na powitanie syna, które dla niej ostatniem było żegnaniem. Żywym oglądać go miała, a widzieć martwym w duszy.

Orszak książęcy nadciągał właśnie. Był on niewielki, lecz świetny. Nie ustępował blaskiem ani okazałością żadnemu z najwspanialszych niemieckich książąt, a miał cudzoziemski pozór i był wistocie prawie z samych obcych złożony.

Rycerstwo już na śmierć przeznaczone, jakby po raz ostatni wystąpić chciało pańsko, świeciło całe zbrojami polerowanemi, hełmy pozłocistemi, przepaskami jedwabnemi, pasami sadzonemi i łańcuchy.

Sam książę Henryk miał na sobie płaszcz fioletowy, sobolami podbity, zbroję misternie rysowaną, a na głowie szyszak zamknięty, którego wierzchołek zdobił czarny orzeł rozpięty. Męska to była postać, przypominająca ojca, z twarzą ogorzałą, wyrazu dumnego, z wzgardą jakąś na ustach, z wielką siłą we wzroku.

Za nim jechali dobrani doń, dorodni, butni towarzysze broni, mężowie przednich rodów niemieckich i śląskich, wszyscy niemal tego co i książę wieku, lat dojrzałych, ale jeszcze trzymający się dzielnie i młodzieńczo.

Na widok matki, jak najuboższa zakonnica odzianej, bo Jadwiga tylko w razach, gdy obcych przyjmowała, lepszy płaszcz ciemny na ramiona sobie narzucać kazała, Henryk wzruszony, z głową spuszczoną pośpieszył ku niej. Za nią stała z zapłakanemi krwawo oczyma księżna Anna, żona jego, do której uśmiechnął się smutnie. Skłonił się do kolan matce, która rękę poło-

żyła na głowie jego i razem z nią weszli wewnątrz klasztoru.

Rycerstwo księcia pobożnego, choć samo też pobożnem było, a o płochości teraz myśleć nie miało czasu, przecież do młodszych zakonnic, które z za furty ciekawie wyglądały, uśmiechać się zaczęło.

Takie to były czasy. Z jednej strony surowość bezlitośna, z drugiej namiętności ludzkie, niczem się poskromić nie dające, wyrywające z żelaznych oków, jakie na nie wkładano. Nie za jedną też nowicyuszkę tej najsroższej reguły ręczyćby trudno, by się zapłoniona rycerzowi nie uśmiechnęła nawzajem. Tem gorętszą była potem modlitwa.

Księżna, w milczeniu wiodąc za sobą syna, który żonę trzymał za rękę i po cichu szeptał coś do niej, weszła do małej komnaty, w której obcych zwykła była przyjmować. Nie była to ta cela, w której się biczowała i noce trawiła czasem na twardem posłaniu z desek, gdy znużenie już jej się na nogach utrzymać nie dawało. Tu jeszcze księżnę poznać w niej było można po bogatym sprzęcie, gdy w celi swej, jako zakonnica uboga mieszkała. Tam wisiały tylko krzyże, obrazki patronek, Maryi Magdaleny, Katarzyny, Tekli, Urszuli — i lampki gorejące przed niemi.

Jak zwykle, księżna Jadwiga, nigdy nie wypuszczająca z ręki małego z kości słoniowej wyobrażenia Matki Boskiej, które z sobą ciągle nosiła— zbliżyła je naprzód do ust bladych i pocałowała, nim do syna mówić zaczęła.

W tej praktyce pobożnej czerpała jakąś siłę. Wychudłe jej palce, kości skórą powleczone — z namiętnością obejmowały, ściskały ten wizerunek Matki boleści. Ona sama była nią też w tej chwili, ale ból okrywała chłodem, tak, że oko ludzkie dostrzedz go nie mogło.

Rozmowa toczyła się, jak zawsze, po niemiecku.

— Przybyłem po błogosławieństwo wasze — westchnął książę Henryk. — Dzicz z pod Wrocławia, którego dobyć nie mogła, ciągnie na nas na Lignicę — czekamy na nią. Na Dobrem Polu rozstrzygną się losy

nasze, a może — dodał książę — i całego świata chrześcijańskiego, a pewnie tej całej ziemi naszej, stojącej otworem.

Księżna słuchała, całując wizerunek Matki Bożej i nie przerywając synowi; oczy jej patrzały gdzieś daleko, zdawała się go nie widzieć.

— Pięć silnych oddziałów — ciągnął dalej syn — postawimy przeciwko nim, mąż w męża dobrani ludzie.. każdy z nas przeciw temu gadowi, jeden na dziesięciu ustoi.

— A ich jest stu na jednego z was — zawołała księżna Jadwiga. — Widzą ich oczy moje, widzą! Jest ich mnogość wielka, nie przeliczona, tak, że gdybyście zgnietli jej połowę, starczy drugiej, by was pochłonęła. Plaga to niebieska... karanie Boże za grzechy... Umrzeć musicie za wiarę waszą, aby krew zmyła winy.

Księżna Anna, słuchając matki, zanosić się zaczęła z płaczu; — surowe wejrzenie zmusiło ją łzy połknąć.

— Nie zwyciężycie ich! nie! — mówiła powolnie. — A jakżebyście mogli, Henryku mój, tam pobić nierzyjaciela, na tem Polu Niedobrem, gdzie — w piersi się uderz—ty z własnym niegdyś walczyłeś bratem?

Tak było w istocie, na polu pod Lignicą w krwawej walce potykali się zwaśnieni Henryk z Bolesławem, rodzonym swym. Usłyszawszy to wspomnienie, książę drgnął.

— Nie mogłem uczynić inaczej — zawołał — wyzwanym był!

— Lecz walczyłeś z bratem i nie o sprawiedliwość, ale o panowanie marne, o ziemię tę lichą, której na grób tak mało potrzeba, a dumie waszej zawsze jej nie staje do syta. Więc dziś, gdy o życie swe i za sprawę świętą bić się będziecie — poginiecie. Bo taki jest — sąd Boży.

— O, matko moja! — jęknął Henryk, którego głos powtórzył się w piersi żony.

— Wyrok to nie mój, a Boży! — chłodno odparła Jadwiga, całując pobożnie wizerunek—ja go tylko wam zwiastuję, abyś ty i rycerstwo twe wiedziało, że na śmierć

idziecie, żebyście się pojednali z Bogiem, wzięli błogosławieństwo kapłana, tak, jak ja wam daję moje.

To mówiąc, ręką, w której trzymała posążek, krzyż zakreśliła nad schyloną głową i usta jej poczęły szeptać cichą jakąś modlitwę, którą tylko łkanie księżnej Anny, spartej na ramieniu męża i płaczącej przerywało.

Henryk stał z twarzą smutną, ale męską. Przepowiednia ta może godziła się z przeczuciem jego, chociaż po cichu starał się uspakajać żonę. Przypomnienie tej krwawej rozprawy z bratem pod Lignicą, serce mu boleśnie ściskało.

— Mamy— odezwał się, chcąc rozmowę odwrócić — rycerzy niemieckiego zakonu z sobą i nadciągnął polski oddział niepośledni. Morawianie przyjdą też i Czesi. Wszystek lud dorodny i mężny.

Księżna Jadwiga potrząsnęła głową.

— Stu na jednego i więcej ich będzie — rzekła— nie zmożecie! Stoi w Piśmie, iż przyjdzie lud ze Wschodu, który chrześcijaństwo wytrzebi, aby ono zakwitło może bujniej na pognoju ludzkich ciał i grzechów. Wart-li ten świat i ten wiek, aby nad niemi Bóg miał miłosierdzie? — dodała, wzdychając ciężko. — W grzechach brodzimy, brniemy w nich. Usty wyznajemy Chrystusa, a sercami ciało miłujem, próchno i zgniliznę! Kto z nas godzien miłosierdzia?

— Ty, matko kochana! — zawołał książę Henryk, przejęty — ty! — I gdy Bóg, jak stoi w Piśmie, dla jednego sprawiedliwego gród był gotów ocalić, czyż dla cnót twych nie powinienby nas uratować?

Z groźnym krzykiem oburzenia przerwała mu matka:

— Nie bluźnij! Azali wiesz, ile ja grzechu na duszy mej niosę? Ile słabości — ile plam, których pokuta zmyć nie może?

I pocałowała obrazek gorąco.

— Inne są sądy Boże, a sądy ludzkie, bo On na serca patrzy, nie na twarze.

Książę Henryk spuścił głowę smutnie. Milczała, modląc się, stara księżna.

— Ciało posilić trzeba — odezwała się po przestanku, słysząc dzwonek, który się odezwał zdaleka. — Tam dla was już stoi przygotowane jadło. Idźcie więc, ja do kościoła muszę.

Zawróciła się prędko ku celce swej, księżna Anna ujęła męża pod rękę i wywiodła go z sobą do izby jadalnej, która poza klasztorem żeńskim dla gości była przeznaczoną. Znajdowało się tu towarzystwo księcia Henryka, czekając nań.

Osobny stół zastawiony był dla książąt na podwyższeniu. Siadła przy nim księżna Anna, posługując mężowi, który mimo smutku i złych wróżb, znużony drogą chciwie począł głód zaspokajać. Inni też, przy stołach siadłszy, chwytali już z mis i drewnianych naczyń mięsiwo.

Uczta była więcej klasztorna, niż książęca, a życie wówczas nawet po dworach pańskich dostatnie bardziej, niż wykwintne. W dzień powszedni mięsiwo, polewka, kasza składały całą zastawę, w post ryby i mączne potrawy. Piwo stało przed panami, wino przed księciem, woda obficie.

Całe prawie towarzystwo, gdy głośniej się odzywać zaczęło, okazało, iż wcale nie straciło ducha. Była chwila zwątpienia, gdy Ślązacy sądzili się osamotnieni, teraz przy nadciągających posiłkach nabrali otuchy.

— Hej! — odezwał się Henno z Rohrsteinu — nie dziw, że to chłopstwo pogańskie Ruś pokonało, bo tam nigdy dobrego oręża i sprawy wojennej nie było. U nas w Niemczech inaczej jest. Pogańska wojna wszędzie jedna; dosyć popatrzeć, jak Krzyżacy rozpędzają motłochy Prusów i Litwę gonią a mordują kupami. Ta hołota zbroi nawet nie ma.

— Kilku ich zabitych nasi ludzie pod Wrocławiem widzieli — rzekł drugi — To było i nierosłe nawet, chuderlawe, mizerne, tylko zuchwale na śmierć idzie. Z przodu ledwie cokolwiek okryci są, a pospolity lud ledwie w łachmanach, napół goły.

— Zbroje nasze pewnie coś warte — odparł zdala, zasłyszawszy te głosy zasępiony książę Henryk — ale

liczba też znaczy! Liczba nie jest bez wagi. Nie zmogą nas, jeden przeciw drugiemu stojąc, ale zasypią i zduszą...

— O! o! Bóg przecie z nami! — ozwał się jakiś głos z cicha.

— A grzechy nasze przeciwko nam — wtrącił duchowny, który siedział w końcu stołu. — Gdyby nie one, bylibyśmy zwycięzcami w Palestynie, i odzyskalibyśmy grób Pański a Ziemię Świętą, przecież i tam Pan Bóg nie chciał błogosławić orężowi naszemu dla grzechów i przestępstw naszych. Saraceni precz wyganiają Franków z tych miejsc, które już zajęli.

— Cesarz-by nam przyszedł pewnie w pomoc — rzekł książę Henryk, — bo niebezpieczeństwo i jemu grozi, gdy nas zmogą, ale ten jest we Włoszech zajęty.

— I Krzyżacy niepewni — szepnął jeden z rycerzy. — Obiecują się oni przybyć do nas, ale wątpię, czy staną w słowie, bo im grozi wojna na Pomorzu ze Świątopełkiem, a poganie, których tylko siłą ponawracali, bardzo się burzą.

— Nie odbierajcież sobie serca! — odezwał się książę. — Wola Boża! Stanie się, co On postanowi, my nasz obowiązek spełnimy.

Rozmowa ciągnęła się tak niebardzo ochoczo przy stole, bo choć ją kto na weselszy ton nastroił, wnet drugi posępniejszą nutą chmurzył czoła.

Już poczęła czeladź misy uprzątać, gdy pachołę księcia Henryka wpadło, wołając od progu:

— Do Miłości Waszej przybył goniec z Lignicy!

Książę drgnął; wszyscy przytomni ku drzwiom się zwrócili, niektórzy wstawali, ciekawi i niespokojni, bo się dobrego poselstwa spodziewać nie mogli.

W całej sali poruszyło się wszystko. Księżna Anna ręce w górę podniosła i zakryła niemi oczy. Książę Henryk posunął się ku drzwiom, pomyślał trochę i gońca przywołać kazał.

Ten stał niedaleko za progiem cały zabłocony, słaniając się od zmęczenia, oparty o ścianę. Nie potrzebo-

wał mówić, bo z twarzy jego czytać mógł każdy, że był posłańcem hiobowym.

— Książę Mieszko wysłał mnie tu — rzekł osłabłym głosem. — Tatarzy już ciągną, ledwie czas W. Miłości powrócić do Lignicy! Zagony już codzień się bliżej ukazują. Wstrzymało ich to tylko, że gwałtem grodu we Wrocławiu chcą dostać. Wszyscy błagają, aby W. Miłość powracał, bo bez Was w pole nie wyjdą.

Książę, usłyszawszy to, z krwią zimną i energią wielką zawołał natychmiast:

— Na koń! na koń wszyscy!

Zła wieść zdawała mu się dodawać męstwa. Mówiąc to, spostrzegł, iż żona o stół się oparła, żeby nie paść; podtrzymał ją słowem i ręką.

— Na koń! — powtórzył raz jeszcze i wypadł z jadalni.

Rycerstwo sypnęło się z wrzawą i szczękiem precz z izby, nie czekając już na księcia, który szedł zwolna prowadząc za sobą ledwie wlokącą się żonę.

W mieszkaniu księżny matki nie znaleźli jej; poufne jej służebne, Katarzyna i Demunda, milcząc, na kościołek wskazały.

Stał on pusty, gdy książę Henryk wszedł do niego z żoną. Posępny dzień jeszcze ciemniejszem, niż zwykle, czynił wnętrze, jedna lampka paliła się przed wielkim krucyfiksem na ołtarzu. Księżna Jadwiga, bosa, jak zawsze, klęczała na kamieniach zimnych z podniesionemi do góry rękami wyschłemi, modląc się duchem, nie ustami. Oczy jej pływały we łzach, ale twarz wybladła promieniała uniesieniem, jakby z tego krzyża czarnego, na którym wisiał Chrystus, spłynęło na nią świeże słowo pociechy. Zatopiona w sobie nie usłyszała kroków syna i synowej. Musieli stanąć za nią i czekać, nie śmiejąc przerywać jej modlitwy.

Księżna Anna uklękła i płacząc, modlić się zaczęła. Książę Henryk stał zdumiony, tylko ręce złożyły mu się jak do modłów.

We wnętrzu kościołka cisza panowała uroczysta, a przez drzwi otwarte od podwórza niekiedy wpadał

odgłos wrzawy, gdyż towarzysze księcia, gwarząc i wykrzykując, co prędzej koni dosiadali.

Księżna matka padła nareszcie u stopni ołtarza, całując ziemię z taką gorącością, jakby na niej świętych jakich stóp chciała uczcić ślady, podniosła się, zwróciła i przeżegnawszy a ucałowawszy trzymany w ręku wizerunek, zaczęła syna powoli prowadzić od ołtarza ku drzwiom. Lice jej promieniało natchnieniem, ona sama wydawała się ubłogosławioną.

— Idź, synu mój — mówiła — idź! Wybiła godzina ofiary! Bóg cię woła! Idź i nieś życie twe za świat chrześcijański, albowiem u trupa twojego stanie wał i fala, która miała świat zalać i pochłonąć — cofnie się potop krwawy, i chrześcijaństwo ocaleje! Idź, męczenniku mój, którym ja dumna jestem; po wieniec i koronę twą! Idź! Nie będą po tobie płakać oczy moje, ani serce moje, albowiem wybrany jesteś i błogosławiony. Idź w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Księżna Anna płakała ciągle, tuląc się do mężowskiego ramienia. Stali w progu kościoła. Dotąd nieporuszony książę Henryk schylił się, drżąc, do nóg matki, łza mu błysnęła w oku. Nie mówiąc nic, żonę ucałował w czoło; ta z uścisku ostatniego puszczać go nie chcąc, uwiesiła mu się na szyi i księżna Jadwiga ujęła ją słabemi na pozór rękami, aby oderwać od męża.

— Niewiasto małego serca — rzekła, — nie stawaj mu grzeszną miłością swą na drodze, nie odwódź go od przeznaczenia, nie kuś go łzami. Niech idzie! niech śpieszy!

Henryk stał jeszcze, gdy w podwórze wpadł posłaniec drugi od Opolskiego księcia.

— Tatarzy ciągną! — wołać począł z konia. — Wszyscy wołają wodza. Przybywajcie!

Na głos ten, któremu rycerstwo wtórowało okrzykiem zapału razem i trwogi, książę spojrzał już tylko na żonę, na matkę i skoczył na konia, stojącego przed nim. Chłopię podało mu strzemię, drugie małą tarczę, którą u siodła przywiesił.

Zdjął hełm, żegnając kościół, matkę, żonę i cały

oddział z łoskotem ogromnym rzucił się z podwórza, cisnąc we wrota. Czeladź klasztorna i niewiasty zanosiły się od płaczu.

Księżna Anna, zmożona żałością wielką, jak stała, padła na stopniach kościoła i rękami oczy zakrywszy, płakała. Księżna matka stała wryta jak posąg, nie uroniwszy łzy, z oczyma wdal wlepionemi, jakby tam gdzieś widziała więcej, niż ludzie wszyscy, — przyszłość całą, krew, co się przelać miała i chwałę, co z niej miała wykwitnąć.

Po niebie gnały się szerokie obłoki jakiemiś krwawemi blaski z dołu zarumienione — niby krew już przelaną i przelać się mającą zwiastując. Wiatr pędził je z tamtej właśnie strony, skąd lała się owa czerń mongolska na nieszczęśliwą tę ziemię. W powietrzu, mimo wichru brak było, czemby pierś ludzka swobodnie odetchnąć mogła. Wszystkim zatruty wyziew jakiś tamował tchnienie, gryzł i szarpał spalone gardła.

Klasztorna służba długo nie mogła odejść od progu, patrzała osłupiała na tę garść ludzi, która pędziła drogą, wprost na śmierć wiodącą!

V.

Na wieży kościoła Panny Maryi w Lignicy stali, oknem wązkiem rozpatrując się po okolicach, książę Henryk Pobożny, Mieczysław Opolski, Bolesław Morawski, od poplątanej mowy Szepiółką zwany, i Sulisław Jaksa, brat krakowskiego wojewody, stali i patrzali niemi.

Widok, jaki na skraju doliny nad Nissą mieli przed oczyma, na chwilę odjął im myśli i mowę. Tam czerniały pola szerokie, zasypane jak mrowiem czarnym tłumem, którego ruchy ledwie się stąd dostrzedz dawały.

Wśród tego całuna olbrzymiego, co się po ziemi rozścielał, wznosiły się słupy dymu, wiatr stamtądz przynosił wycia jakieś i huczenie głuche. Wiało trwogą i groźbami ku Lignicy.

— Siedźmy tu zamknięci w wałach i murach —

odezwał się ponuro książę Mieczysław — to jeszcze ze wszystkiego najrozumniejsze. Przecie ani połowy nie było w Krakowie tych, co się u Ś. Jędrzeja obronili tej nawale i wziąć nie dali! A w polu?

Nikt mu nie odpowiadał, wszystkich oczy wlepione były w tę potworę, leżącą na widnokręgu, która dziś, jutro do stóp grodu przypełznąć miała.

Książę Henryk po namyśle obrócił się ku niemu.

— Nie — rzekł — lepiej wyjść i z tą czernią się rozprawić, niż opasanym się tu męczyć i dusić, wystawionym na szyderstwo. Mężom po męsku stanąć przystało, choćby i ginąć.

— Mamy wiadomość pewną, że król Wacław za dwa dni nadciągnie — począł, bełkocąc niewyraźnie Szepiółka — czekajmyż na niego. Silniejsi będziemy.

— A któż ręczy, że Wacław zastraszony tą powodzią nie cofnie się? My próżno się wyczekawszy nań, głodni i słabi na duchu, będziemy musieli iść sami. Krzyżacy obiecani nas zawiedli, Wacława nie jestem pewny.

— Mistrz Zakonu miał przyjść tam z całą siłą — rzekł Mieczysław — a przysłał nam jak na urągowisko kilku braci i lichą garść knechtów, bez którejbyśmy się obeszli.

Milczeli znowu zadumani.

Książę Henryk sparł się o mur, wychylił głowę, popatrzył i dał znak schodzenia z wieży, pierwszy wstąpiwszy na drabinę, która wiodła do górnego piętra. Za nim ze spuszczonemi głowy, milcząc, zwolna schodzić zaczęli drudzy.

Od kościoła do zamku było niedaleko. Tu na dziedzińcach, w ulicach, na placach, wszędzie wśród wałów tłumy ściśniętego w szczupłym ich obrębie rycerstwa stały, wyczekując niespokojnie rozkazów.

Henryk Pobożny, nabrawszy mocnego postanowienia, by na nikogo nie czekając, stanowczą stoczyć walkę, wpadł do wielkiej izby na dole, do której za nim wtoczyli się wszyscy. Twarz jego, nigdy nie tracąca rycerskiego wyrazu siły i energii, teraz zdawała się podwójną

potęgą przekonania napiętnowana. Brew miał ściągniętą i usta zaciśnięte dumnie.

Inni patrzali nań jak na tego, któremu wyrokować przystało. Mniej pewny siebie Szepiołka był zmieszany i podrażniony. Opolski dumał zasępiony, Sulisław, nieco na uboczu stanąwszy, czekał, rozglądał się dokoła.

Książę okrążył, wielkiemi idąc krokami, dokoła stół, stojący w pośrodku sali. Kroki jego śmiałe i pewne rozlegały się, mówić zdając równie wyraziście, jak jego słowa, iż niezmienne już powziął postanowienie. Zgadywano, iż chciał, Bogu się poleciwszy, stanąć do walki. Zwrócił się do Mieczysława, dłoń mu podając.

— Bracie — rzekł — wystąpim przeciw nim jutro. Każdy dzień zwłoki nas wycieńcza. Zamek nie dostarczy żywności dla tylu ludzi — w piersiach męstwa przybrać nie może, gdy mu wystygać damy. Idźmy!

Słowo to wyrzekł głosem podniesionym, z tak silnym i głębokim wyrazem przekonania, tak nakazująco i stanowczo, z męstwem tak wielkiem a ufnem siebie, że wszyscy niem porwani, odezwali się jednogłośnie z zapałem:

— Idźmy!

Było to stanowcze słowo, nie wahał się już nikt, nie rozprawiał, nie przeczył. Pierwszy Sulisław ruszył się z miejsca do swoich wydać na jutro rozkazy.

Książę Henryk klasnął w dłonie i przywołał Rościsława, komornika swego, który go prawie nigdy nie odstępował. On i Jan Janicz, drugi przyboczny sługa księcia, oba w sile wieku mężowie dorodni, straż przyboczna — natychmiast się w progu ukazali.

— Na jutro się gotować wszystkim! Wydajcie rozkazy! — rzekł książę. — O świcie u Panny Maryi nabożeństwo i spowiedź; — potem—ciągniemy!

Przeżegnał się i ręką w powietrzu zakreślił, jakby mieczem zamachnął.

— Dać hasło na jutro! Noc została do spoczynku i przygotowania.

Posłuszny wyszedł natychmiast książę Mieczysław do swoich ludzi w podwórce, śpiesząc z podobnemi rozka-

zy. Szepiółka zawahawszy się, w ślad za nim pociągnął.

Rościsław, spełniwszy zlecenie księcia, powrócił śpiesznie ku niemu, gdyż książę Henryk znowu wydawał rozkazy.

— Patrz, Rostek, — odezwał się do niego z przymuszoną wesołością — co jutro przyniesie, jeden Bóg wie, w którego rękach losy nasze; dziś powinniśmy być dobrej myśli. Nie potrzeba jadła i napoju oszczędzać. Daj rozkaz piwnicznym i tym, co warzą, aby nam wieczerzę ostatnią zgotowali jak należy dla tych, co jutro... już może jeść nie będą. Nie żałować nic, ani dla rycerstwa, co tu ze mną siędzie, ani dla tych, co indziej wieczerzać będą.

Rękę położył na ramieniu Rościsławowi.

— Każ, by mi było po książęcemu, po królewsku bośmy tego wszyscy godni. Ostatnie sobie sprawmy gody, niech nam nic nie żałują! A sług przymnóżcie, abym sam nie był i w dobrem otoczeniu zjadł pożegnalną wieczerzę.

Rościsław skłonił się, uśmiechnął do pana, rękę jego ucałował i wybiegł śpiesznie.

Zamek i okolica wieczora tego wyglądały, jakby walka za chwilę rozpocząć się miała. — W ruchu niezmiernym było wszystko, ludzie wśród wrzawy i ścisku ledwie się porozumieć mogli. Jeden ostrzył pośpiesznie miecz na lada toczydle, drugi liczył strzały i próbował ich ostrza, inny obuch nasadzał krzepko, inni konie opatrywali. Wszędzie widać było czynność pośpieszną, gorączkową.

— Jutro! jutro! — powtarzano, spotykając się.

Kościół stał ciągle otworem. W tym wieku wielkiej swawoli i pobożności niemniejszej, cisnęli się wszyscy do ołtarzów, bo każdy miał kamień na sumieniu. Szukano księży, aby od nich uzyskać błogosławieństwo, duszę oczyścić, wreszcie dostać coś, może relikwię jaką, błogosławiony krzyżyk, medalik, talizman, któryby ochronił od śmierci, albo od cięższego nad nią kalectwa i niewoli.

Po domkach rozsypani żołnierze od bab brali węzły i zięla, które również obraniać miały.

Wierzono również w cuda jak w gusła i czary.

Byli nareszcie i tacy, co niewiele dbając o życie, używali tymczasem dostatku napoju i mięsiwa, którego im dawano obficie, — tak, jak skazanym w przededniu stracenia.

W orszaku pana Sulisława Jaksy, złożonym z przedniego, krakowskiego rycerstwa i ziemian innych okręgów, panował ruch nie mniejszy. Oddział ten cały miał swe osobne obozowisko, ku któremu ciągle z innych taborów napływali goście. Tu też najhuczniej było, najochotniej, najweselej.

Pawlik ze swymi, klechą Zulą, Wojuszem i czeladzią wojenną, wprosił się był do mieszczanina, który mu izby świetlnej, dość przestronnej ustąpił, ale ta nie starczyła nawiedzającym, bo syn Jazdona częstował z taką szaloną, rozpasaną szczodrobliwością, tak wesoło, iż się tu wszyscy cisnęli. Wabił ku sobie ludzi, dodawał serca, budził ochotę wielką, tak, że wszyscy lgnęli do niego.

Pierwszy raz w życiu panem będąc, mogąc trochę po swej woli wygadać się, wyśmiać, z ludźmi swobodnie drżanić — używał tego chłopak tak, że Wojusz ciągle go musiał hamować. On go ani już chciał słuchać.

Popierali młokosa nowi przyjaciele — nie było rady.

Do pustego śmiechu wszystko dawało mu powód: ludzie, miejsce, słowa i ruchy. Niemiłosiernie szydził, z tych zwłaszcza, którzy o jutrze mówili z obawą, lub powątpiewaniem. On najpewniejszym był, że Tatarów pobiją i pola zaścielą trupami. Ta buta gniewała Wojusza, a gniew jego ją pomnażał. Zula, z agendą chodząc, modlił się, zżymał na swawolnika, a że mu przeszkadzano do modlitwy, często się aż na podwórze wysuwał. Tu mu też nie lepiej było; wrzawa młokosa i niepokój o niego ciągnęły go napowrót. Po chwili zjawiał się we drzwiach i nie mogąc w ścisku wytrzymać, uciekał znowu.

Wojusz siedział na ławie, o stół się podparłszy, a głowę położywszy na ręku. Coraz to na młokosa zerknął, i ramiona mu się trzęsły. A Pawlik dokazywał.

Zmierzchało już. Sulisław, który na wieczerzę do księcia Henryka miał prawo wziąć z sobą kilku przedniejszych, przez pamięć na ojca, przysłał po Jazdonowego syna, aby mu towarzyszył. Wojusz go samego puścić nie chciał, lecz młokos szybko na się wdziawszy suknię co najlepszą, miecz co najpiękniejszy przypasawszy, wyrwał się nie pytając. Byłby mu uszedł, gdyby stary silną dłonią nie ujął go za poły i nie przymusił iść z sobą.

Choć Wojusz tam miejsca mieć nie mógł, gotów był bodaj z tyłu stanąć za chłopcem, aby go w danym razie od szaleństwa jakiego powstrzymać.

Wielka izba na dole w zamku wypełniała się gośćmi, jakby na uroczystość jaką zbierającymi się. Na twarzach ich widać było pogodę, jaką daje męskim duszom nieunikniona konieczność. Chmurzą się i marszczą czoła, póki na dwoje głosować, na obie strony chylić się można, dopóki trwa niepewność losu; — gdy raz wyrzeczono słowo, naówczas umysł męski z niem się godzi, śmiało patrząc w oczy temu, co nieuchronne.

Tak teraz było z ludźmi wahającymi się przed godzinami niewielu. Książę Henryk, który posiłków króla Wacława czekać nie chciał, pogodny był i spokojny — i drudzy z niego, jak z wodza, czerpali nadzieję zwycięstwa, odwagę do walki nierównej.

Szepiółka patrzał nań, jak w tęczę, potakiwał mu, jakby sam siebie chciał przekonać. Mieczysław poprawiał długich włosów, usta zacinał, głową potwierdzał, co mówiono. Sulisław, pomny mężnej śmierci swego brata, poległego w walce z Tatarami, nie chciał onieśmielać innych. I jemu dodawała otuchy mężna rezygnacya księcia Henryka. Inni zapomnieli może o jutrze dla tego wieczora, który się wesoło zwiastował.

Izba trochę nizka, ale przestronna, oświecona pochodniami, które czeladź, u ścian stojąca, trzymała, przedstawiała obraz ruchomych świateł i cieni, pełne wyrazistych sprzeczności. Jedne postacie oblewał mrok

gęsty, gdy drugie świeciły w pełnym blasku, iskrząc się swemi kruszcowemi ozdoby, płonąc barwami jaskrawemi, połyskując złotemi bramowaniami.

Gdzieniegdzie wychylała się z mrocznych cieniów głowa, napiętnowana rycerskim wyrazem męstwa, zbladła twarz zawiędłego starca, jakby z szarego kuta kamienia, lub kwitnące lice młodzieniaszka, jeszcze coś w sobie niewieściego mające.

Światło pochodni drgające poruszało i suwało cienie, które po ścianach i ludziach przechodziły, osłaniały ich, spadały, nikły i powracały. Czasem świeżo otarta, gorętszem światłem zapłonęła pochodnia, i jedną część obrazu oblała barwą pomarańczową — inne przygasając i dymiąc, oblekały postacie miękkiemi półcieniami. Mienili się w tych światłach zmiennych ludzie i twarze do niepoznania; nikli jedni i występowali drudzy.

Duchownych kilku zblizka otaczało księcia. Jeden z nich, gdy Henryk miejsce miał zajmować, stanąwszy począł modlitwę i błogosławieństwo stołu. Nigdy jej może rycerstwo nie słuchało tak cicho, nie powtarzało tak pobożnie. Każdemu przychodziła myśl: wróci on się jeszcze do spokojnego stołu, do rodziny — pod strzechę? Ten pokój domowy zdawał się teraz stokroć droższym, nieopłaconym skarbem. Śmierć niczem była, ale zwycię, stwo takiego wroga, ale niewola w pętach tej dziczy- o której srogości i barbarzyństwie opowiadano tyle — ścinało krew w żyłach.

Stół był, jak książę przykazał, zastawiony obficie, pańsko. Całe pieczenie olbrzymie domowych i dzikich zwierząt stały na deskach, wyziewami mięsiwa napełniając izby. Ogromne misy cynowe i srebrne mieściły potrawy z mąki, sera, kasze z przywarami różnemi. Dzbany i kubki nie dawały dojrzeć gości, tak gęsto między nimi stały a do góry się podnosiły.

Książę, który pragnął umysły rozweselić i wlać w serca otuchę, kazał i grajków zawołać, którzy u drzwi poczęli na gęślach i skrzypicach ochocze zawodzić pieśni. Nie była to zbyt głośna muzyka, głuszyła ją biesiada, rozmowy — lecz i taka trochę wesela budziła.

Nazajutrz zamiast niej, mieli wrzaski tatarskie posłyszeć. Brzmiała dziwnie, jakby wesołą jej być kazano, a smętną być musiała. I co zabrzękła raźnie, rozkwiliła się tęskno i płaczliwie.

Choć gospodarz pilno chciał uniknąć wszelkiej mowy o Tatarach i o tem, co się w nieszczęśliwym kraju działo — niepodobieństwem było spętać tak myśli i słowa, aby nie potrąciły czemś o tę stojącą za wrotami rzeczywistość, która już do nich pukała.

Gdy nadeszła noc, wszyscy widzieli z wałów na ogromnej przestrzeni porozpalane ognie tatarskie, nad niemi unoszące się, kołyszące krwawe dymy, poszarpane w kłęby ogniste. Wiedziano, a przynajmniej tak naówczas opowiadano sobie, że Mongołowie w szczególnej czci mieli ogień, że przezeń oczyszczali wszystko, posłom do nich wyprawianym, przez ognie przechodzić kazali, różne u ognisk odprawiając obrzędy i czary.

U stołu książęcego siedział podżyły już rycerz wielce bywały, co się do jego dworu przybłąkał, a niegdyś w Syryi wojował, i widział tam Saracenów, a bywał gościem u Templaryuszów, w ich Castrum Peregrinorum. Ten o wojnach z niewiernymi prawić umiał, ale to co o nich powiadał, nie godziło się wcale z obyczajami Tatarów i z obliczem ich nawet.

Rycerz ów, Bertrand imieniem, zachował pamięć o niewiernych, niemal dla nich przyjazną — tak, że nań z podziwem, gdy rozpowiadał swe przygody, patrzano. Lubił sławić ich szlachetność w boju, bogactwo i piękność ich zbroi i obyczaje rycerskie. Za złe mu to miano, ale z zajęciem słuchano.

I tego dnia rozpoczął on dłuższą powieść o oblężeniu Damietty. Nie znalazł jednak tak ochoczych słuchaczów, jak dni innych, przerywano mu, a książę Henryk, nie dając ucha obcemu, Sulisława, który nieopodal siedział, spytał, co słyszał od swoich o sposobie wojowania Tatarów.

— Miłościwy panie, — rzekł Jaksa — wiemy to od Rusinów i od naszych niedobitków, że u nich w liczbie cała siła. Pędzą też nawet przodem niewolników kupami, aby na nich pierwsze strzały nieprzyjacielskie padały.

Jeżeli w natarciu gwałtownem nie zwyciężą uchodzą, ale goni za niemi zdradna rzecz, bo na zasadzki wiodą i do koła opasują.

— Stara to sztuka!—odparł książę Henryk.

— Ale się ona zawsze powodzi — rzekł rycerz Bertrand. — Widząc uchodzącego wroga, zapomina się o niebezpieczeństwie, puszcza się na oślep.

— Najrzadsza to rzecz w zaciętym boju krew zimna — ozwał się książę — a najpotrzebniejsza. Mieć męstwo i nie szaleć — prawdziwa sztuka.

Mówili niektórzy o broni tatarskiej.

— Strzały puszczają gęsto — dodał Sulisław — chmurą one lecą, ale rzadko która utkwi w zbroi. Mają też obuszki i miecze o jednem ostrzu, krzywe i proste, a gorsze, niż niemieckie. Zamiast tarczy, skórzane napierśniki z przodu. Na głowie też żelaza mało. Ale bawolich skór ich w kilkoro zbitych, ani łuk, ni kusza nawet bełtem nie przebije.

— Mają słuszność — wtrącił Bertrand — ci, co ich porównywają do tajemniczej plagi Bożej, szarańczą zwanej, na której skrzydłach napisano, że zesłana jest za karę na ziemię. Tak oni też chmurą lecą, tak pola okrywają, tak wyglądają plugawo i jak one, co napadną, gryzą aż do ścierwa.

Gwar stawał się coraz większy. Pawlik, który w końcu stołu siedział między Niemcami, rozmówić się z nimi nie mogąc, płatał im psoty, minę strojąc na swój wiek, do zbytku poważną. Wojusz, nieopodal stojąc, pilnował.

Skarcić nie było jeszcze za co. Jeden z Niemców zagadnął doń swym językiem. Pawlik, który go nie rozumiał, raźno mu odpowiedział, ale bełkotem przez się stworzonym, a do żadnej mowy niepodobnym. Niemiec zdziwił się mocno temu językowi, obcemu sobie, zagadnął powtórnie i dostał odpowiedź jeszcze dziwaczniej brzmiącą.

W przekonaniu, iż to język przecie ludzki jakiś być musi, Niemcy między sobą sprzeczać się zaczęli o to jaki by był. Czuli, że nie polski, bo z tego dźwiękami i wyrazami byli oswojeni. Pawlik, trwając przy swem,

niekiedy im, twarz układając poważną, po kilka słów najosobliwiej wykręcanych dorzucał—tak, że wszyscy się ponachylali ku niemu.

Stanęło na tem między Niemcami, że mowa ta być musiała jakaś przyniesiona z południa, lecz do zrozumienia trudna. Tyle było Franków różnego rodzaju i Italów ze swemi dyalektami, iż się to prawdopodobnem zdało.

W pół wieczerzy rozmowa ogólna ożywiła się bardzo, a goście się na gromadki podzielili. Pawlik nie mając z kim mówić w blizkości, wyrwał się z ławy, na której siedział i poszedł krążyć dokoła stołu, przysłuchując się rozprawom, szukając nowej zręczności do spłatania psoty jakiej. Wojusz nie spuszczał go z oka i krok w krok chodził za nim. Tak się naprzód zbliżył ku Sulisławowi, potem do księcia.

Henrykowi wpadła w oko zuchwała twarz młodzieniaszka; skinął nań, aby podszedł.

Śmiało przystąpił doń Pawlik. Z twarzy poznał książę, iż Polakiem być musiał, i złą polszczyzną zapytał go, ktoby był.

— Jestem synem comesa Jazdona z Przemankowa — odparł chłopak raźno — przybyłem tu z panem Sulisławem; pragnę się dorobić rycerskiego pasa.

Niepokryta jeszcze puchem młodzieńczym świeża twarzyczka młodo bardzo wyglądającego chłopaka obudzić musiała w księciu uczucie jakiegoś politowania. Żal mu się zrobiło tego dziecka, które tak wcześnie na śmierć szło z takiem w obliczu weselem i rzekł, przyglądając mu się z uśmiechem·

— I ty się więc z nami na wojnę wybrałeś?

— Wyprosiłem się u ojca, bo gdy drudzy idą, nie godziło mi się doma pozostać — zawołał Pawlik, nie spuszczając oczów.

— A siłyż ty masz? — niedowierzająco odparł książę.

Uśmiechnął się syn Jazdona. Mieczyk miał u pasa, który mu się właśnie pod rękę nawinął. Nie wyjmując go z pochew, podniósł nieco, ujął w obie dłonie, pocisnął i złamał. To była jego odpowiedź na książęce pytanie.

Potem z pańską butą złamany nóż odczepił i choć bogato był okowany, rzucił go od siebie precz stojącej z pochodniami czeladzi pod nogi.

Książę Henryk roześmiał się wesoło, pokazując go siedzącym obok siebie. Ci głowami potrząsali, wpatrując się w niego ciekawie.

— Kiedyś tak silny a ochotny do próbowania się i zapasów — rzekł książę — stańże jutro z Rościsławem i Janem Janiczem przy mnie. Rad patrzeć będę na spotkanie się wasze w pierwszem polu... Niech Bóg szczęści!

Skłonił się Pawlik, radośnie zarumieniony — choć Wojusz, zdala stojący, syknął, lecz nie było już na to rady. Wiedział stary Sowa, że przy księciu stać, było to na największe narażać się niebezpieczeństwo, bo Henryk tam zawsze być musiał, kędy bój wrzał najsroższy.

Nic nie dorównało radości Pawlika, który zdawał w oczach urastać i nadymał się okrutnie. Buty mu przybyło jeszcze.

Wtem opodal u drugiego stołu, zanucił ktoś pieśń niemiecką i wszyscy, zwróciwszy się doń, przysłuchiwać zaczęli. Henryk tylko namarszczył się, bo to był śpiew miłosny, a dość płochy i chwila na nucenie źle dobrana. Dano jednak dokończyć ów Minnelied, a książę po ostatniej strofie odezwał się głośno, iż jeżeli śpiewać chciano, przystało tylko pobożną lub rycerską pieśń jaką zanucić.

Do tego jednak nie przyszło, a gwar powstawał coraz większy. Książę przepijał do sąsiadów, zachęcając ich.

— Dobrej myśli bądźmy — mówił, — jako prawi rycerze. Serca sobie zagrzewajmy, aby i w rękach silniej krew płynęła.

Zmagano się na wesołość, — ale myśli odbiegały ku domom. Wpośród żartów i śmiechu, ten i ów szepnął nowinę o zniszczonych klasztorach, o miastach, leżących w gruzach, o Sandomierzu i Krakowie, o liczbie jeńców, pędzonych w niewolę.

— Nasz książę — wtrącił Sulisław—dzięki Bogu

ocalony. Nie chcieliśmy tego, co nam najdroższe, ważyć na niepewne losy, musiał do Niemiec uchodzić, bośmy dlań sił dostatnich nie mieli.

— Lepiejby był zrobił — zabełkotał niewyraźnie Szepiółka, spozierając ostro na Sulisława — żeby był żonę do Węgier wyprawił, a sam przybył do nas. Pobożny pan — dodał — to prawda, a ona, dosyć rzec, że Jadwigi siostrzenica, ale do rycerskiej sprawy za mało pochopny.

Sulisław ujął się gorąco za pana swego.

— On radby był iść, wyrywał się nam — rzekł — ale myśmy go nie puścili. Żył jeszcze brat mój podówczas, gdyśmy go na Węgry zmusili. Zamkowi krakowskiemu nie było co dowierzać, a w polu stanąć samym nie mieliśmy z czem.

Nikt już nie odpowiadał na to. Książę Henryk poruszył się z miejsca swego.

— Czas! — odezwał się — północ bodaj blizko! Rozejdźmy się wypocząć trochę, by wstać rzeźwiejszymi o świcie.

Ręką skinął ku swym gościom.

— Dzisiejszej nocy mało kto snu zakosztuje — odparł Szepiółka, powstając.

Poczęli się ruszać inni, lecz powoli. Niemców dużo przy kubkach zostało. Pawlik też z wielkiej niecierpliwości wcale się kłaść nie chciał do snu. Z sali wyszedłszy, pośpieszył do Rościsława i Jana Janicza, oznajmiając im o rozkazaniu książęcem, a prosząc, by go do orszaku przyjęli. Biegł potem do chaty, a za nim Wojusz niespokojny.

Tu, choć dobrze na noc już było, po drodze uzbierawszy towarzyszów, Pawlik, nie słuchając starego, naganiającego do spoczynku, swawolę na nowo rozpoczął. Nie było sposobu dzbany mu poodbierać, ani gości rozpędzić. Rozległy się piosenki wcale nie pobożne, których słuchając, nieszczęśliwy klecha, zmuszony już w izbie na posłaniu zostać — uszy sobie zatykał.

Tak przeszła noc prawie cała.

W miarę, jak się ku ranu zbliżało, poważniały lica,

ruch w całym obozie zaczął się dawać czuć coraz żywszy. Niektóre oddziały wyciągały już za wały.

Tymczasem przedniejsze rycerstwo śpieszyło do kościoła Panny Maryi, do którego się już docisnąć było trudno. Światła płonęły w wielkim ołtarzu, a ksiądz jeden nieustannie obchodził klęczących z komunią świętą. Drudzy duchowni tu i owdzie poprzysiadawszy na stopniach, w ławach, stojąc nawet, spowiadali przychodzących żołnierzy, prawie wyznań ich nie słuchając, rozgrzeszając co żywiej, bo drudzy tuż z płaczem i błaganiem naciskali się i wpraszali.

Tłum wlewał się i wylewał nieustannie z kościoła, msze jedne wychodziły po drugich, gdy zaczynało świtać. Kwietniowe noce krótkie już były.

Rycerstwo księcia Henryka szykowało się do boju, wedle jego rozkazów, on trwał na modlitwie jeszcze.

Języka miano pewnego, że Tatarowie na pięć kup byli podzieleni, więc i książę Henryk na tyleż chciał swoich ludzi rozłożyć.

Szykowali się żołnierze zwolna, bo wielu z nich jeszcze przy kościele na wiatyk oczekiwało, a tego nikomu odmawiać się nie godziło.

Z wieży kościoła Panny Maryi postawiona na niej straż dawała znać, co widziała. Tatarzy już się z legowiska ruszali. Można było stąd nawet rozeznać ich niby pięcioro kup oddzielnych, a ponad niemi powiewające płachty jakieś, niby chorągwie. Zdala wiatr czasem przynosił jakby głuche wrzaski.

Dzień się zdawał wybierać na pogodę, lecz rannych chmur jeszcze słońce nie mogło rozpędzić. Starszyzna na koniach tu i owdzie się zwijając, napędzała i stawiła do szyków.

Ks. Henryka na placu nie było jeszcze tylko u wrót kościelnych czekał nań przyboczny oddział jego z Rościsławem i Janiczem, a Pawlik z nimi. Niemców siła już stało na koniach, pookuwanych w żelazo, poodziewanych w koszule druciane, w hełmach ciężkich, na których rogi, trąby, skrzydła i ptaki różne sterczały. Każdy z tych mężów, zbrojnych tak pięknie, zdawał się niezwyciężonym.

Cóż mogły przeciw nim strzały? co mogły choćby i tatarskie miecze? Konie nawet zbrojami od nich obwarowane były.

Na polu coraz cię ludu roiło więcej, a ks. Henryka nie było jeszcze.

Modlił się długo u stopni ołtarza, nie trwożąc, ale czerpiąc ducha coraz mężniejszego. Duch matki zdał się wstępować w niego i wlewać mu męstwo wielkie.

Od ołtarza ksiądz, staruszek siwy, skończywszy obdzielanie hostyą, błogosławił kielichem podniesionym do góry — chyliły się głowy, robiła cisza, książę Henryk w piersi się uderzył, wstał.

Za nim wszyscy ruszyli się z kościoła — godzina była już późna, słońce wstawało.

Cisnęli się za nim ci, co jeszcze się modlili, gdy w samym już progu stojący książę usłyszał trzask nad głową swą i kamień z górnego muru nagle spadając, legł u nóg jego, tak, że kęs szyszaka, który książę wkładał, potrącił. Książę Henryk cofnął się na krok, zbladł trochę.

Pawlik, który tu też stał i patrzał na to, półgłosem odezwał się wesoło:

— Dobra wróżba! Kamień padł a nie obraził pana naszego. Czartowska moc go cisnęła, a o Bożą opiekę się rozbiła! I ta, co nas tam czeka w polu, bezsilną będzie!

Książę, usłyszawszy to, smutnie się uśmiechnął i wdzięcznie spojrzał na śmiałka.

Kamień zgruchotany upadkiem, wielki, jak spory bochen chleba czarnego, leżał u nóg jego — potrącił go ze wzgardą, zszedł z proga i konia kazał podawać.

Kto żyw, pośpieszył za nim.

Na tak zwanem Dobrem Polu, nad Nissą, szykowały się zastępy.

Pierwszy, który się już był naprzód wydał i był gotowym, gdy książę go oglądać przyjechał, składała różna drużyna, zbierany lud, rycerstwo, ze stron wielu nadbiegłe, Niemców na przodzie dosyć, którzy tu rej wodzili; Bertrand stary, co był pod Damiettą i tak o jej oblężeniu rozprawiać lubił, stał tu także.

Nierówno zbrojny tu był żołnierz i nie jednaki,

---

[1]) Historyczne.

a że niewiele się go zebrało, przybyli też górnicy ze Złotogóry, lud silny, krzepki, zahartowany, ale zbrojny więcej we młoty i obuchy, niż w oręże, łuki mający ladajakie. Niektórzy z nich nieśli tylko tarcze proste, skórą jako tako obleczone.

Co nie stało prawego żołnierza, dopełniano górnikami, wiele okazującymi serca. Na wodza się tu wybrał Szepiółka, którego, że trudno było czasem zrozumieć, Morawianin Stempek, półkowódca jego, rozkazy zań wydawał.

Górnicy, z których sobie lepiej uzbrojone rycerstwo niemieckie żarty stroić chciało, wzięli to tak do serca, iż wołać i domagać się zaczęli, aby pierwsi do walki wystąpili.

Książę Bolesław wcale sobie tego nie życzył pono, lecz górnicy nalegali coraz mocniej i gdy książę Henryk się zbliżył, krzyczeć poczęli z szeregów.

— Pójdziemy przodem!

Obuszki podnosząc w górę, powtarzali zgodnie:

— My przodem! my pierwsi!

Niemcy też im w męstwie ustąpić nie chcieli, lecz spierać się nie śmieli.

Książę Henryk zgodził się na ich żądanie.

— Bóg jeden wie, w czem siła — rzekł — prawda, że pierwsze starcie często o losie bitwy stanowi, lecz gdy ochotę mają wielką i serce...

Szepiółka zgodzić się na to musiał.

Tak za przekąsy krwawo się pomściwszy, górnicy wyciągnęli przodem na Dobre Pole, raźno zanuciwszy pieśń do N. Panny.

Rozległa się nią wnet okolica, bo inne wszystkie oddziały za nimi śpiewać zaczęły.

Z wieży Panny Maryi coraz lepiej sunących już ku polu Tatarów widać było. Z góry patrzący mierzyli oczyma, jaką przestrzeń swoje i ich oddziały zajmowały.

Niestety! Każda z tych kup pięciu tatarskich dziesięćkroć liczbą przechodziła gromadki wojska, skupiającego się na równinie nad Nissą.

Drugi szyk, którym dowodził Sulisław, cały był

z Krakowian i Wielkopolan złożony, dobrze zbrojny, w jasnych pancerzach, chorągiew nad nim czerwona, co się juz nieraz we krwi skąpała. Tu było miejsce Pawlika, lecz chłopię rade, że się wyrwało, jechało przy księciu. Wojusz wślad tuż za nim. Krakowian i Poznańczyków nie było więcej, niż pierwszych, a choć się rozstawili szerzej, nie celowali liczbą; pokaźnością i postawą znaczyli.

Sulisław obyczajem rycerskim wybrał się do boju, jak na gody, bo naówczas brał każdy co miał najlepszego, gdy się miał z nieprzyjacielem potykać i dzień starcia uroczystością był wielką. Więc i on wdział pancerz lśniący, a na hełmie rozpierał się mu gryf złoty, godło wszystkich jego rodu. — Na tarczy też gryfa miał z paszczą otwartą i językiem wywalonym, malowanego i złoconego.

Opolanie składali nie dostatniejszy też liczbą oddział trzeci. Lud rzeźki, postawny, zbrojny dobrze, bo tu niemiecki oręż wprowadzony był dawno i obyczaj też niemiecki panował. Mieczysław Opolski prowadził swoich a przy nim sporo różnych przybłędów, Szwabów, Sasów, Franków, Turyngów, bo się w nich kochał, jak wszyscy Śląscy Piastowicze, co z Niemiec matki mieli.

Gdy książę Henryk nadjechał i zbliżył się, pozdrowili się i objęli po bratersku, ale słowa rzec nie mógł żaden. Godzina to była, w której usta niemiały, godzina wielka, w której mówiły oczy.

Słońce powoli, ciężko z poza chmur się dobywało. Wiatr od Tatarów przynosił smród końskiego potu i spalenizny.

W czwartym oddziale stało kilku braci i trocha knechtów, których niechętnie przysłali Krzyżacy, ale na tych wiele rachować nie było można, tyle tylko, że z sobą na obłudę chorągiew zakonu przynieśli, jak gdyby ich tam więcej było... W rzeczy garść przyszła licha, a resztę niewielkiej kupki, różny lud, niezbyt rycersko wyglądający, zapełniał. Tych książę Henryk pominął, ledwie pozdrowiwszy. Niewiele z nich spodziewał się korzyści.

W ostatnim oddziale widać było przedni wybór

rycerstwa księcia samego, na którym waga była największa. Tu się kwiat i śmietanka zebrała. Więc naprzód Niemcy zaciągowi i dworscy, Franki, Szwaby, Sasi od Brandeburczyków, wszystko ludzie, co już nie w jednej ziemi i nie z jednym wojowali napastnikiem. Dużo też było od Wrocławia i z całego Ślązka osiadłych ziemian, co na wszystkie wojny chadzali, a wówczas na nich nie zbywało. Dobry lud, wojacy ogromni, zbroje doskonałe, szyk zręczny. Każdy z nich gotów na dziesięciu, z kopią, mieczem, z obuszkiem, z łukiem, niektórzy z cepami żelaznemi. Wielu też kusze miało silne, których bełty człeka na wylot przebijały. Ci, jak mur twardzi byli, ale jak kamień też ciężcy w ruchu.

Już się tak wszystko ustawiło, chorągwie podniesiono mężnie, i brzmiała znowu pieśń pobożna.

Każdy miejsce swe zajął i trzymał je...

Tatarska moc owa z przeciwka już się ukazywała. Szary tłum, niepokaźny był a ruchliwy. Plugastwa tego sunęły oddziały tak wielkie, że każdy z nich połknąłby był wszystkie razem Henrykowe, gdyby się one nie rozstawiły szeroko.

Ziemia poczęła tętnić i drgać pod stopami koni i ludzi. Szmer zrazu dolatywał dziwny, jakby wody płynęły wiosenne, potem gęste stad końskich stąpanie. I zdało się, patrzącym, jakby tam były same niemal konie a ludzi mało gdzie wytykała się głowa, mało gdzie sterczał łuk górą lub włócznia. Z szumu tego coraz wyraźniej wyrywały się hałasy, pisk jakiś, wycie, nawoływanie.

— Surun! Surun!

Z tysiąca piersi brzmiało coraz dobitniej:

— Surun!

W szykach księcia Henryka spokojnie kończono pieśń pobożną.

Stały murem, konie tylko niektóre niby spłoszone, wylękłe, pod jeźdźcami drżały, przysiadały i ledwie je w miejscu utrzymać było można. Chrapanie ich głuszyło śpiew ludzi. Pieśń w końcu wyciem Tatarów przemożona, ucichła. Usta przestały dźwięk wydawać, dech zaparto, oczy wszystkich zwrócone były na ten tłum

który rósł w nich, posuwał się, olbrzymiał — rozpościerał się coraz szerzej.

Dostrzedz już było można ludzi przodem jadących luźno i u każdego z jeźdźców konia na sznurze bez człeka, tak, że gromada nimi zwiększona, straszniejszą się jeszcze wydawała.

Trochę otuchy dodało to Ślązakom, nieprzyjaciela więcej się widziało, niż było. Liczba jednak i tak straszną była... z wieży, jak zajrzeć, końca temu wylewowi nie widziano... Sunęli się, sunęli, rośli, nieprzeliczeni. Zdawali się wyrastać z pod ziemi, mnożyć jakimś czarem.

W prawo i w lewo zabiegali kołem, zataczając się szeroko obejmowali, jak gad, który ofiarę swą obwija pierścieniami, nim ją zdusi i pożre. Rzeka tylko od nich zdawała się osłaniać z jednej strony lecz dla tych stworzeń dzikich woda nie była przeszkodą żadną.

Rzucili się w nią gęstą kupą, gromadą, tak, że zdawali tamować rzekę, która się pokryła cała mnóstwem łbów końskich i ludzkich.

Książę Henryk z za wzgórza stał za swymi patrzał. Poza sobą tylko już miał plac wolny, przed nim Tatarzy zajmowali go ze stron wszystkich.

Wtem od dziczy, razem z krzykiem: — Surun! zaszeleściało, niebo się zaćmiło chmurą gęstą strzał tatarskich, które nagle bić poczęły i dźwięczyć na żelaznych zbrojach.

VI.

W oknie na wieży kościoła Panny Maryi stał siwy jak gołąb, ksiądz z rękami załamanemi, w których krzyż trzymał ściśnięty. Nie czuł tego, iż ręce znak zbawienia skruszyły w konwulsyjnym uścisku. Usta jego usiłowały szeptać modlitwę, lecz co chwila kostniały od trwogi. Widok był straszny, potop ludzi jakichś

ledwie do stworzenia Bożego podobnych, wściekły, rozhukany, szalony, upojony... jak fala morska poruszał się i płynął, rozbijając, co spotkał przed sobą.

Nigdy wiatr jesienny, co jęczy po gorach i czeluściach skał, nie wyje nocami takim głosem bezlitośnym zniszczenia i śmierci. Staruszek zatykał uszy, krzyż schowawszy za pierś i słyszał wrzask pomimo to ...zamykał oczy i widział tę czerń, jak dokoła opasywała, ściskała rycerzy Bożych. Zaćmiła mu niebiosa chmura pocisków, zakryła tych co stali przeciw nim. Opadła wnet, ksiądz odetchnął—rycerze stali jak mur nietknięci! Wtem drugi jak obłok świszczący zakrył mu ich znowu.

Na czele posuwali się ze zbieraną drużyną śmieli górnicy. Rzucili się na dzicz siłą wielką i i jak klin wbili w tę potworę. Widać było Tatarów, którzy gnali przeciw, jak się od pierwszego uderzenia zgięli, ulegli, zachwiali. Zwracać się zaczęły małe ich konie i padać... Niektóre pozrywały się z szurów, lecąc samopas na swoich i mnożąc zamieszanie. Ksiądz staruszek dziękczynne podniósł dłonie do góry.

Dzicz płynąca potęgą wielką, z równą gwałtownością odparta, cofać się i dusić zaczęła. Górą płynęła chorągiew górników Złotej-Góry, pędzili, nie dając się powstrzymać.

— Naprzód! Naprzód!

Ksiądz począł modlitwę na chwałę Bogu zwycięstw, gdy otworzywszy znowu oczy, chcąc dojrzeć swoich, zobaczył już tylko wrzątek jakiś kipiący, tłum, w którym nikogo nie mógł rozeznać.

W pośrodku ciżby nie widać już było tych, co w nią wpadli jak w otchłań. Chwilami coś się poruszało w tym motłochu samym, coś błysło, niby ci zwycięzcy. Pożarła ich w końcu ta nawała. Nie zostało nic, tylko znowu tłum ten sam szary, warczący, pełznący i wyjący dziko:

— Surun!

Książę Henryk stał, patrzał i modlił się... żelazny, nieporuszony. Widać go było z orszakiem.

Pułki, co stały na przedzie za górnikami, którzy znikli, znowu zasypał ten grad strzał.

Nie było wątpliwości, że Bolesław i cały oddział jego, co tak mężnie padł na nieprzyjaciela, już przezeń został pożarty. Z wieży widać było wśród czarnego mrowia, jakby plamę krwawą, w której się świeciły gdzieniegdzie odbite promienie słońca—i trupem usłaną polankę. Dzicz okrążała ją, naciskała się i rozpierzchła znowu.

Sulisław z Krakowiany i Opolanie ruszyli naprzód śmiało. Nie stracili oni męstwa, straciwszy przodowników Zamęt wielki widać było na polu i okrzyki doleciały na wieżę. Dwa polskie oddziały stały naprzeciwko trzem tatarskim i walczyły zajadle — nie mogły się posuwać naprzód, ale nie ustępowały ni kroku.

Ja dwaj zapaśnicy, co się za barki pochwycą, tak sparły się owe dwa pułki i dzicz, w gęste zbita ciało. Padali Tatarzy z koni i z końmi, lecz na ich miejsce cisnęli się nowi, nie przebierało się ich, zdawali mnożyć z trupów poległych. Sulisław dotrzymywał im kroku. Opolanie mu posiłkowali, dwa oddziały w jeden się zlały. Jak opoka stali w miejscu, aż z oddziału ks. Henryka ozwały się okrzyki radosne. Chcieli na obronę swoich lecieć pozostali w odwodzie, książę wstrzymywał. Nie czas było!

Ostatnią siłą nie mógł szafować. Z wieży widać było, jak dzicz się znowu zachwiała, jak zawirowała w miejscu, sparła hardo się, zlała w jedną bryłę, ani chcąc ustępować — ani mogąc zwyciężyć. Wtem drgnęło coś w tych kupach, zachwiały się. Krzyknęli Polacy, Tatarzy zostali złamani. Sulisław powoli postępował za nimi, Opolanie równym z nim szli krokiem.

Pułki, z tyłu stojące poruszyły się. Książę Henryk dał znak. Jechali zrazu wolno — lecz kipiało w nich, a jakąż siłą wstrzymać można żołnierza? Wódz i ciury stracili głowę — nieprzyjaciel uchodził, wymykała się z rąk zemsta. Naprzód! naprzód!

Ksiądz zakrył oczy. Znikły mu pułki wszystkie wśród ruchomej powodzi ludzi. Kto zwycięzcą? kto pobity? — zgadnąć nie można! Pasami gdzieniegdzie świecą żelazne zbroje, staremi płachty ruszają się tatarskie zgraje. Wężem zwijają się pułki wśród otaczającej je dziczy, która ucieka i okrąża, uchodzi i zasypuje strzałami.

Z wieży nie widać nic. Ksiądz pokląkł czoło położył na krawędzi zimnego kamienia i patrzeć już nie smie.

Jak zasłona którą wiatr miota, cała ta gąszcz to sumienie naprzód, to ugina, to przechyla, jak strzępki przyrąbku zasłony, po brzegach widać rozpierzchłe mrowie. Wrzawa ludzkich głosów, końskiego rżenia, jęków konających, okrzyków zwycięskich — wszystko się zmieszało w jedno wycie i huk potężny, niby szum wałów morskich, co biją o brzegi.

Książę Henryk pędził z oczyma pałającemi. Tatarzy mu uchodzili, pierzchali, lecz stało się, że w tej ucieczce razem zjawili się mu ze stron wszystkich, strzały ich sypały się ciągle. Wśród własnych ludzi wytykały się ich głowy, które gnietli i ścierali, a pełzły i wyrastały nieprzebrane.

Książę Henryk znalazł się już obok Opolan. Sulisław był gdzieś na przodzie. Polacy kupkami rozbici lecieli, walcząc i mordując.

Nikt już nie wiedział, gdzie jest i w którą sunie stronę—ciemność i zamęt były wszędzie.

Opolski prąc konia naprzód, coraz nowe i coraz twardsze spotykał zapory.

Uchodzący drogę mu zapierali sobą.

Wśród wrzasku usłyszał nagle głos z góry:

—Biegnijcie! biegnijcie!

Kto mówił te słowa? Zdały się z tatarskiego wychodzić tłumu, echem jakiemś słychać je było powtarzane ze wszystkich stron:

— Biegnijcie! Zbiegajcie!

Książę Mieczysław zbladł, obejrzał się wkoło. Lignickie mury widać było za nim jeszcze.

Sam koń, czy on się zawrócił?

Ci, co go otaczali, chwieją się, kręcą — uchodzić zaczynają, popłoch się mnoży — pojedyńczy zbiegają pochyliwszy się na kark koniom.

Henryk odrętwiał — nie umiał słowa znaleźć na okrzyk boleści i począł wołać·

— Gore! gore!

Spostrzegł Opolan, którzy zwrócili się do ucieczki, pędzi, aby zabiedz im drogę; Tatarzy mu ją zastępują.

Opolanie uchodzą! Dzicz naciska za nimi! Jak fala odepchnięta od brzegu, idą, wracają nazad, są wszędzie.

Wśród tej czerni zbitej, pułk Sulisława z chorągwią swą czerwoną jeszcze kupą się przerzyna, brodzi w niej, trzyma się spólny. Padają przed nim wałami trupy, ale na nich żywy ów zwierz pustyni podnosi się, mrowi, naciska.

Dziw nad dziwy! Ponad głowami czarnego tłumu coś nagle zaszeleściało, wiatr powoli rozwiewa chorągiew jakąś ubarwioną krwawo. Lśni się ona jak posoka, gdy zastyga, purpurą, żółcią i zielenią, które się na przemiany mieniają; a pod nią tkwi głowa ludzka olbrzymia, rozczochrana, straszna, z otwartemi usty, z językiem wywisłym, z oczyma trupio zeszklonemi, blada i niby żywa. Z nozdrzów jej bucha kłębami para smrodliwa jakby wyziew zgniłych trupów; oczy jej łzawią i dymią, włos zdaje się szeroko rozpływając, obracać w dymy, które się nad pobojowiskiem wloką — kto spojrzy na tę głowę poczwarną, mdleje na siłach; komu do piersi dym od niej zaleci, ten słabnie i pada. Trwoga bezimienna, bezprzyczynna ogarnia serca, biją niespokojne, zmuszają do szalonej ucieczki.

Chorągiew szatańska zda się rosnąć w powietrzu, głowa olbrzymieć, rzekłbyś, płaszczem krwi okryła pobojowisko. Dym, czy ona ciąży nad wojskiem i gniecie je? Pod fałdami tego złowrogiego proporca zastęp pana Sulisława chwieje się, walczy. Jeszcze gna i naciera, lecz słabiej coraz. Piersi rycerzy nie mają czem tchnąć, oczy ich nic nie widzą, w uszach tętni tatarski — Surun! i śmiech jakiś, jak świst szyderski szatana. Szyk polski, który się rozpościerał szeroko i odbijał od siebie napływające fale, zmniejsza się, zwęża, skupia, maleje, rozbija, niknie. Jeszcze chorągiew jego czerwona, podnosi się w powietrzu, ale ponad nią tkwi, jakby ją pożreć miała, owa głowa olbrzymia dymiąca trującym

smrodem, z której śmiech się trupi rozlega. I nic nie widać, tylko pluskające czarne fale Tatarów.

Książę Henryk ze swymi mężnie się trzyma, został im na pastwę ostatnią. Dano mu było dla zwiększenia męczarni patrzeć, jak ginęli drudzy, jak nadzieja oparcia się nikła, jak śmierć męczeńska przystępowała wolnym krokiem.

Musiał cierpieć za nich i za siebie, ale nie zwilżyło mu się oko. Spojrzał na swą wierną gromadkę, podniósł do góry miecz i z nią padł na niewiernych i tłumy.

— Miłościwy książę! — zawołał Rościsław—życie wasze więcej warte, niż wszystkiego żołnierza, bo wy ludom wodzem jesteście! Ocalić was musimy, przebić się trzeba przez nich—do lasu... tam bezpieczni będziemy!

Książę nie słuchał — rąbał i siekł zajadle. Tatarzy poznali w nim wodza i opasali go kołem, które się jak pierścień ściska. Co naskoczy śmielszy, to zginie.

Rościsław i Janicz, garść Ślązaków i Niemców co najsilniejszych dostają kroku przy księciu, zasłaniają go piersiami. Pawlik, dzieciak, zwija się jak szalony, z nieopatrznością tego, co nigdy w boju nie bywał. Wojusz zabiega i zasłania.

— Naprzód!—krzyczy Rościsław.

I naprzód prą się rycerze — ale napróżno. Konie się potykają i padają na trupach, na konających, co im rzeżą wnętrzności, ludzie zsuwają się na ziemię i już z nie nie wstają. Rycerze jeżą się strzałami, które w nich utkwiły.

Na Klemensa z Pełcznicy bies jakiś zarzucił sznur, zdusił go za szyję i z konia obalił.

Rościsław nie przestaje naglić:

— Naprzód!

Ale ścianą jedną stoją naprzeciw w jedno ciało zbici konie i jeźdźcy tatarscy. Łyskają im oczy z pod czoła, bieleją zęby w ustach rozwartych, śmieją się policzki kościste.

Wśród tego zastępu nawet trupy stoją jak żywi, zabite konie, jak kamienie w murze się trzymają. Ani go złamać, ani obalić.

— Naprzód! — woła Rościsław i Janicz. Tną po

łbach końskich i ludzkich... krew tryska... ale ściana stoi... wyłomu przebić nie można.

Pawlik, który stał z tyłu, przebija się z koniem przed księcia, ogromny miecz trzymając w ręku. Spuszcza go na obnażony miecz Tatara. Uderzył raz i drugi, koń wyrwał się naprzód sam, uchodząc między Ślązaków. Pawlik się rzuca w tę szczerbę, Janicz za nim, Henryk z nimi.

— Naprzód!

Cisną się i sieką.

Cudem jakimś rozstąpiło się tatarstwo, a raczej przypadło na ziemię — konie spłoszone wyrwały się, próżnią wśród tłumu ciśnie się Śląski książę, a mieczem rąbie, co dosięże.

Wśród dymu las, zbawczy las zamajaczał już przed nimi. Suche jego gałęzie zarysowują się w dali.

— Naprzód! — nie przestaje wołać ochrypły Rościsław.

Pawlikowi krew leje się z rąk i z piersi. Wojusz ma twarz przeszytą, hełm mu strącono. Strzała w policzku utkwiła, którą napróżno wyrwać się sili.

Od zbroi księcia Henryka odbijają się pociski, ale koń pod nim broczący pada wycieńczony ranami.

Zastęp, otaczający księcia, maleje. Wojusz stary zachwiał się, zsunął na ziemię, zniknął. Pawlik utonął w gąszczy.

Wtem Sulisław znalazł się u boku wodza, z nim Klemens, wojewoda głogowski, Konrad, Janicz, Rościsław!

Garstka ich już tylko — lecz dotąd jeszcze zwycięska. Las widać. Tatarzy pierzchnęli w bok nieco, ostatkiem sił książę bieży naprzód. Wtem zadudniało, tłum wraca, oblega ich z wrzaskiem, zaparł drogę od lasu, otoczył.

Bój poczyna się o życie lub śmierć.

Janicz z Pawlikiem, który już pogrzebiony pod trupami, zmartwychwstał znowu, konia chwycił i otłuczonym mieczem się broni — przodem idą, torując księ-

ciu drogę. Tatarzy ustępują im, — poznali po hełmie wodza, na niego czyhają.

Jednego już tylko widać mężnego księcia, jak coraz miecz podnosi do góry. Obnażył pachwinę, na której zbroi nie było. Tatarzyn pchnął z całych sił w nią i przebił. Hełm książęcy zadrgał i padł z głową, włosy rozsypały się na ramiona—padł syn Jadwigi.

Wnet dzicz rzuciła się kupą na tę zdobycz z wrzaskiem, który jak grom poszedł po bojowisku.

Na wysokiej żerdzi sterczy odcięta szlachetna głowa męczennika, drgająca jeszcze... wargi jej zdają się kończyć modlitwę. Głowa to Henryka Pobożnego — zginął ostatni.

Janik z Pawlikiem gnali tymczasem, nie wiedząc, co się działo za nimi; — przerżnęli się cudem przez tłumy—gonią.

Dziewięciu Tatarów na młodych koniach ściga ich. Kusi ich hełm Janicza, a Pawlika młodość.

Lecz konie obu rycerzy prześcignęły tatarskie. Co się obejrzą za siebie, widzą pogoń tylko. Gdzież książę?

Janicz i Pawlik myśleli, że ocalał. Pędzili więc naprzód, mając za sobą tylko tych dziewięciu pogoni. Z boku przyskoczył do nich oszalały z trwogi Luzman, Niemiec, napół ze zbroi odarty.

Zostało ich trzech na pogan dziewięciu.

Oglądają się ciągle, ich mając za sobą. Tatarzy pokładli się na koniach, wyją i gonią. Czasem poślą im strzałę, która świśnie w powietrzu, czasem puszczą powróz długi, który opada na ziemię.

Uchodzą—uszli!

Obejrzeli się, z dziewięciu zostało sześciu — obejrzeli, tylko trzech widać jeszcze, — otóż i znikli wszyscy.

Lecz i koniom ich tchu już brakuje. Potrzeba stanąć. Właśnie znaleźli na drodze wieś wygorzałą. Żywego w niej nie było ducha, a jeszcze niby żywa stała. Z chat opalonych widać było prosty statek wieśniaczy, który ocalał po kątach. Studnie całe z żórawiami, które wiatr poruszał, w podwórkach, gdzieniegdzie płot i wrota gwał-

townie rozwarte. Na drodze chusta krwawa legła, jak zabita, trup dziecka rozciągnięty w progu, nagi i poczerniały.

Pawlik, Janicz i Luzman strzymali konie.

Niemiec skoczył do studni po wodę, zajrzał w głąb i krzyknął: pełną była trupów. Tuż płynął strumień, poszli z niego czerpać, brzegiem widać było zastygłą krew.

Pawlik tymczasem wyrywał z sukni, siebie i z ciała powbijane strzały.

Janicz dyszał sparty o słup. Luzman jęczał, patrząc na poranione ciało. Zdala z wiatrem dochodziły ich krzyki zwycięskie Tatarów.

Ledwie odetchnęli trochę, gdy Niemiec wskazał na drodze migających trzech Tatarów. Biegli za nimi, a raczej toczyli się po gościńcu, jakby trzy kule czarne.

Janicz drgnął. Pawlik już siadał na koń. Z tych trzech pogońców urosło wnet sześciu. Chwila, a oto dziewięciu znowu napędza drogą i krzyczą...

— Janicz, konie już nie pójdą dalej— zawołał Pawlik — ale my bić się z tem plugastwem możemy jeszcze! Trzech na jednego nie dużo!

Dzikie chłopię, pomimo grozy, od której tylko co uszło, rozśmiało się sercem więcej zuchwałem, niż rycerskiem:

— Bijmy się!

Janicz siadł też na konia. Luzman, milcząc, poszedł za jego przykładem.

Stali, ścisnąwszy się, zwracając ku nadbiegającym Tatarom, którzy jak wicher, konie okładając pletniami, parli na nich. Janicz i Pawlik mieli jeszcze ostatek włóczni w garści, Luzman obuch, który mu cudem u siodła pozostał.

Gdy pierwszy z pogoni przyskoczył do Pawlika, ten jednem cięciem w łeb trupem go położył. Zwalił się z konia. Nim drugi pośpieszył go pomścić, Luzman skrwawił go i okaleczył, a że konia wściekłego miał, gdy Tatarzyn padł, stratował go, gniotąc pod sobą.

Janicz się tez mężnie potykał, a wśród boju powtarzał tylko ciągle:

— Jeśli żywot ocalę—Bogu go na ofiarę złożę!

Pawlik, żadnych ślubów nie czyniąc, rąbał i siekł. Ośmiu Tatarów leżało pobitych, dziewiąty ranny bronił się rozpaczliwie, gdy Luzman, padłszy nań sznurem go oplątał, i skrępował.

Tak bój się ten skończył. Na gościńcu nie było widać więcej pogoni.

Znużeni wojownicy, siedli na ziemi, trupom się przypatrując. Pawlik, jak dziecko ciekawe, poruszał ich końcem strzaskanej włóczni, aby się stworzeniom tym przyjrzeć lepiej. Podobnych ludzi nie widzieli, jak żyli. W krzyku ostatnim usta im podrętwiały, obnażając wilcze zęby białe, a oczy wywrócone do ślepi dzikiego zwierza były podobne.

Pawlik westchnął—na myśl mu przyszedł jego stary Wojusz. Widział, jak goniąc za nim i osłaniając go, upadł.

— Wieczny mu odpoczynek!—szepnął.—Anom ja teraz wolny!

Niedługo spoczywać tu mogli; szczęściem Janicz w okolicy znał dobrze drogi. Zdało mu się obowiązkiem przedzierać do Krośna, aby być posłem nieszczęścia biednej matce, bo choć nie widzieli padającego księcia Henryka, nie mogli wątpić, że pozostał na Dobrem Polu.

Żałośnie milczący puścili się powoli ku lasom.

Z wieży kościoła Panny Maryi nikt już nie patrzał na pobojowisko, na którem mężni ludzie, śmierć przeczuwając, zginąć poszli. Kilku nędznych zbiegów do bram dotarło, brocząc po drodze. Przynieśli zamkniętym w murach żałobne słowo:

— Książę Henryk padł w boju! Bolko Morawski padł w boju. Zginął Opolski, zabity Sulisław mężny i Klemens, głogowski wojewoda i Konrad i wszyscy, którzy szli na to, aby za wiarę ginęli.

Na zamku Lignickim została niewielka garść załogi, trochę księży i mieszczańskiego ludu. Zamknęli bramy—oczekiwali.

Nazajutrz o świcie, gdy do kościoła dzwon na

mszę wołał, horda mu krzykiem odpowiedziała, z za wałów. Zamek był ze wszech stron opasany.

Naprzeciw wrót stał na koniu Tataryn, trzymając na żerdzi wetkniętą głowę ludzką. Stary ksiądz, który z wierzchu murów patrzał, poznał zsiniałą twarz pana swojego i padł z płaczem na ziemię.

Z tą głową poganie zaczęli dokoła zamku obiegać, a gdzie na wałach ukazał się lud, podnosili ją i nachylali.

— Patrzcie! oto pan wasz!

Rusinów, których z sobą wiedli, posłali naglić, aby się im zamek poddawał. Odpowiedziano milczeniem. Mieszczanie zawarli się, postanowiwszy bronić do ostatka.

Dzień, dwa leżeli pod wałami Tatarzy, trzeciego ranka ich nie stało.

Trzymano jeszcze wrota zawarte przez dzień cały. Obawiano się podstępu i zdrady. Czwartego dnia wysłano nocą na zwiady. Zagon posunął się ku Odmuchowu i tam legł obozem.

Dopiero, gdy z Bolesiska nawrócili ku Morawie, ostrożnie otwarto wrota, aby iść na pobojowisko i ciałom chrześcijańskich rycerzy pogrzeb sprawić poczciwy.

Leżały jeszcze kupami, jak popadały, trupy poległych, bez głów, bez uszu, porąbane i zeszpecone strasznie, odarte z odzieży, obłupione ze zbroi, z ciały przez kruki i wilków poszarpanemi.

Poznać ich już nie mógł nikt, więc do mogił składano je razem, a zwłoki księcia Henryka po szóstym palcu u nogi cudownie poznane, przewieziono do Wrocławia.

Pawlik z Janiczem dobili się do Krośna; oni tu pierwsi przynieśli straszną nowinę. Janiczowi, gdy u wrót stanął, zabrakło serca, aby zwiastować matce i żonie, że syna i męża nie miały.

Gdy im furtę otwarto, zwlókł się przez nią Janicz, na wszystkie pytania odpowiadając tylko, że ranni uszli, bitwa była przegrana, a o losie księcia nie wiedzieli. Obstąpiono ich kołem, posiadali na ziemi ranni, zboleli, niemi, na pytania potrząsając głowami.

Wtem z boku rozwarły się drzwi kościelne. Stała w nich

blada niewiasta w sukni szarej, zbrukanej, wychudła, z zapadłemi policzki, w ręku trzymając biały posążek Matki Boskiej.

Oczyma szukała przybyszów. Za nią, jak cień, sunęła się z oczyma zamkniętemi, wypłakanemi księżna Anna.

— Nie pytajcie ich—odezwała się księżna starsza —nie pytajcie z nadaremną nadzieją, albowiem, co przeznaczonem było, stać się musiało. Polała się krew chrześcijańska na odkupienie ziemi tej. Syn mój padł. Widziałam go z głową odciętą, leżącego na pobojowisku krwawem, widziałam we śnie i na modlitwie. Cześć Ci i chwała, Panie, i dzięki Ci, żem wydała na świat takiego syna, który był dla mnie dziecięciem miłującem, a nie wycisnął mi łzy żadnej. Radowałam się życiu jego i szczęściu, raduję się śmierci pobożnej.

I nie wylawszy łzy jednej, księżna się modlić zaczęła.

— Matko—odezwała się księżna Anna—o śmierci jego niema jeszcze wieści! Ocalał może, gdy ci, co z nim byli najbliżej, uratować się zdołali. Janicza poznaję, ten nie odstępował go nigdy.

Wtem przeze drzwi wcisnął się człowiek odarty i strwożony, do ziemi skłaniając się, pozdrowił księżnę.

— Z Lignicy mię posłano!—wyjąknął.

— Mów!—przerwała mu mężnie księżna Jadwiga— mów!

Posłaniec ręce tylko podniósł ku niebu i opuścił je ku ziemi milczący—słów mu zabrakło.

— Zginęli wszyscy?—spytała księżna.

— Zginęli!

Płacz rozległ się za księżną, która z surowem obliczem zwróciła się ku niewiastom, za nią stojącym:

— Nie grzeszcie, opłakując śmierć rycerską, chrześcijańską.

— Książę, pan mój? — krzyknęła Anna, wychylając się ku posłańcowi.

— Poległ—rzekł krótko poseł.

Księżna zachwiała się i osłoniwszy twarz, siadła na ziemi, rękami obejmując głowę; księżna matka głosem mężnym odezwała się po chwili:

— Znaleźliście ciała poległych? Syna mojego?

Poseł łkając i płacząc, odpowiadać nie miał siły, księżna Jadwiga patrzała nań z politowaniem. Nieugięta boleścią zwróciła się ku kościołowi i szła z marmurową twarzą do ołtarza—dziękować Bogu.

Pawlika, Janicza i Niemca zabrano do klasztoru, aby się z ran leczyli.

Wszystko tu było w żałobie po tej klęsce, która ani jednej nie oszczędziła rodziny. Jęk i płacze słychać było od rana do wieczora, tylko Pawlik trzeciego dnia już, poobwiązywawszy rany, począł z izby się wykradać, by narzekań Janicza i opowiadań innych ocalonych nadciągających tu nie słuchać.

Wracała mu ta szalona natura, niecierpliwa, gorąca potrzebująca kipieć ciągle, śmiać się, dokazywać i bujać.

Gdy Janicz opłakiwał poległych, Pawlik ramionami ściskał.

— Zdrowaś Marya za duszę zmówić juści się należy—mówił doń—a wypłakawszy się, myśleć o życiu. Ci, co pomarli, oprócz mszy, nie potrzebują już nic; Tatarzy przecie nie wysiekli wszystkich, zostanie choć trochę ludu.

Niewiasty i służba przy klasztorze, której powierzone było doglądanie rannych, najmilszem się stały towarzystwem Pawlika. Nie zważając na ich zakonne i półzakonne suknie, widział w nich tylko białogłowy, a do tych pociąg miał wielki.

Szczególniej nowicyuszka Łucya, dziewczę ze spuszczonemi oczyma, z jasnemi włosy, z których ledwie się pukielek z pod osłony wykradał, wyrostek bojaźliwy, runieniący się—wpadła w oko synowi Jazdona. Zwano ją po klasztornemu siostrą, chociaż wiek jej nie dozwalał złożyć ślubów zakonnych, i była tu tylko na próbie.

Gdy ze starszą Gaudencyą wsuwała się, niosąc koszyk z jadłem lub bielizną, Pawlik już był zawczasu na czatach, aby go od niej odebrać, pozdrowić cicho i coś szepnąć. Dziewczę, w surowej karności klasztornej utrzymywane, nie odpowiadało, ale mimowoli podnosiły się jej długie rzęsy i powieki, i na urodziwego młodzieniaszka padał wzrok

dziecinny, niewinny, a tak wiele mówiący, iż Pawlikowi mrowie przechodziło po kościach.

Gdy sam na sam z Janiczem siedział i choć ten, już ślub uczyniwszy, gotował się wstąpić do Dominikanów, a wszelkiej płochej mowy unikał. Pawlik niemiłosiernie go drażnił, rozpowiadając, jak mu się ta Łucya podobała okrutnie. Janicz surowo go gromił i łajał.

— Panu Bogu byś dziękował—mówił—żeś cudem uszedł śmierci, i to życie, które ocaliła Opatrzność, powinienbyś, jak ja, na usługę Kościoła poświęcić — a tobie, chłystku, ledwie z ran wylizałeś się trochę, już ladajakie myśli po głowie się zwijają. Już ci ta służebnica Boża w oko wpadła.... a toć świętokradztwo.

— Cóżem ja temu winien—odpowiedział Pawlik,—takim grzesznym mnie Pan Bóg stworzył, że niewieściego, młodego wzroku strzymać nie mogę, żeby we mnie niepoczciwa krew nie zakipiała. Choćby matka Gaudencya na mnie patrzała dzień cały—nic nie szkodzi, ale ta! ale ta!

— Milczże, paskudny trutniu!—gromił Janicz.

Łajanie wcale nie pomagało. Pawlik, coraz częściej wymykając się z izby, stał w progu i czatował, dziewczę łapał, drogę zachodził i zmuszał niemal do rozmowy. Napastliwy był nad wyraz wszelki.

Rany od strzał prędko mu się jakoś goić zaczęły, bo krew miał zdrową i siły młode, byłby się już mógł śmiało do Przemankowa, do ojca, czy gdzie w świat wybrać, ale ta nieszczęsna pokusa przy klasztorze go trzymała. Było mu tu zresztą niezgorzej, bo księżna matka, jak ubogich, tak rannych i chorych z miłosierdziem pańskiem we wszystko opatrywała, a roboty nie mieli żadnej.

Janicz z kapelanem Lutoldem godzinami całemi o swem przyszłem powołaniu rozprawiał. Spierali się o to tylko, czy miał zostać synem Dominika, czy Franciszka. Pawlik, pusta głowa, za Franciszkiem był dlatego, że i książę Bolesław krakowski i księżna Jadwiga synów jego po kraju rozmnażać chcieli, łaskami ich obsypywali—a może też, iż Franciszkanie mieli więcej swobody, chodząc po świecie, niż Dominikanie w celach klasztornych pozamyka-

ni. Janicz wolał być synem Dominika, bo pisma cokolwiek znał, nauki łaknął, a tej tu więcej potrzebowano.

Trzeci ich towarzysz, Niemiec Luzman, który się też tam wylegał z ranami, a jako Niemiec miał u księżnej łaski szczególne, nie mieszał się do niczego, jadł, pił, spał, do kościoła chodził, gdzie też drzemał w kątku, ale się mógł księżnie zalecić. Piwo klasztorne bardzo mu było do smaku.

Pawlik w krótkim czasie wielu tu sobie zjednał przyjaciół i znajomych. Nie mówiąc już o siostrze Łucyi, którą powoli sobie zyskiwał, ukradkiem zawsze nastręczając się i po kilka razy na dzień, łaził do izby chromych i kaleków, wszędzie go było pełno. Pomiędzy żebrakami po swojemu sobie poczynał; największą dlań rozkoszą było jątrzyć ich przeciw sobie, swary ich oliwą podlewać i doprowadzać do tego, aby się kłócili, zjadali i tłukli. Gdy tak wrzawę okrutną wywołał, dopiero sam, śmiejąc się, wymykał i cicho w izbie wspólnej przysiadał, jakby nie wiedział o niczem.

Trwało to życie takie do maja, więc niedziel cztery. Pawlik był już zdrów zupełnie, ale mu się jeszcze z Krośna w świat nie chciało. Janicz uważał, że z izby się coraz częściej wysuwał, w podwórzach dłużej bawił—zaczynał być zadumanym i mniej mownym.

Jednego dnia stękać począł, że mu już do domu potrzeba, a tylko tęgiego konia do podróży braknie. Koń, na którym przyjechał, na nogę nakuliwał. Janicz mu swojego dać był gotów, aby się go pozbyć, bo mu już płochością i prześmiewaniem się ze wszystkiego dokuczył.

Poczęły się targi o dodatek, stanęło wreszcie na umówionej liczbie groszy pragskich, które Pawlik dopłacić obiecywał. Lecz dostawszy konia, wyjeżdżać znowu mu nie było raźno. Zwlekał.

— Ojcze mój—mówił Janicz do kapelana Lutolda—wy tego młokosa przeklętego miejcie na oku. On świętego miejsca uszanować nie umie i za dziewczętami pono się włóczy. Żeby zgorszenia nie było.

Ksiądz się oburzył mocno.

— Co za myśl!—zawołał.—A toż tu są niewiasty po-

bożne, Bogu poświęcone, klasztor jest przecie, w którym duch księżnej naszej ożywia wszystkich.

Zmilczał Janicz i już więcej mówić o tem nie ważył.

Jednego wieczora Pawlika długo w izbie nie było, a ku nocy się zabierało. W klasztorze Janicz posłyszał szmer jakiś i bieganinę. Wpadł ktoś z czeladzi, obejrzał się po kątach i wybiegł.

Po chwili kapelan Lutold z rękami załamanemi, dysząc, przypadł do Janicza.

— Gdzie ten Pawlik wasz?

— Alboż ja wiem?

Uderzył się ksiądz po głowie i z izby nazad wypadł co żywiej.

Janicz domyśleć się nie mógł, co się stało. Luzman, który już po piwie spał, rozbudzony, poszedł na zwiady. Wrócił nierychło, chmurny, ramionami poruszając, kręcąc głową. Janicz dowiedział się od niego, że Pawlik konia pochwycił, ale i siostry Łucyi w klasztorze nie stało. Domyślano się, że dziewczę porwał i uwiózł z sobą.

Rozesłano już za niemi pogoń na wszystkie strony.

Słuchał osłupiały Janicz, bo mu się takie zuchwalstwo w głowie nie mogło pomieścić. O godzinie, w której tu zwykle wszystko spało, ruch był jeszcze wielki, niepokój straszny.

Wracali ludzie z pogoni nadaremnej, o zbiegłych ni śladu, ni słuchu. Dopiero po północy zawrzało coś u furty. Klimek, dworzanin ks. Jadwigi, z dwojgiem czeladzi wysłany, prowadził związanego Pawlika, ale poraniony był, pocięty, bo mu się bronił wściekle.

Wzięto i siostrę Łucyę, zaklinającą się, iż bez jej woli, usta jej zawiązawszy, swawolny chłopiec na konia ją porwał i z łupem swym poczwałował w lasy.

Skrępowanego, tak jak stał, winowajcę posadzono do kuny. Kara mogła go czekać sroga, bo księżna podobnych napaści przebaczać nie była zwykła. Ludzie zuchwalstwu i zręczności, z jaką było dokonane, wydziwić się nie mogli. Mówili wszyscy zgodnie, iż za to szyję powinien był dać.

Nazajutrz, gdy się właśnie coś o sądzie i wyroku spo-

dziewano usłyszeć, przyszedł Luzman do Janicza, splunął i rzekł:

— Otóż go już niema!

— Co? dano go ściąć?—krzyknął Janicz—a spowiadałże się?

Niemiec ręką zamachnął.

— Z kuny się po nocy wyłamał łotr, już go nie kazano gnać. Gdzieś przepadnie w lesie, bo się wyrwał bodaj bez broni.

W Przemankowie, u łoża starego Jazdona, cudem się z Lignicy wydobywszy, siedział ksiądz Zula, opowiadając mu opłakane dzieje najazdu tatarskiego, gdy drzwi się otworzyły i ktoś stanął w progu.

Nie mógł zrazu Zula poznać kto był, bo przybylec wyglądał strasznie i odarto.

Zbliżywszy się doń dopiero, radośnie wykrzyknął poznając, iż ten, którego za zaginionego mieli, żyw przed nim stoi.

Stał się razem cud, bo stary Jazdon, który od lat tylu w połowie ciała władzy nie miał, na jedno oko nic nie widział, gdy o synu posłyszał i ruszył się, aby go uściskać, rękę obumarłą podniósł, oko zagasłe otworzył, na nogi obie powstał.

Niucha i Mucha, którzy przygotowani byli go podnosić, przerażeni widokiem tym, rozbiegli się, krzycząc.

I była w domu radość wielka, ale krótka. Stary ojciec, któremu Bóg dał oburącz dziecko uściskać, tejże nocy usnąwszy, na wieki zamknął oczy. Radość wielka uleczyła go i zabiła.

Został tedy sam nieletni chłopiec panem włości wielkich i woli własnej. Zula, który pozostał przy nim, modlił się, aby teraz cugli sobie puściwszy, rychło nie przepadł.

Chociaż wychowańca swojego kochał bardzo, choć mu tu dobrze było i zaciszno, klecha po pogrzebie starego ledwie mógł kilka miesięcy przetrwać w Przemankowie. Istne się tu piekło poczęło, z którego ani wyrwać się zrazu nie miał siły, ani mógł patrzeć obojętnie na to, co się działo. Walczył z sobą długo poczciwy klecha, aż dnia jednego, agendę pod pachę wziąwszy, parę swoich ksiąg w rękę, pieszo z gródka wypadł o kiju, i już go więcej tam nie widziano, bo do św. Jędrzeja do Krakowa powrócił.

KONIEC PROLOGU.

I.

Ćwierć wieku upłynęło od opisanych wypadków, i ci co wyrostkami pamiętali Dobre Pole pod Lignicą, mężami się stali, ci, co starcami byli za pierwszej tatarskiej powodzi, do grobów dawno poszli spoczywać.

W wigilię Mateusza św., roku tego (1266) zmarł świątobliwy pasterz krakowski Prandota Jako błogosławionego już za życia, uczczono go uroczystym pogrzebem. Cuda się działy u grobu.

Po osieroceniu stolicy krakowskiej trzeba było obierać pasterza nowego i kapituła cała zebrała się dla narady.

W izbie niezbyt obszernej, dosyć ciemnej, nim się jeszcze rozpoczęły rozprawy, z obecnych twarzy i postawy poznać było można, iż wiedzieli zawczasu, że zgodnego wyboru nie będzie.

Byli to po większej części duchowni lat średnich i podeszłych, twarze jednych wywiędłe i blade, drugich okrągłe i mocno zaognione, wychudli i otyli—przedstawiali dwa obozy, tych, co żywot wiedli duchowny, zapominając o ciele i tych, którzy pielęgnowali je, staranie o duszy zostawiając godzinie ostatniej.

Jednym z tych, około których najwięcej się skupiano z wielkiemi znakami uszanowania, był ksiądz Jakób ze Skarzeszowa, starzec już bardzo w lata podeszły, niewielkiego wzrostu, niepozorny, szczupły, niziutki, z czarnemi, ale mocno przerzedzonemi włosami, skromny i bojaźliwy. Był on dziekanem krakowskim, scholastykiem bambergskim, kanonikiem wrocławskim i papieskim, a króla cze-

skiego kapelanem. Uczony prawnik, człek pobożny, miał u ludzi sławę a zachowanie i w kapitule głos przeważny. Ten milczący stał nachmurzony, z głową spuszczoną, zafrasowany, a zarzucającym go pytaniami odpowiadał tylko ruchami dosyć objętnemi, jakoby zwątpił, iż tu się na co przydać może.

Ksiądz Gerard, proboszcz wiślicki, należący do rumianych, mistrz Szczepan otyły i słusznego wzrostu a silny mąż, kanonik Wyszon, na którego okrągłem licu zdrowie bujno wykwitało—na boku z sobą po cichu rozmawiali. Inni księża zbierali się też w gromadki i szeptali. Niepokój już się dawał czuć w kapitule, choć jeszcze nie zasiadła.

Naostatek odmówiono modlitwę do Ducha świętego i wszyscy, miejsca zająwszy, czekali, aż się kto odezwie pierwszy.

Z oczów widać było, iż oglądano się na księdza Jakóba ze Skarzeszowa, jako najstarszego wiekiem, przodującego dostojeństwem.

Więc gdy ten i ów potrącał zlekka, staruszek, jakby zmuszony, odezwał się słabym głosem:

— Mili bracia! Wzywaliście Ducha świętego, ten niech was natchnie. Kościołowi potrzeba takich ludzi, jakim był świętej pamięci, za życia ubłogosławiony Prandota i poprzednicy jego, wielcy obrońcy Kościoła, wielcy opiekunowie kraju. Obierzcie męża silnego, takiego nam na nasze czasy potrzeba.

— Was by okrzyknąć!—przerwał mu jeden z bladych, uczeńszego nie mamy, pobożniejszym nikt być nie może —ani gorliwszym o wiarę.

Staruszek rękę podniósł i kończyć mu nie dał.

— Brzemię to nie na moje ramiona—o grobie myślę, nie o infule.

Ruch żywy drżącej ręki i głowy dokończył, czego ks. Jakób powiedzieć nie chciał. Stanowczo wyboru odmawiał.

Rumiano wyglądający kanonicy spojrzeli po sobie wesoło, dając sobie znak porozumienia. Uśmiechali się.

Mistrz Szczepan, ów mąż poważny, otyły, wesół, pogodnej twarzy, dodał:

— Nam potrzeba pasterza w sile wieku, do tęgiej walki zahartowanego. Kościołowi zewsząd grożą książęta, nawet wrzekomo najpobożniejsi jak pan nasz Bolesław. Potrzeba nam na stolicę żołnierza! żołnierza!

— Byle szermierzem Bożym był—odparł jeden z bladych z przekąsem. I znacząco odchrząknął.

— Jeśli głosować mamy, a zdania podzielone—wtrącił kanonik Wyszon—mówmy wprzód otwarcie:

— Tak! tak! otwarcie!—potakiwali mu drudzy.

— Zatem—przerwał Szczepan głośno—ja mojego wnoszę z innymi braćmi wielu. Mąż jest ducha wielkiego. Wprawdzie święceń nie ma, ale te otrzyma, gdy nań wybór wypadnie. Na Pawła z Przemankowa głosujemy. Pan jest możny, głowa otwarta, mąż żelazny.

Szmer się dał słyszeć, który różnie tłumaczyć było można. Wszyscy bledzi i wyschli kanonicy wstali, jako jeden mąż. Kanonik Janko z oczyma ognistemi, ascetyczną twarzą, uderzył niecierpliwie ręką o ławę.

— Nigdy w świecie się na niego nie zgodzimy. Wilka chcecie wprowadzić do owczarni! Osławiony człek, na żołnierza zdatniejszy, niż na biskupa, cielesnym chuciom brzydko ulegający, praw naszych, kościelnych mało świadomy. Człowiek, rzeknę śmiało, zepsuty i niegodny!

Powstał hałas, zakrzyczano mówiącego.

— Potwarze to są, głosy nieprzyjaciół tego męża dostojnego! Mocnego ducha i dłoni człowiek! My za nim! za nim!

— A my przeciwko niemu!—odparli niemniej gwałtownie drudzy.

— Nie wiecie chyba — wołał, usiłując się dać słyszeć kanonik Janko—nie wiecie jakie życie wiódł, ile popełnił gwałtów, ile rozsiał zgorszenia. Człek to, któremu suknia nasza nie przystała. Niech Bóg nas uchowa od pasterza takiego.

Rumiani i opaśli zahuczeli tak, iż dalszą mowę kanonika stłumili. Na ławach i siedzeniach ruch powstał gorączkowy, mistrz Szczepan wołał.

— Ten, lub żaden! Ten, lub żaden! Gdy ksiądz Jakób nie chce, Pawła wybierzemy!

— Zlitujcie się ludzie zaślepieni!—krzyknął z wysileniem Janko—Kościołowi plamę na białą szatę jego rzucicie!

Rozwarł ręce, jak do modlitwy.

— Panie! Odwróć od nas ten srom i klęskę!

— Paweł z Przemankowa biskupem!—krzyczeli tłuści,—znaczniejsza część kapituły za nim.

— Chyba dlatego, że was karmił i poił, zjechawszy tu umyślnie; żeście u niego dobrej myśli zażywali nad miarę—wołał blady ksiądz Janko.—Na dusze wasze baczcie, nie sprzedawajcie Kościoła za półmisek soczewicy.

Rumiani i tłuści śmiechem go szyderskim głuszyli:

— Nam tu nie świętoszków potrzeba, ale dzielnych, jak ten człek!—krzyczeli, głosy podnosząc.

— Nieuk jest!—przerywano.

— Co? nieuk?—podchwycił ksiądz Szczepan.—On nic nie umiejąc więcej wymyśli i zgadnie, niż wszyscy, co nad pergaminami i papierem zęby zjedli. Bystry umysł, serce gorące! Pójdzie on górą, a z nim i biskupstwo nasze, i prawa, i dochody.

— Nigdy w świecie gwałtownika, skażonego obyczajami sprośnemi nie dopuścim na stolicę—zawrzał ksiądz Janko.—Pół kapituły protest zaniesie! Pójdziemy do Rzymu! Nie dopuścim go! Syzma będzie!

Zagotowało się mocno· kanonicy rozstąpili się nad dwa obozy przeciwne, krzyki za i przeciw wyrywały się równie namiętnie, powstało zamieszanie i wrzawa... Ruszano z miejsc na środek, a koryfeusze obu stronnictw gorąco się z sobą ucierać zaczęli.

Ksiądz Jakób ze Skarzeszewa siedział w swem miejscu z głową ku ziemi spuszczoną, w twarzy jego malował się ból i smutek przejmujący. Do sporu jednak czynnie mieszać się nie chciał. Zapomniano prawie o starcu, a on zatopiony w myślach może też równie odbiegł od kapitularza.

Nie było najmniejszej nadziei, aby do porozumienia przyjść mogło. Wkońcu wszyscy byli znużeni sporem nadaremnym, otyli ocierali pot z czoła, bladym usta zasychały. Narada skończyła się stanowczem rozłamaniem

na dwa stronnictwa nieprzejednane, które sobie wojnę wypowiedziały.

Tymczasem noc nadeszła, kapituła rozpierzchła się rozgorączkowana. Wojna domowa gotowała się w jej łonie.

Gdy jedni śpiesznie stąd wychodzili, rozprawiając jeszcze z sobą głośno w sieniach i podwórzu, coraz śmielej i zuchwalej, ksiądz Jakób pozostał w swej ławce, czapeczkę tylko wdziawszy na głowę. Wiek jego, rozum, doświadczenie, czyniły go na wszelkie ludzkie słabości wyrozumiałym. Co drugich rozjątrzało, dla niego zwykle wytłumaczonem było. Litował się tylko.

Patrzał na wychodzących sam już zwolna przygotowując się do wyjścia, gdy ujrzał przed sobą stojącego kanonika Janka, z głową spuszczoną, rękami na piersiach skrzyżowanemi. Brwi miał ściągnięte i usta zagryzione. Był to mąż surowy, nieustraszonego ducha.

— Źle czynicie—odezwał się otwarcie do staruszka.— Przebaczcie mi, że do was odzywam się tak zuchwale! Źle czynicie, odrzucając infułę! Należała wam ona! A wy jesteście jej potrzebniejsi, niż ona wam. Choćby dlatego należało po nią rękę wyciągnąć, aby jej nie pochwycił kto inny — niegodny!

I pięść jedną podniósł do góry.

— Połowę kapituły spoił, nakarmił, drugą obietnicami łudzi. Wszystkich obałamucił człowiek ten, który będzie nam zakałą. Paweł z Przemankowa biskupem!— dodał ironicznie.—Toćby równie na Lucypera i Belzebuba głosować mogli! Ojcze Jakóbie, ratujcie, póki czas!

— Janko miły—rzekł łagodnie ksiądz Jakób—nie unoście się. Nic to nie pomoże. Niedoścignione są wyroki Boże! My we dwu czy w kilku nie przemożemy kapituły! Oni go obiorą!

— Tośmy zginęli — namiętnie wykrzyknął Janko.

— Ale nie!—rzekł zimno ksiądz Jakób.—Przez jednego człowieka ani Kościół, ani dyecezya zginąć nie może. Wybiorą rózgę Bożą na samych siebie.

Spuścił głowę.

— Choćbym sam jeden przy swem pozostać miał —

dołożył Janko—nie ustąpię! Protestować będę. Sumienie mi nakazuje!

— Ja z wami protestować będę—dodał staruszek—ale bez gniewu, tak jak mnie widzicie... spokojnie! Namiętność nawet w dobrem złą jest, bo zaślepia. Strzedz się jej potrzeba zawsze.

To mówiąc, maleńki człowieczek wysunął się z ławy, rękami objął księdza Janko—i potuptał ku drzwiom wyjrzeć, czy chłopak czekał nań z latarką.

Kanonik chodził jeszcze po izbie kapitulnej, uspokoić się nie mogąc. Mierzył ją krokami wielkiemi, sam do siebie mówił, zżymał się, śmiał szydersko, gdy dały się słyszeć kroki z sieni, pytania jakieś powtarzane żywo, i do kapitularza wpadł pośpiesznie ks. kanonik Szczepan.

— Ja was szukam bracie—odezwał się od progu.

Zagadnięty podniósł głowę i zmierzył go oczyma z wyrazem nieukrywanej pogardy.

— Jeszczeście się nie wyburzyli!—dodał pierwszy.

Ksiądz Janko nie odpowiadał.

— Wróciłem umyślnie, aby pomówić z wami—ciągnął dalej.—Wasz opór przeciw wyborowi P. wła nie zda się na nic, a narazicie sobie człowieka, który nigdy nie przebacza. Radzę wam, bo was szacuję: nie chcecie głosować, macie wątpliwość sumienia, usuńcie się.

— Właśnie to sumienie stać mi każe — odparł dumnie ksiądz Janko.

— Nie sprawicie nic!

— Ale spełnię powinność—począł, rozgrzewając się, ksiądz Janko.—Księże Szczepanie! Boga miejsce w sercu, miejcie pamięć na świętych poprzedników, co siedzieli na tej stolicy; nie prowadźcie na nią człowieka, któremubyście ochmistrzowstwa w domu nie powierzyli. Znacie go, jakim jest! Psy mu są droższe, niż ludzie! Życie wiódł bezżenne z nałożnicami, które do dziś trzyma. Mężobójca, gwałtownik, pieniacz, mściwy! A wy go chcecie postawić na świeczniku tym, obok najstarszego księcia, którego on jest wrogiem!

— Właśnie dlatego, że mu jest wrogiem! Zgadliście — przerwał Szczepan.—Książę Bolesław pobożny, czystych

obyczajów jest, ale słaby, ale niedołężny. Nam tu innego potrzeba.

Tu się wstrzymał.

— *Ranae regem petentes!*—rozśmiał się szydersko a boleśnie ksiądz Janko. Chwycił czapkę z ławy i chciał uchodzić, gdy ksiądz Szczepan go zatrzymał.

— Ojcze! to wasze ostatnie słowo?

— Dwu ich nigdy nie miałem. Pierwsze moje jest zawsze ostatniem!—odparł sucho ksiądz Janko.

I stuknąwszy drzwiami, wyszedł.

Ksiądz Szczepan wziął się za boki, popatrzał za nim, podumał trochę, ale po krótkiej chwili, gdy sługa wsunął się do kapitularza, aby w nim lampki pogasić i on wyszedł w ulicę.

Dziesiątek może drewnianych domów z ogrodami dzieliło budynek kapitulny od dworu, do którego dążył. Można było zdala poznać, że tu ktoś zamożny przemieszkiwał. W podwórzu paliła się beczka smolna, jaką zwyczajnie stawiano tam, gdy wieczorną dobą goście byli proszeni, a koniom i ludziom w podwórzu przyświecać było potrzeba. Około niej gromadziła się czeladź służebna, konie i wozy. Beczka piwa, do której szli czerpać, służyła do rozrywki i wesoło wykrzykiwały pacholęta, obficie z niej czerpiące.

Okna domu jaśniały wszystkie oświecone, a za każdem otwarciem drzwi słychać było rozhowor i śmiechy wybuchające ze wnętrza.

Od kuchen w podwórzu szli nieustannie ludzie z misami do dworu, służba zwijała się raźno. Sienie pełne były psów, które z trudnością ludzie drzwi pilnujący precz mogli odegnać, bo się dobijały do komnat pańskich i skomlały.

Gdy ksiądz Szczepan wszedł tu, znalazł wielką izbę już pełną gości. Przeważnie byli to duchowni, lecz niezbyt ściśle przestrzegający przepisy, które strój, włos i powierzchowność ludzi tego stanu określały. Ledwie ich od świeckich i rycerskich panów można było odróżnić z tego, że trochę mieli głowy wygolone w pośrodku, oręża nie nosili, a suknie ich ciemniejszej były barwy.

Ale pasy, bramowania, kołnierze ich ubrań zdradzały niemal u wszystkich chętkę emancypowania się z surowych ustaw synodalnych.

Wszyscy ci panowie zażywni byli, twarzy okrągłych, barczyści, rumiani i pokory a świątobliwości wcale po nich domyślać się nie było można.

W pośrodku między nimi, pół głową ich wszystkich przerastający stał mężczyzna jak żubr zbudowany, w sile wieku, z twarzą dosyć przystojną, w stroju pół świeckim, rozpiętym wygodnie, obiema rękami żylastemi trzymając się za boki. Postawę miał pańską, dumną, nakazującą. Oblicze to było godnem wpatrzenia się w nie pilnego, bo jedno wejrzenie nie starczyło do zbadania go. Miało ono i dar przypodobania się i z tem razem coś odpychającego. Oczy naprzemian były to wabiące,—to groźne. Twarz, która zachowała jeszcze pewną świeżość, młodzieńczą prawie, dziwnie ruchliwa, potargana, konwulsyjnie się fałdowała i drgała, nie starając bynajmniej ukryć uczuć wewnętrznych, których była wiernym obrazem. Człowiek to był, co kłamać nie umiał i nie chciał, zbyt będąc na to dumnym.

Wśród otoczenia swojego, gdy po niem okiem wiódł, widać było, że tu nikogo równym sobie nie uznawał, że czuł się wyższym nad tych ludzi, a pewnym, iż z nimi uczyni, co zechce. Był to ten sam Pawlik, co kilkunastoletni walczył pod Lignicą, co potem szalał lata długie, co młodość przeszalał, przepolował, przeucztował, a któremu przyszła w ostatku myśl, gdy mu się wszystko przykrzeć zaczęło, zostać—księciem Kościoła!

Była w tem fantazya pańska, ale i duma człowieka, pragnącego panowania, do którego czuł się stworzonym. Możny pan nie mógł się jednak dobić stanowiska, jakiego pożądał. Najłatwiejszą ku temu drogą zdało się obrać stan duchowny, a w nim energią się dorabiać tego, co na innej drodze zdobyć było niepodobieństwem.

Biskupi stali wówczas narówni, jeżeli nie wyżej niezależni od książąt świeckich. Rzym był daleko a władza potężna.

Raz postanowiwszy to, Paweł, z tą siłą woli, jaką miał, gdy czego pożądał, zgrzybiałego, dawnego nauczyciela swego, dziś księdza Zulę, będącego gdzieś wikaryuszem oko-

ło Bochni, wydobył z ukrycia, wziął się z nim do nauki nanowo i chwycił, co było stanowi duchownemu niezbędnem. Obdarzony pamięcią nadzwyczajną, zdolnościami wielkiemi, łatwo sobie przypominał to, czego początki wziął był niegdyś od klechy. Resztę chciwie połykając, jeśli nie zupełnie przyswoił sobie, to do tyla zrozumiał, iż obejść się bez niej zręcznie potrafił.

Na myśli już mając przyszłe opanowanie stolicy biskupiej w Krakowie, zawczasu Paweł zaczął ugaszczać i jednać sobie kapitułę, zrazu przybierając postawę skromną, a gdy lepiej ludzi poznał, oswabadzając się od przymusu tego. Siedział w Krakowie umyślnie, stół trzymając zawsze nakryty dla kapituły, obdarzając kanoników, śląc im beczułki z winem i zwierzynę, na którą polować nie przestawał po swoich i cudzych lasach, choć nieco się już z tą namiętnością ukrywał.

Pierścienie i łańcuchy ze skarbca pana Pawła szły na palce i piersi kanoników. Staruszkowie wielbili szczodrobliwość jego, podobała się im wesołość, a ci, których wielka surowość i świątobliwość Prandoty znużyła, znajdowali go daleko wygodniejszym, bo i sam dla siebie ostrym nie był i dla drugich obiecywał patrzeć przez szpary.

Wśliznął się tak do kapituły łatwo pan Paweł, choć święceń nie miał. Działo się to tak jakoś zręcznie i stopniowo, że nim się ludzie opatrzyli, czem to grozi, on już zdobył sobie pożądane stanowisko.

Życie swe nakłonił wprawdzie do planów przyszłych, ale go nie zmienił wcale. Myśliwstwo, które namiętnie miłował, i teraz dlań było najulubieńszą rozrywką, popisu z niej tylko nie czynił. Na dworze niewieścia usługa do zbytku liczna, dobrana wdziękami i młodością, niezbyt się nawet ukrywała z sobą. Niejedną noc przy kubkach prześpiewano za stołem u niego, niekoniecznie pobożne nucąc pieśni.

Ale za to Paweł uczęszczał szumnie i dworno na nabożeństwa, pokazywał się na nich, do wspaniałości ich wiele przyczyniał.

Baldachimy, chorągwie, świeczniki, kręgi wosku olbrzymie, kielichy i naczynia wspaniałe rozsyłał kościołom.

Tem potrafił sobie zjednać miłość znaczniejszej części kapituły i w porę rzucił jej tę myśl, iż on, jako nikt, na pasterza pod te czasy był stworzony. Miała ona czas urosnąć, nim zmarł ks. Prandota, a po jego zgonie zauszrnicy Pawła głośno i śmiało się z nią odzywać zaczęli.

Nie całe jednak duchowieństwo uległe zastawionym sidłom—surowsi, baczniejsi nie dali się ująć ni zaślepić. Tych wybuchnął teraz opór silny, nieprzebłagany i na dwa obozy rozdzielił kapitułę.

Przyjaciele Pawłowi, co zrazu ufali w to, iż zakrzyczą i przemogą, zaczynali się obawiać zbyt jawnego oporu i rozbicia. Po tem pierwszem zebraniu kapituły rozjaśniło się bardziej jeszcze, iż wybór nie łatwo przyjdzie do skutku.

Lecz do walk przywykły Paweł z Przemankowa, wcale się tem nie zrażał, ustępować nie myślał—owszem, trudność ta zagrzała go jeszcze.

Otaczali go teraz sami ci, co mu ciałem i duszą byli oddani. Wszystkie owe rumiane i błogo uśmiechnięte postacie, co w kapitule za Pawłem głosowały, znalazły się wieczorem na jego dworze. Kilku ziemian i starsza służba pańska dopełniali wesołego towarzystwa.

Gdy wszedł ks. Szczepan, jak zawsze butno i zamaszyście, wszystkich oczy padły nań. Był to główny pracownik w pańskiej winnicy.

No! ojcze, co nam tam przynosisz?—zawołał Paweł wesoło.—Czy w sak nasz choć jedną a dobrą ułowiłeś rybę?

Ks. Szczepan ręce rozstawił.

— Próżny więcierz wyciągnąłem!—odparł.—Woda wielka, ryby się nie łowią.

— No! no!—odrzekł gospodarz—znajdziemy może środki, by je napędzić.

To mówiąc, choć twarz zmarszczył, uderzył się raźno po bokach.

Wszyscy ku niemu patrzali, a gdy on powiódł po nich wzrokiem, znalazł na twarzach druhów pewne niedowierzanie.

— Obliczywszy głosy najściślej—odezwał się ks.

Szczepan—nie będziemy mieli większości. Umysły wzburzone, nikt się nie cofnie. Trudna sprawa.

Paweł w boki się ująwszy, przeszedł po izbie parę razy. Nie widać było po nim najmniejszego zwątpienia. Czoło się nieco więcej marszczyło od myśli, niż od troski. Ducha nie tracił. Skinął potem na ks. Szczepana i jego kilku wybranych duchownych wywodząc do bocznej komory.

Na przyszłego biskupa izba ta dosyć dziwnie urządzoną była. Wprawdzie na stole leżała wielka księga i parę pomniejszych, stał krucyfiks—ale na ścianach sterczały jelenie rogi, a na nich wisiały trąbki, kołczany, oszczepy myśliwskie i miecze. Obok biblii z malowanemi obrazkami niedopity kubek się zapomniał i chusta szyta wzorzysto jakby niewieścia.

— Nie można prostą drogą dojść—odezwał się Paweł, gromadząc koło siebie duchownych—to trzeba szukać objeżdżki. I na łowach często zwierza z boku osaczać trzeba! Co począć! Niech się kapituła rozerwie! niech się rozejdzie! Niech jawnie wystąpią ci, co są przeciwko mnie.

— A cóż z tego?—zapytał ks. Szczepan.

— Posłuchajcieno—zimno począł Paweł.—Wy, ks. Szczepanie i ks. Wyszon, musicie mnie zdradzić i dać się nawrócić! Tak! Gardłujcie przeciwko mnie, proszę! a gorąco! bez miary! Mówcie, żem taki i owaki, bez czci i wiary! Nie szczędźcie! Znajdziecie, czem mi rzucić w oczy!

Uśmiechnął się, to mówiąc, lekceważąco i ciągnął dalej:

— Gdy wybór stanie się niepodobnym przyjdzie do naznaczenia arbitrów, bo innego sposobu niema. Wy w kapitule macie wagę i powagę, musicie tak czynić, ażeby was w nagrodę za waszą ku mnie zdradę wybrano. Reszta—mówić jej wam nie potrzeba!

Plan ten tak śmiało nakreślony zdumiał wszystkich mocno. Ksiądz Szczepan nawet milczał długo.

— Czy zechcą nam uwierzyć, gdy się przeciw wam zwrócimy?—przebąknął.

— To wasza rzecz!—zawołał Paweł. —Od jutra musicie przeciw mnie wykrzykiwać okrutnie, a mąćcie tak,

aby do wyboru żadnego nie przyszło! Zmęczą się wkońcu przewielebni. Stolica długo opróżnioną być nie może. Zdadzą się na arbitrów! zdadzą!

I śmiał się, spozierając po słuchaczach.

— Zwlekać potrzeba, nie napędzać—dodał—rozrywać, mieszać szyki. Niech się zawieruszy, zakotłuje w kapitule, tak, aby już innego zbawienia nie było, jeno w arbitrach.

Myśl rzucona utkwiła widocznie w głowach działaczów, poczęli rozprawiać żywo. Paweł słuchał, patrząc na nich z góry. Jakim wzrokiem! Gdyby z nich który był zrozumiał to wejrzenie, zwiastujące pana i najstraszniejszego despotę!

— Mnie nie pilno—dorzucił, dawszy się im wygadać.— Spodziewamy się legata papieskiego, tymczasem wyjadę naprzeciw, aby go sobie pozyskać. Reszta zrobi się sama. Oporu tych ludzi nie złamiemy inaczej, jak zwłoką. Niech się wybór odkłada.

Niektórzy próbowali zarzuty czynić, lecz ks. Szczepan, który już plan ten sobie przyswoił i korzyści jego zrozumiał—całkiem się z nim godził.

Ks. Wyszon małomówniejszy, dawał tylko znaki, iż nań przystawał także i rolę, jaka nań przypadła, przyjmował.

Rozmawiali jeszcze, gdy starszy komornik Pawłów dał znać, że do wieczerzy czas było zasiąść.

Szli więc wszyscy na przeciwek, gdzie stała już przygotowana, a że Paweł ucztować umiał i lubił, zawczasu wierna drużyna jego wiedziała, czego się spodziewać miała.

Po książęcemu przyjmował elekt przyszły. Sama woń potraw łechtała podniebienie. Najdroższe przyprawy korzenne, które ze Wschodu sprowadzano, drażniły powonienie parując z mis nawpół polewkami wpół mięsiwem przepełnionych. Wpośród nich inne nałożone były owocami i przysmakami, a wszędzie gęsto porozstawiane dzbany obiecywały wesołą biesiadę.

U drzwi też grajków nie brakło. Służba, złożona z chłopców wyrostków niewieścio prawie wyglądających, nie można

było ręczyć, czy się w części z dziewcząt, po męsku przyodzianych, nie składała.

Na stołach kwiatów nawet i liści wonnych ponarzucano, aby zapach ich więcej gości odurzał. Samem powietrzem tej jadalni upić się już było można.

Jeden z duchownych, więcej ze zwyczaju, niż z pobożności, z roztargnieniem, po cichu odmówił modlitwę, stół przeżegnał, a drudzy ledwie ręce popłukawszy i otarłszy, co żywiej miejsca zajmowali. Nie było bowiem obojętnem, gdzie kto usiądzie, bo mis naówczas nie roznoszono, stawiano je pośród stołu i kto co miał przed sobą, po to sięgał. Należało się więc pilnować, aby nie usiąść zbyt daleko od pachnącej misy, a nie potrzebować wyciągać rąk i do cudzej się dobierać.

U Pawła z Przemankowa obawa była mniejsza, bo misy, prawie się z sobą stykając, stały gęsto, co oznaczało szczodrobliwość gospodarza. Zaledwie zaś która była opróżnioną, chłopaki uśmiechnięte figlarnie, których po gładkich licach głaskali panowie, żartując z niemi—natychmiast nowe zastawiali. Podczaszy, bardzo pilny, nalewał wciąż i do spełniania zachęcał. Wino też było gotowane, zaprawne i słodzone, mile się pić dające, choć do głowy szło prędko.

Zasiadłszy do tej uczty, duchowni zdawali się o powołaniu swem zapominać. Paweł, który jadł niewiele, uśmiechał się, patrząc, jak ręce w misach czerpały żwawo, a pootwierane usta pokarmy chciwie pochłaniały. Rozmowy stroiły się na ton wesoły—dowcipkowano.

Gospodarz z niejaką litością, jeśli nie z rodzajem pogardy, patrzał na swoich gości. Trudno było myśli jego odgadnąć; dumał.

Zrazu słychać było tylko szmer, przerywany śmieszkami, dalej gwar rosnąc, stał się taki, iż cichej gędźby u drzwi nikt już nie słyszał. Ta też piwem się racząc odpoczywała. Gęsto kręciły się żwawe chłopaki, z gośćmi sobie śmieszki stroiąc poufałe.

Gdy po północy ostatni z gości powstawali ociężałym krokiem szukać płaszczów i opończy, aby się zawlec do domów, gospodarza już u stołu nie było dawno. Znikł im nie-

postrzeżony, a ksiądz Szczepan i kanonik Wyszon także się wcześnie wymknęli.

Nazajutrz kapituła gromadziła się znowu, tylko księdza Jakóba ze Skarzeszowa nie było.—Ten wiedział, że się już tam na nic przydać nie może.

Pierwszy wystąpił kanonik Janko z długą, ułożoną zawczasu mową przeciw elekcyi człowieka, na którego życie przeszłe powstał gwałtownie, w żywych je malując barwach, oczy miał zwrócone na księdza Szczepana, który dnia tego stał niemy, posępny i nie odzywał się wcale.

Inni przyjaciele Pawła występowali gwałtownie, on milczał.

Gdy się tak burzyło srodze, jeden z przyjaciół pana z Przemankowa wezwał księdza Szczepana, aby przecie stanął w obronie tego, którego stronę popierał.

Uparte milczenie zdumiało wszystkich.

— Mili ojcowie—odezwał się, jakby z wysiłkiem wielkim i skruchą.—Dzisiaj nic mówić nie będę, bom w sumieniu mojem powziął wątpliwość... Wolę się wstrzymać.

Zdziwiło to najmocniej kanonika Janko. Spojrzał nań ostro.

— Tak—dodał Szczepan,—wy przyczyną tego jesteście, że się zachwiałem. Nie powiem, ażebyście mnie nawrócili, ale zachwianym się czuję.

Janko zbliżył się doń, objął go i uścisnął. Wtem kanonik Wyszon zamruczał:

— Ja także.

Ledwie słów tych dokończył, powstała wrzawa ogromna od drużyny Pawłowej, zaczęło wołać, iż zdrajcy są niegodni, zmienniey, z których ust ciepło i zimno na przemiany płynie.

Srodze się ujadano wzajem, tak, iż to posiedzenie burzliwiej się jeszcze skończyło, niż poprzedzające, a ksiądz Szczepan i kanonik Wyszon opuścili je, ścigani wyrzutami najgwałtowniejszemi.

Zgody nie było;—noc przeszła jako rozjemca, sporom kładąc koniec.

Ksiądz Janko, nadzwyczaj szczęśliwy, Bogu dziękował za cudowne nawrócenie obłąkanych, a nazajutrz po

tem, co spotkało księdza Szczepana i Wyszona, już ich liczył do swoich. Lecz tych dwu nie dawało jeszcze większości. Zwołano kapitułę na nowo. Rozeszła się gorzej jeszcze podrażnioną i rozdwojoną.

Groziła zupełna schizma. Ksiądz Jakób ze Skarzeszowa radził dać czas do rozwagi, namysłu i modlitwy... Lecz z dniem każdym umysły się mocniej rozgrzewały, niechęci wzajemne rosły.

Naostatek rzucił ktoś cicho myśl, aby unikając gorszących waśni w łonie kapituły, wybrać trzech arbitrów i im stanowczy wybór powierzyć.

Nim jednak przyszło do zgody na to i do wyznaczenia rozjemców, niemało upłynęło czasu.

Ksiądz Janko, stojący na czele tych, którzy przeciw wyborowi Pawła opór stawili, zachorował mocno. Inni, wodza pozbawieni, gdy i ksiądz Jakób ze Skarzeszowa na kapitułę nie przychodził—osłabli znacznie na duchu. Ciągnęło się bez końca bezkrólewie, nużące już wszystkich, nawet najcierpliwszych.

Jednego wieczora niespodzianie zaczęto się dopominać o wybór arbitrów. Jak przewidywano padł on na księdza, Szczepana i kanonika Wyszona, potajemnie sprzyjających Pawłowi z Przemankowa.

Dnia tego był on już pewien, że zostanie obranym i sposobił się do tego.

Pomiędzy świeckiem i zakonnem duchowieństwem Krakowa i okolicy chodziły o przyszłym biskupie wieści najsprzeczniejsze. Tęskno oczekiwano pasterza i wodza, a Dominikanie i Franciszkanie codzień się o to do Ducha świętego modlili.

Aż dnia jednego uderzono we dzwony o niezwyczajnej godzinie. Ruch wielki widać było koło kapitularza i wołanie w ulicy:

— *Habemus Episcopum!*

Ludzie którzy tęsknie oczekiwali na to, nie pytając już o imię, poczęli biedz do kościołów, księża do ołtarzów, aby zanucić zwycięskie *Te Deum*

W świetnym orszaku tych, co po niego pośpieszyli, tryumfujący Paweł jechał do kapitularza, w którym z po-

sępnemi twarzami oczekiwało nań pół duchowieństwa, w głębokim smutku, ze łzami w oczach.

Blady, ledwie z choroby powstawszy, ksiądz Janko łamał dłonie, powtarzając:

— Zbaw Ty nas, Panie, bo upadliśmy głęboko, i ręka Twa chyba podźwignąć nas może!

Lud, widząc elekta, wołał:

— Niech żyje!

— Za nim szli arbitrowie, uśmiechający się do siebie...

II.

Pod Krakowem, u Prądnika na Skale, gdzie niedawno stanął klasztor Klarysek, przez królowę wdowę, siostrę rodzoną Bolesława krakowskiego Salomeę, założony— smutnego dnia jesieni widać było jakiś ruch niezwykły w tem miejscu ciszy i spokoju.

Ustronie to, wzniesione wysoko, odosobnione od świata, oddzielone od niego nietylko murem, ale całem życiem swem, kryło w swem wnętrzu drugą Jadwigę pobożną, naśladownicę jej, Salomeę.

Wiek to był obfity w święte niewiasty, bo i Kinga poślubiona Bolesławowi, bratu Salomei, szła w ślady tamtych, a w tropy swej świętej patronki, cesarzowej Kunegundy.

Ten poryw ducha ku niebiosom z pogardą wszech ziemskich rzeczy zaraźliwym był. Imał się on kwiatów najpiękniejszych, szerzył po książęcych dworach. Zawierano małżeństwa, aby żyć bezdzietnie i z osobna, nie zbliżając się do siebie, zdejmowano szaty kosztowne dla przyozdabiania kościołów niemi—nie widziano nic, oprócz niebios nad sobą.

Niewiasty pobożne nawracały mężów; mężowie szli za niemi posłuszni. Rycerstwo świeckie przeistaczało się

w duchowne, włosienice zastępowały zbroje. Śmierć była celem, nie życie.

Na Skale ze swemi Klaryskami dokonywała tak świętobliwego żywota królowa Salomea, równie pobożna, jak Jadwiga Śląska, cichszego ducha, zatopiona w sobie, osamotniona, bezdzietna, wyschła od dobrowolnego męczeństwa. Przyszła tu pod sam Kraków położyć się ze swym obozem zakonnic, może dlatego, ażeby żonę brata zyskać niebu, a wyrwać małżonkowi.

Z Salomeą częściej obcowała księżna Kinga, niż z mężem, którego unikała. Tu jej najlepiej było; wzdychała do tego świętego ustronia.

Posły codziennie biegały z Krakowa do Skały i ze Skały do Wawelu. Na drodze co kilka dni widać było kryty wóz pani Kingi, śpieszącej do królowej, którą czciła, jak matkę. Raz tu przybywszy, pobożna pani wyrwać się stąd nie mogła.

Dnia tego niespokojne poruszenie jakieś panowało w klasztorze od rana. Królowa Salomea przepowiadała śmierć swoją. Przerażone siostry wysłały po księżnę Kingę, po kapłanów i lekarzy. Lecz nic się nie zdawało jawnie zwiastować tego końca świętej pani, która mówiła o nim z uśmiechem i spokojem. Jak codzień, kazała się wieść na modlitwę, klęczała na niej długo, na licu jej białem, ślicznem, anielsko wypogodzonem, choć wiek je już okrywał zmarszczkami, jaśniała młodość ducha nieśmiertelnego. Coś niebiańskiego promieniało z oblicza, którego ani starość, ni cierpienia nie potrafiły zasępić.

W tych rysach, lekko poszczerbionych, zdała się z wnętrza nawskroś przebijać młodość niespożyta czystej duszy. Nie była to owa Jadwiga Śląska z twarzą surową i groźną, która o walce jakiejś z sobą i świata świadczyła. Na jej obliczu jaśniało już zwycięstwo i niezmącona niczem cisza błogosławiona. Tamta karciła często, widziała w ludziach grzech ukryty, sięgała wzrokiem do ciemnych głębin—ta patrzała w niebo i już, oblubienica niebieska, z oczyma zwróconemi ku światłości, która ją zaślepiła, nie znała może świata.

Anielska ta postać tem się wydawała jaśniejszą, iż

orszak towarzyszących jej sióstr Klarysek wcale różną miał barwę. Były to niewiasty i dziewczęta pozbierane z różnych stron, z różnych stanów, przez miłosierdzie, w większej części nieobyte jeszcze z życiem zakonnem, które, choć je starsza matka, Czeszka Klara, starała się nałamywać do surowej reguły—dziko się z niej wyrywały. Przykład pani nie starczył, a Salomea surową być nie umiała. Serce miłością wielką osłaniało wszelką winę.

Dziwnie wydawały się te młode siostry Klaryski, gdy się tylko cokolwiek z pod surowego oka Klary wyrwać mogły. Naówczas w tych jeszcze nieokiełznanych dziewczętach odzywały się pragnienia świata, tęskniące za swobodą, pokątne pieśni przychodziły im na pamięć, wspomnienia dziecięcych lat i życiaw śród ludzi. Wybiegały do ogródka ku murom, ku wrotom, aby choć tchnąć wolniej, choć okiem rzucić dalej, choć popłakać i pośmiać się cicho. Matka Klara miała z tą swą trzódką, niebardzo sfroną, troskę wielką,a gdy się na to skarżyła, królowa Salomea odpowiadała jej łagodnie:

— Łaska nie przychodzi odrazu, z pokusami walczyć potrzeba, czas i modlitwa oczyszczą i wybielą te duszyczki.

Najpiękniejszą z tych siostrzyczek młodszych, ale najmniej dającą się powodować matce starszej, była Bietka z Krakowa. Ojciec jej, zubożały ziemianin, był jakimś urzędnikiem przy książęcym dworze; on i matka odumarli ją sierotą bardzo młodo. Kinga pani dała ją na wychowanie Salomei, ulitowawszy się opuszczonej.

Dziecię było cud urody: czarne oczy ogromne, usta maluśkie, nosek prosty jak wyrzeźbiony, nizkie, gładkie czoło, policzki rumiane i cała postać zręczna, gibka, zwinna, silna. Coś wschodniego, niby południowego, miała w licu, płeć odrobinę śniadą, w wejrzeniu ogień wielki i śmiałość. Taką, jaką się dzieckiem obiecywała, wyrosła szesnastoletnią: mimo klasztornej surowości—dziką, nieuznoszoną, buntującą się duchem. A że wszyscy ją dla nadzwyczajnej piękności lubili i dużo pobłażali, królowa Salomea się nią opiekowała wraz z Kingą, matka też Klara nie karciła jej zbyt surowo. Przyszła zakonnica rosła sobie dość swobodną.

Przychodziły na nią dnie i godziny, gdy się w pobożność wielką rzucała gwałtownie, wszystkie inne siostry prześcigając w postach, modlitwie, biczowaniu i mękach, jakie sobie zadawała. Wśród tych uniesień namiętnych często upadała na siłach—zniechęcała się i jakby nie otrzymała tego, co się spodziewała, zrażona, buntowała się po tem straszliwie. Pod pozorem choroby kryła się po kątach, biegała po ogrodzie, widywano ją płaczącą, leżącą na ziemi, wołającą wyzwolenia śmierci.

Królowa uwiadomiona o tem, przypisywała to szatanowi, matka Klara radziła leczyć modlitwą, lecz nie pomagało nic, aż siły się wyczerpały, wróciło odrętwienie, spokój, rozpacz niema, a po niej nowe porywy i modlitwy.

Mimo tych przemian dziwacznych, wiele sobie po niej obiecywano. W klasztorze, wśród dziewcząt innych, ona była niby panią, ona widziała najjaśniej, rozumiała wszystko najlepiej, uczyła się najłatwiej, gdy chciała. Głos jej, gdy śpiewała, poruszał do łez czasami; słuchając jej zapominano o modlitwie. Łzy i łkanie miała w głosie.

We wszystkich robótkach niewieścich, dozwolonych zakonnicom, ona celowała.. Zdało się, jakby uczyć się ich nie potrzebowała, jakby z sobą na świat wiadomość ich i wprawę nawet przyniosła. Dość jej było spojrzeć na coś, aby wynaśladować, odgadnąć, coś swojego dodać jeszcze.

Tylko cnoty, jakich wymagała reguła, pokory i łagodności, najtrudniej wpoić w nią było. Choć się czasem do nich zmuszała, natychmiast krnąbrna natura brała górę, twarz płonęła dumnym wyrazem, oko czarne zapalało się ogniem, ramiona podnosiły i nieokiełznana, dzika dziewczyna wychodziła z pod brunatnej sukni zakonnicy.

W tym habicie grubym, z tą zasłoną prostą nad czołem, Bietka bez żadnego stroju, z obciętemi włosy, które jej ciągle z niezmierną siłą odrastały bujnie—była tak piękną, że kto ją ujrzał po raz pierwszy, musiał stanąć zdumiony.

Inną jakąś zdawała się, istotą wyższą nad te, co ją otaczały; wszystkie się przy niej wydawały chłopkami, ona królową. Czuła ona to dobrze i rozkazywała, milcząc nawet.

Dnia tego z kolei przypadła na nią służba przy królowej Salomei, która miała do niej słabość. Nie była ona ciężka, bo pani ta nie potrzebowała prawie żadnej posługi, nie żądała nic, żyła nieustannym zachwytem nad ziemią. Ziemskie życie należało jej przypominać, inaczej nie jadłaby była, nie piła, nie poszła na spoczynek. Spowiednik zmuszał ją do pamiętania o sobie, tak, jak księżnę Jadwigę.

Teraz, gdy sobie zgon rychły przepowiedziała, to oderwanie się od ziemi większe jeszcze było i zupełniejsze. Zapatrywała się w niewidoczne dla drugich niebiosa, odpowiadała na głosy dla innych niepochwytne, które ponad nią ulatywaiy, uśmiechała się do niewidzialnych, otaczających ją postaci. Leżała tak z rękoma założonemi, rozmarzona, szczęśliwa, jakby ją już mieli pochwycić skrzydlaci posłowie w obłoki. Zlekka zaledwie pierś jej podnosiła się westchnieniem.

Matka Klara i siostra Bieta, patrząc na nią, widziały, jak się im w oczach mieniła, rozjaśniała, rozpromieniała, odmłodniała. Coś cudownego było w tem obliczu, w przededniu zgonu odkwitającego młodością. Pierwszy raz teraz matka Klara uwierzyła, że zgon się jej zbliżał, bo oblicze to do życia nie było stworzone.

Nadchodził wieczór, gdy w podwórzu szmer się zrobił — przybywała pani Kinga. Była dopiero we wrotach klasztornych, gdy Salomea zbudziła się jak ze snu niebiańskiego, zwracając ku wnijściu oczy, płonące radością nową i inną. Było to ziemskie uczucie, choć z niebieską miłością pokrewne.

Kinga biegła niespokojna, nie pytając nikogo po drodze, choć zakonnice, przyklękając przed nią, spotykały ją i wiodły, szepcząc coś. Nie słuchała ich, lękała się może złą usłyszeć nowinę. Śpieszyła.

I to była święta pani, duchem rodzona siostra Salomei i Jadwigi, lecz młodość z całą swą krasą czyniła ją jakby białą lilią, co się zaraniem wiosennem rozwinie. Piękną była, jaśniała wdziękiem dziewiczym, choć wszystka ta krasa nie zdała się stworzoną dla ziemi, nie było w niej nic ludzkiego, oprócz tęsknicy dusz wygnanych.

Blada i bez rumieńca, płci nie świetnej, przygasłej,

twarz miała narysowaną przedziwnie, oczy czarne i rzęsy, co jak zasłony spadały u tych okien ducha, bojaźliwie otwierających się ku światu. Maleńkie usteczka, ledwie widocznym prążkiem przecinały owal twarzy, nieco zwężony i schudły. Wyraz ich był łagodny i przelękły, a mimo to na czole w wejrzeniu coś zwiastowało silną wolę, czujną i nieuśpioną baczność. Piękne jej włosy czarne starannie były pokryte czepcem, prawie do zakonnej podobnym zasłony. Suknię miała szarą i nieozdobioną, żadnych błyskotek na niej, tylko do podróży, jako oznakę dostojeństwa, musiała wdziać płaszcz, który się z ramion jej zsuwał. Suknia wielkiemi fałdy spadała na postać szczupłą i wiotką, którą post, bezsenność i modlitwy wysuszyły.

Coś cichego, skromnego było w tej pani królewskiego majestatu, a anielskiej skromności. Głos, którym się odezwała, w progu stanąwszy i ujrzawszy Salomeę, brzmiał, jak dziecinny, słodko i łagodnie. Wyciągnęły ręce ku sobie.

— Siostro moja!

— Królowo!

Poklękła Kinga przy łożu i uścisnąwszy się, pozostały tak długo połączone z sobą, nie mogąc przemówić słowa. Obie czuły, że to był może uścisk na ziemi — ostatni.

Matka Klara i inne zakonnice, które do progu towarzyszyły księżnie, cofnęły się do niego. Dwie święte niewiasty zostały same.

Wśród tego milczenia dał się słyszeć dzwonek klasztorny, wołający do chóru na modlitwę. Dla obu ich był to znak, iż trzeba było o sobie dla Boga zapomnieć.

Salomea siadła, składając ręce wychudzone, a Kinga pozostała przy niej na klęczkach — pochyliwszy głowę. W korytarzu słychać było śpiesznie przesuwające się zakonnice i nowicyuszki, które śpieszyły do chóru.

Duchem zjednoczone z niemi, dwie pobożne niewiasty poczęły odmawiać modlitwy wieczorne. Wkrótce też wśród ciszy, dały się zdala słyszeć śpiewy, a po nad niemi górujący siłą namiętną — która się dziwnie

odbijała w uszach słuchaczek – śpiew Biety. Ta, nawet do Boga się odzywając, nie mogła się zmusić do pokory, a w dźwięku jej brzmiała boleść, wyrzut, coś zbuntowanego i przerażającego zuchwalstwem.

Na twarz królowej Salomei wystąpił wyraz boleści i niepokoju. Lecz śpiewy wnet ucichły, zagłuszone szmerem modlitwy.

Noc już nadchodziła, sługa wniosła lampkę oliwną. Skończyły się pobożne ćwiczenia, królowa, zwrócona ku Kindze, odezwała się głosem drżącym:

— Raduj się, siostro moja, szczęściem mem, albowiem maluczko oczy te ujrzą oblubieńca i zrzucą z siebie szatę niewoli cielesnej.

— Królowo ma! królowo! a ja zostanę tu sierotą! — odparła Kinga. — Tyś mi była siostrą, matką, nauczycielką, przykładem, pociechą i tarczą! Cóż poczne bez ciebie?

Walczyć będziesz, jakom ja walczyła... — cichym głosem mówiła Salomea—o siostro moja droga! Skarb ten, dla którego tu cierpimy, nie jest-że wart tej ofiary?

— A! — ciągnęła dalej Kinga wciąż na kolanach u łoża królowej — chciałabym, jak ty czystą pójść do niebios w białej chrztu szacie, niezmazanej żadną ziemską namiętnością, lecz życie długie! Stan mój ciężki! Ten, którego mi za męża dano, pobożny, lecz po ziemsku jeszcze miłujący mnie.

Zakryła twarz śliczną rękami.

— Siostro moja, — poczęła Salomea — ty mi własne moje powtarzasz dzieje. I jam przetrwała toż samo, i mój Koloman kochał mnie ziemską miłością, pókim w nim niebieskiej rozżarzyć nie potrafiła.

Tu jakby jej głosu zabrakło, sparła twarz na ręku i milczała chwilę.

— Posłuchaj — odezwała się po namyśle, nie patrząc na Kingę — posłuchaj! Byłam jeszcze młodą naówczas, bardzo młodą... pokusy cielesne miały jeszcze władzę nade mną. Staczałam bój z niemi. Musiałam nietylko miłości Kolomana, ale własnej dla niego się zapierać. Raz, pomnę ten dzień próby! Ja, com zawsze cho-

dziła ubogo i skromnie odziana, starając się pozbyć znikomej piękności, mającej pójść robactwu na pastwę, raz, gdy męża mojego nie było na zamku, uległam myśli grzesznej. Dokoła mnie wisiały mnogie szaty wytworne, klejnoty piękne, których nigdy nie tknęła ręka moja. Byłam sama, dziecinny umysł mój nie widział niebezpieczeństwa. Dokuczała mi myśl uparta, abym choć raz, raz w życiu zobaczyła się taką, jakąbym mogła być, gdybym się nie wyrzekła świata. Prędko zwlekłam z siebie szaty potargane, znoszone, ubogie, które mnie pokory uczyły. Gorączkowo poczęłam się przystrajać, ubierać, wkładać na siebie te stroje bogate i najdroższe klejnoty. Piekły mnie one, jak uścisk grzechu... ale żądza jakaś nie dopuszczała tych kajdan pokruszyć. Stałam tak strojna, drżąca, przelękła i uradowana sobą, gdy się drzwi otwarły. Mąż mój stał w progu, zdumiony, ujrzał mnie w całym blasku piękności, której nigdy nie oglądał. Zapłonęło mu lice, rzucił się ku mnie, namiętnie chwytając i cisnąc ku sobie.

Księżna Kinga, słuchając, krzyknęła.

— A! straszna to była chwila! Jam postradała pamięć z trwogi wielkiej, czułam bicie jego serca, oddech jego żarzący na twarzy — westchnęłam o ocalenie do Boga! Wtem Koloman, któregom usiłowała odtrącić, puścił mnie, załamał ręce i krzyknął: — Boże! jakąż ja dla ciebie czynię ofiarę! Zapłoniona, padłam na ziemię, modląc się i szlochając. Wyszedł. Odtąd nie widziałam już nigdy tych sukni grzechu. Siostro moja — i ty tak czynić musisz, abyś nie znikomą pięknością, ale cnotą twą stała się mężowi drogą.

— Królowo moja — odparła Kinga — ty wiesz! Już on raz odepchnął mnie gniewny i porzucić chciał— już byłam raz w klasztorze... i u tego portu byłabym została — ale nie o moją jedną szło mi duszę. Na to nas Bóg związał ślubem małżeńskim, abym go prowadziła do światła, abyśmy razem zyskali wieczną szczęśliwość! Długie życie, długą walkę mam przed sobą!

— A dla mnie ona z jutrem się kończy! Jutro —

zawołała radosnym, ale już słabym głosem królowa Salomea—jutro Bóg mnie do siebie powoła!

Całą noc spędziła Kinga przy łożu królowej, która, jakby w oczekiwaniu przyjścia oblubieńca, gotując się na gody — to drżała radością nadziemską, to modliła się, całowała i błogosławiła bratowę.

Dla obu tych niewiast pobożnych noc to była uroczysta, dziwna. Mroki jej rozjaśniały widzenia, sen przeplatała modlitwa. Była pół snem, pół marzeniem, potęgującem się gorączką coraz większą i podniesieniem ducha. Wśród ciszy klasztornej, którą tylko szum wiatru, odbijającego się o mury przerywał, odzywał się czasem czujny dzwonek i pieśni zakonnic brzmiały zdaleka.

Zakonnice też nie spały, przepowiednia królowej, która była duszą klasztoru, napełniła siostry trwogą. Co miały począć bez tego opiekuńczego anioła, bez tego wodza, bez tej siły, co niewidoma nigdzie na każdym podpierała je kroku? Niewysłowionej dobroci królowa zdawała się cichym gościem tylko, lecz świątobliwością swą była panią i mistrzynią. Od jutra miało jej zabraknąć.

Wieść o tej przepowiedni, o której nikt nie wątpił, bo każde słowo Salomei się ziściło — ze Skały już doszła była do Krakowa. Wiedziano o tem na Wawelu, a tegoż dnia i na Wiślnej ulicy w biskupim dworze u ks. Pawła z Przemankowa.

Pasterz ten nowy, jak powiadali wszyscy, postrachem stał się dla kapłanów, co pamiętali czasy pobożnego Prandoty. Wdziawszy suknię we Wrocławiu, wyświęcony razem na kapłana i pasterza za łaską papieskiego legata, którego zyskać sobie potrafił, zabiegłszy mu drogę — zaledwie dni kilka powściągnął się od starego swojego obyczaju.

Wkrótce powrócili na dwór myśliwcy, zausznicy, drużyna wesoła, czeladź pańska płci obojej, rozpasanie ziemianina, żyjącego w swawoli pogańskiej. Ze zgrozą patrzali na to starzy duchowni, jak ks. Jakób ze Skarzeszowa i kanonik Janko. Jeśli nie ze słów, to z twarzy mógł rozpoznać biskup, jakie w nich budził uczucia, ale

zuchwały pan szydził z nich i naigrawał się z nieprzyjaciół a odgrażał.

Książę Bolesław i żona jego, Kinga, szanując w nim ojca duchownego, przerażeni byli tem, co im codzień o nim donoszono, co jawnem było i świadomem wszystkim. Zżymał się książę Bolesław, lecz poczynić nic nie śmiał przeciwko biskupowi, nad którym władzy nie miał.

Księżna Kinga wierzyć nie chciała temu, co rozpowiadano.

Codzień z nowemi przychodzono na dwór wieściami. Szczególniej Toporczycy dwaj, księciu ulubieni łowów jego towarzysze, biskupa potępiali przed panem, i z oburzeniem się o nim odzywali.

Przychodziły skargi z miasta, ze wsi—od księży. Jak pamięć ludzka sięgała, nikt takiego pasterza nie pomniał. Część surowsza kapituły zwała go Antychrystem.

Szemrano na dworze, a ze dworu szmer ten dochodził na ulicę Wiślną. Biskup nań odpowiadał wzgardliwem ruszeniem ramion:

— Niech siebie pilnują, ja za me sprawy odpowiadam. Nic im do nich!

Dawniejsza niechęć ku Bolesławowi rosła coraz w biskupie, o pobożnym księciu odzywał się lekceważąco.

— Jemu nie księciem, a mnichem zostać było, a żonie zakonnicą. Nie powinien był na stolicę wchodzić której bronić nie umie. E! Konrada nam tu trzeba i Mazurów, aby za łby wzięli tych świętych i rozpędzili ich, a panowali nam po rycersku. Wszystko to Niemce są a przez nich i my poniemczejem!

Nie taił się z tem ks. Paweł, że nie w smak mu były rządy ówczesne. Nie zrywał jednak ani z panem, ani z dworem, tylko gdy się z nimi spotkał, dumniejszym się stawał i szorstkim umyślnie.

Gdy wieść o umierającej królowej Salomei nadeszła na dwór biskupi, noc już była, wesoły stół obsiadali zwykli towarzysze ks. Pawła.

Biskup zadumał się nieco.

— Tamby mi przystało być — rzekł, — jeżeli królowa zemrzeć ma! Rozporządza jeszcze znacznemi skarby, które z sobą z Węgier przywiozła. Dla kościoła i dla nas cośby się z nich dało pozyskać!

— Wszystko pono wezmą ulubione Klaryski — odezwał się butny ksiądz Szczepan. — Niema się tam już czem pożywić.

— Ale próbować trzeba — odrzekł biskup. — I tak, jutro piątek, polować nie mogę. Ci długojęzyczni zaraz paplać będą, trzeba im gęby zamknąć. Niech mi jutro gotowe będą woźniki do Skały.

— A komu, miłość wasza każecie z sobą? — zapytał młody księżyna, kapelan, ulubiony biskupowi.

— O! chce ci się zajrzeć do młodych zakonniczek— roześmiał się rubasznie biskup. — A no! nic z tego! Wezmę starego księdza Piotra, aby świętych niewiast nie bałamucił.

Niektórzy uśmiechali się ukradkiem, inni szeptali wesoło między sobą.

Nazajutrz rano do dnia kolebka stała u drzwi, a biskup Paweł z sędziwym księdzem Piotrem i z kilku dworzany wyruszył do Skały.

Przybył tu właśnie o tej godzinie, gdy zakonnice, z chóru wychodzące, przechadzki po ciasnym podwórku używały.

Trochę słońca świeciło na szarem niebie.

Traf chciał, aby biskup, dla którego klauzura stała otworem, wchodząc na próg, spotkał Bietę, której nigdy jeszcze nie widział.

Zakonnica, wedle zwyczaju, przyklęknęła przed nim z pokorą, sięgnęła po błogosławiącą rękę do ucałowania, podniosła oczy, ukazała twarz prześliczną.

Ksiądz Paweł osłupiał zdumiony. Przybrana powaga opuściła go, oczy mu się zaiskrzyły, zapomniał o szatach i o dostojeństwie, z namiętnością zepsutego człowieka, począł się uśmiechać do klęczącej i głaskać ją po twarzy.

Wzrok Biety spotkał się z temi oczyma pożądliwe-

mi, jad lejącemi z siebie. Dziewczę zbladło ze wzruszenia, zasromało się, o mało nie mdlejąc.

Scena ta niema, straszna w tym progu klasztornym, jak świętokradztwo, straszniejsza jeszcze myślą o konającej tuż, o trzy kroki błogosławionej pani — byłaby przeciągnęła się może, gdyby matka Klara nie zbliżyła się na powitanie pasterza. Bieta zaledwie mogła podnieść się z ziemi, sparła o ścianę i oczy swe czarne, które łzami zaszły, zwróciła jeszcze ku odchodzącemu biskupowi.

Ksiądz Paweł zadrżał, chciał zawrócić się, ale mu już zasłoniono Bietę — oprzytomniał. Prowadzono go do izby królowej.

Gdy oznajmiono o przybyciu biskupa, na twarzy dwóch niewiast wystąpiła bladość trwożna. Potrzeba było przełamać wstręt do człowieka, a uczcić pasterza.

Ksiądz Paweł tam, gdzie jako biskup występował, godność swą wysoko nosił, i tu wszedł jako dostojnik Kościoła, jako poseł, niosący pociechę.

Z pokorą niemą przyjęły go dwie pobożne panie; Salomea, spuściwszy oczy, unikała wejrzenia nań, księżna Kinga w cieniu usiadła na boku.

Ofiarował się ks. Paweł do modlitwy. Tu zniknąć musiał człowiek, grzeszne naczynie, przez które łaska zstąpić mogła. Cicho, z przejęciem szeptano za nim modlitwy.

Po skończeniu ich biskup wystąpił ze słowami pociechy, napomykając o tem, iż kościół za duszę królowej modlić się będzie i pamięć jej uczci. Umiejętnie wspomniał o ubóstwie Kościoła i swojem, Kościół właśnie ołowianego potrzebował dachu, bo wieże zaledwie nim były pokryte.

Królowa, jakby zatopiona w sobie, nic na to nie odpowiedziała. Musiał więc, zawsze niecierpliwy, nie mogący długo na jednem wytrwać miejscu, duszący się tą atmosferą klasztorną, Paweł pożegnać, błogosławiąc królowę, która już ostatnie pomazanie rano z rąk spowiednika swego Wojciecha, przyjęła. Testament był też spisany,

do którego na świadka tylko został wezwany wraz z dwoma gwardyanami, lektorami i innymi duchownymi.

Nie mając już tu co czynić, byłby biskup odjechał nazad, gdyby go grzeszna myśl nie wstrzymywała.

Wyszedłszy od królowej, począł badać matkę Klarę. Salomea na ten dzień przepowiedziała zgon swój chciał dotrwać, aby być świadkiem. Otwarto refektarz dla niego.

Po korytarzach przechodząc, śmiało wodził oczyma. Zakonnica widziana nie wychodziła mu z pamięci. Zażądał zwiedzić cele klasztorne... a choć zakony reguły św. Franciszka nie należały właściwie do biskupiej władzy — któż mógł pasterzowi wzbronić ich widzenia?

I znowu to, co się nazywa trafem, a co jest zagadką, nierozwikłaną przeznaczeń ludzkich — sprawiło, iż pierwsza celka, do której wszedł, była tą właśnie, w której Bieta zmieszana, w oknie oparta na łokciach stała zamyślona o tym wzroku, co ją przeszył, od którego drżała jeszcze.

Gdy biskup wszedł, odwróciła się szybko ku niemu zarumieniona, stokroć piękniejsza, niż gdy ją oglądał raz pierwszy, bo oko namiętne rozeznać w niej mogło niepokój zmysłów i ducha.

Ujrzawszy ją, ks. Paweł zwrócił się do matki Klary, prosząc, aby mu kazała przynieść wody. Spodziewał się na chwilę sam pozostać z zakonnicą.

Tak się też stało. Matka zamiast wysłać Bietę, pobiegła sama.

— Kto ty jesteś? — zapytał żywo biskup z zuchwalstwem świeckiego człowieka, zbliżając się do niej i chwytając ją za ręką drżącą.

Dziewczę, znowu napół omdlałe ze wzruszenia jakiegoś, ledwie się na niewyraźną zebrało odpowiedź.

— Co cię do klasztoru wpędziło— pytał natrętnie biskup. — Nie zdajesz się do niego stworzona! Piękną jesteś!

Spojrzał jej w oczy natrętnie i nie czekając odpowiedzi, dorzucił:

— Chcesz z niego wyjść? Ja ci pomogę do tego!

Słysząc szelest sukni i chód matki Klary, Paweł odstąpił od zakonnicy. Bieta cofnęła się ku oknu.

Przyniesioną wodę podano biskupowi na klęczkach. Pił ją, patrząc z ukosa na zakonnicę, która też ostrożnie mierzyła go oczyma, wcale nie bojaźliwemi. Była w nich jasna odpowiedź na pytanie: — Chesz-li wyjść?

Słowo to szatańskiej pokusy w piersi jej tkwiło, tętniało w uszach, biło krwią, w sercu falując.

Biskup wyszedł z matką Klarą, Bieta została sama; nie wiedziała, co się z nią działo. Słyszała tylko powtarzające się ciągle:

— Chcesz-li wyjść stąd?

Wyjść! Wyjść na świat otwarty, wesoły, na którym była swoboda, spoczynek, sen, radość, wszystko, o czem marzyła—nieszczęśliwa — wyjść! Za wrotami we snach raj widziała!

Śluby, przysięga, niebo, znikły z jej oczu. To, za czem tęskniła, mogło się ziścić. On obiecywał jej wolność, on, co był tu panem i władcą! Wyjść! brzmiało jej na modlitwie, wyjść! piekło ją jak żagiew, do serca przyłożona. Zdawało się koniecznością uciec stąd — wrota stawały otworem! W świat—którego nie znała!...

III.

Uroczysty był pogrzeb królowej Salomei, którą ogłoszono świętą za życia. W bocznej kaplicy, przy kościele na ten cel zbudowanej, miano złożyć jej zwłoki.

Z Krakowa książę Bolesław, Kinga, dwór, duchowieństwo płynęło dnia tego do Skały, tysiące ludu śpieszyło do zwłok tych świętością wonnych, których dotknięcie sprawiało cuda.

Biskup Paweł musiał tu być z obowiązku, ale nie śpieszyłby może tak z jego spełnieniem, gdyby grzeszna namiętność nie ciągnęła go do Skały. Zepsuty a bez-

wstydny człek dawny obudził się pod tą suknią, która powinna go była oczyścić i odrodzić. Walczył z sobą, przemódz się nie chcąc i nie mogąc.

Cóż zresztą znaczyła jedna zakonnica biedna, i czy to był pierwszy przykład ucieczki z klasztoru? Książęta porywali za żony oblubienice Boże i uchodziło im to bezkarnie. Życie biskupa było wprawdzie na oczach ludzkich, każdy krok jego liczony i sądzony — lecz czyż ukryć się z tem nie było sposobu?

Myśli te dręczyły księdza Pawła, nawet gdy sprawiał smutny a uroczysty ów obrzęd, który we wszystkich budził pobożność najgorętszą.

Dnia tego, wiodąc zwłoki, przewodnicząc duchowieństwu, duszą był gdzieindziej, a oczyma szukał za kratami chóru onej Biety. I znalazł ją tam. Nie ją samą, ale z pomiędzy szczebli patrzących na się dwoje oczu rozżarzonych, w których całe piekło gorzało. Oczy te gonić się za nim zdawały i rozpłomieniły go na nowo.

Gdy po odbytem nabożeństwie poszedł spocząć do refektarza, nie pozdrowiwszy nawet księcia i jego małżonki — rozmyślał tylko, jakimby sposobem mógł, nie budząc podejrzenia, rozpytać matkę Klarę o tę zakonnicę.

I byłby zapewne znalazł pozór do tego, gdyby nie wprowadzono tu również potrzebującego wypoczynku księcia Bolesława. Towarzyszyła mu żona, lecz nie chcąc zeprzeć się na jego ręku, szła opodal nieco za nim. Wiemy już, jaki był stosunek dworu książęcego i pasterza. Dwaj Toporczycy, główni nieprzyjaciele księdza Pawła, właśnie towarzyszyli Bolesławowi.

Książę był naówczas w sile wieku, postać miał wdzięczną człowieka jednak zawczasu już dosyć znużonego życiem. Z twarzy, z oczyma obojętnie patrzącemi, wiało znękanie i zastygnięcie. Zgasł w oczach płomień rycerski, męska buta, pańska siła; panowanie i dostojność ciążyć mu się zdawały. Dźwigał je, jak człowiek, co się od brzemienia uwolnić nie może, nawykł doń, lecz złamany już zwątpił o sobie i zobojętniał na wszystko.

Książę, jak cały dwór jego, jak większa naówczas

część Piastów, strojny był i zbrojny z niemiecka. Język też ten wśród jego dworu najczęściej się słyszeć dawał. Szaty pańskie dosyć niewykwintne leżały na nim ułożone bez starania, noszone bez dbałości o nie. Pas się zsuwał na jedną stronę, suknia pod płaszczem była porozpinana i niebacznie na guzy pozaciągana tak, że się kurczyła i wyginała na nim. Włos niedbale rozrzucał się na głowie.

Zobaczywszy biskupa, Bolesław go chłodno pozdrowił, biskup skłonił się chmurny i zasępiony, nie śpiesząc panu dworować. Kinga na boku stanęła w żałobnych szatach, owinięta płaszczem, jakby księdza Pawła widzieć nie chciała.

Książę i biskup, od dawna wstręt czujący ku sobie, jedno mieli wspólne upodobanie, — oba równie byli zapalonymi myśliwcami. Dla księcia Bolesława łowy i psy stanowiły jedną żywszą zabawkę w życiu, przyjemności pozbawionem. Mówiono o nim, że za sforę psów łaskę sobie u niego kupić było najsnadniej.

Biegał po lasach, polując namiętnie, bo to była jedyna dozwolona rozrywka. Z żoną żyć nie było mu wolno, a Kinga jeśli go nawracać nie mogła, uciekała od niego. Gdy się do niej zbliżyć pragnął, kryła się przed nim lub przyjmowała go w otoczeniu dworu swego; sam na sam nigdy się już nie spotkali, w czem naśladowała pilnie przykład Jadwigi śląskiej. Rozmowom ich zawsze musiał być przytomnym ktoś z duchownych lub starsze niewiasty. Na łowach tylko książę się mógł rozweselić, zażyć swobody, posłyszeć śmiechy i zobaczyć twarze rozjaśnione... W domu pobożność wielka dawała życiu barwę posępną.

Łowy też miłował Bolesław nadewszystko, w psiarni najchętniej przesiadując, gdy powrócił z kościoła, i dzieląc czas między nabożeństwem a myśliwstwem.

Dwaj Toporczycy, dzielni młodzianie, towarzyszyli mu wszędzie, wyszukując ostępów, kniei, dostarczając ogary.

W tym myśliwskim zawodzie książę szedł na wyprzódki z biskupem, który nie zważał wcale, że ta zabawa

stanowi jego wcale nie przystała, a nawet prawem była wzbronioną. Szły o lepszą psy księdza Pawła z psiarnią książęcą, a biskup głośno się chlubił, iż gończe jego sprawniejsze były. I to może potrosze zniechęcało doń księcia, który o swoje był zazdrosny.

Dzień ten tak smutny a poważny wcale nie usposabiał do płochej rozmowy, biskup wszakże naumyślnie może dla okazania, jak mało dba o ludzkie języki, od niechcenia ozwał się półgłosem, iż jesień tegoroczna sprzyjała łowom, że wiele po niej obiecywał sobie. Książę spojrzał nań zimno, prawie wzgardliwie.

Stali dosyć blizko siebie.

— Sądzę — rzekł cichym głosem Bolesław — iż obowiązki powołania nie dadzą wam często zaglądać do lasu.

Ksiądz Paweł uśmiechnął się na to.

— Nie większa moja dyecezya — rzekł — od waszego księstwa... Umiem pogodzić to, co Bogu należne, z tem, co mnie potrzebne. Zbyt długo nawykłem do swobody, abym jej miał sobie nagle ukrócić... Księża też ludźmi są, a inni biskupi nietylko na łowy, lecz na wojnę chodzą. Znajdzie się czas na wszystko.

Na wyzwanie to nie odpowiadając, książę rzekł do jednego ze swoich Toporczyków:

— Gdy księża na łowy jeździć zaczną, my chyba mszę będziemy musieli odprawiać!

Usłyszawszy ten przekąs pański, ksiądz Paweł przymrużył oczy, mierząc niemi Bolesława, dając czuć, iż on go nie dorósł, aby się nań porywał. Chwilę żuł wyraz jakiś w ustach skrzywionych i odparł półcicho:

— Przystało nam tak mieniać się na zawody, kiedy żonaci książęta czynią śluby czystości.

Bolesław zarumienił się mocno, trochę poruszył się z miejsca — cofnął, ale wtem spotkawszy wejrzenie Kingi, która tę rozmowę więcej odgadywała, niż słyszała— wzrok, któremu był nawykł ulegać — uspokoił się i odzyskał obojętną cierpliwość. Udał, że nie dosłyszał szyderstwa, które mu dolegało.

Jeden z Toporczyków tylko, wyręczając księcia,

zwrócił się nieco od biskupa ku panu swemu i rzekł półgłosem:

— Gdy duchowni czystymi nie są, książęta muszą ich uczyć przykładem swoim.

Ksiądz Paweł nogą z gniewu uderzył w podłogę, ręka sięgnęła mimowolnie tam, kędy niegdyś rękojeść miecza się znajdowała.

Chciał śmiałka skarcić, lecz powstrzymał się natychmiast i zamruczał:

— Wara z językiem! *Quod licet Jovi, non licet bovi!*

Tymczasem Toporczyk, nie czekając na tę odpowiedź i słyszeć jej nie chcąc, uszedł zaraz z miejsca swego, dosyć lekceważąco okazując biskupowi, iż nie troszczy się o to, co mu powie.

Ksiądz Paweł, zburzony wielce, byłby zapewne potem wyszedł zaraz z refektarza, gdyby nie przyniesiono właśnie wina i ciasta, któremu zakonnice i dwór królowej nieboszczki, jako chlebem żałobnym częstowały. Podano je księżnie naprzód, potem księciu razem i biskupowi, który nalawszy sobie kubek wielki, wychylił go jak — Templaryusz.

Słynęli już naówczas owi rycerze, co takie mieli dać Kościołowi zgorszenie z niepomiernego picia i uczto-wania. Ci, co bywali w Syryi i Palestynie, opowiadali cuda o bogactwie i rozpasaniu, w jakiem żył zakon, który królów wyzywał, a był naówczas jedną z największych potęg groszem swym i przewrotną polityką.

Książę Bolesław zaledwie do ust przytknął napój i przełamał chleba kawałek. Jedząc, parę razy spojrzeli ku sobie, a wejrzenia te zgodą nie tchnęły.

Po długim przestanku biskup obrócił się do księcia i rzekł:

— Świętą pogrzebaliśmy! Świętą, jakich już ja dwie u nas pomnę, bom swojego czasu Jadwigę śląską oglądał żywą, wyrostkiem będąc, gdym z pod Lignicy powracał. Sposobi się też trzecia święta w małżonce waszej miłości, która obu swym poprzednicom sprosta.

Był odcień jakiegoś szyderstwa w tej pochwale,

a blada twarz księżnej Kingi, która ją dosłyszała, zarumieniła się lekko. Bolesław też odparł obrażony.

— Dla nas mężów dziś niewiasty wzorem... a choć słabemi je mienią, wnich siła jest większa, niż w nas, za co Bogu dziękować.

Biskup dwuznacznie się uśmiechnął.

— Mnieby czas — rzekł po przestanku — do Krakowa powracać. Jutro, niechybnie, dobre pole będzie, nie chcę go stracić.

I postąpiwszy krok, a księciu chcąc jeszcze dopiec, dodał z pozornem namaszczeniem:

— Wasza miłość pewnie z małżonką u grobu błogosławionej na modlitwie spędzicie.

Bolesław nie odpowiedział nic.

Skłonili się sobie zdala. Kinga pobożna, jak zawsze dając dowód anielskiej cierpliwości, wstała i z pokorą a uniżonością pożegnała biskupa. Była to ofiara, którą czyniła, przemagając wstręt, jaki doń miała. W praktyce cnót pilno się ćwicząc, nie chciała pobożna pani opuścić tej zręczności umartwienia siebie i upokorzenia.

Ruszył się naostatku biskup przez niektórych przeprowadzony do drzwi — zamaszysto, głośno, dumnie, umyślnie poruszając wszystkich za sobą, odzywając się na głos wielki, aby swą niezależność od księcia okazał. Bolesław z żoną pozostali w refektarzu.

Zwolna szedł ksiądz Paweł korytarzami, śledząc, czy nie zobaczy jeszcze gdzie tych dwojga oczów czarnych, które ciągle miał przed sobą. Czatowała też i Bieta we drzwiach napół otwartych swej celi, jakby mu się przypomnieć chciała. Spojrzała nań wyraziście i znikła.

Ksiądz Paweł, wstrzymawszy się krótko, przyśpieszył kroku i żywo począł iść w podwórze, gdzie nań już czekała czeladź z pochodniami.

— Moją być musi! — rzekł sobie.

Na wóz kazał się z sobą przysiąść zaufanemu Werchańcowi. Był to pono niegdyś parobczak z Przemankowa, który mu dawniej do psot i szaleństw posługiwał. Z kolei, od pachołka się podnosząc, doszedł do urzędnika, ochmistrza i był wielkim ulubieńcem pana. Dopomagał mu też

do wszystkiego złego. Znali się oba dobrze, a miłowali tak, jak ludzie podobni kochać mogą.

Gwałtowny Paweł okrwawiał czasem swojego zausznika, niekiedy obsypywał go łaskami. Nadał mu ziemię, lasy, młyny, ale do siebie nie dopuszczał.

Obyczaje mieli jedne, charaktery podobne, żyli w ciągłej waśni i w najlepszej zgodzie. Biskup go psem nazywał, za oczyma Werchaniec mianował go nie synem Jazdona, ale szatana.

Werchanic żonaty był z jedną z dawnych miłośnic Pawła. Ta mu pomagała do gospodarstwa we dworze i gdy sprawa z niewiastami była. Niezbyt już młoda, wyszczekana, wstydu nie mająca Zonia Werchańcowa, mogła mężowi dostać placu i do kubka, i do kłótni, i do wszelakiej swawoli. Zręczniejszą często była od niego.

Zonia niewiele więcej szanowała Pawła od męża; rozgniewawszy się nań, często w oczy go łajała, co on przebaczał, śmiejąc się, lub ujadając ząb za ząb. Mawiał czasami, że się tej baby obawiał.

— Słuchaj ty, psie — ozwał się do wozu siadłszy biskup — jak ty mi z Zonią usłużysz w tem, czego chcę, dam ci to, na coś dawno zęby ostrzył — las od Bukowej!

— Oh! oh! — odparł trochę przyjęciem pogrzebowem oszołomiony Werchaniec. — To się już Waszej Miłości czegoś bardzo złego zachciało! Drogo płacisz pewnie grzbietu, policzka, albo i życia przyjdzie nastawić.

— No, nie tak to bardzo trudną będzie sprawa — odparł Paweł i pochyliwszy się do ucha Werchańcowi, z dawną poufałością coś szeptać mu zaczął.

Werchaniec, człek chudy z pobitą twarzą, ze złemi oczyma, z nosem trochę krzywym na lewo, a ustami na prawo wypaczonemi, marszczył się, słuchając. Śmiejąc się z przymusem jakimś, biskup patrzał nań, usiłując dojrzeć, o ile światło pochodni dozwalało, co się na twarzy zausznika malowało.

Werchaniec trawił, co mu włożono do ucha, pokręcając głową.

— Za to i lasu od Bukowej za mało! — bąknął.—

Ale ja tej sprawy na sumienie nie wezmę! Pan każe — sługa musi! Gorzej będzie biskupowi, na którego i tak ludzie plują.

— Za oczyma niech plują! — odparł Paweł — o kim wiem, temu za plwociny oddam krwią!

— To się nie ukryje — ciągnął dalej obrzydły Werchaniec, twarz całą, gdy mówił, wywracając i szpecąc jeszcze wykrzywieniem.

— Nie ukryje się — to co? Nie pierwsza to będzie.

— E! — pokręcił głową ochmistrz — tu w Krakowie jeszcze tego pono nie widziano!

Zamilkłszy, jechali dalej; biskup nie spuszczał zeń oka, odgadując, co myśli. Werchaniec tarł głowę i dumał głęboko.

Ku Krakowu się już zbliżali, gdy ks. Paweł silnie go ręką po ramieniu uderzył, aż syknął z bólu.

— No, mówże! Co ty na to, psie jakiś?

— Ja? Ot nic — rzekł Werchaniec — myślę o lesie od Bukowej, bo do niego też spłacheć pola i łąki należeć musi, bez tego granica zła.

— Niech cię szatan z twą chciwością! — krzyknął biskup — pole i łąka do Cystersów należą.

— A Cystersi są w waszej mocy — rzekł spokojnie ochmistrz. — Nakażecie im milczeć. Oni łąki i pola nie spasają, nie uprawiają, co im po nich. Dam dziesięcinę z wiatru, co po polu chodzi!

Targ ten o cudze pole już był dla biskupa oznaką, że Werchaniec wziął jego sprawę do serca. Dojechali do dworu, nie mówiąc więcej, a ledwie z wozu skoczywszy ochmistrz natychmiast pobiegł do żony.

Mieszkała ona jako ochmistrzyni nad czeladzią przy dworcu samym, służbę niewieścią mając pod sobą. Działo się jej dobrze, wiedziano, co mogła i duchowni nawet, kłaniali się jej nizko. Ona najlepiej wszystkich tu znała, odgadywała słabość każdego i rozkazywała, jako chciała.

Izby, które Zonia Werchańcowa zajmowała, nieznającego je mogły w błąd wprowadzić, gdyż całe były zawieszone, upstrzone, przyozdobione świętościami. Krzyżów, obrazków, kropielnic, relikwiarzyków stało w nich

co niemiara, a niewiasta, mimo rozpasania swego, była też gorliwą w nabożeństwie. Żegnała się, klękała, biła w piersi, padała na ziemię, głośno odmawiała litanie, a im srożej grzeszyła, tem gorliwiej służyła Bogu w przekonaniu, że tem nabożeństwem za swe przewinienia zapłaci.

Nietylko ona jedna w owym wieku fanatyzmu i wyuzdanych namiętności miała tę wiarę, była ona prawie powszechną. Grzech mógł być odkupiony pokutą, a więc grzeszono śmiało, zwiększając tylko pokutę.

Zonia była kobietą lat czterdziestu, dobrej tuszy, rumianą, wykarmioną na biskupim chlebie, zawsze strojną bardzo i dbającą o resztę swych wdzięków, które wistocie niegdyś urok mieć mogły. Teraz jeszcze miała oczy prześliczne, usta bardzo małe, twarz tylko nieco się rozlała i podbródków jej przybyło.

Do szkaradnego Werchańca — było to tajemnicą akąś — miała Zonia przywiązanie namiętne, choć jej to nie przeszkadzało drugim się uśmiechać i zalecać.

Jejmość siedziała u ognia, mając przy sobie klechę od szkoły. Na stole piwo stało z kminem i grzankami. Toczyła się rozmowa wesoła, gdy się ukazał w progu Werchaniec. Przybycie jego nie obeszło wcale Zoni, klecha się tylko nieco odsunął, a stary wchodząc, zobaczywszy go, uśmiechnął się. Mąż i żona spojrzeli po sobie.

— A co!—zawołała, nie wstając z ławy — jejmość pochowaliście królowę? Ludzie o cudach prawią. Mnie żal, żem tam nie była.

Ochmistrz rzucił kołpak z głowy i o piwo zawołał: Klecha, dopiwszy swoje, począł się pośpiesznie wynosić. Gospodarz go nie myślał wstrzymywać.

Gdy pozostali sami, sługa biskupi mruknął do żony

— Toś sobie gacha dobrała!

Rozśmiał się pogardliwie.

— Ale, gacha! — odparła żywo otyła kumoszka.— Toćbym sobie urodziwszego znalazła. Jaki z niego gach! Prawi mi brednie, aby go na wikaryę gdzie swatać. Do wikaryi to gach, nie do mnie.

Werchaniec ręką zamachnął obojętnie, potem sta-

nąwszy przed nią, na dłoni palcami pokazał, jakby liczył pieniądze.

— Kiedy goły — rozśmiała się Zonia.

Na tem skończyło się o gościu.

Werchaniec, pilno obejrzawszy się dokoła, zbliżył do żony i począł jej coś szeptać do ucha. Niewiasta słuchała pilno, a z twarzy jej poznać było można oburzenie, gniew, strach i wstręt na przemiany. Wybuchła wreszcie ze złością:

— Bodaj świata nie oglądał! Patrzaj, czego to mu już potrzeba! Nie opamięta się, aż go Bóg ciężko pokarze. Jeszcze czego! jeszcze czego!

Werchaniec stał przed nią i powtarzał tylko:

— Las od Bukowej! las od Bukowej! a z nim kawał pola i łąki! Hę! hę!

— A bodaj go! — krzyknęła, chodzić poczynając po izbie baba, i przystąpiwszy do krzyża, na ścianie wiszącego, pocałowała Chrystusa w nogę.

Zrazu mocno oburzona, bo i zazdrości trochę się do tego mieszało, zwolna poczęła ostygać. Stanęła, w boki się biorąc, naprzeciw męża.

— Ty sam na siebie i na mnie postronek kręcisz!— rzekła mu. — Tyś głupi i głowy nie miałeś nigdy! Żebyś ty tego nie znał, że gdy młode stworzenie weźmie, ono go opanuje, a my pójdziemy w kąt! I ty i ja!

— No — ty, może być! — odparł Werchaniec — ale ja nie!

Żona uderzyła go po twarzy, otarł ją spokojnie.

— Miej rozum ty, co mnie głupim czynisz! — począł zwolna. — Nie zechcesz ty — użyje kogo innego. Niby ty go nie znasz, tego szatańskiego syna? Gdy mu co do głowy przyjdzie, na swojem postawić musi. Weźmie sobie inną babę do pomocy, a nam las od Bukowej przepadnie.

Ręce na piersiach założywszy, dumała, brwi marszcząc, Zonia. Przystąpiła do męża.

— Tyś ją widział?

— Ja? Albo to ja biskup? —rozśmiał się Werchaniec.—Mnie tam nie puszczają.

— Pewnie wyrostek być musi — odparła zadumana. — Tacy ludzie, jak on, starzejąc, coraz na młodsze polują. Ja ich znam.

Splunęła... Poszeptali z sobą poufale. Zonia odeszła nachmurzona.

— Co mnie do jego duszy! — wyrwało się jej po małym przestanku. — Niechaj przepada, kiedy chce! Będzie grzech straszny, na niego spadnie. Będą go pozywać i od czci sądzić, gotowi skarżyć do Rzymu.

— To jego rzecz — zakończył mąż — a nasza las dostać! Ma on plecy wszędzie! Wykłamie się i wykręci.

Nazajutrz rano Zonia poszła do dworu biskupiego, wróciła zła i zasępiona, lecz mężowi już nie mówiła nic. Przeklinała, pluła, narzekała na swą dolę i całowała obrazki. Trzeciego dnia rano poczęła się przystrajać, jak na drogę.

W alkierzu stała dawnym obyczajem skrzynia wielka, malowana w kwiaty jaskrawo, okuta misternie, na dwie ciężkie kłódki zamykana. Zawierała ona w sobie wszystkie kosztowne szaty, futra, klejnoty, które składały bogactwo ochmistrzyni. A miała tego niemało, i gdy się na święto przystroiła do kościoła, śmiejąc się, palcami ją pokazywano. Była z tego dumna, bo wyglądała jakby żona zamożnego ziemianina, a nie dbała, czem ją zwano.

Z tej skrzyni poczęła Zonia dobywać co miała najlepszego, bo wóz do podróży był już zamówiony, a w świat między ludzi naówczas każdy brał co miał najpokaźniejszego, aby wiedziano, jak go cenić. Z pomocą dziewczyny wdziała na się i suknię jedwabną ciężką, i gorset złocisty, szyty, a na głowę czepiec z futrem i zwieszonym aż pod brodę rąbkiem, jak śnieg białym, który nieco za szeroki, twarz jej zmniejszał i pozór dawał młodszy. Na szyję włożyła łańcuch ciężki, złocisty, na ramiona płaszczyk podbity, i gdy tak strojna wyszła z komory, mąż, który pił w izbie u stoła, aż się do niej chwycił z uśmiechem zalotnym.

— Toś mi piękna! — zawołał, chcąc ją objąć i uścisnąć.

— A no! Wara odemnie z ręczyskami! — krzyknęła. — Także mi gbur! Dopiero się opatrzył! jakbym ja mu taką nie codzień była!

Werchaniec odstąpił posłuszny.

— Spisz mi się tylko dobrze — szepnął, — las od Bukowej wart tego.

Poruszyła tylko głową, co stało za odpowiedź, iż lepiej nad niego wiedziała, jak począć miała i poszła poważnym krokiem do wozu. Wóz potoczył się z nią do Skały.

Nie było żadną osobliwością, gdy tam kto przybył o którejkolwiek godzinie dnia. Tłumy się cisnęły do świeżo zbudowanej kaplicy, w której spoczywało ciało, za błogosławioną uważanej, królowej Salomei. Przybycie niewiasty z Krakowa nie zwróciło niczyjego oka.

Poszła naprzód Zonia pomodlić się u grobu, chcąc skorzystać z tej sposobności, aby i grzechy swe polecić orędowniczce tak potężnej. Z kościoła potem wcisnęła się do furty, prosząc o rozmowę z matką Klarą.

Choć to jej przychodziło z trudnością, bo w domu zwykła była bardzo zuchwale występować, tu przybrała postać poważną i skromną. Popatrzyła okiem znawczyni na starą i surową matkę, pocałowała ją w rękę pomarszczoną i poczęła od tego, że miała tu w klasztorze krewną daleką, sierotę, której nigdy nie widziała, a zobaczyćby ją pragnęła i pomówić z nią. Pytana, kto była, Werchańcowa nie przyznała się wcale do biskupiego dworu. Splotła, co jej się zdało. Matka, nic się nie domyślając, sama ją poprowadziła do celi Biety, która siedząc zadumana, właśnie siatkę do kościoła wiązała.

Gdy na próg wszedłszy, ujrzała ją, usta jej aż pobielały ze złości, tak piękności zazdrosną była.

— Cóż to dopiero będzie gdy się ona przystroi?—rzekła w duchu

Długo jakoś przemówić nie mogła, ale szatan przemógł. Zgubić młodą a niewinną dziewczynę, to też dla zepsutej niewiasty dobry kąsek.

Zaczęła więc od tego, że jej po matce krewną była, cze-

mu Bieta zdumiała się, bo nigdy o żadnych powinowatych nie słyszała. Uradowało ją to.

— Cóż mi po tem! — dodała smutnie po namyśle — my zakonnice ani rodziny, ani pokrewnych nie mamy. Nie godzi się to nam.

Tak się rozpoczęła rozmowa.

Zonia, chcąc lepiej poznać dziewczę, rozgadała się szeroko, długo, wiodąc ją powoli na pokusę. Żałowała tak pięknego kwiatka, że musiał więdnąć w murach klasztornych.

— Szkoda ciebie na to, moje dziecko — mówiła, patrząc jej w oczy — tobie młodość i życie dopiero się poczyna, aniś go skosztowała. I sama byś użyła świata i drugim wesela przyczyniła.

Dziewczę westchnęło. Raz i drugi tak puściwszy się na zwiady, a widząc, że Bieta wcale klasztoru nie broni, Zonia wprost, obcesowo pochyliła się jej do ucha przyznała, że była przysłaną przez biskupa. A nie dając jej rzec słowa, dodała prędko, że człek był możny i mocny, szczodry i łaskaw, że mógł dokazać, co chciał, byle ona mu była powolną.

Usłyszawszy to, Bieta, rzuciła nagle robotę i spojrzała takim wzrokiem na Zonię, że ta się przestraszona cofnęła. Ona, co się znała na niewiastach, poczuła w niej jedną z tych, które opanować się nie dają, a same drugim panować muszą.

Jakiś czas Bieta milczała, siatkę plącząc bezmyślnie, namarszczyła brwi i rzekła:

— Niech mnie stąd wyzwoli, bo ja tu umrę, zginę, zamęczę się, zaduszę. Dobrze, niech mnie wyzwoli, niech bierze, jużbym i tak nie mogła tu wytrwać dłużej! Myślałam nieraz z muru na łeb się rzucić i rozbić o skały, tak mi to życie obrzydło w tej klatce. Ale cóż on ze mną zrobi?—zapytała naiwnie.

Werchańcowa rozśmiała się z tej prostoty dziewczęcia i pogładziła ją po ręku.

— Nie bój się — szepnęła cicho — pan jest możny, nie zginiesz, byleś rozum miała.

Bieta głową potrząsała.

— Tak mu się na wiarę zdać — odparła śmiało, z rodzajem cynizmu, jaki ma niedoświadczenie — ja nie chcę. Weźmie mnie, potrzyma, potem rzuci. Nie!

— A cóż ty od niego chcesz? —zaśmiała się Zonia. — Przecież to jest osoba duchowna, przysiągł już innej oblubienicy.

— To niech ją trzyma — gorąco odparła Bieta. — Mnie, jak raz weźmie, musi też przysiądz, że nie porzuci. — Tak! — dodała z mocą — inaczej ja nie pójdę, choćbym się wyzwolić chciała. Musi przysiądz!

Zdumiona nieco, trochę szydersko się krzywiąc, słuchała Werchańcowa. Niekiedy ją strach jakiś przejmował, z taką siłą i namiętnością wyrażało się dziewczę, które osamotnione i gorączkowe marzenia uczyniły do zwykłych istot pospolitych niepodobną. Rozognione, z oczyma pałającemi, z podniesioną dumnie głową, Bieta była tak cudnie piękną, iż Zonia podwójnie się ulękła, energii razem i uroku, któremi mogła zapanować. Wreszcie, dawszy się jej wyspowiadać — ozwała się:

— Dziecko jesteś! Co ci pomogą przysięgi, co słowa? Alboż to oni ich nie dają i nie łamią? Twoja to rzecz tak go wziąć, aby cię porzucić nie mógł.

Biecie to słowo, rzucone nierozmyślnie, zdało się oczy otwierać. Złożyła siatkę, poszła do okna, sparła się na ręku i zadumała.

Okiem powiodła dokoła po pustyni, którą z okna celi widać było. Szumiały lasy z liści odarte i białe, a płowe skały pośród nich trupio sterczały, górą niosły się kruki; — milczenie straszne śmierci panowało dokoła, chłód grobowy wiał z tej okolicy wymarłej. Całe życie, długie życie schnąć tu tak, zawsze słuchać tego jednostajnego szumu drzew, patrzeć na te same nagie skały, na te suche gałęzie, ku niebu powyciągane, jak ręce zrozpaczone; budzić się zrana do modlitwy, w dzień się modlić i pracować, nocą niedospać na twardem łożu, chodzić boso, w sukni starej, potem jednego dnia umrzeć cicho— i pójść do sióstr na cmentarz — bez mogiły, bez znaku życia, nie żywszy — wydało jej się okropnem. Zerwała

się od okna i biegła ku Werchańcowej, która szła na jej spotkanie z uśmiechniętą twarzą.

— A cóż?—zapytała po cichu.

— Niech się dzieje, co chce... — wyjąknęła Bieta — niech mnie bierze — pójdę — ale porzucić ja się nie dam! niech pamięta!

Stara, uradowana tak łatwem zwycięstwem, pogłaskała ją po twarzy. Poczuwszy rękę jej na swem licu, Bieta cofnęła się dumnie — czuła już wyższość swoją.

Szeptały potem z sobą. Wyjście, ucieczka, porwanie z klasztoru łatwem nie było... Jawnie, gwałtownie stać się nie mogło. Bieta żadnego sposobu na to nie wiedziała, chciała, aby drudzy o tem myśleli.

— Jeśli mnie chce mieć — rzekła — niech szuka sam jak! Ja nie wiem!

Przemyślna Werchańcowa dopytywała tymczasem o obyczaje klasztorne. Ogród był na wysokiej górze, mury nieprzystępne, furta strzeżona. Naradzały się długo jeszcze. Wostatku Zonia poddała myśl przywiezienia z sobą świeckiej odzieży, w którejby wieczorem Bieta niepostrzeżenie wyjść z nią mogła.

U furty siedziała zawsze zamyślona i niedowidząca siostra odźwierna. Wóz z dobrymi ludźmi i końmi szparkiemi czekać miał przed wrotami.

Gdy po tym targu niepoczciwym drzwi celi się zamknęły, Bieta inną, zmienioną całkiem się znalazła. Gorzały jej policzki, rękami niespokojnemi targała szatę zakonną, usta podnosiły się dumnie i zwycięsko. Radość jej z wyzwolenia nie miała w sobie nic płochego i dziecinnego, była buntem duszy, co się nie poddała, a teraz z całą siłą rwała swe więzy.

Dzwonek zawołał na pacierze do kościoła. Dźwięk ten uderzył ją żałobnie, przeraził jak groźba — stanęła wylękła. Przypomniały jej się lata tu spędzone, a w nich chwile jasne, ów spokój błogi świętej ustroni, cisza, niezmącona niczem, godziny, prześpiewane w kościele, porywy ducha młodego ku niebiosom i Bogu... Łzy zwilżyły jej powieki, ale wnet ogień, którym oczy gorzały, wysuszył je. Stała jeszcze, zapomniawszy, że iść była

powinna do kościoła, gdy siostra Domna otwarła drzwi celi i dała jej znak, że się opóźniła.

Ten przymus zatarł pierwsze wrażenie, dusza jej zbuntowała się znowu.

— W świat! w świat! — zawołała w sobie. — Grzech? grzech na niego spadnie. On ma prawo rozgrzeszać! On mnie wyzywa! Pojdę! Czego się mam lękać? — pójdę! Nie porzuci mnie! ja się nie dam odpędzić.

IV.

Książę Bolesław powracał właśnie z kilkodniowego polowania, które mu się powiodło szczęśliwie. Na zamku zastał ciszę i spokój jak zawsze. Księżna Kinga była na modlitwie, pozostała służba dworska snuła się w podwórcach, kilku mnichów w sukniach różnych przechadzało się około dworca i kościoła.

Świetność dworu dawnych książąt krakowskich wiele za Bolesława ucierpiała. Przepychu nie znosiła pani, a ona tu wistocie rządy sprawiała. Książę, który w początkach próbował się jej opierać, po powrocie z klasztoru szedł teraz za nią posłuszny, kędy wskazała.

Wiele się na to różnych pobudek składało. Księżna wniosła wiano na owe czasy ogromne, bogactwo znaczne. Miała za sobą silną swą węgierską rodzinę, miała słabość i zobojętnienie męża, a własną moc charakteru dziwną, bo się ona wyrażała łagodnością cichą, która w tej białej lilii ani się dozwalała domyślać niezwalczonej, ukrytej potęgi ducha.

Mówiła głosem łagodnym, patrzała błagająco, była pokorną, słowa oszczędnie z ust się jej dobywały, przecież nic oprzeć się jej nie mogło. Była w tem tajemnica niepojęta.

Za oczy czasami niecierpliwi urzędnicy i dworzanie narzekać na nią próbowali — niechętnie widziano, iż z mężem żyć nie chciała, że Bolesław musiał zemrzeć

bezpotomnym, Kraków znowu stać się celem zabiegów książąt poznańskich i mazowieckich. Czyhano już nań teraz, ile razy Bolesław na czas dłuższy do Węgier lub do Morawii się oddalił. Ale ziemianie byli za tym panem dobrym, który ich do wielkiej dopuszczał poufałości, żył z nimi, polował, łaską swą szafował chętnie. Nie było surowej ręki nad nimi. Ze wszystkiego się u księcia wyprosić było można, lub lada czem, małym podarkiem, wykupić.

Kłuło to wprawdzie w oczy, iż Niemcy u dworu rej wodzili, że się oboje księstwo otaczali cudzoziemcami, ale nie inaczej było na dworze Piastów śląskich, w Poznaniu i gdzie tylko Piastowicze, żeniący się ciągle z Niemkami, panowali.

Wzamian za potomka, którego się Bolesław mieć nie spodziewał, obiecywał, aby zabezpieczyć Krakowian od napadów i wciskania się do władzy mazowieckich książąt, wybrać sobie następcę zawczasu. Mowiono już o ulubionym mu synowcu, Leszku, którego dla włosów ciemnych Czarnym zwano. Ten już z męstwa słynął, a sierdzistego ojca syn obiecywał, że się łatwo nie da pożyć.

Wśród pustkowia tego na zamku dwaj Toporczycy, którzy Bolesławowi towarzyszyli, Otto i Żegota, chłopcy dorodne, silne, wesołe, oba, jak bracia do siebie podobni — boć i rodzeni, — panu swemu najmilsi, odprowadziwszy go do komnat, poszli ku skrzydłu zamkowemu, w którym izbę mieli. Trzeba było zrzucić odzież przemokłą.

Bolesława też rozdziewano, ognia napaliwszy. Znużony łowy długiemi, przeciągał się ze zwykłą sobie senną obojętnością, patrząc to na strop, to na ognisko. Komornicy, pana otaczający, śmieszki stroili pocichu, szeptali i tym, co z księciem przybyli, opowiadali coś ciekawego, wesołość obudzającego.

Inny może temi wybuchy śmiechu i szeptania dałby się wywieść z odrętwienia; książę Bolesław wcale na to nie zważał. Oprócz czasu łowów zawsze był tak w siebie wdumany, a na zewnętrzne sprawy obojętny.

Zająć go czemś i rozgrzać było trudno. Jedna modlitwa rozbudzała tę duszę śpiącą, szczególniej, gdy ją razem z Kingą odprawiał.

Ściągnąwszy z niego zmokłą odzież, służba posadziła go na ławie, aby mu zmienić obuwie. Książę dawał z sobą czynić, co chcieli — przyglądał się płonącemu ogniowi. Parę razy zapytał o żonę, odpowiedziano mu, że jest na modlitwie.

Wtem do izby wpadli już przebrani Toporczykowie, śmiejąc się i wielce czemś przejęci. Spojrzał na nich książę, zdziwił się wesołości, lecz o przyczynę nie spytał.

Otto i Żegota żywo szeptali coś między sobą, lecz, że się służba kręciła, pachołęta posługiwały, nie poczynali rozmowy.

Nadciągnął i kapelan książęcy, Iwo, mający twarz i postać wielce posępne; skłonił się panu i jakby pytań unikał, ku ogniowi się schronił.

Coraz to gdzieś wybuchnął śmiech prędko tłumiony; — książę Bolesław spoglądał i dumał.

— Byłby nam też niedźwiedź nie uszedł — odezwał się, przerywając milczenie i rozmyślanie — gdyby ogarów część za kozłem nie pognała. A wolałbym był rogacza stracić!

Otto Toporczyk potwierdził to i znowu nastąpiło milczenie, a że myśliwi głodni wrócili, niesiono na stół misy. Wtem starszy, Żegota, pochylił się księciu do ucha i coś mu szeptać zaczął. Dotąd odrętwiały, Bolesław, na nogi się nagle porwał, ręce mu się splotły, załamały—i zawołał:

— To być nie może!

Drzwi do bocznej komnaty stały otworem, Bolesław wyszedł przez nie, skinął na księdza Iwona, pociągnęli za nim Toporczycy.

Zapewne domyślając się, po co go powołano, kapelan, mąż przygarbiony, smutny, blady, powlókł się, jakby przeciw woli ociągając, gładząc ręką po czole i licu.

— Ojcze mój, — zawołał z niezwykłą sobie gorącością Bolesław — powiedzcie mi prawdę! Co to za pogłoski chodzą? Na Boga to nie może być! nie może!

Ksiądz Iwo zdał się zgadywać, o co chodziło, ramionami poruszył.

— Nic nie wiem!—rzekł.

Po krótkim namyśle książę wołać kazał Pełkę Śreniawitę, który był starszym podkomorzym u dworu. Znaleziono go w przedsieni.

Szedł, na kiju się opierając, bo dawno chromał, głowę miał łysą, wąs długi, twarz chudą. Na nim też widać było to przygniecenie życiem, które się malowało na księciu.

Prawie cały dwór miał to oblicze smętne i milczące.

— Pełka! — zawołał żywo książę. — Powiedz mi ty, co znaczy ta potwarz, którą zmyślono ? Wiem, że biskup Paweł nie jest zbyt w życiu przykładnym — ale na Chrystusa Pana!

Bolesław ręce załamał. Pełka ramionami ruszywszy, zmilczał.

A bywało z nim, co z wielu starymi się dzieje: ciężko go było wywieść na słowo, lecz gdy raz usta otworzył, mówić począł i rozgadał się, równie trudno go było do milczenia skłonić.

Więc zrazu usta poruszał, nie mówiąc nic, żuł, spluwał, poprawiał odzieży, patrzał na księcia i na otaczających.

— Hm — rzekł wreszcie — nie potwarz to pono, a prawda święta.

Tu głos mu się zaczął coraz wzmagać a podnosić.

— Niewielem się ja dobrego po tym Pawle spodziewał, gdy go święcili. Co święcenie dyabłu pomoże? A to był zawsze istny szatan! Takim on i teraz jest... Sprawki to złego ducha.

Ksiądz Iwo przerwał, bo mu przykro było, iż na duchownego narzekano.

— Nikt nie wie, jak to jest! — rzekł. — Niewiasta kusicielka winna więcej... powiem, sama jedna ona winowajczyni! Do wszystkiego złego ona prowadzi, a gdy aniołem nie jest, szatańskiem narzędziem musi być.

Bolesław oczy sobie zakrywał.

— Więc to prawda?—zapytał.

— Prawda, i opowiem, jak się stało — odezwał się już rozgadujący Pełka. — Ludzie opowiadają o tem różnie, ale ja wiem najdowodniej.

Najrzał tę mniszkę biskup pono czasu pogrzebu królowej Salomei i obudziła w nim chęci niecne. Podesłał babę, przez tę wszetecznicę jego starą wszystko się dokonało. Namówili ją, ugadali, oszukali, może i gwałtu użyto, alboli czarów! Dosyć, że ją w suknie świeckie odzianą, z klasztoru wyprowadzili.

Było to wieczorem, przed samym zamknięciem furty. Nieopatrzono się, aż jej do chóru zabrakło.

Posłała panna starsza, przełożona do celi, czy nie chora, nie znaleziono jej tam, tylko habit rozdarty, pasek na ziemi i trepki, rzucone w kąt. Nieszczęśliwe zakonnice ze sromu, który się klasztorowi ich stał, omało nie poumierały. Stał się lament, niepokój wielki, pogonie... Nikt się ani domyślał, żeby to biskup sprawił — posłano do niego ze skargą, prosząc ratunku. Wpadł zarzaz w furyę i tem się zdradził, Gunterowi, gwardyanowi ze Skały i Justynowi krakowskiemu przykazując milczeć pod grozą wielką.

Ale wątpili jeszcze ludzie. Upłynęło dni kilka. Zaczęto bąkać, że biskupia gospodyni do Skały jeździła, a tuż podle biskupiego dworu, w domu, do którego boczne wnijście wyrąbano, dowiedziano się o niewieście, u której Paweł niezbożny wieczorami przesiadywał. A nie kto inny to jest, tylko ta zakonnica, Bieta ze Skały porwana.

Kapelan księcia słuchał w milczeniu, twarz odwracając, książę oburzony wykrzykiwał. Toporczycy, zawsze biskupowi nieprzyjaźni, tryumfowali.

— Albo się to czego innego było można po tym człowieku spodziewać? — zawołał Żegota. — Znano jego dawne życie, święcenie go nie zmieniło. Takim jest, jakim był zawsze. Na jego dworze i wprzódy więcej bywało niewiast młodych, niż klechów, a u niego doma więcej kubków, niż książek.

— Najsromotniejsza to — dodał Pełka, — iż całe

miasto już wie o tem. Owa nieszczęśliwa niebardzo się z sobą ukrywa, wstydu nie ma. Dalej będzie do kościoła chodziła, a chlubiła się tem, że ją sobie wybrał bezbożnik.

— Cóż biskup?—zapytał książę.

Kapelan stęknął, a stary Pełka dodał:

— Biskup tak zuchwałym jest i bezwstydnym, jak był, albo gorszym jeszcze, — czoła nie ma.

Bolesław jęknął boleśnie. Toporczycy śmieli się złośliwie.

— Do Rzymu go podać! — wtrącił Żegota. — I tak na niego skarg jest wiele nieustannych. Kanoników, którzy go wybierać nie chcieli, prześladuje niecnie, mści się, dobrami frymarczy, grunta kościelne rozdaje. Zausznicy jego i słudzy biorą, co chcą, dobrze, że z kielichów mszalnych nie piją jeszcze u stołu.

— Zgroza!—rzekł książe.

— Kapituła, co poczciwsi, znieść tego nie powinni—odezwał się Pełka.

— I nie zniesie! — zamruczał kapelan Iwo. — Wiem o tem. Oprą mu się, pojadą skarżyć do Gniezna, choć on arcybiskupa nie posłucha — zada im fałsz! Wówczas—do Rzymu.

— Do Rzymu daleko! — przerwał Żegota Toporczyk — zgorszenie tymczasem trwa; z takim jawnogrzesznikiem i świętokradcą niema się co pieścić. Wziąćby go i posadzić do lochu na pokutę.

Bolesław zaprotestował.

— My nad nim władzy nie mamy — rzekł — w głowie ci się mąci, Żegota! Oni swój trybunał najwyższy mają w Rzymie, nikt duchownego tknąć nie śmie.

— No — a księdza Czaplę Konrad powiesił! — odezwał się Otto.

— I zmarł w klątwie kościelnej!—dodał książę.

Kapelan mruczał coś niewyraźnie, trząsł głową i wkońcu zamknął:

— Świeckiemu ramieniowi w te sprawy się nie wtrącać. Są duchowni, co godności swej strzedz będą. Da się o tem znać do Rzymu!

— A tymczasem — przerwał mu Żegota — on się będzie niecnotą swą [illegible] i kalał tę stolicę, na której święci siedzieli.

Książę dał znak ręką.

— Dość—rzekł.

Spostrzegł był przez drzwi otwarte zbliżającą się księżnę Kingę, której [illegible] niewiasty, prawie po zakonnemu [illegible]. Pospieszył naprzeciw niej, rozstąpił się wszyscy z poszanowaniem.

Szła pobożna pani z oczyma spuszczonemi, bojaźliwa, trwożna, smętna. Na powitanie mężowi nie podała czoła, choć się żywo i chciwie ku niej przybliżył. Cofnęła się przelękła, aby jej nie tknął.

— Z łowów szczęśliwych powracam — rzekł książę—ale doma źle jakieś zastałem wieści.

Spojrzenie księżnej milczenie mu nakazało. Zrozumiał ją, usta mu się zamknęły posłuszne.

Wieczerza stała już pogotowiu, ale Kinga postem ślubowanym dnia tego się wymówiła i razem z towarzyszkami do komnat swoich wróciła.

Przy wieczerzy książę mówić już nie dał o niczem, tylko o myśliwstwie, ale co po cichu między sobą szeptano, odgadnąć było łatwo.

Wnet potem Bolesław z lektorem i kapelanem udał się na modlitwy, które długo codzień trwały.

Żegota i Otto szli do izb swoich na zamku.

Na tym cichym i pobożnym dworze dwaj Toporczykowie, godząc się z nim obyczajami pozornie, jedni pono, ufając łasce pana, mogli sobie więcej nieco pozwolić. U nich zabawić się i pośmiać było można, tam się przedniejsi urzędnicy zbierali, aby rozerwać trochę. Wielki dwór mieli z sobą [illegible], a dostatkami szafowali chętnie. Jeśli na krakowskim zamku ich nie było, przyjmowali u siebie księcia i liczne z okolicy rycerstwo. Ludzie byli pobożni, jak wszyscy owego czasu, ale nie tak względem siebie surowi i na wszystko baczni, jak sam książę.

Bolesław upominał ich o to często. Księżna Kinga,

obawiając się, aby jej męża nie psowali, niebardzo im sprzyjała. Dwór cały zresztą mieli za sobą.

Wkupił się naprzód Żegota w łaski księciu psami, które mu podarował, potem, że do myśliwstwa nie było zdolniejszego ni pochopniejszego nad niego.

Jak tylko Toporczykowie znaleźli się sami, z drużyną dworzan i komorników pańskich, do których należało kilku Węgrów i Niemców — wnet o biskupie znowu poczęto.

— Kiedy się biskup na to ważył — ozwał się Otto z przekąsem — zapomniawszy na sławę swą i bezpieczeństwo — zakonniczka musi być grzechu warta!

— Nieprawda! — podchwycił Pełka, któremu gdy miód pił, usta się łatwiej rozwiązywały — nie prawda. Nie nowina to, że gdy dyabeł opęta, człek dla lada starego wiechcia rozum straci, w tem dyabelska sztuka! Czy to piękność kusi? Albośmy to nie widzieli wojewody, co szalał za starą a sprośną?

— A sam też niemłody był i szpetny! — rzekł Otto.

Wtem się wmieszał Niemiec Bruno, co go zwano Alte.

— Miłośnicę tę biskupią już ludzie widzieli, ona tak szczelnie okien nie zamyka. Mówią, że piękna bardzo i młoda. Inni prawią, iż tu drugiej takiej nie znaleźć.

Wyśmiewano się.

— Zuchwała słyszę, jest i śmiała, jakby nigdy mniszką nie była — dodał Alte.

— Lat ma ledwie szesnaście, słyszę — dodał inny.

— Ziemianina córka — wtrącił Niemiec.

— Nie, mieszczka, sierota — rzekł drugi.

— Ojciec był przy dworze, rycerskiego stanu człek— zaprzeczył dworzanin młody. — Z dumnej twarzy jej widać, że jest krwi dobrej.

Rozmawiano popijając, na biskupa się odgrażając, szydząc z niego. Otto i Żegota szczególniej nań podbudzali.

— Nie będę żyw — zawołał ostatni — jeśli się do mniszki nie dostanę i nie zobaczę jej!

— Widziećby można, ale się do niej dostać, nie— odparł Alte. — Dość tam koło niej stróżów, bab i starych siepaczy.

— E! — zawołał Toporczyk. — Biskup ci ją skradł z klasztoru, godziłoby się odebrać mu ją gwałtem nazad i mniszkom dać!

— O! o! — wykrzyknął Pełka.—Ma on siłę! Nie da jej! A gotów się i drugi raz do klasztoru włamać. To nie nasza sprawa!

Nazajutrz, po długiem biesiadowaniu u Toporczyków, ponieważ był dzień spoczynku po łowach, obaj bracia poszli na zwiady.

Wykradzenie zakonnicy, choć niektórzy dla sromu taić je chcieli i zaprzeczali mu, znanem już było w mieście całem. Mowiono o niem wszędzie, ale nigdzie takiego nie wywołało oburzenia, jak w części duchowieństwa, kapitułę składającego. Kanonik Janko zachorował z bólu, stary ks. Jakób ze Skarzeszewa gorzkiemi płakał łzami, inni się rwali do Rzymu, bodaj pieszo, na skargę, inni naprzód do Gniezna.

Tymczasem, jakby na urągowisko z tej wrzawy, widywano codzień biskupa z licznym pocztem, ukazującego się w ulicach, śmiało narzucającego się oczom ludzkim, wyzywającego swym bezwstydem i dumą.

W tem zuchwalstwie może baczniejsze oko byłoby dostrzegło jakąś trwogę, niepokój sumienia, obawę ludzi, ale zdala mogło się to innym zdawać odwagą i zaczepką.

Ks. Paweł dla tych, co go otaczali, drażliwszym się stał, niż bywał dawniej, bardziej despotycznym. Badał wzrokiem niespokojnym każdego przychodzącego, oburzał się łatwo, chwytał każde słówko dwuznaczne, szukając w niem przymówki do siebie. Zawsze gwałtowny, teraz się stał niepohamowanym. Ci szczególniej z duchownych, których znał dawniej, jako nieprzyjaznych sobie, narażeni byli na postępowanie okrutne, szyderstwo i odgróżki bez przyczyny.

Wszystko to razem najcierpliwszych przyprowadzało do rozpaczy. Schodzili się z żalami, utyskiwaniem, naradzając, co czynić mają i nie mogąc nic postanowić.

Obyczaje biskupa wręcz się sprzeciwiały przepisom kościoła dla duchownych, którym wzbronione było noszenie oręża, oprócz w podróży dla koniecznej obrony — zakazane były łowy, najulubieńsza jego zabawa. Biskup prawa te gwałcił jawnie, w biały dzień po rycersku odziany w butach śpiczastych z ostrogami, przy mieczu przejeżdżał się po ulicach i rynkach z wielkiem zgorszeniem ludu. A że i sumienie go gryzło i niepokój nękał, codziennie w tych rozrywkach szukał zapomnienia troski.

Werchaniec zwykle mu w tych wyprawach towarzyszył, a Zonia naówczas miała powierzone strzeżenie Biety, z którą rady sobie niełatwo dać mogła. Dziewczę, zdziczałe w samotności klasztornej, zmuszone długo tłumić w sobie wszystko, pragnęło teraz swobody nad miarę.

Werchańcowa, która się z początku piękności Biety lękała, poznawszy ją lepiej, zaczęła się trwożyć gwałtownem jej usposobieniem.

Wymaganiom nie było końca. W pierwszych dniach zaraz zażądała od swego pana, którego upoiła do szaleństwa, sama się przywiązując do niego, najdziwaczniejszych ozdób i sprzętu dla swego mieszkania.

Chciała mieć ściany zawieszone obiciami szytemi, o których od zakonnic słyszała, że niemi po książęcych dworach izby przyozdabiano, podłogę wysłaną kobiercami i skórami; napraszała się o łańcuchy, klejnoty, pierścienie, naczynia srebrne. Miedzianemi dzbankami rzucała precz, jako rąk jej i oczów niegodnemi, cynowe misy oddawała czeladzi. Całemi dniami z nudów stroiła się i przestrajała, oczekując na odwiedziny pana, który zwykle zjawiał się dopiero wieczorem.

Ze sługami obchodziła się tak, jak może z nią niegdyś postępowano w klasztorze dla przełamania jej oporu — wymagała rzeczy niemożliwych, posłuszeństwa bez granic.

Werchańcową, która chciała z nią być na stopniu poufałości, zepchnęła zaraz, na równi z inną czeladzią ją trzymając. Zonia burzyła się od gniewu i odgrażała. Lecz z zemstą i odwetem czekać było potrzeba, bo ks. Paweł słowa przeciwko swej Biecie mówić nie dawał.

Dworek, w którym zakonnicę umieszczono, stał tuż obok zabudowań biskupich, w ulicy, po której kręcili się prawie przez dzień cały ziemianie, rycerstwo, duchowni, mieszczanie, mający tu sprawy różne. Wesołe towarzystwo ks. Pawła, jego druhowie i wierni snuli się gęsto, a że już o Biecie wiedziano, o nadzwyczajnej piękności jej głoszono, ciekawi widzieć się ją starali.

Werchańcowa miała rozkaz strzeżenia tego skarbu, aby go oko obce nie dostrzegło — ale Bieta, żądna nowych widoków po klasztornej ciszy, ani myślała się dać zamykać. Otwierała okiennice szeroko, wyglądała w ulicę, śmiało patrząc wszystkim w oczy i chlubiąc się piękności swoją. Nie był to bezwstyd kobiety zepsutej, ale zuchwalstwo dziecinne, nieznajomość świata i ludzi. Zdawało się jej, że biskup miał prawo wziąć ją i taić się z tem nie potrzebował.

Uważała się jakby za żonę Pawła, za towarzyszkę, stojącą z nim narówni dostojeństwem. Wychowana w nieświadomości praw świata, wyobrażała sobie, że pan jej mógł je zmienić i wyzyskać uznanie tego związku. W dzieciństwie swem pamiętała przecie księży, którzy albo z dawnych czasów żony mieli, lub rodziny z nich, z któremi się nie ukrywali.

Z dumą, którą miała we krwi, Bieta miała się za równą księżnom, jak biskup równał się z książęty. Nic też jej nie starczyło w tym ciasnym dworku i dziwiła się, dlaczegoby nie miała zamieszkać jawnie w wielkim dworcu biskupim. Chciała mieć okazałe otoczenie, urzędników, towarzyszki, wozy, woźniki, wierzchowce. Ks. Paweł, który się takich wymagań nie spodziewał, zrazu śmiał się z nich, potem nie chcąc jej jątrzyć, ulegając dziwactwom, z namiętnością podżyłego człowieka... zbywał ją obietnicami i wymówkami różnemi. Obicia na ściany izb Biety wzięto tymczasem wprost ze skarbca kościelnego, kobierce zdjęto może ze stopni ołtarzy, aby uspokoić psotnicę. Jedwabne postawy, ofiarowane na ornaty, szły do skrzyń na suknie Biety, klejnoty dostarczano coraz nowe.

Postępowanie dziewczyny, którą biskup sobie cale

inną wyobrażał, jej charakter gwałtowny i niepohamowany, wymagania nieustanne i codzienne wymówki zwiększały rozdrażnienie i zniecierpliwienie ks. Pawła. Teraz dopiero widział, jak drogo mu rozpustę opłacić przyjdzie. Sądził, że dopuściwszy się do świętokradztwa, ślady jego wkrótce zatrzeć potrafi, albo zwracając zakonnicę klasztorowi innemu, lub gdzieś ją za mąż wydając, jak Zonię. W pierwszych dniach zaraz otwarły mu się oczy: Bieta powtarzała co chwila, iż póki żywa go nieopuści, że żadna siła jej od niego oderwać nie potrafi.

Ks. Paweł śmiechem pokrywał niepokój.

— A gdybym ja — pytał — był zmuszonym cię rzucić?

— Ty? — odparła śmiało Bieta. — Myślisz, że mnie się zbyć będzie tak łatwo, jak wziąć? Chyba otruć trzeba lub zabić. Pókim ja żywa, nie dam się odepchnąć! Z drugiego końca świata przyjdę, w ślad chodzić za tobą. Wziąłeś mnie—musisz trzymać! Pan Bóg nazad mnie nie przyjmie, bom świętego Oblubieńca zdradziła dla ciebie. Nie zechcesz mnie mieć miłośnicą, będę ci kamieniem u szyi.

Groźby te Paweł starał się próżno w śmiech obracać, gdy oczy, postawa, głos mówiły mu, że niewiasta ta dotrzymać potrafi, co powiedziała.

Wprędce owe rozkosze, które sobie niecny człek obiecywał, obróciły się w męczeństwo. Wymagania dziwaczne były nieskończone i niepohamowane, a gwałtowne wybuchy gniewu biskupa nie tylko nie pomagały, ale ją do wściekłości przyprowadzały. Uciekać musiał wkońcu biskup, a potem przebłagiwać i łagodzić.

Skarżył się na utrapienie swe przed zaufaną Werchańcową, która mu się w oczy śmiała.

— Nie mówiłamże ja — odpowiadała na żale, — że sobie kupisz srom, nędzę i biedę? Oto masz, czego chciałeś. Mało ci było tego, coś miał! To szatan, nie dziewka, to bies wcielony!

Zonia też, której mąż dostał las od Bukowej i cysterskie pola, choć sowicie wynagrodzona, miała troskę nieustanną, ciągle zmuszona stać na straży, nie mogąc odetchnąć na chwilę.

Raz, gdy Bieta, mimo zakazu stała w oknie otwartem od ulicy, Toporczycy, którzy na widzenie jej czatowali, znaleźli się wporę. Stanęli przypatrując się jej i przedrwiwając — ale Bieta wcale się nie zasromała i uciekać nie myślała. Strojna była w łańcuchy i klejnoty, piękna jak szatan przed upadkiem, zła jak on po wyroku potępienia. Otto i Żegota głośno się z niej poczęli wyśmiewać, na co im łajaniem i dwoma wyciągnionemi pięściami odpowiedziała. Już ludzie się przed dworkiem gromadzić zaczynali i byłoby powstało zbiegowisko, gdyby nadbiegająca Werchańcowa gwałtem nie zaparła okiennicy i nie odciągnęła precz Biety.

Nieprzyjaciele biskupa płatali psoty bolesne jego kochance. Na okiennicach dworku mało nie codzień namazywał ktoś infułę i pastorał, z czego się przechodzący naśmiewali. Pisano wielkiemi głoskami — Abizail... na drzwiach i wschodach.

Musiano stawiać stróżów, ale i ci niewiele pomogli.

We dnie zakazanem jej było wyjeżdżać i wychodzić, o mroku tylko czasami wyprowadzała ją Werchańcowa tylną furtą na przechadzkę, ale i tam czatowano na nie, poznawano łatwo, ludzie w ślad szli i bezecne pieśni do uszu im rzucali.

Dwór biskupi coraz bardziej pustoszał, gdyż najprzyjaźniejsi nawet ks. Pawłowi, powszechne widząc oburzenie, bronić nie mogąc, usuwali się powoli i najlichsza tylko gawiedź dotrzymywała mu jeszcze.

Starsi duchowni z kapituły nawet na zawołanie biskupa się nie stawili, przestali całkiem go widywać.

Gdy po raz pierwszy po rozgłoszeniu zgorszenia ks. Paweł musiał iść na Wawel do księcia — Bolesław przyjął go z tak widocznym wstrętem i obawą jakąś, nie chcąc prawie zawiązywać rozmowy, iż biskup, nie pokłoniwszy się nawet księżnie, która się wcale nie ukazała, precz odjechać musiał.

Wyszedłszy z zamku wściekły, odgrażał się na sykofantów, łajał głośno, lecz oprócz Toporczyków, którzy go z drwinami przeprowadzili, nikt nie słyszał go nawet.

Po całych dniach sam teraz siedzieć musiał z jednym ks. Szczepanem, który go nie opuszczał, lub Werchańcem i domownikami. Jawnem się stało, że wszyscy go unikali. To potępienie zamiast nawrócić, rozjątrzyło go tylko.

Wpadł w rodzaj szału, na przekór wszystkim cynicznym się stając i zuchwałym. Odgrażał się jawnie przeciwko kapitule, przeciw wszystkim — nic to jednak nie pomagało. Niezłamany karą, jaka go dotknęła, Paweł zdawał się wyzywać świat cały... i chciał obalić, co mu stawało na drodze.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Tom II.

I.

Stały lasy w klejnotach szronu, jak w brylanty ubrane, jak oblubienica, mająca iść do ołtarza w śnieżnej, powłóczystej szacie z koroną dyamentów u czoła.

Słońce zimne wyjrzało z za obłoków, tylko aby poigrać z temi tysiącami błyskotek, w których się odbijało iskrząco. A ziemia,—choć niby całunem odziana, śliczną była. Z pod tego snu śmierci czuć się dawał powrót do życia, wesoły ten trup miał do wesela zmartwychpowstać. Można rzec było o niej—nie umarła, tylko śpi.

Spała i śniła cudownie królowa! Błękit wybladły, jak baldachim spłowiały nad głową jej się rozpościerał, obłoki się złociły, wiatr nawet ucichł, szanując tę uroczą chwilę zimy—to rozkwitnięcie pozornej śmierci. Na polach, jak zawsze, nie rozesłało się tyle wdzięku co po lasach. W nich śmiało się wszystko łagodnym uśmiechem żywota skostniałego. Gałęzie uginały się pod ciężarem swych klejnotów, a było ich tyle, że najmniejszej trawce nie zbywało na brylancie. Szczodrą dłonią sypała swe dary matka natura.

Na tem tle bieli i świecideł, wszelka barwa, co w lecie i wiosną wydawałaby się zgasłą i spłowiałą, występowała jaskrawą prawie a świetną. Mchy pyszniły się jak aksamity, zielono, majowo, oliwkowo, szkarłatem i pomarańczą. Gdzie pozostały z jesieni liście żółte i te, które zima jeszcze w szacie ich letniej pochwyciła—wychodziły, jak malowane. Jagódki na ziemi stały, jak perły krwi, nanizane na szary sznurek gałązek, wychylając się ze śniegu.

Na szacie tej zimowej, jak na białej karcie pergaminowej, widać było popisane hieroglify i dzieje stworzeń, które jej dotknęły stopami. Pismo to było czytelne, wyraziste, jasne. Mówiło, kto je namalował, skąd szedł, kto był i dokąd, a nawet po co się udał. Cały świat tych istot, których łowcy szukają tak chciwie, ślady tu po sobie zostawił. Lekkie dotknięcie pierzchliwego zwierzęcia, ciężkie stopy dzikich, olbrzymich mieszkańców lasu, przeskoki chyżych biegunów, zdradliwe plątaniny chytrych złodziei—wszystko to rysowało się na śnieżystej powłoce, — niby historya dnia wczorajszego, dzieje puszczy i tych, co w niej żyli. Biegłe oko łowca odczytywało to pismo łacno, a psy mu się radowały, naszczekując wesoło.

Był ranek zimowy, jakich mało, przecudny, cichy, spokojny, do marzenia dla starców stworzony. Co żyło w lesie ptactwa ruszało się, zwiedzione słońcem i pogodą, a powietrzem łagodnem, jak gdyby już skowronek na wiosnę zadzwonił. Wiewiórki ze śpiżarni swych w dziuplach powyłaziły umywać się i nakryte ogonami, stały z nastawionemi uszkami, dowiadując się, czy kto nie czatuje na nie. Dość było ledwie dosłyszanego szelestu, grudki spadającego gdzieś śniegu, aby się wnet jednym schowały skokiem.

Ryś na rosochatem drzewie rozglądał się kociemi oczyma pod siebie i dokoła; ranek był tak piękny, iż mógł mu wyprowadzić pastwę na przechadzkę. Z kotlin pod lasem wyglądały długie słuchy zajęcze, których właściciele, podniósłszy się na tylnych skokach, rozglądali się i nasłuchiwali także, ażali bezpiecznie było wyruszyć na śniadanie.

Nawet zbudzony zabłąkanym promieniem słońca, dobrze pod kłodą w liście zgniłe zaszyty niedźwiedź, zaspany jeszcze, otwierał ociężałe oczy, dziwując się, że mu już wstać kazano. Wiedział on, że nie dospał i, mrucząc, gniewał się na słońce bałamutne, odwrócił łeb kosmaty, łapy skrzyżował pod siebie i dalej ciągnął marzenie o jagodach dojrzałych w lesie, może o barciach na sośnie.

Żubry i łosie wychodziły na przechadzkę stadami, w pewnym porządku i szyku, nie bez przedniej straży. Kozły wietrzyły także, czy się godziło wyruszyć z ostępu,

i czy dać znać jejmościom, że się wyskakać mogą swobodnie.

Wilcy śmielsi wychodzili na polowanie i na miłosne mięsopustne schadzki, zuchwali jak nigdy, bo dla nich była już wiosna, czas łowów, a zwłaszcza pora zalotów krwawych. Wychudzone, zmęczone, najeżonem futrem okryte zbóje leśne mniej teraz dbały o bezpieczeństwo, zuchwalsi rozstawiali głodne paszczęki, oczy buro-żołte wysyłając na zwiady. Czasami górą przeciągnął ptak szerokoskrzydły, pan w obłokach, zadumany, patrząc od niechcenia na ziemię, czy na niej co nie czernieje, nie rusza się.

Rozbudziło tak słońce wszystko, co tylko żyć mogło, ludzi, co nawet najmniej na nie patrzą i o nie dbają. Po lasach, w puszczach, słychać było szelepiące kroki pieszych, samotnych łowców i trąbki myśliwych, ujadanie psów, wesołe szczeki i tętent koni stłumiony śniegiem, to znowu głośniejszy na odmiecionej skostniałej ziemi— nawoływania dalekie.

Z ukosa przedzierające się przez obnażone gałęzie promienie padały teraz tam, gdzie czasu lata nigdy nie zaglądały, wciskały się w tajemnicze głębie, szpiegowały po zakątach, odżywiały, co było w mrokach zamarłe. Na śniegu plotły się pasy złociste z siwemi półcieniami, a gdzie śnieg nastrzępiał się i powyszczerbiał, tam kryształy, jak perły na tkaninie wełnianej połyskiwały. W zacisznych miejscach od wiatru osłonionych, blade promienie zmieniały brylanty w łzy ciche, które padając na ziemię, głęboko się zakopywały w miękkie puchy.

Nad oparzeliskami trochę zieleni śmiało się temu słońcu, bez którego nawykło się było obchodzić. Zieleń to była prawdziwa zimowa, wymokła jakaś zszarzana, zmęczona, a przecież świadcząca o życiu.

W puszczy za Wisłą rozlegał się głos trąbki i hasła jakiegoś polowania pańskiego, które szło szumno, nie dbając, że je wrzawa zdradzi. Na polanie stał mężczyzna na koniu w sile wieku, dosyć jeszcze pięknej twarzy, ale zmęczonej, gniewnej, namarszczonej, groźnej. Pańsko a zuchwale się rozglądał.

Jedną ręką w bok się trzymał, drugą na szyi konia

sparłszy,—siedział na wierzchowcu silnym, krępym, jak wmurowany, jak jeździec, co nawykł więcej się koniem, niż nogami posługiwać. Odziany był w futro kosztowne, okryte fiołkowym aksamitem, pospinane na węzły złociste. Na nogach skórznie też były futrem okładane i nabijane złotem. Trąbka z kości słoniowej w kosztownej oprawie, obuszek misternej roboty, miecz w pochwach kamieniami sadzonych, składały uzbrojenie. Oszczepek myśliwski do ciskania miał pod ręką.

Obok niego na koniach stało kilkunastu łowczych, a kilku pieszo wiodło psy na sforach Z boku mężczyzna brzydkiej twarzy, przekrzywionej z nosem na bok, śniady, odziany w kożuszek lisi, stał tak namarszczony, jak pan, na rozkazy jego czekając.

Lecz pan w bogatej szubie milczał zadumany, a był tak zły, że mu jego gniewy i myśli niebezpiecznie przerywać było. Wszyscy więc czekali, aż się wyburzy.

Psy miały powywieszane języki, jakby już biegały a tylko co je na sznur pościągano; na odzieży łowców, znać było, że się już przez lasy przedzierali, bo i śnieg na niej leżał, i liście, i okruchy gałęzi.

Nagle, jakby zbudzony, mężczyzna, co stał na przodzie, odwrócił się do oczekującego.

Typsie, na cóż czekasz? Każ w ten ostęp zapuszczać, a patrz, aby mi się drugi koziol nie wyśliznął, jak ten, coś mu dał z przed nosa nam pójść w las.

I pięścią mu pogroził.

Werchaniec, gdyż on to był, popatrzył ze wzgardą jakąś na mówiącego i byłby może odpowiedział tak szorstko, jak patrzał, gdyby nie było dokoła ludzi i uszu. Spojrzał na tę czeladź, wargi zagryzł, krzywiąc je obrzydliwiej jeszcze i—dał znak.

Natychmiast cała gromada ruszyła się, psy niecierpliwe ze sfor się rwać i sznury napinać zaczęły tak, że je ledwie psiarze utrzymać mogli. W prawo i w lewo szybko ruszyli ludzie, biskup pozostał w swem miejscu, jak wkuty. Werchańcowi dał znak, aby mu dał drugi oszczepek, który miał przy siodle.

Było to narzędzie łowieckie, którego mało kto tak zręcz-

nie umiał używać, jak wprawny do obchodzenia się z niem oddawna biskup Paweł. Ciskał on niem czasem na odległość znaczną, a miał taką siłę i taką wprawę, że rzadko chybił celu, mało kiedy pociskiem tym zwierza na wylot nie przeszył. Oszczep był w końcu zaostrzony żelazcem, jak bełt od kuszy; lekki i zręczny. Gdy mu go Werchaniec podał, wziął Paweł, okiem znawcy mierząc, parę razy zamachnął w powietrzu i odrzuciwszy pierwszy oszczep, za haczyk przy siedzeniu na prawo go uwiesił.

Czekali, aż się łowcy, którzy po cichu wyszli w głąb oddalą. Nie słychać było nic, tylko krótkie, urywane jęki psów, trzymanych na uwięzi, chód w śniegu i spadanie kropel wody, które gdzieniegdzie słońce z gałęzi zrzucało.

Werchaniec trochę podjechał na polankę, rękę do prawego ucha przyłożył i namarszczył się gniewnie. Coś mu tam w ucho niedobrego powiedziało powietrze.

W chwili, gdy się tak sunął na polankę dalej, z prawej strony zając, spłoszony z pod pniaka, stanął na tylnych skokach, spojrzał i w powolnych kilku susach szmyrgnął przed samym koniem Werchańca, jakby się z niego prześmiewał. Zrazu pochwycił on oszczepek i chciał nań cisnąć ale mu się sznurek zaplątał pod ręką od rogu i nim się od niego uwolnił, już długouchy mało co żywiej skoczywszy, w zaroślach mu zniknął.

Łowiec zaklął okrutnie, biskup z politowaniem uśmiechnął się kwaśno.

Wtem dały się słyszeć lekkie szmery na przedzie, Werchaniec stanął, biskup podjechał żywiej, wyprzedzając go na skraj lasu. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa tędy musiał wypaść na łowców zwierz.

Zachmurzona twarz biskupia, którą nie łowieckie troski poorały, w chwili, gdy podjeżdżał ku lasowi, zmieniła się. Stał się już tylko namiętnym myśliwcem, wszystko inne precz poszło z głowy. Z oczyma, w głąb lasu wlepionemi, z szyją wyciągniętą, z ręką na oszczepku, pochylony na koniu czatował, dech wstrzymując. Tuż stał Werchaniec obojętniejszy trochę, ale także zagrzany głosem psów, który go zdala dochodził. Można było dosłyszeć, że gonią wprost na stojących, a z głosu ich biskup poznawał

zwierza i oblicze zapalało mu się krwiożerczo, chciwą namiętnością dzikiego człowieka, który życie swe zdobywać musi łukiem i pociskiem. Odezwał się w nim prastary instynkt tych ludzi, co mordercami byli dla głodu, a myśliwymi dla życia.

Któżby był w nim poznał kościelnego dostojnika i zgadł, że usta wpół otwarte namiętnie, modlić się i błogosławić były powinny! Zupełnie przeistoczony, był on łowcem dawnych wieków, dla którego walka ze zwierzem była rozkoszą i dumą.

Zaczynało szeleścieć w gęstwinie. Werchaniec stał na prawo przy biskupie, jakby mu się gotował pomagać, ale w nim namiętności łowieckiej nie było, lecz zimna krew i tem już znużonego sługi.

Ksiądz Paweł począł drżeć cały, oszczep ujął w dłoń która mu się trzęsła ze wzruszenia. W gąszczu coraz wyraźniej, bliżej coraz słychać było bieg i rozszarpywane nim gałęzie.

Wśród drzew mignął już kozioł ogromny, tuż za nim psy coraz bliżej zawodziły. Biegł oszalały ze strachu, że się zdawał czatujących nań nie widzieć.

Werchaniec, coś zmiarkowawszy po zwrocie oczów czy głowy, wysunął się dalej na prawo i stanął.

Biskup stał w miejscu wryty. Kozioł, przeskoczywszy kłodę z podniesioną w górę głową, pyszny, silny, straszny swemi rogami rozłożystemi, wprost rzucił się na Werchańca. Podsunął się pod stojącego u drzewa tak blizko, że niemal otarł się o niego. Stary rzucił nań oszczepem i chybił.

Pocisk świsnął w powietrzu i daleko zarył się w ziemię.

W mgnieniu oka cwałem, jak oszalały, biskup najechał na stojącego Werchańca i w dzikiem roznamiętnieniu oszczep, który w ręku trzymał, do piersi mu cisnął. Rozgniewaną dłonią rzucony pocisk przeszył na wylot nieszczęśliwego, który ręką ku niemu zrobił ruch gwałtowny, jakby wyrwać go chciał, pochylił się w tył, zsunął z konia przelęknionego, i upadł na ziemię. Pocisk tkwił w nim, krew buchała z piersi i lała ustami.

Dał się słyszeć krzyk jeden tylko krótki, urywany,

potem coraz cichsze chrapanie. Werchaniec drgnął kilka razy i wyciągnął się, konając.

Biskup, który natarł nań blizko z koniem, stał osłupiały. Namiętność, która go zbójcą uczyniła, dopiero teraz na widok krwi ostygła,—przytomność mu powracała. Twarz bladła i mieniła się.

Nie wiedział, co ma począć jeszcze, gdy już ludzie i psy gromadnie nadbiegli na polanę. Na widok leżącego Werchańca krzyczeć zaczęli, psy stanęły i ostrożnie do krwi płynącej zaczęły wyciągać języki. Nęciła ich, odpędzać nie myślał nikt.

Myśliwi stali porażeni, jak gromem. Biskup też drżący jeszcze, z głową spuszczoną, długo nad trupem pozostał milczący.

Zwrócił się nareszcie do starszego łowczego swego, Dudara.

— Przypadek się stał—zawarczał posępnie.—Oszczep puściłem na kozła, a ten niezdara się nawinął. Trupa wziąć na konia, owinąwszy w płachtę jaką.

Rozkazu tego ludzie jeszcze wykonać nie pośpieszyli, gdy biskup się rozmyślił.

— Po co się wozić z tem ścierwem—zawołał;—tu mu jamę wykopać i pogrześć.

Spojrzał groźno na Dudara.

— Słyszysz ty!

Potem na czeladź się obejrzał i głos podnosząc, dodał:

— Zginął w lesie! Język za zębami! Kto mi piśnie, dostanie mu się to, co jemu.

Ręką wskazał.

— Czego stoicie? dół mu kopać żywo. Ani rogu, ani nic mu nie zdejmować, nie tknąć. Pogrześć go, jak padł!

Łowcy, dziki lud, już byli ochłonęli z przerażenia. Dudar pierwszy do trupa przystąpił, za nim inni. Straszny był ze krwią już ścinającą się w ustach, z oczyma na wierzch wysadzonemi, z gębą poczwarniej jeszcze bólem wykrzywioną. Dudar, tyłem stojący do biskupa, pożałował pięknego oszczepu, tkwiącego w piersi, nogą na trupa nastąpił i oburącz go wyciągać zaczął. Ks. Paweł nie rzekł nic.

Oszczep zbroczony był, więc Dudar począł go śniegiem ocierać ze krwi, a psy cisnąc się, krew ze śniegiem lizały.

Biskup stał na koniu, z większą grozą na twarzy, niż żalem. Zbrodnia popełniona nie budziła w nim skruchy, ale dziksżą jeszcze namiętność. Patrzał obojętnie na ludzi, spełniających jego rozkazy.

Wykopać jamę w zamarzłej ziemi nie było łatwo. Szczęściem ludzie mieli toporki, któremi niegłęboko pod śniegiem umarzły piasek porąbali. Dalej już zamrozu nie było, dobywano rękami, wynoszono w połach ziemię, a ludzie zwijali się żywo, bo pan sam stał nad nimi. Co który spojrzał nań, ciarki po nim przechodziły.

Zaledwie dół za krótki, na łokci parę w głąb dobyto, gdy Dudar dał znak, aby weń kłaść trupa, a że się nie mieścił wyciągnięty, posadzono go w jamie i na znak, dany przez łowca posypała się ziemia na głowę, która zwisła na ramię, jeszcze szklanemi patrzyła oczyma. Psy stały nad grobem z wywieszonemi ozorami.

Szybko już potem poszło zasypywanie mogiły i ubijanie ziemi, którą nogami deptano, dopóki się z powierzchnią nie zrównała. Nasypano na wierzch i śniegu, aby miejsce poruszone niebardzo znacznem było. Dudar kazał jeszcze zgniłą kłodę przytoczyć, którą czeladź, oparłszy się o nią, na grób zepchnęła.

Spoczął tak Werchaniec w grobie, którego nazajutrz trudnoby się domyśleć było tym, co o nim nie wiedzieli. Tylko stratowana polana i kraj lasu, zdeptany śnieg, porozrzucane liście świadczyły o bytności ludzi...

Wszystko się już dokonało a biskup się z miejsca jeszcze nie ruszył. Coś go tu przykuwało, upojenie jakieś krwią, szał zbrodni. Pies ulubiony jego podsunął mu się, łasząc, pod konia. Paweł w gniewie cisnął nań obuszkiem i ubił.

Była to dla czeladzi przestroga. Wszyscy z głowami pospuszczanemi stali, jak niewolnicy, którym myśleć ani czuć się nie godzi.

Nagle ksiądz Paweł targnął gniewnie konia, szarpnął uzdą, ubódł ostrogą i nazad z lasu ku miastu się skierował. Dudar siadł na konia z obojętnością człowieka, co nieraz

śmierci w oczy zaglądał, skinął na czeladź i jechał za panem.

Łowcy i psiarze nie śmieli ani szepnąć w drodze, mierzyli się oczyma. Jeden z nich, choć pod okiem pana, gdy Werchańca do mogiły ciasnej wkładali, odczepił mu zrecznie róg i ukrył śpiesznie za pazuchą, drugi nóż wysunął i w but go schował. Ci, idąc, mieli twarze niewiniątek i wydawali się najpokorniejszymi.

Było dobrze południe, gdy z lasów się na pola wybrali, a choć po drodze ze zwierzem się spotykali, biskup ani nań spojrzał, ani ścigać kazał. Jechał tak pogrążony w sobie, iż na konia nawet baczności nie dawał. Parę razy mu się potknął mocno, i skarcony został do krwi ostrogą.

Za lasem czekała przy chacie leśniczego część biskupiego orszaku.

Chata była nędzna, choć leśnik bogaty, bo naówczas z możnością się przed wszystkimi kryć musiano, aby nie obdzierali!

Ludzie biskupa stojący tu spostrzegli zaraz, że Werchańca brakło, ale ten się często w las zagnawszy, obłąkał, nie było w tem nic tak dziwnego. Poznali tylko po obliczu pana, że łowy źle pójść musiały, bo i zwierza nie wieziono i on jechał zasępiony, a służba szła w strasznem milczeniu.

Biskup zsiadł tu z konia i do izby wszedłszy, w której go, do nóg mu padając powitał leśnik stary, popchnął go precz od siebie i kazał grzać wino.

Dudar natychmiast się wziął do tego, bo nigdy bez beczułki nie wyjeżdżano. Jadło odepchnąwszy, Paweł siedział i pił długo.

Na dworze pozostała służba przyparła się do płotów i woza, a na pytania, zadawane przez resztę dworu, nie odpowiadała.

— Gdzież Werchaniec?

— Licho go wie...

— Pan zły?

Głowami okazywali, że się doń zbliżać nie było bezpiecznie.

Pijąc, sparty na ręku, biskup wyjrzał razy kilka ku oknu, jakby się słońca i dnia pytał, ile ich było do wieczora.

Piękny dzień zmienił się pod wieczór w pochmurny, szara opona, śniegiem grożąca, wisiała nad ziemią. Wiatr czasami przeciągał z wyciem. Rachował pewnie ksiądz Paweł, ażeby zbyt zawczasu nie powrócić do Krakowa. Już zmierzchało, gdy dał znak, by mu podawano konia. Służba ruszyła się żwawo, milcząca, strwożona.—Dudar nią dowodził.

— No, to się Werchaniec gdzieś zbłąkał!—mruczeli niektórzy. Drudzy, patrząc po sobie, uśmiechali się skrycie.

Jak pogrzebowy orszak, ponuro, milcząco, smutnie pociągnął ów biskupi poczet ku miastu.

Ci, co byli na polanie, bali się ust otworzyć—reszta przestała pytać. Oglądano się tylko, czy Werchaniec nie napędzi. Wiatr wiał coraz silniejszy i zgniły.

W tem milczeniu grobowem wjechali już nocą prawie w ulicę Wiślną, w podwórze, i biskup wprost poszedł do swej izby sypialnej. Służba rozpierzchła się po stajniach i psiarni. Dudar wdumany w siebie, myśląc pewnie, czy mu Werchańca zastępować nie każą i czy go kiedy ten sam los nie spotka,—stał jeszcze na podwórcu, gdy ze drzwi wybiegła, w boki się ująwszy, Zonia.

— Słuchaj ty!—zakrzyczała do Dudara—a mój gdzie?

— Albo ja wiem! Zabłąkał się!

— Coście to nie trąbili nań?

Dudar ramionami dźwignął.

— No, słyszysz? Gdzież go licho poniosło, nie wiesz?

— Pewno w puszczy nocuje—z trochą szyderstwa odparł Dudar, śpiesznie precz odchodząc.

Zonia, połajawszy go, wróciła do izby, w której ten sam młody klecha siedział u stoła. Poczęła łajać, że jej męża zagubili.

— A co mu się ma stać w lesie, który on zna jak własną komorę?—odezwał się klecha.—Wilcy go nie zjedzą.

— Nie ukąsiliby, tak stary i twardy—odparła Zonia, śmiejąc się i siadając na ławie.

Siedzieli tak na rozmowie z klechą dobry czas, aż się

pożegnał i wyszedł. Werchańcowa kręciła się po izbie, ogarniał ją niepokój jakiś.

— Ten zbój zawsze mi takiego strachu napędza— rzekła do siebie. — Niebardzo mi się na co zdał, a wszelako oczy do niego nawykły...

Przeżegnała się pobożnie, pocałowała krzyż, narzuciła chustę na siebie i pobiegła do dworca. Tu popytawszy czeladzi, wpadła do komory w której siedział biskup, nogę na nogę założywszy, sam jeden z czołem nafałdowanem.

Zobaczywszy ją w progu, odwrócił twarz.

— A gdzieżeście to mego podzieli?—ostro zapytała Zonia.

Biskup ręką zamachnął.

— Idź, jędzo, idź!—zawołał—w lesie został.

Popatrzyła mu w oczy.

— Cóż to jest?—zakrzyczała.—Wszak to już nocka, a jego tak na wilki zostawiliście?

— Milczże i idź, skądeś przyszła!—odparł, sierdząc się Paweł i pięść podnosząc.—Precz, babo!

— Czegoś zły!—zamruczała Zonia, wcale się nie uląkłszy i stojąc a przypatrując mu się, niby czytając w twarzy. Biskup milczał długo.

— Jego niema—poczęła znowu baba po chwili— a ja tu za wszystkich wystarczyć muszę. Życia nie stanie. Ta wasza kraska łomocze się tam po swych izbach, że ją choć wiązać. Wszystkiego jej mało, królowąby się chciało być. Idźcieno popatrzeć, jak szaleje. A tu ja jedna i na nią, i na czeladź, i na dwór.

Gdy język tak rozpuściła, biskup wstał, nogami począł bić o podłogę, a rękami podniesionemi grożąc, wygnał ją precz z izby, z której uciekła, przeklinając.

Tego wieczora garstka wiernych Pawłowi wesołych towarzyszów zebrała się na wieczerzę, ale biskup, który z niemi nie pieścił się bardzo, kazał ich precz odprawić, powiedziawszy, że jest chory. Do dziwactw jego nawykli, poszli pasorzyci szydząc i rozpowiadając po cichu, że pewnie być musiał u swej zakonnicy.

Nie było go tam do późna. Zawahał się nawet czy miał

iść dnia tego, czy u siebie pozostać; namyślił się i wyszedł tylko na chwilkę.

Dziewczynę znalazł stojącą, nadąsaną, zwróconą plecami doń, gdy wchodził. Biskup nie w lepszem był usposobieniu. Burza groziła. Bieta udała, że go nie spostrzegła i nie słyszała, zwróciła się potem nagle i temi oczyma, które u niej za całą twarz stały, zmierzyła biskupa groźno. Gniew z nich buchał.

— Cóżeś to tak zła?—zapytał.

— Albo mi tu dobrze, żebym dobrą była? — odparła gwałtownie, suknię szarpiąc na sobie.—Niewola taka, jak w klasztorze, twarzy ludzkiej nie widzę, głosu nie słyszę, wy ledwie przyjść raczycie, wstydząc się mnie.

Biskup nie odpowiedział, o czem innem rozmyślając, roztargniony.

— Wstydzicie się i kryjecie -dodała—a to próżno, wszyscy przecie wiedzą, żem wasza...

Chodzić poczęła, zataczając się i chwytając za głowę.

— Złośnica jesteś—odezwał się biskup, oczyma goniąc za nią.—Drugaby się szczęśliwą miała, we wszystko opływając, tobie trzeba jeszcze więcej!

— A! mnie to wszystko wasze za nic—zaczęła Bieta dąsając się—za nic bez powietrza, słońca i ludzi. Jeszcze mi za stróża posadziłeś na karku babę złą i krnąbrną, która myśli, że ona tu panią i mnie chce rozkazywać! Ja żadnych przykazań nie znoszę.

Biskup słuchał obojętnie, odrętwiały.

Wtem drzwi otwarły się z trzaskiem wielkim, tak, że Bieta i biskup zwrócili się ku nim przestraszeni.

Z włosami potarganemi, z zaognioną twarzą, w sukniach pomiętych, jak wściekła, wpadła Zonia wprost na biskupa, w ręku trzymając ów róg mężowski, który jeden z czeladzi odkradł, gdy go do grobu wciągano. Podniósłszy go do góry, stanęła przed Pawłem, słowa nie mogąc przemówić. Dobyła nareszcie głosu z piersi.

— Co się stało z moim? mów! na rogu krew! Werchańca niema! Ludzie milczą! Mów! to twoja sprawa!

Biskup cofnął się trochę, pobladłszy, lecz natychmiast wzięła w nim górę duma i zuchwalstwo przyrodzone. Spoj-

rzał z góry na kobietę i zmarszczywszy brwi, pokazał jej drzwi.

— Precz!

— Precz! Nie! nie pójdę precz!—krzyknęła Zonia.— Ty wiesz, to sprawa twoja! Tobie się go może pozbyć było potrzeba, bo wiedział wiele. Takbyś się i mnie chciał pozbyć!

— Kto ci dał ten róg?—począł biskup napaścią tą strwożony znowu—skąd to masz?

— W izbie czeladnej na stole u wieczerzy go położyli— żywo wołała kobieta.—Na nim krew! krew!

Ręce jej dygotały, róg obracając. Biskup zwolna oprzytomniał. Bieta oka z niego nie spuszczała.

— Co za krew! Jelenia może albo dzika!—rzekł Paweł.—Róg musiał zgubić, upiwszy się! Niecnota! Co ja wiem o nim? Idź go sobie szukać.

— O! ty wiesz! kłamiesz!—krzyczała Zonia.—Wiesz! Ludzie milczą, dosyć popatrzeć na nich, czuć, że coś polknęli i tają, bo muszą. Jemu się stało coś—on nie żyje! Zwierz go zadarł czy ty!

Gniew niewieści rozlał się we łzy namiętne, w jęk i szlochanie. Biskup zmierzywszy ją i Bietę długim, chmurnym wzrokiem, podszedł ku drzwiom i zatrzasnął je gwałtownie za sobą.

Werchańcowa na ziemię padła rozpłakała, zrozpaczona.

Z mężem na pozór nie byli nigdy bardzo serdecznie, ale Zonia po swojemu była doń przywiązaną, zazdrosną o niego, żyła z nim długo, nawykła doń byli sobie wzajem potrzebni. Żal po nim objawał się niemal rozpaczą. Można było przepowiedzieć, że nie potrwa długo, lecz pierwszy wybuch jego był straszliwy.

Bieta, dla której wszystko to po klasztornem spokoju nowem było, stała patrząc, słuchając, rażona i więcej zaciekawiona, niż rozrzewniona. Pierwszy raz w życiu widziała tak dziką namiętność, choć sama nie mniej gwałtowną była.

Po różnych wywoływaniach, zaklęciach, wykrzykach

do Boga i świętych o zemstę, o karę, o ratunek, Zonia zwróciła się do Biety.

— Znajże ty tego człowieka, jaki on jest—zawołała—poznaj ty go zawczasu, bo i ciebie to, co nas czeka! Precz! Za drzwi, gdy się mu skomlenie naprzykrzy, albo ubić każe! Czy mu to pierwsza czy ostatnia! Takim on zawsze był i takim szatani duszę jego porwą do piekła! Gotujże się i ty pieszczoszko! Jak mu się przejesz, wyżenie bez litości.

Grożąc jej pięścią cała jeszcze z gniewu i wzruszenia miotając się ruchy bezmyślnemi, Werchańcowa róg mężowski cisnąc w ręku, wybiegła ku drzwiom, jakby biskupa goniła. Bieta ścigała ją oczyma. W duszy jej budziło się pytanie, czy to miało być szczęściem, dla którego opuściła klasztor spokojny?

II.

Izba była sklepiona, nizka, mała, prawie jak cela klasztorna. Jedno okno zakratowane, błonami ciemnemi sadzone, wpuszczało do niej tyle światła, że we dnie siedząc przy niem, czytać było można. We wgłębieniu grubego muru, w którem się ono mieściło, stało siedzenie drewniane, dębowe, z prosta rzeźbione, niezgrabnie, z wysokiem poręczem i bokami, wysłane starą poduszką. Przed niem stał podnóżek dobrze wytarty i stół z pulpitem wzniesionym, bez którego ksiąg ówczesnych, grubych ciężkich, czytać nie było można. Wszystkie one z małemi wyjątkami miały formę agend i ksiąg pobożnych, grubych foliałów, oprawne były w deski dębowe, okute mosiądzem, a jeden człek ledwie je czasem mógł podźwignąć. Czytający musiał je na takim rozkładać pulpicie, aby się w nich wygodniej rozpatrzeć.

Właśnie taki olbrzymi foljał spoczywał otwarty przed siedzeniem, a zrzynek pergaminu służył za zakładkę.

W prawo, niżej pulpitu, na podstawie, spoczywał czar-

ny kałamarz rogowy, nożyk niezamykany i cały przyrząd do pisania. W lewo stała w dębowe drzewo oprawna prosta klepsydra szklana z piaskiem, jak śnieg białym, mierząca godziny. Zgaszona lampka włoska ze swemi przetyczkami i łańcuszkami, wyglądała z poza klepsydry.

Naprzeciw siedzenia tego, całkiem we wklęsłość muru wciśniętego, na małej półeczce w górze, tak, aby czytający zawsze ją mógł mieć na oku, postawiona była trupia głowa, przypominająca pobożnemu mieszkańcowi tej ubogiej izdebki znikomość rzeczy doczesnych.

Za oknem tem, w kąciku ciemnym, stało łóżko anachorety, ciasne, twarde, jedną wełnianą, wyszarzaną kołdrzyną okryte. Przy niem u węzgłowia widać było klęcznik z krucyfiksem i dzbanek na ziemi.

Podłoga bez mat i wysłania, składała się z połupanych już i porozgniatanych cegieł, z pośrodka których tu i owdzie ziemia nawet przeglądała. Po kątach pająki zasnuwały swobodnie sieci swoje. Reszta ścian wolnych okryta była przytwierdzonemi do nich półkami, na których się mieściło skromne gospodarstwo mieszkańca tej izdebki. Można było z nich odgadnąć, co mu drogiem, a co obojętnem było.

Najwięcej miejsca zajmowały właśnie takie księgi ogromne, z których jedna właśnie spoczywała na pulpicie, ciężkie, rozmiarów wielkich, w okładzinach z desek skórą poobciąganych, z kutemi ciężko narożnikami, grzbietami i boki z mosiądzu, na grube klamry pozamykanemi.

Z ich układu wnosić było można, iż często je stamtąd poruszano, nie stały bowiem rzędami wyprostowane, jak próżniacze księgi na spoczynek skazane, ale się różnie wychylały, jedne leżąc, drugie stojąc pochyło, inne się przygniatając, aż półka pod niemi w kabłąk się uginała.

Tuż obok nich para garnuszków, kilka misek glinianych, flaszek, pyłem okrytych, we mroku ledwie dojrzane się chowały.

Dla przybywających tu w gościnę, których zapewne nigdy się wielu razem zbierać nie mogło, stały przygotowane dwie ławki dębowe z poręczami, a na jednej z nich leżała wyszarzana, spłaszczona poduszka. U drzwi wisiała

kropielnica gliniana, na której domyślać się było można anioła ze skrzydły rozpostartemi, który naczyńko utrzymywał. Para obrazków świętych kryła się w ciemności, która już z południa większą część izby zalegała.

Właśnie o tej godzinie zimowego dnia, siedział w tej swojej katederce przy oknie w kożuszek okutany, w butach futrzanych mężczyzna maleńkiego wzrostu z bystremi, mimo lat podeszłych oczyma. Głowę miał też okrytą czapeczką z uszami, bo w izbie było dość chłodno.

Biedny starowina ręce pozasuwał w rękawy, postawę miał zbiedzoną i smutną, a że się skurczył i siedzenie dlań za obszernem było, ledwie się w niem skulony u boku dojrzeć dawał.

Był to ksiądz Jakób ze Skarzeszewa, ówczesny luminarz kapituły, któregośmy już raz przy wyborach widzieli. Od tego czasu twarz jego zwiędła, żółta, jeszcze się bardziej do pergaminu starego stała podobną, jak gdyby na niej odbiła się barwa tych ksiąg, nad któremi nieustannie siedział.

Mała izdebka dnia tego była prawie pełną, tak, że przybyli stać musieli i obracać się im było trudno, a że wszyscy pragnęli przybliżyć się do uczonego i pobożnego męża, otaczano go ciasnem kołem; ks. Jakób oczy miał spuszczone i jakby nie śmiał patrzeć na przytomnych. Twarz wyrażała strapienie i frasunek.

Na przodzie stał kanonik Janko, znany nam przeciwnik biskupa z czasów wyborów; chudy, suchy, ascetycznego oblicza, na którem gorzały zapał, energia, i wielka siła woli. Za nim inni nieprzyjaciele biskupa, smutni, upokorzeni, bezsilni, milczący, pogrążeni w sobie na odpowiedź księdza Jakóba oczekiwać się zdawali.

Milczenie było długiem, smutkiem brzemienne:—ks. Jakób z odpowiedzią się ociągał.

— Dopuszczenie to Boże—rzekł nareszcie głosem złamanym—ale, bracia mili w Chrystusie Zbawicielu, drogi Opatrzności są niezbadane Dozwala on czasem złym przyczynić zgorszenia, z pychą się prawdzie urągać, aby ona potem wyszła zwycięską i jaśniejszą. Bóg wielki! Kara to straszliwa, ale zżymać się i szemrać nie godzi Na pró-

bę wydana cierpliwość, wiara wasza i cnota, abyście się nauczyli szanować władzę Kościoła, choć w niegodnych rękach spoczywa, a Bogu pozostali wierni. Biada temu, przez kogo przychodzi zgorszenie, lecz Kościół wiekuisty uszczerbku nie poniesie przez jednego człeka: my słudzy jego ucierpim tylko! Natośmy przecie żołnierzami Chrystusowymi, abyśmy mu ran naszych nie liczyli! Płaci on za nie sowicie!

Skończył ks. Jakób, westchnienie do jęku podobne słyszeć się dało wśród stojących dokoła.

Ks. Janko odezwał się pierwszy.

— Ojcze miły—rzekł.—Wszystko to święta prawda, ale natośmy żołnierzami Chrystusa, abyśmy Kościół Jego ratowali. My, członkowie kapituły tej prześwietnej, my, współpracownicy domniemani tego człowieka, którego czyny w części na nas spadają, musimy, powinniśmy nie zostać bezczynnymi świadkami.

— Nie da się inaczej zaprotestować—wykrzyknął, głos podnosząc—więc choćby pieszo pójdziemy do Rzymu! Nie zechce nikt, ulękną się inni tego Antychrysta, wezmę kij w rękę i pójdę ja sam. Padnę do stóp Namiestnika Chrystusowego, powiem mu ból mój i zwolnię sumieniowi memu. *Salvabo animam meam!*

Parę głosów odezwało się za nim:

— Pójdziemy z wami!

Ks. Jakób milczał, patrząc na księgę, czy na ziemię.

— Postanowiona to rzecz—dodał ks. Janko.—Chybabym nie żył, uczynię, jakom rzekł. Sam, czy z kim, bodaj o żebranym chlebie od furty do furty klasztornej idę!

Zapał, z jakim to mówił, ogarnął innych; poczęli za nim powtarzać:

— Pójdziemy! Idziemy!

Jednakże nie wszyscy się w tę podróż ofiarowali.

— Myśmy wszakże w Rzymie nieznani—mówił po chwili ks. Janko—posądzą nas może, iż dla osobistej waśni spór toczymy. Potrzeba mam powagi twej, poparcia twego ojcze. Znacie tam mężów wielu. Ojciec święty sza-

nuje was, słowo jedno wasze więcej tam znaczyć będzie, niż wszystkie skargi i użalenia nasze.

Ksiądz Jakób powoli zaczął głowę podnosić.

— Dam wam świadectwo—odezwał się,—jako was za mężów zacnych i wiary godnych trzymam, ale oskarżać mnie, staremu, o to, czego oczy moje nie oglądały, o czem z posłuchów wiem tylko... nie przystało.

Kanonik Janko nie nalegał, ks. Jakób mówił dalej powoli, karty swej księgi palcami poruszając.

— Świadectwo moje! Daj Boże, aby się ono wam na co przydało. Nim wy z niem przybędziecie do Rzymu, mnie na tym świecie nie będzie. Lata moje podeszłe już bardzo. Bóg mi dał tę wiedzę, łaską swą, że się zbliżam do końca. Na sąd idę spokojny.

Zaczęli mruczeć niektórzy, a jeden z młodszych księży pochylił się i z poszanowaniem rękaw sukni starca ucałował.

Ksiądz Janko ciągnął dalej:

— Kto nie może iść z nami, powinien nam też świadectwo swe dać, aby skarga miała powagę większą.

Kilku duchownych zgodę oświadczyło.

Kanonik mówił z oburzeniem rosnącem.

— Wszeteczeństwo, jawnogrzesznictwo, zabójstwa, simonia, rozgrabienie duchownej własności, gwałty wszelakie, samowola niesłychana! Nigdy tak Kościół pokarany i pokalany nie był dłonią, co go bronić i przyświecać mu była powinna! Prześladowali świeccy, lecz by pasterz własną swą trzodę wiódł na zatracenie, tego, jak pamięć ludzka i dzieje sięgają, nie było!

— Nie było!—powtórzyli wszyscy.

— Na nas wszystkich odgrażanie się srogie—mówił Janko.—Ludzie biskupi głoszą, że więzienia i kuny oczyszczać kazał, stróżów do nich nowych poprzyjmował! Żelazne więzy kowają dla nas. Tymczasem obicia ze skarbców idą na łoże wszetecznicy, mniszki, grosz nasz na zapłatę grzywn za przelaną krew! Zgroza!

Ksiądz Jakób zamknięty w sobie milczał. Robiło się w izbie coraz ciemniej. Stojący za innymi człeczek niewielki, biedota, który słuchał z uwagą natężoną oddawna, sko-

rzystał z chwili, gdy nań nie patrzano, przysunął się do bliskich drzwi, ostrożnie je zdaleka odemknął i—uszedł. Dopiero, gdy się one za nim zawarły, a klamka zatrzasła, dostrzeżono, że ktoś ubył. Spojrzano po sobie, policzyli się obecni, księdza Jeremiego nie było.

Kanonik Jeremi Jankowi i niektórym innym zdawna był jakoś podejrzanym chociaż stale trzymał z tymi, co przeciw biskupowi byli, a czasem nawet odzywał się dosyć gorąco na Pawła. Nie miano dowodów żadnych, by sprawę ogólną zdradzał, a jednak przeczucie jakieś mówiło, że go się strzedz należało.

Ksiądz Janko mianował go wprost przecherą, inni bronili. Był to człowiek pokorny, godzący się na wszystko, nie sprzeciwiający nikomu, pomimo mało mówności, wciskający się ciekawie gdziekolwiek była jaka narada gdzie się coś dowiedzieć, posłyszeć było można. I działa się potem rzecz dziwna, bo choć narady odbywano w poufnem kółku, biskup o ich skutku, a nawet o ich słowach wyrzeczonych i sposobie przemawiania każdego był doskonale uwiadomiony.

Nie podpatrzono dotąd, by ksiądz Jeremi chadzał do biskupa, przecież niebardzo mu ufano.

Ksiądz Janko, który tu zwołał innych członków kapituły, jednako myślących, osiągnąwszy cel swój, a widząc nadchodzący wieczór, gdy już duchownym bez światła i chłopca na ulicach samym ukazywać się nie godziło, zabierał się do wyjścia. Inni też księdza Jakóba żegnali.

Janko jednak po namyśle został dłużej trochę bo i gospodarz coś mu szepnął do ucha.

W izbie zrobiło się zupełnie ciemno, tylko od śniegu, w ulicy leżącego, trochę odbitego blasku przez okienko wpadało.

Zgarbiony starowina, prawie tego wieku, co ksiądz Jakób, wszedł mu lampkę zapalić.

Ksiądz Jakób wyjął ręce, które trzymał zasunięte w rękawach kożuszka i podniósł je do ks. Janka.

— Braciszku mój—zawołał niespokojnie.—Braciszku mój! Ty *per pedes Apostolorum* do Rzymu, ty! do Rzymu braciszku, a cała moja nadzieja była w tobie! Ja lada

godzina zemrę, któż się zaopiekuje skarbami mojemi, aby się nie rozproszyło marnie to, na co ja wiek cały pracowałem? Źli ludzie rozerwać go gotowi, gdy ja zamknę oczy. Ze zgrozą myślę! Powydzierają karty pergaminowe, pozmywają je, podrapią, aby na nich lada przywileje pomazali! A moje dekretalia! Kodeksy moje! Biblia...

Starzec mówiąc, rozgrzał się mocno, głos słaby urósł mu nawet, ręce wyciągnięte drżały.

— Ty do Rzymu braciszku, a moje rękopisy na cztery wiatry! na myszy!

— A! tak źle nie będzie, ojcze mój—odparł ksiądz Janko,—znajdzie się przecież ktoś, co mnie zastąpi.

Staruszek, któremu się na płacz zbierało, powtórzył z boleścią.

— Kodeksy moje! *Miserere Domine!* Miserere!

Kanonik Janko w ramię go pocałował; nie mówił nic ale mu się dziecinnem zdało myśleć o kodeksach i decretaliach, gdy Kościół gorzał.

Nazajutrz po tej naradzie zjawił się u księdza Jakóba, zwykły poseł w takich razach, strojny, rumiany, wesół, rubaszny ks. Szczepan, biskupa prawa ręka, zausznik i gorliwy obrońca.

Twarz miał nad podziw wesołą, jak gdyby na świecie żadnego powodu do strapienia nie było.

— A co, księże prałacie—zawołał głośno, całując go w ramię.—Jak tam zdrowie? Ksiądz biskup się o nie troskliwie dowiaduje.

Stary spojrzał z ukosa, jakby powiedzieć miał:— Skądże ta łaska? i rzekł krótko:

— Dogorywam! O zdrowie tam nie pytać, gdzie życia ledwie drobinka.

— Ho! ho—przerwał ks. Szczepan.—Tak to wy już od lat mówicie dziesiątka... ale zawiędliście i przeżyjecie nas młodszych!

Ks. Jakób dał znak ręką.

— Ksiądz biskup was na jutrzejszy dzień do stołu zaprasza—dokończył przybyły.—Wie on, że mu nie wszyscy są chętni, ale, bez różnicy, wzywa całą kapitułę. Kazał mi was prosić.

— Ale ja i o kiju nie mogę!—odparł Jakób.—Nie mogę na żaden sposób.

— A powinniście być!—pośpiesznie począł Szczepan.—Potrzeba raz w kapitule ład uczynić. Ksiądz biskup ma wielu niechętnych, potwarzami okrutnemi go okładają. Czynią go wszetecznikiem, gwałtownikiem, mordercą!

Starzec spojrzał z ukosa.

— Potwarze to są, potwarze kalumniatorów—ciągnął przybyły.—Nikt z nas świętym nie jest, ale znowu nie takeśmy przeklęci, jak głoszą. Mniszka uciekła z klasztoru? Albo to pierwsza? Wnet na biskupa włożyli, że on ją wykradł! Niechże dowodzą! Na łowach mu ulubionego sługę ubito, wnet głoszą, iż biskup go zamordował! Gdy złe języki puszczą się—ho ! ho! końca niema. Dalej już nie wiem, co nań wymyślą.

Ksiądz Jakób milczał.

Przybywający z zaproszeniem byłby może mówił dłużej, lecz zobaczywszy, iż starzec machinalnie karty księgi leżącej przed sobą przewraca a mało się go słuchać zdaje... zabrał się do pożegnania.

— Będziecie u biskupa?—zapytał.

— Wiecie, że ja tą porą zimową na krok z izby nie wychodzę—odpowiedział ks. Jakób sucho.

Po odejściu posła stary zaraz modlić się zaczął z tą obojętnością na wszystko ziemskie, która w późniejszym wieku, gdy człowiek światu obcym się staje, świadczy zarówno o starganych siłach, jak o spokoju ducha.

Ta myśleniem przerywana modlitwa trwała z godzinę, gdy ktoś do drzwi zapukał i wszedł kanonik Janko, jak zawsze poruszony mocno.

— Coś nowego!—odezwał się w progu.—Ksiądz biskup nas wszystkich wrogów swych, na obiad wołać raczy! Posły biegają na wsze strony, nagląc, abyśmy szli.

— A wy?—zapytał staruszek.

— No, a wy?—powtórzył ksiądz Janko.

Gospodarz za całą odpowiedź, wysunął swe obrzękłe futrem obwinięte nogi!

— Ja pójdę—zawołał stanowczo Janko.—Tak! pójdę! Męstwo potrzeba mieć, aby wbrew i zawsze prawdzie da-

wać świadectwo! Łatwo narzekać i łajać za oczy—pora przyszła stanąć oko w oko! Pójdę!

Stęknął ks. Jakób.

— Miejcież się na baczności—szepnął bardzo cicho.—Jedno z dwojga, chcecie skarżyć do Rzymu, po cóż mu się w ręce dajecie? Cóż będzie, gdy was tam ująć każe i do więzienia da wrzucić?

— Nie może być! nie targnie się! nie będzie śmiał!—krzyknął Janko.—Kapitułę do wieziénia!

Starowina głową pokręcił, czapeczkę nacisnął na uszy, poprawił kożuszka—nie rzekł nic.

— Pójdę ja, nie tylko ja sam—mówił Janko—gardłuję za tem, aby szli wszyscy nasi, i pójdą. Staniemy mu jako mur, jako opoka, jako wyrzut, jako głos sumienia, mężnie. Niechaj się dzieje, co chce.

— A jeśli tak zuchwałym jest, jak głoszą?—zapytał gospodarz.

Zmilczał nieco Janko.

— Gdyby się miało stać to, co wy prorokujecie—dodał po namyśle—gdyby się na nas targnąć ważył i do więzienia dał,—toć świat o tem wiedzieć będzie, to mu wrogów przyczyni i przyśpieszy upadek pysznego.

— Mnie o me nędzne życie nie idzie—mówił z coraz większym zapałem. — Męczeństwo ponieść gotów jestem dla sprawy Kościoła, głowę dać, krew przelać, a nie dopuszczę stolicy tej, świętej matki, bezcześcić i plugawić. Ludzie powiadają—tak indziej bywa. Są źli biskupi, są pasterze niegodni! Nie było ich u nas na krześle tem, które zasiadał męczennik Stanisław ze Szczepanowa, błogosławiony Wincenty, Prandota, Iwo. Nie było na tej stolicy cienia ni plamy, a dziś ohyda!

Janko zakrył sobie oczy.

— Ach!—ciągnął dalej.—Gdybym odwagę moją potrafił wlać w drugich, gdyby mu kapituła poszła pontificaliter, cała, jednogłośnie powiedzieć:—Nie chcemy cię, boś zakałą, idź stąd synu szatana! Idź przeklęty Antychryście! Musiałby zbójca ten precz ze sromem ustąpić!

Ksiądz Janko wyciągnął pięść, jakby nią miał wroga niewidzialnego uderzyć. Nie spostrzegł się uniesiony tak woła-

jąc, że na ostatnie jego słowa wsunął się ks. Jeremi i bardzo śpiesznie czapkę zdjąwszy, począł szeptać z uśmieszkiem:

— A co? a co? Biskup na jutro, na chleb, na polewkę prosi do siebie! Co to będzie! Wy idziecie, ojczulku?

Ks. Jakób głową potrząsnął.

— Jać nigdzie już nie chodzę, do kościoła nawet nie mogę.

— A wy?—zwrócił się do Janka.

— Jak sądzicie!—zapytał z pewną ironią.

Zmieszał się przybyły.

— Ja! ja!—zająknął się.—Ja głosuję za tem, aby iść! iść!

— Ja także!—odparł dumnie kanonik.

Ks. Jeremi przyskoczył doń żywo, oczki małe pałały mu.

— Tak jest, ja pójdę—dołożył chłodno Janko.

— A drudzy?

— Sądzę, że pójdą wszyscy.

Ks. Jeremi uspokoił się wprędce i tchnął swobodniej, zdawał się jednak nie dowierzać słyszanemu. Dodał po cichu:

— Kiedy wy, ojcze, kiedy wszyscy... Kiedy postanowiono... ja się nie odłączę. Idę i ja!

Gdy się to działo w mieszkaniu ks. Jakóba ze Skarzeszewa, na dworcu biskupim wrzało i gorzało jakimś ogniem piekielnym. Biskup Paweł nigdy nie był mniej przystępnym, gniewliwszym, popędliwszym. Czeladź domowa, wołana i odpędzana nieustannie, najczęściej odchodziła okrwawiona i potłuczona. Nikt dogodzić mu nie umiał.

Nie wyjeżdżał wcale na łowy, bez których dawniej trzech dni się nie obył, włóczył się po izbach pustych, do kościoła ani zaglądał, odwiedzających gości przyjmował twarzą ponurą i nadąsaną. Zaufanych swych łajał i okazywał im wzgardę. Z kilku tylko zausznikami swymi z ka-

pituły, a najczęściej z ks. Szczepanem potajemne miewał narady. Na Wawelu w kościele kazał się innym zastępować.

Czeladź biskupia zapowiadała, iż z żoną zabitego Werchańca, nieutuloną w żalu i w gniewie, przez dni kilka takie jakieś odbywały się sceny krzykliwe, iż ją nareszcie nocą gwałtem porwano i wywieziono. Dokąd nikt nie wiedział.

Ze zniknięciem jej, Bieta oswobodzona od nadzoru, stała się jeszcze bardziej samowolną i rozkiełznaną. Mówiono, iż na ludzi nie bacząc, wieczorami śmiało chodziła do dworu, a biskup odpędzać jej nie miał odwagi. Śmiała niewiasta brała nad nim nawet górę. Z pokornej zakonnicy stała się tu panią wszechwładną, a moc jej rosła z każdym dniem i rozzuchwalała ją bardziej. Czeladź musiała słuchać jej skinienia.

Co się stało z Werchańcową? Domyślano się różnie, utrzymywali niektórzy, że jej już, jak jej męża ludzkie oczy nie zobaczą.

W dniu tym na który byli zaproszeni goście do stołu biskupiego, cała służba nadzwyczaj była czynną. Ksiądz Szczepan do bocznej komory zwołać kazał wszystkich wyrostków, którzy około stołu posługiwać byli zwykli. Z tymi bardzo długo szeptał coś, nauki im dawał, i nie odpuścił, aż ich służby jakiejś nauczył.

Gdy się potem ta swawola gromadzka rozpierzchła po podwórzu, widać było na ładnych twarzyczkach chłopiąt osobliwą jakąś radość, jak gdy się nastręcza jakaś niepoczciwa psota do wyrządzenia. Stawali po kątach, gwarząc, śmiejąc się, za boki biorąc i nie mogąc poskromić wesołości, która z nich wybuchała. Zuchwalej niż kiedy stawili się swej starszyźnie.

Ciekawi komornicy biskupa, domyślając się czegoś napróżno z nich starali się dobyć tajemnicę. Co rzadko się trafia młokosom, milczeli uparcie, a śmiechy po kątach nie ustawały. Głowy sobie łamali drudzy, skąd ich napadło to wesele i ta buta, domyślano się tylko, iż ks. Szczepan od biskupa tajemne jakieś wydał rozkazy.

Do obiadu i przyjęcia duchowieństwa czyniono wielkie przygotowania, choć gość dawniej na biskupstwie nie był

rzadki, i w ostatnich dopiero czasach mniej się tłumnie do stołu i kubków ściągano.

Oprócz chłopców, prawa ręka biskupa, kanonik Szczepan, wezwał i inną czeladź do siebie, mianowicie tych, co około biskupich więzień straż mieli. Tych w nocy pościągano, a gdy ich po wydaniu rozkazów kanonik odprawił, nie tak wesoło patrzyli, jak chłopcy. Rozeszli się po kątach posępni, wzdychając.

Wszystkie te przygotowania do uczty, jawne i potajemne, biskupa zdawały się uspokajać nieco. Stał się mówniejszym, powolniejszym i zmuszał się do okazywania pogodnego umysłu.

W wigilię dnia naznaczonego biskup jawnie podwórcem poszedł wieczorem do Biety. Widzieli to wszyscy, zdał się nie dbać o to wcale.

Od czasu wywiezienia Werchańcowej u mniszki zmieniło się jeszcze: przybyło sprzętu i okazałości. Dostarczano jej, co chciała, a codzień potrzebowała czegoś nowego, i wszystkiego jej było mało.

Niewielkie izby dworku tem się wydawały wspanialsze, że w nich nagromadzono co tylko ówczesny zbytek mógł dostarczyć. Bieta kochała się w przepychach, jak ci, co ich nigdy nie miewali. Powietrze wonne było od olejków ze Wschodu, od kadzideł drogich, któremi szafowano. Najjaskrawsze kobierce perskie leżały pod nogami, ściany całe okrywały obicia szyte i bisiory.

Dwór też swój po zniknięciu Zoni pomnożyła, postroiła, chociaż obchodziła się z nim nielitościwie.

Nie było dnia, by jednej lud dwu kąpieli nie kazała nastawiać, a włosów sobie kilka razy trefić coraz inaczej. Suknie też mieniała w dzień często, strojąc się coraz inaczej, coraz dziwaczniej. Leżąc potem na miękkiem posłaniu z rękami podłożonemi pod głowę, dziewczętom sobie kazała śpiewać pieśni miłosne. Obok stawiano łakocie, które gryzła ciągle, coraz inne wymyślając napoje i jadła, bo się jej wszystko prędko przykrzyło.

Niespokojny duch jakiś niczem się jej długo cieszyć nie dawał, potrzebowała zmiany; zachciewała rzeczy niemożliwych, rzucała je potem ze wzgardą, a lada co

niecierpliwiło ją, gniewało, wyciskało łzy z oczów. Dziewczęta widywały ją nagle zrywającą się z pościeli, biegającą po izbach... płaczącą i śmiejącą się jakby w przystępach szaleństwa.

Taką ją z oczyma zaiskrzonemi zastał biskup tego wieczora. Spojrzała nań niespokojnie, badając niemi.

—Wiesz—zawołała z wymówką gorzką—wiesz! Klasztor mi się śni, zaledwie zamrużę powieki! Słyszę nasz dzwonek do chóru i pieśni tych mniszek przeklętych... moje własne. Widzę tam siebie. Widzę i czuję, jak mnie odartą do naga smagają i rzucają do celi ciemnej i zamurowanej na wieki.

Biskup ramionami ruszył.

— Oszaleję!—mówiła, cisnąc się do niego—nie wyżyję! Te sny, te okropne sny! Widziałam królowę Salomeę. Wstała z grobu blada, biała, około głowy miała koło złote, promieniste, patrzała na mnie tak, a! tak! że mnie jej wzrok jak włóczniami przeszywał... Tu! tu jeszcze mnie boli!

I na piersi wskazywała.

— Nie śpię już w nocy, bojąc się tej strasznej zmory. Każę śpiewać, siedzę, oczy się kleją, sny wracają. We dnie, gdy usnę ze znużenia, toż samo. Nigdzie spokoju!

Biskup chciał się rozśmiać, usta mu się tylko skrzywiły, padł na blizkie siedzenie. Stanęła przed nim.

— Ja wiem—ciągnęła gorączkowo dalej.—Mniszki chcą mnie tam nazad porwać... zamurować, zabić może... głodem umorzyć. Królowa nieboszczka, pani moja, ona mi nigdy nie przebaczy. To był jej klasztor, a my jej dzieci. Czemu nie każesz modlić się księżom, aby mnie od tych snów uwolnić! Ja nie poszłam dobrowolnie, jam niewinna! Tyś mnie wciągnął w to piekło... Nie wiem sama, gdzie mi było gorzej: tam, czy tu!

Zakryła oczy, wstrząsła się i wnet odrzuciwszy ręce, poczęła pląsać po izbie, śpiewając, śmiejąc się, wdzięcząc, zmuszając być wesołą.

Wesele to było od smutku przykrzejsze. Buchnęła płaczem po nim.

Na te sny utrapione przecież rada jakaś być musi?— zapytała.

Biskup się rzucił niecierpliwie.

— Dosyćże już tych snów głupich!—krzyknął.— Ja tu do ciebie na spoczynek, nie na utrapienie przychodzę, potrzebuję wesołej twarzy, nie lamentów.

Bieta słuchając, oczy wlepiła w ścianę.

Z za drzwi ciekawie powyglądały służebne, klasnęła w dłonie.

— Hanna!—zawołała—tu! Słodkiego wina!

Paweł na wzmiankę o winie, zadumany rękę wyciągnął.

— Wina! Podać tu wina!—powtórzył.

Hanna, starsza nad dziewczętami, milcząca niewolnica z twarzą nabrzmiałą i siną, pokorna, chytra, bojaźliwa, zjawiła się ze dzbankiem wyzłacanym i kubkami.

Podała napój żywo naprzód biskupowi, ale Bieta z gniewem porwała pierwsza kubek. Dopiero po niej nalał sobie Paweł i wychylił prędko i chciwie.

Wstał odżywiony, próbując się uśmiechnąć, chciał Bietę pogładzić po twarzy, ale ta mu się wymknęła obrażona.

Hanna wysunęła się, dzban zostawiając na stole przy ścianie.

— To wino—odezwała się Bieta—ono na sny nie pomaga; po nim straszniejsze jeszcze się roją.

Po Pawle widać było, że choć tu przyszedł z nałogu, myślą być musiał gdzieindziej. Zalotne ruchy i uśmiechy dziewczęcia, którego humor zmieniał się co chwila, rozchmurzyć go nie mogły. Wkrótce potem ponowił kubek, przeszedł się po izbie, otarł czoło spotniałe, słów parę szepnął z przymusem i zawrócił ku drzwiom.

Bieta zastąpiła mu drogę.

— Boję się zostać sama!—odezwała się.

— A ja dłużej tu dziś być nie mogę—odparł Paweł;— inny mam ciężar na głowie.

Spojrzeli na się, Bieta dumnie od drzwi odstąpiła.

— No, to idź!—rzekła, wskazując na nie—idź!

Zagryzła usta, nie dokończyła...

III.

Obszerna była izba stołowa w dworcu biskupim.- Obyczajem onego czasu, w większych domach zachowywanym, ławy i stoły wązkie otaczały ją dokoła, a środkiem było miejsce wolne dla służby. Goście zasiadali z jednej tylko strony od ściany.

Dnia tego ze szczególną troskliwością na przyjęcie gości spodziewanych ją przysposabiano. Czeladź pilno doglądała, aby białe obrusy, które zaścielano, sięgały aż do samej ziemi. Kilka razy ks. Szczepan wychodził naglądać, jak też stół był przybrany i nakryty.

U końca, gdzie się z obu stron schodziły biegnące w koło siedzenia, dla biskupa ustawiono wysokie krzesło, wysłane poduszkami skarłatnemi.

Przepych był wielki.

Rozrzutny i nie szanujący grosza ks. Paweł z Przemankowa miał z czego występować po pańsku, sam z siebie majętnym będąc i szafując dochody kościelnemi, a na prawo do nich nie zważając ściśle.

Świeciły wszędzie ciężkie srebrne dzbany, niektóre wyzłacane konwie i kubki w części srebrne lub cynowe, misy długie i okrągłe. U biskupa jadła było zawsze poddostatkiem, a przyprawiano je dobrze, bo on sam i jego ulubieńcy żarłocznością się odznaczali. Myśliwstwo, majętności kapituły obficie na stół dostarczały, czego tylko zażądano. Z za granicy przywożono wino, przyprawy i łakocie.

Przy ludziach nowych, cudzoziemcach, legatach z Rzymu, którzy często Polskę nawiedzali, Synody zwołując i z ramienia papieża czyniąc porządek w kościele, biskup, choć występował po książęcemu, miarkował się jednak, w pewnych granicach trzymając, nie dając sobie zbytecznej swobody. Ze swem własnem duchowieństwem i przyjaciółmi nie zważał na nic, nie lękał się nikogo, czynił co żądał, a gdy sobie podchmielił, więcej pamiętał na bujną swą młodość, niż na stan, do którego teraz się liczył.

Duchowieństwo, nieprzyjazne biskupowi, dawno już nie bywało u niego ani na dworze, ani u stołu. Nie miało ochoty przychodzić doń z dobrej woli, a gdy kilka razy zapraszane nawet się nie stawiło, nie wołano ich więcej.

Dnia tego działa się rzecz niezwyczajna; wiedziano już przez posłów, że wszyscy przeciwnicy Pawła stawić się przyrzekli.

Stoły więc nakryto tak, aby dla nich miejsca było dosyć, po prawej ręce Pasterza wyznaczywszy siedzenia dla tych, o których wiedziano, że wrogami mu byli.

Obiady jadano wówczas rano, dobrze przed południem więc tu już od brzasku się krzątano.

Biskup sam, uchyliwszy drzwi, po kilkakroć wyglądał czy po jego myśli biesiadna izba była przybrana... wyglądał ks. Szczepan, naradzał się z nim, chodził niespokojny i posępny, jak człowiek, który się na coś wielkiego ważąc radby co rychlej zbyć się wziętego na się ciężaru.

Zastęp przeciwników biskupich szedł cały razem pod wodzą śmiałego kanonika Janka, który u siebie zgromadziwszy ich i zagrzawszy, aby się mężnie stawili, poprowadził z sobą na biskupstwo.

We zwyczaju było, iż wprzódy, nim do stołu zasiąść miano, biskup wychodził do izby, gości swoich witał, rozmawiał z nimi. Na tę przedobiednią chwilę rozmowy rachował kanonik Janko, iż w niej zaraz całą gorzką prawdę rzuci mu w oczy.

O godzinie naznaczonej, gdy przyjaciele biskupi nie wszyscy jeszcze pośpieszyli się zebrać, ksiądz Janko z kilku towarzyszami swymi wszedł i nie znajdując nikogo, oprócz gości trzymających się od niego zdala, mierzących go oczyma ponuremi, sam też ze swą gromadką przystanął na uboczu, czekając na wyjście ks. Pawła, który, jak sądził, ladą chwila zjawić się był powinien.

Milczenie przerywane tylko brzękiem dzbanów i mis, które służba ustawiała jeszcze i poprawiała, panowało w izbie. Powietrze w niej było duszne jakieś.

Powoli ściągała się reszta przyjaciół biskupa. Stawili się już wszyscy, garnąc w przeciwny kąt izby zdala od

kanonika Janka; spoglądali ku drzwiom: oczekiwany Pasterz nie wychodził jeszcze.

Czeladź już wszystkie potrawy poprzynosiła na stół, zapach ich rozchodził się, łechtając powonienie, a ks. Pawła nie było. Ks. Szczepan oczekujący nań u drzwi, któremi wnijść miał, zajął stanowisko.

Przeciągnęło się to nad miarę i kanonik Janko zrozumiał, że obrachowano na to, aby przed jedzeniem rozmowy żadnej nie było.

Stali tak dosyć długo, gdy naostatek komornik otworzył na oścież drzwi z łoskotem i biskup wszedł odziany pańsko, z łańcuchem na szyi, z rękami pierścieniami okrytemi, z twarzą dumną, głową podniesioną do góry, brwiami zsuniętemi.

Spojrzał z wysokiego progu, na którym stanął, na zgromadzenie, pozdrowił je lekko zdala a zwróciwszy się w stronę, gdzie stał kanonik Janko, mruknął:

— Witam wasze miłości, dawno nie widzianych u mnie, witam.

Uśmiech szyderski towarzyszył tym słowom.

— Ks. kapelan Bertold—dodał—niech odmówi modlitwę.

I nie patrząc już na zgromadzonych biskup poszedł wprost zająć siedzenie swoje. Niesiono za nim pozłocistą miednicę, nalewkę i ręczniki szyte bogato.

Ks. Szczepan dopilnował tego ze szczególną troskliwością, aby ci, co z Jankiem przybyli, razem wszyscy po prawej stronie biskupa zasiedli.

Ci nawet, co Pawła najbliżej znali i widywali go najczęściej, uderzeni byli wyrazem twarzy jego niezwyczajnym. Zdał się ciągle hamować od wybuchu. Żyły mu się wyprężały na skroniach, dłonie, gdy je mył i zdejmował pierścienie, drgały. Podparł się, usiadłszy, na rękach i wlepił oczy w kanonika Janka, który wytrzymując mężnie wejrzenie groźne, siedział spokojny.

Pomimo szastania nogami i szumu, jaki powstał przy sadowieniu się gości, baczniejsze ucho mogło pochwycić niezwykłe jakieś tupanie i chodzenie po sieni, jakby ją gromada ludzi zajmowała. Nie zwróciło to niczyjej uwagi.

Najłapczywsi do jedzenia, mimo, że stół woniał potrawami wymyślnemi, mierzyli się oczyma i jakby w oczekiwaniu czegoś, powolnie, obojętnie brali się do misek.

Biskup nie tknął nic, nalał sobie wina, umoczył w nie usta, spozierał wyzywająco na Janka.

— Powiadają ludzie—począł,—że się w jakąś daleką podróż wybierać zamyślacie.

Zagadnięty tak, podumał trochę, podniósł głowę.

— Gdyby podróż okazała się potrzebną i obowiązkiem sumienia—rzekł,—dlaczegóżbym nie miał jej przedsiębrać? Kapłański nasz stan na wszystko przygotowanym być nakazuje.

— A tak—odparł biskup szydersko—kapłańskie powołanie wymaga wiele, szczególniej zaś pokory i posłuszeństwa.

Gdy się tak rozpoczynała rozmowa, w izbie stało się cicho, i, jak kto siedział, niejeden z ręką do misy wyciągniętą, pozostał nieruchomy.

— Tak—dorzucił Janko śmiało—do posłuszeństwa obowiązani jesteśmy, dopóki sumienie dopuszcza.

— Sumienie!—zaśmiał się biskup.—Szerokie to pole, po którem chodząc, błąkać się można. Lada bunt sumieniem się składa.

Paweł, już dłużej utrzymać się nie mogąc, zaczerwienił się cały na twarzy i zawołał głośniej, rękę podnosząc:

— Wy! Wy mi się buntujecie!

Kanonik Janko, jakby był do tego przygotowany, nie zmieszał się wcale.

— Nad Miłością Waszą prawo też jest—odrzekł.— Gdy wódz go nie słucha, żołnierz od posłuszeństwa jest wolny.

Biskup, cały zapłonąwszy gniewem, ręką o stół uderzył, aż misy i dzbany szczękały, ale Janko ciągnął dalej:

— Kapituła jest ustanowiona do rady i współrządu, ma ona prawa i przywileje swe. Przy tych, jeśli nie cała chce obstawać, nie moja rzecz; są jednak tacy, co przy prawach stać będą.

Gdy to mówił, ks. Janko uczuł nagle, iż pod stołem w nogę został rażony czemś kołącem i do krwi zraniony.

Nie spodziewając się tego rzucił gwałtownie i krzyknął. Ci, co przyczyny poruszenia i krzyku widzieć nie mogli, zdumieni być musieli wielce, zdawało się zdala, jakby na razie choroba cisnęła nim, lub szaleństwo.

Biskup się rozśmiał.

— Szalony jesteś!—zawołał.—Patrzajcie sami! Świadków mam, ten człowiek opętany jest.

— Ja?—wykrzyknął Janko, sądząc, że się ranił o podnóżek i zapominając o bólu — ja? Opętanym nazwać się ten może chyba, co na wysokiem dostojeństwie o Bogu zapomina i praw jego nie szanuje.

— Opętan! opętan! — powtarzać zaczęli, jakby namówieni ks. Szczepan i za nim inni zausznicy biskupi, palce wyciągając ku mówiącemu.

Jeden z księży przybyłych z Jankiem, kanonik Andrzej, podniósł się.

— Jeśli ten ma być opętanym, to i my wszyscy tacy—zawołał,—bo my toż trzymamy, co i on, tak samo myślimy, z nim razem sakwy podróżne wziąć jesteśmy gotowi i—dodał, uniósłszy się—do Rzymu pójdziemy!

Nie dokończył tych słów, gdy pod stołem żgnięty w nogę, skoczył i krzyknął. Padł na ławę z jękiem boleści.

Śmiech i wołanie ozwały się od drugiego stołu.

— Oto patrzajcie na jawną karę Bożą—odezwał się biskup szorstko.—Patrzajcie! Razi ich choroba wielka wszystkich. Szaleją opętani przez dyabła ci, co przeciwko pasterzowi swemu i panu powstali. Jawny znak, iż winni są.

— Opętani! Opętani!—wołali zausznicy od lewego stołu.

Wtem trzeci z towarzyszów Janka zwrócił się do biskupa, z uniesieniem wołając:

— Nie my! Wy obawiajcie się boskiej kary. Bóg cierpliwy, *quia aeternus*, dopuszcza zbrodnie, ale się za nie mści nietylko w wiecznem, lecz i doczesnem życiu.

Mówca nie pośpieszył to wyrzec, gdy także krzyczeć począł: obie nogi miał pod stołem rażone gwoździami. Zwinął się na ławie, podnosząc je.

Ksiądz Janko tymczasem do siebie przyszedł i z kolei

miał głos zabrać, widząc, że ich niepoczciwą zdradą w oczach całej kapituły szalonymi uczynić chciano. Lecz zaledwie słowo wyjąknął, gdy ukłuty znowu boleśniej jeszcze, niż po raz pierwszy, musiał jęknąć, podnosząc ręce.

Wszyscy inni, co z ks. Jankiem poprzychodzili, niezmiernie strwożeni tem, ruszali się od stołu, chcąc powstawać, gdy ich spotkał los pierwszych.

Kłuto i darto im nogi nieznośnie, tak, że patrzącym na te męczarnie, poruszenia, podskoki, rzucania się, musieli się wydać szalonymi. Byli nimi z boleści.

Od przeciwnego stołu śmiechy, wołania szyderskie, wytykania ich coraz się powtarzały gwałtowniej. W sali zgiełk panował. Biskup siedział tryumfujący.

— Na szalonych, opętanych, nim szatan wyzwoli, niema innej rady — rzekł głośno — tylko dać ich pod straż pilną, aby ludziom szkodliwymi nie byli.

Skinął ku drzwiom głównym, które się zaraz otwarły, a przez nie ujrzeli biesiadnicy zbrojnych stróżów więziennych i biskupich siepaczy; czeladź najpodlejszą, psiarzy, parobków, którzy śmiejąc się, ze sznurami w rękach stali czekając na rozkazy.

— Wiązać ich! do ciemnicy!—wybuchnął biskup. — Zamknąć na chleb i wodę, aż zmysły odzyszczą.

Janko z towarzyszami, widząc już jaki los był im zgotowany, nie mówił nic. On i z nim będący wszyscy, nie tracąc ducha, nie okazując trwogi, stali gotowi na wszystko.

Ten spokój naznaczonych na męczeństwo ludzi biskupa do wściekłości przywiódł.

— Wiązać szalonych! Wiązać! do lochu!—powtarzał trzęsąc się cały.

Wtargnęli hurmem do izby biesiadnej stróże i z dzikiem barbarzyństwem ludzi, którzy się radzi pastwią nad wyżej od siebie stojącymi, poczęli księży chwytać, targać, ciągnąć, bić, choć się im ani opierali, ani bronili.

Janko, najbliżej biskupa siedzący, że nierychło kolej nań przyszła być dobytym z za stoła, miał czas podnieść ku niemu rękę i zawołać:

— Bóg wielki skarze cię, pójdziesz na wzgardę i ohydę wiekom potomnym! Amen!

Pokaleczono mu nogi znowu, gdy to mówił, a siepacz za kołnierz porwawszy go, z za stołu jęczącego wyciągnął.

Nim jednak wszystkich pobrano i pokrępowano, nim gwałt dokonany został, stróże obalili pół stołu, izbę zarzucono naczyniem, potrawami zalano winem, szczerby okryły podłogę. Przez otwarte drzwi wpadła zgraja psów, resztki jadła chwytając chciwie.

Czasu wśród tego zamieszania upłynęło dosyć, biskup Paweł siedział, śmiał się, podżegał, parobkom ukazywał, aby więźniów nie żałując smagali. Ci też idących sznurami, które im w rękach pozostały, bili po plecach i głowach. Padali niektórzy, wleczono ich po ziemi. Tak nareszcie wszystkich zagarnięto, a z pod obalonego stołu powyskakiwały, śmiejąc się, pacholęta, które z polecenia i rozkazu biskupa, nogi kanonikom raziły, aby ich wrzekomo szalonymi uczynić.

Wnet zabrano się zbierać skorupy, naczynia, wycierać podłogę, na nowo ją posypywać i do porządku a ładu izbę przywracać, bo na tem się biskupia biesiada skończyć nie miała. Był to wstęp do niej.

Ze złośliwym uśmiechem obracając się do swoich, Paweł krzyknął:

— No teraz już spokojnie pożywać możemy, gdyśmy się opętańców pozbyli!

Niektórzy z zauszników śmieli się na całe gardło, ale w duszy niejeden zadrżał, myśląc, że ten sam los spotkać go może. Udawano wesołość, której nikt nie miał w sobie. Biskup mógł to odgadnąć, gdyż podczaszemu nalewać kazał, a sam jeden po drugim wychylając kubki, dobry przykład dawał.

Wrzawa w sieni w czasie, gdy więźniów wyciągano i wiązano panująca, powoli ustawać poczęła. Chłopięta rumiane z długiemi włosami, z uśmiechami figlarnemi na ustach zwijały się, posługując, nowe misy wnoszono, ale rozmowa przerwana tak tragicznie, na nowo się zawiązać nie mogła, choć wszyscy byli w gronie poufałem i nic im swobodnie puścić języków nie broniło.

Po śmierci Werchańca Paweł, który takiej prawej ręki, a raczej takiej *anima damnata*, jaką nieboszczyk był, potrzebował, dobrał sobie dalekiego powinowatego, który łotrostwem i rozpustą straciwszy wszystko, dwa razy na gardło sądzony, tułał się, prawie mrąc z głodu. Zwał się on Wit Półkoza, niemłody już był, nosił pamiątkę dawnego życia na jednej ręce, u której już żadnego palca nie było. Kłykciami pozostałemi radę sobie dawał. Nos też miał nawpół przecięty nie w boju, ale w karczmie, gdy go raz chłopi pijanego zbili wpół śmierci.

Wit ten, dla którego niczem było spełnić rozkaz wszelki, byle się miał z tem dobrze, pewien bezkarności, a w razie przewinienia zagrożony więzieniem, posługiwał biskupowi, zastępując Werchańca. Służył mu, jako pies, który nie patrzył na co i na kogo jest poszczwany. Jemu było zlecono więźniów wywlec, pozamykać i straż około nich postawić.

Spełniwszy to, zjawił się, dobrze już napiły i tem zuchwalszy, w progu stanął, dał znak, a potem zaraz na swem miejscu u drzwi siadł. Wszyscy do rozmowy byli niechotni, nań przypadło rozweselać.

Więc dobrze wiedząc, co najlepiej w smak panu, począł:

— Na Wawelu — rzekł — wszyscy miejscy murarze na gwałt pracują. Księżna pani kazała murem nawpół przegrodzić pałace, aby dwie płcie od siebie odłączyć i na pokusy je nie narażać. Będą tedy dwa klasztory na zamku, co się chwali Jej Miłości.

— I bardzo—odezwał się biskup złośliwie.—Książę Bolesław, widząc drugich z niewiastami dobrej przyjaźni zażywających, samby może innego żywota zapragnął.

— Na to poszło—rozśmiał się ks. Szczepan,—iż Piastowie chcą wymrzeć bezpotomni. Poczęła to ks. Jadwiga, Brodatego od siebie odsadziwszy, królowa Salomea poszła za nią, a nasza pani dąży w ich tropy.

— Zaprawdę, nawet słusznie się od pomnażania rodu swego wstrzymują — dodał biskup szydersko. — Mamy ich przecie dosyć, albo i nadto. Jeden dobry stałby za tę gromadę.

Z za węgła stołu wystąpiła twarz śmiejąca się, z oczkami przymrużonemi księdza Kwoki. Nosił on to przezwisko, pod którem go wszyscy znali, choć miał inne rodowe. Że dużo mówił i na dworze biskupim drugich zabawiał, dostało mu się w nagrodę.

— A cóż!—rzekł—gdyby Miłość Wasza dozwoliła, tobyśmy przy tej biesiadzie, dla uczynienia jej pobożną, jak się należy osobom duchownego stanu, mogli sobie zaśpiewać litanię Piastowską.

Drudzy na samą o niej wzmiankę śmiać się już zaczynali, biskup nie sprzeciwiał się wcale.

Kubki przez podczaszego wokół nalewane pośpiesznie i wychylane nie mieszając, umysły do tego szyderskiego śpiewu, którego ks. Kwoka był autorem, dobrze przygotowały.

— Litanię naszą! Litanię!—wołano z za stoła... zaśpiewamy!

Ks. Kwoka wydobył się nieco z kąta, ułożył minę pobożną a śmieszną, ręce ścisnął i na głos sposobem kościelnym zaintonował:

— Bolesławie Czysty!

— Oczyść nas!—odpowiedziano mu chórem.

— Bolesławie Pobożny Odonowiczu!

— Módl się za nami!

— Bolesławie Tęgi, Ziemowita synu!

— Zawojuj nas, jeśli możesz!

— Toby się zdało—wtrącił biskup.

Śpiewano tymczasem dalej, śmiejąc się i wykrzywiając.

— Bolesławie Rogaty!

— Nie bódź nas niemi!—odpowiadano.

— Gdyby nam tu dał swego skrzypka! — mruknął Wit—tenby się zdał!

— Bolesławie maluśki, Łysego synu—śpiewał Kwoka.

— Rośnij powoli.

— Konradzie Czerski!

— Nie mąć nam wody.

— Konradzie Głogowski klecho!

— Ożeń się, gdyś się wywlókł.

— Konradku Szląski!

— Siedź doma spokojnie.

Prawie każdej odpowiedzi bujniejsze towarzyszyły śmiechy.

— Bracia Przemysławie i Henryku!

— Pijcie piwo świdnickie!

— Na nasze kwaśne nie przychodźcie!—dodali drudzy.

— Choćby do nas zajrzeli—zamruczał biskup,—nie byłoby nam z nimi gorzej, niż jest.

— Leszku Czarny, synu ojca zwadliwego!

— Siedź doma! Siedź doma!

— A tu nam go właśnie chce na kark dać Bolko, nie spodziewając się potomka—rzekł biskup;—lecz nie dokaże tego.

— Kazimierzu Opolski!

— Rośnij zdrów!

— Przemku Poznański!

— Siedź w swej dziurce!

— Włodku Kujawski!—śpiewał ks. Kwoka.

— A kiedyż im koniec będzie?—zapytał ks. Paweł—jeszcze nie wszystkich wysypałeś Piastowiczów.

— O! nie!—odparł trefniś.—Ziemowity jeszcze mam na ostatnie danie... a tych w Kujawach i na Mazowszu jest kilkoro!

Śmiechy i rozmowy dokończenie litanii zagłuszyły.

— Jest ich dosyć! jest!—mówił autor litanii—nie potrzebujemy obawiać się, aby nam ich zabrakło.

— A to nieszczęście nasze—pochwycił głośno biskup.—Wszystko to prawie poniemczało. Karły są i niedołęgi. Jednych żony trzymają na paskach, drugich ulubieńcy. Bronić od Tatarów niema nas komu, a między sobą się jeść, bić, więzić, zarzynać—poddostatkiem.

— Prawda święta—dorzucił ks. Szczepan—że gdybyśmy nie mieli jednej głowy naszej w pasterzu Gnieźnieskim, a mocy w biskupach, kraje te marnieby na kawały się rozdrobiły i Niemcy-by je wyłykali potrosze.

Na wspomnienie arcybiskupa gnieźnieńskiego cień przeszedł po twarzy Pawłowi.

— Gniezno! Gniezno!—zawołał.—Ono nam w kościele przewodzi więcej przestarzałym obyczajem, niż prawem. Biskupstwo moje miało paliusz, który opieszałością straciło. Tam sobie metropolię przywłaszczono. Kraków był i winien zostać głową tych ziem, a biskup jego stanąć najpierwszym.

Potakiwano mu głośno.

— O! tak! Takci po Bożemu być powinno.

— I tak kiedyś jeszcze będzie—dodał biskup,—gdy się o to postaramy.

Rozmowy weselsze coraz rozpoczęły się po kątach. Wit skorzystał z tego i pocichu, dobrze napity, więc tem śmielszy, do pana swego przystąpił. Korzystał on ze swobody dnia tego i nalał w siebie więcej, niż kiedy, ale mógł też wiele znieść, i póki stał, nigdy przytomności nie tracił, dopiero gdy na łoże legł, kłodą był bez czucia.

Dworując biskupowi, przyszedł do ucha jego z opowieścią o księżach uwięzionych, jak ich rozmieścił, pozamykał i kogo na straży postawił. Potem jeszcze ciszej rozwodzić jął skargi na Toporczyków, przeciw dworowi książęcemu, Wawelowi i rozmaitym wrogom najmiłościwszego pana. Dostał wkońcu kwaśną odprawę, bo biskup nie rad był, ażeby go posądzano, iż go ktokolwiek obchodził, albo mu się mógł wydać groźnym. A gdy się ze swemi doniesieniami upierał, nadając im wagę wielką, do gniewu wkońcu pobudził biskupa, który go łajaniem odprawił, i poszedł Wit, jak zmyty.

Gdy się to działo w jednym końcu stoła, dalej rozmowa coraz weselszą i gwarliwszą się stawała. Po owej szyderskiej litanii Piastowskiej ks. Kwoka zaczął zadawać zagadki, nucić piosenki. Śmiechy się rozlegały, wrzawa robiła straszliwa.

Kwoka śpiewał:

Inter Prandium—Silentium
Stridor dentium
Rumor bibentium,
Vox clamantium...
Vociferatio amentium...

Ktoś inny półgłosem zaintonował:

Quid invad aeternitas...
Nominis—amare.
Nisi terrae filias
Licet et potare!

Ale dalszy ciąg w zatkniętych dłonią ustach zamarł...

Po kątach śmielsze jeszcze śpiewki podawano sobie do ucha...

Swoboda była wielka. Biskup rad na nią zezwalał, bo tem przywiązywał do siebie... Ulubieńcom jego wszystko było dopuszczonem, lecz słuchać za to musieli, nie szemrząc i wszelkie spełniać rozkazy.

Wino dozwalało prawie o tragicznym początku biesiady zapominać. Uwolniono się od ludzi, którzy żywym dla innych byli wyrzutem.

Biskup chociaż wesołego udawał, był niespokojnym i podrażnionym, wołał i odpędzał Wita, naradzał się po cichu z ks. Szczepanem, mruczał sam do siebie.

Ledwie jednego odpuścił od siebie, drugiego powoływał.

— Patrzeć—powtarzał Witowi,—aby mi się który z opętanych nie wyrwał. Mają tu znajomych, a może i przyjaciół, głupi stróże gotowi się dać nastraszyć lub ująć... Pilnować mi ich, jak oka w głowie! Jeśliby który ukorzył się, prosił, żądał swobody, mnie dać wiedzieć. A głodem niech mrą, kiedy im się męczeństwa tak chciało. Ogadywali mnie, że posty łamię, niech za mnie o suchym chlebie odpokutują!

Uczta przeciągnęła się do późna, ale biskup nie dotrzymał do końca. Z kanoników niektórzy głowy na rękach położywszy, na stołach spali, drudzy o ścianę się sparłszy, z oczami zamkniętemi a usty otwartemi drzemali i chrapali; naostatek inni, zapomniawszy na stan swój, plugawe i grubijańskie żarty stroili. Obcych nie było mogli więc pozwolić sobie, a ks. Szczepan czuwał, ażeby ich o zmierzchu z latarkami porozprowadzano do domów.

Gdy biskup nazajutrz wstał, a Wit się zjawił doń z językiem, pierwsze słowo jego było:

— Cóż tam gołąbki moje, jak noc w gnieździe nowem spędzili?

Trzeźwiejszy teraz Półkoza głową trząsł, schmurny był.

— Twardzi ludzie—rzekł—żeby który pisnął! Modlą się!

— Zmiękną oni—odparł biskup.—Pamiętaj mi! Chleb i woda!

— Wiem, chleb dałem spleśniały i wodę śmierdzącą—dodał Wit.—Zrobi się co każecie, byle mi tam do nich nie chodzić.

— Czemu?—spytał Paweł.

— Nie wiem czemu, straszno mi się robi, gdy ich widzę—rzekł Wit.—Nie zwykłem się ja bać niczego, ani krwi ani jęku, ale z ludźmi, co się nie skarżą, a modlą...

Biskup ostremi go zmierzył oczyma.

— Zbabiałeś i ty!—zamruczał.

Wtem nadszedł ks. Szczepan, który także o więźniach wiedzieć był powinien. Spytał o nich zaraz biskup niespokojny i nie otrzymał odpowiedzi. Powtórzył pytanie.

— Dłuższego czasu potrzeba—odparł przybyły,—nim się opór ich złamie. Poddadzą się choć zapewnie nie wszyscy i nierychło.

— Niech więc gniją i zdychają!—przerwał mu Paweł z gniewem.

Zwyczajem jego było, że gdy popełnił zuchwały czyn jaki, który miał grozę wywołać, na przekorę ludziom pokazywał się publicznie, dowodząc, iż się niczego i nikogo nie lęka.

Tego dnia też z wielkim dworem łowców wyciągnął, przejeżdżając przez najludniejsze ulice i przez Rynek.

Gmin i wszyscy spotykający pasterza zwykli byli witać go, stawać i przyklękać do błogosławieństwa. Ludzie teraz, zamiast ku niemu się zbiegać, chowali się w podwórza i za płoty i nikt głowy przed nim nie schylił, co go rozgniewało. Nawet kilku mnichów, których zdala poznał

po sukniach, Duchak z krzyżem czerwonym, Dominikan, i Franciszkan, zawczasu przed nim do domów się skryli.

Myśliwstwa dnia tego, choć je lubił zawsze, nie zażądał dla zabawy, lecz dla urągania się ludziom. Pociechy jednak tej nie miał, by mógł się spotkać z nimi i okazać twarz dumną a zuchwałą. Z łowów też wrócił prędko, bo i te mu się nie wiodły, a kogo na dworcu spotkał, łajał, pędzał i każdemu miał coś do wyrzucenia. Ks. Szczepan nawet zawinił i kwaśno był odprawiony.

Późno w noc Wit wszedł do izby ks. Pawła, z bardzo frasobliwą twarzą, głowę trąc.

— Ot!—rzekł—już jeden, co miał nogi pokłute, a słabym był, będzie temu godzina zmarł.

Po krótkiem milczeniu biskup zawołał ze złością:

— To niech go w nocy wywloką i pochowają!

IV.

Na dworze biskupim, chociaż niby szczelnie był zamknięty i strzeżony, choć obcych doń nie wpuszczano łatwo, choć żyjącym na nim przykazane było milczenie, a zdrajców nikt poszlakować nie mógł, jednak, gdy się co stało, tajemnicy w sobie nie strzymał. Rozchodziły się zbyt prędko wiadomości po mieście i po świecie. Najwierniejsi słudzy biskupi, czasem zdjęci jakim strachem, niepokojem, zgryzotą, szemrali między sobą, niekiedy plotkę poza dom półgębkiem wynieśli.

Z początku tym poczwarnym wieściom o życiu Pawła nie wierzono, gdyż nigdy nikt podobnego pasterza na stolicy nie pamiętał, ani o takim słyszał; nareszcie zbytki te jawnemi się stały, nie można im było zaprzeczyć. Uwięzienie kanoników, wybierających się ze skargą do Rzymu, było jawnym gwałtem, a choć zausznicy biskupi tłumaczyli je tem, że ludzie byli szaleni, czy opętani, znano ich zbyt dobrze, by temu uwierzyć. Dowiedziano się wkrótce, jak w srogiem trzymano ich zamknięciu, i że jeden z ran zmarł,

a choć go nocą pochowano bez żadnego obrzędu i dzwonów, doszło to do rodziny, a nawet na zamek do księcia.

Zmarły kapłan pobożny, znanym był dobrze księżnie Kindze, która go opłakiwała. Książę Bolesław żałował go także.

Reszta więźniów, nie poddając się, modliła, cierpiała, głodem marła, a gdy Wit ich namawiał, aby się poddali i o przebaczenie prosili, odpowiadać nie chciała. Biskup, któremu o tem donoszono, coraz bardziej był rozjątrzony. Powtarzał ciągle:

— Niech zdychają! Niech zdychają!

Kanonik Janko, męczennik prawy, nie poskarżył się nigdy, nie przemówił o nic do stróżów. Ku temu, jako przywódcy, Paweł miał największą złość i gniew. Lecz więzień miał siłę nie wszystkim daną, ducha wielmożnego w sobie, tak, że mógł nie okazywać nawet, iż cierpiał. Siepacze dobrze wybrani, bezlitośni, jak zwierzęta, patrząc nań, czuli trwogę jakąś, nie pojmowali tej nieugiętości nieludzkiej... tego spokoju i pogody na twarzy.

Inni więźniowie, choć mniej mieli hartu, słabsi ciałem, nie wypraszali się też, uledz nie chcieli. Wit nawiedzał ich z udaną litością, namawiając, by przeprosili pasterza; nie odpowiadano mu. Janko, gdy mu natręctwem dokuczył, spokojnie i łagodnie mu wyrzucał, jak się mógł podjąć obowiązków kata i siepacza.

Gdy ci biedni siedzieli zamknięci, luminarz kapituły, stary ks. Jakób ze Skarzeszowa, jak sam sobie przepowiadał zawczasu, zgasł pobożnie śmiercią sprawiedliwych. Biskup czuł w nim nieprzyjaciela, nauka jego i świątobliwość wyrzutem dlań były, odetchnął swobodniej, gdy się o zgonie jego dowiedział.

Starzec jednego wieczora uczuł się słabym, przywołał swego spowiednika, prosił go o wiatyk i ostatnie pomazanie, rozmawiał z nim spokojny i poszedł do snu o zwykłej godzinie. Zdawało się, iż lekarstwo duszy i ciału wracało siłę.

Zrana, gdy sługa stary do izdebki wszedł, znalazł go klęczącym przy łóżku, jakby pacierze ranne odmawiał. Głowę tylko miał spuszczoną na ręce, jak gdyby usnął

znużony. Lecz gdy się ku południowi miało, a on się nie poruszał, niespokojny sługa księżom dał znać; ci, przybywszy zastali go już zastygłym, bez życia. Zgon musiał nastąpić jeszcze w nocy.

Dla kapituły strata to była niepowetowana, dla biskupa radość potajemna. Na jego miejsce zaraz posadził jednego ze swoich...

O śmierci tej stróże donieści ks. Jankowi, zapłakał, pomodlił się, a choć w nim stracił opiekuna i ojca, nie był złamanym.

Ciągnęło się tak do wiosny, ciągnęło do lata. Biskup bezsilną żarł się złością, a straciwszy już nadzieję, aby opór ich pokonał, rozkazał Witowi potajemnie, mimo wiedzy jego, co słabszych wypuszczać, dać się im wykradać... Otwierano drzwi jakby nieopatrznie, stróże odchodzili, nie bronił nikt odzyskać swobody, powracali więc do cel swoich.

Został tylko ks. Janko i dwu z nim najtwardszych, do których Paweł miał żal największy, nienawiść nieubłaganą. Okna ich więzienia wychodziły na podwórze, niejeden raz ks. Paweł, idąc i przejeżdżając, słyszał ich nucących pieśni pobożne. Głosy te gniew w nim rozbudzały na nowo, były jakby urąganiem się przemocy... Wołał naówczas do ks. Szczepana.

— Niech zdychają pobożni kantorowie! Wkrótce im tego pięknego głosu nie stanie!

Tymczasem nad głową zuchwałego zbierała się burza. Różnemi drogami dochodziły o nim i o jego zbytkach wieści do Rzymu; napominał arcybiskup gnieźnieński, aby się oczyszczał i tłumaczył. On na to odpowiadał dumnie że się do żadnej nie poczuwał winy, arcybiskupowi zaprzeczał prawa mieszania się do spraw swoich...

Na księcia Bolesława nalegano ciągle, ażeby on tej rozpuście i wyuzdaniu koniec położył. Szczególniej zawzięcie instygowali przeciw biskupowi obaj Toporczycy.

Zgorszenie wistocie było wielkie, szemrało niższe du-

chowieństwo, a co gorzej, niektórzy pasterza naśladowali. On zaś, im dłużej trwał bezkarnym, tem się stawał zuchwalszym, nie kryjąc się z niczem.

Bieta panowała nad nim, czyniła, co chciała, ważyła się na wszystko. Widywano ją bez zasłony w oknach dworku, jeżdżącą na wozach, których konie i ludzie byli biskupi, jak ona. Znało ją już całe miasto i wytykało palcami.

Jeździła i chodziła, urągając się niewiastom uczciwym, wkońcu na Wawel nawet do kościoła poczęła przybywać strojna, cisnąc się przed same kratki i oczy zwracając na siebie.

Starszy z Toporczyków, Żegota nieustannie księcia Bolesława kusił, ażeby wprost jawnogrzesznika porwać kazał, zamknąć gdzie na zamku jakim i do Rzymu posłał sprawę, dla czego to uczynił.

Z założonego przez księcia Bolesława klasztoru św. Franciszka lub Dominika łatwo było wysłać jednego z mnichów, jako mniej zależnych od władzy biskupiej, bo zakony te pod bezpośrednią papieską opieką zostawały.

Gdy mu to wmawiano, pobożny Bolesław, we wszystkiem wahający się i w sumieniu trwożny, wzdychał, narzekał, lecz targnąć się na pasterza, do którego prawa nie miał nikt, oprócz stolicy rzymskiej, nie ważył się. Skargę gotów był posłać, samowolnie więzić nie chciał. W takim razie, czy biskup był winien, czy nie, groziły klątwa i interdykt. Względem Kościoła uległy syn jego posłuszny, książę słuchać nawet nie chciał, gdy go Toporczycy na śmielsze wystąpienie wraz z innymi namawiali.

Oburzenie ziemian i duchowieństwa wkońcu tak się jawnem stało, iż Bolesław wahać się poczynał. Żądano od niego, ażeby jeśli sam nie chce wystąpić, dopuścił ziemianom ratować Kościół.

Zgorszenie z każdym dniem rosło, duchowieństwo ponosiło też szkody, bo dobrami kapituły i biskupiemi Paweł obracał, jak własnością swą, dochody trwoniąc, grunta mieniając, ziemie nadając samowolnie.

Bolesław płakał nad tem, lecz występować sam nie czuł się mocnym. Księżna Kinga sromała się i modliła.

Toporczycy, ludzie mężni, nawykli do przeprowadzenia siłą woli swej ufni w to, że za sobą mieli duchowieństwo, a to, co zamierzali uczynić, dla dobra kościoła podejmowali, nie ustawali w naleganiach na księcia, jawnie głosząc, że gotowi to na swą rękę wziąć i dokonać.

Upłynął rok cały, począł się drugi, a biskup nietylko trybu życia nie zmienił, ale się coraz mniej z niem taił.

Wiedział dobrze, iż na Wawelu w pobożnym dworcu pańskim złem go okiem widziano, że Kinga, święta pani, unikała spotkania z nim, że Bolesław mu uchodził i zamykał się przed nim; na złość więc do zamku się napierał, wtargał, rozsiadał, rozmowy długie poczynał, bezbronnego pana kąsał w nich, powagi swej nadużywając bez litości.

Ludzie przykładem pana rozzuchwaleni naśladowali go i pozwalali sobie na mieście, po wsiach, bezkarnie ugniatając kmieci i ziemian.

Z Toporczykami, których nienawiść dla Pawła jawną była, wojskowy dwór biskupa kilka razy zadarł się tak, iż przychodziło do rozlewu krwi. Ci zawsze, siłę mając przemagającą, ludziom Pawła dawali się we znaki.

Choć z księciem do jawnej wojny nie przyszło trwał gorzej, niż bój, bo niechęć rosnąca na każdym kroku widoczna, czekająca tylko chwili i zręczności do wybuchu.

Co się tylko na Wawelu działo, mówiło, zamierzało, biskupowi było solą w oku. Głośno mówił, że tych zniemczałych Piastów wygnać precz należało, a zdrowszych na ich miejsce szukać. Nie w smak i to mu poszło, gdy Bolesław sobie za następcę wcześnie wyznaczył Kujawskiego Leszka od włosów Czarnym zwanego, bratanka, od stryjecznych. Gniewał się, iż w tem rady jego nie zasięgano.

Leszek, ze krwi po ojcu Kazimierzu, obiecywał być rycerzem dzielnym, lęcz prawdą było, iż chował się po niemiecku, ubierał na ich sposób i Niemcami chętnie otaczał.

Biskup roił o następcy ze swej ręki, zapewne którego z Mazurów, więc się zawczasu klął, że Czarnego do rządów nie dopuści.

Odgróżki te nikomu nie były tajne, ale niewiele na nie zważano.

Sprowadzony z Kujaw Leszek, uroczyście ogłoszony za przybranego syna i następcę, żenił się na Wawelu z Gryfiną Rościsławówną, księżniczką ruską. Na zamku odbyło się wesele obrzędami świetnemi i ze wspaniałością wielką.

Biskup odgrażał się głośno, a czasu pobytu Stefana króla Węgierskiego, ledwie się na zamku ukazał, lekceważąc sobie Bolesława, szydersko odzywając się o Leszku.

Jeździł do Wrocławia, na Śląsk, na Mazowsze, a Toporczycy utrzymywali, iż zdrady jakieś zamierzał i spiski knuł.

Czasami wycieczki te jego trwały długo. Naówczas wozem krytym jechała za nim Bieta, siedziała, gdzie był, lub nieopodal od niego.

Toporczycy, wszystkiem uwiadomieni, odgrażali się, iż nie długo to już trwać będzie, a na biskupstwie przeciwnie, zapowiadano, że niedołężnych książąt Paweł wyżenie wkrótce i znajdzie takich, co mu do tego pomogą.

Z ostatniej swej tajemniczej wycieczki wracając do Krakowa biskup, gdy jak zwykle o Wita pytać zaczął, któremu straż nad więźniami polecił, nierychło go się doczekał.

Przywlókł się doń Półkoza, obwiązany płachtami, nakuliwając, o kiju, i gdy go Paweł powitał łajaniem, przyznał się, iż mimo czujności jego, w czasie niebytności biskupa na dwór napadnięto i więźniów z kuny wyłamano.

Wit zaprzysięgał się, że bronił się do ostatka, że go posieczono, stratowano nogami, ledwie żywego porzucono w podwórzu. Opowiadał, iż to była sprawa Toporczyków i że oswobodzeni wprost do Balic uszli i tam pozostali.

Biskup niepohamowany w gniewach swych, usłyszawszy o tem, rwać się począł jakby zaraz na koń siąść chciał, na Balicę ciągnąć i więźniów odbijać. Po namyśle jednak Wita odegnał precz i nie przedsiębrał nic.

Nazajutrz tylko pojechał na zamek w takiem usposo-

bieniu, iż słudzy obawiali się, ażeby wystąpieniem jakiem zuchwałem przeciw księciu nie naraził się na niebezpieczeństwo.

W przedsieniach dworca, spotkawszy się z nienawistnymi Toporczykami, którzy naumyślnie może mu się nastręczyli, wtargnął do komnat księcia tak gniewny, iż Bolesław zląkł się groźnego oblicza.

Nigdy Paweł nie szczędził księcia, ani mu okazywał powolności. Jako pasterz i duchowny czuł mu się równym, nie lękał się go wcale, wiedział, że świecka władza nie może nad nim nic, a znał nadto Bolesława, by go o myśl tę nawet posądzał. Bywały naówczas przykłady targnięcia się panujących na duchownych, lecz zawsze oni pokutować za to musieli. Rzym bowiem bronił sługi swoje.

Cesarze nawet niemieccy ulegać musieli, piorunów klątwy się lękając.

Bezkarność ta tem zuchwalszym czyniła biskupa. Zajechał na zamek, nie jako duchowny ojciec, lecz jak nieprzyjaciel. Był też z postawy i teraz jeszcze więcej do wojownika, niż do kapłana podobny. Twarz, ruchy, mowa były dumne, opryskliwe, szyderskie.

Ujrzawszy go, Bolesław strwożył się i nie mógł ukryć z tem uczuciem. Nie lękał się on człowieka, lecz sługa Boży, mocą z niebios daną wyposażony, onieśmielał go.

Paweł zaledwie głowę skłonił, stając przed nim.

— Waszej Miłości ludzie—rzekł szorstko—pewnie nie bez wiedzy i rozkazu jego, dopuścili się rozboju i napaści na dworze moim, czasu niebytności mej.

— Mój ojcze—odparł Bolesław łagodnie—o niczem nie wiem. Rozkazu nie dałem żadnego!

— Nie może to być!—zaprzeczając wprost odezwał się biskup.—Jawnem jest, iż to twoi słudzy uczynili, Toporczycy, przyjaciele, towarzysze, ulubieńcy.

Wybuch gniewu był tak gwałtowny, iż mowę mu zatamował.

— Wiecie,—począł, odetchnąwszy—co to jest targnąć się na władzę, na dom, na czeladź pasterza! Jest to na niego samego godzić! Wiecie, jaki los spotkał Szczodrego,

choć tamten królem był, nie jak wy, księciem. Ani pobożność, ani świątoliwość wasza nie ocali was od klątwy!

Książę, który dotąd słuchał cierpliwie, uczuł wreszcie poruszającą się krew w sobie. Miara była przebraną. Cofnął się zarumieniony, skłopotany, lecz dumny... i rzekł spokojnie.

— Słowo moje książęce daję wam, iż o niczem nie wiedziałem.

— Dowiedzcie się więc teraz—gwałtownie wykrzyknął biskup—gdy ja to mówię wam, skargę zanoszę i ukarania winnych się domagam. Odbili mi więźniów! Kto tu ma prawo stawać pomiędzy mną a duchowieństwem? Ani wy, książę krakowski, ani nawet król żaden, gdyby tu jaki był, ani nikt, krom Boga i rzymskiego biskupa!

Groźno to wywoływał, głos podnosząc. Bolesław z głową schyloną milczał. Paweł unosił się coraz bardziej. Słychać go było mówiącego gniewnie po komnatach sąsiednich w podwórcu. Dwór, znajdujący się tuż, drżał z oburzenia, chwytając wymówki, czynione panu swojemu tak zuchwale.

Milczenie księcia, cierpliwość, z jaką znosił tę napaść, zimna krew i wyraz dumny na czole pańskiem niecierpliwił biskupa.

— Wasza miłość zapomnieliście pono o tem—ciągnął dalej—że tu z tej stolicy nie jeden z poprzedników waszych, gdy go pasterz nie chciał, precz iść musiał, że biskupi siłę mają, z którą mierzyć się niebezpiecznie. Znajdą oni poparcie nietylko w Rzymie, nietylko u braci swej, ale u ziemian i sąsiadów.

Wołał tak biskup, jakby chciał Bolesława do gniewu doprowadzić; jakoż najzimniejsza krew nawet od takiego smagania słowy zburzyć się musiała. Bolesław stał długo niemy, oczyma wodząc po komnacie.

— Ojcze mój!—odparł wkońcu z dumą pańską—przemawiacie do mnie nie jak kapłan i pasterz... ale jako nieprzyjaciel, który wyzywa... Słuchać was nie chcę i nie mogę: tłumaczyć się nie będę.

— Będziecie! powinniście!—zawołał biskup, nie hamując się jeszcze.

Tych słów już prawie nie słuchając, Bolesław drżący od gniewu tłumionego podszedł ku drzwiom bocznym, otworzył je i wyszedł do komnat dalszych, a podwoje natychmiast się za nim zamknęły.

Biskup pozostawszy sam, rzucał się jeszcze gniewny po izbie pustej, chodził, spodziewając może powrotu, wreszcie zważywszy, iż za daleko się posunął, bo najłagodniejszy z ludzi wkońcu cierpliwość postradał, usiadł na ławie i klasnął w ręce.

Wszedł powoli stary ochmistrz księcia.

— Oznajmijcie Jego Miłości—odezwał się Paweł—iż nie ruszę się stąd, nie dokończywszy rozmowy. Pasterz ma prawo upominać się i napominać, niech wynijdzie.

Nic nie odpowiadając, stary wysunął się; czas jakiś upłynął, nim powrócił on i w drugich drzwiach ukazał się Bolesław.

Biskup znacznie był ostygł. Powstał, zobaczywszy księcia.

— Nie dziwujcie się, Miłość Wasza—rzekł—iż się uniosłem, bom krzywdy doznał. Nie zwykłem do tego i domagam się kary na winowajcach.

— Wskażcie ich—odparł Bolesław.

— Głos powszechny ich wytyka! Toporczycy wasi są!

— Każcie przeciw nim dowieść tego—rzekł książę.

Biskup się wstrząsnął.

— Odmawiacie mi sprawiedliwości?—spytał.—Dobrze! domierzę ją sobie sam! albo kto inny!

Powiedziawszy to, zwrócił się i nie pozdrowiwszy księcia, pośpieszył do dworu, który nań czekał. Pominął Toporczyków, nie spojrzawszy na nich. Żywo dosiadł konia, dał mu ostrogę i do wrót puścił się cwałem.

Za nim z przedsienia ozwały się śmiechy.

Powróciwszy do dworca swego, biskup natychmiast radę ściągnął, ludziom swym kazał się zbierać, chciał na Balice iść, lecz przekonał się wprędce, że sprawa trudniejszą będzie, niż się spodziewał. Zaniechał ją więc na pozór, lub raczej odłożył.

Między Wawelem a biskupem stosunki zostały zerwane.

Wpadł biskup na tę myśl, aby sobie ziemian krakowskich starać pozyskać—za późno. Chciał ich mieć przeciwko Toporczykom i księciu. Pamiętał o tem, ile razy rycerstwo krakowskie poparte przez Pasterzy, wyganiało panów swych, a nowych na stolicę wprowadzało. Działo się tak za Kazimierza i Leszka.

Lecz do Pawła ludzie przystać nie mogli; nie miał po sobie ani cnoty, ni powagi poprzedników. Poznawano go coraz lepiej; ci, co mu się karmić i poić dawali, niewiele mogli, inni nawoływać się nie dawali. Dwór jego tak mało miał znaczenia między ludźmi, jak on sam.

Życie szło po staremu, jawnie bezwstydne i rozpasane. Biesiadom i ucztowaniom dniami i nocami nie było końca. Bieta z dworku przeniosła się w podwórze samo i zajęła w niem mieszkanie od przodu.

Niektórzy z zauszników Pawła dopuszczeni bywali do oglądania jej oblicza. Biskup prowadził ich z sobą, kazano przy nich dworowi śpiewać i pląsać dla zabawienia gości. Okna często stały otworem czasu odwiedzin.

Bieta, która w początkach walczyła jeszcze z sumieniem i wspomnieniami klasztornemi, czuła się trapioną zgryzotami i nieszczęśliwą, powoli oswoiła się ze swem położeniem, szukała teraz w życiu wszelkiej rozkoszy, jaką ono jej dać mogło, upajała się niemi.

Paweł, którego znano dawniej jako niestałego i łatwo zmieniającego upodobania, zrażającego się do ludzi, trwał w przywiązaniu do mniszki, a co dziwniejsza, dawał jej przewodzić nad sobą, często najobelżywsze znosząc wyrzuty i łajanie, a nie wybuchając gniewem. Z nią umiał być łagodnym. Ludzie wprawdzie prorokowali, że się to rychło zmienić musi, lecz dotąd niewola zawojowanego była coraz ostrzejszą.

Gdy zmuszonym był od niej się oddalić, śpieszył z powrotem niespokojny, a zaledwie przybywszy na nic nie zważając, szedł do niej. Wstyd wszelki stracił, Bieta też, choć się z nim obchodziła jak z jeńcem wziętym na

wojnie, była mu wierną i przywiązanie jej dzikie, namiętne, zwierzęce zdawało wzrastać z czasem.

Grzeszne to stadło żyło w wiecznym sporze, w kłótniach, lecz potrzebowało się wzajemnie.

Rozlegały się często krzyki z izb Biety, jęki, łajania, lecz zawsze kończyły się zgodą i gorętszem jeszcze przywiązaniem. Nazajutrz ona brała górę i czyniła, co chciała; on opierał się, obruszał—ulegał wkońcu. Dość jej było wlepić weń czarne swe źrenice ogromne, groźne a płomieniste, aby go pokonać i zmusić do przebłagania.

Biskup, nieraz odszedłszy upokorzony, gniewał się na siebie, wyrzucał sobie nieprzebaczoną słabość, a gdy powrócił do niej, ulegał znowu.

Najmniejsze podejrzenie o zdradę, o słabość jakąś dla niewiasty do wściekłości unosiło Bietę.

— Jeśli myślisz zbyć się tak mnie, jakeś się drugich pozbywał—wołała, grożąc mu—biada tobie i mnie! biada!... Ja cię nie puszczę, bom ja jastrzębiem, z którego szponów trupem chyba wypadnie, co one schwyciły! Nie pozbędziesz się mnie, chyba zamordować każesz!

Na te pogróżki biskup niby się uśmiechał, lecz potrosze się ich lękał. Pomimo namiętności ku niej, możeby był tę zbyt jawną kochankę usunął dawno, oddalił gdzieś i ukryć się starał, lecz się obawiał rozpaczyi zemsty. Znał ją i wiedział, że co mówi, dotrzyma.

Przez długi czas Zonia, którą wywieziono precz i strzeżono gdzieś na wsi we dworze, który wraz z ziemią biskup dawniej im nadał, nie pokazywała się wcale. Lecz czas zdawał się wielki jej żal ukajać. Przez różne posły zaczęła się zgłaszać do biskupa, aby jej na swój dwór wrócić pozwolił, obiecując mu służyć wiernie. Biskup opierał się dość długo, wreszcie znajdując ją potrzebną dla dozoru i posługi przy Biecie, i sam do jej posług nawykły, dozwolił na powrót do Krakowa.

Zjawiła się wdowa zmieniona, zestarzała, schudła, kaszląca, z pokorą wielką i bez wyrzutu na ustach. Zajęła zaraz swe dawne miejsce nad czeladzią i poszła do Biety.

Ulubienica przyjęła ją dumnie i niechętnie, pamiętając na dawne spory i niesnaski. Lecz Zonia była zupełnie

inną. Stała się sługą, starała być potrzebną, zabiegała o łaski. Tem zyskała sobie Bietę, która po dniach kilku już się bez niej obejść nie mogła.

Zonia przynosiła jej z sobą jakąś wesołość usłużną, gotową na wszystko dla przypodobania się. Umiała mówić, zabawiać, przypodchlebiać się, wpadła w łaski.

Gdy nikogo w dworku nie było, przychodziła do pani z plotkami miejskiemi, z powieściami różnemi. Patrzała w oczy, zgadywała usposobienie, rzucała słówka jak wędki na próbę.

Dla zabawiania znudzonej wydobywała często wspomnienia z własnego życia, przygody z żywota Pawła, którego przez się i przez męża oddawna znała. Zręcznie opowiadała, bez złej myśli niby, ale zawsze tak, aby biskupa w jej oczach obwinić. Chwaliła go z tego właśnie, co wiedziała, że ją oburzyć musiało, z jego łotrostw, niewieścich sprawek, okrucieństwa przy pozbywaniu się ofiar, gwałtowności i t. p.

Często Bieta słuchała jej długo w milczeniu, a potem wyrywał się jej wyraz oburzenia lub groźba.

Tak się z sobą spoufalały.

Ks. Paweł zrazu bacznie, z pewną nieufnością spoglądający na Werchańcową, uspokoił się wprędce, tak umiała się przed nim okazać obojętną. Przebąkiwała, że za mąż-by znowu pójść gotowa, byle się jej trafił człek stateczny.

Swatał jej żartem biskup Wita, ale tego jako kaleki i opoja nie chciała, żartobliwie się odgrażając, że sobie znajdzie młodego chłopaka. Łatwoby jej było wistocie o niego, bo wiedzieli wszyscy, że ziemi miała dosyć i skrzynię dobrze nabitą. Zalecało się wielu, nie zrażała nikogo.

Wkońcu przyjaźń dla Biety stała się tak wielką, iż Zonia ciągle prawie u niej przesiadywała, a tamta bez wdowy obejść się nie umiała. Biskup też spostrzegłszy, że mniszka spokojniejszą teraz była, rad był z przybycia Werchańcowej.

Zonia w prędkim czasie odzyskała dawną swą władzę i zachowanie na dworze.

Za życia męża nikt jej o wielką miłość dla niego nie

posądzał; płochość jej nawet zadawano, choć więcej słowy i zuchwałem obejściem się z mężczyznami grzeszyła, niż wistocie była winną. Teraz, po śmierci Werchańca, miała go ciągle na ustach, wzdychała za nim i popłakiwała.

Nikt nie wiedział o tem, że jednego z czeladzi, co był świadkiem śmierci jej męża, przekupiwszy, gdy na wsi jeszcze siedziała, nakłoniła go do wskazania grobu Werchańca w lesie. Nocą przybyła tam z trumną, z ludźmi najętymi, kazała rozkopać mogiłę i dobyć z niej zwłoki męża.

Miała siłę spojrzeć na poczerniałego trupa i pierś jego szeroko rozbitą. Przy sobie złożyć kazała to ciało do trumny, powiozła na cmentarz do wsi, gdzie ksiądz ujęty przez nią, z modlitwą je pogrzebał.

Stało się to tak tajemnie, iż biskup nie wiedział o niczem.

Powróciła potem na dwór, łasząc się wszystkim.

Wkrótce po jej wkupieniu się w łaski Biety, biskup dostrzegł w niej pewną zmianę. Dawne przywiązanie stygło, stawała się nieufną, obchodziła się z nim mniej otwarcie, była smutną.

Została namiętność dawna, lecz połączona z niedowierzaniem jakiemś i wzgardą. Czasem Bieta pozwalała sobie szydzić z niego i wspominać mu dawne sprawy. A gdy Paweł zdziwiony wypytywał, skąd o nich wiedziała, odpowiadała, że o tem wszyscy prawili głośno i sroczki na płotach skrzeczały.

Przychodziło to tak zwolna, stopniowo, nieznacznie, iż ks. Paweł nie opatrzył się, że powrót Zoni sprowadził tę zmianę. Zonia zaś, gdy ją poufale wypytywał o Bietę, przebąkiwała półsłówkami coś dającego do myślenia, iż się jej obawiać należało, że mniszka była namiętna i niestała.

Zabiegi te nie pozostały bez skutku.

Paweł ostygał, rozmyślał. Przyczyniało się do tego, iż coraz groźniej sarkało nań duchowieństwo całe, że skarżono różnemi drogami do Rzymu. Należało z oczów przynajmniej usunąć jawne świadectwo grzechu.

Lecz jak ją było skłonić do tego? jak dokonać rozdziału, o którym mówić, wspomnieć nawet nie dozwalała?

Paweł zagadnął o tem półgębkiem Werchańcową, która mu odpowiedziała z uśmiechem.

— Czyż wam o to mnie pytać? Albo to nie macie oddalonych klasztorów? Wyślijcie gdzie za świat, mniszki ją zamkną i zamurują, że więcej słońca nie zobaczy. Cóż to trudnego?

Tegoż wieczora wdowa, siedząc z Bietą, ostrzegała ją, iż Paweł dla niej coś ostyga, iż powinna była się mieć na ostrożności, aby jej gdzie do oddalonego klasztoru na pokutę nie zesłał, bo tam pewnoby ją zamurowano.

Z oburzeniem wielkiem, jak wściekła porwała się Bieta, posłyszawszy to, odgrażając straszliwie.

Musiała ją potem uspokoić Zonia, pocieszając, iż z nią nie postąpi tak, bo jeszcze ją kocha, ale zawsze z człowiekiem jak on, radziła ostrożność.

Zdradliwa niewiasta skończyła na tem, iż należało wziąć sobie człowieka, któryby mógł w potrzebie ująć się i obronić. Kochanek mógł w niebezpieczeństwie ratować. Na wzmiankę o tem Bieta oburzyła się.

— O! dosyć jednego w życiu!—zawołała—dwu ja mieć nie chcę i nie będę. Gdy mu z oczów zdradę wyczytam... obronię ja się sama!

V.

Leszek Czarny, którego niespodziewający się potomstwa Bolesław następcą po sobie mianował, syna znanego z burzliwego charakteru Kazimierza Kujawskiego, był mężem rycerskim, zawczasu wyćwiczonym w wojennem rzemiośle. Miał nauczycieli Niemców, którzy podówczas w wojnach nieustannych, w stosunkach z Zachodem mieli wszystkie sposoby wojowania, oręż najlepszy i wprawę wielką do spraw rycerskich. Dobre wychowanie książąt nie obchodziło się bez ich pomocy, po dworach lechickich pełno ich było.

Nie wymagano wiele od książąt, którzy panować

mieli; kołysano ich pieśniami pobożnemi, duchowni mieli zwierzchnią opiekę nad młodzieżą, lecz kształcenia umysłu i nauki nie potrzebowano dla niej. Naukę za panujących powinni byli mieć kanclerze i lektorowie, pisarze i kapelani.

Cała rzesza skrybentów towarzyszyła książętom, ta ślęczyła nad prawem, wertowała rękopisma, sporne kwestye sądowe i sumienia rozstrzygać pomagała.

Onego czasu nauka, tradycye, historya, przykłady czerpały się nie z ksiąg, ale z żywem przychodziły słowem, w rozmowach z uczonymi, które tak lubił Kazimierz Sprawiedliwy, w obcowaniu z cudzoziemcami, co świata przejrzeli wiele, choć także czytać i pisać nie umieli.

Książę się nawet podpisywać nie potrzebował, gdyż pieczęć jego i świadkowie za podpis starczyli, a ważne przywileje nadawano wobec poważnych świadków.

Nie przeto gorszem było wychowanie ówczesne, a potrzebom czasu starczyło. Rozmowy zastępowały czytanie. Głównym zaś warunkiem przysposobienia do życia pańskiego, książęcego, było wyuczenie się wszystkiego, czego wymagało rycerskie rzemiosło.

Bolesław Krzywousty dzieckiem prawie konia dosiadał, jeździł na łowy, potykał się już na placu boju, by zdobyć pas rycerski. Dziećmi też uczyli się tacy panowie strzelać z łuku dzielnie, oszczepem ciskać, szablą i włócznią robić, ciężką zbroję dźwigać dzień cały, na koniu siedzieć bez spoczynku godzin kilkanaście, nie dojeść, nie dospać, zahartować się.

Miłość własna, chęć prześcignięcia drugich zręcznością i siłą pomagały też wychowaniu. Rośli dzielni wojownicy, a gdy wojny zabrakło, co się rzadko trafiało, niezmordowani łowcy. Łowy były bojem nieraz.

Takimi rycerzami byli z rzędu wszyscy prawie książęta od Mieszka i Chrobrego począwszy. Trudno im było wysiedzieć spokojnie między czterema ścianami, a na łowy ogromne puszcze były za małe. Jeśli w las iść nie mogli w podwórcach sobie sprawiali gonitwy, wyścigi, zapasy, harce konne.

Nawet spokojnego ducha Kazimierz Sprawiedliwy, miłośnik mądrości, słuchający tak chętnie wymownych opowieści Kadłubka, był wielkim łowcem; był nim Leszek Biały, a o Wstydliwym mężu Kingi zapisali historycy, iż sfora psów była dlań najmilszym darem.

Tak samo jak oni wszyscy, wychował się Czarny, który już naówczas słynął z męstwa. Był, piszą o nim kronikarze, odwagi wielkiej, niedopuszczający się pokrzywdzić, gdy z bratem Ziemomysłem razem porwał się na własnego ojca Kazimierza na odgłos, że ich macocha zgładzić chciała, aby swemu potomstwu dziedzictwo po nim zapewnić. Odebrali oni ojcu Łęczyckie i Sieradzkie, i Czarny utrzymał się potem przy Sieradzu, mając na nim czekać na spadek po stryju przyobiecany.

Leszek ów, mężny, chciwy boju, łowiec namiętny, jak oni wszyscy, gotów na koniu spędzać dnie i noce, a w szałasach, pod namiotami spoczywać, za komnatami nie tęsknić, miał to dziwne na swój czas usposobienie, może jeszcze przykładem Bolesława stryja poparte, że niewiast nie lubił wcale. Obojętne mu one były, tak, że na żadną nigdy ani spojrzał, unikał ich raczej.

Wybierając go następcą po sobie, Bolesław razem zaswatał go zaraz z Gryfiną Rościsławówną, której ojciec był teściem króla węgierskiego i teraz na danym mu udziale w Siedmiogrodzie przesiadywał. Kniaź był młody i znaczenia wielkiego.

Nie pytano pewnie Czarnego, czy mu się narzeczona podoba, boć młoda niewiasta mężczyźnie w sile wieku, wedla pojęć ówczesnych, podobać się musiała.

Zbyt wyidealizowanej miłości u nas nie znano. Rycerz wychowywany bez mała jak mnich, znający tylko swe rzemiosło, słyszący ciągle od duchownych, iż niewiasta tylko na pokuszenie i zgubę rodzaju ludzkiego została stworzoną, uległ woli stryja, niewiele wagi przywiązując do małżeństwa.

Gdy mu ową małżonkę przywieziono do Krakowa, młodą, piękną, czarnooką i złotowłosą zarazem krasawicę, która długo zamknięta w teremie, karmiła się bajkami o królewiczach, piosnkami nianiek miłosnemi i obietnica-

mi rozkoszy, jakich w przyszłym stanie zażywać miała, Gryfina zdziwiła się niepomału, znajdując w tym kochanku z urzędu zupełnie dla siebie obojętnego człowieka. Czarny ani się śpieszył zbliżyć do niej, ani ochoty do miłowania jej nie okazywał.

Rozmarzona, śmiała, gorącej krwi księżniczka do żywego się tem czuła obrażoną, ale wstyd jej było poskarżyć się przed ludźmi, srom przyznać, że została pogardzoną.

Wszystkie niewieście środki przybliżenia się do męża, skuszenia go, spełzły na niczem. Leszek Czarny nie miał czasu miłować się w żonie, przeszkadzały łowy i wyprawy. Dawał jej, co chciała, oprócz miłości.

Obojętność ta latami się już całemi ciągnęła, w Gryfinie budząc gniew coraz większy, prawie nienawiść do męża. Nie śmiała się z nią wydawać, boby większy sobie srom uczyniła tem, niż jemu. Zalewała się łzami, miotała z gniewu; niewiasty drużki opłakiwały los swej pani, która mściła się na nich gniewami za pogardę męża.

Jakim sposobem wieść o tem pożyciu rozeszła się po świecie, trudno było dobadać. Pewnie niewiasty ze dworu księżnej śmiały się i bolały razem nad jej losem, ulubieńcom swym rozpowiadając o tem.

Życie Bolesława Wstydliwego, rozłączonego z żoną dla zakonnego ślubu czystości, naprowadziło na taką myśl, że i Czarny stryja chciał naśladować, lecz Gryfina do wstąpienia w ślady pobożnej Kingi nie miała powołania.

Jej pragnieniem jedynem było mieć rodzinę, dzieci wychować, stać się matką książęcego domu, mającego wieki panować nad Krakowem.

Biskup Paweł, który wiedział o wszystkiem, szczególnie co mogło śmiesznością okryć nienawistnych mu, Wstydliwego i Czarnego, znał dobrze stosunek ten i pożycie Leszka z żoną.

Raz, gdy księżna sieradzka powracała z odwiedzin w Krakowie, dokąd pono jeździła żalić się stryjowi na obojętność mężowską, w podróży na południowem obozowisku orszak księżnej spotkał się z niemniej wspaniałym,

licznym a wrzawliwszym daleko orszakiem biskupa, jadącego do Kunowa.

W Kunowie Paweł lubił przebywać za oczyma, za lasami, wożąc często i Bietę za sobą. Nie śledziły go tam tak pilno oczy niechętnych, jak w Krakowie.

Po świecku ubrany, w butach z ostrogami, przy mieczu, z hardą postawą śmiałego panka, zjechawszy się z wozem i końmi księżnej Gryfiny, Paweł kazał ludziom swym stanąć.

Południe było, czas gorący, las cienisty, strumień środkiem łąki płynący, koniom i ludziom był pożądany.

Rozkazawszy i swoim obóz rozbić, śmiały, jak zawsze Paweł, któremu nigdy nie zbywało na ochocie do naigrawania się i drażnienia ludzi, poszedł umyślnie pokłonić się księżnie Gryfinie. Ta, pod namiocikiem siedząc, gniewała się na sługi,dziewaczyla bo wracała z Krakowa wielce sierdzista.

Na młodej jej, urodziwej, choć trochę męskiego wyrazu twarzy, z oczyma czarnemi, włosem jasnym otoczonej, nieco łzami i gniewy znużonej, widać było podrażnienie, niesmak życia, zniechęcenie do ludzi.

Kazał biskup oznajmić, iż się jej chce pokłonić. Słudze nawet polecił użyć z ruska wyrażenia szyderskiego, iż chce jej czołem bić.

Gryfina nie mogła odmówić posłuchania.

Jak stał w ubiorze podróżnym, przyszedł do niej ks. Paweł, a że młode niewiasty lubił i rozmowa z niemi zawsze mu miłą była, pozdrowiwszy księżnę, dał się posadzić w jej namiocie i przyjął kubek podróżnego wina.

Śmiałość nigdy go nie opuszczała. Gdy niewiasty ustąpiły nieco, zostawując ich samych, wpatrzywszy się w księżnę, która sromając się, spoglądała ku niemu, zagadnął ją, jako ojciec duchowny:

— Księżno miłościwa! Nie chce mi się wierzyć! Chodzą wieści o was, jakobyście naśladować mieli świątobliwą panią Kingę, a mąż wasz Wstydliwego Bolesława? Zmiłujcież się—dodał żartobliwie—książąt nam zabraknie! Dosyć już świętych mamy, a po klasztorach mnichów i zakonnic.

Zapłoniła się mocno Gryfina, oglądając dokoła, czy ją niewiasty jej nie podsłuchiwały. Ciężko jej było zebrać się na odpowiedź; zawstydziła się, głową poruszyła, łzy jej z oczów wytrysnęły mimowoli, łzy boleści i sromu.

Biskup to dostrzegł.

— Nie obrażajcie się mową moją—dodał—jam przecie duchowną osobą, mnie wszędzie i zawsze a każdemu wolno prawdę rzec. Cóż się to dzieje z wami?

Gryfina rada może była, że się będzie miała przed kim poskarżyć. Paweł zdawał się brać jej stronę. Wahała się jeszcze, rozpłakała mocniej, otarła łzy i poczęła:

— Szanuję ja księżnę Kingę, ale naśladować jej nie myślałam nigdy! Ja chcę mieć dzieci, na to mnie Bóg stworzył, bym matką była. Szłam za mąż, aby mieć tę pociechę.

Łzy mowę jej przerwały.

— A!—odparł biskup wesoło.—Kamienny to człek musi być ten Czarny, gdyście go rozmiłować nie potrafili! Jakże, ma on inne miłośnice?

— On!—wykrzyknęła księżna.—On!—I ruszyła ramionami.—Na co mu one? Byle konia miał i żelazo u boku, to za wszystko stanie.

Choć mu się na śmiech zbierało, Paweł nastroił minę poważną.

— Źle to jest!—rzekł.—W stryja się wdał! Z pobożności to czyni!

Gryfina poruszyła sięd ziwnie, jakby i temu zaprzeczyć miała.

— Szkoda was!—dodał Paweł żałośliwie—lecz jak radzić na to? Innaby sobie szukała pociechy, niewiele dbając...

Zatrzęsła głową dumnie księżna.

— Życie wam tak marnie zejdzie—mówił biskup dalej.—Co gorzej, świat nie wie, kto przyczyną jest, iż rodziny nie macie, spadnie na was srom niepłodności. Za cóż wy niewinnie cierpiećbyście mieli?

— Radźcież mi, co czynić mam?—odezwała się księżna, ręce załamując.

Paweł zamyślił się wrzekomo, spojrzał ku niebu, wes-

tchnął. Złość przeciwko Leszka poddała mu, co miał podszepnąć Gryfinie.

— Trzeba, aby ludzie wiedzieli, iż Miłość Wasza winni nie jesteście małżeńskiej oziębłości. Prawo macie przy ludziach, wobec gości publicznie, powiedzieć głośno, jak mąż dla was jest niesprawiedliwym. Rzućcie mu czepiec z głowy, zagroźcie, iż pójdziecie do klasztoru.

Księżna oczyma bojaźliwemi rzuciła ku niemu, gdyż zamknąć się w murach klasztornych nie miała wcale ochoty.

— Do klasztoru przez to nie pójdziecie—dodał biskup, myśl jej odgadując.—Ludzie się wdadzą, żyć będziecie z sobą, jak Bóg przykazał. Ale srom mu uczynić potrzeba, niech wszyscy wiedzą, jakim jest.

Słuchając, Gryfina zdawała się to przyjmować myśl poddaną przez biskupa, to się jej lękać. Szepnęła coś niewyraźnego, co nie było ani zgodą, ni przeczeniem. Paweł nie nalegał. Wiedział, że w niewieście zostawionej tak samej sobie, przygnębionej i smutnej, rzucone ziarno wyrośnie prędzej czy później. Cieszył się, że Czarnemu spokój jego domowy zamąci, wstyd mu uczyni, a Bolesławowi, którego niecierpiał, dokuczy sprawą gorszącą.

Jął potem księżnę pocieszać, iż wszystko to na dobre zmienić się może, iż Leszek się poprawi, a Bóg ją licznem ubłogosławi potomstwem. Stał się tak dla Gryfiny miłosiernym, litościwym, iż niewiastę strapioną za serce chwycił.

Biskup, osoba duchowna, poważna, rozumna, mógłże jej źle radzić?

Gdy obóz księżnej miał potem ruszyć z południowego spoczynku, biskup pomógł jej wsiąść na koń, pobłogosławił, przeprowadził, a pozostawszy sam, śmiał się złośliwie.

— Niewiasta uczyni, jakom jej radził—mówił w duchu. — Czarny się wstydzić będzie musiał. Rycerstwu śmiesznym się stanie.

Dokuczyć Bolkowi i Czarnemu najmilej mu było.

Nie zapomniał przestrzedz księżnę, aby nie wydawała go, że on jej tą radą w pomoc przyszedł.

Wróciła Gryfina do Sieradza na wysoki zamek nad

Wartę i Dźwigoczowę, do pustych komnat, z których okien po całych dniach patrzała na błota i łęgi, na Wartę przez nie płynącą, dalekie lasy i dość pustynne okolice. Męża i teraz nie znalazła w domu, uwijał się kędyś na łowach.

Płakała więc samotna, a więcej jeszcze gdy powrócił, a do niej nie przyszedłszy, przez komornika ją tylko pozdrowił. Kazała się do stołu prowadzić, usiadła przy nim; ledwie przemówił do niej. Gniew ją coraz większy ogarniał.

Czas jakiś upłynął, a nic się w pożyciu nie zmieniło; rada ks. Pawła z gniewu przychodziła jej do głowy i upajała ją.

Około następnej Wielkiej Nocy zebrali się Sieradzanie do pana swego z pozdrowieniem i podarkami. Niektórzy z nich żony poprzywodzili, aby się pokłonić księżnie.

Jak co roku na wysokim zamku, przyjęcie było gościnne i pańskie. Trzy izby zastawiono stołami.

Dnia tego właśnie Gryfina, więcej rozżalona na Leszka, iż z nią przez cały tydzień prawie mówić nie chciał, rozgorzała gniewem takim, iż postanowiła go porzucić. Chciała to uczynić głośnem, jawnem, aby ludzie wiedzieli, czyja w tem była wina.

Leszek, im bardziej mu się biedna żona narzucała, przez dziwną ludzkiej natury przekorę, czuł do niej wstręt coraz większy. Natarczywość ta odbierała jej cały urok niewieściej wstydliwości.

Wychowany po niemiecku, zniemczały dużo, do tej śniałej niewiasty, Rusinki dumnej, upominającej się o prawa swoje, czuł odrazę, lękał się jej. Zanadto chciała w ostatnich czasach owładnąć nim, zbyt się na zamku rozpanoszała. Słuchał jej, ale tem więcej od niej stronił. Łzami-by go może zjednała, łagodnością przywiązała,—obejściem się tem męskiem, szorstkiem zrażała.

Między małżeństwem, choć waśni jawnej nie było, rozbrat się stał i oziębłość, która zbliżenie się czyniła coraz trudniejszem.

Dwór ks. Gryfiny, z Rusinów i Węgrów złożony, z Niemcami Leszka i Polakami był w nieustannych zatargach.

Dniem przed Wielkanocnym zjazdem ziemian do Sieradza, księżna ze swym dworem była przygotowaną do odjazdu. Wozy opatrzono, konie pościągano, ludzie sposobili się do podróży. Gotowi byli z Gryfiną jechać, gdzieby kazała, choćby przebojem przyszło się wydobyć z zamku, w którym Niemcom ustępować musieli. Niewiasty pokryjomu spakowały szaty, klejnoty i całą wyprawę księżnej.

Działo się to po cichu, nikt się z Leszkowych nie domyślał, co nastąpi.

Nazajutrz zrana już ziemianie zajmowali całe miasteczko, na którego końcu, wysunięty ku moczarom, otaczającym je, stał mocny zameczek, pamiętny już więzieniem w nim Ziemowita i Gertrudy. Był też, jak więzienie budowany, warowny, okryty, okopany, smutny i nagi na swym pagórku.

Czarny czasu świąt pozostawał w domu, ażeby ziemian swych przyjmować. Przysposabiano ucztę dla nich, gdyż całe dnie karmić i poić musiano gości.

Ponieważ niewiast, które z mężami przybyły, aby się pokłonić, dosyć było, Leszek musiał razem z Gryfiną zasiąść w wielkiej izbie na szkarłatem obitych stołkach, jak na tronach i hołdy poddanych przyjmować.

Gryfina dnia tego starała się piękną i młodą pokazać. Rusinki ją wystroiły, obwieszały klejnotami, zabarwiły jej twarz trochę bladą, a że hożą była i być nią chciała, w istocie piękna i poważna wystąpiła zasiąść przy swym panu na krześle i z dumą mogła spojrzeć na otaczających. Leszek, widząc ją tak żywą i śmiałą, odwrócił oczy i spuścił je ku ziemi.

Po pokłonach, przemowach, złożonych darach szli wszyscy zaraz do stołów i niewiasty sadzono osobno po jednej stronie przy księżnie; mężów z drugiej za Leszkiem. Było to zwyczajem.

Służbę po stronie męskiej sprawiały pacholęta książęce, z drugiej dziewczyny służebne.

Nalewano obficie i umysły się wkrótce ożywiły, a usta otwierać zaczęły. Ziemianie śmiało do pana swego garnąc, się przemawiali. Mowa była nie swawolna, ale swobodna

bardzo, tak jak ona dziś już być nie umie, chyba w chłopskich chatach, przy weselu, gdy sobie ludzie podochocą.

Niejeden żarcik tłusty ze strony mętkiej polatywał i rumieńcem okrywał twarze niewiast. Starsze na nie dosyć wyrazistemi słowy odstrzeliwały. Służba, której ani śmiać się, ani do pańskich zabaw mieszać było wolno, usta sobie czasem ręcznikami zatulać musiała.

Wszczęła się rzecz o łowach, potem o niewiastach, że one dla wojny i łowów często same siedzieć doma muszą. Mężowie podżartowywali, że sobie na tę samotność radzić czasem umieją. Baby odbijały to, czyniąc im zarzuty, że oni też nie zawsze na zwierza czworonożnego polują.

W czasie tych ucinków Gryfina siedziała ciągle nachmurzona, jak gdyby wybuchnąć miała. Leszek milczał, nie bardzo rad rozhoworowi temu, z ukosa spoglądając na żonę.

Mężowie poczęli docierać niewiastom coraz ostrzej, a starsze i śmielsze po miodzie usta coraz szerzej rozpuszczały. Wrzawa biesiadna wzięła się na dobre, pozwalano sobie, jakby nie na książęcym dworze.

Wtem, kiedy tak gwarząc a śmiejąc się serdecznie, bo tam wszystko w żartach było, co kto spojrzy na księżnę Gryfinę, nie może zrozumieć, czemu coraz bardziej wydaje się nachmurzoną a niecierpliwszą, aż gdy jakoś na chwilę przycichło, księżna, która dotąd prawie się nie odzywała, nieco się podniosła.

— No! i mnie też coś o tem rzec przystoi!—rzekła z ruska—i jabym znalazła co powiedzieć. Wszakci to szósty rok z panem małżonkiem moim żyjemy! Pytajcie-no mnie, kiedy on doma ze mną siedzi, kiedy nie w lesie i na łowach! Rzadko go widzę, a gdy powróci, nie lepiej mi z tem. Zmęczony odpoczywa, a wypocząwszy, wyjeżdża znowu. Przecieżem nie tak ohydna i stara—dodała, panosząc się—aby się mną mężczyzna miał brzydzić. A ja doprawdy nie wiem, na co czepiec noszę, bo mi się jeszcze wianek ruciany należał! Jaką mnie od ojca przywieźli, taką jestem!

— Ale—zawołała, głos podnosząc, gdy Leszek za-

wstydzony na piersi głowę spuszczał—dłużej ja tego sromu nie zniosę.

To mówiąc, rozogniona, paradny czepiec zerwawszy z głowy, rzuciła go na stół przed siebie i wśród oniemiałych ze zdumienia słuchaczów kończyła:

— Dosyć już życia tego—dosyć! Mam żyć jak zakonnica, to wolę do klasztoru iść. A żem prawdę rzekła, przysięgam to stwierdzić gotowa, niech on powie, czy kłamię...

Odwróciła się do Leszka, który jak siedział nachmurzony i niemy, tak wryty pozostał. Słowa nie rzekł.

Komu najciężej było z tem, to ziemianom, świadkom mimowolnym małżeńskiego sporu, którego nikt się nie spodziewał, nikt go przewidzieć nie mógł.

Niewiasty strwożone, litością zdjęte, oczy sobie zasłaniając, wzdychały i jęczały, mężowie głowami poruszali, patrząc na Leszka, czy też co na swą obronę nie rzecze.

Czarny milczał dumnie, jakgdyby na wszystko się zgadzał, byle od żony wolnym był.

Gryfinę pobudziło to do jeszcze większego gniewu, wstała natychmiast od stołu, podniosła głowę, skinęła na swe niewiasty, które za drzwiami już ze dworem jej czekały, i wyszła.

W izbie jadalnej zrobiło się cicho, smutno i ziemianie poczęli nierychło przebąkiwać, aby państwo jednać z sobą. Lecz Leszek wcale ku temu nie okazywał ochoty, owszem, obojętność największą, zakąsywał usta, spoglądając na swych komorników.

Kurt Niemiec, ulubiony mu, przyszedł, do ucha jego się pochyliwszy, oznajmić, że księżna wozy swe zaprzęgać kazała, że ludzie jej Rusini i Węgrowie, precz się już z zamku wybierali.

Myśleli, że książę, do czego prawo miał, żonę gwałtem wstrzymać każe, wrota pozamykać, z zamku nie puścić. Zdziwił się Niemiec, gdy Leszek mu najobojętniej w świecie odparł:

— Z Panem Bogiem!

— Baba z wozu, kołom lżej!—szepnął któryś z dworzan po cichu.

Stało się to, o czem przed chwilą niktby był pomyśleć

nie śmiał. W dziedzińcu co najśpieszniej wozy już wytoczone zaprzęgano, ładowano na nie skrzynie malowane i węzły. Konie powyciągano ze stajen, a gdy niektórzy Niemcy Leszkowi na swą rękę opór stawić myśleli, Węgry z Rusinami do mieczów się zaraz poczęli brać.

Na zamku w jadalni zamieszanie się stało niemałe. Ziemianie, zawieruchy się lękając, jęli się wymykać, żegnać, żony zabierać i wynosić do miasteczka. Ci, co sami byli, bez bab przyzostali do końca, by widzieć, co z tego urośnie.

Spierali się jedni, utrzymując, że księżna wyjedzie, drudzy, że sięrozpłacze i zostanie. Ciekawych dosyć wysypało się w dziedzińce, boć widowisko było niepowszednie. Pod ścianami dworca kupami stali polscy i niemieccy komornicy, służba, dwór, żołnierze, myśliwi Leszkowi, złoszcząc się za pana, drwiąc i odgrażając na Węgrów.

Dalej ziemianie patrzali, co to będzie, a w pośrodku Ruś i Węgry zbrojne, złe, nadąsane, klęli, łajali, pięści pokazywali i co śpieszniej mieścili sprzęt na wozach, juki wiązali na koniach.

Naprawdę nikomu się to nie mieściło w głowie, aby żona od męża z takim hukiem, przy tylu świadkach, czepiec mu rzuciwszy w oczy, miała precz odjechać. Zdało się im, że to tylko odgróżka próżna, aby Czarnego zmusić do lepszego pożycia.

Tymczasem w niespełna godzinę wszystko już stało gotowe, dwór na konie powsiadał, a że Gryfina zawsze też konno jeździła i jej siwego podprowadzono aż pod sień, do pieńka który wsiadać pomagał.

Ludzie się nacisnęli ku wnijściu przyglądać, jak dziwowisku, gdy Gryfina z twarzą odsłonioną, w wianku zielonym, który dla niej służebne zawczasu uplotły, w płaszczu szkarłatnym, wybiegła z zamku, podeszła do pieńka i z pomocą komornika konia raźno dosiadła.

Okiem nawet na pożegnanie po zamku nie rzuciła, ściągnęła cugle, cmoknęła na siwego, stary Węgier, Morosz, dał znak i cały orszak jej, wozy pośrodku, konni na straży, przodem Kumany z dobytemi mieczami, posunęli się ku wrotom.

Niewiasty, dziewczęta, co siedziały na wozach i jechały konno, popłakiwały trochę, zostawując tu swoich, spozierając ku nim, żegnając nieśmiało głowy skinieniem.

Wrota stały otworem, bo pan tak przykazał.

Dopiero, gdy księżna wyjechała za nie, Niemcy i Polacy wybuchli śmiechem i szyderstwy, nawołując niektórzy po imieniu dziewczęta, inni Węgrów drażniąc.

Zgraja się wdrapała na wał, na mury, oddalający się już obóz księżnej ścigając obelżywemi drwinami. Lecz ten uchodził tak szybko, jakby rad był swobodzie i nigdy tu już wracać nie myślał.

Leszek z izby nawet nie wyszedł. Niemcy go, mrucząc, otoczyli.

Z początku donosili mu co chwila o wyborze w drogę księżnej, potem gdy wrzawa i krzyki dały znać, że wyruszyła, skupili się niespokojni przy nim.

Czarny się tem nie poruszył wcale. Przeciwnie, zdawać się mogło, iż lżej mu się zrobiło, gdy się dowiedział o wyjeździe i czoło trochę rozchmurzył. Tym, którzy zagadywali o księżnę, odpowiadał, mówiąc o łowach, podróży, lub innych sprawach.

Zasiedli znowu biesiadnicy mniejszem kołem do stołu, zaczęto rozmowę obojętną.

Nazajutrz rano Leszek wyruszył na łowy w lasy.

We dwa dni potem przejazdem, po drodze biskup Paweł zajechał do Sieradza. Na zamek się nie udał, u proboszcza stanąwszy, który wedle zwyczaju musiał dostarczyć *prokuracyę*, to jest żywność dla pana, sług, koni i psów. Biskupom i wyższych stopni duchownym prokurowały tak probostwa i klasztory, a nieraz, gdy dostojny pan jechał z dworem wielkim, spoczywał dłużej, objadał strasznie plebanów i mnichów.

Biskup Paweł zatrzymał się tu tylko na popas krótki. Szydersko zapytał o księcia.

Proboszcz po cichu opowiedział, co się stało. Paweł udał zdumionego wielce, lecz wkrótce naśmiewać się począł z Leszka, żonie jego słuszność przyznając.

— W Krakowie się rozradują!—zawołał. Księżnie Kin-

dze jedna zakonnica przybędzie, a nuż Rusinka sobie osobny klasztor zechce założyć?

Natychmiast biskup wysłał stąd do Krakowa, donosząc o sieradzkiej historyi, aby i tam w wielki dzwon na nią uderzono. A bito tak głośno, że się ta scena, aż w kronikach, później przez duchownych spisywanych, odezwała.

Książę Bolesław, gdy mu o tem doniesiono, wzruszył się mocno, ręce załamał, zatrwożył o Leszka i o Gryfinę, pobiegł do księżnej z żalem i skargą. Nikt się w tem nie domyślał roboty ks.Pawła.

Kinga przyjęła tę wiadomość spokojnie, przypisując postępowanie Gryfiny nie sporom małżeńskim, ale świątobliwości niewieściej i powołaniu do zakonnego życia, które dla niej było jedynem szczęściem na ziemi. Sama ona do niego wzdychała. Podniosła oczy na męża i rzekła.

— Szczęśliwa Gryfina! O! Gdyby mnie też wolno było zrzucić te suknie, opuścić twoje pałace, pójść jak ona, zamknąć się w murach klasztornych!

Bolesław, który w żonie czcił błogosławioną za żywota niewiastę, skłonił głowę w milczeniu i dodał smutnie półgłosem:

— Maluczko i ty czekać będziesz na to, miła moja a święta pani. Ja, co ci drogę do szczęścia zapieram, znijdę z niej rychło, i uczynisz według woli swej.

Księżna spuściła oczy—zamilkli.

Bolesław w sercu i na synowca gniewnym był, że żony utrzymać nie umiał, i na Gryfinę, że ulubieńcowi jego srom czyniła.

Tegoż dnia Żegota Toporczyk przybył z wiadomością pewną, jakby z ust samej księżnej Gryfiny powziętą, iż wszystko to stało się z naprawy i za radą biskupa Pawła. Bolesław zadrgał cały; czuł, że ten raz wymierzony był przeciwko niemu. Cierpliwy i przebaczający winy, za krótką chwilę dał się gniewowi unieść, i z ust mu się wyrwało:

— Dość już biskup ten nabroił! dość! Czasby karać go było!

Żegota podchwycił rączo:

— Miłościwy panie, dajcie go tylko nam... na wolę naszą. Skińcie! Bezprawiom jego dosyć! koniec położym! Jest na nim grzechów już dosyć, a ludzie na pewne opowiadają, iż z nieprzyjacioły twoimi, z Litwą i pogany się wiąże i spiskuje. Nie zamkniemy go, naprowadzi tych druhów swych na ziemie nasze.

Żegota wyglądał skinienia, Bolesław jednak, gniew swój hamując, znaku mu żadnego nie dał, ręce rozwarł, w niebo popatrzał.

— Miłościwy panie, rozkaż!—nalegał Toporczyk. Na odpowiedź czekał długo.

— Nie rozkazuję i nie bronię!—rzekł wreszcie książę, oddalając się szybko.

Żegota zatarł ręce, biegł zaraz do brata z dobrą nowiną.

VI.

Siedział naówczas biskup Paweł w Kunowie, który mu był ulubiony w ziemi Sandomierskiej.

Majętność to była do biskupstwa krakowskiego należąca, znaczna, lasy dla łowców dogodne, kąt cichy, gdzie biskup mógł żyć, jak mu się podobało. Oprócz gromady własnych ludzi, nie podpatrywał go tu nikt, obce oko śledzić nie mogło.

Życie też tu wiódł, jakie mu najmilszem było. Otaczał się wybranymi, przywoził czasem z sobą Bietę, do uczto-wania i łowów miał towarzyszów poddostatkiem. Do kościoła i na nabożeństwo chodził tylko, gdy mu przyszła fantazya, nic go nie zmuszało. Proboszcz służył i kłaniał się nizko, dostarczając, co na dwór było potrzeba.

Domostwo, w którem się naówczas mieścił ks. Paweł, na nowo pobudowanem było, bo tu już raz Tatarzy zawitali, raz byli Mazurzy i spalili wszystko. Spłonął i stary dworzec, ale i to na lepsze wyszło, bo biskup kazał wznieść

nowy i nie z prosta, ale jak na dwór łowiecki wielkiego pana przystało.

Wzniesiono w pośrodku duży dom z podsieniami, dawnym zwyczajem słowiańskim; po bokach dla służby, koni i psów, chaty, szopy i stajnie. Kaplicy tylko brakło, a że kościół stał opodal, ks. Paweł mówił, że go starczy.

Szczególniej myśliwstwu biskupiemu dogodnie tu było; psiarnie miał ogromne, aby gończym było jak w raju, wodę, cień i legowiska miały rozkoszne.

Dla koni stajnie zbudowane zaciszne, ciepłe z wodopojami tuż, aby czeladź daleko nie chodziła z niemi. Osobna kuchnia, na której wołu całego bodaj upiec było można, rozlegała się szeroko. Codzień też na niej barany, cielęta i kozy piekły się dla gości i czeladzi. Liczna służba zawsze się tu kręciła dniem i nocą, bo musiało na niej jak w łaźni gorzeć nieustannie, aby rzesze głodne nakarmić.

Zdala już poznać było można dwór wesoły, boć są po świecie różne, takie, z których smutek wieje, i z których radość bucha. A tu było ochoczo bardzo, nieopatrznie, bez jutra, lecz pańsko i raźnie.

Kiedy trąbki zagrały, to serce skakało, konie rżały, jakby ludzkim śmiechem, psy się gziły szczęśliwie, świadcząc, że im tu było dobrze.

Dostatek wielki, nierachujący się wcale, rozrzutny ściągał tu ubóstwo, włóczęgów, ludzi, co radzi byli żywić się lenistwem drugich. Dwór ten zawsze otaczały przybłędy, które służyły sługom, gotowe nawet psom posługiwać, byle dostać z kuchni ochłapy, a z beczek choć drożdże.

Jak sam biskup, który tu wczasu używał, dwór też jego wyręczał się chętnie lada kim, byle nie pracować.

Mało gdzie tak żyć umiano, jak tutaj. Zrana wstawszy, ks. Paweł zaraz kazał podawać jeść, zajadał i pił ze swymi, póki się nie uczuł syt. Przy stole z ludźmi poufałymi wiodły się rozmowy wcale nie pobożne. Potem opatrywano psy i konie; często zaraz na łowy jechał, a z nich wróciwszy, u Biety jadał sam, jeśli ona tu była, lub z towarzyszami.

Nabożeństwo i modlitwy zbywano prędko, bo na nich trwać biskup nie lubił.

U stołu kapelan szybko czytał modlitwy, niekiedy Paweł do kościoła zajeżdżał, rzadko proboszcza do stołu zaprosił. Suknia duchowna tak mu ciężyła, iż w nim powszedniego dnia chyba po pierścieniu wielkim na palcu pasterza poznać było można.

Mogło się zdawać ludziom, iż to życie swobodne w Kunowie szczęśliwym go czyniło. Miał to, w czem sobie upodobał, czego pragnął, a pomimo to chodził częściej chmurny i zły, niż wesół, a gdy się czasem rozśmiał i rozochocił, wesołość była jakaś niezdrowa, przymuszona, straszna, na której dnie żółci się domyślać było łatwo. Wino i miód najczęściej do niej pobudzały.

Za lada co Paweł sierdził się i gniewał, łajał i bił nawet. Co wczoraj chciał mieć, jutro mu już nie smakowało. Kłócił się z Bietą, nie ustępującą mu, pędzał Wita, znęcał się nad dworakami. Widać po nim było, że sam już nie wiedział, w czem szukać tego szczęścia ziemskiego, które od niego uciekało. Robił, co zamarzył, używał świata, spijał słodycze, a w nim się wszystko w piołuny i żółć obracało.

Nie wahał się kosztować żadnego zakazanego owocu, objadał się niemi—był przesycony, a nie syty. Pragnienie paliło tem silniej, im pił więcej.

Liczny dość orszak pasorzytów, co jak muchy do miodu lgną, wszędzie do dostatku, gromadził się około ks. Pawła. Kilku duchownych, co jak on suknią tylko nimi byli, nie dbając o obowiązki, kilkunastu ziemian, zapalonych myśliwych, do kufla i do wesołej pogadanki ochoczych, Wit do posług tajemnych, czeladź butna i rozpuszczona, otaczali go tutaj. Bieta miała dwór swój, dziewczęta, Zonię i czeladź osobną.

Kapelan i kanclerz siedzieli dla oka.

Oprócz tego z okolic Kunowa niemal codzień ściągali się sąsiedzi bliżsi, których sobie kuchnią i piwnicą umiał pozyskać. Nigdy więc pusto tu nie było.

We wsi stało dwudziestu żołnierzy nadwornych, którzy biskupowi w wycieczkach uroczystych towarzyszyli bardziej dla okazałości, niż z potrzeby.

Trafiło się, iż stąd Paweł na dni kilka, a nawet kilka-

naście wymykał się potajemnie z niewielkim pocztem ludzi. Dokąd—nikt prawie nie wiedział.

Bieta szczególniej, podejrzewając go, zazdrośnie śledziła, badała, ale i ona dowiedzieć się o celu tych wycieczek nie mogła, i jej Paweł nic o nich nie mówił.

Ci, których z sobą bierał, po pijanemu nawet ust nie otwierali, a im większą z tych podróży czyniono tajemnicę, tem ona mocniej drażniła tych, którym ks. Paweł zwierzyć się nie chciał.

Z Bietą, choć nałogowe przywiązanie trwało jeszcze, biskup zaczynał się tak obchodzić, jakby mu ona już była ciężarem. Napastliwej, gwałtownej niewiasty lękał się, nie wiedząc może, jak się od niej uwolnić.

W czasie pobytu biskupa w Kunowie bywał taki napływ różnych włóczęgów około dworu, iż ściśle się z nimi obliczyć, ani się w nich rozpatrzeć nie było można.

Skąd i po co kto przychodził, nie badano, karmiono tę czerń, posługując się nią; zalegała podwórza, cisnęła się do kuchni, wyręczała się nią czeladź leniwa.

Przez znaczniejszą część dnia piiana, służba biskupia nie zaglądała w oczy żebractwu temu, nie wiedziała, kto tam, skąd i po co się przybłąkał. Nie lękano się posłuchów i nie posądzano ludzi, z którymi było wygodnie. Z niczem się też nie ukrywano, bo jak pan, tak i czeladź czuła się tu bezpieczną.

Ks. Paweł, gdy na łowy nie jechał, długo w noc zwykł był się zasiadywać z towarzyszami nad miodem i winem. Rozpowiadano sobie przygody różne, Paweł lubił przypominać, jak szalał za młodu, począwszy od Lignickiej bitwy i owej pierwszej mniszki porwanej, którą mu odebrano. Śmiał się chwaląc, że mu ją wszakże zapóźno wzięto. Spraw podobnych miał dużo na sumieniu.

Drugim ulubionym przedmiotem rozmów były domowe dzieje Piastowiczów. Z tych on Mazurów nad innych przekładał, drugim zgubę wieszcząc. Szczególniej Bolesławowi i Leszkowi, bo obu nienawidził.

Po takich nocnych biesiadach na dzień długo zasypiano, a że we dworze wszyscy się czuli bezpieczni, straży ani czujności żadnej nie było. Żołnierze spali daleko po cha-

tach, pijana czeladź walała się po kątach, warty nawet w domu nie stawiano.

Jednego dnia letniego, gdy ks. Paweł długo się zasiedziawszy, na ostatek do sypialni odszedł i legł na posłanie, a drudzy się porozchodzili na siano i wszystko we dworze snem było tęgim ujęte, w pierwospy właśnie zbliżył się lasem ku dworowi oddział konnych a zbrojnych ludzi.

Cichuteńko obstawiono budowle dokoła, rozrządzono czaty, i kilkunastu rycerzy podkradło się pod tę część dworca, w której ks. Paweł spoczywał.

Byli to Żegota i Otto Toporczycy, ważący się już na wszystko, byle biskupa wziąć i raz jego bezprawiom koniec położyć.

Zawczasu się wywiedziawszy, z której strony przystęp był łatwiejszy, kędy Paweł legał, włamali się oknem, nim mocno uśpiony biskup obudził się i oprzytomniał.

Ludzi w pobliżu nie było, czeladź spokojna kamiennym snem na przedsieniach odpoczywała, bo w izbach duszno im było.

Gdy biskup, zerwawszy się, chciał wołać, wnet mu usta zawiązano i dwóch silnych ludzi, choć się zajadle bronił, ręce i nogi postronkami mu skrępowali.

Rwał się Paweł, silnym będąc, lecz napastnicy zawczasu wiedzieli, z kim będą mieć do czynienia, przygotowali się więc. Ręce i sznury mocne były, użyci do tego siepacze wprawni i silni. Nim się biskup opatrzył, już go oknem wysadzonem wyrzucono, chwycono na ręce i niesiono do woza.

Nieopodal czekał oddział mocny, wóz zaprzężony końmi młodemi, z woźnicą jakiego było potrzeba.

Rzucono nadaremnie miotającego się biskupa w siano, nakryto słomą i wcwał puścili się z nim Toporczykowie lasami, drogami błędnemi, manowcami ku Sieradzowi. Obawiali się pogoni, kręcili więc tak po dróżynach leśnych, aby niełacno mógł kto na trop ich. trafić

We dworze tymczasem spali wszyscy, nikt nic nie słyszał, choć ludzie Toporczyków biskupią izbę i skarbczyk mieli czas wypróżnić i co lepszego było, pochwytać.

Rano dopiero Wit, obchodząc dwór dokoła, zobaczył okno wyłamane a w niem kawał oddartej nocnej odzieży ks. Pawła, który o gwóźdź zaczepiony, wisiał na uszaku.

Wbiegł natychmiast do izby, a tu ujrzawszy wyraźniejsze jeszcze ślady napadu, na gwałt krzyknął.

Zerwało się co żyło, wpadli ludzie, czeladź, przybiegli goście, strach, podziwienie, trwoga i gniew wybuchły.

W izbie, w której biskup sypiał, złożone były szaty kosztowne, skrzynie z pieniędzmi i klejnotami; wszystko to Toporczyków ludzie rozchwytali i wynieśli. Na podłodze walały się porozsypywane perły i kawałki łańcuchów porwanych.

Krzykami przestraszona przybiegła i Bieta, która się przed ludźmi tymi nie potrzebowała taić, czem dla niej był ks. Paweł, rwąc włosy z głowy i zawodząc. Mało kto zważał na nią. Posłano po żołnierzy, zerwali się do koni przyjaciele biskupa z pachołkami swymi lecieć w pogoń za porwanym. Kunów cały wyglądał, jakby nieprzyjaciel najechał.

Czeladź tymczasem myśląc, że Paweł mógł być zabity lub że nie powróci, wzięła się do rozchwytywania między siebie, co pozostało. Rabował, kto mógł i z łupem w lasy uciekał. Konie ze stajni, szaty, co było kosztowniejszego sprzętu darli i unosili. Bieta została prawie sama dziewkami swemi, nie mogąc nikogo znaleźć, coby się nią zaopiekował, bo i Wit naprzód myślał o sobie. Ona więc z Zonią ledwie prosty wóz jakiś sobie i konie wyprosiwszy, powiązawszy, co miały, puściły się w drogę do Krakowa.

Werchańcowa milczała w drodze, Bieta klęła nieprzyjaciół biskupa, jego, świat cały, traciła głowę, szalała.

Wesoły ów i ludny dworzec w Kunowie do wieczora stał pustkami, tak, że ledwie przy nim kilku starych stróżów zostało. Wszyscy byli przekonania, że Pawła już nie zobaczą, bo nieprzyjaciele jego gdzieś go w lesie na gałęzi obwieszą.

Na to się jednak Toporczykowie nie ważyli, choć człek bez sądu wart był tego losu:—broniło go święcenie i dostojność biskupia.

Żegota po naradzie z bratem postanowił odwieźć go

na zamek do Sieradza i zdać pod straż Leszkowi. Naprawdę nie wiedzieli dobrze, co z nim począć mieli; sami go więzić nie czując się na siłach, musieli w imię Bolesława zdać go Czarnemu.

Łatwo przewidzieć było, iż choć człowiek nie zasługiwał na to,—za biskupem ujmie się metropolita gnieźnieński i kara ta będzie krótką a za małą.

Lecz Toporczykowie, a z nimi inni nieprzyjaciele, mieli się starać o to, aby złego klechę z lat parę potrzymać pod kluczem i wymódz na nim skruchę, a na przyszłość uczynić mniej zuchwałym.

Paweł, zaledwie oprzytomniawszy po pierwszej trwodze i gniewie, burzył się w więzach, targał sznury, pieniąc się, zemstą i śmiercią odgrażał.

Wiozący, wcale nie zważając na to, rzuciwszy go w głąb lichego wozu, jak kłodę drzewa ciągnęli z sobą w głąb lasów.

A że droga manowcami i zaroślami, była szkaradna, wóz tłukł i trząsł, sznury się w ciało wpijały, biskup męki straszliwe cierpieć musiał. Nie dano mu kropli wody, nie znano litości.

Nawet, gdy dobrze oddaliwszy się od Kunowa, zapewniwszy się, że już ich żadna pogoń napędzić nie może stanęli, aby koniom dać wytchnąć i gębę mu rozwiązali, nie wiele mu to ulgi przyniosło. Mógł tylko głośno krzyczeć i łajać, na co mu obelgami i szyderstwy odpowiadano.

Żegota, do wozu przystąpiwszy, podparł się w boki i jął mu wszystko, co broił, na oczy wyrzucać.

— Wart jesteś, aby cię, jak psa, obwieszono—wołał, stojąc nad nim.—Zbrodni masz więcej, niż włosów na głowie, wszeteczniku, morderco, zdrajco! Ale przyszła na cię godzina... pójdziesz do ciemnicy na chleb i wodę, tak, jakeś poczciwych księży więził i głodził. Skosztujesz i ty zbytniku, niewoli! Pójdzie na ciebie do Rzymu regestr długi, zepchną cię z tej stolicy... zamurują gdzieś w celi klasztornej na pokutę, lub z kijem żebrać wyżeną.

Ks. Paweł, zmuszony słuchać, pienił się ze złości, lecz z ust mu się wyrywały tylko słowa niewyraźne:

— Pies — łotr — zbój!

Wpół drogi do Sieradza pieszczony człek, co w puchu legał, potłukłszy się okrutnie, z bólu jęczeć i krzyczeć zaczął. Siano i słoma roztrzęsły się pod nim, leżał, bijąc się kośćmi o drągi i pleciony spód wozu. Sińce stawały się ranami. Im głośniej narzekał, tem się Toporczykowie śmieli głośniej i radowali.

Droga do Sieradza daleko dłuższą była dla Toporczyków, niż zwykłym gościńcem podróżujących ludzi. Jechali, unikając utartych szlaków, lasami i błotami, nasłuchując, wysyłając na zwiady. Nie chciało im się postradać biskupa, raz go ująwszy.

Po długiem krążeniu dniem i nocą, gdy się im w końcu ukazało miasteczko i grodzisko na cyplu, odetchnęli swobodniej.

Nie mieli oni od Bolesława żadnego wyraźnego rozkazu ani polecenia do Leszka, aby więźnia przyjął i strzegł, ale raz się na to ważywszy, trzymając się słów księcia, który rzekł, że ani rozkazuje, ani zabrania, na swą szyję wzięli odpowiedzialność i do końca chcieli doprowadzić, co poczęli.

Wyprzedzając wóz i ludzi swych, Żegota puścił się sam na zamek. On był duszą całej sprawy, Otto jego pomocnikiem tylko. Szczęściem zastał Leszka doma, spoczywającego po długiej wycieczce i łowach, które go aż do Poznania zawiodły. Tylko co powróciwszy, rozglądał się u siebie niecierpliwy już, dokąd znów ma siąść na koń, gdy mu oznajmiono, że Żegota Toporczyk przybył doń od księcia Bolesława z Krakowa.

Ulubieńca stryja kazał Leszek zaraz wpuścić do siebie.

— Przywożę Miłości Waszej—rzekł, wchodząc, Żegota—gościa niebardzo pożądanego, ale trzeba go przyjąć, jak wart. Wszakci na zamku pewnie na zamczystych komnatach nie zbywa?

Czarny poruszył się niespokojny.

— Cóż to za gość?—zapytał.

— Wzięliśmy tego łotra Pawła z Przemankowa, co się zwał biskupem krakowskim, wszeteczника i mężobójcę,

i z polecenia księcia Bolesława zdajemy go pod straż Waszą.

Leszek, choć mężnego serca i odważny w innych sprawach, posłyszawszy o biskupie, drgnął cały.

— Biskupa wzięliście!—zawołał.—Ważyliście się na osobę duchowną! Wy? Książę Bolesław!

— Ale tego Antychrysta dłużej na stolicy biskupiej ścierpieć nie było można—odparł Żegota.—Do Rzymu trzeba słać, aby go zrzucono, a innego nam dano.

Wtem zahuczało w podwórcu, wóz z więźniem wjeżdżał właśnie.

Leszek, nie słuchając już Toporczyka, zszedł zaraz w dziedzińce; ujrzawszy ks. Pawła skrępowanego, w sukni poszarpanej, nocnej, na pół nagiego, zbladłego i posiniałego z gniewu, zafrasował się wielce.

— Uwięzić go to jeszcze nic—krzyknął—aleście mi go ledwie żywym dowieźli.

Zawołał zaraz na czeladź i kazał Pawła zanieść do izb osobnych, które po wyjeździe Gryfiny stały puste.

Tu na Toporczyków nie patrząc, nie pytając ich, trwogą zdjęty Czarny natychmiast polecił łoże, łaźnię, pościel gotować i sznury rozwiązać.

Biskupa ta szalona podróż na dnie wozu zmieniła wielce. Krzyczał z początku i wściekając się odgrażał, teraz osłabły, milczał, dając z sobą robić, co chciano. Patrzał z góry pogardliwie, nie odpowiadając nawet, gdy Leszek doń przemówił.

Obracano nim, kładziono go, zacinał usta, marszczył się, odwracał, a na ludzi, co go tak sponiewierali, nie patrzał nawet.

Łagodniejsze obejście się z nim Leszka nie obudziło wdzięczności, przyjął je zimno, jako należne sobie. Żegota na pożegnanie rzuciwszy mu jeszcze w oczy szyderstwem boleśnem, pożegnał się i wyszedł.

Dopiero, gdy się drzwi zatrzasły za nim, Paweł mruknął:

— Nałożysz ty i twój pan głową?

Postawiono straże u drzwi i okien, lecz książę nakazał, aby się z więźniem obchodzono łagodnie. Obawiał się go.

Dał mu sługi, obmyślił wszelką wygodę i zdawszy dozorcom, nie mogąc słowa zeń wydobyć, porzucił.

Toporczycy, sprawiwszy się tak dzielnie, zaledwie więźnia zdali, trochę sobie i koniom wypocząć dali i nocy nie patrząc, nazad pośpieszyli do Krakowa.

Trzeba było księcia Bolesława uprzedzić, pozyskać od niego zatwierdzenie tego, co się stało, a była to rzecz nie łatwa. Łotrostwa biskupa nie odejmowały mu jego charakteru, porwanie się na duchownego, na pasterza, groźne było zawsze dla tych, co się ważyli na nie.

Lecz nim z Sieradza dobili się do Krakowa, już z Kunowa ludzie niektórzy do dworu Pawła należący, Bieta, czeladź, prywieźli tu wiadomość o porwaniu. Dostała się ona wnet na Wawel do księcia.

Gdy kapelan doniósł mu o tem, Bolesław zbladł, zmieszał się i zaniemiał.

— Nie może to być!—zawołał głosem wzruszonym.

Połowicznego owego zezwolenia swojego żałował już, uląkł się następstw. Niespokojny pobiegł z wieścią tą do księżnej Kingi.

Z zamku na miasto posyłano ciągle dowiadywać się, ażali prawdą było, co rozpowiadano.

Gdy Żegota potem nadjechał i przyszedł do księcia, zastał go strwożonym a prawie gniewnym. Nim miał czas usta otworzyć, zagadnął go Bolesław:

— Prawda to? Coście wy uczynili? Na Boga! Na coście się ważyli! Na mnie spadnie kara za zuchwalstwo wasze! Jam tego nie chciał; nie przyzwalałem, nie kazałem!

— Wasza Miłość rzekliście, iż nie rozkazujecie, ale nie bronicie. Czas było tego łotra, który bezkarnie broił, nauczyć, że nie wszystko mu płazem uchodzić może!

— Pasterz! Biskup!—zawołał Bolesław.—Pójdą na mnie skargi do Rzymu, interdykt rzucą. Pozbawieni będziemy kościoła, mszy, modlitwy!

Załamał ręce. Żegota uspokoić się go starał.

— Ten, ktoby się za tego jawnogrzesznika ujął— rzekł—uznałby się wspólnikiem jego. Są przecie sprawy jego oczywiste, na które wszyscy patrzyli.

— Ale on za nie przed Bogiem i przed Najwyższym Pasterzem jest odpowiedzialny, nie przed wami—zawołał książę przerażony ciągle.—Gdzież on jest? Coście z nim zrobili?

— Oddaliśmy go do Sieradza pod straż ks. Leszkowi— rzekł Toporczyk.

Bolesław za głowę się pochwycił.

— Rzekną więc, iż się to stało z naszej naprawy i rozkazania.

Żegota milczał chwilę.

— Wszyscy poczciwi duchowni staną w obronie Miłości Waszej; był owcą parszywą między nimi.

Nie pomogło to; Bolesław padł na ławę zbolały wielce, jęcząc i mówić nie chcąc. Toporczyka odprawił skinieniem ręki.

Księżna Kinga równie, jak książę trwożyła się najbardziej o to, aby sprawa biskupa nie pozbawiła ich kościoła, nabożeństwa, modlitwy. Klątwa i interdykt, te dla dusz pobożnych dwie najstraszniejsze groźby, równające się potępieniu, wisiały nad niemi. Zamek przybrał postać żałobną.

Pomiędzy duchowieństwem zdania były podzielone; pochwalali i cieszyli się jedni, drudzy, co stronę ks. Pawła trzymali, poruszyli się natychmiast biedz ze skargą do Gniezna, do biskupów innych, aby ratowali dostojeństwo.

Kapituła, jak była rozerwaną na dwa obozy, pozostała rozbitą. Zwiększyła się tylko o niewiele liczba przeciwników ks. Pawła. Bojaźliwi milczeli, przewidując, iż potępionym być może, a sprawy jego niecne na jaw powychodzą.

Z Wawelu też wyprawiono kapelana do arcybiskupa z tłumaczeniem, z prośbami, z podarkami dla kościoła.

Po wszystkich ziemiach rozbiegła się ta wieść, budząc najsprzeczniejsze sądy i zdania.

Obwiniano ks. Bolesława, ale więcej Toporczyków zuchwałych, przepowiadając im los owego Borzywoja, co ks. Pawła Poznańskiego więził w Sremiea później śmiercią to przypłacić musiał (1236).

Żegota z bratem nietylko, się czynu swego nie zapierali, ale głosili go, chlubili się nim, odgrażali więcej jeszcze,

Po kilku dniach, gdy Bolesław zaczął ich unikać i oziębłość okazywać, dumne panki, ufni w siebie, bo między ziemianami krakowskiemi pierwsi stali, ze dworu się usunęli do Tęczyna i Balic.

Przewidywali już, iż na nich spadnie wina i kara, ale to sobie lekceważyli. Do księcia zaś serce stracili i drugim je odejmowali, rozpowiadając o nim, iż słabym był, a panować nie umiał.

Na dworcu biskupim Bieta sama zostawszy z Zonią, to płakała, przyjaciół Pawła zbierać chciała i bodaj wojsko, aby go z więzienia uwolnić, to wymyślała najdziwaczniejsze środki ułatwienia ucieczki.

Głośne były naówczas i w świeżej pamięci takie uwolnienia z więzów, bo i sam książę Bolesław ratował się, uchodząc.

Bieta sama wybierała się przekradać do biskupa, ludzi przekupywać, słać szpiegów na zwiady.

Lecz ani Wit, który do Krakowa powrócił, ani nikt z najlepszych przyjaciół ks. Pawła nie ofiarował się jej z pomocą. Znano zamek sieradzki, jako jedną z warowni najmocniejszych i najlepnej strzeżonych, nikt się na nią ważyć nie śmiał.

Werchańcowa była zupełnie obojętną.

— Niema się co tak za nim podrywać!—mówiła do Biety.—Da on sobie rady, zwolnią go! Ty tyle zyskasz, że gdy powróci, albo cię odpędzi, aby ludziom zamknąć gęby, lub sobie innej poszuka. Tyś mu się już przejadła!

Jedno spojrzenie mniszki starczyło, by Zoni zamknąć usta, tak groźnym wzrokiem jej odpowiadała. Piękna jeszcze Bieta miała to zuchwalstwo oczów i mowy, które daje rozpasane życie bez sromu. Wzrok jej mówił, że z nią zerwać niełatwo będzie.

Werchańcowa milczeć musiała.

Jakąś skrytą myśl zręcznie starała się wykonać. Wpuszczała nieznacznie do Biety różnych ludzi, którzy się jej zalecać chcieli, lecz tych mniszka odprawiała ze wzgardą i gniewem. Naostatek, domyślając się w tem knowania jakiegoś chytrej baby, poczęła się od niej odwracać.

Zonia niespokojna usiłowała odzyskać zaufanie— napróżno.

Nie wdawała się już z nią w rozmowy, zbywała milczeniem, odprawiała ją jak sługę. Werchańcowa tem się więcej trwożyła, iż przeczuwała, że Bieta coś knuła, kryjąc się przed nią.

Jednego dnia wyjechała ze dworu niby na przejażdżkę, nie chcąc jej brać z sobą. Wieczorem nie było jej do późna. Zonia niespokojna pobiegła po komorach jej i strwożyła się bardziej jeszcze, spostrzegłszy, że skrzynki od klejnotów stały otworem i próżne.

Nie wróciła na noc, nazajutrz próżno się jej spodziewano. Nie zbiegła z nikim, bo nikogo nie dopuszczała do siebie.

Sznurkując i szukając śladów, Zonia dowiedziała się, iż klejnoty były zastawione u Żyda w mieście, a z czeladzi kilku znikło z mniszką. Innych tropów wdowa nie znalazła. Zmartwienie miała stąd wielkie, nie, że się Biety pozbyła, ale że bez niej radę sobie dać mogła, a domyśleć się było łatwo, iż się o uwolnienie Pawła pokusi. Tem go sobie zjednać mogła, co Werchańcowej nie na rękę było.

Wistocie śmiała i namiętna niewiasta powzięła myśl oswobodzenia, dobrawszy sobie za pieniądze ludzi, którzy jej w tem pomagać mieli.

Aż do Sieradza dostała się bez przeszkody. Tu, gdy się rozpatrzyła około zamku, po strażach, spróbowawszy przekupstwa daremnie, namęczywszy się przez dni kilka próżnemi zabiegi, musiała wkońcu poprzestać na tem, że po męsku przebrana na zamek się dostała.

Nie strzeżono tam biskupa tak, aby wstęp ludziom do niego był wzbronionym. Wkupiła się Bieta u stróżów, wpuszczono ją.

Jakiego tam doznała przyjęcia, nie mówiła nikomu. Z za drzwi słyszano podniesione głosy, spór i gniewy. Po pół godzinie spędzonej w izbie wyszła Bieta z twarzą zarumienioną, z oczyma złemi i nazajutrz rano precz z Sieradza odjechała.

Gdy się napowrót zjawiła w Krakowie, zastała już izby swe zajęte, a wszystko, co tam rzuciła, w rękach Zo-

ni, która sama się w jej mieszkaniu rozgospodarowała. Musiała natychmiast iść precz, a waśń powstała krzykliwa i zajadła. Zoni zakazała pokazywać się sobie.

Mniszka, ledwie wróciwszy, natychmiast biegać i krzątać się zaczęła czynnie, przyjaciół biskupa zbierając, naradzając z nimi. Wita słała i rozkazywała mu, jakby moc nad nim miała.

Werchańcowa, spostrzegłszy to, musiała się ukorzyć przed straszną zapaśnicą swą, przebłagać ją i służyć pokornie.

Co miała w sercu, któż wiedział?

VII.

Miesiąc upływał już od czasu, gdy Toporczycy porwali biskupa Pawła. Mury sieradzkiego zamku strzegły jeszcze więźnia, ale ten z dniem każdym nabierał zuchwałości większej.

Sprawa jego przeciwników źle stała.

Ks. Paweł w Krakowie i dyecezyi swej, wśród tych, co na życie jego patrzali, miał nieprzyjaciół, ci uniewinnili i chwalili Toporczyków i księcia; lecz w innych ziemiach, opodal od stolicy niebardzo wierzono w to, co o biskupie rozpowiadano, miano to za potwarze; a porwanie się na duchownego wywołało oburzenie i zgrozę!

Wszyscy biskupi stanęli po stronie uwięzionego, a Janasz arcybiskup Gnieźnieński, z urzędu musiał rzucić interdykt na wszystek kraj, sobie i ks. Bolesławowi podległy.

Nie pomogły uniewinnienia i prośby, gdy Bolesław wszystko na Toporczyków zrzucał.

Dnia jednego przed samemi świętami wielkanocnemi nagle zamknęły się wszystkie kościoły, ucichły dzwony, duchowieństwo zamknęło się po domach, a kapelanowie księcia i księżnej oznajmili z przestrachem i łzami, że nawet cichej mszy w kaplicy czytać im nie było wolno.

Kinga rażona tą straszną groźbą jak piorunem, płacząc, padła na ziemię.

Interdykt taki, na kraj cały rzucony był wistocie rzeczą straszną. Kościół się cofał od ludu, ani w godzinie śmierci, ani przy narodzinach, ani u ślubu nie chcąc pośredniczyć pomiędzy człowiekiem a Bogiem. Umierający konali bez rozgrzeszenia, grzebano ich bez modlitw, na pustkowiach, bo kościół zamykał poświęconą ziemię cmentarną.

Nie chrzczono dzieci, nie wiązano ślubów, nie dopuszczano do świątyń. Stały zaparte.

W czasach tak gorącej wiary i pobożności interdykt był karą niewysłowienie surową, najsroższą, którą jakąkolwiekbądź ofiarą trzeba się było starać zdjąć z ramion.

Wprawdzie trafiało się niekiedy, iż powolniejsi kapłani, przy drzwiach zamkniętych, dla małego gronka potajemnie msze odprawiali, ale takich ścigały ostre kary kościelne.

Bolesław na pierwszą wieść o interdykcie zawołał, błagając o zgodę.

Chociaż o tem w Sieradzu nie mówiono biskupowi Pawłowi, gdy dnia jednego nie usłyszał dzwonów kościelnych, zrozumiał łatwo, że się za nim ujęto. Był pewnym, iż się tak stać musi.

Więzień przybrał postawę zwycięzcy. Tegoż dnia ochmistrzowi Leszka, który się z nim dobrze obchodził, rzekł dumnie:

— Hej! hej! Niedługo wy tu pono zamkniętego mnie strzedz będziecie. Widzi mi się, sen miałem taki, iż wy prosić będziecie mnie, abym was puścił, i zapłacicie mi za to, abym stąd szedł. Ale pomnij to sobie, Wiruto, że choćbym zgodę zrobił, zemsty się dla niej nie wyrzeknę. Popamiętacie wy biskupa Pawła, nie ty, coś sługą, ale pan twój i krakowskie książątko. Tym ja nie przebaczę.

Miesiąc więzienia, gdyż tyle ono już trwało, odosobnienie od ludzi, zmiana życia, zostawienie samemu sobie wpłynęło nieco na zuchwałego człeka. Spoważniał, stał się surowszym, mniej dbającym o rozkosze i wygody. Dawano mu jadła i napoju poddostakiem, wiedząc

że je lubił; często jednego i drugiego nie tykał prawie. Postarzał więcej przez te cztery niedziele, niż w ciągu kilku lat poprzednich. Często dniami całemi dumał, w oknie swem siedząc i patrząc na łęgi nad Wartę, sparty na rękach. Z dawnej buty nie stracił nic, przybyło mu jej może jeszcze, lecz gniewy i wybuchy poskramiał i tłumił.

Ów gwałt, popełniony na nim, upokorzenie, jakiego doświadczył, duszę mu ścisnęły, nauczyły obmyślać lepiej środki do dopięcia swych celów.

Był już pewien rychłego oswobodzenia swego, gdy dnia jednego oznajmiono mu o przybyciu dwóch księży z Krakowa. Uśmiechnął się zwycięsko.

Byli to proboszcz Dzierżykraj, którego biskup nie lubi, to ten do zamkowych ulubieńców należał, i Walter, kanonik krakowski, druh Pawła i ks. Szczepana.

Ks. Dzierżykraj, jak biskup, pochodził ze starej rodziny ziemian krakowskich. Możniejsze domy naówczas już synów swych przeznaczały chętnie do stanu duchownego, który prowadził do władzy i dawał u dworu znaczenie rycerskiemu równe lub większe jeszcze. Biskupi nie ustępowali książętom kroku, kościół stanowił prawdziwy *status in statu* (państwo w państwie), a nawet było to *status supra statum*, (państwo nad państwem), górujące nad wszelkie świeckie władze, stojące na straży praw Bożych wyższych nad państwa prawa.

Szli więc ziemianie majętni na kapłanów, w nadziei pozyskania tych stanowisk, które w początkach cudzoziemcy otrzymywali. Teraz dobijali się o nie krajowcy.

Tam, gdzie jak u rodziców Dzierżykraja dzieci było wiele, a majętność podzielona między nie, musiałaby się uszczuplać, oblekano zawczasu chłopca w sukienkę duchowną, dawano mu chleb kościelny.

Ów młody Dzierżykraj, którego posyłano na naukę do Bononii i Paryża, wrócił zcudzoziemczały, śmiały, pewien siebie i doma przodował duchowieństwu znajomością praw i obyczajów powszechnego katolickiego kościoła.

Stosunki, w Rzymie zawiązane, utrzymywane po powrocie do kraju, czyniły go silnym, niezależnym, wielu potrzebnym.

Książę Bolesław trzymał go przy sobie, a choć jeszcze nie mianował kanclerzem, przepowiadano mu pieczęć w przyszłości.

Był to człowiek zręczny, umiejący się z ludźmi obchodzić, wychowaniem cudzoziemskiem i doświadczeniem czujący się wyższym nad to duchowieństwo, które dalej poza granice domowe nie wyjrzało.

Postać była piękna, strój staranny, wejrzenie bystre, człowiek przebiegły, umiejący się zastosować do ludzi i chwili, słowem, stworzony do układów w zawiłej sprawie.

Kanonik Walter, Niemiec, pobytem długim w Polsce już z językiem jej obyty, ale mówiący polszczyzną łamaną z konieczności, bo przed laty kilkudziesięciu wydane przez arcybiskupa gnieźnieńskiego przepisy wymagały od duchownych znajomości języka krajowego, niepoczesny, chytry, pokorny, sługa powolny biskupa, obok Dzierżykraja wydawał się bardzo małym i lichym, ale w przebiegłości mu nie ustępował, a przewrotnością go przechodził. Zyskano go datkiem, na który był chciwy do układów z ks. Pawłem; przyrzekał starać się o załagodzenie go i wyjednanie warunków przystępnych.

Jak w Dzierżykraju z pod sukni duchownej wychodził ziemianin, który nie zatarł w sobie charakteru niezależności, jaką mu dawał ród i zamożność,—tak w ks. Walterze łatwo było poznać niemieckie dziecko mieszczańskie, ubrane w sutannę dla dorobku, chciwe małego zysku, do uległości gotowe, trwożliwe, a jak wszyscy, co się małymi czują, złe i zawistne w duszy.

Gdy o nich biskupowi oznajmiono, nie potrzebował zgadywać, z czem przybyli: uśmiechnął się, czoło wypogodził, chciał na wstępie okazać, że więzienie go nie przybiło, że nie był niem ani upokorzony, ni przelękły.

Wchodzących do sklepionej izdebki narożnej, w której siadywał, przyjął niemal wesoło.

Dzierżykraja, dawniej wstrętliwego mu, nie powitał, grzeczniej, niż zwykle, do Waltera się zwracając.

— A! stary! Przecieżeś sobie wyrobił pozwolenie mnie odwiedzić? Patrzajże, co to panowie z biskupami robią!

Miesiąc już siedzę w tych murach na rekolekcyach, trąbki myśliwskiej ani dzwona kościelnego nie słysząc.

— Skończy się rychło ta niewola—zabrał głos Dzierżykraj, uprzedzając Waltera. Co się stało, zaszło bez wiedzy i woli księcia, który tego żałuje.

— Ho! ho! bez wiedzy—podchwycił biskup.—Mówcie to, komu chcecie... a nie mnie! Trzymałżeby mnie Leszek bez rozkazu stryja?

Dzierżykraj zamilkł nieco, a Walter, zacierając ręce, niepewien, co ma mówić, zająknął się.

— Co się stało, jak się stało—rzekł—niema o czem rozprawiać; lepiej, żeby się to skończyło a co rychlej. Trzeba pojednania i zgody.

— Zapewne!—rozśmiał się biskup.—Chcielibyście, abym ja, niepamiętny krzywdy, jaka mi się stała, guzów, które mi nabili, wioząc mnie, jak bydlę związanego, ci zbóje... puszczając w zapomnienie krzywdę Kościoła i dostojeństwa, wyszedł sobie stąd, pokłonił się i powrócił na dwór milcząc. Mylicie się. Na Boga, nie znacie mnie!—krzyknął, głos podnosząc i porywając się z siedzenia — nie znacie mnie! Ziemianin jestem, rodzic tuteczny, ks. biskup, sługa Boży, nie żaden książęcy... nie przebaczę sponiewierania. Nie... pomstę za nie mieć muszę.

— Na kimże jej szukać chcecie?—odparł spokojnie Dzierżykraj.

— Na wszystkich winnych!—zawołał biskup.—Na Toporczykach, na Bolesławie, na Leszku! — nie przebaczę nikomu!...

Walter pokornie zbliżył się doń z uniżonością i począł go w rękę i suknię całować.

— Ojcze kochany! ojcze kochany! bez gniewu... zmiłujcie się!

— Jakto bez gniewu?—przerwał Paweł.—Toć gniew święty. Ujmuję się nie za siebie, ale za wszystkich sług Bożych.

Tak namiętnie rozpoczęta rozmowa do niczego doprowadzić nie mogła. Dzierżykraj ustąpił nieco, nie tracąc powagi ani spokoju, zwrócił się ku oknu, zaczął niem

wyglądać, jakby rozmowy prowadzić nie chciał, czekając aż się biskup wyburzy.

Z tej chwili skorzystał Walter i tajemnie po cichu, coś zaczął szeptać Pawłowi, który słuchał z uwagą, ale na Dzierżykraja patrzał, nie spuszczając go z oka.

Szeptanie to trwało krótko a biskup nie dał poznać po sobie, aby na nim najmniejsze uczyniło wrażenie.

Walter, ażeby się nie podać w podejrzenie, iż z biskupem chciał się na swą rękę porozumieć szybko ustąpił kroków parę.

Milczenie trwało dobrą chwilę.

Dzierżykraj spoglądał obojętnie to po izbie, to za okno, naostatek, gdy cisza ta kłopotliwa dla wszystkich nie ustawała, a ks. Paweł ostygł nieco, przybliżył się ¡doń i rzekł łagodnie:

— Przynosimy Miłości Waszej słowa pokoju i zgody. Nie odpychajcie ich. Należy wam zadośćuczynienie, nikt nie przeczy. Mówmy o niem. Książę Bolesław, chociaż winnym się nie czuje, bo jego usposobienie źle wytłumaczono, nadużyto słowa niezrozumianego, książę pomimo to gotów jest ponieść karę.

— Karę, jaką mu ja naznaczę?—zapytał Paweł dumnie.

— Nie, ale na jaką wy się zgodzicie, gdy umowa stanie — rzekł Dzierżykraj.

— Naprzykład?—krzyknął Paweł, unosząc się.— Musi mnie przebłagać publicznie!

Dzierżykraj głową potrząsnął.

— To być nie może—odparł;—on nie przewinił, a dostojeństwo jego nie pozwala na to.

— Jakto? Alboż możniejsi stokroć od niego cesarze nie uginali głowy przed biskupami? A takie małe książątko nie mogłoby klęknąć przede mną, pasterzem swoim!

Dzierżykraj zwrócił się znowu ku oknu, zmilczał. Walter spuścił głowę, nie życząc sobie mieszać się w rozprawę.

Biskup ciągnął dalej:

— Powtóre, żądać będę przykładnego ukarania dwu zbójców, ukarania więzieniem ciężkiem, zabraniem dóbr, oddaleniem ich ode dworu. Nie mogę z nimi spotykać się

więcej, nie powinno ich oglądać oko moje. Nigdy! Mam prawo wymagać śmierci na gwałtowników; niech Bogu dziękują, gdy im życie daruję.

Nie było odpowiedzi, biskup mówił dalej, coraz głos podnosząc.

— Rozgrabili mienie moje, chwycili klejnoty i szaty, strat mam na kilkaset grzywiem srebra lub więcej... kościołowi należy za pokutę ofiara....

— Zatem, gdy się już pokuta okupi—rzekł Dzierżykraj—drugiej wymagać się nie godzi. Prawo nie zna, jak jedną karę za winę. Dwa razy nie kaźnią nikogo.

— Wiem, żeście w prawie biegli i nie darmo lata strawiliście w Bononii — przerwał biskup—ale ja moje prawo mam zapisane tu, w piersi, nie znam innego nad nie. Obrażony, skrzywdzony, nie wyjdę stąd inaczej, jak pomszczonym.

Walter, którego krzyk biskupa onieśmielał, począł bełkotać.

— Co się tknie Toporczyków, głównych sprawców, nad nimi sprawiedliwość być musi, to nie podlega wątpliwości.

— Niech gardła dadzą!—zawołał biskup, zapominając że żądał tylko więzienia.

— Lecz wy sami byliście dla nich miłosierniejsi przed chwilą—odezwał się Dzierżykraj.—Życia im nie weźmiecie.

Biskup nieco dotknięty, spojrzał na mówiącego ostro i rzucił się na swe siedzenie. Tuż stał dzban i kubek, wypił cały i rzekł do Dzierżykraja.

— Myśliwi jesteście!

— Nie—odparł zimno spytany.

— Polujecie na prawne wykręty po księgach i dekretaliach—dodał biskup.

— Do tegom się sposobił—odpowiedział kanonik spokojnie.

Spojrzeli sobie w oczy. Chłodna krew tego wychowańca Włoch, trochę nad Pawłem wzięła przewagę. Czuł, że miał przeciwko sobie nielada zapaśnika, który go spokojem i panowaniem nad sobą przechodził.

— Cóż tedy będzie?—przerwał biskup milczenie dosyć niezręcznie, bo był zniecierpliwiony.—Przybyliście się ze mną targować o uwolnienie moje. Kraj pod interdyktem jest i pozostanie, póki nie nastąpi zgoda. Nie przyjmiecie warunków moich, to książę i księżna spowiedzi wielkanocnej, ani rozgrzeszenia mieć nie będą. Musicie się zgodzić na to co ja chcę, inaczej—nic! Książę mnie przebłaga publicznie, z powrozem na szyi...

— To nie może być—rzekł zimno Dzierżykraj—nie może.

— A cóż będzie?—zawołał biskup.

— Ha!—odparł, wzdychając kanonik—jeśli się zgoda niemożliwą okaże, a interdykt trwać będzie, książę i księżna na czas do Węgier wyjadą. Sprawa pójdzie do stolicy Apostolskiej na rozstrzygnięcie.

— I wy na nią adwokatować pojedziecie?—wtrącił Paweł.

— Ja, albo kto inny—rzekł chłodno Dzierżykraj.—Wasza Miłość pozostaniecie tu, aż do jej rozwiązania.

Paweł zerwał się z siedzenia.

— Dobrze!—rzekł—ja nie ustępuję nic—nic! Książę musi mnie na klęczkach publicznie przebłagać, zwolnię go tylko może z powrozu na szyi. Toporczyki pod topór! Tysiąc grzywien kary i dla kościoła nadanie ziemi!

Rozśmiał się dumnie, gniewnie.

— To moje słowo ostatnie.

Spojrzał nań kanonik i czekał trochę.

— Od tego nie ustąpię—powtórzył biskup.

Dzierżykraj skłonił się w milczeniu, jakby się do wyjścia zabierał. Wieczór był późny.

Ksiądz Walter, widząc go już ku drzwiom zmierzającego, zawahał się, co miał począć, wynijść z nim, czy pozostać. Biskup dawał mu znaki, żeby się wstrzymał; Walter z widoczną obawą stał, patrząc na Dzierżykraja, który nie broniąc mu poufnej rozmowy wyszedł natychmiast.

Gniewnie powiódł za nim oczyma biskup i ręką na drzwi wskazując, zawołał:

— Dobrze wybrali posła! Ptak to, co wie, jak komu

śpiewać! Lecz ja się znam na ludziach i głosach... Chce mu się kanclerstwa! Zasługuje się panu!

Padł na siedzenie.

Ks. Walter, teraz dopiero oswobodzony od gwałtu, jaki sobie zadawał, pośpieszył do ks. Pawła z czułością wielką, łasząc mu się, całując go po rękach, załamując dłonie, wykrzykując:

—Bezbożnicy! łotry! co oni z moim uczynili pasterzem! Na krwawe mi się łzy zbiera... Boże miłosierny! Że w nich pioruny nie biły, gdy się targnęli na pomazańca Twojego. Dzięki niebu, że życie ocalone... a i zdrowie.

Paweł przerwał gwałtownie:

— Nie lamentuj! Dosyć, żem się wylizał; alem ja twardy, niełatwo mnie zgryźć. Z innego byliby duszę wygnali. Gdybyś wiedział, jakim oni mnie tu przywieźli! Sznury mi się w ciało powjadały... krew ciekła.

Walter zakrył sobie oczy, jęcząc.

— Boże miłosierny!

— A jabym im to miał przebaczyć? Nigdy! nigdy! Nawet jeśli będę zmuszony stłumić w sobie gniew, zrobić wrzekomą zgodę, dać się niby ubłagać... Nigdy! Dopókim żyw, ścigać będę tego niedołężnego Bolesława i służkę jego Leszka. Wyżenę tych Niemców precz! wyżenę!

Bił się w piersi, a Walter go po rękach całował, uśmierzając rozjątrzenie.

— Rzekliście—przerwał cicho—święte słowo. Zrobicie zgodę pozorną, potem postąpicie, jak zechcecie. Dajcie się przebłagać, aby stąd wydobyć, odzyskać swobodę. Będziecie silniejsi! Tak! tak!

Błagał go, chwytając za ręce, które mu Paweł wyrywał.

— Zgodę—zawołał—mówiłem pod jakiemi zawrę warunkami. Macie wóz i przewóz.

— Na to oni nię przystaną—szepnął Walter, trzęsąc głową.

— Cóż to oni dać myślą?—odezwał się nagle ostygając Paweł.

Kanonik ruszył ramionami.

— Mnie oni się nie zwierzyli całkiem—począł mru-

czeć—ja tego nie wiem. Dobyłem tylko z rozmowy z nim, (pokazał na drzwi), że książę nie przebłaga, bo się do winy nie zna, Toporczyków ukarze, ale nie na gardle. Kilkaset grzywien, kawał ziemi dadzą.

Paweł odwrócił się ze wzgardą. Widać było, że walczył z sobą. Wistocie swobody mu się chciało dusznie. Dla człowieka, co nigdy w miejscu długo wytrwać nie mógł, siedzieć zapartemu wśród ścian niedziel kilka, nie zakosztować łowów, wesołych uczt, śmiechu, swobody, równało się prawie śmierci. Na samą myśl otwarcia tych drzwi okutych, zdjęcia straży serce mu biło. Niecierpliwiła go zwłoka, gdy czuł możność oswobodzenia się.

Lękał się, aby w tem Dzierżykraj go nie odgadł i nie korzystał z usposobienia. Burzyło go to i jątrzyło.

Z pół godziny jeszcze pozostał z nim Walter na rozmowie, ale nie pozyskał wiele. Opowiadać musiał o tem, co się działo w Krakowie, kto i jak przyjął wiadomość o więzieniu jego, okazał się przyjaznym lub wrogiem, obrońcą lub przeciwnikiem. Biskup rozpytywał o najdrobniejsze szczegóły.

Przeciągnęło się tak, iż Walter w ostatku, bojąc się podejrzeń towarzysza, wybiegł pośpiesznie. Bawił i tak za długo.

Obu posłów przyjmował książę Leszek, lecz niezbyt wielką do całej sprawy wiążąc wagę. Nie taił, że rad pozbyć się więźnia, choć spełnił rozkazy Bolesława.

Dzierżykraj zachował się wstrzemięźliwie, małomównie, nie dając się wybadać ani księciu, ni Walterowi. Kanonik napróżno usiłował czytać w jego twarzy, nie mógł odgadnąć, co myślał.

Dawał do zrozumienia, iż z biskupem już nie spodziewał się przyjść do zgody.

Nazajutrz rano wchodzący sługa dał znać ks. Pawłowi, iż krakowscy księża z powrotem się już wybierają. Żżymnął się mocno. Siedział właśnie u rannego stołu i nieopatrznie cisnął ze złości nożem o podłogę.

Wkrótce potem zjawił się Dzierżykraj, spokojny, chłodny, obojętnością swą człowieka takiego, jak biskup, mogący przyprowadzić do rozpaczy.

— Przychodzę Waszą miłość pożegnać—odezwał się.—Bardzo mi boleśnie, że dobre moje chęci spełzły na niczem.

Ks. Paweł wrzący, mówić mu nie dał.

— Słuchaj ty! mistrzu i doktorze praw—zawołał.—Nie graj ze mną w żadną grę, bom ja nie kostera, nie gram, a rąbię! Cierpliwości Bóg nie dał. Jestem tu więźniem, duszę się, chcę stąd precz! Mów, co mi Bolesław daje!!

— Ojcze mój—odpowiedział ze spokojnym smutkiem Dzierżykraj. — Warunki wczoraj przez was nam dane, są takie, że ja obok nich tego, co z sobą przywiozłem, na stół położyć nie śmiem.

— Mów! mów! Posłem jesteś. Przecie nie uczynię ci nic—zawołał, rzucając się ks. Paweł.—Mów!

Kanonik podniósł głowę.

— Książę Bolko ofiaruje Wam ukaranie ostrem więzieniem Toporczyków, z którymi wspólności się zapiera. Dwieście grzywien srebra i nadanie Dzierążnej.

Biskup, który czerwieniąc się słuchał, wybuchnął wkońcu:

— Nigdy w świecie się na to nie zgodzę! Jedźcie precz! jedźcie precz! Wolę wiezienie!

Usłyszawszy to Dzierżykraj skłonił się nizko. Walter, stojący za nim rękę ściskał, łamał tak, że palce trzaskały, pot mu się lał z czoła, cierpiał srodze.

— Ojcze!—szepnął błagająco spoglądając nań—ojcze!

— Idźcie! jedźcie! Oba Judasze! Kusiciele przeklęci! Nic z tego!

Dzierżykraj wyszedł, nie czekając, Walter pozostał. Biskup w gniewie i na niego już patrzeć ani mówić z nim nie chciał. Oddalił się od progu zwolna Walter, czekając przywołania. Paweł dał mu znak, żeby szedł.

Lecz zaledwie drzwi się za nimi zamknęły, gdy biskup sam pozostał ogarnęła go taka złość, że włosy na głowie i szaty na sobie począł targać.

Swoboda, zemsta, więzienie, przesuwały mu się przed oczyma. Źrenice krwią nabiegłe wlepił w podłogę, stał osłupiały.

— Dla zemsty! dla zemsty na wszystko przystać muszę!—rzekł w duchu.—Poznają mnie! Nie znają mnie!

Zbliżył się ku drzwiom, za któremi stały straże.

— Posłów krakowskich przywołajcie!—rzekł stłumionym głosem.

W podwórzu widać było ich konie, oni sami poszli się z Leszkiem żegnać, który nudził się odwiedzinami, a gniewny był, że mu więźnia zostawiono.

Z posłuchania od księcia odwołano ich. Dzierżykraj nie dał poznać po sobie, iż rad był, że mu się zwiastowało zwycięstwo.—Wyszedł powoli. Walter biegł z oczyma wesołemi, nadzieja mu się uśmiechała.

Pawła zastali w pośrodku izby, rękami ujętego w boki z miną dumną i rozsierdzoną.

— Chcę być swobodnym—zawołał—nie taję tego! Mówcie raz jeszcze jakie mi zadośćuczynienie dać możecie. Mówcie!

— Mam powtórzyć słowa moje?—zapytał Dzierżykraj.

— Nie dasz mi więcej nic?

— Daję to, co niosę; ofiaruję, co mi powierzono—rzekł kanonik.—Z siebie, choćbym rad, nie mogę nic. Nie przystałoby mi też z pasterzem się targować.

— A pasterz za gardło zduszony musi zdać się na waszą łaskę lub niełaskę i przyjąć, co mu dacie! I dziękować!

Rzucił się gniewny.

— Znacie mnie—począł, zbliżając się do Dzierżykraja—przynajmniej tyle, iż wiedzieć powinniście: gdy na dnie serca mego kwas zostanie, wyrośnie z tej dzieży dla was niezdrowe ciasto! Zmuszony do zgody, przyjmę ją, ale...

— To rzecz sumienia waszego—przerwał kanonik.

Paweł złośliwie się uśmiechnął.

— Powtórzcież warunki—rzekł.

Poseł, patrząc na niego, począł je wyliczać powoli.

— Nóż mam na gardle—krzyknął biskup.—Słyszycie! Spisujcie tę zgodę niecną... przyjmuję!

Walter poskoczył i z serdecznością wielką po rękach go zaczął całować, chociaż biskup go odpychał.

Dzierżykraj dobył pergamin, przygotowany wcześnie i położył go przed biskupem.

Milcząc, godził się teraz na wszystko, chociaż widać było, że się burzył, że dla niego nie zgodą, ale wyjściem z więzienia miała być ta umowa.

— Natychmiast rozkażcie, aby konie i ludzie byli dla mnie gotowi—zawołał niecierpliwie;—nie chcę tu pozostać ani godziny z dobrej woli.

Głosem ogromnym krzyknął na straże, które się we drzwiach zjawiły, aby dano znać Leszkowi, iż zgoda została zawarta. Pożądana to była dlań nowina i książę sam zjawił się natychmiast.

Chociaż obchodzenie się jego z biskupem było bardzo łagodne i pełne względów, ks. Paweł niemniej go nienawidził. Nie przebaczył mu, iż zgodził się być stróżem jego niewoli.

Przyjął go z dumą i lekceważeniem.

— Będziemy nareszcie oba wolni od siebie—rzekł—bo wy mną miły panie, równieście byli utrapieni, jak ja wami. Rozkażcie mi nazad do Kunowa mego wozy i ludzi dać. Spocznę tam, nim do Krakowa powrócę.

Leszek rzekł coś o spoczynku w Sieradzu.

— Odpoczywałem tu już dosyć—rzekł szydersko Paweł.—Będzie mi on pamiętnym.

Rozstali się kwaśno. Biskup nie przestał naglić o konie do Kunowa, chciał jechać bodaj samotrzeć, byle mu je dano.

Skończywszy o warunki z Dzierżykrajem, niewiele nań zważał, Walter nie mógł go zabawić i ująć sobie. Zajęty był cały sobą, planami przyszłości, zemstą, swobodą, której użyć pilno mu było.

Posłowie krakowscy jeszcze się w podróż wybierali, gdy biskup do stołu na nowo zastawionego nie chcąc siąść, nie żegnając Leszka, gdy mu znać dano, iż są ludzie i konie, wypadł z baszty narożnej, przy której nie było już straży, nie jak duchowny, ale jak wojak znękany niewolą śpiesząc do osiodłanego wierzchowca.

Okiem znawcy opatrzył go, bo oszczędzać nie myślał, szło mu tylko, aby doniósł do Kunowa

choćby tam padł we wrotach. Dosiadł go z siłą młodzieńczą, ściągnął i ruszył z zamku wyciągniętym kłusem, nie spojrzawszy za siebie. Ci, których mu dano za towarzyszów, ledwie za nim mogli podążyć.

Patrzący nań, gdy wyjeżdżał za wrota, odgadnąć mogli, z jakiem uczuciem się stąd wyrywał. Odzyskana swoboda była groźbą, którą Leszek zrozumiał, ale wolał go mieć nierzyjacielem zdala, niż więźniem pod swym dachem. Oddychał wolniej.

Dzierżykraj z Walterem tegoż dnia pośpieszyli do Krakowa, gdzie na nich oczekiwano tęsknie, spodziewając się zdjęcia interdyktu przed świętami. Z drogi ks. Walter wysłany był z tem do Gniezna.

VIII.

Wrócił ks. Paweł do Krakowa, otwarły się znów kościoły, na zamku odprawiano nabożeństwo błagalne i dziękczynne. W kapliczce swej pobożna Kinga krzyżem leżała, radując się dzwonom i modlitwie. Wracało jej życie. Łzy płynęły z oczów.

Książę wypłacał wykup swój stratą najwierniejszych przyjaciół.

Sprawa Toporczyków oburzyła nietylko ich, nie samą mnogą i potężną rodzinę, ale wszystkich ziemian krakowskich.

Z rozkazu księcia pochwycono ich obu, bo byli skazani na ciężkie w zamku więzienie. Działo się to wobec powinowatych i przyjaciół. Żegota krwi gorącej, niepomiarkowanej mowy, krzyknął głośno:

— Dobrze nam tak, żeśmy ufali w książęcą miłość i wiarę! Dobrze nam tak! Lecz podlibyśmy musieli być, gdybyśmy po tym sromie i pokrzywdzeniu zostali tu dłużej. Ziemie nasze sprzedamy, otrząśniemy pył ze stóp naszych, pójdziemy stąd precz. Jest innych ziem dosyć. Stoi nam otworem Śląsko, pójdziemy na Mazury,

bodaj na Pomorze, byle tu nie żyć! Lepiej do Czech w gościnę, do Węgier na wygnanie, a nam tu nie być, nie żyć.

Przyniesiono o tem wiadomość Bolesławowi, który się strwożył i zabolał. Słał do uwiezionych Dzierżykraja z dobrem słowem, ale go słuchać nie chcieli.

— Łaski księcia nie żądamy więcej—rzekł Żegota— za służbę mu dziękujemy. Tu dla nas już gniazda nie ma, słać je trzeba gdzieindziej. Miły księciu biskup, niech z nim żyje!

Ks. Paweł zaś połowiczną zemstą nad Toporczykami zaspokojony nie był. Pojechał na zamek, nie dziękować, tylko się odgrażać i szydzić. Przez cały czas bytności swej warczał ciągle, miotał się, a Bolesław słuchać go musiał w pokornem milczeniu. Ani grzywny, ani nadanie nie nasyciły go, pluł wzgardliwie na to, co mu dano, i za oczyma miotał groźbami głośnemi.

Dworzec biskupi pełen się znalazł na powitanie go, śpieszyli druhowie z językiem, z żalami, z oskarżeniami. Kanonicy przyjaciele śpiewali pieśni tryumfy. U drzwi znalazł się i Wit z porąbaną twarzą.

Pierwszy wieczór, jakby na okazanie, iż życia zmieniać nie myśli, spędził biskup u Biety.

Spotkanie z nią inne było, niż się spodziewała; serdeczne niby, a zimne. Ks. Paweł ją poczytywał za główną przyczynę prześladowania, w myśli już miał pozbycie się jej.

Bieta spotkała go z namiętnością wielką i odepchnięta chłodem, cofnęła się obrażona, dumna.

Część wieczora spłynęła na przekąsach wzajemnych. Zemstą pałające serce Pawła nie miało miejsca na inne uczucie. Niewiasta ta stawała mu się ciężarem...

Lice też jej, piękne jeszcze, straciło już w tem życiu burzliwem pierwszą swą świeżość dziewiczą. Namiętność napiętnowała je szponami swemi. Oczy gorzały zapadłe, uśmiechała się na ustach resztka młodości, ale czoło zorało marszczkami. Schudła, wyschła, piękną była, lecz straszną i groźną, jak zrozpaczona jakaś Me-

dea, jak mitologiczne bóstwo, tchnące ogniem i płomieniami, zdolne śmierć przynieść w uścisku.

Gdy późno już biskup do siebie powracał, zastąpiła mu drogę Werchańcowa. Czatowała nań, stawiła się z ubolewaniem, z jękiem, stara a serdeczna sługa.

Z twarzy, jaką wyniósł od Biety, przeczuwała, iż się tam coś stało, lub stanie, i radowała się temu. Zagadnięty o nią Paweł rzekł, nie tając:

— Dosyć już mam tej mniszki! Prędzej, później pozbyć się jej potrzeba. Nie teraz, aby ludzie nie myśleli, że się boję ich języków. Nie boję się nikogo, ale mnie męczy ta złośnica. Co z nią uczynić?

— A! a!—poczęła Zonia, przybliżając i zalecając mu się.—Dawnom to ja mówiła, że się jej czas zbyć. Zła, zazdrosna, dumna! Mieliście już jej dosyć!

— Co z nią począć?—powtórzył biskup.

Zonia potrząsła głową.

— Nie moja to rzecz radzić! nie moja!—szeptała. Odesłaćby do klasztoru, ale czy ją tam przyjmą!

— Wydać ją za kogo—poddał Paweł.

— Ona! ale! nie pójdzie i za pana!—zawołała Werchańcowa—nie... nie...

Rozmowa przerywana skończyła się tem, iż Paweł powtórzył:

— Mieć jej tu nie chcę! Zła jest i zestarzała. Nie pociechę mam z niej, a zgryzotę i utrapienie. Dość mnie namęczyła!

Przez kilka dni potem biskup nie chodził do dworku i Biety puszczać do siebie nie kazał. Zajęty był też dniem i nocą, bo się doń znowu cisnęli ludzie.

Na wsze strony rozsyłał posłów jawnie i tajemnie, wielkie się jakieś czyniły przygotowania.

Narady kończyły się często nade dniem, poczynały na zaraniu. Łatwo przewidzieć było, że mściwy człek gotował odwet jakiś groźny.

Bieta chodziła rozgorączkowana, zrozpaczona, spłakana, gdy wieczorem jednego z tych dni wsunęła się Zonia.

— A co, gołąbko moja!—szepnęła cicho.—Powró-

cił pan nasz, ale co się z nim dzieje? Jaki zmieniony! Nie poznać człowieka! Innym się stał. Mówić już z nim nie można. Gdy się rozsierdzi jak teraz, niewieście mu żadnej ani na oczy!

Próżno, zagadując różnie, Werchańcowa próbowała wyciągnąć ją na odpowiedź, patrzała na nią, nie rozumiejąc, wdumana w siebie.

— Czym to ja nie przepowiedziała?—ciągnęła wdowa.—On już do was serce stracił. Zbierało się na to dawno. Broń Boże, by was jeszcze w złą godzinę, w klasztorze zamurować nie kazał. Biskup!—zakonnice słuchać go muszą. Tyleś świata widziała! Serca nie ma ten człowiek!

Rozpłakała się Bieta, odpychając złowrogą prorokinię, aż nakoniec złamana, zawołała do niej o radę.

— Na co masz czekać złego końca!—odparła Zonia.—W świat idź, uciekaj póki czas! Znajdzie się niejeden, co cię weźmie. Potem mścić się będziesz mogła i nie dać mu spokoju!—Niech pokutuje!

Z twarzy Werchańcowej tryskało takie pragnienie zemsty, taka złość niekłamana, iż Bieta się nią przejęła.

— Nie mam nikogo! Gdzież się podzieję?—wołała.

Na to tylko zdawała się czekać Zonia; zbliżyła się, okazując czułość i troskliwość wielką; cicho rozpoczęto narady.

Werchańcowa miała pono plan oddawna osnuty. Bieta była sierotą, ona znalazła jej przyrodniego brata, prawdziwego czy kłamanego, o tem ona tylko wiedziała, ale w łaskach na zamku, jednego z półkowódców u Bolesława. O tym mniemanym bracie wspominała już jej nieraz, jego też przygotowując, aby siostrę, jeśliby opieki potrzebowała wziął do siebie. Tłumaczyła mu i wmawiała na różny sposób, że ratować nieszczęśliwą był obowiązany.

Człek ten, wybrany przez Zonię, zwał się Krzyżan, ni młody był, ni stary, w zbroi cały dzień siedzieć nawykły i ciurów pilnować, z niewiastami mało obeznany,

tyle tylko, że mu się one w weselszych życia chwilach przed oczyma przesuwały.

Chwaliła mu Zonia bardzo tę siostrę przyrodnią, a starała się w nim litość obudzić, nim mu ją ukazała.

Krzyżan, siwiejący już, ale krzepki jeszcze, choć przyjmował ją za siostrę, bo mu to wmówiła wdowa, wolałby był mieć ją zupełnie obcą, lub dalszą powinowatą. Nie od tego był, aby ją na zamek wziąć. Zdala widziana, podobała mu się bardzo.

Bieta zrazu go znać nie chciała. Brat czy nie, wydał się jej gburem i zbyt prostym człekiem. Pierwsze zawiązki przyjaźni się nie powiodły. Krzyżan nadto poufale się do niej zbliżał, ona zbyt go chciała trzymać zdala.

— Jednakże był to jedyny człek na świecie, co się do niej przyznawał, który był z nią jakimś węzłem połączony i wiązał Bietę ze światem!

Werchańcowa na stronie starała się chłód Biety wytłumaczyć, ręcząc, że ona kochać go będzie, jak brata —i—dodawała z uśmiechem chytrym—może więcej, niż brata. Krzyżan zapalił się i rozmiłował. Stosunek ten, dla Biety wstrętliwy, znosiła z przymusu, żołnierz się przywiązywał coraz goręcej.

Biskupowi też wyrwać ją żołnierz Bolesławowski rad był bardzo, bo na Wawelu, co żyło, nienawidziło go.

Teraz, gdy pilno przytułku szukać było potrzeba, Werchańcowa swatała Krzyżana, opierała się dziewczyna.

— Lepszego nie znajdziesz—mawiała stara—on jeden ratować cię może. Na zamku będziesz bezpieczna. Biskup tam nie sięgnie.

Dzień jeden i drugi upłynął. Paweł się już we dworku nie ukazał. Bieta wiedziała, co to znaczyło.

Tymczasem Zonia przynosiła ze dworu wieści, że tam coś knuto przeciwko Biecie, że biskup do klasztorów zakonnic posyłał na zwiady i umawiał się z panną starszą na Skale.

Niewola, cele zamurowane... przerażała nieszczęśliwą, więc ona już opiekę starego Krzyżana nad nią.

Nie sprzeciwiała się. Natychmiast dano mu znać

do zamku. Płacząc zaczęła mu się skarżyć na swój los Bieta. Żołnierz niebardzo wymowny zżymał się, pięścią tłukł i gotów był na wszystko. Miał parę izb swoich na Wawelu przy dworze, gdzie Bieta schronić się mogła bezpiecznie. Werchańcowa nagliła o pośpiech. Straszyła, groziła porwaniem, przynosiła różne plotki, nie było czasu do stracenia.

Gdy wreszcie przyszło się rozstać z tym dworkiem, z tem życiem namiętności i męczarni, w którem Bieta nawykła była trwać, jak w płomieniach, gdy trzeba było rzucić wszystko, uciekać na niepewne losy, padła na ziemię, jęcząc i łkając.

Aby ją zmusić do uchodzenia z Krzyżanem, Zonia celę zamurowaną przypomniała.

Krzyżan chciwie ją zabierał na zamek, radując się szczęściu swojemu, poprowadził do ubogiego mieszkania, które się jej strasznem i nędznem wydało. Tu rzuciwszy się na łoże, bezprzytomna, dwa dni spędziła w gorączce i jękach.

Wieczorem Zonia biegła przestraszona do biskupa.

— Niema mniszki!—krzyknęła od progu, załamując ręce—niema! Uciekła! Nastraszył ją ktoś, czy ostrzegł, czy sama poczuła, że już nie ma co robić. Ostatnie dwa wieczory chodziła, jakby ją zimnica trzęsła.

— Paweł prawie radośnie wieść tę przyjął.

— Zbiegła!—powtórzył.—No, chwała Bogu!

Werchańcowa nie zdawała się cieszyć z tego.

— Nie znacie wy jej jeszcze! Poszła ona stąd, ale wam spokoju nie da!

Biskup uśmiechnął się zdziwiony nieco tą groźbą.

— Cóż ona mi zrobić może?—spytał.

— Albo ja wiem—zamruczała wdowa—kto zgadnie taką szalenicę! Ona swego nie daruje!

Paweł nie zważał wcale na przepowiednie, rad był, że się zbył ciężaru.

Natychmiast kazał dworek opróżnić i klechów w nim osadził, tak, by w razie namysłu i powrotu, nie miała się już gdzie podziać.

Tydzień upłynął, a o Biecie wcale słychać nie było. Zonia nie wiedziała o niej nic. Upłynął drugi.

Biskup na uroczyste święto pojechał na Wawel zasiąść w kościele na tronie swym w czasie nabożeństwa. Dobrej był myśli i zwycięskiego oblicza. Nieprzyjaciele wejrzenia oczu jego wytrzymać nie mogli. Tem też śmielej i zuchwalej poglądał, wyzywając ich. Przyszłość wróżyła mu się zwycięską, krwawą, taką, jaką ją mieć chciał.

W czasie nabożeństwa, gdy rzucał oczyma po kościele, gęsto nabitym ludźmi, wzrok jego padł na tłum, stojący u kraty presbiteryum.—I struchlał, krew mu oblała twarz, która wnet zbladła, jak chusta.

Naprzeciw niego stała w czerni cała, w sukni zakonnego kroju, w zasłonie podobnej do tych, które nosiły mniszki, ale bez krzyża u czoła, owa pochwycona przez niego Bieta. Stała trupem czy widmem, blada, piękna, groźna, z oczyma wlepionemi w niego, oczyma tego bajecznego bazyliszka, który wzrokiem zabija.

Biskup chciał oczy odwrócić od niej i nie mógł grzesznica przykuwała do siebie spojrzeniem mściwem, bez litości, w którem było całe piekło.

Śmiały ów, niczem nie dający się złamać biskup, który się rzucał na książąt i panów, co nie szanował nic, dla którego nie było świętości, poczuł w tym wzroku jakby całą piekła potęgę... moc szatana, siłę większą, niż on miał, panowanie grzechu, w którym żył.

Ręką drżącą powiódł po twarzy, opędzając tę marę natrętną, chcąc gwałtem wzrok zwrócić ku ołtarzowi. Źrenic poruszyć nie mógł, zdrętwiały. Niewiasta, jak kamienna, stała, patrząc w niego, a oczy jej mówiły:

— Umiłowałeś mnie i grzech... Grzech nie wypuści cię ze szpon swoich! Stoję i pójdę wszędzie za tobą: Tyś mój! Tyś pastwa moja! Piekło czeka nas oboje, bo ono nam ślub dawało!.

W strasznej tej chwili halucynacyi jakiejś mniszka zmieniła mu się w poczwarę, wilka, stojącego na dwóch łapach, z krwawą paszczą otwartą, ze ślepiami ogniem połyskującemi. Potwora śmiała się, urągając

z niego, pazury ostre wyciągnąwszy. Widmo znikało, niewiasta wracała znowu.

Piękność jej mieniła się, rozjaśniała, rozwiewała i nagle przeistaczała w oblicze potworne a straszące. Zdało mu się, że słyszał śpiew, wycie, jęk i śmiechy.

Pot zimny kroplami spływał po czole biskupa, i gdy dyakonowie przynieśli mszał do pocałowania, ustami go dotknąć nie śmiał.

Zamiast mszału, zdało mu się, że ma przed sobą rozwartą krwawą paszczękę wilczą i różowe usta mniszki, w których zgrzytały białe zęby.

Męczarnia ta trwała wiek.

Gdy powinien był przejść do ołtarza, silnego tego męża musieli dźwigać prawie na rękach dyakonowie, tak słaniał się im osłabły i o swej sile iść nie mógł. Odwrócił się do ludu z błogosławieństwem... naprzeciw stał ciągle wilk ten i niewiasta. Ręka drżąca zamiast krzyża, zrobiła ruch groźny. Przytomność go opuszczała.

Zdziwiono się temu osłabieniu biskupa, który wróciwszy do zakrystyi dał się rozebrać, nie mówiąc nic, tylko oczyma przerażonemi rzucał dokoła, wstrząsając się konwulsyjnie, a na troskliwe pytania księży nie mogąc nawet odpowiedzieć.

Mówiono po cichu i wieść się rozeszła, że był chory. Z kościoła wprost wieźć się kazał do dworu swego.

Podwórzec kościelny jeszcze był pełen ludzi, którzy wychodząc z nabożeństwa stali dokoła gwarząc i rozglądając się.

Gdy biskupa pod ręce trzymając, ciągle się jeszcze z trwogą oglądającego wiedziono, ci, co go znali, a nigdy chorym ani nawet zmęczonym nie widywali, zdziwili się mocno.

Tłumaczono to sobie różnie.

Duchowni niektórzy, ludzie pobożni, powiadali, że Bóg go od ołtarza znakiem jakimś napomniał.

Wóz biskupi, który krucyfer poprzedzał, ruszył od wrót kościelnych, a ks. Paweł niespokojnie rozpatrywał się w tłumie.

Tuż przy drodze, obok w zbroję odzianego podżyłe-

go mężczyzny, z siwiejącym wąsem, stała niewiasta w czerni i ubraniu do zakonnego podobnem; stała, jakby czekała, aby wóz się zbliżył.

Zdala już zobaczył ją i poznał biskup, trwoga ogarnęła go znowu, chciał krzyknąć na czeladź, aby zbiegowisko rozpędzono, ale już było za późno. Znalazł się tuż oko w oko z Bietą, która wlepiła w niego wejrzenie palące, gniewne. Podniosła białą, ściśniętą rękę do góry, i wobec wszystkich pogroziła nią biskupowi. Białe jej zęby ścisnęły się, jakby kąsać chciała. Stojący przy niej mąż zbrojny gwałtownie pochwycił ją pod ramię i całej siły użyć musiał, aby roznamiętnioną nieco na bok odciągnąć.

Paweł nie mógł się wstrzymać od obejrzenia za siebie i zobaczył ją jeszcze miotającą się, jakby gonić za nim chciała.

Niewielu może ludzi to spostrzegło, a nikt sobie dobrze wytłumaczyć nie umiał. Niewiastę brano za obłąkaną, ruch jej groźny za prośbę rozpaczliwą; lecz biskup powrócił, spotkaniem tem w kościele tak wstrząśnięty, że usiadłszy już w komorze swej, długo jeszcze drżał, słowa nie mogąc przemówić.

Zuchwalstwo dziewczyny jątrzyło go i upokarzało. Mało dbał o ludzkie języki, nie taił się z tem, co czynił, często naumyślnie nieprzyjaciół wyzywał, ale być tak publicznie wystawionym na znęcanie się mściwej niewiasty, wiecznie się lękać spotkania z nią jego nawet siły przechodziło.

Zabobonny jakiś strach, a raczej pierwsza myśl pomsty Bożej, umysłem jego owładła. Widzenie tej niewiasty, mieniącej się w wilka, uśmiech jej zły, szyderski, mściwy, dreszczem go przejmowały.

Posłano po Zonię, która tylnemi drzwiami nadbiegła, nie przewidując, po co ją zawołać kazał o niezwykłej godzinie.

Znalazła go za stołem, ocierającego pot z czoła, z twarzą siną, z oczyma krwią nabiegłemi.

Piękne niegdyś rysy jego od lat kilku znacznie się były zmieniły. Linie ich charakterystyczne rozlały się

w jakiemś obrzęknięciu chorobliwem, policzki były jak napuchłe i obwisłe, pod oczyma ciężyły rozdęte guzy; wzrok miał dziki, białka zawsze prawie krwią zaszłe.

Werchańcowa czekać musiała, aż się do niej zebrał odezwać.

— Szatan! przeklęta!—począł głosem przerywanym.— Biesowa córka, ta Bieta! Patrzajże. Ona tu jest! Na zamku była dziś w kościele. Stanęła umyślnie przede mną... jak wmurowana, przez mszę całą. Zabiegła mi drogę... groziła pięściami. Zabić każę tę...

Zonia przypadła aż do ziemi, udając przerażenie. Wistocie nie posiadała się z radości, że się jej zemsta tak powiodła. Wołała niezrozumiale:

— A! a! Jezu najsłodszy.

Ledwie mogła skryć swe zwycięstwo.

— Ona! na zamku? Skądże się wzięła?

— Porwać ją każę! Szukać, wywieźć—wołał biskup.— Wit niech idzie, śledzi i z kamieniem u szyi rzuci czarownicę przeklętą do Wisły. Zabić ją! utopić!

— A gdzież jej szukać?—przerwała Werchańcowa chytrze.—Miasto duże, chować się jest gdzie.

— Ty! Wit... musicie ją znaleźć! Posłać ludzi—krzyczał Paweł.—Jedna taka nędznica, żeby mi się urągała i groziła!

Mówił to i miotał się. Posłyszawszy krzyk, Wit, który miał zawsze wstęp wolny, wpadł do komory. Biskup zwrócił się ku niemu.

Wit, chociaż milczał, wiedział już, kędy Bieta była.

— Ten bies! ten bies!—burzył się Paweł—zastąpiła mi drogę... była w kościele i na cmentarzu.

Półkoza się wykrzywił, co twarzy jego obrzydłej nadawało wyraz potworniejszy jeszcze, niż zwykle.

— Wszeteczniça!—zawołał.—Ufa w to, że jej dał opiekę półbrat Krzyżan, co u księcia jest na zamku. Ona tam u niego, ja już wiem!

Biskup począł ostygać; skinął na Wita, aby się zbliżył.

— Do tego Krzyżana mi idź—zawołał—powiedz mu, niech ją trzyma, gdy zechce, ale jak psa na uwięzi. Poka-

że mi się na oczy—niech wie, że moja ręka i na zamek sięgnie.—Zabić każę... porwać z pod nosa księciu.

Wit, słysząc to, mimowolnie głową potrząsnął, jakby niedowierzał.

— Uczynię to!—potwierdził Paweł, marszcząc się.

— Byłoby to trudno!—odparł Wit.—Na zamku ich więcej, niż nas wszystkich do ostatniego wymiótłszy, a czujni są.

Nie zważając na to, biskup dodał:

— Krzyżanowi zagroź! Słyszysz!—siłą, czy inaczej ja swego dokażę.

Półkoza głowę tarł.

— Sprawę taką—odezwał się—lepiejby babie, niż mnie powierzyć. Krzyżan sierdzisty, ja też, od słowa do słowa, bez guza-by się nie obeszło.

Werchańcowa wtrąciła prędko:

— Tylko nie mnie tam ślijcie! Ja nie pójdę!

— To poślij dyabła!—wykrzyknął biskup namiętnie.—Róbcie, co chcecie, abym od tego szatana wolnym był.

Czas nadchodził, w którym biskup musiał się gościom ukazać. Ułożywszy twarz, aby gniewu na niej znać nie było, wyszedł posępny.

Wit i Werchańcowa zostali w komorze, spoglądając na siebie.

— No—bąknął Półkoza —myślcie co robić.

— Sprawa nie moja—odparła Zonia—ty głową nadrabiaj.—Ja znać nie chcę.

— I drzwiami uderzywszy, wybiegła. Od dawna tak szczęśliwą nie była.

— Ha!—wołała w duchu—przyszła nareszcie moja godzina, to, na com ja dawno czekała! Niech się teraz zbój wścieka! Ja w tem, że ani Wit, ani nikt jej nie tknie. Będzie mu stała na oczach, będzie zachodziła drogę! Nie znajdzie od niej pokoju! Dobrze ci tak!

Biskup, znalazłszy się w gronie swych przyjaciół, uczuł się swobodniejszym, odzyskał powoli swą śmiałość i humor rubaszny.

Szedł do stołu, zachęcając, aby wszyscy sobie ra-

dzi byli. Usta mu się nie zamykały, a że o tem, co go dotknęło mówić nie mógł, rozpoczął najulubieńsze swe przekąsy z książąt, ich dworu, obyczaju, z Leszka i żony jego.

Pomagali mu inni, co kto mógł, dodając na księcia Bolesława i tych, którzy mu najulubieńsi byli.

Najwięksi jednak nieprzyjaciele księcia niewiele mu zarzucić mogli; pan był pobożny, łagodny, sprawiedliwy, choć nie zawsze łatwo widzący, co słusznem było. Narzekano, że go przekupić było lekko, ale to mniemane przekupstwo nie żaden datek znaczyło, tylko pokorę i słowo dobre, litość obudzające.

Nie śmieli też zadawać, ażeby mu na rycerskim duchu zbywało, bo choć kilkakroć musiał się chronić przed Tatarami, do wystąpienia przeciw nim sił nie mając, w wyprawie na Jaćwę, w której całe to plemię wytępił, dał dowód wielkiego męstwa i wytrwałości.

U stołu biskupiego, ci, co sami podżegali do tego, aby Toporczyków ukarano surowo, teraz na Bolesława krzyczeli, że ich oddał na pastwę i więził, chociaż sam im rozkazał gwałt popełnić.

Biskup radował się, iż ziemian krakowskich postępek ten miał odstręczyć i zniechęcić od Pudyka... Z przekąsem uśmiechano się, mówiąc o klasztornem życiu na dworze.

Paweł, wśród hałaśliwych rozmów i szyderstw, gwaru i wrzawy biesiadnej, wprędce o strachu swoim zapomniał.

Nim wieczór zapadł, Zonia, obwinąwszy się w płachtę, którą nad głowę zapuściła, tak, aby twarzy jej widać nie było, wymknęła się z dworu ostrożnie i na zamek pobiegła. Nie trudno jej tu było dopytać o izby, w których Krzyżan z mniemaną swą siostrą mieszkał.

Pułkowódca miał dwie izby i komorę na górce. Z tych jedną musiał oddać Biecie, która pierwszego wieczora drzwi, łączące z sobą izby, zaparła. Krzyżan, spodziewający się może poufalszego pożycia, ścierpieć to musiał, z czasem obiecując sobie, iż się to odmieni.

Bieta przyjmowała opiekę jego, ale zbliżać mu się

do siebie nie dawała. Wojak z ciurami bardzo surowy, z niewiastą powolnym był, wąsy kręcił, głowę spuszczał i precz szedł, gdy go wypędziła. Krzyku nie znosił, czuł już, że biedę sobie kupił, lecz za tą szaloną szalał.

Zobaczywszy przed sobą Werchańcową, niosącą wspomnienie biskupiego dworu—Bieta zerwała się z łoża. Oczy jej pałały złością szatańską.

— Coście to nawarzyli?—poczęła wdowa, nachylając się do niej.—Biskup z kościoła powrócił do dworu, że tylko bić, mordować i ścinać.

Radość błysła na twarzy Biety.

— To dopiero początek—rzekła, dysząc i piersi cisnąc.—O! To jeszcze nic! Znajdzie mnie w kościele, ile razy przyjdzie, pomiędzy Bogiem a sobą... na drodze między ludźmi a sobą... a w drugim świecie znajdziemy się także, na dnie piekła. Zgubił mnie, ja zgubić go muszę! Stoi w piśmie: oko za oko! ząb za ząb! A ja mówię: piekło za piekło! Szatani wezmą mnie, a ja jego!

Zonia pobożna żegnała się ciągle, słysząc imię złego ducha, aby go odpędzić od siebie. Pobożność jej z pragnieniem zemsty tak się dobrze godziła, iż paliła świece przed świętymi, aby jej pomagali.

— Cichoż! cicho!—rzekła.—Nie wywołujcie tak szatanów! Dość! Pewnie, że prawo macie nie przebaczyć mu! On was zrobił nieszczęśliwą! Tak! On i mnie wdową zrobił! Spytajcie ludzi ilu pobił! ile pozwodził dziewcząt, co poszły do wody i na rynki!... Oj! ma on na duszy! ma!

Nie dokończyła, palce sobie kładąc na ustach. Bieta pytała jej, jakim biskup powrócił, potwierdziła Werchańcowa, iż z gniewu szalał prawie.

— Tylkoż—dodała Zonia z powagą—pilnuj się! Abyś się jego ludziom wziąć nie dała, bo ich na ciebie naśle... Niechaj Krzyżan ma dobre oko. Zaklął się, że każe pochwycić i do wody rzucić... Co mu to trudnego?

Jakby na zawołanie, właśnie Krzyżan głosy posłyszawszy, drzwi otworzył i wszedł. Zwróciła się wdowa do niego:

— Patrzaj, abyś ty jej dobrze strzegł... Biskup się klnie, że ją każe porwać.

Stary żołnierz uśmiechnął się.

— Ona tu bezpieczna—odparł—nie tknie jej nikt, tylko wy jej powiedzcie, aby przecie mnie, jak psa, za drzwiami nie trzymała, bo mi i nosa pokazać broni. Wziąłem ci ją na moją duszę i głowę.

Westchnął, Bieta spojrzała nań ostro.

— Mało ci, że mnie za siostrę masz?—zawołała dumnie.

Krzyżan wąsa pokręcał, mrucząc coś, ale nieśmiało i niewyraźnie.

Wdała się Werchańcowa, czyniąc zgodę, do której żołnierz okazał się powolniejszym, niż Bieta.

Obmyślano środki ostrożności, ale o tych mniszka słuchać nie chciała. Siadła na nizkiem swojem łożu, sparła się na rękach, włosami czarnemi, jak płaszcz na ramiona spadającemi, okryta i zaniemiała. Oczy wlepiła w podłogę, myśli jej poszły gdzieś daleko, może aż do tej furty klasztornej, której próg dzieckiem będąc przestąpiła, za którą spokój był i cisza, jakich już dziś odzyskać nie mogła.

IX.

Lat parę upłynęło, niewiele na pozór zmieniwszy ludzi i sprawy, które ich zaprzątały.

Nic gwałtownego nie zmieniło powszedniego trybu życia. Ciągnęło się, wlokło wszystko powierzchownie jednakowo, lecz w głębi przysposabiały się burze. Tak czasem bywa niebo pogodne, powietrze ciche, słońce niezaćmione, ledwie opony jakieś w dali na niebiosach mglą się, a zwierz i człek czuje, że ma nadciągnąć nawałnica, że wichry ukryte hasła czekają.

Tak było w ówczesnem państwie Bolesława Wstydliwego. Siedział on mocno na stolicy swej. Leszek pa-

nował w Sieradzkiem, oba rządzili i sądzili, zabawiając się modlitwą i łowami.

Bolesław z każdym rokiem pobożniejszym się stawał, piękna Kinga, owa lilia biała, coraz większą nad nim uzyskiwała władzę. Uspakajała duszę tę, co się z początku z więzów świętych wyrwać chciała.

Bolesław był już przejednany ze swym losem, a żonę czcił i miłował, jak błogosławioną, szanował ją, jako wzór, któremu dorównać pragnął. Jeżeli czasem krew w nim zakipiała, włosienica i dyscyplina, post i modlitwa spokój przywracały. Jedyną rozrywką były mu psy i łowy, jedynym niemal powiernikiem i przyjacielem Leszek, który też bez żony był i nie tęsknił za nią.

Gryfina siedziała w klasztorze, chociaż ani sukni zakonnej oblekać, ani zasłony brać nie chciała. Zawsze to była buntująca się przeciwko losowi, co ją spotkał, niewiasta, czekająca na to, aby jej traf szczęśliwy stracone nagrodził lata.

Pobożna Kinga próbowała napróżno zyskać ją sobie za towarzyszkę, a Bogu za służebnicę. Leszkowa żona o ślubach żadnych słuchać nie chciała, zakonnego życia nie lubiła, narzekała na osamotnienie. Księżna Bolesławowa płakała nad nią.

Dziecinnie naiwna, dopominała się Gryfina małżeńskiego życia, wychowywania dzieci, które mieć pragnęła.

— Gdyby wszystkie niewiasty—mówiła Kindze— chciały jak ty, żyć z mężami, wprędceby świata i ludzi nie stało. Nie byłoby komu Pana Boga chwalić! Szanuję ja świętość waszą, ale mnie grzeszną nie stworzono do tego, ja się nie zakopię tutaj.

Zgłaszała się napowrót do ojca, książę kazał jej pozostać, gdzie była. Do Bolesława tylko posłał, aby małżeństwo pojednał.

Książę razy kilka powoływał Leszka, dojeżdżał do niego, namawiał, aby żonę brał napowrót—Czarny ociągał się i opierał.

— Mnie też, jak wam, bez żony lepiej żyć—mówił.

— A jabym w tem mojem sieroctwie nie dotrwał—

odpowiadał Bolesław,—gdyby nie ta święta Kinga moja. Ona tego żądała! Miała od Boga natchnienie, spełnia wolę Jego. Gryfina inaczej myśli, tyś jej mężem. Cóż się stanie z Krakowem, gdy wy potomstwa mieć nie będziecie.

Leszek pomrukiwał tylko, że rodzina Piastowiczów dość była liczna, a na księstwo łatwo o dziedzica zawsze. Bolesławowi pokonać trudno go przychodziło, bo się na jego przykład zsyłał.

— Nie chcę być innym od was! Pozostanę sam! — Przedłużał się więc ten rozwód małżonków.

Choć z biskupem Pawłem od Sieradzkiej niewoli książęta byli pozornie przejednani, jednak pilne musieli nań mieć oko, bo coraz jawniejszem się stawało, że spiski przeciw nim knował. Przejeżdżał się nieustannie na Śląsko, na Mazowsze, lub znikał na czas jakiś tak, że nikt nie umiał powiedzieć, gdzie przebywał.

Lecz pochwycić go na czemś jawnem było trudno, a ostrzegany Bolesław i Leszek najgorszego się spodziewać mogli.

Pudykowi z powodu Toporczyków przybyło nieprzyjaciół. Ci, odsiedziawszy karę, wyprzedali się z ziem swoich i precz wynieśli na Mazury. Nie mogli przebaczyć księciu, iż na nich złożył całą winę.

Paweł coraz mniej bywał na zamku, wreszcie całkiem się tam przestał pokazywać. W Krakowie nie siadywał długo, otaczał się zbrojnymi, sam zawsze jeżdżąc wpół uzbrojony i przy mieczu. Około niego skupiali się wszyscy, którzy byli nieprzyjaźni Bolesławowi.

Książęta oba niewiele mogli uczynić, aby się od niebezpieczeństwa, które przewidzieć było trudno, ochronić, a biskup krzątał się, zabiegał, czynnym był, i jak siecią osnuwał dokoła tych, na których pomścić się pragnął.

Siła jego rosła.

Gwałtownik zuchwały miał tę potęgę woli nieprzełamaną, której słabsi ludzie łatwo ulegają. Jednał ich sobie energią, przebiegłością, szczodrobliwością, zaufaniem w siebie i w szczęście, jakie mu dotąd służyło.

Życie wiódł raczej ziemianina możnego, niż pasterza, kościół zdawał na swych ulubieńców, sam polował, zabawiał się i dwory pańskie objeżdżał. Obyczajów nie zmienił wcale, choć już wiek, ociężałość, tusza spokojniejszy rodzaj życia nakazywały.

Nie był to jednak już ów Paweł pierwszych lat biskupstwa, niedający się niczem nastraszyć i zachmurzyć. Przychodziły nań chwile pogrążenia w sobie i wewnętrznej trwogi. W nocy musiało się w izbie palić światło. Miał sen niespokojny i marzenia, z których zrywał się przerażony. Z łowów powracał czasem, nagle pędząc do domu, drzwi kazał zapierać, jakby go jakie widma ścigały.

Ludzie jego opowiadali, że porwana niegdyś z klasztoru zakonnica ciągle teraz jak cień, za nim chodziła, i że musiało to być widmo czy upiór, bo go pochwycić nikt nie mógł.

W kościele w czasie nabożeństwa widywano go zrywającego się nagle, oglądającego dokoła, drżącego jakby ze strachu. Księża szeptali, iż potwory jakieś ukazywały mu się w postaci niewiast i wilkołaków, że raz wilk doń przemówił w kościele.

Biskup przed ks. Szczepanem przyznał się raz, iż miał takie widzenie w czasie nabożeństwa i słyszał głos, wzywający go do pokuty. Bietę, która często zabiegała mu drogę, Paweł kazał ścigać, naznaczył nagrodę Witowi, jeśliby ją w jakikolwiek sposób sprzątnął ze świata.

Zdało się to łatwem, gdyż biskup nieraz spotykał ją samą chodzącą po mieście, w sukni pół zakonnej, w zasłonie, z włosami rozpuszczonemi, odartą. Ile razy zobaczyła go, biegła doń, grożąc pięściami i miotając obelżywemi wyrazami.

Znęceni nagrodą, zuchwalsi puszczali się za nią, lecz wymykała się im z rąk jakimś cudownym sposobem, znikała, zdawała zapadać wśród ziemi. Ludzie utrzymywali, że jej jakaś moc nadziemska broniła.

Wkońcu i najśmielszych trwoga ogarniała. Wit, który się zaklął, że ją musi pochwycić, choćby z pod ziemi dobywać przyszło, gdy się na tę wyprawę udał, kilka

dni go nie było, a potem dano znać, iż nad Wisłą znaleziono ciało jego, i choć na nim znaków morderstwa nie było, domyślano się, iż swoją śmiercią nie umarł.

Biskup obawiał się chodzić do kościoła św. Wacława, lecz choć nigdy naprzód nie oznajmywał, gdzie miał być, spotykał ją po innych kościołach. Raz w klasztorze w Sączu pewien był, iż ją zobaczył za kratą, posłał śledzić, czy się tam wistocie znajdowała, nakazując, aby nie wypuszczano jej więcej na świat; lecz zakonnice poprzysięgały, że nigdy jej tam nie było.

Na łowach w sąsiednich lasach, gdy się odbił od innych myśliwych, skarżył się, że ją spotykał. Raz, gdy go zaskoczyła, koniowi się coś stało, iż z miejsca ruszyć nie mógł, choć go ostrogą do krwi kaleczył, i musiał słuchać śmiechu jej i urągania, od którego, gdy ludzie nadbiegli, znaleźli go z gniewu i trwogi napoły omdlałym.

Dziwnym sposobem radziła sobie ta oszalała, bo gdy w początkach opieki Krzyżana potrzebowała, na zamku siedziała i wychodzić z niego nie śmiała, później takiej nabrała odwagi, iż swobodnie snuła się po mieście, okolicy, a czasem jej w domu po dni kilka nie bywało.

Wracała potem bosa, z nogami okrwawionemi, z włosem rozpuszczonym, w sukni porwanej, wychudła, blada, zmęczona, głodna. Padała na posłanie i snem kamiennym, do śmierci podobnym, zasypiała czasem na dwie doby. Krzyżan, litością zdjęty, siadywał przy niej i rozpaczliwie zawodził.

Wstawała potem, niewiele pomnąc, co się z nią działo, a wypocząwszy, nowe rozpoczynała wędrówki.

Nikt jej nie mówił, gdzie biskupa spotkać mogła, Zonię widywała rzadko, przeczuciem jakiemś, które ją nigdy nie zawodziło, znajdowała go zawsze na swej drodze.

Niekiedy, stanąwszy zdala z rękami na piersiach założonemi, dręczyła go wzrokiem wlepionym w niego i głośnym śmiechem. A miała ów śmiech szatański ze

zgrzytem zębów, ze łzami w oczach, który krew ścina w żyłach.

Po śmierci Wita czeladź za największe skarby nie chciała się ważyć na ściganie jej. Uznawano w niej narzędzie kaźni Bożej, za pogwałcenie klasztoru i porwanie niewiasty, która poprzysięgła śluby zakonne. Ludzie widzieli około niej zastęp duchów, który ją otaczał.

Gdy się czasem ukazywała w rynku, albo stanęła w ulicy, nawykli wszyscy byli przepowiadać, że biskup musi się znajdować gdzieś niedaleko. Czekała niekiedy sparta o płot, z oczyma strasznie wywróconemi, a ludzie obchodzili ją milcząc i nie śmiejąc słowem podrażnić. Tak potem pewną już była, że ją poszanują i zlitują się jej, iż głodna wchodziła do domostw. Siadała spoczywać na ławie, napiła się u drzwi z wiadra, a gdy zamruczała, o chleb prosząc, nikt go jej nie odmówił.

Żal było spojrzeć na tę młodą jeszcze i piękną niewiastę, tak straszliwie sponiewieraną, dobrowolnie pokutującą tak ciężko. We wzroku miała coś takiego, iż najśmielszego strwożyła, wejrzawszy nań. Dzieci za nią zdala tylko biegały.

W kościołach nigdy nie widywano jej modlącej się, stawała w kruchcie, lub w samej świątyni na uboczu, rzucając oczyma błędnemi, nie przyklękując, nie skłaniając głowy na dzwonek.

Ludzie mówili na nią—szalona,—chociaż nią nie była.

Nie lepiej[1] z nią było staremu Krzyżanowi, któremu brat czy nie, przywiązał się do biednej, zrazu może myśli mając inne, teraz przez miłosierdzie dźwigając brzemię ciężkie. U niego rządziła się jak chciała, przychodziła, gdy jej się podobało, wstawała, szła często w nocy, gdy się jej co przywidziało.

Po śmierci Wita, nie mogąc się obejść bez posług, do których mu zawsze było potrzeba człeka straconego imienia, wziął Paweł innego, ubogiego powinowatego ziemianina, co go od włosów czarnych Krukiem zwano.

Rodowych nazwisk naówczas prawie nie używano, lecz za to nie było człeka bez przezwiska. Wiele z nich zmieniło się później w miana rodowe.

Kruk, którego poufalsi na Kruczka spieszczali, drab był ogromny, a biskup wybrał go może dla tego wzrostu i domniemanej siły, która mu była potrzebna na łowach i w podróżach.

Lecz olbrzym ten, tak zastraszający na oko, wistocie był dosyć lękliwego serca i niepewien, co ma czynić. Siły, choć ją mógł mieć, nie wiedział, jak używać. Posłuszny, cichy łajać się dawał i bezcześcić, rozumu wielkiego nie okazując, ni zbytku służliwości. Ciężki we wszystkiem, na dwór się dostawszy i zrobiwszy znajomość z Werchańcową, która dla niego trochę się odmłodzić starała, poiła go i karmiła, poszedł pod jej panowanie i stał się pokornym sługą.

Raz z łowów powróciwszy do Zoni, tak był strwożony i przybity, iż długo słowa z niego dobyć nie mogła. Dopiero po kilku kubkach ciepłego wina, ośmieliwszy się i ochłonąwszy, rozpowiedział jej, czego był świadkiem.

Biskup Paweł dawnym zwyczajem na polowaniu, gdy się za zwierzem uganiał, zapominający się i zapalający, zapędził się był dnia tego w ostęp, ścigając kozła, którego raziwszy oszczepem, dostać się spodziewał. Kruk za nim w pewnem oddaleniu podążał.

Wtem ujrzał, że koń biskupi stanął, jak wryty, a przed nim miasto kozła, który gdzieś znikł, ukazała się niewiasta słusznego wzrostu, w sukni czarnej, sznurem podpasana, bosa, z długiemi włosy na ramionach. Kruk, który Biety nigdy nie widział, ale słyszał o niej, że moc straszną miała, zsunął się z konia i ciekawy, z za dębu począł słuchać i przypatrywać się.

— Widmo to, czy niewiasta,—mowił—naprzód krzyknęło:

— Stój!

Koń Pawła wrył się kopytami w ziemię, Kruk widział, jak na nim skóra drżała. Biskup siedział, jak wryty.

— Jam tu!—poczęła, śmiejąc się.—Widzisz! Na twej

drodze wszędzie... zawsze, abyś nie zapomniał, że duszę moją masz na sumieniu. Wziąłeś mnie... muszę chodzić za tobą. Przysięgałeś pierwszych dni, że mnie nie opuścisz do śmierci. Otóż ja cię do śmierci porzucić nie mogę. Będę za tobą gnać, będę cię ścigać.

— Szatanie—odezwał się biskup głosem zmienionym. —Mów! Czego ty chcesz ode mnie! Okup ci dam, jakiego żądasz. Zejdź mi z oczów!

— Nigdy!—rozśmiała się niewiasta.—Ty mój, ja twoja i w piekle nic nas nie rozdzieli.

A potem śmiech się rozległ taki, że Kruk, jak powiedział ze strachu uszy sobie zatknął.

— Nic nie chcę od ciebie — mówiła potem niewiasta,—tylko byś mnie napowrót wziął, bom żona twoja, wedle prawa Lucypera.

I śmiała się dziko.

— Biskup i zakonnica! para dobrana! Ja nie puszczę cię! Zsiądź z konia, choć do mnie. Spoczniemy.

Zaczęła ku koniowi się zbliżać. Biskup targnął go w tył, tak, że omal nie padł, dęba stanąwszy. Ostrożny Kruk w pomoc iść się nie ważył, oczy kobiety trwożyły go tak, iż się z miejsca ruszyć nie mógł.

Im większą biskup okazywał trwogę, tem widmo owo śmiało się mocniej, serdeczniej. Ręce wychudłe, białe wyciągnąwszy ku niemu, głowę podniósłszy, powtarzała:

— Chodź! siądziemy spocząć pod drzewem. Nikt nie widzi nas, oprócz szatanów, sług naszych. Niech się oni ucieszą! Dam ci całusa takiego, jak ten pierwszy, co mi usta spalił na wieki! Chodź, chodź!

Biskup z koniem cofał się coraz bardziej. Szał jakiś ogarnął go z tej trwogi, chwycił oszczepek, który miał pod ręką, zamierzył się, cisnął nim, świsnęło w powietrzu. Kruk sobie zakrył oczy, bo wiedział, że Paweł rękę miał wprawną, a nie chybiał nigdy prawie. Sądził, że trupa zobaczy.

Wtem rozległ się śmiech straszniejszy jeszcze. Oszczep tkwił, drgając, w pniu drzewa.

Kruk zaklinał się na wszystko najświętsze, iż ze

pnia trysnęła krew pręgą czerwoną i płynęła, a Bieta stała w miejscu nieulękła.

Ujrzawszy, to biskup, ciągle konia w tył cofając, zsunął się z niego i padł omdlały na ziemię tuż przy Kruku. Ten dopiero skoczył go ratować, a gdy się obejrzał potem, widma już nie było.

Zdala zobaczył ją idącą w las; trzymała się za głowę, słaniała jak pijana.

Kruk nierychło biskupa mógł otrzeźwić, odtarł go, a gdy ten oczy otworzył i pytać zaczął, nie przyznał mu się, iż był świadkiem wszystkiego. Wolał skłamać, iż nadbiegłszy, znalazł go leżącym na ziemi.

Słuchając opowiadania, Zonia cieszyła się, w ręce biła, czego Kruk zrozumieć nie mógł.

Wróciwszy z tych łowów, biskup odleżał dni kilka. Przyprowadzono mu Włocha zakonnika, Salernitanina, który leczyć umiał, potem drugiego z Kolonii, ucznia sławnego Albertusa.

Siedzieli oba nad nim i poili go, okładali dni kilka, a że człek był żelazny, powstał i z tej choroby dość rychło. Dni kilka potem z domu się nie ważył, a gdy wyjechać musiał, posłał przodem na zwiady ludzi, czy gdzie przeklętej baby nie widać. Zapewniano go, że nigdzie jej nie było.

Wyjechał biskup, lecz na drodze ku Wawelowi zobaczył ją stojącą u płotu.

Ujrzawszy go, pozdrowiła ręką od ust z uśmiechem. Powlokła się potem za nim.

Nie mógł zawrócić, bo już nań w kościele czekano, a tu ona znalazła się znowu. Stała mu na oczach ciągle, mieniąc się w potwory różne, tak, że osłabłym odwieziono Pawła do domu.

Czasem przez dni kilka nie ukazywała się wcale, Paweł śmielszym się stawał, sądząc, że przyszedł koniec tej męczarni. Wtem, gdy się najmniej spodziewał, zjawiła mu się na drodze, w lesie, u przewozu, w kościele, a stawała tak, iż widzenia jej nie mógł uniknąć. Wzrok jej miał siłę taką, że Paweł, spotkawszy go, oczu już od niej nie mógł oderwać.

Chociaż nie było jej czas jakiś, trwoga szła za nim ciągle, oglądał się, zdawało mu się, że ją spostrzega, choć jej nie było.

Widział ją we snach, zrywał się nocami, wołał na czeladź, a ludzie, wbiegłszy, znajdowali go w pośrodku izby trzęsącego się, ukazującego na czarne kąty izby, w których nic oprócz ciemności nie było.

Niepokój ten, który go zmuszał szukać jakiejś namiętnej rozrywki, aby natrętne wspomnienie zagłuszyć, pobudzał go do spisków i knowań. Nienawiść do Bolesława i Leszka zwiększała się tem, iż nic im uczynić nie mógł. Chciał zemsty.

Siedział na Śląsku u księcia Opolskiego, to we Wrocławiu, to w Płocku, przeciw swym książętom knowając. Dość długo trwało to bez wyraźnego skutku, ubezpieczał się więc książę, iż Bolesław, przyjaciele biskupi porwać się nań nie będą śmieli.

Próby przejednania się ze strony książąt zupełnie się nie powiodły. Na Wawel, gdy do zamku go z kościoła ściągnięto, szedł ze słowy zjadliwemi i szyderstwy. Spotykając Leszka, przypominał więzienie swe i zamek w Sieradzu. Bolesława nigdy nie ominęło opowiadanie, jak go sznurami skrępowanego w wozie tłukąc, wieźli druhowie księcia.

— To się pamięta—mówił,— a póki człek żyw, nie zabędzie!

Kinga nie mogła go rozbroić anielską łagodnością i pokorą, Bolesław milczeniem cierpliwem.

I ciągnęło się tak lat kilka, czas nie zacierał, nie ułagadzał, ale jątrzył.

Coraz rzadziej, jakeśmy mówili, dawał się biskup do siebie zbliżać książętom, wkońcu zupełnie zerwał z nimi. Ludzie biskupa z zamkowymi byli, jak panowie.

Rycerstwo Bolesława niemieckie i polskie obrażone za księcia, odzywało się, iż gotowe, jak Toporczycy drugi raz Pawła uczyć, aby lepszym był, gdy pierwsza kaźń nie pomogła.

W mieście, w ulicach, gdy się dwa oddziały spotykały, rzadko się bez zaczepek obeszło, niekiedy do mieczów się zrywano. Gdy w gospodzie jedni się z drugimi poty-

kali, a poszły skargi, czy na Wawel, czy do biskupa, odgrażano się.

— Tego jeszcze mało... to dopiero początek. Dalej, lepiej będzie!

Powoli biskup starał się ku sobie przygarniać ziemian i nowe mieszczaństwo krakowskie, które po najazdach tatarskich i zniszczeniu miasta napływało tu ze stron różnych i osiadało.

W grodzie samym już teraz ziemianie krakowscy i rycerstwo miru tego i mocy nie mieli, co za dawnych czasów. Coraz więcej Niemców, Ślązaków, rękodzielników, osadników powołania różnego gromadziło się tu na osobnem prawie swem siedząc, miasto zagarniając i rządząc się po swojemu.

Było już naówczas widać, co się wkrótce potem objawiło dobitniej, że Kraków a ziemia krakowska stały się dwiema rzeczami różnemi. Ziemianie czuli się tu prawie gośćmi, gdy niedawno gospodarzami byli. Niemcy tak tu, jak po innych miastach większych, zwłaszcza na Śląsku garnęli wszystko pod siebie. Tubylców starych mało było, a ci ani bogactwy, ani zapobiegliwością przybylcom sprostać nie mogli.

Wprawdzie więcej tych Niemców stało po stronie Bolesława, który ich tu osadzał, niż biskupa, co obcych nie lubił.

Kraków na tatarskiem zgliszczu budował się inaczej, zmieniał, rosnął, mocniej obwarowywał, lecz tracił dawne swe cechy i do miast niemieckich coraz się podobniejszym robił.

Biskup rzadko tu siedział, zbyt na widoku być nie chciał, nie na rękę mu było, gdy przybywających doń ludzi liczono, wytykano i każdy ruch jego śledzono. Wolał w Kunowie, albo innej wsi kościelnej gościć, bo tam swobodniejszym był, wymykając się na dni kilka i kilkanaście, pod pozorem łowów, Bóg wie dokąd.

Złe języki powiadały, że naówczas w świeckich sukniach, pod obcem jakiemś imieniem widywano go na dworach śląskich, u mazowieckich książąt, na granicach Litwy.

Przybywali też do niego do Kunowa tacy ludzie, których nie znał nikt. Książęta jacyś, zupełnie obcy w osob-

liwych strojach, mówiący językiem niezrozumiałym. Tych on przyjmował wspaniale, na rady się z niemi zamykał. Nie byli to Niemcy, bo tych naówczas znano i poznawano łatwo, lecz... jacyś poganie chyba z nad granic. Ludzie ich i oni wyglądali obco i dziko.

W Kunowie i dlatego biskupowi lepiej było, że się z szaloną, jak zwano Bietę, nie spotykał. Dozorujący dworu i lasów pilno mieli zaleconem śledzić, czy się gdzie nie ukaże, ale dotąd w okolicy jej nie widywano.

Przez kilka miesięcy Paweł jej nie widział wcale. Uspokajało go to, myślał, że chyba zemrzeć musiała, uwalniając go od nienawistnej trwogi. Zonia, która wszędzie za nim, jako gospodyni jeździła, potwierdzała to przekonanie, iż się jej nareszcie pozbyli.

Śmielej począł ks. Paweł wyjeżdżać na łowy, nie obawiając się już tak bardzo spotkania z nią.

Było to jakoś jesienią, gdy dnia jednego pod wieczór razem z Krukiem, nieodstępującym go, zapędzili się w las i zbłądzili. Kruk w lesie źle sobie radę dawał, tak, że częściej biskup jego, niż on pana, wyprowadzał z ostępów. Dnia tego jakoś i sam Paweł drogi wynaleźć nie umiał.

Poczynało zmierzchać.

W puszczy błądząc, przypadkiem już tylko, a jak mówił biskup szczęściem jakiemś, natrafili na ścieżynę, na której widać było ślady wozów i koni. Musiała więc do jakiejś prowadzić osady.

Jechali wolno, psy szły za nimi z wywieszonemi językami, upatrywali tylko rychło-li się dym lub chata ukaże, gdy na drodze znalazł się strumień.

Jeden to był z tych wielu, które za pogańskich czasów świętemi się zwały, bo u ich brzegów odbywały się uroczystości, a wody ich ludzi leczyły. Tam, gdzie dawniej leżały kamienie i znaki bożyszcz pogańskich, później księża postawiali kapliczki i krzyże, bo ludzi od chodzenia do wód odzwyczaić nie było można, więc wolano miejsca te znakiem Bożym uświęcić.

I tu też zdala postrzegł biskup malusieńką drewnianą kapliczkę z krzyżykiem na dachu, około której wisiało mnóstwo łachmanów, co je chorzy z siebie porzucali.

O mroku nie dostrzegli nic więcej, aż dopiero zbliżywszy się, ujrzał biskup postać jakąś, stojącą przed kaplicą, jak gdyby nań oczekiwała.

W długiej, czarnej sukni i zasłonie na głowie, wydawała się niewiastą, a biskup, zobaczywszy ją, zadrżał. Przypomniała mu Bietę przeklętą.

Nie wstrzymał jednak konia, nie chcąc, rzucając się w bok, okazać obawy, choć Kruk, jadący za nim, syknął. On także zląkł się, czy nie owa szalona była.

Zrównawszy się z kapliczką, ks. Paweł spojrzał w bok, gdy wtem czarna niewiasta konia powolnie idącego za cugle chwyciła, i rozległ się znany ów straszny śmiech.

Wierzchowiec biskupa stał jak wryty, choć bodzony ostrogami.

Kruk przelękły w bok na gąszcze się rzucił.

— Dawnom cię nie widziała!—odezwała się Bieta.— Myślałeś, żem zapomniała lub przebaczyła? Nie, leżałam chora, nie umarłam i otom jest! otom jest!

Nie odpowiadając, Paweł konia napierał, chcąc ją wyminąć. Drżał z gniewu i ze strachu.

— Posłuchaj mało,—rzekła—posłuchaj! Knujesz zdradę! Kumasz się z wrogami... ja wszystko wiem! Jeździsz do nich, nocami się włóczą do ciebie. Ogień i miecz gotujesz na swoich książąt, chcesz wyganiać, obcych prowadzić! Czyń tak! czyń! Znowu cię powrozami skrępują i do więzienia wtrącą! wtrącą!... Ja się wproszę do kuny... noc i dzień śpiewać ci będę nad głową. Cha! cha!

Puściła cugle koniowi.

— Jedź! jedź! znajdziemy się. Gdzie ty, tam i ja! Gdybyś do piekła uciekł, ja pójdę za tobą... bom ja twoja! twoja! Jedź!—powtórzyła za uchodzącym.— Nie ujdziesz ode mnie. Ja z tobą!

X.

Pustą a dziką i smutną a piękną, jak wszystko, co z rąk Bożych dopiero wyszło, a ludzie jeszcze popsuć nie mieli czasu, była Litwa za onych czasów. Milami lasów trzeba było jechać do osady, do gródka, do chaty, w ziemię zarytej i zagrody, kamieńmi a gałęźmi obrzuconej.

Gdzieniegdzie u brzegów rzek, u spływu dwu wód, na cyplu śpiczastym, wznosił się zameczek z olbrzymich kłód w zrąb zarzucony... podobny do ofiarnego stosu. W dolinie u rzeki wysuwał się szereg domków długi, niby obozowisko przyległe do ziemi.

Mało gościńców biegło tym krajem, co się lasami i błoty, jakby twierdzą opasywał od napaści. Puszcze stały jeszcze tak, jak urosły, gdy ziemia osychała, mnogie jeziora i stawy, jakie powódź przedwieczna uchodząc zostawiła, a po polachi łąkach bryły kamieni, które niegdyś lody i morze z północy tu przygnały, spoczywały na ziemi obcej smutne przybłędy.

Pustynia ta wszakże żywą była i zamieszkaną, bo ją zapełniało tysiące zwierza, na sosnach pszczoły w dziuplach składały miody pod niemi w łomach gałęzi i liści gnieździł się meszka, nad łbem jego biegały wiewiórki, pod nosem przemykał się lis ostrożny. Nie było tu stopy ziemi, któraby nie miała mieszkańca. W ciepłych borach było im jak w chacie, na żer nie potrzebował iść daleko, sąsiad żywił się tem, kogo miał pod bokiem.

Lata upływały tak w nieprzerwanym spokoju i chyba piorun las zapalił, a wiatr pożar poniósł po nim, naówczas ruszało się wszystko i strach było spojrzeć, jak cała ta gromada leśnych gospodarzy razem przed ogniem uchodziła, nie myśląc o starych waśniach i zemście.

Płomień naówczas gnał razem żubry, łosie, stada kóz, niedźwiedzie i borsuki, żbiki, lisy i zające w jedno stado zbite, oszalałe, ryczące, aż gdzieś wpoprzek ognia stanęła rzeka, wstrzymała pożar a ocaliła zbiegów, którzy na drugim brzegu wracali do dawnych zatargów i wojny.

Lasy! Czem były owe dawne lasy przy dzisiejszych skarlałych swych potomkach! Sosny, których wierzchołka trudno było dojrzeć, dęby co strzelały, jakby kamiennym słupem, ku niebu. Brzozy nawet, dziś rozpieszczone i płaczące, naówczas jak strzały wyprostowane, z korą popadałą i zczerniałą, piły się w górę dumne, aby drugim sprostać.

Wiatr, co wstrząsał wichrami tych olbrzymów, rzadko mógł sięgnąć do głębi puszcz. Lecz jeśli wdarł się przemocą jeden z tych, co młyńcem idzie w powietrzu i wody wypija i piaski zamiata w górę, wówczas, wyłom zrobiwszy, obalał obszary całe i stosy układał, jak góry.

Puszczą była cała niemal Litwa ówczesna niedostępną i straszną, a starsze drzewa, olbrzymy, stały za bogi, bo tu człowiek żył z drzewa. Ono dawało wszystko: chatę, opał, schronienie pszczole, zwierzęciu pokarm, człowiekowi obuwie, wóz, pałkę.

Na skrajach od ziem cudzych, od Rusi, od Krzyżaków, co już mieczem i ogniem się rozpościerali, inaczej wyglądały rubieże popalone, zniszczone i zgniecione, ale czem dalej w głąb, tem uroczyściej panowały pokój i cisza. Zakąty były, do których żadne obce nie dosięgało oko, nie doszła stopa. Otworem one stały, bezbronne, lecz w te ciemne, tajemnicze przepaście któżby się śmiał zapuścić!

Pogańska jeszcze Litwa znała przecież swych sąsiadów i ich wiarę, z ruskimi kniaziami się kumano, chodząc do nich i ściągając ich ku sobie. Mazowieccy książęta zaczynali też szukać przyjaźni litewskich kunigasów. A było ich naówczas wielu na gródkach różnych, tak prawie, jak w Polsce, bo potężnej dłoni Mindowsa króla nie stało, a syn jego, mnich Wojsiełk, już był zabity. Łupem ich podzielili się ci, co na działach siedzieli, i tak, jak w Polsce, jeden ziemię wydzierał drugiemu.

Religia chrześcijańska i chrzest szedł tu od Rusi, bo miecze krzyżackie jeszcze miały do czynienia z Prusami, które krwią nawracały.

Kunigasy litewskie to się potajemnie dawali oblekać w białą szatę chrześcijan, to ją rzucali. Nad nie

mi wszystkimi stał jeszcze potężny Krywe-Krywejto, Arcykapłan, władca, który poza sobą miał lud wszystek, Wajdelotów, jak wojsko i Wajdelotki. Jawnie krzyż się tu jeszcze nie śmiał ukazać, bo choćby go lud leśny ścierpiał chwilę, przychodziła godzina szału, rzucił ktoś słowem strasznem, burzono kaplice i zabijano ich sługi.

Na tej płaszczyźnie ogromnej, przeciętej srebrnemi rzeki i jeziory, błyszczącemi, jak drogie kamienie w złotej oprawie piasków, tu i owdzie wznosił się prastary dąb Perkunasa, obwiedziony tynami, obwieszony oponami, z wiecznie dymiącym ołtarzem ognia niewygasłego i z białemi kapłanki.

Ponad drogami stały kamienie dziwacznych kształtów, nieme bogi, słupy z pobwijanemi bałwany, które dziwactwo przyrody splotło z gałęzi lub korzeni.

U strumieni zbierano się i modlono.

Wielkie osady, całe przy ziemi, siedziały na kupkach kamieni, z barwion drzewa sklecone. Ledwie gdzie kunigasowy gródek miał kawał muru, albo bielszą ściankę.

Niepozorne te budy i szałasy w swych wnętrzach kryły jednak wszystko prawie, co ów wiek miał najwytworniejszego. Przypływały do brzegów morza statki, które niosły towar zdaleka, gościńcami od Czarnego morza chodziły od prawieków karawany z kupią na te wśród pustyni targowiska. Nie brakło tu ani zbroi, ani żelaza, ni miedzi hartownej, ni szat, złotem przeszywanych.

Lecz po chatach i między ludem gardzono temi bogactwy tak, jak się wzdrygano wszystkiemu obcemu. Od obcych przyjść miała niewola, a tu panowała owa swoboda wiekuista pustyni, którą dawały przestrzenie. Do głębin lasów ani ręka Kunigasa, ani Dzieccy jego dosięgnąć nie mogli.

Roli wydzierano mało; las dawał miód, mięso i grzyby, rzeka rybę. Nieżyzna rola, gdy ją popiół spalonych drzew zasilił, rodziła rok lub dwa, a potem jałowiała i zarastała lasem.

Pół dzikie to życie miało całkiem dzikich obrońców. W lasach siedzieli ludzie, ukołysani baśniami i po-

daniami odwiecznemi, pieśnią mitycznej ojczyzny, ze wspomnieniami słonecznemi dawnej kolebki.

W zapadłych ziemiankach życie się snuło patryarchalne, czyste, opromienione miłością rodzinną, związane ojcowską władzą, a przesuwało się, jak marzenie, jeżeli go wróg nie zakrwawił. W lasach brzmiała piosenka świeża, wonna, urocza, śliczna, jak kwiatek dzikich pól, którą pokolenia tworzyły, do której każdy coś dodawał, której wieszczem były piersi wszystkie, twórcą— wieki.

Obcy ludzie widzieli z tej Litwy ukrytej, dla nich niedostępnej, tych tylko, co szli jej bronić zajadle: brodatych ludzi w czapkach śpiczastych z uszami, z pałkami u pasa, z maczugami w ręku, z procami i łuki, kożuchami okrytych, skórzniami okutych, krwi chciwych i oszalałych, bo domów i rodzin bronili.

Sięgnąć było potrzeba do głębi, aby zobaczyć prawdziwą Litwę, spokojną prządkę życia, siedzącą u Niemna z piosnką na ustach. Tej nikt nie znał. Mówiono o Litwie, jak o Jaćwieżach, których wytępiono, gdy się w swem gnieździe rozpaczliwie bronili: barbarzyńcy są!

Rzadko naówczas poważył się kto w tych puszcz wnętrza, a i posłom za życie trudno ręczyć było, bo jak zwierz, co szczeniąt swych broni, Litwin, który napaści wrogie pamiętał, zrywał się na dźwięk mowy nieswojej i rzucał się krwi chciwy na tego, co mu wydrzeć miał odwieczną siedzibę.

Przecież jednego poranku na początku zimy, w lasach, które stanowiły niedobrze określoną granicę Litwy, ukazała się gromadka zbrojnych ludzi, którzy choć byli tak przybrani, że po kożuchach i kołpakach trudno poznać było skąd ciągnęli, bacznemu oku nie mogli się Litwinami wydawać. Było ich koni więcej pół kopy, a w pośrodku jechał mąż, już dobrze niemłody, silny jeszcze, dobrej tuszy, z twarzą od chłodu zarumienioną. Oblicze jego dumne było a odwagą nacechowane, oko patrzało z góry i śmiało.

Choć w ubiorze nie miał na sobie nic, coby wodza

oznaczało, widać było, że on między nimi przewodził. Oglądali się nań wszyscy.

Poczet ten konnych stanął u kupca wpośród lasu u starego dębu, na którym świeżo znak był jakiś wycięty.

Temu granicznemu piętnu, wyrzezanemu głęboko w korze, wódz się przyglądał ciekawie, bo było podobnem do krzyża; tylko ramiona jego, u góry zagięte, pochylały się wszystkie na prawo, i krzyż jakby przerywanem obwodziły kołem.

— Toż nasz znak!—zawołał starszy, oglądając się— a oto mogiła! Tu więc czekać trzeba, póki się nie zjawią.

— Juści, gdy przyobiecał, a nas tu przywiódł— odparł drugi, za nim jadący, mniejszego wzrostu mężczyzna, z bródką czarną, rozglądając się dosyć bojaźliwie dokoła;—ale za pogan ręczyć nie można, czy zdrady nie knują. Nuż nas w pułapkę chcą ściągnąć? My się tu w pół kopy mieczów temu pogaństwu nie obronimy, gdy chmurą dokoła opasze.

— A cóżby im z tego przyszło?—odparł pierwszy.— Łupu-by się na nas nie dorobili wielkiego.

Nie dokończywszy, spojrzał ku lasowi, ale stamtąd nic nie było słychać.

Gromadka owa, ściśnięta dosyć szczelnie, stała, mając się na baczności, choć dowódca zdawał się spokojny. Gdy cokolwiek zaszeleściało w borze, nastawiano ucha, mimowolnie chwytając za miecze u pasa. Ale tętentu koni, którego się spodziewano i obawiano razem, słychać nie było.

Upłynęła tak więcej, niż godzina. Wódz kazał sobie napoju jakiegoś utoczyć z baryłki, którą jeden z ludzi wiózł pod kożuchem. Mruczeli drudzy po cichu, a im dłużej czekano, tem większa obawa zdrady się rodziła.

Słońce podnosiło się na bladem, zimowem, wypogodzonem niebie, a nic jeszcze się nie ukazywało.

Nareszcie jeden z ludzi dał znak; on pierwszy daleki tętent uchwycił.

Wszyscy przykładali ręce do uszu. Coraz wyraźniej w głębi lasu szumiało.

— Jadą!—zawołał czarny, napół z obawą, pół z radością.

Wódz nic nie odpowiedział.

Niektórzy znów instynktowo się do mieczów mieli. Bieg koni po zmarzłej ziemi rozeznać już mogli. Usiłowano z niego liczbę koni odgadnąć.

— Oho — szepnął jeden—będzie ich tam z pół kopy, jeżeli nie więcej.

Stali, czekając w milczeniu, gdy z poza drzew pokazał się przodem jadący młody, piękny mężczyzna na dziarskim, małym koniu. Na głowie miał kołpaczek futrzany, wierzch zwieszał się naprzód, a z uszów dwa końce na ramiona mu spadały, razem z jasnemi włosami, z pośrodka których rumiana, okrągła, z czołem wypukłem, twarz patrzała, mimo młodości, siłą wielką i odwagą uderzająca. Oczy niebieskie, na pozór słodyczy pełne, miały w wejrzeniu coś takiego, co zwiastowało, że i okrutnemi być umiały. Usta małe, dokoła obsypane puchem złotym, dumnie podniesione, śmiały się dziko, strasznо, choć może wesołemi być chciały.

Wódz konnych, zobaczywszy nadjeżdżającego młodziana w kożuszku sobolowym, w pasie nabijanym, z łukiem okutym na plecach i trąbką kościaną, wysunął się naprzeciw niego i ręką od czapki go pozdrowił. Tamten też podobnie go witał.

Za nim widać było ciągnący oddział dosyć liczny, na małych konikach kosmatych, w kożuchach i czapkach wysokich, zbrojny w łuki, proce i krótkie pociski drewniane, wiszące, jak klocki, lub za pasy pozatykane.

Dwa oddziały zostały opodal od siebie, bo ten, który przybywającemu towarzyszył, zatrzymał się w lesie, jakby mu to wprzód nakazano.

W pośrodku, między nimi zjechali się wódz i młodzieniec, cichą rozpoczynając rozmowę. Nie trwała ona długo, porozumieli się wprędce: wódz dał znak swoim, aby za nim jechali. Ale w chwili, gdy się już ruszyć mieli,

młody pochylił mu się do ucha i żywo mówić coś zaczął. Zatrzymano konie.

Starszy wódz chwilkę się namyślał tylko, powtórnie znak dał, aby ludzie jego stanęli.

— Kruk!—zawołał do czarnobrodego—nie potrzeba mi was. Zostańcie tu i czekajcie na mnie. Jadę sam.

Jeden ze starszych rycerzy syknął.

— Sam! a bezpiecznież to?

Uśmiechnął się wódz pogardliwie.

— Niebezpieczeństwo równe w pół kopy, jak jednemu — rzekł—a może większe, gdy nas kupa będzie. Jadę sam!

Z podziwieniem spojrzeli po sobie ludzie, gdy to posłyszeli. Wistocie potrzeba było odwagi, aby się samemu, prawie bezbronnemu zdać w ręce nieprzyjaciół.

— Ręczę za bezpieczeństwo wasze!—zawołał młody po rusku, bijąc się w piersi.—Jadąc gromadą, niepotrzebnie oczy ludzi ściągniemy.

Wódz starszy popatrzył nań i dodał:

— Jedziemy więc! Nie na wieleby wam się zdało wziąć mnie albo ubić; z wolnego i żywego weźmiecie więcej.

Skinął głową ku swoim mężny człowiek i dał koniowi ostrogę.

Pozostali u skraju lasu z niejaką trwogą patrzali za oddalającym się.

Tymczasem dwaj jeźdzcy już się w puszczę zaszyli, a za nimi oddział, co przybył z młodym Kunigasem, ruszył, chciwemi i szyderskiemi mierząc oczyma obcego człowieka, który tak ufnie dał się im w ręce. Myśleli, że dobroduszny a łatwowierny pewnie już więcej do swoich nie wróci.

Droga wiodła ich z początku borami, wśród których z doskonałą znajomością kierował się młody Kunigas. Zwracał, objeżdżał oparzeliska, wybierał las przerzedzony. Oba konie szły dobrym kłusem. Z rzadka jadący obok przemawiali do siebie.

Starszy jechał nieco zasępiony i chmurny, gdy towarzysz jego, przeciwnie, twarz miał uśmiechniętą i we-

sołą. Dobrych dwie godzin trwała ta jazda śpieszna, gdy Kunigas zwolnił kroku.

— Koniom się trzeba dać wysapać—rzekł.

— Daleko jeszcze?—spytał stary.

— Wprędce staniemy u celu—odparł młody.— Nie chciałem was daleko od granicy odprowadzać, boby podróż za długo trwała. Jest tu mały gródek, gdzie się wszyscy zbiorą.

— A wielu was tam będzie?—zapytał stary.

— O! jest nas dużo! — roześmiał się Kunigas. — Ja sam z moimi ludźmi siły nie miałbym dosyć, aby ją wywieść daleko w pole. Gdy nas kilku się zbierze, ludu znajdziemy tysiące, a wszyscy tacy, co u granicy siedzą i na wycieczki gotowi. Kraj u nas teraz podzielony; my wszyscy nim, każdy na swą rękę rządzimy. Nie chcemy mieć już nad sobą takiego, coby nas za łby trzymał, a kazał bić się i krew lać dla siebie.

— Tak i u nas jest—odparł starszy.—Nie wiem, czy wam z tem dobrze, ale gdy wróg grozi potężny, rozbijać się na małe kupki niebezpiecznie.

— Kupki do gromady zbić łatwo — odparł krótko Kunigas.

Wyjeżdżali z lasu na pagórek piaszczysty, kamieniami usypany, który wysoki brzeg rzeki stanowił. Przed nimi widać było ów zapowiedziany gródek na wzniesieniu małem, nagiem, sterczący, jak wał ziemny, z poza którego wyglądał wielki budynek drewniany, niezbyt wysoki.

Na żeradziach wbitych w ziemię, z jednej strony płachty się jakieś wahały, jakby pasowate chorągwie.

Stary wlepił oczy ciekawie w to liche gniazdo, przylepione do pagórka, a w twarzy jego musiało malować się lekceważenie jakieś, bo Kunigas rzekł żywo:

— Nie zważajcie, że to niepocześnie wygląda. Toż nie zamek żaden, czata tylko nad granicą, nocleg dla ludzi, śpiżarnia. Gdyby na nas napaść chciano, gdzieindziej, byśmy się bronili.

Przystęp do gródka nie był łatwy. Przez trzęsawice wiodły hacie, przez rzeczkę most lichy, który łatwo było zrzucić. Trząsł się on pod nogami koni i kołysał

tak, że strach go było przebywać. Gdy na pagórek się wspięli, zobaczyli wrota otwarte, a w podwórcu, wałem otoczonym, dość koni i ludzi, podobnych do tych, którzy im towarzyszyli.

Ponad budynkiem, w pośrodku zbudowanym z kłód ogromnych, unosił się dym gęsty.

Stała ta szopa, zasiekiem dokoła z podobnych grubych berwion opasana, w drugim podwórcu, a miała w sobie tylko jedną wielką izbicę. Przed nią u słupów dębowych, co dach wystający dokoła trzymały, zsiedli z koni i weszli do środka szopy.

Ciemno tu było choć we dnie, światła trochę wpuszczały tylko drzwi, stojące otworem. W samym środku paliło się płomieniami jasnemi ognisko wielkie, kamieniami obłożone, a nad niem ludzi kilku piekło całe udźce i rozpołowione kozły dzikie.

Dokoła na kamieniach, na belkach, siedzieli i stali ludzie, różnie poodziewani, zbrojni, jak młody Kunigas, twarzy posępnych i groźnych. Kilku z nich naprzód wystąpiło, reszta się w głąb szopy cofnęła.

W kożuchach pięknych, dostatnio okrytych, w kołpaczkach ze spinkami, z mieczami u pasa ozdobnemi wyszli naprzód ci, którzy tu pierwszymi być musieli. Dwaj z nich byli już siwi i ci się dalej trochę i nieprzystępnie trzymali, reszta ludzie młodzi, ciekawi, zobaczywszy obcego człowieka, żywo się posunęli ku niemu.

Kunigas, który mu w drodze towarzyszył, na głos odezwał się po litewsku do swoich, wskazując na gościa. Witano go niezbyt przyjaźnie, z niedowierzaniem, spoglądając nań dziko, ale zwolna zbliżać się zaczęli wszyscy.

Posiadali na kamieniach, leżących przy ognisku, z których kilka umyślnie było skórami wyszarzanemi okrytych.

Człek z krótko ostrzyżoną głową wysunął się z za ognia, przy sząc dzbanek i kubki. Nie były to sprzęty wytworne, dwa z nich ze srebra kute grubo, inne z drzewa czysto odrobione, a w środku smołą wylane.

Gospodarz młody podniósł pełny kubek, zlał z niego trochę na ziemię, szepnął coś, kłaniając się gościo-

wi, inni też, zwracając się doń, do ust kubki poprzykładali i pili.

Nie wszyscy spełnili to ochotnie. Niektórzy zaledwie umoczywszy usta, wciąż się przyglądali Lachowi. Czekano widocznie rozmowy.

Kunigas młody odezwał się po litewsku, iż przybysz rozumie tylko mowę ruską. Poszeptali starzy, zgodzono się na nią.

Stosunki z Rusią i Krzywiczami język ten na Litwie wielce już rozpowszechniły; rozumieli go prawie wszyscy, zwłaszcza starszyzna, z różnymi ludźmi do czynienia mająca.

Młody więc po rusku zaczął:

— Zapraszają nas na Lacką ziemię iść, ale nie samym. Posiłkować będziemy ich Kunigasom własnym, którzy tam między sobą zwadę mają, a sami nie dosyć są mocni, aby ją rozsiekli własnym mieczem.

Starsi potrzęśli głowami.

Jeden z nich, co kubek pełny trzymał, zamruczał:

— Iść to iść... ale samym lepiej i bez przymierza! Znamy my ich wiarę i przyjaźń! Wprowadzą nas w pośrodek... aby potem otoczyć i wysiec...

Ręką zrobił znak ku ziemi.

— Nie trzymajcie o nas tak źle—odezwał się przybyły.—Gdy słowo damy, strzymamy je, jakby było przysięgą. Łup, jaki weźmiecie w bydle i w ludziach, do was należeć będzie bez podziału. Pójdziecie z książęty, których znacie.

— Otóż, że ich znamy—sprzeciwił się stary Kunigas, —dlatego z nimi niebardzo iść chcemy. Konia z krową do sochy nie zaprzęgać, ani wilka z baranem, ani...

Słów mu zabrakło... ręką zamachnął.

Drugi go uderzył po ramieniu, dając znać, że mówić chce.

Pochylił się ku gościowi.

— Gdybyśmy i szli—rzekł—dla waszej sprawy, na waszej musimy być strawie. Za pomoc trzeba zapłacić, bo łup niepewny, a za niego my żywot dawać musimy: krew się poleje. Mówcie, ile grzywien srebra dostanie każdy z nas?

Na to pytanie gość zadumany nie zaraz mógł odpowiedzieć.

Inni Kunigasowie, pochwalając ten warunek, głowami sobie znaki dawali i w milczeniu na odpowiedź oczekiwali.

— Damy wam i grzywny—odezwał się po namyśle gość — damy, ale wiedzieć potrzeba, za co, kto i wiele przyprowadzi ludzi. Na sotnie policzymy ich i na nie grzywny podzielim.

Wszczął się spór po litewsku między Kunigasami o grzywny.

Młody gospodarz i gość milczeli, dając się starszym między sobą rozprawić. Do zgody było daleko.

Tymczasem stoły ladajakie ustawiać przed nimi poczęto i znosić na nie mięso, miski ze strawą, kołacze, które przywieziono gotowe.

Niektórzy głodni,nie czekając, brali się do nożów z za pasa, mięso krając i razem spierając się burzliwie. Na poważnego gościa, choć wiedzieli, że znaczny człek być musiał, nie uważano wiele. Obcy był, znali go tu, ale wstręt czuli ku niemu i z tem się nie kryli.

Stary Kunigas Gedrotas odezwał się do swoich po litewsku, wiedząc, że języka tego obcy nie zrozumie, wskazawszy nań palcem.

— Jak jemu wierzyć, kiedy on swych braci zdradza i przeciw nim nas najmuje? Nie ruszymy się bez grzywien.

Postawiono jadło przed przybyłym, który, choć bardzo nasłuchiwaniem był zajęty, dobył też dużego noża i kubek wychyliwszy, zabrał się do jadła ochoczo. Oczyma jednak biegał po Kunigasach, którzy na niego pilno patrzyli.

Spierano się, kto ile koni i ludzi dać może, i jaki lik mogą wyprawiać Litwini.

Zaczęli się rachować z różnych gródków i małych dzielnic, po dwieście, pięćset i po więcej głów każdy.

Potem rzekł znów Gedrotas, że w małej kupie iść, choć z posiłkiem, niebezpiecznie było dla zdrady, że musieli zebrać kilka tysięcy, aby korzyść odnieść i nie lękać się nikogo.

Przybyły gość młodemu Kunigasowi, który mu to tłumaczył, rzekł, że książęta radzi przyjmą choćby kilka tysięcy, byle mężnego i dobrze zbrojnego ludu.

Starsi Kunigasowie dość niechętnie zbierali się na tę wyprawę;—więcej ona młodszym smakowała,—uśmiechali się i szeptali po cichu:

—Jest się czem pożywić w ich kraju. Niemców tam dużo siedzi... to ludzie zamożni, skrzynie u nich pełne. Dziewek i chłopców zdrowych w niewolę nabierze się dużo. Tatarzy tam na nich najwięcej łasi: jeńcy z Polski najdrożsi.

Kubki rozbudzały wesołość, ale gość siedział chmurny. Pilno mu było dokończyć umowę, oglądał się na drzwi, czy dnia dosyć na powrót zostanie. Młody gospodarz chciał także przyśpieszyć koniec, zaczęto więc na kijach nożami rzezać i karbować, ile się ludzi zbierze... aby się o grzywny umawiać.

Powolnie dosyć i bez sporu godził się na wszystko przybyły.

Zapijano przyjęte warunki.

Szło tak wszystko raźno i dobrze. gdy gość siedzący na kamieniu, po izbie ciemnej wodząc oczyma, teraz, gdy lepiej już widział w tych mrokach, spostrzegł naprzeciw siebie stojącego kogoś i drgnął, jakby rażony.

Z drugiej strony ogniska, z poza dymu spoglądała nań twarz blada, uśmiechem skrzywiona, niby znana, a nieznajoma.

Zdawał się to być człowiek młody, choć twarz miał zmęczoną i starą.

Czarne oczy ogromne wlepiał w siedzącego śmiało i groźnie, a uśmiech złośliwy dierzgał mu usta.

Nieznajomy ten, zmieszany był z czeladzią i odziany, jakby do niej należał; biskup raz i drugi spojrzał nań, zawsze oczy jego znajdując wlepione w siebie.

Wzrok ten był jakby mu znany. Postać z za dymu krzywiąc się, wyzywając, patrzała nań ciągle.

Nie mogąc wytrzymać jej wzroku, poruszył się z kamienia.

— Kończmy, proszę!—odezwał się żywo do młodego Kunigasa.—Grzywny zapłacim, gdy staniecie gotowi. Możecie przybyć po nie do mnie.

To mówiąc, po cichu coś jeszcze do ucha dokończył Kunigasowi, i niespokojny, za ogień patrząc na czarne szyderskie oczy, zapytał go nieznacznie, w stronę ich wskazując.

— Kto tam stoi?

— Tam?—odparł, podnosząc głowę młody—czeladź nasza! Jeńcy pobrani różnemi czasy w stronach różnych! Kto wie, jacy są?

Gość zamilkł: z za dymu oczy i człowiek znikły.

Zmierzchało—żegnać się zaczęto, i szybkim krokiem jakby go gnano, gość wybiegł do konia, w chwilę potem tętniało już w lesie za nimi.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

I.

Pustkami teraz stał najczęściej biskupi dworzec w Krakowie. Rzadko się tu zjawiał ksiądz Paweł, jakby mu to miejsce przykremi wspomnieniami obrzydło. Siedzieć wolał w Kunowie, chociaż i tu niemiłe zostały pamiątki, w Łagowie, lub też na jakim innym folwarku kościelnym. Sprawiał sobie łowy, przenosząc się często z miejsca na miejsce, jakby na jednem długo obawiał się, lub nie mógł wysiedzieć. Za nim, gdziekowiek ciągnął, wlokły się gromady ludzi różnego rodu, nieznanych przybłędów ze wszystkich części Polski, z Pomorza, Śląska, z Rusi: odarte klechy, ziemianie niewiadomego gniazda, rycerstwo najemne, czeladź do wszelkiej posługi. Wszystko to piło, jadło, kłaniało się, na skinienie rozbiegało w różne strony, powracało z wycieczek z tajemnemi donosy i ruszało znowu.

Z Krakowa też ziemianie niektórzy, zniechęceni do Bolesława, lub zjednani przez biskupa, oraz nieprzyjaźni swoim panom z Sandomierza i z Sieradzkiego, znajdowali tu ucho i przytułek.

Gdy przy stole sobie podochocono, obcy człek mógł się tam nasłuchać rzeczy dziwnych, ale wszyscy byli swoi, a kto do biskupa lgnął, ten już przybywał z zarzewiem w sercu przeciw Bolesławowi i Leszkowi.

— Nie będę żyw, jeśli ich nie powypędzam precz, a innych na ich miejsce nie posadzę!

Tak się odgrażał biskup, znosząc się i spiskując na wsze strony. Obiecywali mu się wszyscy, ale nikt pierwszy za-

cząć nie chciał. Wahali się książęta Mazowieccy, Śląscy się z sobą gryźli, o Wielkopolskich myśleć nie było można, bo ci z Leszkiem trzymali.

Jednego zimowego dnia, gdy biskup powrócił do Kunowa z długiej jakiejś wycieczki, a spoczynku potrzebował, dano mu znać, że dwu jakichś ziemian mówić z nim chciało i dopraszało się do niego. Ziemian, a zwłaszcza krakowskich, biskup był bardzo żądnym, wstał więc prędzej, niż zamierzył, aby się rozmówić z nimi.

W domu u niego, w Kunowie, jak u ziemianina, który rzadko u siebie gości, a trzyma tylko dwór, byle miał gdzie spocząć w przejeździe, ładu wielkiego nie było. Po izbach niktby się nie domyślał biskupa: zalegały je psy, a oręża więcej było, niż świętości.

Komora, w której biskup przyjmował i wiódł na rozmowę, nie inaczej wyglądała. Na ścianach wisiały oszczepy i mieczyki, na podłodze leżały skóry, na stole stało parę kufli i dzbanek. W domu Paweł innej też sukni nie nosił, tylko krótką łowiecką, rzemiennym pasem ujętą i długie buty. Tylko pierścień na palcu, którego nie zrzucał, przypominał dostojność.

Otworzywszy drzwi do komory, w której przybyli ziemianie oczekiwać już nań mieli, biskup wyjrzał i spostrzegłszy stojących—krzyknął, krew mu do głowy buchnęła! U progu stali dobrze mu znani i pamiętni Żegota i Otto Toporczyki, wrogowie jego!

Oczom mu się wierzyć nie chciało! Stał niepewien, czy ma do nich wyjść, czy ich kazać chwycić lub wyszczuć psami, gdy starszy Żegota podszedł kroków parę ku niemu, głowę skłonił i rzekł:

— W. Miłość zrozumiecie to łatwo, że gdyśmy tu przyszli, to nie po próżnicy. Srogą macie urazę do nas, a no my, może większą nad nią chciwość pomsty nad Bolesławem. Ten się nas zaparł, więził, cześć nam odebrał. Wy przeciwko niemu byliście i jesteście, myśmy mu służyli, lecz teraz mścić się też gotowi. Nam innego pana potrzeba.

— Słysząc to, biskup wszedł powoli do komory.

— Prawdę mówicie?—zapytał.

— Na krzyżu i ewangelii gotowiśmy ją poprzysiądz —zawołał Żegota, napróżno się oglądając, czy krzyża albo księgi nie zobaczy. Ale tych u biskupa nigdy nie było.

Słuchał ks. Paweł, zdumiony nieco, twarz mu się zwolna wyjaśniała. Żegota mówił gorąco:

— Przebaczcie nam, cośmy zawinili; teraz my wam do pomsty służyć jesteśmy gotowi. Wynieśliśmy się z bratem na Śląsko, do księcia Władysława Opolskiego. Przyjął nas. Wyprzedaliśmy się z majętności w Krakowskiem i Sandomierskiem, chociaż tam ród nasz i przyjaciół a powinowatych mamy. Przez nas znajdziecie na Śląsku sprzymierzeńców przeciw Bolesławowi i Leszkowi.

Biskup słuchał i rozpatrywał się w nich obu. Obaj oni, śmiało patrząc nań, odzywali się jeden coraz gorącej, drugi potakując mu we wszystkiem. O zdradę ich posądzić nie było sposobu.

— Chce się M. Wasza pomścić za więzienie—ciągnął dalej Żegota, — my także. Mało tego! My za wygnanie pomsty szukamy: musieliśmy iść na nie od starego gniazda naszego! Mówią ludzie: szliście po dobrej woli, nikt nie pędził. Pędził srom! Musieliśmy precz! Więzienie cześć nam odjęło! Ziemianinowi ze zbójcami siedzieć w ciemnicy jednej! Przebaczone to, ani zapomniane być nie może! A gdy człek tę ziemię dziadowską, pradziadowską rzucić musi, w cudze ręce macierz dać, iść między obcych... o! o!

Otto dodał, pierś ręką gniotąc:

— O, boli to nad wszystkie boleści!

— Nie znamy tego za pana—rzekł Żegota—co nas nie znał za sługi swoje.

Paweł, oparty o stół, patrzał i słuchał.

— Ze Ślązakami — przebąknął — pono niewiele zrobić można. Znam ja ich i macałem po jednemu. Zajadają się między sobą, czyhają na siebie. W Opolu, Lignicy, Wrocławiu trudno się ładu dopytać!

— Oh!—zawołał Żegota, śmiałości nabierając—po-

mną oni wszyscy, że mają jakieś prawo do Krakowa, niech im tylko nadzieja zaświeci.

Zamyślony biskup wahał się. Starszy Toporczyk ciągnął dalej:

— My oba, z księciem Władysławem, na którego dworze zostajemy, poufale każdej godziny mówić możemy. Inna to rzecz przybyć doń i parę słów wymieniwszy, powracać, a różna codzień potrosze kłaść mu do ucha. Niech nam M. Wasza dobre słowo da, a posłuży się nami, my go zwolna gotować będziemy. Siłę on ma, byle wolę chciał mieć! My tam dla Was rolę dobrze zorzemy i przygotujemy, potem będzie tylko ziarno siać! A gdyby się nie udało z Opolskim, Wrocławskiego też możemy próbować, choćby też i Lignickiego!

Nie kończąc, Żegota uczynił ręką znak wzgardliwy. Niewiele go ważył.

— Wszyscy oni ciasno się czują na swoich Ślązkich udziałach, każdemu się chce więcej.

Biskup nie odpowiadał, lecz z twarzy widać było, że mu to było miłem, co słyszał i coraz lepszem okiem spoglądał na dawnych swych wrogów.

Co za zrządzenie Boże! Mógłże się on kiedy spodziewać, by ci, których koniecznie śmiercią chciał karać, mieli przejść w służbę jego! Czasem zabobonny ks. Paweł widział w tem palec Boży, wskazówkę, że mu się teraz poszczęścić miało. Dotąd z niedowierzaniem przyjmowano namowy jego i ofiary. Toporczycy mogli rozwiązanie upragnione przyśpieszyć.

Żegota skłaniał mu się do stóp prawie, niżej, niżby duma ziemianina dozwalała, ale zemsta gięła kark hardy. Zżymał się już, widząc pewną obojętność w biskupie; był prawie pewien, że ten go przyjmie rękami otwartemi.

— Możemy—dodał—służyć W. Miłości nietylko na Śląsku, ale i w Krakowskiem. Wynieśliśmy się, wyprzedali, to prawda, ale tam dużo zostało naszych, którzy trzymają z nami. Za księciem pociągnie niewielu.

— W Sandomierskiem—wtrącił drugi, który dotąd

milczał,—mieliśmy też kawał ziemi, i tam się swoi znajdą.

Biskup, którego niespodziewanie tak zaskoczyli ludzie, co się z nim okrutnie wprzód obeszli w drodze do Sieradza, nieufny, ciągle spoglądał, słuchał, dumał, łatwym się im nie chcąc okazać. Obawiał się i podejrzewał ich o zdradę. Nalegali nań jednak tak uparcie, iż wkońcu namyślać się zacząć, jaką z nich korzyść będzie mógł wyciągnąć. Nie byli oni do pogardzenia, jako pomocnicy: ród był stary, z wielu innymi spowinowacony, zamożny bardzo; ludzie odważni, energiczni i doświadczeni. Taż sama zemsta, którą biskup pałał, sprowadziła ich do niego.

Żegota napraszał mu się usilnie, gdy Paweł ręką powiódł po plecach i rzekł doń:

— Jeszcze ja wasze postronki czuję na grzbiecie i rękach, kości mam dotąd potłuczone od wozu waszego, a wybyście chcieli, abym w waszą przyjaźń uwierzył? Myślicie, że ja łatwo zapominam i przebaczam?

— Samibyśmy się z własnej woli nie ważyli na to— odparł Żegota.—Służy się panu, to się go słucha.

Marszczył się jeszcze biskup.

— Czekajcie—rzekł—nie śpieszcie. Niżeli ja wasze usługi przyjmę, lepiej was chcę poznać.

— Poznacie nas najlepiej—rzekł Toporczyk—gdy teraz znowu na dwór ks. Władysława do Opola zjedziecie. Przekonacie się, że my go dla was powolniejszym, niż dotąd był, uczynić potrafimy.

— I to słaby człek!—odparł Paweł, w okno patrząc.

— Sam się on ważyć nie może na Bolesława— mówił Toporczyk—i dlatego się waha. Gdy mu posiłki zapewnicie, pójdzie chętnie.

Żegota szukał na twarzy biskupa znaku jakiegoś pomyślniejszego usposobienia, wkońcu, nie znalazłszy go zaczynał już wątpić o dobrym skutku swej prośby, i dawszy bratu znak, zwolna się ku drzwiom cofać zaczął.

Ruch ten zobaczywszy, biskup zrozumiał jego znaczenie. Począł rozmyślać.

— Czekajcie!—zamruczał.—Zna was kto z teraźniejszego mojego dworu?

Bracia naradzali się wzrokiem.

— Dotąd nie zdaje mi się, aby nas poznano—odparł Żegota.

— Pozostańcież dłużej trochę—dodał biskup.—Pomówimy jeszcze z sobą. Opowiadajcie o sobie, żeście Ślązacy, a nazwiska i rodu nie potrzebujecie głosić.

Pożegnał ich, na drzwi wskazując. Wyszli posłuszni.

Do wieczornego stołu wezwano Ślązaków. Mówiono przy nich, jak zawsze, otwarcie przeciw Bolesławowi i Leszkowi, czemu oni chętnie i gorąco dopomagali. Z mowy jednak łatwo poznać było można że Krakowskie i Sandomierskie lepiej znali, niż Śląsko i że wiedzieli na kogo tam rachować było można.

Biskup trzymał ich dwa dni, badając, aż nareszcie odprawił.

Gotowano się do podróży na Śląsk, wyprawując posły w różne strony i odbierając wiadomości, które zewsząd przychodziły. Nadszedł wreszcie dzień wyjazdu i biskup wyruszył, polując po drodze bez pytania, w czyich lasach, wlokąc się zwolna, odpoczywając, zajeżdżając do plebanii i klasztorów po drodze. Nie koniecznie pilnowano najbliższej drogi i zmierzano do celu; ks. Paweł zmieniał kierunek i jednego dnia znalazł się ze swym dworem pod murami Lignicy. Tu go może przyprowadziło pierwsze wspomnienie młodości.

We wrotach miejskich się opowiedziawszy, posłał biskup na zamek do księcia Bolesława, który tu podówczas panował. Zwali dziwaka tego Łysym, drudzy Srogim, lud pospolity przezywał go Rogaczem i Rogatką. Wistocie rogata była to dusza, a bódł, kogo mógł.

Od wjazdu do miasta poznawało się, jakie tu rządy być musiały. We wrotach ludzie licho zbrojni, napili, stali, kłócąc się, szamocąc i wykrzykując. W ulicach pod domostwy dokazywały hałaśliwe ciury i żołdactwo zamkowe. Po gospodach poroztwieranych napój, po łaźniach, snuła się gawiedź zuchwała i przewodząca nad

bezbronnymi mieszkańcami. Im się bardziej ku zamkowi zbliżali, tem tego oszarpanego, licho odzianego żołnierstwa więcej się zjawiało. Jedni dostatnich mieszczan przemocą na zamek ciągnęli, drudzy pospólstwu, na skargę się cisnącemu, zabiegali drogę. Ładu i posłuchu nie było widać nigdzie, a gdy ks. Paweł w miasto wjeżdżał, ludzie jego musieli się kupą trzymać i otoczyć go, tak ich zewsząd ciury ciekawe i napastliwe opadać i napierać zaczęły. Grożąc ciągle mieczami i oszczepami, drogę sobie trzeba było torować.

Na zamku nie lepszy panował porządek. Kupy zbrojne leżały przy opróżnionych beczkach, w wielkiej sieni zamkowej straż dokazywała krwawo, a komornik, który wyszedł na spotkanie w kaftanie odartym i poplamionym, ledwie się trzymał na nogach.

Ludzie biskupi, którzy też lubili sobie podochocić, spoglądając na to, uśmiechali się niebardzo gniewni, że się tu dostali, choć na nich z ukosa i ostro patrzano. Książę Rogatka na spotkanie nie wychodził, choć duchownemu należały się pewne względy; napiły tylko sługa ofiarował się prowadzić biskupa z sieni do wnętrza.

Izb na zamku było dosyć i dosyć przestronnych. Dolne, sklepione z kamienia, nizkie gdyby były utrzymywane, jak należy, książęcemi wydawać się mogły. Teraz przypominały gospodę. W pierwszych, jak w podwórcu, pełno było gwaru czeladzi, służby oszarpanej, odartej, pół bosej, brudnej, jak ten, co biskupa przeprowadzał. Jedni leżeli na ziemi, drudzy na ławach; byli tacy, co na stoły powłaziwszy, powyciągali się na nich wygodnie, nogi zadzierając do góry. Czuć było po izbach dym, piwo i lichą jakąś strawę kwaśną, której woń w powietrzu pozostała. W drugiej izbie, pokaźniejszej już nieco, żołdacy rzucali kości, spierając się o nie zajadle i pięści ku sobie wyciągając, jakby się za włosy porwać chcieli.

Napiły ów dwór, mało co z drogi ustępował. Oglądał się biskup, rychło-li się do księcia dostanie, ale wiodący go ciągle naprzód jeszcze ukazywał.

Przeszli znowu zimną i pustą izbę, wschodki małe, ku górze prowadzące; komornik do drzwi zapukał i sam drogi ustąpiwszy, wpuścił biskupa. Komora była nie mała, ogniem w kominie płonącym oświecona.

Nim mu drzwi otworzono, Paweł słyszał już z niej gędźbę jakąś i śpiew, przerywany grubym, donośnym, krótko wybuchającym śmiechem.

W głębi izby na łożu leżało coś ogromnego. Kadłub bezkształtny, ponad którym sterczała duża, łysa głowa, w tej chwili ciekawie podniesiona, z usty otwartemi, oczyma dużemi, na wierzch wysadzonemi. Szyja odkryta, gruba, ręce ogromne, jakby napuchłe, suknia niepozapinana, skóra jakaś na nogach poszarpana, wszystko razem niby jedną górę na łożu składało.

Tuż na ławie z poręczą siedziała rozparta nogę na nogę założywszy, niewiasta lat średnich, biała, rumiana, do zbytku już okrągła, ze wzrokiem zuchwałym i bezwstydnym. Blizką była głowy łysej, a gdy biskup wchodził, śmiała się właśnie, usta otworzywszy szeroko. Miała na sobie suknię jedwabną, drogą i dosyć różnych klejnotów, które naówczas do stroju kobiecego należały, ale wszystko na niej leżało i wisiało jak narzucone, bez myśli i troski żadnej. Nie dbała o to, co na sobie miała. Włosy na głowie rozplątane były i ladajako pokręcone, powiązane od niechcenia. Zbyt rumiane policzki i płonące oczy kazały się domyślać, że do dzbanka, który stał między nią a księciem, na ławeczce z kubkami, musiała często zaglądać.

Książę Rogatka twarz miał zdumioną, ale się na niej jeszcze niedawno goszcząca wesołość nie starła. Gość, ktokolwiek był, nie miłym mu się stawał w tak dobrej godzinie wieczornej.

Przy płonącym kominie, na stołeczku nizkim, z gęślą w ręku siedział człowieczek dosyć porządnie odziany, z twarzą krągłą, prawie kwadratową, czołem nizkiem, wypukłem, usty szerokiemi, nosem małym i zadartym, oblicza śmiałego, jakie przystało ulubieńcowi, który wie, że bez niego pan obejść się nie może.

Brzdąkał on po gęśli i śpiewał półgłosikiem, któ-

ry niekiedy silniej podnosił z przesadzonym wyrazem wielkiego uczucia.

Dana moja, dana...
Jak jabłko rumiana...
Biała, jak lilija,
W złotych kosach szyja...
W złotym rąbku głowa....
Siedzi jak królowa
Dojrzała jagoda...
Nasza pani młoda....

Spostrzegłszy wchodzącego biskupa, grajek się do księcia zwrócił, spojrzał, trochę zatrzymał. Leżący na łożu, bełkocząc, prędko, niewyraźnie, gniewnie wykrzyknął:

— Dalej, biesów synu, dalej!

Grajek już tylko po strunach pobrzękiwał, ale głosu mu jakoś, czy piosenki zabrakło. Niewiasta też u łoża siedząca zarumieniła się trochę i zmieszała, ale podniosła główkę dumnie, spojrzała na pana swego i powitawszy biskupa, który szedł zwolna, ku łożu się zbliżając, pozostała na swojem miejscu nieruchoma.

Rogatka wpatrywał się w ks. Pawła, który niezwyczajnym widokiem księcia nie zdawał się ani zdziwiony, ni zgorszony. Grajka jakby nie słyszał, niewiasty jakby nie widział.

Do zbliżającego się gościa książę trochę się na łożu poruszył, Nie było go na czem posadzić.

Książę uderzył w szerokie dłonie: wpadło dwóch bosych chłopaków w półkożuszkach. Rogatka gniewnie im coś prędko nakazał, ale mówiąc, pluł, pryskał, sykał, bełkotał tak, że chyba służba tylko własna mogła go zrozumieć. Chłopcy naprzeciw łoża postawili ławkę i narzucili na nią coś podobnego do podartej poduszki. Biskup, ruchem ręki wezwany, usiadł, nie patrząc na niewiastę, ciekawie mierzącą go oczyma.

Od niejakiego czasu począł on je wszystkie niena-

widzieć, bo mu każda nieszczęsną Bietę przypominała. Wstręt miał do nich i obawę.

Książę, który koniecznie chciał zwrócić uwagę przybyłego na rumianą swą przyjaciółkę, wskazał na nią ręką.

— Miła moja Sonka! Sonka! miła! patrzajcież! A co? hę?

Biskup spojrzał, Sonka się rozśmiała. Rogatka uradował.

— A ty trutniu, graj!—krzyknął do siedzącego u komina.—Twoja psia powinność, dzień i noc. My gadamy, graj...

Grajek, którego Żabką zwano, począł zaraz pobrzękiwać z cicha, starając się wielką swą biegłość pokazać.

Sonka półgłosem mu wtórowała, wcale się o biskupa nie troszcząc.

— A wy tu... tu... co u licha robicie?—zaszeplenił Rogatka.

— Po drodze chciałem się Miłości Waszej pokłonić— odparł Paweł.

— Moja miłość nędzna—zaśmiał się, prędko bełkocąc Rogatka — licha warta miłość moja! Grzywien w skarbcu niema, beczki mi ta gawiedź powysuszała, chleba pożyczam, mięso rzeźnicy dają śmierdzące... Cała pociecha... ot!... o!

Wskazał na Sonkę, która się pyszniła i śmiała.

— I oto ten niezdara Żaba!

Ręką na grajka się zamierzył.

— Śpiewaj, bydlę jakieś!

Grajek silniej w struny uderzył.

— Śpiewaj tę... o malinie, dziewczynie—biskup jej nie posłyszy, chyba od ciebie, a ładna...

Począł się śmiać.

— E! ty biskupie—dodał—ty bo także baby lubisz! Hę hę! ktoby tych zwodnic nie lubił, kiedy takie, jak moja miła! Patrz, ta wiedźma toby mnie i do piekła poprowadziła, gdyby chciała!

Wiedźma pokazała białe zęby i zwycięsko głowę uniosła do góry.

— A u... u was? co?—zaszeplenił Rogatka. — Znowu was Bolko do kuny zapakuje, czy nie? Hę hę? Ty tęgi człek! Biskup nie biskup! ja cię kocham!

Wtem oko na dno dzbana zapuścił — był próżny. Świsnął przeraźliwie, usta w trąbkę zwinąwszy. Chłopaki wbiegły.

Rogatka dzbanem cisnął o podłogę ze złością.

— Miodu, bo pozabijam! Wina! wina! kubków. Hej! srebrnego dla biskupa!

Sonka dała znak jakiś.

— Co? niema? srebrnego? Gdzie? w zastawie? u Żyda? Patrzajże! Ziemie muszę zastawiać, kubki i misy u Izraela! Suknie też poszły het! Goły będę chodził! boso, pieszo! Taki świat! Pozabijałbym wszystkich. E! wojna, wojenka! niema jak ona! Trzeba na wojnę ciągnąć! Prawda! Łup będzie... pożywim się.

Biskup słuchał.

— A ty graj, psiawiaro!—krzyknął do Żabki, i grajek natychmiast silniej w struny uderzył.

Kobieta, widząc go w tak rozpasanym humorze, śmiała się, białą ręką przytulając mu usta.

Śmiał się i grajek, pół nucąc, pół prychając.

Chłopców z nakazanym miodem i winem nie było; książę zniecierpliwiony świsnął znowu i kubkiem, który pod ręką miał, cisnął o drzwi.

Odarty komornik, który na wierzch łachmanów naprędce wdział zbyt krótką suknię cudzą, wtoczył się ze dzbanem, podjął rzucony kubek z ziemi, otarł go o brudną połę, przystąpił z powagą do księcia i wszystko to na ławie rozstawił.

Rogatka nalał trzęsącą się ręką kubek, rozlewając na ławie, i podał go biskupowi, który przyjął.

— Hę! wojna! wojenka!—mówił śpiesznie, ciągle jąkając się i plując, a co słowo popijając, Rogatka.—Wojenka! dobra rzecz! Te łotry mają Wrocław, Opole, a mnie wyposażyli tą nędznicą, Lignicą. A tu żyć niema z czego! Kawałkami ziemię kraję i sprzedaję.

Splunął, pięść podnosząc.

— E! nie koniec między nami! Ja tych miłych bra-

tanków schwycę i posadzę! Tak, posadzę! Zaczaję się, pobiorę, muszą mi ziemię moją oddać i grzywny zapłacić. U mnie w komorze pusto, u nic tłusto!

Wtem, jakby zmiarkował, że do zbytku się wygadał, uśmiechnął się do biskupa.

— A wy? co wy na to?

— Ja? Cóż mam was uczyć?—odparł ks. Paweł.— Ziemi moglibyście gdzieindziej szukać, nie koniecznie na Śląsku.

Odchrząknął znacząco.

Łysy zrozumiał. Wtem Żabka, który z każdej chwili korzystał, by wypocząć, grać przestał, książę się rozgniewał.

— Żabo! ty skrzecz, bo ubiję! A wesoło! To twoja powinność!

Gęśla się zaraz odezwała.

— U mnie tak!—zawołał, pijąc, Rogatka.—Bez baby i bez gędźby umarłbym. Gdy baba przy mnie, grajek za mną, choćby o suchym chlebie—w duszy ciepło.

Wyciągnął rękę do biskupa.

— Prawda! Bolka i Leszka nie lubicie? Śmierdzą wam? Sadzali was do kuny? Daj mi łapę! Ja ich też niecierpię! Rodzili się na mnichów. Hę? Bolko żonę ma, a nic mu po niej! Leszek swoją wypędził, czy ona jego? Weź ich do klasztoru, niech litanię śpiewają!

Biskup się rozśmiał, a Rogatka mrugał doń oczyma.

— Ja wiem, co ty myślisz?—rzekł.—Ty mnie chcesz ciągnąć na nich? Ojcze mój! Nie pora jeszcze, muszę się wprzód z moimi rozprawić. Śląsk umieść czysto, żeby... he! he! śmiecia nie było! Het! wyżenę, wyczyszczę! Nie należy się im nic, wszystko moje! Wrocław, Opole. Potem pójdę na Kraków.

— Długo na to czekać!—bąknął Paweł.

— Byłem gdzie grzywien dostał—zawołał Rogatka—bom goły! Ziemi już w zastaw poszło dużo. Chyba biskupa którego naduszę,—śmiał się do Sonki.—Grzywny wszystkie u was się pochowały! Wiem, wiem!

— Ale nie u mnie—rzekł Paweł.

— Te łotry, żołdactwo, Sasy, Szwaby, Franki, co ich najmuję—ciągnął, pijąc, Rogatka—objadają, piją i łupią mnie strasznie. Daj a daj! Wieszam, gdy krzyczą, lecz trudno wszystkich wytracić. A piją!

Tu sam z kubka pociągnął.

Gdy tak rozmawiali, Żabka, siedzący u ognia, brząkał coraz ciszej, zmęczoną głowę chylił na jedno, to na drugie ramię i drzemać zaczynał. Palce trzymał na strunach gotowe, ale bezsilne. Niewiasta też, oparłszy się o stół, nie zważając na gościa, zmęczona usnęła mocno.

Rogatka, zobaczywszy to, wskazał na nią biskupowi. Śpiąc i nie zważając na siebie, trochę się sukni z ramion zsunąć dała, i białą szyję a piersi wydać było nie okryte.

Rogatka do ucha jej huknął, aż przestraszona rzuciła się i krzyknęła. Rozbudzony grajek w struny z całych sił uderzył, aż mu jedna pękła.

— Jeżeli biskup miał myśl, jadąc tu, pozyskać pono Łysego, zblizka mu się przypatrzywszy, wyrzec się jej musiał. Nie było tu co z nim poczynać. Nieład i niedostatek były aż nadto widoczne. Popędliwy Rogatka mógł się na jaki krok zuchwały ważyć z rozpaczy, ale na jego dobrą wiarę, słowo, rozum liczyć nie było można. Dłużej nie miał tu co robić ks. Paweł i byłby zaraz go pożegnał, lecz Łysy, spostrzegłszy ruch, z którego się domyślał, że chce odchodzić, ruszył się, świszcząc i wołając.

Chłopcy z komornikiem wpadli na to hasło.

— Wieczerza! jeść a żywo!

Starszy, który z tyłu za biskupem stał, głową potrząsł i ręce rozstawiając, dał znak księciu, że na wieczorne jadło niewiele zachować było można.

Rogatka zrozumieć tego nie chciał.

— Słyszysz, Tomisz!—zawołał—idź do Michalika na podzamcze, do tego juchy mieszczanina, który bogatszy jest ode mnie. Nażarł się on dość. Dziesięciu knechtów weź! Ja każę! Wieczerzę on pewnie ma i dobrą;

codzień psubrat ucztuje, a ja będę głodem marł! Zechce bronić, związać go i do lochu!

Tak obmyśliwszy wieczerzę, Rogatka westchnął i rzekł, do grajka się zwracając:

— Grajże mi wesoło i piej!

Potem na swą Sonkę spojrzał i uśmiechnął się.

Biskup siedział namarszczony, nie wiedząc już co czynić; Łysy znowu zabrał głos i gorąco zaczął rozprawiać. Im mu się więcej plątał język, tem zajadlej nim szermował.

— E! e! gdyby Bolko pomógł mi moich zdusić, Wrocław i Opole odebrać—wołał, — dopierobym ja na niego poszedł! Takby było najlepiej. Kraków, Sandomierz, Kalisz, Poznań, Płock... wszystko potem w jedną garść. Dopieroby się zagrało i zaśpiewało. Dana! dana!

Żaba, nie zrozumiawszy o czem była mowa, gdy danę posłyszał, strunami wstrząsnął i huknął po niemiecku głośno.

Tymczasem Rogatce do głowy coś przyszło, do biskupa się nagiął, sapiąc i rzekł:

— U ciebie w komorze grzywny są! Ej są! Ty dobry człek! Tysiąc mi pożycz!

Paweł poruszył tylko ramionami.

— Daj pięćset.

Biskup ręce złożył.

— A dwieście?

— Ja zamożnym nie jestem—odezwał się Paweł— bojąc się mego Bolka ludzi trzymać muszę dużo, a ludzie jedzą.

— A mnie? moje Niemcy? Zobacz co tego jest!— wołał Rogatka. — Żrą a chlepią, strach! Przychodzi to gołe, bose; nie nastarczyć opończy i obuwia. Daj ty mi choć grzywien dwieście.

Zadumał się Rogatka.

— Wiesz!—dodał pół żartem.—Jak nie, kazałbym cię tu zaraz wziąć i do lochu zasadzić i mogę trzymać, aż dasz tysiąc! Twój Bolko cię nie poratuje, a interdyktu ja się nie boję.

Zerknął okiem; po twarzy biskupa przemknął się cień niepokoju.

— Jakby na was klątwę rzucono, ludzieby odbiegli— rzekł Paweł.

— Oni?—rozśmiał się Łysy.—To Niemcy, oni polskiej klątwy nie rozumieją! Ale nie bój się, nic ci nie zrobię, tyś potrzebny. Mącisz wodę, my w niej może złowim rybę! Daj po dobrej woli pięćdziesiąt!

Paweł z przymusem się uśmiechał.

— W podróży ja z sobą srebra nie wożę—rzekł— lecz byś książę wedział, że mu dobrze życzę, z tych, co mam z sobą, dziesięć każę odliczyć!

Rogatce oczy zabłysły, wyciągnął rękę.

— Jak się kanclerz prześpi, bo go spoili, każę ci napisać... hę? chcesz lasu jaki kawałek?

Biskup głową skłonił obojętnie.

— Nic nie chcę—odparł,—a proszę, abyś mi książę sprzyjał i był życzliwym. Gdy drudzy iść będą... możesz pójść z ludźmi swymi—dodał z naciskiem—pożywicie się przytem.

W czasie tych szeptów za drzwiami hałas powstał okrutny, szamotał się tam ktoś i krzyczał, słychać było wołania żołdaków i śmiechy. Do drzwi dobijać się zaczęto i i otworzono je z trzaskiem. Ani książę, ani Sonka, ani grajek, nawykli pewnie do przygód podobnych, najmniejszego nie okazali zdziwienia.

W progu stał postronkiem za szyję ułapiony, człowiek lat średnich, z bródką postrzyżoną, ubrany bardzo dostatnio, wrzący gniewem i oburzeniem. Był to Michalik, któremu zabrano wieczerzę i jego z nią razem. Za nim widać było ze śmiechem ludzi niosących misy i dzbanki, do których zaglądali po drodze.

Michalik krzyczał i łajał.

— Michalik, mysz ty ruda!—zawołał książę, pięścią bijąc o ławę.—Milcz mi, nie zawódź, bo cię na bancie obwiesić każę. Idź pocałuj panią Sonkę w rękę; siadaj razem z nami do wieczerzy, pal cię kat! Będziesz z księciem i biskupem jadł! Warto coś! Żabo, graj!

Michalikowi jęczącemu popuszczono sznura, chłopcy już stół stawili. Żaba grał z całych sił, a niewiasta wstawszy, poprawiła włosy, przypatrując się biskupowi.

Rogatka też z łóżka się podniósł, na półodziany, w kożuszku na gołem ciele, bez gzła, i w lichej reszcie odzieży. Posadził biskupa do stołu, sam koło niego zabrał miejsce, Sonkę, w pół objąwszy, przysunął ku sobie, cmoknąwszy ją głośno; naostatek i Michalikowi, trzymającemu się zdala, rozkazał przysiąść się do stołu.

Podano ową złupioną na podzamczu wieczerzę, a grajek w nadziei napoju i ochłapa, odchrząknąwszy, zawiódł pieśń księciu ulubioną o dziewczynie, malinie.

II.

Czerwiec, który zwiastował się gorący, zawczasu piekł, suszył i skwarzył. Na polach zboża żółknąć zaczynały, miejscami i w wodopojach brakło wody. Lata były niezwykle ostre, zimy śnieżne, a znaki na niebie nie dobrego na ziemi nie przepowiadały. Ludzie widywali często to dwa krwawe słońca, to w nocy gwiazdę, rózgę wlokącą za sobą, która nic innego nad chłostę Bożą wróżyć nie mogła. Nocami niekiedy, jak deszcz ognisty sypały się gwiazdy padające, to znów od północy gorzały łuny, jakby tam kędyś szmat ziemi się zapalił. Wichry wywalały lasy indzej smok powietrzny, wypiwszy staw lub jezioro, zalał pola niemi i ryby na drzewach powieszał. Rzeki, jak pijane z brzegów wychodziły; w styczniu robiło się ciepło, w maju przybłąkał się mróz, który wszystkie warzywo powarzył, potem w czerwcu paliło już, jakby lipiec się miał do końca.

Nie wiodło się też dobrze w księstwach tych, co niegdyś stanowiły jedno wielkie królestwo; teraz podarte na szmaty, poszły na łup to Niemcom, to panom różnym, jak Opawa, którą sobie przywłaszczył czeski Przemysł, a powrócić jej Bolesławowi nie chciał. Godzili się o nią i zgodzić nie mogli. I gdy Bolko krakowski tą Opawą był zajęty, gotował się na niego zamach, do którego dawno biskup Paweł podwaliny zakładał.

Ks. Pawła w Krakowie nie widywano już nigdy; sie-

dział teraz na Śląsku u ks. Władysława, którego łudził tem, że mu da Kraków i Sandomierz, a z niemi wierzchnią władzę.

Władysław, choć niepodobny był do Rogatki, dał się na lep wziąć, gdy ujrzał przybywających do biskupa gromadnie ziemian z Krakowa i Sandomierza.

Tych najwięcej przywiedli i pozyskali Toporczycy.

Wszystko już tak ułożonem było, aby wybuch jawny nastąpił rychło. W Krakowie wiedziano też, co grozi. Resztka ludzi wiernych, która przy Bolesławie stała, znowu chciała pochwycić biskupa, jako pierwszą przyczynę niepokoju, ale Paweł w Opolu siedział i z pod księcia Władysława się nie ruszał.

Na zamku w Opolu oddawna był niepamiętny ruch i krzątanina; nigdy się tak wojenno nie przysposabiano, jak teraz. Ani czasu napadów tatarskich tyle się tu ludu nie ściągało, ani dwór rycerski był kiedy tak liczny.

Dnia tego biskup Paweł nie swoim zwyczajem po świecku i przy orężu, ale w szatach uroczystych, z orszakiem duchownych znajdował się przy księciu Władysławie.

Świątecznie wszystko było na zamku przybranem, straże pokładły najpiękniejsze zbroje, dwór przywdział szaty najokazalsze. Sam książę Władysław, który, jak inni książęta, po niemiecku się nosił, wystąpił cały w łańcuchach, klejnotach i jedwabiach, czekając obiecanych mu gości. Co chwila przybywali gońcy na zamek, zwiastując coś nowego. W izbie wielkiej gościnnej siedział książę Władysław, mimo wszystkich tych przygotowań niezbyt wesoły. Za to biskupowi twarz promieniała.

— Wasza Miłość,—mówił do księcia—mało masz, widzę, w nas wiary. Jać przecie nie darmo długie nad tem pracuję lata, abym te książątka powyganiał. Obudziło się stare rycerstwo krakowskie, co dawniej sadzało i zrzucało swych panów i pójdzie z nami. Bolko nikogo za sobą mieć nie będzie, odstąpią go—panowanie skończone.

Książę Władysław, średnich lat, młodo jeszcze i rycersko wyglądający mężczyzna, dosyć pięknej twarzy, ktora nie znamionowała wielkiej bystrości umysłu, ale męstwo i siłę—zwolna zwrócił się ku biskupowi.

— Daj Boże, aby się to stało, jak przepowiadacie— odezwał się;—moi ludzie nie zupełnie to potwierdzają. Mówią mi, że Bolko ma znaczną część ziemian z sobą i za sobą. Zawczasu się dopilnował! Nie pójdzie nam tak łatwo, jak sądzicie.

— Alboż władzę i ziemię łatwo się kiedy zdobywa?— zawołał biskup.—Juści więcej nad to żądać nie można, gdy wam znaczna część ziemian sama tu przyniesie swe głowy i posłuszeństwo zaprzysięże.

Rozśmiał się biskup dumnie.

— Nie chwaląc się—rzekł—Wasza Miłość winni to będziecie Pawłowi z Przemankowa!

— Wiem, i potrafię mu to zawdzięczyć—odparł książę z lekką oznaką niezadowolenia.

Książę rad był pewnie temu, co go spotykało, ale sromał się nieco, iż z rąk niezbyt czystych miał to otrzymać.

Stał książę Opolski w oknie, biskup uchem łowca, rozeznającego szelest najmniejszy, chwycił daleki tętent koni i porwał się wyjrzeć.

Na drodze, ku zamkowi wiodącej, widać już było długo wyciągnięty szereg jezdnych, w uroczystym pochodzie postępujący ku wrotom. Pobladł nieco książę Władysław, a pamiętny pobożności swojego rodu, ręką nieco drżącą przeżegnał się.

Widok z okna był wspaniały. Jechali przodem konno dostojnicy krakowscy i sandomierscy, kasztelanowie i wojewoda, ludzie już osiwiali, ale krzepko się, mimo lat, trzymający wszyscy we zbrojach i w hełmach, konie w oponach, miecze jasne u boków. Za nimi ziemiaństwo strojne i zbrojne, dalej dwory ich orężne. Jak okiem zajrzeć, zwijało się, to wężem po gościńcu, niby wojsko, do boju ciągnące. Kilka tysięcy ludu wiedli z sobą.

Biskup z dumą spoglądał, było to jego dzieło. Mimowoli usta zamruczały. Mówił sam do siebie:

— Chciałeś mnie wrzucić do więzienia! Ja cię poślę na wygnanie. Do Węgier, do teścia, na łaskawy chleb, pobożny panie!

Śmiał się szydersko i dumnie, pewny zwycięstwa.

Wtem, nim jeszcze ów orszak wspaniały do wrót się zbliżył, biskup, który sam w drugiem oknie stał i oczy pasł tym widokiem, ujrzał w podwórzu coś pod sobą, co go zraziło nagle i strwożyło. Mimowolnie cofnął się krok w tył.

Pod murem z podniesioną ku niemu głową stała niewiasta, żebraczka, czy pokutująca pątnica, w sukni czarnej, wyszarzanej. Widać było z jej odzieży: podartego, ledwie się na nogach trzymającego obuwia, z chust poszarpanych, że tylko co musiała odbyć długą, nużącą drogę. Dyszała ze zmęczenia i chudą ręką uciskała pierś, podnoszącą się żywo. Z pod płachty, którą głowę miała przyrzuconą, wymykały się kosmyki czarnych, poplątanych, nietkniętych dawno włosów, na których osiadł pył, poczepiały się liście drzew i gałązki.

Zobaczywszy ją, Paweł cofnąć się chciał całkiem z okna, lecz wstyd mu było przy księciu okazać jakąś obawę. Pozostał więc, a niewiasta miała czas, podniósłszy oczy ku niemu, rękę wyciągnąć. Śmiech, jakby obłąkany wyrywał się z ust jej.

— Pobłogosław! Przeżegnaj!—wołała.—Trupy twoje jadą! Grzebać ich będziesz w sobotę!—skinęła głową ku niemu.

Książę Władysław, który widział ją z drugiego okna, odezwał się do biskupa:

— Znacie tę żebraczkę?

— Z Krakowa być musi—nie wiem!—rzekł Paweł, starając się okazać spokojnym.

Nim mieli czas więcej powiedzieć, znikło im z oczów to zjawisko, a we wrota wjeżdżali już posłowie ziemian Krakowa i Sandomierza.

Książę Władysław niespokojnym krokiem szedł do wielkiej izby, w której nań czekali duchowni, urzędnicy, dwór, rycerstwo; ksiądz Paweł szedł obok niego.

Uroczysta cisza panowała w sali pełnej około siedzenia przysposobionego dla księcia, pustej w drugiej połowie. Biskup wyszedł ku drzwiom na spotkanie Krakowian, gdyż on sam chciał ich prowadzić. Świeże owe proroctwo: „trupy twoje jadą", choć je lekceważył, zatruło mu słodycz tej

chwili zwycięstwa. Gwałtownym wysiłkiem woli starał się wypogodzić czoło i uśmiechać swobodnie.

Krakowska starszyzna i ziemianie, których Toporczyki i biskup zdołali do tego kroku nakłonić namowy i obietnicami wielkiemi, z dobrą myślą szli z początku zdawało się im, że za sobą pociągną jeśli nie ogół, to część najprzedniejszą. Ostatnia chwila zmieniła położenie i zawiodła nadzieje. Gdy przyszło wybór czynić pomiędzy Bolkiem Wstydliwym a Opolskim księciem, którego ród znano, jako chciwy panowania, burzliwej krwi, a niemieckiego obyczaju, zawahało się wielu. Niektórzy, co obiecywali się iść, cofnęli się później, inni skryli się tak, że ich wyszukać nie było podobna, inni jawnie poprzechodzili do obozu Bolesława.

Cofnąć się pozostałym przy Opolczyku było już niepodobna; poszli więc do Opola, lecz przybywali tu znacznie mniej pewni zwycięstwa, z wątpliwością i niemal obawą o swe losy.

Biskup poznał to z ich twarzy. Na niektórych, mimo powagi, widać było pewien wstyd i zakłopotanie.

W progu trzej główni przewódcy, Świętosław, Racibor i Sambor, zamienili z nim wejrzenia znaczące, z których mógł wyczytać wielką troskę o przyszłość. Biskup musiał ich tem większem natchnąć męstwem i otuchą.

Jako mówca, pierwszy wystąpił Świętosław, mąż okazały, poważny, siwiejący, żołnierz stary, lecz między swymi znany z tego, iż więcej twarzą i postawą obiecywał, niż głowa starczyła. Biskup miał go zdawna w ręku. Zbliżył się, hełm zdjąwszy, ów orator Krakowian aż ku książęcemu siedzeniu, spojrzał na Władysława, pokłonił się; lecz gdy przyszło zacząć mówić, dobrą chwilę musiał zbierać myśli, nim głos zabrał.

— Ziemianie Krakowa i Sandomierza, starzy ojczyce, przychodzimy do Miłości Waszej wezwać ją, abyś objął rządy nad nami. Było zawsze ziem tych prawem, iż rycerstwo i duchowieństwo pana sobie wybierało. Teraźniejszy nasz pan, Bolko, bez naszej wiedzy i woli naznaczył sobie następcą Leszka, a my go znać nie chcemy nad sobą. Nie jesteśmy niewolni, aby nas oddawano bez pytania.

Wolimy Miłość Waszą dla sąsiedztwa i połączenia tych ziem z naszemi, skąd nam większa wyrośnie siła.

Wyjąkał to Świętosław przerywanym głosem, a za nim wszystka przybyła starszyzna zaczęła potwierdzać słowa jego, wołając:

— Tak jest! Chcemy mieć Miłość Waszą nad nami!

— Ja zaś, jako duchowna głowa tych ziem błogosławię postanowieniu temu i razem z niemi księcia na stolicę powołuję.

Ozwał się okrzyk, ale słaby i pomieszany.

Książę Władysław, który czuł dobrze, iż porywając się na Kraków, wiele waży, spodziewał się więcej ochoty i zapału po przybyłych. Uderzyło go wahanie się ich i obawa jakaś przy ofiarowaniu mu księstwa, do którego innego prawa nie miał, nad to, jakie mu oni przynosili.

— Niech się stanie, jak żądacie!—odpowiedział po chwili.— Nie tajno wam, iż ja sprawę waszą przyjmując za własną, trud, krew i to, co mam, muszę poświęcić: Kraków zdobywać potrzeba. Słuszna więc jest, abyście mi wierność poprzysięgli i spisali na karcie dla wiekuistej pamięci postanowienie wasze.

Kanclerz biskupi, stojący też z gotowym pergaminem, rozwinął go i podniósł w ręku do góry.

Nikt się nie sprzeciwiał.

Biskup Paweł, pośpiesznie ująwszy krzyż i księgę, które mu podano, zstąpił pomiędzy ziemian i rotę przysięgi czytać zaczął.

Wszyscy podnieśli palce do góry, mruczano, powtarzając za nim wyrazy, poczem kapelan ujął Ewangelię przez bogatą tuwalnię, i poniósł ją przytomnym do pocałowania. W czasie tego obrzędu cisza głęboka, smutna, złowroga panowała w sali. Nie widać było radości ani w tych, co przysięgali, ani w panu, na którego korzyść zrzekano się dawnego.

— Pomnijcież —odezwał się książę wzruszony, głosem poważnym,—iż przysięga wiąże nas zobopólnie, a ślub to jest wieczysty.

Ziemianie stwierdzili to dość cichym głosem, bez

wielkiego zapału. Biskup jeden okazywał radość żywą i głośną.

Gdy się to skończyło, wstał książę Władysław z siedzenia i sam przystąpił do starszych z łaskawemi słowy oświadczając się im z dobrą wolą swą. Trochę mu z piersi spadło ciężaru, twarz się rozjaśniła.

Stoły na przyjęcie mnogich gości już były zawczasu przygotowane, z izby więc ruszać się zaczęli, rozpraszając się różnie, bo tylko starszyzna z księciem i biskupem mogła pozostać, reszta zaś w podwórcu, a czeladzie na podzamczu i w mieście przyjmowane być miały.

Uroczysty ów obrzęd zatruty był już w początku niewysłowioną jakąś tęsknicą, czoła nie mogły się rozpogodzić i u książęcego stołu długiego czasu było potrzeba, nim się usta porozwiązywały.

Przy biskupie posadzony Świętosław Włodzimirzycz, który mówił pierwszy, odezwał się doń bardzo cicho:

— Błogosławcie, ojcze, sprawę naszą i swoją, a proście Pana Boga za nią, bo trudna się ona obiecuje!

Biskup odparł mu surowym wzrokiem.

— Zła to rzecz, gdy się od zwątpienia poczyna — rzekł gniewnie.—Ani chcę słuchać takiej mowy! Co się stać powinno, to się dokona, to się zrobić musi!

Świętosław, łamiąc chleb, patrzał nań.

—Dużo ludzi nas zawiodło — odparł półgłosem.— Bolko nam odciągnął wielu! o wielu!

Uniósł się biskup.

— Tych, co swoich odstąpili, zdrajców!—krzyknął —wszystkich pod miecz! Nie darujemy nikomu.

Gorączkowo ciągnął dalej:

— Obejdziemy się bez tych. Zwyciężym sami. Siła nasza i poczciwa sprawa przemoże. Precz musi iść Bolko ze swym Leszkiem. Nie wystąpi przeciw nam, a jeśli się odważy, na miazgę go zgnieciemy.

— Dużo krwi się przeleje!—przebąknął zadumany Świętosław.

— Tem lepiej; złej krwi upuścić trzeba, aby ciało wyzdrowiało—odparł Paweł.

Rozmawiali, a książę Władysław rozpytywał Raci-

bora o siły, jakie mu z sobą przyprowadzili, gdy Żegota Toporczyk, wysłany przez ks. Pawła dla dostania języka, zjawił się z powrotem w progu. Wchodził, jak z konia zsiadł, cały opylony, zmęczony, ze skronią potem oblaną, z czołem namarszczonem.

Paweł zobaczył go, podniósł się nieco, dając mu znak, aby się ku niemu przybliżył. Zjawienie się Żegoty wszystkich w niepokój wprawiło, z oblicza mu czytali, że coś z sobą niedobrego przynosił. Nim miał czas się odezwać, biskup szepnął mu pośpiesznie:

— Serca nie psuj! złego, jeśli masz, nie głoś!

Posłuszny Toporczyk w tył się cofnął milczący. Badano go ze wszech stron oczyma. Nie mówił nic wprawdzie, lecz nie mógł twarzy zasępionej odmienić. Było w niej coś groźnego.

Choć nalewano, a wzywano do picia, choć Ślązaków kilku chodziło po stołach, zagrzewając do wesołości, widok tego posła odejmował ją wszystkim. Spojrzawszy nań, ostygał każdy.

Ks. Pawłowi udało się kilku rozruszać, rozmowa wszczęła się żywsza, a gdy ludzie od miodu i wina trochę oszołomieli, biskup wstał z miejsca swego, poszedł do księcia naprzód, zbliżył się potem do kilku, tu i owdzie coś rubasznego podszeptując. W ostatku na Żegotę skinął i wywiódł go nieznacznie do komory bocznej.

Sam był też niespokojny, wyjście jego drugich też poruszyło, oglądano się na drzwi.

— Mówże, coć tam tak zalało za skórę!—zawołał zniecierpliwiony.—Wy wszyscy niewieściuchy, nie macie serca, tracicie od lada czego odwagę... Co począć z ludźmi takimi!

Żegota wysłuchał cierpliwie.

— Ciągną przeciwko nam——rzekł sucho—ciągną na nas, nim my mieliśmy czas wyruszyć. Bolko, nie wiem, czyby miał po temu męstwo, ale Czarny niecierpliwy jest i mężny, nie ulęknie się on nikogo! Ciągną na nas!—powtórzył.

— Leszek,—zaśmiał się z przymusem biskup—tyle wart, co i tamten!

Obrócił się niecierpliwie.

— Ale gdzież oni są? ilu?

— Krakowscy nas zawiedli—odparł z goryczą Żegota.—Moich własnych, powinowatych dobra część przy nich została. Przyjdzie się bić, brat przeciw bratu, własną krew dać.

Oburzył się biskup.

— Własna krew, bracia! to cóż?—zawołał.—Albo to, gdy potrzeba, nie może iść brat przeciw bratu?

Ramionami zżymnął.

— Gdybym rodzonego miał—dodał—a stał mi na drodze!...

Wyrwało mu się to z taką zajadłością, że Toporczyk cofnął się o krok. Ks. Paweł zmienił głos.

— Gdzie są? ile ich jest?—zapytał.

— Więcej będzie, niż nas.

— Ze Ślązakami?—odparł Paweł.

— Daj Boże, aby ci się bić chcieli, jak my i z nami razem—dodał Żegota!—Wiele oni serca nie mają! najemny lud! Rady już innej niema— dokończył—jak wyruszyć przeciw nim zaraz, jutro, nie dając się zabrać w kojcu. Jutro musimy w pole!

Ks. Paweł zmarszczony, przystąpił doń, grożąc.

— Milcz-że mi ze strachami temi—syknął—milcz. Tak, jutro potrzeba w pole, ale nie z trwogą głupią, co serce odbiera, ino z tą pewnością, iż zwyciężym. Musimy! Milcz!

Zawrócił się, nie patrząc już na niego i poszedł do księcia. Ze śmiechem na twarzy oparł się na poręczy jego krzesła, szepnął coś i wyprowadził go z sobą.

Gdy się owo ucztowanie nad wieczorem skończyło, a przybyli ziemianie sądzili, że tu sobie spocząć będą mogli pod opieką obronnego zamku opolskiego, o mroku zatrąbiono.

Rozkaz poszedł po pułkach wszystkich.

— Jutro w pole!

Śląskie posiłki nie były jeszcze gotowe, posłano wskok zbierać, co w pobliżu stało. Krótka noc czerwcowa starczyć musiała na pościąganie ich.

Czynnym był sam książę, Świętosław, Racibor, ale nikt nad biskupa Pawła czynniejszym. On tu zdawał się prawdziwym wodzem, on był duszą wszystkiego. Nie położył się do snu, światła gasić nie kazał, suknie tylko zmienił, jakby się sam do pochodu i na koń gotował. Co chwila otwierały się drzwi posłańcom, wołano dowódców, dawano rozkazy. Paliła go gorączka, czuł, że się tu los jego miał rozstrzygać, ale nie stracił ducha, musiał go wlewać w drugich. Tymczasem wszystkie wysiłki jego i tych, których dla rozgrzewania ludzi rozsyłał po obozie, rozbijały się o jakieś trwożne przeczucia.

Jak dzień, oddziały niektóre już się z pod zamku ruszać zaczęły. Koń dla ks. Pawła stał gotowy. Ślązaków, mających posiłkować, nie doczekano się. I to go nie powstrzymało. Ręczył, że Ślązacy w drodze napędzą, naglił, wostatku ofiarował się sam zostać w Opolu, aby przyśpieszyć wyprawienie posiłków.

Książę Władysław zatrzymał się także. Cały zaś tenzastęp kilkotysięczny, który wczoraj przyniósł mu w ofierze dwie najpiękniejsze ziemie, ze dniem musiał iść w pole.

Z okna zamkowego biskup niespokojnie patrzał za wychodzących i obliczał ich oczyma. Siła na owe czasy dość była znaczna, ale szła bez tej wiary i zapału, co zwiastuje zwycięstwo. W milczeniu pułki się rozwijały, szły krokiem ciężkim, a gdy w dali znikły za tumanami kurzawy, ks. Paweł padł na krzesło i dopiero uspokojony nieco, złamany bezsennością, zmrużył powieki zmęczone.

Przed chwilą pełen ludu zamek Opolski, opustoszał nagle, stał się milczącym; mała garść tylko została w nim przy księciu, który coraz mniej okazywał ochoty wyjść naprzeciw nieprzyjaciela. Oczekiwał na swoje pułki.

Biskup za wojskiem ciągnąć nie mógł, a gdyby to chciał nawet uczynić, książę Opolski, który go niemal, jak zakładnika trzymał, nie byłby może go puścił od siebie.

Cały ten dzień i następny upłynął w jakiemś oczekiwaniu niespokojnem. Paweł, zaledwie mogąc wytrwać bez wieści, naglił ciągle o dostawanie języka, wyprawiał resztę sług, jaka mu pozostała. Od Świętosława nie przychodziło nic.

W piątek dodnia, po śnie jeszcze niespokojniejszym, biskup z łoża się porwał tak rozdrażniony tą ciszą złowrogą, która go otaczała, iż dłużej w miejscu usiedzieć nie mógł. Dworowi swemu kazał się sposobić w drogę. Dokąd? sam dobrze nie wiedział! Do wstającego z łoża księcia wszedł już w sukniach podróżnych.

— Wytrwać tu dłużej nie mogę—rzekł. — Książę, jeśli chcesz, wstrzymać się możesz, ja na zwiady sam ruszę.

— Dokąd?

— W ślad za wojskiem—dodał biskup.—Żadna siła mnie tu już dłużej nie przykuje. Trzeba iść, trzeba ich gnać, zagrzewać, męstwa dodawać. Niema dowódców, jakich mieć chciałem. Wszystko wniwecz pójść może!

Chciał coś rzec przeciwko temu książę, lecz Paweł, nie dając mu się odezwać, wybuchnął:

— Muszę za nimi dążyć!

To mówiąc, zaledwie się pokłoniwszy, nachmurzony, zburzony, nie czekając odpowiedzi, wybiegł w dziedzińce, dosiadł konia, sługom dał znak i popędził kłusem.

Książę Władysław wysłał za nim, chcąc powstrzymać, lecz biskup już był w miasteczku. Zły i tak rozsrożony, iż ludzie właśni zbliżyć się do niego nie śmieli, popędził szlakiem, na którym widać było jeszcze ślady przechodu polskiego oddziału.

Zaledwie z południa skwar okrutny zmusił go w lesie konia, zamordowanego prawie, zatrzymać. Zsiadłszy, rzucił się na ziemię. Jeść nie chciał nic, wina podać kazał i bez pamięci gasił niem pragnienie. Zaledwie konie wytchnęły, wołał już, aby je podawano.

Kruk mu się chciał sprzeciwić, uderzył go obuszkiem.

— Na koń!

Jak gdyby mu młodość powróciła, niezmęczony, dosiadł drugiego wierzchowca i gnał dalej z tym pośpiechem, co rano. Pędził tak do samej nocy, aż wkońcu koń pod ks. Pawłem, ciężkim i roztyłym, chwiać się zaczął i padł. Musiano stać w miejscu, gdzie ani wody, ni schronienia nie było.

Lecz ks. Paweł z niczem się nie zwykł był rachować, nie słuchał nikogo, a gdy mu o przeszkodach jakich mówiono, klął i łajał. Czego chciał, stać się musiało.

Tym razem jednak, choćby niejednego z ludzi z konia zsadził, żaden po takim kawale drogi nie poszedłby dalej, nie odpocząwszy. Biskupowi rozesłano wojłok pod drzewy, gdy burza, na którą się oddawna zbierało, a zdała się przechodzić bokiem, nagle ich z piorunami i straszną ulewą napadła.

Przez szałas z gałęzi, co go ludzie sklecili naprędce, lała nawałnica, jak przetakiem. Biskup nie zdawał się nic czuć ni widzieć.

Pioruny sinem światłem oblewały okolicę; patrzał osłupiałemi oczyma, czekając, rychło-li znowu na koń siąść będzie można.

Wicher i burza już ustawały, gdy w świetle błyskawic na drodze ujrzał biskup coś poruszającego się. Czarny ten cień zbliżał się ku jego obozowisku. Był to ktoś idący drogą, wiatr suknie jego unosił... i z głowy płachtę mu zrywał.

Biskup drgnął cały, przeczucie jakieś pierś mu przeszyło. W każdym cieniu widział tego szatana, co za nim pędził, co go prześladował.

Ludzie, którzy dla burzy nie spali, ujrzawszy to widmo, pewni, że upiór się im ukazał, spłoszeni skryli się w gąszcz i rozbiegali.

Biskup oczy miał wlepione w tę postać poruszającą się zwolna, która to nikła w ciemnościach, to jawiła się w błyskawicy, coraz bliżej a bliżej.

Stanęło wreszcie widmo u skraju obozu.

Jeden z czeladzi, który ujść nie pośpieszył, leżał

na ziemi. Schyliło się nad nim i głosem ludzkim coś spytało.

Biskup usłyszał krzyk; widmo przysunęło się bliżej jeszcze ku szałasowi. W błyskawicy zobaczył przed sobą Bietę i przeżegnał się strwożony.

Stała przed nim, ręką wskazując poza siebie.

— Pod Bogucinem krwawe pole! Szłam wam dobrą zwiastować nowinę. Oj, lała się, lała ta krew, coście jej utoczyć chcieli. Padli wszyscy zdrajcy.

Biskup, którego pierwszy przestrach odszedł, podniósł się z ziemi.

— Kłamiesz, potworo niecna!—Kłamiesz!—zakrzyczał.

Głos mu w gardle zamierał, zaczął wołać na Kruka, który, widmo znane sobie zobaczywszy, dobrze się zaszył w zarośle.

Rozległ się śmiech słaby. Bieta krótko przed szałasem postała, rękę wyciągnęła na pożegnanie, poszła dalej.

Gdy jej już widać nie było, Kruk dopiero nadbiegł do biskupa, który nie mówiąc za co, zaczął go obuchem okładać.

Na wschodzie dnieć zaczynało. Ksiądz Paweł wołał o konie, gdy na gościńcu ukazało się dwóch jeźdźców, pędzących co sił, na pianą okrytych koniach.

Nim Kruk wybiegł ku nim, chcąc zatrzymać przemknęli się i znikli.

Jechał jeden za nimi... koń pod nim padł i on z nim, ale nie podniósł się już więcej. Oba byli krwią okryci, a gdy Kruk zbliżył się, znalazł dwa drgające trupy. Poznali w człowieku Raciborowego syna, mieczami zrąbanego, i poprzeszywanego strzałami. Oczy ku nim otwarł jeszcze, poruszył niemi i skonał.

III.

W nędznej chacie, na posłaniu z siana i słomy, ledwie wojłokami z koni zdjętemi, pokrytem, w mroku, który niekiedy słabo rozświecał ogień zapomniany w drugim końcu izby leżał Paweł, biskup krakowski.

Na ławach siedziało w milczeniu kilku ludzi z pozakładanemi na piersi rękami, ze zwieszonemi smutnie głowami, spoglądając niespokojnie ku łożu, na którem nie wypoczywał, ale męczył się mąż namiętności gwałtownych i nieposkromionego ducha.

Po rozbiciu pod Bogucinem Krakowian i Sandomierzan przez Bolesława i Leszka, Paweł z innymi chciał szukać schronienia w Opolu. Przestrach go potem ogarnął jakiś, aby nie został wydany. Nie dowierzał nikomu, nie chciał być na łasce niczyjej. Wolał swobodny szukać schronienia, włócząc się po lasach i dobrach kościelnych, niż zdać się Władysławowi Opolskiemu.

Zaraz po krwawym tym boju, w którym, co najprzedniejsi, jak Świętosław i Racibor, padli, broniąc się rozpaczliwie, rozeszła się wieść o strasznej pomście, jaką Bolesław ścigał zdrajców, którzy przeciwko niemu z Opolczykiem się sprzysięgli. Szukano biskupa, pobranych w bitwie zamknięto w więzieniach, zbiegłym zabierano majętności, nie było przebaczenia dla nikogo.

Surowość ta niezgodną była z charakterem łagodnym Bolesława. Leszek Czarny zmuszał go do niej, żądali tego ci, co pozostali mu wierni. Trwogą chciano się zabezpieczyć od nowej zdrady.

Biskup, błąkając się przez dni kilkanaście, gdziekolwiek dostał języka, wszędzie jedno słyszał.

Nie było przebaczenia dla nikogo. Wiedziano dobrze, kto Opolczyka namówił, kto ziemian do zdrady wciągnął, szukano sprawcy wszędzie, aby na nim się pomścić.

Obawa uwięzienia, więcej, niż śmierci, gnała biskupa, nie dając mu nigdzie spoczynku. Lato skwarne nadchodziło, konie ze znużenia padały, ludzie wycieńcze-

ni byli włóczęgą nocną i dzienną, głodem i bezsennością. Sam biskup wreszcie, którego żelazną siłę podtrzymywał duch niespokojny, czuł się już po kilku nie zielach ucieczki i błąkania, śmiertelnie znużonym i chorym. Miał gorączkę.

Lecz i w tym stanie pozdrażnienia nie zmienił się w nim człowiek, nie przebaczyłby nikomu. Zemsta tylko potęgowała się w nim do wściekłości; bezsilny, szukał środków zaspokojenia jej, szalonych jak ona. Ludzi wysłał na Litwę, aby wciągnęły tłumy pogan i aby przynajmniej zniszczeniem kraju podległego Bolesławowi i Leszkowi, odemścić się za jego zawody.

Pocieszał się tem złoczyństwem. Z sobą nie wiedział, co poczynać; przewidywał zdradę, lękał się jej, podejrzewał przyjaciół, zmieniał codzień miejsce pobytu. Wkradał się nocą, wyjeżdżał z rana, włókł bez celu, a ci, co mu towarzyszyli, nawykli do wybuchów gniewu jego, wytrzymać już nie mogli gwałtowności, z jaką rzucał się na nich. Bez najmniejszego powodu czasem krwawił i tłukł niewinnych.

Kilkoro czeladzi zbiegło mu z drogi, orszak się zmniejszał, biskup nie wiedział już, dokąd się obrócić.

Pomimo tego rozpaczliwego położenia, wśród nocy bezsennych, w marzeniach pół snu, pół jawy, czynił nowe rachuby na przyszłość, nie zrzekając się nienawiści swej i pragnienia pomsty.

Leżąc w tej chatce, wśród lasów, z której ludzie jego wygnali siłą biednego zagrodnika, biskup rzucał się, mruczał, klął, zrywał się; po kilkunastu dniach walki wewnętrznej z sobą, mimo starganych sił, pozostał takim, jakim go pierwsza wieść o porażce pod Bogucinem uczyniła. Gdy się uspokoił na chwilę, a mimo woli sen skleił mu powieki, wyobraźnia dręczyła go obrazami zemsty upragnionej. Zrywał się z krzykiem i na jawie ciągnął je dalej.

Ludzie go już za pół oszalałego mieli. Kruk rozmyślał nad tem, co ma poczynać z nim, jeżeli zmysłów nie odzyszcze. Schronić się bezpiecznie nie było dokąd z obawy Bolesława, Leszka i więzienia, a dłuższa włóczę-

ga po lasach i pustkowiach stawała się coraz cięższą. Duchowieństwo po parafiach musiało go żywić z dworem, a choć go szanowało, jako swego pasterza, w sercu niebardzo było przychylne. Krakowscy kanonicy byli daleko, a ci, którzy z nim trzymali, musieli się z tem taić, aby na siebie posądzenia o spółkę w zdradzie nie ściągnąć.

Smutno było w biednej chacie. Biskup jęczał i rzucał się na posłaniu, służba siedziała milcząca. Niekiedy podrzucano nieco łuczywa dla światła; w izbie było parno; blask raził w oczy Pawła, który nie mógł wytrwać ani w ciemnościach, ani przy świetle, bo i to go raziło.

Podawano mu wodę, której ledwie skosztowawszy, odpychał. Jadło nie smakowało mu żadne. Upokorzona duma zwiększała rozdrażnienie, czuł się opuszczonym, zdradzonym, bezsilnym, a nie wiedział do kogo się zwrócić o pomoc, bo podchlebców i pasorzytów miał zawsze, przyjaciół nigdy.

Wśród chorobliwych marzeń stawała przed nim i straszna postać prześladującej go Biety, którą spotykał wszędzie, gdzie się obrócił, ścigającą go zajadle, nie dającą spoczynku. Było coś szatańskiego, nadludzkiego w tym uporze niewiasty biednej, przewidującej, gdzie znaleźć go będzie mogła i zemstę swą mu przypomnieć. Prawica Boża z tej chorobliwej istoty czyniła narzędzie swej kary.

Trwogą zabiło mu serce, jak błyskawica po głowie prześliznęła się myśl pokuty, zamknięcia na resztę życia w klasztorze, poświęcenia go na odkupienie swych błędów. Ale nie wytrwał z nią długo. Stanął mu przed oczyma obraz Bolesława zwycięskiego, Leszka urągającego mu;—wstrząsnął się cały i pot zimny wystąpił mu na czoło.

— Nie czas jeszcze na pokutę!—wykrzyknął, zgrzytając zębami.

Myśli mściwe na nowo nim zawładły.

Przez całą noc trwała ta gorączka, któraby innego zabiła, a jego tylko uczyniła silniejszym przeciw losom. Zasnął nadedniem, mając widzenie, że Litwa zale-

wała dzielnicę Leszka, że krew lała się za niego przez niego. Napił się krwi tej przez sen i pragnienie na czas krótki wargi mu palić przestało.

Dniało już na dworze; Paweł spał tym snem znużenia cielesnego, z którego się przebudzić trudno, gdy ludzie jego także uśpieni na ławach w sieniach, na przyźbie, ocknęli się, wrzawę posłyszawszy. W mroku poranka dostrzegli nagle podwórko pełne koni i obcych ludzi. Pierwszą ich myślą było, że są ścigani i rzucili się do oręża. Biskup Paweł zbudzony, też chwycił za miecz, który zawsze leżał tuż przy nim. Zamieszanie stało się wielkie, krzyki, wołania wyrywały się z kątów, a że wśród mroku trudno się było rozeznać, jeden z czeladzi pobiegł zapalić łuczywo od węgli na ognisku i z niem wybiegł na próg chaty.

Tu stała gromadka zbrojnych ludzi, ale równie, jak biskup, wylękłych i wycieńczonych, w pancerzach połamanych, z orężem potłuczonym, bez hełmów, lub w takich, które się ledwie na głowach trzymały. Domyśleć się było można, iż to były zbiegi z bogucińskiego pobojowiska, równie, jak biskup, szukający gdzieś schronienia.

Zaczęto się wybadywać, rozglądać i ze strachu obie strony łatwo przyszły go zgody. Gromadka przybyła należała do Wierzei, ziemianina krakowskiego, który dał się podmówić Toporczykom i uszedłszy ranny z pola bitwy włóczył się teraz w obawie więzienia. Ludzie biskupi nie taili przed nim, kto był w chacie.

Wierzeja był starym wygą znanym szeroko z wichrzycielstwa i życia nieporządnego, jakie od młodości prowadził. Krępy, zsiadły, z głową okrągłą, dużą, włosem zrudziałym pokrytą, z wargami zwisłemi, krwawemi, twarzą plamistą, popędliwością mógł się równać z biskupem. Resztki ojcowizny postradawszy, nie wiedząc do kogo się przygarnąć, służył różnym; teraz, dowiedziawszy się o biskupie, którego za przyczynę swojego ostatniego nieszczęścia uważał, szedł przynajmniej gorzkiem słowem mu się wypłacić za gorzką dolę.

Nie pierwszy raz Wierzeja znajdował się w położeniu podobnem, bywał już na wygnaniu i w Czechach,

i na Śląsku i na Rusi, a nawet u Brandeburczyków na Pomorzu.

Biskup nie wiedział jeszcze z kim, i jak się miał rozprawić; zaskoczony w chacie, trzymał obnażony miecz w ręku, gdy Wierzeja do izby się wtoczył, stanął naprzeciw łoża i począł mu się przypatrywać z pogardą.

— A! dostało ci się, stary ty!—zawołał—ha! na barłogu leżysz ty, coś się na miękkich puchach z zakonnicą wylegał. Ty, za którego my krew leli i popadali!... ty wężu zjadliwy!

Paweł, nie mogąc dłużej wytrwać, miecz podniósł oburącz i krzyknął:

— Precz! bo zabiję!

Wierzeja się nie cofnął.

— Patrzajże, i ja mam stłuczone mieczysko u boku. Leż i nie rwij się, bo kto kogo zabije, niewiadomo!

Odwrócił się od niego pogardliwie, obojętnie i zobaczywszy na stole kubki, jeden z nich podniósł, pokosztował, że w nim woda była, wypluął ją i z zimną krwią począł rozpatrywać inne naczynie. Trafił w końcu na beczułkę z winem, nie pytając, nalał go sobie, napoił się i usiadł na opróżnionej ławie przy stole na łokciu się podpierając.

Biskup tą zimną krwią człowieka zrozpaczonego tak był zdumiony, że z gniewu ochłonął.

— Nie mam już dokąd powracać, bo Wierzejce nie moje—zaczął mruczeć drab.—Książęcy urzędnicy musieli je też, choć cudze, za mój grzech zabrać, a dzieccy splądrowali! Czterech Zadorów ścięto! Ścibor i Kacza w więzieniu za szyję poprzykuwani. Ziemian pobranych w Bogucinach, Leszek kazał jak psów na postronkach ciągnąć po zamkach i pakować do jam, do ciemnic... kilku dali męczyć. A to wszystko przez was, przez ciebie! A coście to nam obiecywali? Dobrze się ziściło. Twój Opolczyk pomagał nam, palcem kiwając na swoim zamku! Nas wydaliście na rzeź, na jatki, bodajeś ty z piekła nie wylazł.

Biskup warczał.

— Milcz, ty warchole jakiś!

— Co ja cię będę szczędził—mówił Wierzeja—za co? czyś ty wart najmniejszej litości!

Łajał jeszcze, gdy w podwórku znowu szum powstał, ale już dobry dzień się robił. Przywlókł się drugi ziemianin, także po lasach błąkający się, wycieńczony, wygłodniały, bezmówny prawie.

Był to Szała, Krakowianin człek biedny, którego powinowaci Toporczykowie z jego wioszczyny wywlekli. Ten przywlókł się ledwie żyw z konia zlazłszy, począł żebrać o chleb i wodę. Zdawał się, nie dobrze rozumieć, co doń mówiono, słaniał się, był dwa dni bez pożywienia.

Kruk go przez litość do izby wprowadził; nie widział i nie poznał nikogo, na ławę padłszy, mdlał.

Przybysz ten przerwał kłótnię Wierzei z biskupem; patrzali nań, ale żaden w pomoc mu nie myślał iść. Wszystkich własne położenie czyniło obojętnymi na cudzą dolę. Wierzeja niedawno dosyć trupów się napatrzył, biskup na ludzkie męki nigdy czułym nie był.

Drugi ten przybłęda był tylko znakiem dla niego, że chata, do której się schronił, na jakimś przesmyku leżała, gdzie łatwo i więcej zbiegów przybłąkać się mogło. Głosem więc niecierpliwym począł wołać na Kruka, aby konie gotowano. Chciał jechać stąd precz.

Posłyszawszy to, Wierzeja z ławy wstał.

— Jedziesz ty, pojadę i ja z tobą razem... nie mam dokąd.

Klątwą odpowiedział mu Paweł, ale tą niezrażony drab, ruszył się krokiem, za nim wyszedł w podwórko i krzyknął na ludzi swych, aby się też sposobili.

Biskup nie zważał nań. Odpędzić go nie miał siły, w walkę się z nim wdawać nie chciał. Wierzeja złajawszy go stał się łagodniejszym.

— Chcesz, nie chcesz, a wziąć mnie musisz—rzekł do niego—lepiej ci mieć więcej ludzi. Powlokę się za tobą. Mnie wszystko jedno, gdzie ginąć, a jak wypocznę, nie bez tego, żebym się nie zdał.

Z tak narzuconym towarzyszem Paweł, nie odezwawszy się do niego, siadł na koń.

Wierzeja co powiedział, strzymał: choć zmęczony, wlókł się za biskupem. Pół dnia jechali, nie mówiąc do siebie.

We wsi kościelnej Paweł zawrócił na plebanię, Wierzeja z nim, jakby do dworu należał. Kazał się ugaszczać księdzu, a czego mu nie dano, brał sam.

Na popasie rozpytywali o nowiny; wieści złe były. W Krakowie trwoga panować miała. Leszek i Bolko, na niemieckich osadników w mieście rachując, ziemian, co ich zdradzili, karali bezmiłosiernie. Wojska obu książąt ciągnęły na Śląsko pustoszyć ziemie Władysławowe, mszcząc się za jego spiski z Pawłem.

Nie chcieli tu spoczywać długo, wieś, na gościńcu odkryta, nie mogła służyć za schronienie. Po południu jechali dalej. Nocleg wypadł lepiej, bo wśród lasów znalazło się dworzysko, które do biskupstwa należało. Ks. Paweł był tu u siebie. Wprawdzie wygód nie znalazł żadnych, ale rozstawiwszy czaty, można było wypoczywać dłużej.

Wierzeja się do straży ofiarował.

— Mnie też o mój łeb chodzi—rzekł—wezmą biskupa, to i ja przepadnę... a żem ja robak mały, mnie prędzej, niż was zgniotą.

Zatem narzucił mu się przybłęda na dowódcę, Kruka precz przegnał i samowolnie się rządzić zaczął.

Drugiego czy trzeciego dnia biskup już się z nim oswoił przypadli do siebie dobrze. Począł mu wydawać rozkazy. Było mu to na rękę, bo do Krakowa słać musiał kogoś, a Kruk, choć nie przebiegły, ostrożnym był ze strachu. Spodziewał się więc, że mu się sprawi dobrze. Wierzeja nietylko, że się go zastępować ofiarował, ale dodał:

— To ciemięga do niczego... niechaj jedzie, a nie wraca, bez niego nam lepiej będzie.

Wśród puszczy dolegające skwary lipcowe mniej się czuć dawały, biskup postanowił przesiedzieć tu, dopókiby bezpiecznie na stolicę swą powrócić nie mógł.

Kruk tedy, nie jeden raz się przeżegnawszy, z trwogą wielką, manowcami, pociągnął do Krakowa. Przedrzeć mu się niepochwyconemu tem trudniej było, że właśnie

kilku gościńcami z Krakowa ciągnęły wojska na Śląsko. Gdyby go wzięto, nie uszedłby cało, jako znany sługa biskupi! Ale ludzie małego serca instynkt mają przedziwny i Kruk, ufając weń, a lękając się, aby koń nie zdradził go, jako żołnierza, w ladajakiej opończy, z kijem w ręku, niby wieśniak, przedwsięwziął podróż tę odbyć pieszo.

Ks. Paweł, oczekując na powrót jego, miał czas ochłonąć, myśli zebrać, odwagę odzyskać. Wierzeja też, co mu się w służbę wparł gwałtem, coraz przydatniejszym się okazywał.

Podróż Kruka trwała tak długo, iż zwątpiono już o nim prawie, aby głowę nazad przyniósł całą, gdy po kilku tygodniach zjawił się nocą i nie sam: przybył z nim ks. Szczepan z Krakowa, ów najwierniejszy przyjaciel i sługa biskupi.

W nędznym dworku leśnym zastawszy tego, który niedawno jeszcze z tak świetnym orszakiem występował i z taką dumą książętom się urągał, ks. Szczepan zrozumiał, iż z tego skorzystać może. Przypadała mu rola pośrednika, którą łaskę u księcia i wdzięczność ks. Pawła mógł pozyskać.

Zamknęli się w komorze na rozmowę. Biskup bolał i wyrzekał.

— Zdradzili mnie wszyscy! zawiedli! krakowscy ziemianie rzucili samego! Ślązak chciał, aby mu gotowe postawić... ale—biskupem jestem jeszcze i piorun mam w ręku.

Ks. Szczepan, odgróżek słuchając, głową potrząsając,—pocałował go w ramię.

— Ojcze—odparł.—Nie o piorunach dziś nam mówić! Co było, to było. Wy o niczem nie wiedzieliście, ludzie na was winę zrzucają! Zgodę trzeba robić, ranę smarować! Przyschnie to!

Szeptali cicho, Paweł go chwycił za rękę.

— Myślisz, że ja kiedy poddam się im, a zemsty wyrzeknę? Ja? Znasz ty mnie?

Szczepan mu dokończyć nie dał.

— Tymczasem — powtórzył — zgody potrzeba — milczeć musimy.

— Milczeć będę—odparł Paweł—ale tu!—I za pierś się pochwycił.

Znowu się zaczęły szepty i spory.

Ani pierwszego, ani drugiego dnia przybyły nie mógł ułagodzić biskupa. Trwało rozpowiadanie dni kilka. Często zrana stawało porozumienie, a wieczór zrywano wszystko.

Kanonik umiał wszakże ukołysać i uspokoić ks. Pawła; zgodzili się wreszcie i poseł jechał już nazad do Krakowa. Z wesołą twarzą wywiódł go biskup w podwórze.

— Nie daj mi tu zdychać na tej pustyni—rzekł—nie trzymajcie mnie tu na uwięzi!

— Musicie dotrwać, aż z Opolskim zgoda stanie — odparł Szczepan—naówczas reszta pójdzie łatwo.

Został znów biskup z Wierzeją sam. Niczem było pierwsze oczekiwanie obok tego drugiego, które się niesłychanie przeciągnąć miało.

Ks. Szczepan, wyjechawszy, wcale o sobie wieści nie dawał. Tygodnie upływały w męczarniach nieznośnych dla niecierpliwego człowieka. Nadeszły znowu dnie takie, że Wierzeja z nim ząb za ząb się kłócił i musiał, jak inni uchodzić, bo się ks. Paweł stawał gwałtownym, jak dawniej.

Kruk po odzieży postrzegł, że biskup nagle chudnąć poczynał. Twarz nabrzękła wprzódy zwisłą i pomarszczona okrywała się skórą, policzki mu zapadły, ręce się trzęsły. Jadł i pił, jak dawniej, lecz nic go odżywić nie mogło.

Już zapomniano prawie o Biecie, gdy się tu zjawiła znowu. Krążyła około dworku, zaglądała do okien, nastręczała się na przechadzkach, śmiechem do wściekłości drażniła biskupa, a gdy ją gnać kazał i odpędzać ludziom, znikała.

Czeladź tknąć się jej obawiała, miano ją bowiem za czarownicę; a imienia tego dosyć było naówczas, aby

ludzi rozpędzić; nikt z tajemniczą władzą szatana walczyć nie śmiał.

Biskup życie pędził w męczarniach, nigdy nie będąc pewnym, czy tej twarzy strasznej nie zobaczy, śmiechu urągającego mu się nie usłyszy.

Jesień już była, gdy dnia jednego ks. Szczepan przyjechał. Wiózł wiadomość o zawartej z Opolskim zgodzie i o pojednaniu Leszka z żoną Gryfiną, którą księciu Bolesławowi udało się z klasztoru wyciągnąć, aby małżonków od lat wielu rozdzielonych, na nowo połączyć.

Usłyszawszy o tem pojednaniu, biskup szydersko się z niego wyśmiewał.

— Gdy się wszyscy jednają—zawołał—gódźcież i wy mnie z książątkiem tem.

— Książę Władysław Opolski już w waszej sprawie mówił—odezwał się Szczepan.—Stanęło na tem, że spokojnie do Krakowa powracać możecie. Nic wam nie uczynią, księżna Kinga prosiła za wami, choć zna w was wroga swego. Leszek się opierał. Bolesław łaskawszy obiecał zapomnieć o wszystkiem.

Ks. Szczepan radował się i nakłaniał do jak najśpieszniejszego powrotu, lecz bezpieczeństwo, za które on ręczył, nie zdawało się biskupowi dostatecznem. Sam, mając w sercu zdradę, obawiał się jej. Kilka dni upłynęło, nim biskup wreszcie, ważąc się, wahając, ośmielił wyruszyć do Łagowa, aby stamtąd do Krakowa powrócić.

Z poselstwa kanonika wypadało, iż jawnej zgody być nie miało, a biskup przybyć mógł, jakby nic nikomu nie zawinił. W dworcu jego, miano go przyjąć, jak dawniej i spokój mu zaręczano.

— Kapituła, duchowieństwo wasze—mówił ks. Szczepan—ręczyło, iż Wasza Miłość zajmiecie się owieczkami swemi, księciu więcej żadnych przeszkód nie czyniąc.

Ks. Paweł wykrzywił się dziwnie i szepnął po chwili:

— Są może ludzie, co zapominają, co raz znienawidziwszy kogo, pokochać go potem mogą—mnie tej cnoty nie dano!

Skończyła się na tem rozmowa.

Wcale innego przekonania musiano być w Krakowie i Sieradzu. Książę Bolesław pewien był, że biskup złamany i upokorzony, nadal się zachowa spokojnie. Przebaczono mu wspaniałomyślnie, choć dowody spisku i zdrady aż nadto jawne były. Leszek mniej wierzył w tę skruchę, tak, jak ze zgody z żoną niewiele się spodziewał.

Coraz wybitniej objawiał się charakter następcy Bolesława Wstydliwego, który wojną tylko był zajęty, a zresztą na wszystko w świecie obojętny. Najwyższe jego szczęście było w polu trwać, w obozie, pogonią chodzić za Litwą, w bitwie zajadłej się z nią ucierać i walczyć, jak prosty żołnierz.

Księżna Gryfina po powrocie do Sieradza napróżno usiłowała go sobie zjednać. Nie obchodził się z nią surowo, lecz pozostał, jak był, obojętnym. Czynił, co mógł, aby rozrywkę jej sprawić i zachceniom dogadzać, służba była na rozkazy, ale on sam częściej w polu, niż w domu, i ledwie zbroję zrzucił, już ją wdziewał znowu.

Na żadną też inną niewiastę nie spojrzał, brzydził się tymi, co do nich lgnęli. Rycerstwo Leszkowe strzegło się podać u niego w podejrzenie lekkości, bo kto je miał na sobie, ten łaskę tracił.

Takim był przyszły książę krakowski, który mógł do władzy przyjść co chwila.

Książę Bolesław sechł, smutniał, chorzał, sam sobie już długiego nie obiecując życia. Wszyscy się zwracali powoli ku temu nowemu słońcu, które wkrótce wnijść miało.

Na wiadomość o przebaczeniu biskupowi Leszek się obruszył mocno. Wiedział to dobrze, iż Paweł mu nie przebaczy, że walczyć z nim będzie musiał. Chciał, aby słano ze skargą do Rzymu i biskupa zrzucono, i gotów był na się klątwę wziąć, aby go zamknąć i trzymać w niewoli. Wiedział Czarny o spiskach biskupa z Litwą i przepowiadał, że się one odnowić muszą.

Gdy w Sieradzu Leszek bolał tak nad zbytnią łagodnością stryjowską, biskup jechał już do Łagowa.

Na wieść, że został przywrócony do łaski pańskiej i władzy, zbiegli się zaraz doń dawni przyjaciele. Część

kapituły wierna mu, śpieszyła witać ocalonego, dwór rozpierzchły gromadził się na nowo. Grzywny znalazły się w skarbcach kościelnych i życie rozpoczęło się po staremu.

Jednego wieczora cicho i bez rozgłosu zajechał pasterz na swój dworzec krakowski, jak gdyby z łowów powracał.

Wiedziano o nim tegoż dnia na Wawelu i książę, który przyszedł mszy słuchać u świętego Wacława, w kościele go po raz pierwszy zobaczył.

Wśród uroczystego nabożeństwa, jakiem powrót jego uczcić chciano, Paweł, zwróciwszy oczy na lud, ujrzał tę twarz, której się lękał i spodziewał. Bieta stała patrząc nań czarnemi i ognistemi oczyma. Zbladł przerażony tak prawie, jak gdy ją ujrzał po raz pierwszy. Lecz roztargnienie jego, znękanie, niepokój, książę i ludzie mogli sobie tłumaczyć skruchą, a dobre serce Bolesława poruszyło się litością.

Po skończonem nabożeństwie, gdy z niego suknie zdejmowano, biskup namyślał się czy ma iść do księcia, lub nie. Krok ten zdawał mu się upokarzającym, lecz ks. Szczepan i inni naglili i prosili.

Wychodząc ze drzwi kościelnych, wahał się, w końcu pragnienie zemsty zniewoliło go do tego, co za upokarzające poczytał.

Poszedł, lecz nie znać w nim było zwyciężonego, który idzie przebłagać zwycięzcę. Kroczył z dawną swą dumą, ze śmiałością dostojności swej, z pozornym spokojem, jak gdyby odszedł stąd wczoraj i wcale się nie czuł winnym.

Książę Bolesław ze dworem swym nań oczekiwał.

Wejrzawszy na niego, ks. Paweł, sam zmieniony wielce, bo na twarzy pozostały ślady niezatarte tego, co przecierpiał, uląkł się prawie oblicza pańskiego, na którem stała wypisana przepowiednia blizkiej śmierci.

Uląkł się i uradował razem. Leszek mniej łagodny, surowszy pan, był dlań do pokonania łatwiejszym.

Z przybranym uśmiechem na ustach wszedł biskup

do komory pańskiej. Bolesław przyjmował go otoczony wierną starszyzną.

Po przywitaniu książę odezwał się, radując pokojowi i bezpieczeństwu swojego przyszłego kraju.

— Czas aby Bóg miłosierny zlitował się nad nami—rzekł,—albowiem to panowanie moje dość srogich już klęsk doznało. Radbym, aby jaśniejsze słońce memu Leszkowi przyświecało.

Ks. Paweł półgębkiem też nadzieję wypowiedział.

Wspomniano o Tatarach, iż poniósłszy niedawno klęskę, rychło się na nowy najazd ważyć nie powinni. Kanclerz, chcąc rozmowę od drażliwszych przedmiotów oderwać, wtrącił świeżo przyniesioną wiadomość z Lignicy, iż druga żona Rogatki, którą był niedawno poślubił, sromotnem jego życiem zmuszona była pieszo, przebrana po męsku, do ojca uciekać.

Bolesław bolał nad tem, a biskup potwierdził wieść, dodając, że Łysy swawolne życie wiódł i miary w niem ani wstydu nie znał. Mówiono i o tem, że dorosłe dzieci mając, w wieku już późnym niepotrzebnie ślubował. Twierdzili jedni, iż dla wiana to uczynił, drudzy, że z rozpusty.

— Z księciem Henrykiem Wrocławskim—rzekł Bolesław—zdawna są w nieprzyjaźni, lecz ten się go nie ma co obawiać, bo człek taki podupadły na rozumie i mieniu, nikomu niebezpiecznym być nie może.

— Ja zaś powiem—dorzucił biskup—choćbym się Miłości Waszej sprzeciwiać nie chciał, że człek, co już do stracenia nic nie ma, najniebezpieczniejszym jest. Nigdy też ludzi do rozpaczy doprowadzać nie należy.

Zamilkł na to książę, a inni, po sobie patrząc, milczeli też, bo zdało się, że biskup nie bez myśli ku sobie wróconej, rzekł te słowa.

Tak krótko zabawiwszy, wstał ks. Paweł, pobłogosławił, pożegnał i wyszedł. Takie były pierwsze odwiedziny na Wawelu, a po nich drugie nierychło nastąpić miały. Biskupowi z niemi nie było pilno.

Jakby na żart, nazajutrz posłał Bolesławowi psów czworo, ogarów przedziwnych, urągając się mu i chcąc

potwierdzić, co ludzie niechętni pletli, iż Pudyka darowizną psów najłatwiej zjednać było.

Książę zaś w dobrej wierze przyjął dar i uradował się nim wielce, nie zrozumiawszy złośliwości jego ani nawet z posępnych twarzy dworu swojego, który go wziął niemal za obelgę.

Łowczy książęcy chciał powywieszać je, lub precz wygnać, lecz zaraz nazajutrz Bolesław niecierpliwy nakazał do lasu, aby je prędzej wypróbować.

Paweł śmiał się pogardliwie, gdy mu doniesiono, że Bolesław z ogarami jego na łowy ruszył.

— Jak dziecko jest—rzekł,—które lada cackiem uspokoić można, choć je rózgą strzepano.

IV.

Wróciwszy na swój dworzec, biskup nie pozdrowił nawet mnogich gości, oczekujących nań, i poszedł do komory odpocząć. Z czoła widzieli wszyscy, iż gniewny był, choć przyczyny nie odgadywano. Przypisywano to bytności u dworu, bo biskup patrzeć nawet na tych, których nienawidził, nie umiał cierpliwie. Burzyło się w nim wszystko, choć dobrze już był zestarzał, choć zmienił się pozornie, choć gwałtowne wybuchy i dziwactwa szalone rzadziej się teraz zdarzały.

Dwór Pawła pozostał takim, jak był. Było to zawsze zbiorowisko ludzi straconego imienia, gotowych na wszystko, błędnych rycerzy, ziemian podupadłych, wychodźców z różnych kątów świata, głodnych, chciwych, a najgorszego obyczaju.

Aby go poznać, dość było popatrzeć na tę ucztę prawdziwie ewangeliczną, którą tu codzień dla dworu we dwu lub trzech izbach zastawiano. Nie byli to biedni i nędzarze, ale obieżyświaty, szalone pałki, twarze od napoju zabrzękłe, oczy skośno patrzące, porąbane po

liczki, istna zbieranina zgrai, co dla chleba gotową była na krew.

Ci około biskupa żywiąc się, służyli mu, można było ich wyprawić z tajemnem poselstwem bodaj w pogańskie kraje, użyć na zasadzkę, do roboty podziemnej, którejby się żadne czyste ręce nie podjęły.

Wierzeja, który łając biskupa, bliższą z nim zrobił znajomość, teraz już powolnego i bojaźliwego Kruka zaparł do kąta i zyskał szczególne względy. Służył biskupowi tem chętniej, że u niego się czuł bezpiecznym od więzienia, a z pomocą i opieką jego miał nadzieję jaki płacheć ojcowizny odzyskać.

Kruk zszedł na podrzędnego sługę, wisząc u dworu, choć stracił tu największą podporę, Werchańcową, z którą już się żenić miał, gdy ją śmierć zaskoczyła.

Spotkanie w kościele z tym szatanem, Bietą, która wróciła do Krakowa i znowu siedziała u Krzyżana, aby się Pawłowi na oczy nastręczać, zburzyło go i do najwyższego stopnia podrażniło. U stołu, chociaż pił, a stary ks. Kwoka siłił się, aby go rozerwać, grając swą rolę wesołka, Paweł ani razu się nie uśmiechnął. Siedział wdumany smutnie w siebie, co powszechnie brano za przyniesione z zamku wrażenia.

Prędzej, niż zwykle gości swych porzucił i mrucząc jak niedźwiedź, o stoły się opierając, powlókł opieszale do komory, skinąwszy po drodze na Kruka.

Łaską to dlań było, że go wezwano, i pobiegł co najprędzej.

Biskup siedział już w komorze na poduszkach, z głową w dłoniach. Kruk długo musiał oczekiwać, nim się odezwał. Chrząkał i tarł nogami, aż biskup go sobie przypomniał.

— Słuchaj—rzekł, zwracając się doń.—Długo wy jeszcze tej babie łajdaczce, Biecie tej przeklętej, dacie się za mną bezkarnie włóczyć wszędzie?! Nie widzicie i nie rozumiecie, że ona mi już tu siedzi!—Pokazał na gardło.

Kruk tak się jej obawiał, jak wszyscy. Znano ją w całym Krakowie, wzbudzała postrach. Głoszono ją

wiedźmą, nawiedzioną, czarownicą. Nikt palcem się jej tknąć nie ważył. Kruk ramionami ruszył, ręce rozłożył.

— A cóż z nią począć?—rzekł.

Domawiał tych słów, gdy zazdrosny Wierzeja, zobaczywszy, że jego podwładnego wezwano na rozmowę poufną, wszedł nieproszony. Domyślił się, czy podsłuchał, o kogo szło; wiedział, że dokuczyła biskupowi.

— E!—odezwał się, popychając Kruka na stronę.— Co Wasza Miłość od niego chcecie? On się boi wszystkiego do niczego nie zdatny, to próchno. Jeżeli trzeba tej babie naukę dać, nie kto inny sprawi to, tylko ja.

Rozśmiał się, pokazując na siebie.

— Ten się boi czarów i czarownic—dodał—a ja mam taki węzeł przy sobie zawsze, co mi go jedna baba dała, że mnie żadna wiedźma najzłośliwsza nie może nic uczynić. Jeżeli trzeba co sprawić, to się zrobi.

Kruk chętnie mu ustąpił i odszedł do progu. Biskup zadumał się.

— Powiedzcie jej, przestrzeżcie... że jak mi się raz jeszcze na oczy nawinie, zły, zły ją los spotka.

Wierzeja odparł:

— Powiem jej to, i więcej! Będę wiedział, jak się z wiedźmą rozmówić! ho! ho!

Paweł, uśmiechając się, dołożył, nie patrząc na mówiącego:

— Powiedz jej to, niech mi z drogi idzie precz! Po ulicach, w kościołach, gdzie ja jestem, żeby mi jej noga nie postała. Zagróź!

Głową potakując mu, wybrany do poselstwa śmiałek dodał:

— Ja się tam nie boję jej, ani żadnej. Nie posłucha ani dobrej rady, sposób się na nią znajdzie. Spławię ją... ale z kamieniem u szyi.

Zamilkł już biskup, dając się Wierzei przechwalać ze swą odwagą i z tem, co uczynić miał. Kruk i on poszeptali z sobą jeszcze, a widząc Pawła milczącym, łokciami się potrącili i wyszli.

Stary Wierzeja w istocie czarownic się nie lękał; ufał głównie w ów węzeł tajemniczy, dany mu niegdyś

przez babę z jego wioski, który go miał strzedz od uroków i szatańskie łamać siły.

Nazajutrz rano zaraz wyszedł Wierzeja szukać Biety. Kręciła się ona wszędzie, ale właśnie, gdy jej kto szukał, natrafić na nią było trudno.

Na Wawelu, u tego skrzydła, w którem mieszkał Krzyżan, Wierzeja stał i przechadzał się długo, aż mu zapytany parobczak powiedział, że ta Bita (lud ją tak zwał), rano bardzo poszła w świat, a kiedy miała powrócić, nikt nie wiedział.

Powlókł się na miasto, o nią po drodze dopytując, krążył i tu długo nadaremnie, aż w zaułku pustym znalazł ją siedzącą na ziemi, z bosemi wyciągniętemi nogami, rękami obiema opartą o murawę, odpoczywającą i jakby zdrzemaną.

Stał przed nią i czekał czas jakiś, nim go spostrzegła i podniosła oczy. Wejrzenie, którem go mierzyła, trochę poruszyło Wierzeję, dreszcze po nim przeszły, ale wprędce męstwo wróciło.

— Słuchaj ty, wiedźmo jakaś—począł głośno i groźnie, — ja za tobą goniąc, już pół dnia straciłem.

— A czegóż chcesz ode mnie?—odezwała się głosem złamanym i łagodnym.

— Oto ja tobie przyszedłem powiedzieć, nie od siebie! rozumiesz—mówił Wierzeja—nie od siebie! że jak się będziesz biskupowi na oczy nawijać po kościołach i ulicach, a nie zejdziesz mu z drogi...

— To co?—spytała dumnie, podnosząc głowę, Bieta.

— To ja, sługa jego—dokończył stary—z kamieniem u szyi do wody cię cisnąć każę.

Wcale nie zlękniona Bieta popatrzyła nań długo.

— Myślisz, że ja się tego nastraszę?—odpowiedziała ze śmiechem.—A toć mi zrobisz łaskę! bo mi życie nosić na ramionach obrzydło, a dopókim żywa, chodzić za nim muszę! Wiesz ty, dlaczego ja za nim chodzę? Dopominam się u niego, o zgubioną duszę moją—niech mi ją odda. A kto mnie z klasztoru i od ołtarza do zabawki wziął? Wiesz ty?

Wierzeja splunął.

— Mało kto weźmie dziewkę — odparł, — to ją już ma za to całe życie trzymać?

— A ma!—zawołała gwałtownie Bieta—albo ją trzymać, albo zabić! Niechże zabije lub zabić każe!

Wierzeja, stał, słuchał i w głowie mu się to pomieścić nie mogło. Burczał, prychał, zanim się zdobył na odpowiedź.

— Niech tam będzie sobie, co chce—zawołał—jak biskup cię zobaczy, a zagniewa się, ja cię spławić każę i pójdziesz na dno.

Bieta ramionami ruszyła, popatrzała nań i po chwilce sparła się o płot znowu, przygarbiła, ręce założyła na piersi, nogę na nogę, spuściła głowę, zdawała się zapominać, że stał przed nią jeszcze. Potem rękę jedną spuściwszy zaczęła trawę szczypać koło siebie, zrywać kwiatki i brać je do ust. Żuła je i wypluwała. Bawiła się, nieprzytomna, jak dziecię. Stary stał i patrzał. Ten spokój niewiasty, śmiercią zagrożonej, przejmował go, jeśli nie strachem, to ciekawością. Sądził, że miała niespełna rozumu.

Dawszy się jej trochę liśćmi zabawić, gdy już odchodzić miał, dodał jeszcze:

— Patrzajże!

Bieta podniosła oczy, uśmiechnęła się, spuściła je i znowu trawę skubała. Straszna była w tym łachmanie sukni czarnej, brudnej i podartej, z nogami pokaleczonemi i zabłoconemi, z włosem zrudziałym, o przedwcześnie siwiejących pasmach. Część ich spadała na twarz żółtą, jeszcze piękną, choć straszliwie wychudzoną i oczy ogromne, powiększone boleścią, zaognione łzami, które z pomiędzy kosmyków tych błyskały.

Wierzeja, choć zahartowany i obojętny, pomyślał, co przecierpieć było potrzeba, ażeby dojść do takiego stanu zdrętwienia i obojętności. Zwolna począł powracać ku miastu, oglądając się na nią. Nie zmieniła postawy, nie patrzała nań, schylona ciągle, skubała zielę i trawę około siebie, brała je do ust i wyrzucała. Widział ją potem, jak zwolna pochyliła się, podłożyła rękę pod głowę i legła tak na ziemi z twarzą ku górze zwróconą.

W skuteczność swej przestrogi niewiele pono wierzył; myślał więc, do domu idąc, co mu przyjdzie począć, jeżeli ona go nie usłucha. Topić ją niebardzo sobie życzył.

Drugiego dnia rano bardzo wyjechał biskup na łowy. W ulicach mało jeszcze było ludzi, ale już się niewiasty z wiadrami przemykały do studni, wysoko podpiąwszy fartuchy, parobcy bydło wyganiali naprzeciw pastuchów miejskich, którzy je mieli zabierać na paszę. Róg ich ochrypły zdala się już słyszeć dawał.

Zaledwie się orszak biskupi w wązką zapuścił uliczkę, która za miasto wiodła, gdy Wierzeja ujrzał z przestrachem Bietę, śmiało im zachodzącą drogę. Stanęła tak blizko jadącego biskupa, iż ominąć jej nie mógł; wyciągając rękę ściśniętą i zgrzytając zębami, wprost mu w oczy bluznęła:

— Każże mi kamień uwiązać do szyi!

Ks. Paweł konia popędził, okiem krwawem obejrzawszy się na Wierzeję. Ten już wiedział, co to znaczyć miało.

Łowy dnia tego poszły jak najgorzej, co biskupa doprowadziło do zwykłej wściekłości i rzucania obuchem na ludzi! Psa jednego ubił w miejscu, choć mu był ulubionym, ale się nie w czas przyszedł łasić.

Późną nocą powrócili do dworu. Przez całą drogę Wierzeja jechał, jak trup blady i milczący. Zrozumiał dobrze znaczenie biskupiego wzroku; baby trzeba się było pozbyć.

Zaczął od tego, że dobrawszy parobków, największych zbójów, spoił ich. Dopiero przystąpił do rzeczy i począł od tego, że skłamał, jakoby wiedźma ta na niego urok rzucić chciała, że ją musi utopić. Parobcy, wiedzący dobrze, kto była, uśmiechali się tylko. Każdy z nich miał dostać po opończy nowej i po kilka groszy. Trzech się ofiarowało iść z Wierzeją czatować na nią.

Ponieważ Bieta zwykle wychodziła do dnia z zamku, ustawili się o mroku jeszcze we wrotach. Dniało, gdy ją zobaczyli w istocie wychodzącą, raczej wlokącą się, jakby pijaną, wolnym, nierównym krokiem. Odziana była, jak

wczora: w jednym ręku kruchy kij, a raczej kawał niosła suchej gałęzi.

Wierzeja dał swoim znak, aby szli za nią.

Niepostrzeżenie więc, jak im się zdało, poczęli się snuć pod płotami, pod domostwy, wślad za idącą powoli niewiastą. Stanęła raz u drzwi kościoła, w głąb spojrzała, dumała chwilę, powlokła się dalej. Szła jakby naumyślnie, wprost ku Wiśle, z czem Wierzei było najwygodniej. Śmiał się z jej głupoty. Kilka razy sparła się o płot i odpoczywała. U studni jednej znalazłszy wiadro na zrębie, napiła się z niego trochę.

Słońce jaskrawo wschodziło wśród chmur sinych, gdy stanęła u brzegu rzeki. Zwróciła się twarzą za siebie, jakby kogoś upatrywała i czekała. Wierzeja dał ludziom znak... Sam pozostał za węgłem domu.

Trzej pachołkowie rzucili się na nią pędem. Nie ruszyła się, widząc ich nadbiegających. Jeden z nich obalił ją na ziemię.

Wierzeja, który patrzeć nie mógł, bo mu się zrobiło straszno i zimno, posłyszał jeden krzyk, w którym niby śmiech dziki rozeznał, potem pluśnięcie wody i wrzawę głośno krzyczących parobków.

Zaledwie się to stało, gdy niespokojny Wierzeja, począł ich wołać ku sobie, nagląc, aby przybywali. Razem wszyscy rzucili się w opłotki w zarośla, lękając się, aby ich nie postrzeżono. .

Biegli tak, co tchu starczyło, aż do miasta i otwartej gospody, którą baba właśnie umiatała. Wpadli do niej pierwsi, gdy dopiero odsuwano okiennice, a Wierzeja, dawszy im znak, aby milczeli, kazał co rychlej grzać piwo.

Gdy biskup z posłania się podniósłszy, miał się odziewać, Wierzeja z chłopcami, co mu posługiwali, wcisnął się do sypialni, na twarzy mając wypisane zwycięstwo swe i radość.

Ksiądz Paweł musiał to zrozumieć, spojrzawszy nań, bo zaraz chłopców odprawił.

— No—mruknął poufale Wierzeja—z babą skończono!

Rękami coś pokazał i rozśmiał się. Biskup zbladł, odwrócił się zaraz od niego i nie rzekł słowa.

Na razie nie chciał się sługa upominać o zapłatę krwi, zagadał o łowach, aby rozerwać pana, a gdy kapelan nadszedł, wysunął się.

Dnia tego jednak Wierzeja nie postrzegł, żeby się czoło biskupa rozjaśniło, przeciwnie, chodził ponury i za próg ruszyć się nie chciał...

Wieczorem ludzie u niego pili i on pił; ksiądz Kwoka dawał zagadki łacińskie i polskie do rozwiązania, których cały dowcip na tem zależał, że się odpowiedź na nie nastręczała plugawa, sprośna, a w istocie wyraz żądany był niewinnym. Takie dwuznaczniki bawiły wielce starych księży, ulubieńców biskupich, a on sam też mową rubaszną się nie brzydził. Wieczór cały spłynął na takich krotochwilach.

Kilka dni następnych nie przyniosły nowego nic, aż nadeszły do Krakowa wieści osobliwe, które zdumiały wszystkich; szalony, przez wszystkich wzgardzony Rogatka, zdradą pochwycił w Jelczy Henryka Wrocławskiego zamknął go na zamku w Lehnie.

Rozradowało to biskupa, nie wiedzieć dlaczego. W chwili, gdy się wyśmiewał z tej przygody, uderzył pięścią o stół i krzyknął:

— Łysak ten ma szczęście, choć rozumu nie ma; drugim na nim nie zbywa, a cóż z niego, gdy los nie sprzyja!

Wszyscy książęta pokrewni gotowali się iść przeciwko stryjowi w obronie synowca. Zawrzało i zakipiało na granicach. Biskup tajemnie wysłał na Litwę i rad był, sądząc, że w mętnej wodzie coś złapie. Wracała mu buta, wesołość, ochota i zdało się, że w ciągu tych kilku dni odmłodniał.

Nie obawiając się już spotkania żadnego i z myśli wypuściwszy, co mu Wierzeja zwiastował, wybrał się ks. Paweł jednego dnia nie na łowy, ale z przyjaciółmi swymi do sąsiedniego folwarku, gdzie dla większej swobody ucztę im przygotowano.

Droga wiodła wprost przez Rynek, a biskup jechał

z wielką gromadą ludzi. Miał z sobą kilku ziemian krakowskich, których znowu jednać się starał.

Jechali żywo i wesoło, gdy nagle biskup, jak piorunem rażony, konia strzymał. Jadący za nim ulękli się, czy krew go nie cisnęła, tak się zachwiał i miotał na koniu.

O kroków dziesiątek przed nim stała wprost jadących, zapierając im drogę, Bieta. Umyślnie sobie wybrała miejsce takie, aby ją widzieć musiano. Odziana była tylko inaczej, w suknię brunatną barwą do zakonnej Św. Franciszka podobną, podpasaną sznurem słomianym. Głowa białą chustą przysłonięta była. Stała wpatrzona w biskupa oczami strasznemi, usta jej powoli zaczynały krzywić się jak do uśmiechu, obnażyła zęby ścięte i przeraźliwe, szyderskie parsknięcie rozległo się po pustym rynku.

Wierzeja, który z tyłu jechał za panem, zrazu nie widział jej, dopiero śmiech posłyszawszy, spiął się na strzemiona, zobaczył upiora tego i krzyknął.

Biskup koniowi dał ostrogę, cała gromada w prawo się rzuciwszy kłusem, pominęła Bietę, która zwolna zawróciła się za nią, śmiejąc i wyciągając ręce.

Gdy Wierzeja mijał ją strwożony i blady, pokłoniła mu się i dała znak ręką, jakby zapraszając, aby raz wtóry próbował. Potem powolnym krokiem głowę owinąwszy chustą, ręce złożywszy na piersiach, zwróciła się nazad ku zamkowi.

Odzyskaną wesołość biskup stracił dnia tego. Jak tylko sam na sam znalazł się z Wierzeją, wpadł nań, łając go, jako bezczelnego kłamcę, łotra, co chciał podejść pana dla zysku.

Wierzeja przysięgał, że ją w oczach jego utopiono, opowiadał szczegóły, mianował ludzi, chciał ich przyprowadzić na świadki.

Biskup, nie chcąc słuchać, ze wściekłością go odpędził, zabraniając się pokazywać sobie na oczy.

Wierzeja, nie tracąc ani chwili, siadł na koń i nazad do Krakowa popędził. I on już wściekły był. Konia okładając wyłamanym z płota kijem, dopadł napowrót Rynku, skręcił do dworca, gdy wśród drogi zobaczył stojącą Bietę.

Ta, poznawszy go, urągać mu się zaczęła. Wierzei to już było nadto, z konia skoczył i rzucił się ku niej. Chciał już łajać, lecz spotkawszy wzrok śmiały, wymierzony ku sobie, zabełkotał, mówić nie mógł.

Bieta poczęła sama:

— Widzisz, żem żywa! ani ty, ani nikt mnie nie uśmierci, bom ja jest karą Bożą! Bom ja bicz Boży na złoczyńcę! Utopicie mnie i zabijecie sto razy, wstanę z wody i z grobu, abym mu w oczy rzuciła potępieniem! Widzisz, stoję bezbronna! Masz nóż u pasa! Nie bronię się!—Odsłoniła chustę, rozerwała szatę tak, że piersi na pół obnażyła.

Zbója ogarnął strach jakiś niepojęty, jak szalony pobiegł do konia, skoczył i uszedł, śmiech słysząc długo za sobą.

Gdy biskup późno w nocy wrócił, nie stawił mu się Wierzeja. Nie zawołano go, aż nazajutrz rano. Noc uspokoiła nieco oszalałego człeka.

Pachołkowie, na których wpadł z gniewem, przysięgali się, iż nogi i ręce postronkami jej obmotali, aby płynąć nie mogła, że do szyi uczepili jej kamień spory, że poszła na dno.

Dowodziło to, że czarownicą była, przeciw której nikt nic nie mógł, bo ją szatan z ognia i wody ratował.

Wierzeja zaczynał o swym węźle powątpiewać, czy go obronić potrafi. Z głową zwieszoną poszedł do Pawła, który począł od łajania.

— Każcie sobie komu innemu robić z nią, co chcecie—odparł Wierzeja—ja nie dam jej rady. Pachołkowie poświadczą, że ją związaną, z kamieniem u szyi rzucili do wody, a dyabeł uratował. Ja przeciwko szatanowi nie stanę.

Znowu tedy biskupowi powróciła trwoga nieustanna i upokarzające uczucie bezsilności, że on, pan możny, jednej słabej niewieście podołać nie mógł.

Bóg więc sam trzymał ją jako miecz zwieszony nad jego głową, jako bicz nad barkami jego. Czasami wywołana trwogą budziła się skrucha, ale krew wrzała.

Biskup buntował się przeciwko sumieniowi własnemu.

Znowu chciał ludzkiemi pozbyć się jej środkami. Dwór biskupi rozpowiadał te dzieje, rozchodziła się wieść o nich szeroko, ludzie byli ciekawi. Strach i poszanowanie budziło się dla Biety, którą teraz zakonnicą zwano, gdy brunatną suknię wdziała.

Od owego dnia, gdy ją topiono, zmieniła się ona. Włożyła tercyarską suknię zakonu, który porzuciła, zaczęła chodzić po kościołach i modlić się ze łkaniem.

Widywano ją krzyżem leżącą i jęczącą głośno w czasie mszy świętych. Ludzie coraz się więcej litowali nad pokutnicą.

Do tych, którzy ją o co pytali, mówiła rzadko, potrząsała głową, ale łagodną była, obojętną na niewygody i jakby ostygłą.

Jak gdyby przeznaczeniem jej było nie spocząć nigdy, nie zażyć pokoju, wychodziła rano z zamku od Krzyżana, który ją i teraz żywił i dawał z miłosierdzia przytułek, z kolei odwiedziała wszystkie kościoły, cmentarze, kaplice, siadała odpoczywać w odludnych kątach i tak spędzała całe dnie do późnej nocy.

Ludzie litościwi karmili ją niekiedy, dawali chleba kawałek, strawy w misce drewnianej. Przyjmowała to milcząc, jadła jakby nie widząc, co robi i mrucząc, odchodziła.

Wierzeja, po tym wypadku, po którym popadł u biskupa w niełaskę, nie mógł się długo uspokoić. Ocalenie Biety siepacze przypisywali szatanowi, on jednak, począwszy śledzić, pytać i chodzić, doszedł, że się inaczej uratowała. Cud ów złej mocy okazał się bardzo prostą sprawą biednego człowieka.

Gdy pachołkowie rzucali ją do wody związaną u brzegu nieopodal rybak w czółno sieci ściągał. Widział on napaść, i zaledwie się zbóje oddalili, podpłynąwszy ku miejscu, w które wrzucono Bietę, zarzucił hak, który miał w czółnie, schwycił nim za sznury i dobył omdlałą z wody.

Sam on nie dobrze wiedział, dlaczego to uczynił,

ale żal mu się zrobiło i wyratowawszy z topieli, dopóty koło niej chodził, aż przytomność odzyskała. Leżała potem godzin kilka sama na wybrzeżu, dopóki jej trochę sił nie wróciło, i zawlokła się napowrót do Krzyżana na zamek.

Tu omdlałą, osłabłą, brat ów stary, jak mógł postarał się odziać, napoić i nakarmić. Nie mógł się nawet dowiedzieć od niej, co się z nią stało, bo mu opowiedzieć nie chciała. Domyślił się tylko, kto mógł być sprawcą.

Z widzenia już znała Bietę księżna Kinga, wielka miłośnica ubogich, jak Jadwiga Śląska. Kilka razy zbliżała się do niej i od niej teraz Bieta dostała tę suknię burą zakonnym krojem i krzyżyk na szyję.

Łagodne słowo księżnej, która miała dar otwierania serc ludzkich, pierwszy raz od bardzo dawna wywołało łzy na oczy Biety. Nie łzy gniewu, jakiemi nieraz płakała dawniej, ale żalu i skruchy.

Poszła zadumana próbując się modlić. Śmiech ten dziki, który jej usta wykrzywiał, powracał tylko wtedy, gdy zobaczyła Pawła. Gdy patrzyła nań, szał ją ogarniał! Potem siadała, płakała i chroniła się do kościoła.

Biskup Paweł parę razy, zobaczywszy ją około dworu księżnej, a raz nawet przy niej samej, uniósł się gniewem niezmiernym. Zdało mu się, że ona go tam oskarżać i gwałty jego opowiadać musi! Znowu tedy namiętnie wołać zaczął!

— Kto mię od tej szalonej uwolni! Żeby jej oczy me nie oglądały!

Wierzeja, który więcej znów ufał sobie, dowiedziawszy się o ocaleniu Biety przez rybaka, postanowił się poprawić. Ciż sami pachołkowie z przybranym jeszcze do pomocy siepaczem, zaczaili się na nią. Nie było nic łatwiejszego nad pochwycenie jej, gdyż często się po pustych kątach, około cmentarzów, za miastem włóczyła.

Jednego wieczora Wierzeja z pachołkami powrócił pędem do dworca, jak oszalały. Ludzie byli okrwawieni. Co się stało? nie chodził się z tem chwalić do biskupa.

Mówił tylko głośno, że tym razem już jej nikt więcej żywą widzieć nie będzie.

Zbóje, napadłszy bezbronną, w istocie mordowali ją okrutnie, bez litości; zadali jej razów kilka nożami i oblaną krwią rzucili jako zabitą, usłyszawszy, że się ludzie jacyś zbliżali.

Wóz to był, na którym jechało dwu księży duchaków, którzy naówczas przy szpitalu biskupa Iwona siedzieli. Ci, zobaczywszy niewiastę okrwawioną, która jeszcze dawała znaki życia, zatrzymali się, poobwiązywali jej rany i przewieźli do szpitala. Resztka życia drgała jeszcze w nieszczęśliwej.

Miłosiernym obyczajem świętej Jadwigi przejęta, księżna Kinga obchodziła szpitale i znalazła ją tu słabą bardzo, ale zdającą się powoli powracać do życia. Poznała w niej księżna pokutnicę, i wielką litością zdjęta, poleciła księżom, aby, gdy cokolwiek sił odzyska, na zamek ją odesłali.

Jakoż przyniesiono ją tu w dni kilka, a Kinga, pielęgnująca zawsze ubogich i chorych przy swoim dworcu, ze szczególną pieczołowitością zajęła się Bietą. Chodząc około ciała, pobożna pani nie zapomniała o duszy; odmawiała nad nią codziennie modlitwy, pocieszała ją słowem Bożem.

Choroba się przeciągnęła, ale gdy już przeszło niebezpieczeństwo, Bieta cudownie zaczęła odzyskiwać siły i jakby drugą młodość a piękność zniszczoną. Lice jej stało się białem i przejrzystem, usta złagodził uśmiech dobry, błogi jakiś i spokojny. Modlić się mogła i płakała; a są łzy, które Bóg daje na pociechę, jak są takie, które staja się męczarnią.

Lecz jak tylko wstała o swej sile, choć księżna zatrzymać ją chciała, wyrwała się jej i wybłagała, aby mogła dalej wieść życie pokutnicze. Wdziała habit i pasek tercyarski, okryła ostrzyżoną głowę i ucałowawszy nogi pobożnej pani, poszła znów błądzić po świecie Bożym.

Biskup zaproszonym był właśnie na odpust do kościoła Św. Franciszka, w którym rzadko bywał i przybył

z wielkim występem na nabożeństwo uroczyste; gdy zasiadł na przygotowanym dla siebie tronie, powiódł oczyma po zgromadzeniu i nagle zbladł i zatrząsł się.

Wiedział, że Bieta była zamordowaną. Upiór stał znowu przed nim. Zmartwychpowstała zakonnica nie była taką, jaką ją wprzódy widywał, gdy śmiała się szydersko i groziła mu! Była inną, jakby odżywioną promieniem łaski, odmłodzoną, piękną, smutną, a straszną, jak wyrzut sumienia. Stała przed nim—pokutnica. Wzrok jej nie urągał mu się, ale litował, a litość ta srożej go może zabolała, niż szyderstwo. Stała ze złożonemi rękami, modląc się; dwie łzy ciekły z pięknych jej oczów.

Biskupowi całe nabożeństwo, którego nie widział, nie słyszał, a nieprzytomny je przetrwać musiał, wydało się jak wiek, długiem.

Księża musieli, ująwszy chwiejącego się pod ręce, prowadzić do zakrystyi; trząsł się jak w febrze i zawodził obłąkanym wzrokiem.

Na poły omdlałego musiano trzeźwić długo, nim zmysły odzyskał. Prosił głosem słabym, aby mu w klasztorze spocząć dano. Obawiał się spotkania u drzwi kościelnych.

W komorze, gdy powrócił nocą, Wierzeja przyszedł mu się do nóg rzucić. Zmieniony był, upokorzony... oczy miał spłakane.

— Miłościwy panie—zawołał, w piersi się bijąc— grzesznik jestem, miłosierdzia nie godzien... jutro wstępuję do klasztoru.

V.

Upłynęło lat kilka.

Wieczorem wszystkie dzwony Krakowa odezwały się jękiem żałobnym. Ludzie wychodzili z domostw zdumieni i pytali się nawzajem, co się stało.

Dzwon jeden po drugim poruszał się coraz dalej, boleściwemi głosy zawodząc, i napełniając miasto trwogą.

Ci, co legli spać zawczasu, zrywali się z pościeli; którzy na spoczynek iść mieli, w koszulach wybiegali do drzwi.

Rynek się napełniał. Spoglądano ku Wawelowi, skąd pierwsze dzwony zabrzmiały.

Teraz i u Św. Jędrzeja, i u Panny Maryi, i u Dominikanów, Franciszkanów, na Skałce, po kapliczkach wszystkich budziły się dzwonki i płakały.

Dzień był mroźny, zimowy. Na ciemnem niebie świeciły wyiskrzone na mróz gwiazdy, na dachach leżał śnieg i jak całun, pokrywał ziemię. Tylko w ulicach biała ta powłoka zbita i z błotem zmieszana znikła, niepewną jakąś barwę przybrawszy. Powietrze było spokojne, mróz ścinał wody i ziemię. Wśród tej nocnej ciszy dzwony, nie odzywające się nigdy o tej porze, zwiastowały wielką jakąś żałobę.

Od kilku dni Bolesław był chory. Legł w łóżko, otaczali go księża, modlono się; czekał śmierci spokojnie, jak wyzwolenia. Wiedziano w mieście o tem powolnem konaniu pana, dzwony więc jego zgon zwiastowały. Zgon, a z nim niepewność przyszłości, bo choć Leszek ogłoszony był następcą, wróg jego, biskup Paweł, powtarzał, uśmiechając się:

— Nie zagrzeje on stolicy.

Gdy z Wawelu pierwsze dzwony się odezwały, biskup podstarzały, lecz silny jeszcze i niepochylony wiekiem, z niecierpliwą oznaką radości z siedzenia się porwał. Zdawał się czekać tylko na to, jak na hasło wyzwolenia.

Twarz cała dziko mu rozpromieniała; odetchnął piersią, jakby oswobodzoną od ciężaru. Namiętności, których wiek nie zdołał pokonać, wracały z gwałtownością młodą.

W tejże chwili do komory wszedł stary kanonik Wyzon, przynosząc smutną wiadomość o zgonie księcia, z twarzą chmurną, do niej zastosowaną. Zdziwił się nieco, widząc biskupa tak wesołym i rozpromienionym, nie umiejącym utaić, czego doznawał.

— Wziął Pan księcia Bolesława Pudyka do chwały swojej!—rzekł powoli.

— Wola jego niech będzie błogosławioną—odparł biskup szydersko.—Teraz na zamku miejsce moje.

Poruszył się.

— Każcie mi dać suknie, zawołać szatnego, jechać tam muszę.

Szatny wszedł, jak na zawołanie, a biskup z gorączkową skwapliwością ubierać się zaczął w strój urzędowy. Ludzie, choć znali jego nienawiść dla zmarłego, patrzali zdumieni na twarz rozjaśnioną swojego pana.

Dzwony w mieście biły ciągle, zwiastując zgon Bolesława. Ulice ludem się napełniały; na Wawelu widać było rozpalone rzęsisto światła i jakby łunę, unoszącą się nad łożem pobożnego księcia.

Ruch, jak we dnie, widać było w okolicy zamku; z Rynku, ulic lud ciągnął ku Wawelowi, z zamku oddziały wychodziły na miasto. W ulicach jezdni a zbrojni pośpieszali na górę, jakby ona obrony potrzebowała.

Żal po pobożnym panu wyrażał się cicho, więcej trwogą o przyszłość, niż smutkiem o przeszłość.

Cnotliwy książę nie umiał sobie pozyskać serc, które się tylko energią zdobywa. Ziemianie nie lgnęli ku niemu, mieszczanie, Niemcy, więcej się oglądali na Leszka, który się starał przypodobać im, włosy i strój ich obyczajem nosił, poufalił się z nimi chętnie. Wiele też sobie po tym przyszłym panu obiecywali. Duchowieństwo zakonne tylko i świątobliwi kapłani szczerze opłakiwali szczodrego dla siebie, pobożnego pana, który żył w mniszej surowości obyczajów.

Na zamku słychać było stłumione jęki dworu, do pana przywiązanego i niepokój, jaki zawsze śmierć sprowadza: obawa zmian nieuchronnych.

Biskup, który wozem kazał się na zamek wieźć, z trudnością mógł się z nim i ludźmi swymi przebić przez gęste tłumy, które wypełniały podwórza, ciągnąc ku oświeconemu dworcowi, otaczając go zewsząd. Do drzwi już się docisnąć nie było można, kler i służba musiała przybywającemu drogę torować.

Zwłoki księcia Bolesława spoczywały w wielkiej, nizkiej izbie na dole, na uczciwie przygotowanych wspaniałych marach, szkarłatem okrytych, przyodziane skromnie, jak on chodził za życia, lecz z oznakami rycerstwa i władzy. W rękach złożonych trzymał krzyż złoty, a twarz uspokojona, zdawała się konaniem błogosławionem uśmiechniętą. O mary oparta stała tarcz malowana książęcia ze lwy i orłami, a nad nią na wezgłowiu leżała czapka, obwiedziona koroną, berło i miecz kilkakroć pasem owinięty.

Tuż u stóp katafalku klęczały trzy niewiasty, w czarnych sukniach żałobnych i białych zasłonach. Na przedzie księżna Kinga zwracała na się zdumione oczy wszystkich. W jej twarzy rozjaśnionej, ubłogosławionej, niemal wesołej, jakąś nadziemską radością, widać było, że Bóg ziścił najgorętsze jej prośby. Na oczach nie było śladu łez, usta uśmiechały się niebiosom. Ona, jak niegdyś Jadwiga Śląska, wyrzucała płaczącym ich łzy, radowała się jawnie, czekała niecierpliwie godziny, w której, zwłoki męża złożywszy do grobu, będzie mogła natychmiast spełnić swój ślub i zamknąć się w klasztorze, do którego przez całe życie tęskniła. Tę radość, tak dziwnie odbijającą od trumny, wyrobioną siłą ducha, która ją zupełnie obcą czyniła światu i uczuciom jego, radość tę, bijącą od niej, ludzie widzieli i nie pojmując jej, trwożyli się. Nie było w świętej niewieście nic ludzkiego.

Pobożna, miłosierna, miała tę wiarę przepotężną, która w śmierci widzi tylko żywot wieczny, otwierające się niebiosa, aniołów śpiewających, witającego Oblubieńca! Nie była ona pierwszą, ani jedyną z niewiast tego wieku, za życia ubłogosławionych i umarłych światu. Obfitowały w nie dwory ówczesne: Jadwiga Śląska, Salomea królowa, Kinga i klęcząca obok niej siostra, wdowa po Bolesławie kaliskim, Jolanta, wszystkie żyły na świecie za pokutę, wzdychając do klasztoru.

Surowego oblicza, z twarzą pooraną marszczkami, lecz rysami przypominająca Kingę, zajmowała miejsce

obok niej wdowa drugiego Bolesława, przybyła, aby losy swej rodzonej podzielić.

Lecz ta na świecie pozostawiała córki, dzieci miała choć część żywota, spędzoną u domowego ogniska, znała radość i troski macierzyństwa; gdy Kinga, od zaślubin swych stawszy się zakonnicą, męża dla siebie uczyniła mnichem.

Kinga i Jolanta, ciałem tu jeszcze przytomne, już duszami były gdzieindziej. Na obu wrażenie grobowe tej chwili, jej żałoba, nie była widoczną; nie rozumiały smutku ludzi, litowały się nad tymi, co płakali. W oczach ich łzy były grzechem i słabością.

Obok nich klęcząca żona Leszka, Gryfina, z męskiem, energicznem, znużonem już walką inną, a pragnieniami macierzyństwa obliczem, z dumą przyszłej pani kraju, zdawała się istotą zupełnie innego świata. Patrzała na to, co ją otaczało, myślą już sięgając jutra, niepokojąc się o nie, snując pasma jakichś dumnych marzeń.

Poza temi niewiastami i ich dworem, w kątku i mroku widać było piękną, bladą z czarnemi oczyma, obwiedzionemi brunatnym cieniem, tercyarkę zakonu Św. Franciszka, w sukni grubej i pasku białym. Była to pokutnica Bieta.

Gdy biskup wszedł i wstrzymał się u progu, żadna z modlących się, oprócz Gryfiny, nie zwróciła się ku niemu. On i ona zmienili wejrzenia groźne prawie; księżna ulękła się i spuściła oczy.

W chwili właśnie, gdy marzyła o przyszłości, stawał przed nią ten człowiek, który, choć na pozór przejednany, był zawsze niebezpieczny. W ustach jego, zwichniętych przymusem, jaki sobie zadawał, źle się ukrywał jakiś uśmieszek złośliwy. Dla niego nowe pole, nowe się odkrywały widoki.

Z miejsca, w którem się zatrzymał, biskup zmierzył wejrzeniem zmarłego pana. Uszedł zemsty jego przez zgon swój, ale mu oczyścił drogę. Na tem łożu wyciągnięty, był zwycięskim, czuł to Paweł. Zmarł, nie jak on chciał, na wygnaniu, odarty z władzy i jej

godeł, ale na stolicy swej, w zamku naddziadów, otoczony wspaniałym dworem, panem nad krajem, z którego biskup go wypędzić nie mógł.

Tego on nie przebaczył zmarłemu: Paweł z Przemankowa śmiercią tą był zwyciężonym: świadczyła o jego niemocy, pracował darmo. Bóg wyrwał mu jego ofiarę. Na twarzy biskupa wszystkie wrażenia i myśli tej chwili zlały się w jeden wyraz niezmiernej dumy, niemal pogardy. Gniewu inaczej tu objawić nie mógł.

Duchowieństwo, występujące na powitanie Pasterza, przyjął, zaledwie nań wejrzawszy i poszedł zwolna z modlitwą ku marom.

Oko jego, śledzące wszystko, padło na Bietę i zapaliło się złością. I ta była nad nim zwycięzcą, i tej on ani się pozbyć z przed siebie, ani mógł zapomnieć.

Zachmurzył się mocniej jeszcze, gniew w piersiach jego zamknięty, urósł i poruszał niemi. Mógł się pocieszać jednak. Ze dwu wrogów, których pokonać nie mógł zostawał mu jeden tylko, Leszek. Rycerz to był dzielny, ale zapamiętały. Paweł pomyślał, że ten może, jak oszalałe zwierzę na łowach, sam na oręż nastawiony wpaść i przebić się.

Szmer modlitw cichych, przerywany śpiewem księży, napełniał izbę razem z wonią kościelnych kadzideł. Z otwartych okien wiatr zawiewał na płomienie grubych jak pochodnie, zwijanych, świec kościelnych, które płonęły dymiąc i światłem drżącem migotały po izbie.

Uroczysta chwila w inne dusze lała uczucia znikomości ludzkiej, w jego sercu nie odbiło się nic, oprócz mściwej rachuby jutra. Pomodliwszy się i pokropiwszy zwłoki, Paweł, gdy już miał odchodzić, ujrzał przed sobą stojącego Leszka.

Oparty na mieczu, stał cały we zbroi zwycięzca napastliwych pogan i Litwy, wojak nie znający strachu, człowiek bez ludzkich słabości.

Uląkłby się go może Paweł, gdyby nie czuł w nim, obok żelaznego męstwa, umysłu, który poza obecną godzinę dalej nie sięgał i przewidzieć nic nie

mógł. Był to człowiek dnia jednego, który mu zawsze starczył, ale jutro nie jego było.

Paweł zrozumiał to dobrze i dlatego mniej się lękał niepokonanego wojaka, który żadnej niewiasty nie kochał, kubka nie był żądny, jadłem żył skromnem, wesołości nie szukał, w trudzie znajdował rozkosz. Cieszyło i to biskupa, że jak większa część Piastów, Leszek miłował Niemców, powierzchownością naśladować się ich starał i u polskich ziemian wielkiej miłości mieć nie mógł.

U tych mar Wstydliwego, na których on spoczywał już po wielkim boju życia, razem z dymem kadzideł snuły się te myśli przyszłości: boże, klasztorne, mściwe i gniewne, rycerskie i spokojne.

Leszek, patrząc na stryja, który go umiłował i usynowił, w duchu poprzysięgał mu, iż dzielnicę jego utrzyma, rozerwać jej nie da i powiększy.

Późno w noc Paweł, którego wychodzącego Bieta pozdrowiła pokłonem do ziemi, wstrząsnąwszy się cały na tę pokorę, bo ją wziął za urągowisko, powrócił na dworzec swój wzruszony, wzburzony, pełen myśli, które mu zasnąć nie dały.

Drugiego dnia zbiegający się do Krakowa ziemianie, Leszek i Gryfina, widząc Kingę zapowiadającą, że natychmiast chce ujść do klasztoru, błagać ją poczęli i prosić, aby, jako pani pozostała w Krakowie. Pobożna Kinga, przerażona naleganiem, uchodziła przed nimi. Żadna siła ludzka wstrzymać jej tu nie mogła.

Zaledwie przebrzmiały dzwony pogrzebowe, gdy już wozy księżnej Kingi i Jolanty stały gotowe w podwórcach. Godziny jednej dłużej tu pozostać nie chciały i nie mogły.

Służba ze łzami padała, żegnając dobrą swą, miłosierną matkę, ludzie cisnęli się do niej; Kinga łzy jednej nie roniąc, strofowała łagodnie.

— Bóg mnie woła!—mówiła—na głos Jego głuchą być nie mogę!

Leszek i Gryfina ujrzeli ją zrana, wychodzącą ze swej sypialni razem z siostrą Jolantą, w sukniach za-

konnych z włosami postrzyżonemi, bosą, sznurami przepasaną, jakby odmłodzoną i wesołą.

Gryfina, której serce przywiązało się uwielbieniem i wdzięcznością dla świętej niewiasty, ocierała łzy, chwytała jej ręce, z rubasznością Rusinki obejmując, aby zatrzymać przy sobie.

— Dziecię moje—spakojnie odpowiedziała Kinga—żadna miłość i żadna ludzka moc nie zdoła mnie zmusić do męczarni waszego żywota. Na tę godzinę wyzwolenia czekałam życie całe, jestem szczęśliwa! szczęśliwa! Bolko mój do niebios poszedł, dotrzymawszy mi ślubu, ja z wiankiem na skroni idę do nieśmiertelnego mojego Oblubieńca.

To mówiąc, rozpostarła ręce, padła na kolana i pochylając się ku wiszącemu na ścianie krzyżowi z wizerunkiem Chrystusa, namiętnie poczęła całować nogi Jego.

Siostra Jolanta, nie mniej mając gorącości ducha, nie okazywała jej tak jawnie, jak Kinga, dla której oczy i uszy ludzi obojętnemi były.

Księżna wołała w zachwycie, oczy podnosząc ku niebu:

Raduje się dusza moja w Panu, rozkoszą rajską zapływa serce moje. Oto idę do Ciebie, Panie, sługa Twa! Oto idę!

Słowom tym, w uniesieniu wyrzeczonym, towarzyszyły ruchy, znamionujące szczęście niepojęte dla drugich.

— Śpieszcie!—wołała na dwór swój.—Szaty moje niech wezmą ubodzy, klejnoty niech idą na ołtarz Pana! Nie potrzebuję nic, ta jedna sukienka uboga starczy mi do zgonu. Dlaczego ociągacie szczęście moje? Czemu wstrzymujecie mnie tu, o wy, nielitościwi! Widzicie, że ducha mojego już tu niema, więzicie ciało tylko!

Chwytając za rękę milczącą Jolantę, zwróciła się ku niej.

— Chodź, siostro moja miła, chodź! Bramy raju czekają na nas otwarte. Idźmy! bieżmy!

Ludzie słuchający płakali, inni rzucali się na kolana; kapłani pobożni, słuchając natchnionej, jak ona wpadali w zachwycenie.

Księżna z kolei ku wszystkim się zwracała, o pośpiech błagając. Lękała się, aby ją przemocą jaką nie zatrzymano tutaj.

W Sączu już wszystko było gotowe na przyjęcie dwu sióstr, które zakonnicom biednym za sługi się ofiarowały. Wśród tego zajęcia wyjazdem księżna Kinga, przechodząc z kolei od jednej do drugiej ze sług swoich, ujrzała przed sobą klęczącą Bietę. Ta się kryła za wszystkiemi, jako najniegodniejsza dotknąć szat świętej pani. Ujrzawszy ją przed sobą, rzuciła się na ziemię, objęła bose jej nogi i całować je zaczęła.

— A ty!—rzekła, pochylając się ku niej Kinga— dziecko moje! dlaczegóżbyś nie miała iść z nami? Tam łzy i pokuta lżejszemi ci się staną, droga do zbawienia łatwiejszą. O! chodź ze mną, chodź ze mną!

— Nie mogę, o pani moja!—podnosząc ku niej ręce, zawołała Bieta.—Nie! Tej lżejszej drogi wybrać ja sobie nie mam prawa... ciernistą iść muszę i spaloną. Jam jest karą Bożą dla niego, jam dla niego znakiem i oznajmieniem... ażali to serce kamienne nie zmięknie od łez moich... ażali i z jego powiek nie wytryśnie kropla żalu. Bóg mi wskazuje tę drogę!

Przypadła, łkając, do nóg księżnie i zamilkła.

Kinga błogosławiła, cichą nad jej głową odmawiając modlitwę.

Zdala stojący, nie wiedząc czemu, płakali.

W tej chwili zakonnik stary, z siwą brodą, z głową wypełzłą, w sukni połatanej, przepasany powrozem wszedł do izby, jakby dawał znać, iż przyszła chwila rozstania.

Oblicze księżnej zajaśniało, porwała krzyż, przycisnęła go do piersi i niosąc przed sobą w tryumfie, jak tarczę, modląc się głośno, poczęła iść ku drzwiom z siostrą razem.

Przytomni po drodze chwytali i całowali jej szaty. Nie widziała już nikogo, nie słyszała nic, cała w Bogu.

Nie rzuciwszy okiem na ten dom, w którym lat tyle przeżyła, w którym tyle wspomnień pozostawało, biegła śpiesznie z dworca ku kościołowi, z modlitwą ostatnią na świeży grób męża.

Tu przy płycie kamiennej poklękła raz jeszcze, pomodliła się krótko i wstała natychmiast. Wozy za nią przybyłe, stały u drzwi kościoła Ś.v. Franciszka, czeladź podniosła ją na rękach... dał się słyszeć płacz rzewny— i wozy toczyły się już po zmarzłej drodze ku Sączowi, a na zamku pozostała Gryfina.

Biskup zdala przypatrywał się temu widokowi, który w nim zniecierpliwienie jakieś wywoływał. Miał nadzieję, że przez księżnę nawrócona Bieta z nią razem pojedzie zawrzeć się w murach klasztornych.

Właśnie, gdy oczyma szukał jej na tych wozach, które niosły Kingę i Jolantę, spostrzegł idącą smutnie, z głową zwieszoną i różańcem w ręku.

Cofnął się ze wstrętem.

Widok jej teraz nawet, gdy przestała być groźną, a stała się błagającą, wznawiał w nim dawne burze, wspomnienia jątrzące... nie zgryzotę występku, ale niemocy gniew i upokorzenie.

— Pawle—mówił sam do siebie—czegóżeś ty upragnionego, pożądanego dosięgnął w żywocie swoim? Nic! Słabi tryumfują nad tobą! urąga ci się pospólstwo... tłum cię palcami wytyka... przebaczono ci, bo wzgardzono tobą! Nie! nie skończyło się życie jeszcze! Nie! Teraz się ono dopiero rozpocząć może. Leszek jeden nie sprosta mi! Obalę go, podkopię, wywrócę! Okażę siłę moją! Zwyciężę!

Tych słów domawiał w duszy swej, gdy do izby, w której oknie stał, wszedł mężczyzna z głową siwą, przyodziany z przepychem, kołpak trzymając w ręku.

Możny to był pan i znaczny człowiek, poznać go było z postawy, chłodu, lica dumnego, które zasępione, choć ogólną tłumaczyć się mogło żałobą, znamio-

nowało razem charakter zgryźliwy, podejrzliwy, niespokojny.

Szedł ku biskupowi zwolna, jak człek w domu tym poufały, nie gość, a domownik prawie. Szedł roztargniony, patrząc pod nogi, myślami ciężkiemi, które w sobie niósł tak zajęty, iż nie postrzegł, jak biskup, usłyszawszy chód, zwrócił się, podszedł ku niemu i tuż stanął.

Podniósł i gość blade oczy na niego, ale zaciśniętych mocno ust nie rozwarł jeszcze. Oczyma tylko z początku mówili do siebie i zrozumieli się. Na obu znać było wielkie brzemię wspólnie dźwigane.

Paweł rękę doń wyciągnął, ścisnęli się, przybyły lekko się skłonił, jakby do pocałownaia jej, wnet jednak wyprostował się i westchnął ciężko.

Biskup spojrzał wgłąb izby; nie było w niej nikogo, za progiem zdala stała czeladź jego, przyglądając się i szepcząc po cichu.

Gość był tak ubrany, jakby powracał z pogrzebu i uroczystości zamkowych, w szatach paradnych, w kożuchu sobolim, w kołpaku z piórem, z pasem złocistym. Ubranie to zawadzało mu, ciężyło, bo je coraz poprawiał. Zdradzała się natura niecierpliwa.

Długo dość biskup i on, powitawszy się, stali milczący.

Wiodąc go za sobą, Paweł poszedł usiąść na wezgłowiu i wskazał mu ławę zasłaną u swego boku. Schylił się do przybyłego.

— Poczyna się era nowa!—rzekł szydersko.

— Lub starych dziejów przedłużenie!—głosem stłumionym, schrypłym odparł przybyły.—Nowego w istocie tu niema nic. Myśliwego straciliśmy, żołnierz go zastąpił, a wodza i głowy, jak nie mieliśmy, tak nie mamy!

Paweł poruszył głową.

— Wojewodowie oba dobrzy! nie mówcie!—odparł.—Pudyk prowadził na plac i bił się dzielnie. Leszek od niego lepszy jeszcze.

— Pewnie, ale na księcia tego za mało—począł gość.—W domu też i w czasie pokoju głowy potrzeba. Nie dość utrzymać, co się dostało, zdobywać musi, kto chce pano-

wać. Ziemianie nasi, jak jednego, tak drugiego nie lubią. Oba Niemcy są!

— Niemcy! tak!—rozśmiał się biskup—a szukajcież między Piastami takiego, coby nim nie był?

Pomilczeli trochę i biskup sam dodał:

— Mazowieckichby nam tu trzeba, ci silniejsze mają dłonie i chciwsze serca, i nie tyle zniemczeli.

Patrzyli na się i znowu zapanowało milczenie. Biskup kazał przynieść wino, wzięli się za kubki.

— Kto chce co poczynać—szepnął Paweł—musi zawczasu.

Gość głową dał znak potwierdzający. Tak się już musieli rozumieć dobrze, iż słów im wiele nie było potrzeba; odzywali się urywanemi wyrazy.

— Nas dwu to mało!—szepnął biskup.

— Czekajcie, niebawem więcej się znajdzie — odparł drugi.—Dać trzeba czas Leszkowi, aby ziemian od siebie odstręczył. Łatwo to przyjdzie! Niemcy u niego wszystkiem. Niech się rozpościerają, niech biorą górę, to nam przyjaciół przyczyni!

— Rozumnie!—potwierdził biskup—ale każda, by najpiękniejsza szata ma podszewkę, tak i ta wasza, która się po wierzchu dobrą wydaje. Zrazi Czarny jednych drugich pozyska,bo w boju mu się szczęściło i szczęści, a rycerstwo to za serce ima.

Gość odpowiedział wzrokiem zdumionym i pomyślawszy nieco, rzekł:

- Na to, aby sobie druhów nie zrobił, poradzi się.

— Radźcież!—dodał biskup.

Siedzieli znów, popijając.

Żegota, wojewoda nasz, nie mówi, co czuje—rzekł przybyły—ale mu i było i jest wszystko nie do smaku. Da nam rękę.

Biskup wesołą twarz zrobił.

— Ja nie jestem go pewny.

— Ja zaś, co wiem, to wiem, i przy swojem stoję.

— A z Sandomierza?—spytał biskup.

— Krystyn mi powinowaty—odpowiedział gość,—przez niego pójdzie się dalej.

Bardzo cicho i żywo dodał ks. Paweł, schylając się do ucha:

— Ale dziś, dziś trzeba wielką miłość i zgodę wykładać na misę, aby nie zwąchał, co się warzy.

— Nie widzi daleko—wtrącił drugi.

— Toć prawda, ale drudzy zań.

Przeszli do innej treści.

— Gryfina—odezwał się biskup szydersko—zarząda teraz więcej, niż kiedykolwiek potomka. Jużem ja jej raz służył dobrą radą, gdy czepiec rzuciła i wrzawy a sromu narobiła Czarnemu. Teraz też mam ją sobie czem zjednać, a w oczach ludzi zohydzić!

Bystrem wejrzeniem gość mowę mu przerwał, jakby podziwiał przebiegłość biskupa, który ciągnął dalej z uśmiechem:

— Mam tu jednego mnicha, Benedyktyna, niedawno z Włoch przybyłego. Biegły jest w różnych medycznych kunsztach, i ma radę na wszystko. Niemoce wszelkie i choroby najcięższe leczy. Ma też, jak powiada, nieochybne lekarstwo na bezdzietność.

Zdziwiony słuchacz wlepił weń oczy.

— Nie bój się kochany Warsz — dodał biskup widząc zdumienie.—Mnich bałamut jest i samochwalca. Nie uczyni on nic, ale uwodzić ją będzie, a gdy wezmą, co im doradzi, splugawią się w oczach ludzi.

— A cóż to za lek taki?—spytał Warsz.

— Nie łacnoby go kto po dobrej woli kosztował—mówił Paweł—ac Gryfina gotową jest na wszystko! Ślubowała już św. Idziemu i innym bezskutecznie, posłucha mnicha mojego Jest Salernitanin! Opowiada się też jako uczeń wielkiego Alberta.

Warsz słuchał z ciekawością natężoną.

— Samochwał ten i kłamca, bo za takiego mam go, choć suknie nosi zakonne, mówi, iż zna gady takie, węże i ropuchy, których pożywanie przez obojga małżonków niechybnie ich potomstwem obdarzy.

Ks. Paweł śmiać się począł.

Gryfina zje pewnie, co jej poda—mówił dalej—a jako prawa Ewa poda też mężowi część owocu zakazane-

go. Benedyktyn lubi prawić i chlubić się. Gadami ich nakarmiwszy rozgłosi.

Warsz ruszył tylko ramionami. Rzecz mu się zdała do wiary niepodobna, albo błaha. Paweł zaś niepomiernie się nią radował, jako dobrym wynalazkiem, powtarzając żarty o gadach, któremi nowego pana żywić miano.

Gdy tak rozmawiali, zaszło kilku powracających z zamku na dworzec biskupa. Z liczby ich poznać było można, że przez ostatnie lata zjednać sobie potrafił między ziemiany, jeśli nie przyjaciół poważniejszych, to przychylnych i nie odwracających się od niego.

Pierwszy ukazał się wojewoda Żegota, o którym mowa była, za nim Krystyn, kasztelan Sandomierski, powinowaty kasztelana Krakowskiego, który tu ich uprzedził. Przychodzili i inni na pogrzeb przybyli, także w godzinę na dworcu przy ulicy Wiślnej tłumno już było.

Zastawiono stoły obficie, bo tem sobie zawsze biskup ludzi jednał, że ich karmił i poił pańsko a dostatnio. Wkrótce też pogrzebowego smutku wcale tu czuć nie było, a mało kto, oprócz tych, co mu do łowów służyli, wspomniał Pudyka.

O Leszku też ostrożnie milczeli wszyscy.

VI.

I znowu upłynęły cztery lata.

Leszek Czarny panował, bijąc szczęśliwie Litwę, a głosy chodziły, iż patron ulubiony, archistrategus Michał, dopomagał mu niewidzialnym mieczem przeciw wrogom.

Biskup Paweł toż samo wiódł zawsze życie; spiskował teraz tylko gorliwiej może i goręcej, niż za Bolesława, bo mu długa bezkarność dodała ducha i uzuchwaliła. Nikomu nie było tajno, że wiódł na Kraków Konrada Mazowieckiego, któremu szersze panowanie bardzsię uśmiechało.

Gorąca krew pierwszego Konrada odzywała się w tym potomku. Krzyżakom oddawszy kawał ziemi, której odzyskać żadnej już nie mieli nadziei, chciano sobie Krakowem i Sandomierzem zapłacić, a biskup najlepszą przyszłość obiecywał.

Nie powiódł się zamach na Sandomierz, przyszła potem sprzymierzona Litwa, i tę Czarny przegnał i pobił. Jakby nadomiar klęsk, głód a po nim mór straszny kraj spustoszył.

Wszystkie knowania i spiski ks. Pawła spełzły na niczem, ale nie wyrzekł się ich i nie zaprzestał. Trwał przy swojem.

Między nim a Leszkiem wojna już była prawie otwarta. Biskup nie pokazywał się w Krakowie, bo mu tu głośno uwięzieniem grożono. Z pierwszej niewoli groźbą klątwy i interdyktem wyzwolony, Paweł śmiał się z tych pogłosek.

— Nie ważą się raz drugi!—mówił.

Miał za sobą znaczną część ziemian, nie wszędzie jeszcze jawnie występującą, ale uzyskaną i pewną.

Powtarzające się niekiedy posłuchy o tem, że Czarny mu więzienie obiecywał, to go gniewały, to do śmiechu pobudzały.

— Nie będą śmieli!—powtarzał.

Siedział pod ten czas w Łagowie, licznym otoczony dworem, bo Krakowa nie lubił, jak mówił, a może się go w istocie obawiał. Tu się doń zjeżdżali potajemni sprzymierzeńcy, tu odbywały narady, stąd posłowie prawie jawnie jeździli podżegać Litwę do najazdów, a książęta Mazowieccy, już spokrewnieni z kunigasami litewskimi, wyciągali ich z lasów.

Nie poszczęściło się wprawdzie w Sandomierzu, bo Leszek przegnał zwycięsko najeźdźców, lecz biskup miał tę pociechę przynajmniej, że go niepokoił i nie dawał spoczynku.

Groźniejsze daleko sprzysiężenie w przyszłości się sposobiło, bo ziemianie obiecywali wszyscy ogłosić się za Konradem, byle się pokusił o Kraków.

Czyniono ku temu przygotowania.

W Łagowie, w którym biskup podstarzały i ociężały, najczęściej przebywał, dawny dwór co roku przybudowywano, szopy przystawiano, bo ich nie starczyło dla przybywających gości i dworu.

Nigdy tu pusto nie bywało, rzadki dzień, by do stołu pół setek ludzi nie zasiadł. Nakarmić ich było trudno, ale biskup swojego grosza, kapituły i kościelnego majątku nie szczędził, a dziesięciny zawczasu za gotowe pieniądze umiał sprzedawać. Weselono się i zabawiano ochoczo: biskup, gdy gniewnym nie był, zachęcał do dobrej myśli i pośmiać się lubił.

Otaczali go teraz ludzie nowi, ale kubek w kubek do znanych już nam podobni: krzykacze a śmiałki, pochlebce a darmozjady.

W łaskach największych był Kaczor, ziemianin Sandomierski, człek do wszystkiego, bo choć rycerskiego stanu i dobrego rodu, razem gęślarz, śpiewak, wesołek, do wszelkich sztuk zręczny. Z owym śląskim księciem, co go Skoczkiem zwano, o zakłady chodził do przesadzenia przez kłody, z innymi o końskie gonitwy. Na nieosiodłanego, bez uzdy skoczywszy, najdzikszym kierował i zmuszał do posłuszeństwa. Przytem był równie bystry, jak silny i zręczny: przewąchał prędko nieznajomego, dobył z zanadrza każdemu, co najgłębiej leżało skryte. A wieczorem przy uczcie wydrwić, rozśmieszyć, spoić umiał, jak nikt.

Niczego też wyglądał, twarz miał okrągłą, dosyć przystojną, choć nos spłaszczony, trochę za mały; oczy żywe, usta rozkoszne, uśmiech biorący za serce. Gibki, silny, choć już nie młodzik, mógł jeszcze za takiego uchodzić.

Biskup, którego w złych godzinach rozrywać umiał, lubił go bardzo.

— Bez Kaczora, jak bez ręki!—mawiał, gdy go nie było.

Wysławszy go, tęsknił za nim. Ubierał też pięknie ulubieńca, a często gęsto rzucił mu garść groszy. We dworze, co kto chciał wyrobić u biskupa, przez niego naj-

pewniej wyprosił. Płacić sobie kazał za to, ale co chciał —uzyskał.

Właśnie tego dnia w Łagowie bardzo wczesnym rankiem przyszedł Kaczor do biskupa, który się jeszcze wyciągał na łożu. Stanął przed nim, coś sprzątając z dnia wczorajszego ze stołu, a twarz miał, co mu się rzadko trafiało, posępną.

— Cóż tam?—zapytał biskup, ziewając—będziemy dziś niedźwiedzia szczuli, co go łowcy żywcem wzięli?

— Hę? niedźwiedzia? —odezwał się Kaczor.—Ja bo się lękam, aby nas nie poszczuto...

— Coś ty oszalał?—spytał Paweł.

— Nie. Na sercu mi strasznie markotno—rzekł sługa—słyszę, że o mil kilka kręcą się jakieś oddziały Leszkowe: kto wie, co one mają na myśli i czego tu szukają?

Ks. Paweł śmiał się z tej obawy.

— Szukają po czasie Litwinów, którzy już z łupem do domu poszli. Cóż za dziw, że się tu Leszkowi ludzie kręcą! Czyś już i ty tchórzem się stał?

— Wolałbym, ażeby ich w blizkości nie było.

— Co ci do głowy przystąpiło—fuknął biskup. — Mieli czas na mnie się zasadzać, gdym bliżej był, a nie ważyli się.

— Ja im nie wierzę!—westchnął Kaczor.

Biskup, który wstawać począł, oburzył się na niewczesnego proroka!

— Idźże ty mi precz z baśniami temi!—odparł.

Kaczor się nie dał wypędzić.

— Cóżby to waszej Miłości szkodziło—rzekł,— gdybyście trochę gdzieindziej posiedzieli, a nie w tym Łagowie, gdzie dworzysko, jak na dłoni, i wiedzą o was napewno, że tu jesteście.

— Oszalałeś!—przerwał ks. Paweł, zniecierpliwiony mocno.—Milczże mi, albo precz idź! Łagów ci się przejadł, albo sobie gdzieindziej podwikę upatrzył.

— Nie!—rzekł Kaczor—nie! Nie wiem sam, co mi jest! Niepokój mnie ogarnia, sny mam brzydkie, i opędzić się im nie mogę.

— Sny głupie!—mruknął Paweł.—Możesz-że ty przypuścić, aby się oni po raz wtóry na interdykt i klątwę narażali?

— Hę?—ruszając ramionami, głowę i głos podnosząc, począł Kaczor. — Niech mi W. Miłość przebaczy, ale zapominacie o wszystkiem. Wszakci arcybiskup gnieźnieński nie żyje, drugiego dotąd niema jeszcze, choć gadają, że Świnkę mają tam posadzić? A któż rzuci interdykt na W. Miłość?

Uwagą tą nieco biskup się zdał uderzony. Stanął i zadumał się.

— W istocie rozum masz—rzekł—tylko nim zanadto świdrujesz!

— Czy ja go mam, o tem nie wiem—odparł sługa—ale to pewna, że Wasza Miłość nadto ostrożnym być nie możesz.

— Gdyby chcieli zębów na mnie próbować, czas po temu mieli—odezwał się Paweł.—Wiedzą dobrze, iż targnięcie się na władzę biskupią płazem nigdy nie uchodzi.

Biskup ubrany przeszedł się po izbie raz i drugi, zamyślił i spytał Kaczora, który jeszcze coś ustawiał:

Wielu ludzi zbrojnych mamy z sobą?

— Było ci ich pewnie z półtorasta, a może i więcej. Ja liku nie wiem, bo to nie moja rzecz, a pana Zakliki. Połowa z tych po wsiach rozstawiona odpoczywa, z reszty dużo się rozlazło; gdyby policzyć pilnie, dwudziestuby może zebrało się wszystkiego.

Kaczor wyszedł, nie otrzymawszy odpowiedzi, a i biskup, jakby o rozmowie tej zapomniał, z bardzo wesołą twarzą do izby się wytoczył, gdzie już nań czekano z rannym obiadem, który niemal zaraz z łóżka wstawszy, pożywano.

Biesiadników dosyć było, lecz rozpatrzywszy się, niewiele po nich spodziewać się mógł gospodarz; do misy byli dzielni, do gadania skorzy, lecz zbyt rycersko z oczów im nie patrzało.

Rozmowa poczęła się zaraz o młodym niedźwiedziu, którego łowcy żywcem wzięli, a mieli go po połu-

dniu szczwać psami, między parkanami, którą tą zabawę ks. Paweł lubił, jeżeli łowów nie było.

Dzień robił się skwarny, z domu jechać w las nie chciało się nikomu, czekano popołudnia.

Biskup, jako był nawykł, zjadłszy i napiwszy się, siadł drzemać czas jakiś, niekiedy legł na chwilę.

Właśnie oczy był przymknął i zabierał się do tego poobiedniego spoczynku, gawiedź porozchodziła się, szukając cienia i chłodu, czeladź po panach resztki sprzątała, gdy naraz ziemia się zatrzęsła, zahuczało gwałtownie.

Zerwał się ks. Paweł na równe nogi i wyjrzał.

Dom dokoła otaczali zbrojni, a w sieni Kaczor, krzycząc już się z kimś borykał.

Biskup co żywo rzucił się we drzwi tylne, widząc, że w istocie zaskoczony został, jak mu zrana sługa przepowiadał, ale otwarłszy je i lecąc pędem, wpadł w ręce ludzi, którzy stali, czatując nań. Chociaż bronił się rozpaczliwie, przemogli go liczbą, ujęli wprędce i z sobą powiedli.

Głowy nawet nakryć czem nie miał, a na sobie letni przyodziewek dla skwaru i na nogach skórznie miękkie, w których po domu chadzał.

Wołał wielkim głosem Kaczora i swoich, ale tego pierwsi wchodzący spętali już w sieniach a co było biskupich ludzi, pierzchnęło, jak wymiótł.

Rycerstwo bezbronne, bo oręża pod ręką nie miało, poniosło się do lasu, dwór po wyżkach i szopach się pochował, a czeladź poza płoty i ogrody poprzypadała.

Bronić się ani myśleć mogli, ani też było komu.

Oddział, wysłany dla pochwycenia biskupa liczył więcej półtorasta ludzi, doskonale zbrojnych, a przez Leszka tak wyuczonych, iż dwa razy silniejszy zastęp nie był dla nich straszny.

Nieopodal stał przygotowany wóz, bo na koniu, choć jeszcze jeździł ks. Paweł na łowy, jużby go w dalszą drogę uprowadzić nie było można. Wiek i tusza nie dozwalały.

Zbrojni ludzie na rękach go podnieśli, do wozu rzu-

cili, siadło z obu stron po trzech drabów na straży i w konie.

Wóz potoczył się żywo, wkoło otoczony częścią oddziału, gdy tymczasem reszta jego, wedle obyczaju plądrowała domostwo, i co w nim lepszego było, rozgrabiała.

Kaczor związany, wymodlił, aby go dla usług biskupa z nim wzięto; dano mu tedy konia, którego dwóch między siebie wzięło, a ręce mu spętano.

— Stanęło na mojem—pomyślał Kaczor, który nigdy nie dawał się złamać na duchu.—Biskupa nie zetną, ale odsiedzi rekolekcye dobre i schudnie trochę.

Nie taili ci, co ich prowadzili z sobą, że znowu mieli rozkaz wieźć ks. Pawła do Sieradza, gdzie zamek był mocny, ucieczka z niego trudna, a dostojnemu więźniowi mogło być dość wygodnie. Zamek cały teraz stał pustką.

W pierwszej chwili biskup wyrywał się, klął, łajał, groził, lecz po tym wybuchu opanował się, uspokoił i milczał. Ci, co go wieźli, ile razy mu w oczy spojrzeli, woleli byli łajanie, niż wejrzenie. Odwracali się od niego milcząc. Ani wilk, gdy go ujmą w jamie, straszniej nie patrzy.

Kaczor, odzyskawszy humor, w pół drogi już śmieszył swych stróżów, którzy mu za to postronków popuścili.

W Sieradzu wszystko już było przygotowane na przyjęcie biskupa. Powiększono załogę pustego teraz zamczyska, a starszym nad nią mianowany był ulubiony Czarnemu, Żelisław Kaniowa, więcej nawykły do trzymania żołnierzy w polu, niż do strzeżenia więźnia i zamku.

Wprowadzony do tej samej izby, którą niegdyś zajmował, złamany drogą pośpieszną, biskup rzucił się na twardą ławę i pozostał długo w jakiemś odrętwieniu.

— Zwyciężonym, zawsze być zwyciężonym!—powtarzał w duchu.

Myśl ta doprowadzała go do rozpaczy, wrzała w głowie, rozdzierała piersi! Tyle sił zmarnowanych, tyle prze-

biegłości, rozumu, czasu, pieniędzy, ofiar nadaremnych, zmarnowanych! Miał do czynienia ze słabszym od siebie nieprzyjacielem, a podołać mu nie mógł. W czem więc spoczywała tajemnica zwycięztwa! Nie chciał przypuścić, ażeby ona leżała w sprawiedliwości sprawy, wierzył tylko w siłę.

Wśród tych bolesnych rozmyślań Kaczor, który się wprosił do posług jego, szedł z ludźmi, niosącymi przybory potrzebne, sprzęt, pościel i co do wygody służyć miało. Biskup, do którego mu w drodze przybliżyć się nie dozwalano, nie wiedział o nim i zdziwił się, postrzegłszy przy sobie jedynego pozostałego, wiernego sługę.

Ten zajmował się posłaniem, nie odzywając się nawet przy obcych, spełniając swój obowiązek, milcząc. Pocieszyło to nieco ks. Pawła, że go miał z sobą, bo człowiek przebiegły mógł mu być użytecznym.

Kaczor był tak rozumnym, iż nie wspominał mu tego, co mówił zrana w dniu uwięzienia o swoich snach : przeczuciach. Dopiero, gdy czeladź obca porozchodziła się, rzekł:

— Odpoczniesz tu sobie Miłość Wasza, a w Bogu nadzieja, że długo to nie potrwa.

— I zapłacą mi oni za to drogo!—dodał ks. Paweł— chybabym nie był żyw! Przysięgam na rany Pańskie, na sucho im to nie ujdzie! nie! Drugi raz więzi mnie Leszek! Na jego karb, na szyję... kładnę krzywdę moją i kościoła!

Zamilkł.

Od następnego poranku rozpoczęły się długie dnie niewoli jednostajnej, takiej, w której więzień traci w końcu miarę czasu i liczbę dni.

Codzień niezmiennie powtarzało się toż samo. O jednej godzinie budziła się straż za drzwiami i gwarzyć zaczynała, przynoszono jedzenie, wchodził Kaczor, mówił o pogodzie... Biskup próbował się modlić, lecz gniew i myśl zemsty przerywały mu modlitwę. Jadł potem, drzemał, bił się wpośród tych ścian ciasnych i dusił, a po długiej bezsenności gorączkowym snem usypiał.

Na zamku przez okno widać było zawsze tych sa-

mych żołnierzy, wiodących konie załogi, noszących wodę, grających w kości, pasujących się z sobą, lub po piwie śpiących w cieniu. Pusto było, cicho, duszno.

Po kilku tygodniach tej męczarni, podobnej do katuszy, gdy zbrodniarzowi sznurami ręce i nogi powiązawszy, zwolna mu członki ze stawów wyciągają, biskup nie wiedział, czy spędził tu dni, czy lat kilkanaście. Wszystko się zmieszało w mrokach szarej myśli, pierwsza niewola z drugą, młodość z dniami teraźniejszemi. Spodziewał się czegoś, odezwy, głosu, poselstwa, żądania, nie przybywało nic.

Nawet pleban miejscowy, dawniej mu znany, nie przychodził go pocieszać. Biskup nie wiedział, iż zmarł był, a obcy go zastąpił.

Jednego dnia śmiertelnie znużony ciszą tą i jednostajną rozmową z Kaczorem, który z zamku nie miał prawa się oddalać, posłał prosić proboszcza. Starszy Żelisław, pozwolił go przyprowadzić pod wieczor.

Zdziwił się biskup, widząc twarz nową, człeka młodego jeszcze, z wejrzeniem bystrem, pozoru surowego, powierzchownością zdradzającego, że świat nie był mu obcy.

Zwał się Albertem, a pochodził ze znanej rodziny Różyców. Młodość spędził, jak Dzierżykraj, w Paryżu i Włoszech. To już go mogło nienawistnym uczynić Pawłowi, który półcudzoziemców i mądralów nie lubił.

Na ten raz jednak i Albertus Różyc był mu pożądanym. Lecz wylać się przed nim, użyć go do swej sprawy, jak chciał biskup, nie mógł; czuł w nim przeciwnika. To tłomaczyło, dlaczego młody ksiądz nie śpieszył na zamek, nie narzucał się pierwszy i wzywać go aż było potrzeba.

— Widzicie, co mnie po wtóry raz w życiu spotyka—odezwał się biskup dumnie do niego.—Niema już dziś bezpieczeństwa nawet pod tą czarną suknią naszą, ani na stolicach, na których siedzimy. Przyszły Antychrysta czasy, tatarskie rządy.

Różyc milczący westchnął tylko.

— Nad śmierć cięższe jest milczenie grobowe w tych

murach — ciągnął dalej Paweł. — Nie słyszeliście nic, mój bracie? Nie macie nic, czembyście mnie pocieszyli?

— Nie wiem zgoła nic—odparł ks. Albert spokojnie. Siedzę tu na uboczu, ludzi obcych nie widuję. Ci, co tu żyją, nie wiele na świat wychodzą.

— Nic z Krakowa? nic ode dworu?—pytał popędliwie Paweł.

— Gdyby co było—rzekł ksiądz—Wasza Miłość prędzej odemnie wiedzielibyście o tem na zamku.

— A inni książęta—badał biskup.

Ks. Albert po pewnym namyśle począł zwolna:

— Księciu Przemysławowi poznańskiemu żona jego, Lukierda, zmarła nagle. Baśnie o tem plotą ludzie.

— Więc choć baśnią mnie rozerwijcie, przez litość! —rzekł biskup, wskazując na ławę.—Na Boga, miłosierdzie nademną, zabitym tą ciszą, mieć powinniście.

— Baśń to zapewne być musi—odezwał się pleban —boć niemożliwa, aby pobożny książę, poślubiwszy niewiastę, którą wszyscy opowiadali młodą, nadobną, powolną, dobrą, miał ją sam na śmierć skazać, jak ludzie zmyślają. Powiadają drudzy, że sługi ją niechętne udusiły, a między pospólstwem wielki jest żal po niej.

Biskup, który znał, co się na dworach działo lepiej od ks. Alberta, słuchał z powątpiewaniem, ciekawością, zajęciem.

— Księcia Przemka żona! — rzekł powoli. — Wiem ci ja o niej. Nie była ona stworzoną ani dla tego pana, ani do naszych dworów zniemczałych. Nasłuchałem się o niej, bo dawno o ich życiu rozpowiadano. Biednej Pomorzance tęskniło się za swymi, i za domem za pieśniami i obyczajem swoich ludzi. Zmuszali ją do niemieckiego życia,—płakała. Chodziła, bratając się z prostym ludem, bo u niego podsłuchiwała pieśni, do swoich podobne, a językiem własnym rozmówić się mogła. Niemkinie, co jej służyły, tak ją nienawidzieć musiały, jak ona chłopstwo kochała. Księciu Przemkowi musiała się zdawać zbyt prostą niewiastą i jakby chłopianką. Prędko ją zbrzydził, choć książęcej krwi była, nie gorszej od niego. Z tego wszystkiego mogło morderstwo po-

wstać. Dumny panek mieć je będzie na sumieniu i pamięci.

Ostatnie słowa wyrzekł z radością, którą nienawiść w nim zbudziła.

— Przemkowi zachciało się pewnie—dodał—dostojniejszej jakiej żony, kędyś z królewskiego gniazda wziętej Niemki. Dostanie ich dużo do wyboru, te się go nie ulękną.

— Wielka żałość po Lukierdzie w Poznaniu—rzekł ks. Albert,—bo wielka dla niej była miłość ludzi. Za żywota też pono ucierpiała wiele. Wieczny jej spoczynek.

— Więc Przemko miał ją dać udusić?—zapytał biskup.

— Prosty lud tak głosi, ale jego baśniom nikt wiary nie daje—dokończył pleban.

— Prawdy dojść trudno, gdy z książęty sprawa— zawołał Paweł.— Jeżeli winien Przemko, będzie w Poznaniu klasztor jaki fundował, wiosek mu nada kilka, a grzech mu odpuszczą!—szydersko rzekł biskup z gorączką, która z każdego jego wyrazu tryskała.

Ostrożniejszy pleban spuścił oczy i nic na to nie odpowiedział.

— Na sądzie ostatecznym prawdy się dowiemy!— zamruczał Paweł i spojrzał w okno.

W podwórcu, którego już wszystkich mieszkańców znał, spostrzegł postać nową i z pożądliwą ciekawością począł się jej przypatrywać.

Był to ktoś w sukni podobnej do noszonych przez duchownych, zmierzający ku baszcie, którą zajmował ks. Paweł.

Pierwszy raz od osadzenia tu więźnia, zjawiał się obcy. Zajął też biskupa, który cały do okna się przychyliwszy, pilnie mu się przyglądał. Przybysz podniósł głowę do góry, a ks. Paweł dostrzegł rysy dobrze mu znane, których przypomnieć sobie nie mógł, bo odzież duchownego wskazywała.

Pleban, który przed chwilą był tak pożądanym gościem, teraz się dlań stał zawadą. Wstał, dziękując mu za odwiedziny, i pożegnał, chcąc się pozbyć co najprę-

dzej. Stało się to tak niespodzianie i prędko, że ks. Albert, który odprawy tak rychłej nie przewidywał, chociaż wstał i odejść się zabierał, zmieszał się nieco. Mógł się domyśleć, że biskupa mimowoli czemś obraził.

Zmierzał już do drzwi, gdy te otworzyły się i jeden ze stróżów więziennych wpuścił człowieka, długą suknią czarną przyobleczonego, który się klechą wydawał.

Był to ten sam przez okno widziany przybysz.

W progu pleban i on spojrzeli na siebie; gość spuścił oczy i wyminąwszy go, do biskupa pośpieszył.

Ks. Albert był już za drzwiami; ks. Paweł witał się z przybyłym, lecz obaj niespokojnie na nie spoglądali.

— Nie wyda mnie?—szepnął gość.

— Nie zna was przecie — odparł biskup—a zobaczywszy księdza, podejrzewać nie będzie.

Zblizka widziany gość, chociaż miał na sobie suknię duchownego, zdradzał, że nim nie był postawą, ruchami, naostatek wcale nie postrzyżoną ani ogoloną głową. To się jednak i innym księżom trafiało, że do synodalnych ustaw niezbyt się ściśle stosowali. W tym jednak najmniej podejrzliwy dopatrzyłby źle noszonego przebrania.

W sukni tej krył się w istocie Krystyn, kasztelan sandomierski, który chciał niepostrzeżony z biskupem się naradzić, bo do jego należał obozu.

Biskup ściskał go wzruszony, z czułością, jakiej oddawna nie okazywał nikomu. Wdzięczny mu był, czując się przez wszystkich opuszczonym.

— Przecież znalazła się jedna dusza litościwa—zawołał głośno i popędliwie, nie zważając na straże, które u drzwi słuchać go mogły.—Wszyscyście się mnie zaparli! Radźcie! Ratujcie! wyzwólcie! Przeklęty Czarny chce, abym się tu udusił, lub jak Przemko, żonę, on mnie tu da umęczyć. Nie masz sposobu, by mnie stąd wywieść? wyzwolić? wyprowadzić?

Krystyn, z którego twarzy widać było przebiegłość wstrzemięźliwą i baczną, dał znać biskupowi, aby mówił ciszej i sam głos zniżył, uchodząc od drzwi jak najdalej.

— Nie bój się—odparł biskup—jestem pewny, że tam rozumny mój Kaczor na straży stanął i zabawia wartę, aby nie dać podsłuchiwać. Mówcie, na Boga, co mi przynosicie?

Krystyn palce położył na ustach.

— Tę tylko pewność wam przynoszę, iż ziemianie nasi i krakowscy coraz więcej od Czarnego odstają. Ks. Konrad Mazowiecki gotów jest przyjąć ich ofiarę.

— Tak, jak Opolski!—przerwał Paweł—przyjąć!—a potem doma siedzieć z rękami założonemi, aż póki dojrzały owoc sam mu do ust nie wpadnie.

— Konrad inną ma krew!—rzekł Krystyn.

— Dlaczegóż się ociąga?

— Bo my ani dziś, ani jutro gotowi nie będziemy—rzekł kasztelan.—Chcemy na swojem postawić, ale siłę musimy zgromadzić, aby nie pójść pod miecz, jak ci, których Bolesław pobił u Bogucina. Nie pójdziemy płocho.

— A mnie dacie zamorzyć na tym zamku przeklętym,—krzyknął biskup,—aby oczy moje zemsty nie oglądały.

— Pośpiech wszystko zgubić może — odezwał się przybyły.—Aby was uwolnić z więzienia, znajdą się sposoby inne... Dla wyzwolenia schronienie się znajdzie

Nie dając mu mówić, Paweł zlekka go odtrącił. Ciężkie westchnienie z piersi mu buchnęło, za głowę się ują rozpaczliwie... zamilkł.

Kasztelan, ciągle niespokojnie się oglądając—dodał:

— Słychać, że Czarny, choć interdyktu się nie lęka, zgodę zrobić byłby skłonny.

Ks. Pawłowi oczy pojaśniały, ręce rozerwał.

— Niech przyśle, niech zażąda zgody! Zrobię ją! Napiszę mu, co zechce... bylem wolny był dla pomsty nad nim!

— Beze mnie wy—dodał, wybuchając—ani ty, ani Warsz, ani Konrad wasz, nie zrobicie nigdy nic! Wyzwolić mi się potrzeba, za jakąkolwiek cenę, aby was budzić, podżegać, nie dać usnąć, nie dozwolić rozkładać na lata, co dawno wykonać się było powinno. On w siłę rośnie, a my słabniemy!

Począł chodzić po izbie niespokojny.

— Kupcie wolność moją za najwyższą cenę!—dodał.

Kasztelan coś szeptał, starając się go uspokoić; lecz Paweł już mało go słuchał.

— Nie mieliście więc z czem przybywać do mnie—dorzucił wreszcie.—Jedźcie, wracajcie! Nie dawajcie im usnąć! Naciskajcie na ks. Konrada, niech nie zwleka! Ja zawrę zgodę, pojadę do Krakowa, aby mu resztę ziemian wydrzeć. Zostanie sam z Niemcami swymi i uchodzić będzie musiał sromotnie!

Uwięziony jeszcze biskup Paweł już w myśli czuł się zwycięzcą. Czas stracony go bolał.

— Jedź—wołał do Krystyna.—Z nami Warsz, Żegota wojewoda, Janusz, wodzowie wszyscy! Małoż nas będzie? Pójdą inni za nami!

— Żegota?—rzekł Krystyn z niedowierzaniem.

— Wojewody, jak siebie, pewien jestem, a za nim ziemianie pociągną! Niech Konrad przyłączy się z Mazurami, zdobędzie Poznań, zawojuje Śląsk. Krew ma rycerską, wojak jest. Kraków znowu uczynimy stolicą wielką, będzie na niej wszystkim ziemiom panować.

Mówił w uniesieniu, z pośpiechem i gorączką, nie dając się odezwać Krystynowi.

— Chcecie uwolnienie i zgodę przyśpieszyć, naglijcie, aby Gniezno dłużej nie stało opróżnione. Pasterza niema, głowy niema i myśmy bezbronni! Zlękną się klątwy, gdy się Boga nie boją! Idź! śpiesz!

I kończąc, niemal go wypchnął za drzwi.

— Beze mnie nie zrobicie nic!—mówił—przepadnie znaczenie wasze, prawa stare! Leszek z Niemcami w niewolę was postrzyże! Rycerstwa nie stanie, żołdacy będą tylko... Idź!

Cofał się Krystyn do drzwi. Biskup zadyszany, stanąwszy w progu, za odchodzącym już, niepomny, że go straże słuchać mogły, powtarzał jeszcze:

— Idź, a śpiesz!

Gdy Krystyn znikł mu z oczów, ręką drżącą krzyż zrobił za nim i odetchnął lżej.

Nadzieja swobody świtała.

W kilka dni później nadjechali wysłani od Leszka pośrednicy. Tajemni przyjaciele biskupa, z nim razem będący w spisku, potrafili księcia zniewolić do tego kroku. Obiecywali, że biskup, dwakroć przecierpiawszy, spokojnym zostanie i wiernym księciu.

Gdy do umowy nowej przykładano pieczęcie, Pawłowi z ust wyrwało się mimowolnie:

— Mądrzy będziecie, jeśli mnie pochwycicie trzeci raz!

VII.

Ci, co znali Kraków stary, lub o nim od rodziców słyszeli porównywując go z nowym, dawnego grodu w tej osadzie świeżej znaleźć nie mogli.

Po tatarskich najazdach i zniszczeniu stało się to, co dawniej z Wrocławiem. Obsiadło go mrowie gęste z niemieckich przybyszów, objęło, zapanowało w nim.

W ulicach słychać już tylko było ich mowę, a ci ziemianie wielcy i możni, co tu dawniej przewodzili, bronili miasta i rządzili się w niem, stali się gośćmi; stare mieszczaństwo wyginęło, rozpierzchło się, znikło... utonęło w tej powodzi osadników.

Tak już było za Bolesława Wstydliwego, teraz za Leszka, rosło to jeszcze i wybujało więcej. Czarny czuł to dobrze, iż ziemianie serca do niego nie mieli i że jemu przypisywano srogie prześladowanie po zamachu księcia Opolskiego.

Lękając się Krakowian, ściągał tu Leszek coraz tłumniej przybywających Szwabów, Sasów, Frankonów, Ślązaków, którzy osiadali na prawie swojem niemieckiem, na wielkich przywilejach i nadaniach, sami sobie panowie, bo nikt ich tknąć nie śmiał.

Podobnie, jak w mieście, wyglądało na zamku. Chociaż księżnie Gryfinie z początku obco było pośród Niemców i ją sobie zjednali. Miała też oprócz nich, gdarść swoich Rusinów i Węgrów.

Puszczony na swobodę, biskup Paweł nie stracił ani

chwili i ciągnął dalej knowania swoje, ale dwa lata trwały poduszczania jego, a książę Konrad wahał się jeszcze i wystąpić nie śmiał jawnie przeciw Czarnemu, którego się lękał.

W ciągu tych lat Leszek jednak coraz mniej strasznym się stawał. Nie było nadeń mężniejszego wodza w polu, ale w domu pan był nieoględny i nieprzewidujący. Wojna była jego powołaniem. Ufał w swój oręż, o resztę się nie troszczył.

W tym roku już jednak i jemu oczy się otwierać poczynały, przewidywał, że wkrótce będzie się musiał bronić ciężkim napaściom. Donoszono mu o gotujących się nań zamachach, ale niewiele go to frasowało, bo w wojnie się kochał.

Dwór Czarnego, złożony z bardzo rozmaitych ludzi, cały prawie cudzoziemców pełen, Polaków miał przy sobie nie wielu. Z pozostałych, zniechęconych dawanem Niemcom pierwszeństwem, coraz to się ktoś wysuwał, wymawiał i znikał. Niemcy z Węgrami i Rusinami zajmowali wszystkie prawie ważniejsze przy dworze urzędy.

Ze starych rodów krakowskich, co dawniej same prawie panów otaczały, przybysze nie dawali się tu docisnąć nikomu. Nie widać też ich tu było. Toporczyków znaczna część precz się wyniosła, innych mało na Wawelu widywano. Leszek zastępował ich, coraz nowych z Niemiec i Węgier ściągając ludzi.

Nie skarżyli się na to nigdy, pan był milczący, cierpliwy a mężny. Zdawał się zło do ostatka dopuszczać, aby potem łeb uciąć jednym miecza zamachem.

Księżna Gryfina trwożliwszą była, lecz choć czasem ostrzegała go, niebardzo jej słuchał. Dawał mówić, nie spierał się, a z drogi swej zwrócić się nie dawał.

Gdy swoich zabrakło, musiał robić wszystko Niemcami i nie skarżył się na to. Niemczał też on sam coraz jawniej i zdawał się z tego szukać chluby.

Otto Horn, jeden z powierników jego, wpadł tych dni do księcia zmieszany i niespokojny. Wszystko

czego się dotąd dorozumiewano tylko, coraz bardziej, coraz jawniej występowało, jako groźba nieunikniona.

Otto oddawna już Leszka starał się skłonić do działania, a książę stanowcze wystąpienie zwlekał.

— Na Boga ukrzyżowanego!—odezwał się Otto— niema się już co ociągać! Chwili stracić nie można... trzeba zapobiedz złemu. Otaczają nas wrogi.

Czarny słuchał i ręką przebierając brodę, stał tak obojętny, jakby mu donoszono o rzeczy błahej lub nieprawdopodobnej.

— Cóż nowego? co nowego mój Ottonie?— odezwał się, biorąc do rąk mieczyk i z roztargnieniem przypatrując mu się.—Cóżeś znowu się dowiedział?

— Bogdajby fałszem to było—odparł Niemiec z westchnieniem ciężkiem. Wszyscy Waszą Miłość zdradzają! Żegota, wojewoda krakowski, Warsz, kasztelan, z zebranymi ziemiany, pociągnęli potajemnie naprzeciw księcia Konrada. W obozie jego jest już biskup, ten stary zdrajca, który go pierwszy namówił i ściągnął. Janusz, wojewoda sandomierski, Krystyn, kasztelan, cały tłum sandomierski także z nimi. Przy nas prawie nikt nie został.

— Jakto nikt?—odparł zimno Leszek.—Wczoraj byli tu Leliwy, był Jarosław Śreniawa, było dwu Zaprzańców i Różyce.

— Tak, wczoraj byli ci i innych wielu, dlatego, aby pokryć swą zdradę, a dziś niema ani jednego. Uszli wszyscy.

Leszek podniósł głowę, nie strwożyło go to bynajmniej.

— Uszli?—zapytał.—Ba! obejdziemy się bez nich.

Otto nie podzielał tego spokoju pana; poruszony był i wylękły, przelać w Leszka nie mogąc obawy swojej.

Tuż za Ottonem wbiegła do komory książęcej Gryfina.

Hoża niegdyś Rusinka przedwczesną starością dziwnie była zmieniona. W twarzy zmęczenie, drgania niespokojne, cera chorobliwa, litość nad nieszczęśliwą obudzały.

Odwracającego się męża chwyciła za rękaw sukni
— Wszyscy więc nas opuszczają!—wołała.—Idź, poślij, przypatrz się. Na zamku prawie pusto! Żołnierze nawet poodmawiani nocami zbiegają. Bunt jawny! Potrzeba kary, trzeba grozy!

Z chłodną krwią Leszek podniósł głos i starego Krzyżana wołać kazał.

Służył on jeszcze i nad załogą na zamku miał zwierzchność.

Krzyżan, przyodziawszy się, przywlókł z twarzą chmurną, jakby zawstydzoną. Stanął w progu, do kolan się księciu schyliwszy.

Leszek wesół prawie podszedł ku niemu.

— Cóż stary? Prawda to, że ludzie od nas uciekają? Cóżeście to im zrobili, że nas nie chcą? Dużo ci ich zostało.

Nie śpieszył stary z odpowiedzią, hełm zdjęty z głowy obracając w ręku.

— Miłościwy panie—rzekł powolnie.—Nie wiem, na co mogliby się skarżyć, bo ich strawa, odzież i płaca dochodziła w porze. Źli ludzie podmawiają. Uszło dużo... ostatniej nocy też zabrakło kilkunastu.

— Gdyby na zamek napadł nieprzyjaciel, byłoby się z kim mu opierać?—spytał Leszek obojętnie.

Krzyżan głową potrząsł.

— Trudno!—rzekł—ludzi mało, a i za tych, co są, ręczyćbym nie chciał.

— Alboż to za ostrokołem i wałami z garścią przeciwko tysiącom się bronić i opierać nie można?—rzekł książę.—Mieszczanie przecie się Tatarom w kościele Św. Jędrzeja obronili i nie dali.

— Tatarom!—odparł Krzyżan.—Inna to rzecz z nimi. Tatar, gdy sobie raz o mur nos stłucze, drugi raz już nie idzie nań. Tatarzy zamków nie biorą.

Zamilkł. Leszek patrzał nań bacznie i dumał. Żołnierz ciągnął dalej:

— Przyjdą tacy, co tu znają wszystkie wchody i wyhody tak dobrze, jak my. Będą wiedzieć, jak i kędy

się podkradać, z której strony szturm przypuszczać. Nie podołamy im.

Gryfina, widząc na ustach męża uśmiech, a obojętność w jego twarzy, łamała ręce i wskazywała go Ottonowi, jakby mówić chciała:

— Patrzajże, jakim jest!

Leszek nie okazywał i teraz najmniejszej trwogi.

— Tak więc źle z nami?—zapytał. — Ba! to przecież raz wojna dobra będzie z nimi, potłuczemy się jak należy i pokój trwały zyszczem. Teraz ani wojny, ani pokoju nie było, to najgorsze.

Odwrócił się zwolna do Ottona i kazał miejską starszyznę na zamek powołać, wójta Sasa, ławników i kupców a zamożniejszych ludzi. Potem do Krzyżana się odwrócił.

— Do obrony mało was jest—rzekł—no, a do ucieczki stanie?

Krzyżan pytania nie zrozumiał.

— Cóż,—dodał Leszek—kiedy się bić niema komu, trzeba będzie iść, aby sobie ludzi sprowadzić. Swoich niema, postaramy się o obcych. Krzyżan, przeprowadzicie mnie na Węgry bezpiecznie? Gdyby nas napędzili, będziemy mieli z kim im czoła nastawić?

Stary głową wahał i nogami przebierał, zdawał się ufać w to, że z Czarnym radę sobie dać w najgorszym razie potrafią.

Książę jeden stał za wielu.

Gryfina na straży u drzwi czekała, co postanowią.

Zimna krew męża, którego ona o zbytnią na wszystko obojętność obwiniała, burzyła ją i gniewała. Zapytała, co będzie?

Czarny uśmiechał się niecierpliwość niewieścia bawiła go.

— Uczyniemy wycieczkę na Węgry—rzekł—lecz tu wrócimy z Kumanami i rozprawimy się z buntem. Niemcy moi zamku im nie dadzą.

Krzyżanowi dał znak, aby ludziom zbierać się kazał w drogę.

Obrócił się do żony, nieco szydersko zalecając, aby jeżeli chce razem z nim na Węgry, wcześnie węzełki swe gotowała.

— Wam bo babom — rzekł—więcej, niż nam w podróży potrzeba. Zbierajcież ochędóstwo swoje!

Żarty w chwili tak groźnego niebezpieczeństwa mocniej jeszcze podrażniły Gryfinę, która pogardliwym męża wzrokiem zmierzywszy, wyszła, rzuciwszy drzwiami.

Co się w duszy Leszka działo, ludzie odgadnąć nie umieli.

Opuszczony od wszystkich niemal w rozpaczliwem położeniu, zachował pewność siebie i spokój, którego nikt nie podzielał.

— Będziemy się bić dobrze!—mówił.—Węgry i Kumany lud dzielny! Dowodzić im miło będzie. Krakowianie zniewieścieli dużo... I im też nie zaszkodzi, gdy w pole wyciągną i rycerską sprawę przypomną. Wybić się— zdrowa rzecz.

Śpieszono z wyborem ludzi i oręża. Wtem u przedsieni gwarno się zrobiło.

Otto prowadził Niemców, na zamek powołanych.

Przodem kroczył ogromny Sas, wójt w łosiowym kaftanie, z brodą postrzyżoną, silny mąż, z twarzą długą, z ogromnemi, płaskiemi nogami, z rękami, jak łopaty, chudy, kościsty, śmieszny razem i straszny.

Szedł wolno, nogę stawiając przed nogą, jakby każdy krok mierzył i ważył. Gładził się to po piersi, to po brodzie, to po głowie.

Za nim, poprzybierani naprędce w suknie zwierzchnie nowe, jedwabne i sukienne, szli Niemcy inni, trochę podobni do niego, tuszy różnych, dużo opasłych i czerwonych, z policzki odętemi; niektórzy już na wszelki wypadek w obuszki zbrojni.

Leszek, zobaczywszy ich, raźno wyszedł naprzeciw do pierwszej izby z twarzą jasną i gdy mu się do nóg kłaniali, rzekł, wójta Sasa klepiąc po ramieniu:

— Słuchajno stary Maxie. Nieźle tu wam u mnie?

— Miłościwy książę—zwolna, poważnie podnosząc

głowę, zaczął wójt—pod opieką Waszą dobrze nam jest, Panu Bogu i Wam dziękujemy.

— Myślcież wójcie — odparł Leszek — aby i mnie i was stąd nie wygnano. A tak!—rozśmiał się.—Idą panowie Krakowianie i Sandomierzanie i Mazury na nasz Kraków, aby nam go odebrać. Zamku bronić nie mam kim. Muszę sam na Węgry ciągnąć, aby ludzi stamtąd przyprowadzić. Tymczasem zamek wam oddam na ręce, abyście mi go cało uchowali; naczej nie może być.

Z wielką uwagą, powycągawszy głowy, słuchali Niemcy.

Wójt się namarszczył i zadumał. Spojrzał na swoich porozumiewając się.

— A nie może inaczej być? — zapytał po rozwadze.

— Nie może—rzekł Leszek.—Ja nie mam kim zamku obronić. Zabiorą go, wyżeną mnie, będziecie i wy musieli iść precz. Jeżeli czas zyskam Węgrów i Kumanów na odsiecz przyprowadzę. Wyswobodzę was i nagrodzę. Da-li Bóg ochronić to gniazdo moje... zapłacę wam dobrze za to, dam prawa nowe, miasto weźmiecie całe.

Rękę położył na piersiach.

Wójt spoglądał po swoich, oni na niego. Niektórzy w niepewności, co począć, głowami wahali.

— Myśmy nie wojenni ludzie!—bąknął jeden.

— Ale ręce macie i męstwa wam nie brak — odparł Leszek—więcej nie potrzeba. W pole iść, na to żołnierz, a w zamku się bronić nawet baby potrafiłyby, gdyby serce miały.

— Długoż to trwać może?—zapytał wójt.

— Liczcie, ile czasu potrzeba, aby się na Węgry dostać, ludzi tam zawsze do boju gotowych znaleźć i zebrać, a z nimi powrócić. Odsiecz wam przywiodę, chybabym nie był żyw, a żyw spodziewam się być, bo bić się jeszcze ochotę mam srogą.

Mówiąc to książę się uśmiechał, jak zawsze.

Niemcy brody i głowy gładzili, szeptali, wzdychali.

Wójt się na nich oglądał.

Max Sas, zimny napozór człek, już był tak, jak zyskany, inni się wahali jeszcze.

Czarny, widząc to, dodał:

— Spytam was w ostatku, miłujecie mnie, czy nie?

Niemcy poruszyli się mocno i wszyscy zgodnym głosem miłość swą zaczęli zaprzysięgać.

— Dla mej miłości uczyńcie to—dodał Leszek żywo.—Jutro, kto żyw, na zamek, zdaję go wam do wiernych rąk. Jestem spokojny, wy się nie poddacie.

Wójt oczyma swoich zmierzył.

— Nie poddamy się!—odpowiedziano zwolna.—Nietylko waszego gniazda, ale naszego mienia bronić będziemy, bo gdyby weszli do miasta i na zamek, złupiliby nas pierwszych. Poddawać się im nie pomoże. Co mus to mus, twardy orzech do zgryzienia, ale go zgryźć potrzeba.

Wszyscy potakiwali.

— Idźcież—odparł Leszek—ślijcie mi tu ludzi na zamek, niech go zajmują. Żywność też przygotować potrzeba, a serca najwięcej!

Rozśmieli się Niemcy, niektórzy do piersi ręce poprzykładali, jakby chcieli okazać że je mają.

— Maxie—odezwał się Leszek do wójta.—Hetmanem i na zamku głową ty u mnie teraz będziesz. W opiekę go wam oddaję.

Kłaniającego się uderzył po ramieniu, pachołęcia przywołał, wina podać kazał i poufale przepił za zdrowie mieszczan.

Im też kubki rozniesiono. Wykrzyknęli zdrowie księcia.

Zaczęło się robić coraz weselej i umysły nastroiły się bardzo wysoko.

— Pokażemy im, co Niemcy umieją!—odzywali się niektórzy.

Z tem ich odprawił książę, wyprowadziwszy aż do podsienia, wójta klepiąc po głowie i barkach, szwargocząc z nim wesoło i takiej im otuchy dodawszy swoją odwagą, iż wszyscy powracający do domów życie zań oddać byli gotowi.

Na zamku z wielkim pośpiechem czyniono przygotowania do podróży.

Książę, jakby się na łowy wybierał, nie zachmurzył lica, radował się, iż bić się i wojować będzie miał sposobność.

Otto i inni Niemcy, obruszeni przeciw zdrajcom, narzekali, że im zawczasu łbów nie poucinano, a biskupa nie uduszono w więzieniu.

Jego obwiniano o wszystko, a Leszka, że dwakroć mając go w ręku, powolnym był i na wolność go wypuścił.

Gdy tegoż wieczora narzekał Otto przed księciem, Leszek mu odpowiedział:

— Gdy się czasem na wrzód zbiera, baby ziele nań kładną, aby narwał i pękł. Biskup dla mnie tem zielskiem był, od którego narwać miało. Pęknie raz to smrodliwe wrzodzisko, a potem będziemy zdrowi.

Otto mruknął:

— Bodaj on pękł z nim razem!

Nazajutrz o południu zmieniła się postać Wawelu.

Księcia już tu nie było, gospodarzył Max Saso wielkich płaskich nogach, przybrany w zbroiczkę, dumny hetmaństwem swojem, w hełmie żelaznym ponad długą twarzą, który jeszcze ją czynił większą, z obuchem, którego z rąk nie puszczał, bo nim młodzież po plecach napędzał.

Przez cały dzień i noc całą szły na Wawel wozy nie tyle z kamieniem i kłodami, hakami, i kołami, co ze skrzyniami i sprzętami Niemców. W mieście zostawiono cztery ściany tylko, a reszta wszystko na zamek do izby i szop się ściągała.

Młodzież od nożyc, heblów i łokci powołana do oręża szła dumnie, choć niezgrabnie.

W mieście na dole zostało tylko, co było polskiego, co się swoich nie obawiało, a może sercem ku nim lgnęło.

Tu różnie szeptano, na Wawel się oglądając.

Powoli rozgospodarowywali się na nim Niemcy, ale skutecznie.

Max Sas ludzi z zamku, których nie był pewien, aż do stróżów i czeladzi powypędzał, a na zamku zostali

sami Niemcy mieszczanie, mąka ich, krupy, beczki, skrzynie i węzełki! U wrót rozstawiono warty, na wały powciągano belki zębate, kamienie i co tylko ku obronie wymyśleć było można.

Jak się tam niemiecka mowa po dworcach tych rozpościerała teraz, jak tu wyglądało obco, smutno, gdyby po zdobyciu jakiem, nikt nie słyszał i nie wiedział, bo mieszczanie sami tu prawie pozostali.

Wszystko już było gotowe do obrony, gdy wieść gruchnęła, że książę Konrad ciągnie z rycerstwem polskiem. Zamknięto się najszczelniej na zamku, twarze nieco sposępniały. Max Sas chodził nieustannie po wałach a stukał obuchem.

Okrutny skwar lipcowy dopiekał ściśniętym na Wawelu, ale tem lżej mogli chodzić odziani, a spać pod gołem niebem, z wałów nie schodząc.

Gdy pierwsze oddziały rycerstwa z okrzykami do miasta i pod Wawel wtargnęły, wiedziały już przez szpiegów, że Leszek uszedł a Niemcy zamku bronić mieli. Lekce ich sobie ważono. Położyli się przybywający nie tak obozem jak po pustych domostwach, bo tych dosyć mieli. Wieczorem światła z nich, dymy i śpiewy widać było i słychać na Wawelu. Mieszczanie, którzy pozostali po dworkach, nie dobrze się mieli. Żołnierstwo rozpasane pozwalało sobie, jak w zawojowanym kraju.

Na zamku cisza panowała uroczysta. Nikt nie zasnął tej nocy.

Nad ranem ks. Konrad, w orszaku jego biskup Paweł, dwu wojewodów i dwu kasztelanów, wszystko rycerstwo zebrane nadciągnęło, śpiewając, radując się, wykrzykując.

Dokoła opasywano zamek, przypatrując mu się. Nic nie widać było na nim, bo Max Sas nakazał siedzieć cicho.

Wtem zaczęto wołać na rozmowę do bramy. Biskup Paweł stał tu z kasztelanem Warszem, oba mający prawo do zamku.

Krzyczano, pytając: kto tu dowodzi, kto hetmani, kto rządzi, aby co żywiej wrota im otwierał.

Aż na wyżki wystąpił Max w hełmie z obuszkiem w ręku, na którym się podpierał.

Niemców zaczęto łajać po polsku, udawał więc, że nie rozumie, tylko postrzyżoną bródkę pogładzał i poprawiał hełm, do którego nie był nawykły.

Aby okazać, że się nie lęka, ziewnął szeroko.

Nie podobała się ta zimna krew Warszowi, który Niemca od psów bezczeszcząc, wołał, aby natychmiast wrota otwierać kazał. Krzyczał, że ziemie już wszystkie poddały się księciu Konradowi i poprzysięgły mu na wierność, że zamek się im należy.

— Czarnego więcej nie ujrzą oczy wasze—dodał—uszedł, widząc, że prawa do panowania starszemu ustąpić musi.

Wszystkiego tego Max słuchał obojętnie. Znał on dobrze kasztelana Warsza i tak śmiało patrzał mu w oczy, iż ten się nareszcie zmieszał, tem potężniej łając potem i bezsztając. Inni z orszaku pomagali mu.

— Niemcze jakiś! otwieraj a żywo, bo ci głowę z karku zdejmiemy. Wrota na oścież! Jak wy tu śmiecie gospodarować, wy, przybłędy jakieś; ziemia to nasza!

Odgrażano się pięściami i toporami, do góry je podnosząc.

Niemiec wciąż stał i słuchał, nie unosząc się wcale jakby go to nie obchodziło bynajmniej.

Mówił, co prawda źle po polsku, ale mu to nie przeszkadzało śmiało języka tego używać.

Gdy nareszcie hałas się trochę uśmierzył, oparł o blankowanie się jedną ręką i schylił ku dołowi.

— My tu—rzekł powoli—znamy jednego pana, któremuśmy poprzysięgli na wierność, a tym jest książę Leszek, którego nieboszczyk pan, Bolesław, następcą po sobie naznaczył. Wyście go też uznali. Temu my wiary dotrzymamy i zamku, który nam zwierzył, nie poddamy. Będziemy go bronili do ostatniej kropli krwi.

— Wy! wy! ludzie od nożyc i łopaty—poczęli wołać ziemianie—wy nam się myślicie bronić! Patrzcież, ilu nas jest! Gdy was szturmem weźmiemy, noga stąd nie ujdzie

jeden żyw nie zostanie. Z garścią czeladzi chcecie wojsku się opierać!

— Miejcież rozum—dodał inny.—Póki my łaskawi, korzystajcie z tego, ocalicie życie i mienie. Później nie czas będzie.

Wojt słuchał rad i pogróżek nieporuszony, dawał się im wygadać i milczał.

— Próżno krzyczeć—dodał w końcu—zamku nie poddamy! Co będzie, to będzie.

Burzliwie się u wrót naradzano, a kupa coraz większa się u nich zbierała. Biskup radził dać im dzień do namysłu.

Z łaskawością odezwał się wojewoda krakowski, Żegota, iż za jego wstawieniem się do namysłu im dobę dają, poczem szturm przypuszczą i litości już spodziewać się nie mają żadnej.

Nie odpowiadając na to, Sas zszedł z bramy, inni odciągnęli też, ale straże gęsto dokoła rozstawiono, aby się z zamku żywa dusza wyśliznąć nie mogła.

Tymczasem ziemianie, których wielu z Niemcami drużbę miało i dobrą znajomość, poczęli się z różnych stron ku wałom naciskać i zdala wszczynać rozmowy, usiłując namawiać, aby się po dobrej woli poddali.

Rozmawiano tak w różnych miejscach, ale nie dali się zachwiać i zgodnie odpowiedzieli, że zamek był powierzony ich czci i wierności, a Max Sas nigdy się nie zgodzi poddać go, chybaby ich ogłodzono i do nogi wybito. Tak cały dzień zszedł napróżno.

Biskup, przybywszy do Krakowa razem z księciem Konradem pojechał na dwór swój, którego dawno nie oglądał.

Pusty był, wyludniony, po części odarty, bo wiele stąd sprzętów do Łagowa i do innych dworów powyciągano. Mieszkały w nim tylko smutne dla ks. Pawła wspomnienia wszystkich zawodów i pogróżek, jakich doznał w życiu.

Był też, pomimo zwycięstwa jego pozornego, jakie odniósł nad Leszkiem, podrażniony i chmurny. Gniewało go, że zamek się trzymał. Miał to za jakiś zły znak,

naglił, aby nie targując się, natychmiast szturm przypuszczano.

Gdy Warsz i Żegota nadeszli doń, napadł na nich z wymówkami, iż czas marnowali napróżno, że zamek więcej znaczył, niż miasto całe, bo tam była stolica i gniazdo. Opanować go potrzeba było natychmiast, żeby nieodwołalnie być władcą.

Warsz i wojewoda nie życzyli sobie wcale szturmować.

— Niemców ja znam — mówił Żegota — naród to uparty i wytrzymały a przebiegły. Szturm, gdy go przypuścimy wiele nas nad miarę kosztować będzie. Krew się poleje obficie. Mieli oni czas zapasy na zamku przysposobić, potrzymają się trochę, lecz głód do poddania ich zmusi.

— Tak! — wołał rozogniony biskup—a tymczasem głosić będą, że Leszek Kraków trzyma. A póki on trzyma, póty my tu nie panowie, a najeźdzcy! Tam stolica!

I na Wawel wskazał.

Wszczął się spór, w którym kasztelan i wojewoda niechętnie udział brali, mało co popędliwemu odpowiadając biskupowi.

Paweł domagał się, by nazajutrz zagrożono przynajmniej Niemcom, iż, jeśli zamku nie poddadzą, miasto zostanie spalone.

— Mają w niem domy swe—mówił—nie jeden może tu część mienia swego zostawił... zlękną się o skórę własną. Bodaj mój dwór miał spłonąć razem, lepiej miasto na cztery rogi podpalić, niż stać tu i czekać, aż Leszek z Węgrami powróci! Zamek nam potrzebny, abyśmy się w nim bronili, jeśli przybędzie. Spalić miasto... ulękną się.

Żegota się godził na to.

— Dobrze, spalim czy nie — rzekł — zagrozimy im spaleniem.

— Jeśli groźby nie posłuchają, podpalić!—dodał biskup.—Gdy zobaczą ogień, serce zmięknie, bo się przekonają, że nie pofolgujemy

— Szkoda miasta pięknego—rzekł Warsz.

— Większa szkoda piękniejszego jeszcze państwa—

zawołał biskup.—Pismo święte powiada: gorszy się oko twoje, wyłup i wyrzuć je. Nie podda się miasto, niech przepada!

Z tą radą wyszli Warsz i Żegota do księcia Konrada. Słowo biskupa ważyło teraz wiele.

Liczny dwór jego potakiwał mu, wołał, że słuchać go było potrzeba, bo on jeden wiedział, co czynić.

— Starzy niewieściuchy są!—wskazując za odchodzącymi, mówił biskup.—Pożałują miasta, które odbudować łatwo, a z zamkiem stracić mogą ziemię całą, bo kto grodu nie opanuje, ten panować tu nie będzie. Gdy księcia Konrada wwiodą na Wawel przy dzwonów biciu, a osadzą go na zamku i hołd mu tam oddadzą ziemianie, dopiero powiem, że Leszek już nie wróci.

VIII.

Ze świtem nie sama starszyzna, ale posłani od nich ziemianie, tacy, którzy Niemców znali i mir u nich mieli, stali już pod wrotami, czekając na odpowiedź, chcąc ich nastraszyć i do poddania przymusić.

Długo na ich wołania, bicie kamieniami i obuchami do wrót, nikt się nie ukazywał.

Krzyczano i hałasowano, wysuwała się czasem głowa, poczynała rozmowa, ale wójta Maxa nie było.

Znany w całem mieście wesołek, który Niemcom na biesiadach przyśpiewywał, przez Polaków zwany Lumpą, pocieszny garbus z głową dużą, włosem umyślnie najeżonym, parę razy się z za blanków ukazał z wywieszonym językiem.

Być może, iż go wójt naumyślnie wyprawił, aby zabawiał natrętów, a pokazał im, iż na zamku strachu nie ma.

Lumpa żartami odpowiadał na krzyki.

Klucze się od zamku gdzieś zatrzasły — wołał—niema ich, próbujcie palcem otworzyć.

Rzucano nań grudkami ziemi, znikał w jednem miejscu, biegł i gdzieindziej się pokazywał.

— Chce się wam zamku!—mówił—łatwa rzecz się dostać do niego, pożyczcie skrzydeł od ptaków.

Zobaczywszy znajomego ziemianina pocałunek mu od ust posyłał, czapkę z kukawką podnosił i znikał.

Gniewali się niektórzy, że im błazna do rozmowy przysłano, u wrót się coraz bardziej burzyło, gdy Max Sas wyszedł w swym hełmie, na obuszku się opierając.

— Słuchaj, Niemcze!—krzyknął, rękę w górę podnosząc Drogomir, wysłany od księcia.—My z wami w długie rozhowory wdawać się nie myślimy. Nie poddacie zamku? No to wasze miasto dziś jeszcze podpalimy na cztery rogi, a domostwa w popiół obrócim.

Chwila milczenia była.

— A co wam przyjdzie z tego?—odparł wójt zimno.—Kto życie stawi, ten domu nie pożałuje. Spalicie własne miasto, dacie tem znak, że siły nie macie. Kiedy nam pożarem grozicie, powiem dziś jeszcze mocniej, niż wczoraj—nie poddamy się—palcie! Gdybyście moc w sobie czuli nie ogniem, ale szturmem — byście grozili!

Drogomir zamilkł trochę, poczuwszy, że Niemiec może miał słuszność. Wybuchnął potem krzykiem okrutnym, który tylko złość znaczył.

— Spalimy miasto, potem was, chłopy jakieś, włóczęgi! Nie stało wam własnej ziemi, żeście do nas po chleb przyszli i myślicie z nami wojować!

— Nie żebrać my do was przyszli, ale pracować na chleb, to prawda!—odparł dumnie Sas.—My żebraki jesteśmy panu wierni, gdy wy, jego dzieci, sprzedaliście go, jak Judasz Chrystusa Pana.

Na ten wyrzut krzyk powstał wielki. Wójt zaczerwieniony gniewem dodał:

— Zamku nie damy!

Zszedł zaraz z wyżek. Ukazała się głowa Lumpy, który czapką się kłaniał.

— Jeżeli krzesiwa i huby na podpał brak—odezwał się—pan wójt oświadcza, że go wam dostarczy. Pod jego dom pierwsza głownia! Spalcie i mój, jeśli znajdziecie!

Posypały się kamienie miasto odpowiedzi; Lumpa znikł, a na dole gniew wrzał srogi.

Drogomir jeszcze nie dając za wygraną, stał u wrót ze swymi, choć już nadziei zastraszenia Niemców nie było!

Kilku zbiegło do wojewody i biskupa, bo tam na odpowiedź Niemców oczekiwano.

Gdy ją przyniesiono, wszystkim, oprócz księdza Pawła, oblicza się zasępiły.

— Wiedziałem ja z góry,—rzekł Warsz—iż z Niemcami sprawa nie będzie łatwa. Tylko głodem ich wziąć możemy.

— A szturmem?

— Wątpliwe—odparł wojewoda.—Nie jeden ani dwa razy drapać się trzeba będzie na wały i dużo ludzi stracimy. Bieda i to już, gdy prawowity pan krwią się musi stolicy dobijać.

— Palić więc miasto! palić!—wołał biskup w gniewie. Znam tych ludzi; gdy zobaczą płomienie, a swoje dobro zniszczone, ustraszą się.

— Gdy w rozpacz wpadną—rzekł Warsz—nie mając nic do stracenia, tem zajadlej walczyć będą.

Żegota zdanie to zdał się podzielać.

— Pójdzie płomień po mieście—dodał kasztelan—może i wasz dworzec spłonąć i kościoły, które są na chwałę Bożą wzniesione, i klasztory, i gospoda kupców.

— Kościoły znaczniejsze są z muru—odparł biskup gwałtownie—nic im się nie stanie. Spłoną dachy, to je na nowo ołowiem pokryjemy. Niech się mój dwór pali, byle z Leszkiem skończyć, by nie miał tu do czego powracać!

Widząc, że i kasztelan i wojewoda wahali się, biskup natychmiast wybrał się do księcia Konrada. Żądał, aby miasto spalono, domagał się tego!

A że on tu był duszą wszystkiego i słuchano go dotąd, że siłę miał wielką, głos silny, przewidzieć było można, iż na swem postawi.

Warszowi i wielu z nim żal było pięknego miasta. Wiedzieli oni, że nie tak łatwo wznieść na nowo, co lata budowały, wstyd im było po tatarsku żagwią wojować. Były resztki polskich mieszczan, biednych ludzi; litowano

im się. Płomienia wstrzymać trudno, rozumu on nie ma, mówiono, spali niemieckie, ale nie szczędzi co swoje.

Tego wszystkiego nie chcąc słuchać, biskup za paleniem gardłował. Wracała mu dawna jego zapalczywość i namiętność. Powtarzał jednostajnie:

— Nie poddają się, palić!

Oprócz żołdaków mazowieckich i Litwy sprzymierzonej, którzy się spodziewali rabunkiem obłowić przy pożarze, nikomu się ognia tego nie chciało. Wstręt do niego mieli wszyscy.

Warsz i to miał przeciw zniszczeniu, że wojsku miało zabraknąć dachu i przytułku i zmuszone leżeć będzie na niewygodnych pogorzeliskach.

Lecz z biskupem, gdy roznamiętniony był, wojować nikt nie mógł. Powtarzał swoje, tem zajadlej stojąc przy nim, im mu się więcej sprzeciwiano.

— Palić!—wołał.

Nie chciał się cofnąć, raz to wyrzekłszy, a na wszystkich następował tak, że ich do milczenia zmuszał. Upór ten jego wpływał na innych: więcej złamać się nim, niż przekonać dali.

O popołudniu już zgodzili się wszyscy na to, aby miasto spalone zostało.

Warsz posłał jeszcze z tą groźbą do wójta, który zbył przybyłego dwoma słowy:

— Zamku nie damy!

Na wieczór otrąbiono na znak, aby żołnierze domostwa podpalali.

Skwar letni właśnie był je wysuszył, deszczu oddawna nie widziano, lada iskra starczyła, aby pożar wzniecić wielki. Nie dano nawet znać o wyroku pozostałym mieszkańcom, a ciury zawsze rade dzikiemu szaleństwu, rozbiegli się nad wieczór z żagwiami i głowniami z ognisk pochwyconemi.

Starszyzna, na koń powsiadawszy, niespokojna trochę, pojechała strzedz, aby ogień przynajmniej świątynie i klasztory oszczędził.

Z biskupiego dworu powybiegało co żyło przyglądać się zapowiedzianemu ogniowi.

Biskup Paweł, opuszczony, o wieczornej godzinie w izbie sam jeden siedział. Nikogo przy nim nie było.

Postawił na swojem, lecz teraz, gdy lada chwila zaskwierczyć miał ogień, na który on skazał miasto, gdy tylko co w oknach nie zaświeciła łuna pożarna, serce namiętnością zburzone, ściskało mu się uczuciem dziwnem.

Żałował prawie, że tego zapragnął, i że się to dokonać miało.

Siedział oparty na dłoni obrzękłej, zły i zachmurzony, drżąc na najmniejszy szmer, który od ulicy dochodził. Złe jakieś przeczucia i myśli zawładnęły nim.

Zwycięzca nie czuł się jeszcze u celu. Znał Leszka.

Lekko go sobie cenił, jako męża w radzie, ale jako wojaka niepokonanego lękał się. Tu na oręż i siłę wszystko szło.

Kumany i Węgrowie mogli ściągnąć tłumami, a ziemianie na pierwszy postrach spustoszenia i pomsty księcia Konrada opuścić.

Mrok się zwolna po izbie rozpościerał. Z kilku otwartych okien wpadało do niej coraz słabsze światło uchodzącego dnia.

W kątach i załamach izby już nic dojrzeć nie było można. Sprzęty i ściany zlewały się w jedną ciemność, w szare mroki.

Na mieście słychać było wrzawę daleką, której znaczenie dobrze ks. Paweł rozumiał.

Niekiedy wśród niej głośniejszy wykrzyk brzmiał jak wyrok zagłady.

Ludzie szli podpalać. Dalej gdzieś już paliło się może.

Gdy tak zadumany biskup siedział, dał się słyszeć u drzwi szelest, którego z początku nie zrozumiał. Mógł wnijść ktoś z domowych; nie obrócił się nawet, bo nie chciał widzieć nikogo.

Wtem westchnienie głębokie, niezbyt już dalekie, zniecierpliwiło go, jakby wyrzutem było; odwrócił się, chcąc łajać za nie, gdy przed sobą o parę kroków postrzegł klęczącą, z rękami złożonemi, Bietę.

Widywał on ją w ciągu lat tych dosyć często, ale zdaleka, inną, niż była, pokorną, modlącą się, nie natrętną. Nawykł już był do tego zjawiska, które czyniło na nim wrażenie zawsze, lecz przestało go niepokoić i gniewać.

Nigdy jednak od bardzo dawna nie ośmieliła się Bieta wśliznąć aż do niego.

Ks. Paweł przeraził się i zagniewał. Spojrzał na nią groźnie.

Była to inna niewiasta, którą pokuta odrodziła. Zestarzała, wybladła, z oczyma głęboko wpadłemi, z policzkami wychudłemi, z wyrazem błagającym i rozbolałym, a cierpliwym zarazem, obudzała litość i trwogę Miała na sobie suknię zakonu Św. Franciszka, pas i zasłonę na głowie. Klęczała przed nim, modliła się, patrząc nań w milczeniu.

Ta modlitwa cicha w końcu, jak żar i ogień palić go zaczęła, wiała od niej gorącem nieznośnem, oblewała go jakby łzy rozpalonemi.

Zerwał się z siedzenia.

— Czego ty chcesz, nędznico!—zawołał.

— Litości!—odpowiedziała słabym, ale odważnym, spokojnym głosem.—Litości!

Biskup zamruczał coś niezrozumiałego.

— Litości, ale nie dla mnie... litości nad samym sobą. Pawle! Pawle!! godziny twe policzone. czas do pokuty krótki. Duszę swą ratuj! Pawle!

Przymuszonym śmiechem parsknął biskup.

— Ty, wszeteczna!—krzyknął—mnie, pasterza najwyższego do pokuty będziesz nawracała? Ty? Ja mam siłę wiązania i rozwiązywania, ja!

Głos jego potoczył się w gardło nazad i słowa zmieniły się w niezrozumiałe łkanie. Upadł na siedzenie. Poruszony był mocniej, niż chciał pokazać po sobie... walczył z sobą, by się nie zdradzić.

— Pawle—mówiła klęcząca łagodnie.—Bóg cię przez moje grzeszne usta ostrzega! Żałuj i pokutuj! Nowe występki bierzesz na sumienie swoje. Krew, ogień, mordy, zdradę...

I twarzą padła na ziemię, lecz podniosła się zaraz, a lice jej coraz silniej gorzało.

W tejże chwili przez jedno z okien zamiast blasku dnia gasnącego wpadł pomarańczony odblask płomieni i drżąc, po izbie się rozlał, jakby słowom Biety chciał dodać siły.

Miasto gorzało.

— Oto tysiące ludzi do Boga o pomstę za ten ogień wołać będzie, za ten ogień, który ty podłożyłeś. Cierpliwy pan czeka! Dał ci więzy, jako upomnienie, dał ci klęski na upamiętanie, dał upokorzenie, jako znak, że cię woła do siebie. Tyś głuchy i ślepy, Pawle, by słuchać głosu Bożego. Ja grzeszna, ja nędznica, skalana i uwiedziona, miłuję cię jeszcze, ale miłością, która zbawić pragnie! Wyrwij duszę moją z płomieni, ocal swoją! Masz lat jeszcze siedem do pokuty... objawił mi to Bóg na modlitwie, iż tyle ci życia zostało! A! mało to na grzechy twoje. Widzę je, jako czarne plamy, któremi okryta jest dusza twoja.

Biskup słuchał, głowę kryjąc w dłonie, z trwogą razem i gniewem. Wstrzymywał się, by nie wybuchnąć. Miękł, a stary nałóg grzechu wznawiał w nim opór i skruchę odpędzał.

Blask pożaru już teraz wszystkiemi wpadał oknami, izba cała się nim rozjaśniła; twarz Biety oblana nim była. Widok tego ognia zamiast w nim obudzić żal, w szał go jakiś wprowadzał.

— Precz!—zawołał—precz nędznico, co mi nie dajesz spokoju. Nie do pokuty chcesz mnie przywieść, ale do grzechu, wszeteczna. Idź mi z oczów, lub każę cię pachołkom...

— Nie uczynią mi nic pachołkowie twoi, bo Bóg mnie obroni!—rzekła spokojnie.—Nie na grzech, ale do skruchy cię prowadzę. Pawle! miej litość nad sobą!

Jęk ten, zamiast poruszyć ks. Pawła, gniew w nim obudził większy jeszcze. Chciał krzyknąć na ludzi, lecz wstyd mu było. Nie wiedząc, co począć, z podniesionemi pięściami rzucił się do niej i już ją chciał bić.

Bieta, oczy zamknąwszy, nieulękniona, nie drgnęła nawet. Klęczała, modląc się.

Paweł, zamierzywszy się już na nią, cofnął się, ręce mu opadły.

W gniewie, jak obłąkany, chciał uciekać, gdy Bieta schwyciła go za suknie i wstrzymała.

— Zabij mnie, jeśli krew przelana ma skruchę i pokutę wywołać! Zabij mnie!—jęknęła.

Coraz bardziej strwożony, biskup szarpnął tak mocno suknię, wyrywając ją Biecie, iż ta padła na ziemię. Słyszał, jak głową uderzyła o twardą podłogę, lecz spojrzeć już nie śmiejąc, biegł zamknąć się do izby swej i na łoże padł, prawie bezprzytomny.

Dyszał, oglądając się jeszcze dokoła, lękając się pogoni.

I tu już blask płomieni coraz był silniejszy. Podwórze całe było oświecone, miasto gorzało płomieniem ogromnym, wiatr, który się zerwał, roznosił iskry i głownie, tam, gdzie drzewa budynki ochraniały.

Biskup słyszał już trzask niedaleko palących się domostw, wrzawę żołdactwa, które nowe płomienie witało okrzykami, a w duszy czuł dreszcz jakiś śmiertelny.

Zdało mu się, że tam, w tej izbie, od której się zaryglował, musiał leżeć trup kobiety.

Nie łatwo się on strwożyć zdawał, lecz teraz nie poznawał siebie. Proroctwo siedmiu lat życia brzmiało mu w uszach natrętnie. Miałaż ta niewiasta odsłonioną tajemnicę przyszłości?

— Siedem—siedem lat pokuty!

Cała przeszłość stanęła mu przed oczyma, serce rozpłonęło goryczą. Życie wydało mu się zmarnowane, czarne, zbrukane, nieszczęśliwe, ale pokutę odpychał.

— Na pokutę, nie wiem, zawcześnie, czy zapóźno, ale na zemstę czas jeszcze.

Chciał się śmiać, a łzy płynęły mu z oczów.

Wtem do drzwi, które był zaparł za sobą, gwałtownie się dobijać zaczęto. Za niemi poznał głosy swoich

dworzan, kapelana i Kaczora. Uląkł się, czy nie znaleźli zabitej.

Wołano coraz głośniej:

— Gore! gore!

Ks. Paweł zerwał się. Oknem już wskakiwały iskry, parł się do środka dym gorzki. Pobiegł do drzwi, które otworzywszy, ujrzał wielką izbę w płomieniach.

Oknami wpadały do niej języki ogniste i lizały ściany.

Dokoła zwijali się ludzie, wynoszący sprzęty i rzeczy, czeladź wyciągała z szop konie.

Dwór i zabudowania blizkie gorzały.

Sam on ten wyrok—na stos—wydał na siebie.

Nie spostrzeżono, gdy drewniane pokrycia gorzeć zaczęły, a gdy je objął ogień, ratować już było za późno!

Biskup spojrzał w głąb izby.

Na oświeconej podłodze, tam, gdzie klęczała Bieta, postrzegł plamę krwi, w której blask ognia odbijał się rubinowo. Trupa nie było.

Paweł odzyskał przytomność i wybiegł z ludźmi, którzy go pochwycili, życie mu ratując. Ci co go prowadzili, nie widząc krwi na podłodze, wprost na nią go wiedli.

Ośliznęła mu się noga, ale wnet znalazł się ocalony na podwórzu.

Biegli tu już Żegota, Warsz i inni o swojego wodza niespokojni, a ujrzawszy go, otoczyli z radosnemi okrzyki.

Biskup, lekceważąc pożar swojego dworca, gdy o wóz trudno było, konia sobie podać kazał.

Dokoła rozpościerał się widok straszliwy, lecz majestatycznie piękny.

Morze płomieni, obłoki dymów krwawych, gwiazdy tysiąca iskier. Pożar, jak smok chciwy pastwy, poruszał się, wyciągał szyję ognistą, chwytał i pożerał, czego dotknął.

Na tem tle złotem wieże kościołów, mury nie tknięte jeszcze, stały jak czarne olbrzymy. W dali widać by-

ło Wawel łuną oświecony, a na wałach jego tysiące głów, rąk załamanych tysiące.

Ludzie ci patrzyli na zgorzelisko swych dachów, pracy swej, mienia i—płakali.

Żołnierstwo, które każda klęska nieprzyjaciela dzikszym czyni, upojone tym widokiem zagłady, biegało jak oszalałe, krzycząc ogniowi słowa zachęty, by palił, sypiąc mu oklaski, jak sprzymierzeńcowi.

Ciury, jak pożar się rozsypywały. Szyderskie śmiechy i śpiewy tłumów wtórowały syczeniu płomieni.

Wskazywano na zamek, gdzie jak skamieniali, stali ludzie z boleścią w sercu.

Stamtąd nie było słychać głosu, ni jęku, ni przekleństwa. Ci, co biegli napawać się tą boleścią, znajdowali ją niemą, straszną i—cofali się.

Całą tak noc płonął niedawno odbudowany Kraków, naprzód jak ogromne ognisko, potem jak pogorzel krwawa, nad którą gęste kłębiły się dymy. Wśród jasności tych ogorzałe drzewa z gałęziami opalonemi, zeschłemi, sterczały jak trupy. Gdzieniegdzie niedopalony słup, ściana muru, lub drzewa, które glina ocaliła, padały, gdy im podpory nie stało... i iskry rozpryskiwały dokoła.

W ulicach garstki ludzi siedząc płakały, a ciury włócząc się — śpiewali. Inni powytaczawszy beczki, pili na cześć przyszłego pana, który poczynał rządy od palenia stolicy.

Jeszcze ogień nie wygasł, gdy dnieć zaczęło.

Ocalało nie wiele. Biskup czujący się mocno znużonym, szukał miejsca dla spoczynku; swojego domu już nie miał.

Spłonęła i ta niewiasta z nim? — pytał się w duchu i żądał, aby tak było.

Nie mając się dokąd schronić, pojechał do klasztoru św. Franciszka. Tam dzwoniono już na jutrznię i zarazem odzywał się dzwonek dominikański, bo między dwoma zakonami trwało współzawodnictwo, prawie w walkę przechodzące, kto pierwszy na jutrznię dzwonić ma prawo. Spór o to później wytoczył się aż do ducho-

wnej zwierzchności, która rozstrzygnęła go trochę szydersko.

Gdy ks. Paweł stanął u furty św. Franciszka, ujrzał w niej jakby na swoje spotkanie wychodzącego mnicha.

Wychudły starzec, którego szyja z habitu wystająca, żółta, pomarszczona, głowa wygolona, broda siwiejąca, czoło poorane, suknia połatana różnobarwnie i wytarta, czyniły podobnym do jednego z pierwszych uczniów świętego z Assyżu. W obliczu tem czuć było oderwanie się ascetyczne od świata, gorącą pobożność i pogardę ziemskich rzeczy.

Poznawszy biskupa, ks. Serafin ukląkł pokornie.

Ojciec ten, Czech rodem z Pragi, ale od pierwszego założenia klasztoru, przebywający w Krakowie, był już prawie Polakiem... nauczył się mowy, kraj pokochał.

Był to kaznodzieja słynny, na którego głos tysiącami lud bieżał, tak, że nie w szczupłym naówczas kościele, ale z zewnątrz z przystawionej doń ambonki opowiadać musiał słowo Boże.

Głoszono cuda jego, lękano się nieubłaganej surowości.

Biskup też wolałby był spotkać u progu kogo innego, nie jego.

Prawdomówność i ostrożność człowieka tego nie miłe mu były.

— Ojcze mój — odezwał się biskup, przybierając umyślnie ton lekki i wesoły. — Otom bez schronienia, pastuch bez szałasu, przychodzę was prosić o celę w klasztorze.

Mnich pokłonił się, ręce obie krzyżując na piersiach, lecz milczeniem tylko odpowiedział.

Tymczasem biskupa z konia zsadzono, wszedł w korytarze, wiodąc za sobą Serafina.

Ten śpieszył za nim z głową spuszczoną, otworzył drzwi pustej, dosyć przestronnej izby i stanąwszy w progu, wskazał wnijście ks. Pawłowi.

To uparte milczenie O. Serafina choć z pewnych względów dogadzało biskupowi, z innych nieprzyjemnem mu było. Wytłumaczył je sobie jakimś wstrętem.

Wchodząc więc do środka, wezwał z sobą zakonnika, który nieco się zawahawszy, usłuchał.

Ks. Paweł tak miał głowę pełną spraw dzisiejszych, iż nie znalazł innej treści do rozpoczęcia rozmowy nad nie.

— Teraz — odezwał się do niego — spodziewam się, iż Wawel poddać się musi! Niemcy przekonali się, iż żartować nie będziemy. Spłonęło miasto!

— Tak! — powoli ozwał się stłumionym głosem O. Serafin — dotknął je Bóg, aby z grzechu oczyścił płomieniem... ale i niewinnych ucierpiało wielu.

Westchnął starzec.

— Potrzeba było tej klęski, aby dokonać dzieła wtrącił Paweł.

Unikając rozmowy o tym przedmiocie O. Serafin dodał tylko, iż Bóg łaskaw świątynie swoje ocalił.

To mówiąc, spoglądał na drzwi, jakby mu oddalić się pilno było.

Biskup wtrzymywał go wejrzeniem.

— Ciężkie są czasem konieczności, nieuniknione szepnął cicho.

— Bez woli Bożej nic się nie dzieje — odparł mnich— bo i wola ludzka w rękach Jego.

To mówiąc, spojrzał na biskupa tak przenikającym wzrokiem, iż ten musiał spuścić oczy.

O. Serafin złożył ręce, jak do modlitwy.

Rozdrażniony biskup i w tym ruchu upatrzył coś, wymierzonego przeciw sobie. Pomyślał, iż się modli może o jego nawrócenie, tak jak ta, co go niedawno upominała. Zburzyło go to i wbiło w dumę.

— Modlicie się, widzę, O. Serafinie — wtrącił — może i za mnie biednego grzesznika?

Chociaż w głosie brzmiał gniew, staruszek się nie zmieszał, blade oczy zwrócił ku mówiącemu.

— Tak jest — rzekł — modlę się i za was, Pasterzu! boć niema, ktoby nie potrzebował modlitwy.

— Mnie zaś macie pewnie za najzatwardzialszego z grzeszników? — dorzucił ks. Paweł prędko, z jawnem szyderstwem.

— A któżby z nas śmiał być Psychostatą, okrom tego, który szalę sprawiedliwości w straszny dzień sądu trzymać będzie? — smutnie odezwał się O. Serafin.— Nie wiem, czy najgrzeszniejszym jesteś, Pawle biskupie, ale jako człowiek, grzesznym jesteś, a jako grzesznik, pokutować powinieneś. Bóg łaskaw temu, którego na biskupa namaścił, da czas do obmycia się. Lat siedem jeszcze masz przed sobą.

Usłyszawszy po raz wtóry o tych siedmiu leciech, wstrząsnął się i drgnął ks. Paweł. Wprędce jednak duma wróciła, podniósł głowę.

— Co to mi prawisz? — odezwał się. — Rozmawiałeś z Panem Bogiem.

— Tak jest! — rzekł chłodno O. Serafin. — Dusza moja codzień rozmawia z Nim na modlitwie. Maluczki jestem i grzeszny... ale małych Chrystus, litościwy Pan, przypuszcza do siebie! Gdym za duszę twoją modlił się, jako za pasterza naszego, słyszałem głos z góry „Siedem lat dano mu do pokuty".

Pokorny mnich rósł i potężniał, mówiąc:

— Siedem lat! — dodał natchniony. — Użyjcież ich nie na pożogę miast, nie na zemstę i rozlew krwi, ale na przebłaganie Boga, na oczyszczenie siebie.

Zamilkł biskup, który próżno chciał przybrać ton i twarz lekceważącą, wpadł w zadumę.

Korzystając z wrażenia, O. Serafin kończył:

— Bóg nie chce zguby grzesznika, a dla ciebie łaskawym jest, boś dostojeństwo piastował w kościele i stał na świeczniku. I chce, aby światło to gorzało światu, płomieniem się wzbiło ku niebu.

Nie mając siły odpowiedzieć mu, biskup, którego śmiałość mnicha oburzała coraz mocniej, dumnie pokazał na drzwi.

O. Serafin uchylił głowę, złożył ręce na piersiach... i wyszedł.

Okno izby było zaparte, biskup gwałtownie otworzył je!

Zamiast świeżego powietrza poranku wpadła niem zgorzelizna i dymy.

W chórze śpiewali mnichy, dalej na pogorzelach słychać było krzyki żołnierstwa, dzwonki kościelne mieszały swe dźwięki z rozgłosem oręży i tętentem koni.

— Raz-że jeszcze mam być pokonany? — zawołał w duszy swej Paweł — i jeszcze raz upokorzony?

Spojrzał z wyrzutem i skargą ku niebiosom, okrytym dymami sinemi.

IX.

Klucznik na zamku w Sieradzu, stary Wrzos z siwą, krótko postrzyżoną szczecinowatą brodą, który w niejakim porządku puste jego izby utrzymywał, przechadzał się czasem po nich, nie mając nic do czynienia, rozmyślając o przeszłych latach, które tu przeżył. Były to jedyne dni żywota, po których mu pozostały pamiątki.

Patrzał tu na dwór i życie osobliwe Leszka z Gryfiną, którą poufale Rusinką nazywał, a nie bardzo ją lubił; dwa razy pilnował przywożonego tu biskupa, różnemi wygody, dlań wymaganemi, których nastarczyć nie mógł, niecierpliwiony. Budził on w nim z pewnych względów poszanowanie, jako pasterz duchowny, niby książę a kapłan razem, z drugiej wielką ciekawość i wstręt pewien, iż się mógł dopuścić przestępstw, za które aż do więzienia popadł.

Dla prostego człowieka, jakim był Wrzos, biskup ten do żołnierza podobny, krzykliwy, nakazujący, wcale nie pobożny, był nierozwikłaną zagadką.

Wiedział on o tem, że go tu za jakieś przewinienie osadzono, a potem musiano wypuścić, płacąc mu za niewolę. To mu się w głowie nie mogło pomieścić, ani co biskup popełnił, ani czemu, jeśli winnym był, nie ukarano go, a przepraszać musiano.

O nim też, o Leszku i Gryfinie stary Wrzos ludziom

załogi i niestałym zamku mieszkańcom, gdy tylko mógł opowiadać lubił.

Stary już był ten Wrzos, dawniej trochę żołnierz, ale gdy mu nogę Prusak czy Litwin nadwerężył oszczepem i nakuliwać na nią zaczął, dano mu schronienie łaskawe w Sieradzu, skąd był rodem. Dostał się do posługi przy zamku, a że wiernym był, powierzono mu straż jego wewnętrzną.

Teraz nie było tu kogo i czego pilnować, komnaty stały pustkami, gdzieniegdzie w nich zboże zsypywano na dole nawet w izbach opróżnionych składano siano i słomę.

W innych wylegała się załoga, składając oręż swój, węzełki i zapasy życia.

Lepsze izby, pańskiemi zwane, które książę, księżna, a później biskup zajmował, pyłem okryte odpoczywały i chyba je przejeżdżający wojewoda lub kasztelan na dzień jaki zamieszkał.

Obyczajem, który długo się potem w zamkach podobnych utrzymał, sprzęt ich był bardzo prosty: stoły od siekiery, u ścian ławy, drzwi ledwie niektóre ze skoblami, nie we wszystkich oknach błony, ozdób żadnych, chyba gdzie polica górą, aby na niej co złożyć można i haki do wieszania.

A że okna nie zawsze zamykane były, w wielu z izb jaskółki blizko framug gniazda lepiły i wróble zajeżdżały na popasy. Na górnych poddaszach wiedział Wrzos o sowach, ale tym nic nie czynił, podejrzewając ze strasznych wejrzeń, iż mścićby się mogły.

Tak samo gościnnie przyjmowany był co roku bocian, który na jednej z baszt usłał sobie gniazdo ogromne i przybyciem swem wiosnę pewną wróżył.

Wrzos nie żonaty, samotnik, nie miał nikogo z kimby żył; całą rozrywkę dlań stanowiło przejście się do gospody na podzamcze, gdzie się schodzili mieszczanie i ludzie z okolicy, na targ przybywający.

Tu piwo pijąc, stary prawił co słyszał, co widział: o Czarnym, jak uchodził od żony, o Gryfinie, jak za nim

goniła, i o tym biskupie, który klął, jak prosty ciura, a czasem własną ręką za drzwi wypychał.

Nudziło się teraz Wrzosowi, bo albo nic do czynienia nie miał i spał dużo, albo nawał roboty, gdy kto na zamek zajechał, tak, że spocząć mu nie dawano. Skarżył się też, iż mu jego osyp, mąkę, krupy, piwo wyznaczone i sól nie wydawano w porze, skąpo, złą miarą i nie najlepsze.

Sam sobie jedzenie prażył, w czem mu zwykle jedna ze stróżek zamkowych, które z przedmieścia tygodniami na służbę przychodziły, pomocą bywała.

Niekiedy z braku innego zajęcia, Wrzos łyżki strugał z lipiny, a miał to przekonanie, że piękniejszych nad nie nikt na świecie nie mógł robić.

Jednego wieczoru, gdy Wrzos na stopniach siadłszy u baszty, rozpowiadał dwom pachołkom z załogi o tych dawnych czasach, gdy to tu ludno bywało, a zapalił się mocno w opowieści swojej, zatętniało, zahuczało, i pięciu konnych wpadło na podwórze zamkowe, a jeden z nich wprost na niego, wołając kędy klucznik był.

Wstał, uchylając wytartej czapczyny z futrem Wrzos — (bo jesień już była i w uszy marzł).

- Izby oporządzać! ognia zapalić! — wołał przybyły. - Gościa mieć będziecie lada godzinę. Tylko go patrzeć!

Wrzos ośmielił się spytać, jaki to miał być gość, bo się przyjęcie dostojeństwem mierzyło.

— E! stary! — odparł przybyły — wy jeśliście tu nie od dzisiaj, może go i znacie. — Nie pierwszy to raz on tu przybędzie.

Leszek już był naówczas zmarł, zdziwił się Wrzos, o kim mowa być mogła, bo o biskupie ani myślał.

Nie śmiał nawet pytać więcej, lecz zaraz wziąwszy stróżów i stróżkę z miotłą, szedł odmykać, pyły oczyszczać, myśleć o ogrzaniu.

W duchu jednak ciągle się pytał sam siebie, ktoby to mógł być!

Pośpiech, z jakim oczyszczano dawno niezamieszkane izby, podniósł w nich straszne pyłu tumany, które

jeszcze czasu osiąść nie miały, gdy przez okno zobaczył Wrzos wielki wóz okryty, dokoła zbrojnymi ludźmi otoczony, a na wozie pół siedzącego, na pół leżącego mężczyznę starego, otyłego, z twarzą rozlaną, okrytego kożuchem dostatnim, w czapce sobolej.

Chociaż długi przeciąg czasu upłynął od ostatniej biskupa niewoli, a ks. Paweł zmienił się mocno (on to był bowiem), Wrzos aż zakrzyknął, poznając swego dawnego więźnia.

Tak mu się to zdało dziwnem, iż nieopatrzny człek popadł tu raz trzeci, iż ręce załamał.

— Trzeci raz! — zawołał! — no! — teraz mu tu koniec będzie!

Gdy to mówił, słychać już było i ciężki chód biskupa i głosy tych, co go prowadzili, aż w progu ukazała się postać dumna, z twarzą pomarszczoną, wlokąca się ciężko na nogach obrzmiałych, opierając się o ściany.

Wrzos schylił się przed nią nizko, ale biskup zbyt sobą był zajęty, aby nań spojrzał nawet.

Widok tych miejsc przypomniał mu cały szereg wypadków długiego życia, aż do tej ostatniej godziny.

— Być zwyciężonym, zawsze zwyciężonym! — powtarzał w duszy. — Czuć się silnym i być zgniecionym przez karłów, którzy ani rozumu, ni przebiegłości mej nie mają! Przeznaczenie!

Z tą myślą przygnębiającą rzucił się biskup na ławę w rogu izby i nieruchomy na niej pozostał.

Jeden kapelan Mikołaj miał pozwolenie towarzyszenia mu.

Kaczor przywlókł się jako sługa.

Na nim też było znać lata przeżyte; wesołość jego nie była tą dawną, zdała się przymuszoną, powtarzała jednostajnie. Dla podbudzenia jej, napijać się musiał, roztył się i ociężał.

Kapelan i ochmistrz, bo tak mianowano Kaczora, zaczęli myśleć o zapewnieniu wygód biskupowi, gdy on, zobojętniały, o nic się nie upominał, na nic się zdawał nie zważać. Dawną gwałtowność i wybuchy zastąpiło odrętwienie.

Widząc go w takim upadku ducha, ksiądz Mikołaj pokorny bardzo i łagodny człek, czuł się w obowiązku przyjść mu w pomoc duchowną pociechą.

— Nie potrzebujemy się tu bardzo rozgaszczać rzekł — niewola nasza nie potrwa długo. Arcybiskup gnieźnieński lub Rzym ujmie się za nas. Bóg łaskaw miłosierny, a my wszyscy do niego gorące zanosimy modlitwy.

Biskup wzruszył ramionami.

— Nie obchodzi mnie już nic — odparł chłodno — nic! nic! — Skończone życie moje, nadzieje utopione na wieki! Wszystko, czego pragnąłem, czego największem kosztem dopiąć chciałem, przepadło! Niech się sobie świat kończy!

Napróżno kapelan usiłował mu poddać myśl weselszą, biskup, głowę spuściwszy, nic nie odpowiadał.

Wieczorem, gdy sami pozostali, kazał sobie czytać Pismo święte, którego czy słuchał, czy pod ten czas o czem innem myślał, nie mógł ks. Mikołaj zmiarkować, choć często nań spoglądał. Oczy miał stojące słupem, nieruchome, twarz skamieniałą.

Kaczor mocno się zafrasował tem niezwyczajnem pogrążeniem w sobie pana, a gdy nazajutrz podano jadło, które biskup ledwo tknął, o nic się nie upomniawszy, szepnął ochmistrz po cichu kapelanowi, iż źle być z ks. Pawłem musiało, bo się bardzo odmienił.

Jest zaś u ludu wiarą powszechną, iż zmiana taka coś groźnego zwiastuje.

Dawniej w więzieniu rwał się i narzekał, niecierpliwił, spodziewał, teraz przyjmował niewolę z obojętnością zimną, nic się nie domagając i nie skarżąc na nic.

Rozmowa z kapelanem zagajana z różnych tonów, nie dawała się zawiązać. Słuchał niby, co doń mówiono, na nic prawie nie odpowiadając.

Ksiądz Mikołaj powtarzał ciągle, iż biskupa rychło musiano puścić, że Bolesław Mazowiecki powinien był przemódz Wrocławskiego Henryka, objąć Kraków i ks. Pawła wyzwolić.

Nawet ta nadzieja zwycięstwa Mazowieckiego książęcia, którego ród zawsze biskup chciał na stolicę krakowską wprowadzić, nie rozjaśniła czoła ks. Pawłowi.

Milczał i milczał długo, aż późno w noc, przy psalmach pokutnych, które sobie czytać kazał, nagle wybuchnął:

— Bóg niech się ulituje nad duszą moją! Więcej już na ziemi nie pragnę nic! Rzadko o tej grzesznej duszy myślałem wśród życia. Dwu wrogów miałem, Pudyka i Czarnego, pogrzebałem ich obu, nie zwyciężyłem żadnego! Kraj ten nieszczęśliwy rozpada się w kawały i pochłoną go Niemcy! Zalewają go, opanowują, zawojują bez żelaza! Oczy moje już smutnej tej doli widzieć nie będą, na tę nieszczęsną ziemię patrzeć nie chcę. Zamknąć je wolę na wieki! Wielkim grzesznikiem jestem! — westchnął i dodał:

— Czytaj psalmy pokutne.

Gdy ks. Mikołaj ciągnął dalej, zadumał się Paweł.

— Ręka Boża! — zamruczał po skończeniu psalmu. — Tak! w tem wszystkiem była dłoń Wszechmocnego! Ci ludzie nie sprostali mi w niczem, a pognębili mnie. Nie zmogłem losu, bo los był w ręku Boga! Czytaj psalmy!

Wśród westchnień i wykrzykników kapelan znowu powolnie, głosem płaczliwym psalmy odmawiał.

— Tak! — mówił biskup, przerywając mu. — Smutna jest dusza moja, aż do śmierci! Pociechy nie mam żadnej. Nic się nie ziściło! Ziemie te rwą teraz pomiędzy sobą Henryk Śląski, co pieśni niemieckie śpiewa, Bolko Mazowiecki, którego się Krakowianie boją i mały ten karzeł, Władek... i Przemyśl może i Wacław Czeski, któremu Gryfina darowała, czego nie miała!

— Widzisz ty, Mikołaju! — dodał, porywając się z pościeli. — Widzisz to ty. Krzyżacy z jednej, Litwa z drugiej strony, Tatarzy, Ruś, Prusacy, Czechy... Węgry... wszyscy na tę nieszczęśliwą ziemię, nie licząc mrowia niemieckiego, co ją już zalewa. Widzisz to spustoszenie? A naszych Piastowiczów poniemczałych, gryzących się jak psy z sobą o to, aby na jak najmniejsze sztuki

rozerwać królestwo, co niegdyś jednem i potężnem było! A! czytaj psalmy!

Zaledwie dał się słyszeć głos ks. Mikołaja, opłakujący grzechy, biskup, w piersi się uderzywszy, przerwał:

— A tak! tak, wielkie są grzechy moje, wielką była ślepota! Burzliwą falą rzucała się krew we mnie, pożądałem więcej, aniżeli człowiekowi mieć wolno! Próżne a nienasycone było serce to, którego pragnienia nic ukoić nie mogło! I dziś, dziś ta bezdnia, co w dniach młodości! W tą przepaść wpadło ludzi tyle, krwi, łez moich własnych, a stoi tak czarna, pusta, przepaścista, jak była! Módlmy się!

Kapelan przerwany wiersz rozpoczynał znowu, a biskup, ledwie mu dając dokończyć, wołał wzruszony:

— Długie życie było a próżne! Przeciw woli Bożej, nic... *Quis ut Deus? Quis contra Deum?* Niezbadane wyroki Jego! Co On chce uczynić z tą ziemią, obcym ją dając na pastwę, słabym na igraszkę, ślepym do rządzenia? Czem zgrzeszyła ona i za czyje winy srogą pokutę biczowania i więzów ponosi? A! niezbadane wyroki Jego!

Zamilkł.

Ks. Mikołaj zwolna próbował dalej czytać psalmy, w których każda dusza zbolała, a skruszona znajduje odbicie swojego cierpienia. Biskup jęczał, słowa niektóre powtarzał, wpadał w zadumę, lub boleściwie wzdychał, jakby ran jego dotknięto.

Tak część nocy przetrwali na tej smutnej modlitwie i narzekaniu. Kaganek się dopalał, ks. Mikołaj zamknął księgę.

— Boże, bądź miłościw duszy mojej! — szepnął biskup.

Nazajutrz wstał pogodny, zimny dzień jesienny, biskup wyjrzał oknem na ranny szron, okrywający ziemię. Pora ta roku łowy mu przypominała; z pod wczoraj pokutującego grzesznika wystąpił dziś namiętny łowiec.

Patrzał na łąki rozległe, na lasy w dali i westchnął.

— A! — szepnął — takiego ranka, z dobremi psy pójść w las, co to za rozkosz!

Otworzył okno.

— Co za powietrze orzeźwiające! A jaki zaduch w tej przemierzłej izbie! Cóżbym dał, gdybym mógł, gdybym miał siłę na konia siąść z oszczepem!

Wtem na myśl przyszło mu wspomnienie Werchańca, którego na łowach zabił własną ręką, zobaczył oszczep ten krwawy, tkwiący w jego piersi, a oczy mu zaszły mgłą, zamilkł upokorzony i głowa na piersi zwisła.

Wieczorem wrócić kazał do psalmów pokutnych, lecz czytania ich spokojniej słuchał, nie przerywając.

Uspokajała się powoli dusza, do nawałnic przywykła, czuła w tym spokoju błogość jakąś, więcej obiecującą się, niż zdobytą.

Zrana, gdy podano jedzenie, oznajmiono razem biskupowi duchownego, przybywającego z Krakowa.

Wszedł, stary jak ks. Paweł, dziekan krakowski, który raz już do klejenia zgody między biskupem a Leszkiem należał.

Ks. Paweł łatwo przewidzieć mógł, że i teraz przynosi mu warunki przejednania, lecz nie wzruszyło go to bynajmniej. Witał go uprzejmie, ale obojętnie.

W istocie dziekan przychodził ze słowem zgody od księcia Henryka. Od oznajmienia tego zaczął, lecz Paweł, nie poruszony, jak był pozostał.

— Książę Henryk? — odparł powoli. — Henryk Niemiec mieć za sobą będzie mieszczaństwo krakowskie, ci przecież nie o wszystkiem stanowią! Uda się im zdać mu Kraków, ziemianie się opatrzą, że i oni tu coś znaczyć powinni. Od czegóżby się ziemianami zwali, gdyby ta ziemia nie ich była? Uwolni mnie dziś Henryk, a jutro...

Zadumał się.

— Nie pilno mi! — dodał. — Nie widzę w przyszłości nic, oprócz zamętu strasznego, z któregoby chyba dłoń silna wyratować mogła. Gdzież ona jest?

— A Bolko Mazowiecki?—odparł dziekan.

Biskup zbył go milczeniem.

Zdziwił się ks. Wojciech, zdawna znając go, znajdując tak zobojętniałym na wszystko. Nie widział go takim nigdy. Przez cały dzień próbując czemś wywieść

z tej odrętwiałości, nie zdołał go ani ożywić, ani wydobyć stanowczego słowa.

— Do Krakowa powracać? Co mi po tem? Mazowieccy zechcą się mną posłużyć, powiedzą, że im sprzyjałem i sprzyjam, dlatego, że wiele serca mieli i siły więcej, niż drudzy. A utrzymają się oni przeciwko Ślązakom i Czechom, a innym chciwym Krakowa, choć go utrzymać nie potrafią? Pokoju nie dożyję, wojny nie pragnę już.

Wieczorem dziekan zdumiał się znowu, słysząc, że biskup od kapelana psalmów pokutnych zażądał.

— To moje najmilsze czytanie, najlepsza modlitwa! — rzekł z westchnieniem.

Ks. Mikołaj otworzył księgę i zwolna począł czytać psalmy, które ks. Paweł cicho za nim powtarzał. Stary dziekan nie mógł od tego nowego dlań widoku oczów odwrócić. Nie znał biskupa tak usposobionym do skruchy i pokuty.

Niektóre wiersze psalmów kazał sobie powtarzać, bo mu mocniej do serca przypadały. Jęczał i wzdychał. Do późnej nocy siedzieli tak na modlitwie.

Gdy nazajutrz dziekan, nic nie sprawiwszy, do odjazdu się sposobił, rzekł mu ks. Paweł, żegnając się z nim:

— Proszę was, powiedzcie tam we dworze, niech starego mojego psa Pogońca dobrze karmią. Zasłużył on na to. On stary i ja, nie pójdziemy już w las z sobą, ale niech głodu nie cierpi.

Ta czułość dla psa, gdy biskup nigdy jej nie okazywał nawet dla ludzi, jeszcze raz wprawiła ks. Wojciecha w zdumienie. Nie poznał człowieka.

W progu dorzucił, żegnając się z nim:

— Jeśli żyw, pozdrówcie ode mnie O. Serafina u św. Franciszka. Mąż jest święty.

Drzwi się zamknęły.

Płynęło w tem więzieniu życie prawie klasztornym trybem.

Kaczor, który na pociechę pił, a podpiwszy, czuł się w obowiązku przychodzić biskupa rozrywać, znajdował go głuchym i obojętnym. Często nawet odprawiał go, okazując niesmak i wstręt.

— Zły to znak — szepnął Kaczor— kiedy stary człek, jak ten nasz, z dnia na dzień się odmieni. Nie daj Boże nieszczęścia!

Pode drzwiami psalmom się przysłuchując, sługa odchodził markotny. Zaczynał myśleć o sobie, co pocznie, gdy biskup zemrze, bo czuł, że śmierć musiała być blizką.

Na przekór tej przepowiedni Kaczora, ks. Paweł, którego tu przywieziono osłabłym i cierpiącym mocno, widocznie spokój ducha odzyskawszy i na zdrowiu lepiej poczynał.

Twarz mu zbladła, pomarszczyła się, krwawe oczy zbielały, mowa stała się łagodną. Gniew rzadko i na krótko się zjawiał.

Kilka tygodni trwała ta niewola biskupa; gdy klątwą zagrożono z Gniezna, musiał być na wolność puszczony. Jednego ranka znalazł się bez straży, oznajmiono mu, że może się udać, gdzie zechce, ale o zgodzie i przejednaniach mówić z kim nie było.

Łokietek walczył właśnie z Henrykiem o Kraków.

Ks. Paweł, oswobodzony, nie wiedział dobrze, gdzie się obróci. Do Krakowa jechać nie chciał, Kunów i Łagów mu zbrzydły.

Kaczor, który natychmiast do wyjazdu sposobić się zaczął, sądząc, że panu się wyrwać stąd będzie pilno, nie zrozumiał go, gdy mu powiedział, iż sam nie wie jeszcze dokąd i kiedy pojedzie.

Sposobiono przecież wozy, a ks. Wojciech przyjechał z Krakowa z pieniędzmi i odzieżą, która mogła być na drogę potrzebną.

Namawiał do stolicy; wahał się ks. Paweł. Parę dni tak upłynęło; gdy nań nalegano, odezwał się:

— Wieźcież mnie dokąd chcecie! Jedno mi już, gdzie siedzieć będę, bylebym kościół miał. Nadeszły dni pokuty. Niewiele już czasu, wedle przepowiedni, zostało mi na nią.

Ten stan człowieka, który dawniej nie dawał sobą rządzić nikomu, a na samą myśl, że ktoś mógł mu swą wolę narzucać, oburzał się, naprzekór czyniąc, obudzała litość w otaczającem go duchowieństwie.

Mąż woli potężnej był całkiem złamany.

Dziekan za Krakowem był, a choć ks. Paweł nie życzył sobie dla mieszczaństwa niemieckiego, które górę w nim brało, nie sprzeciwił się.

— Wieźcie i do Krakowa, gdy chcecie — odparł obojętnie—wszystko mi jedno.

Na pół już drogi Kaczor dobył z milczącego pana życzenie spoczynku. Zatrzymano się w Tarczku.

Był tam niewielki dwór, w którym przesiedzieć czas jakiś było można. Został, nie dbając o wygodę i ruszać się dalej nie okazywał ochoty.

Na zamku sieradzkim pusto było i smutno, lecz bezpiecznie i zaciszno na zimę, gdy w Tarczku, gdzie się biskupa nie spodziewano, dom nieopatrzony, zimny, mały, pusty, ledwie go z ludźmi mógł pomieścić.

Jedną izbą dla siebie ograniczając się, drugą ks. Paweł na kaplicę przeznaczył. Zostali tu, bo się czuł znużonym i słabym. Czytano mu znowu psalmy pokutne, ale teraz żadne narzekanie i wspomnienia przeszłości modlitwy tej nie przerywały.

Rozprawiali się książęta, dobijając o Kraków, Paweł nawet Mazowieckim, z którymi trzymał, odmówił wszelkiego poparcia.

— Zostawcie mnie w pokoju — odpowiadał — walczyłem długo.

Z rana odprawiał mszę świętą w kaplicy, potem czytać sobie kazał, albo się modlił, siedząc, bo już dla boleści w nogach i obrzęknienia klęczeć nie mógł. Cierpienia przyjmował, nie skarżąc się na nie, prawie radośnie.

Trzy lata całe trwało to powolne konanie. Niekiedy, gdy mu przynoszono wiadomości o wycięstwach łokciowego Władka, to o przewadze Ślązaka, to o groźnych, nowych sporach i zatargach, zgasłe oko błysło mu jeszcze, ruszył się, drgnął. Stary człowiek chciał dawne w nim prawa odzyskać, ale wnet go pokutnik zwyciężał. Spuszczał źrenice, powtarzając cicho:

— Bądź wola Twoja!

Słuchał potem ostygły prawie opowiadań o burzach, które się po kraju rozpościerały.

W roku 1292 przestał się już o swej mocy podnosić, milczał, mruczał modlitwy, siły coraz bardziej go opuszczały. Sam rachował miesiące i tygodnie, które mu, wedle przepowiedni, do życia pozostawały. Ostatnią troską jego był niepokój o wybór następcy po sobie.

Dnia jednego ks. Mikołaj, który go nie opuszczał, znalazłszy biskupa słabszym, niż zwykle, chciał wezwać mnicha Cystersa, który tu czasem przybywał z radą lekarską, a raz już zagrożonego śmiercią uratował.

Biskup się temu sprzeciwił.

— Przeciw woli Bożej żaden lekarz nie poradzi — rzekł—godzina moja nadchodzi.

Otwarto dzrwi drugiej izby, która służyła za kapliczkę. Ks. Mikołaj wyszedł ze mszą świętą.

Zwykle, gdy się ona tu odprawiała, wpuszczano domowników, a nawet obcych, jeśli jacy do Tarczka przybyli.

Dnia tego nacisnęło się pobożnych więcej, niż zwykle, zwabionych może tem, iż o pogorszeniu zdrowia biskupa słyszeli.

Wśród ciżby która napełniała małą izdebkę, na wpół już zgasłe oczy chorego dostrzegły niewiastę w sukni zakonu św. Franciszka, z twarzą osłoniętą, klęczącą za wszystkimi u progu. Niepokój go ogarnął, obumarłe źrenice zabłysły!

Pokutnica modliła się gorąco, cała zatopiona w sobie.

Ks. Paweł oczów od niej nie mógł oderwać — drżał.

Wzrok z pod grubej zasłony raz tylko padł na niego; było to przy końcu mszy, gdy kapłan od ołtarza przeżegnał przytomnych.

Biskup Paweł zwolna pochylił się na poduszki, powieki się przymknęły, krzyżyk, który trzymał w ręku, przycisnął do piersi.

Zwolna wszyscy do kaplicy wpuszczeni wychodzić zaczęli, a niewiasta klęczała u progu, ku łożu spoglądając.

Kaczor, zlekka za ramię ją ująwszy, wskazał, że i ona wyjść była powinna.

Pochyliła się ku ziemi, całując ją, podniosła i zawołała głosem wielkim:

— Wieczne odpocznienie racz mu dać, Panie!

Ks. Mikołaj przelękły, nie mając czasu alby zrzucić, przybliżył się ku łożu.

Biskup nie żył.

X.

Straszna była zamieć zimowa. Wiatr szalał, niosąc z sobą chmury śnieżnych białych płatków.

Nad Prądnikiem na Skale zakonnice w chórze odmawiały modlitwy, gdy w małej chwili uciszenia zdało im się, iż usłyszały głos błagający i wołanie boleściwe.

Żadna z nich powiedzieć nie mogła, skąd przerażający ten głos cierpienia dolatywał.

Przyniosła go burza, powietrze nim jęknęło, wyszedł z pod ziemi? był jakby wołaniem grobowem duszy, w czyścu udręczonej, czy zwodliwym krzykiem ptaka, co ludzką boleść przedrzeźnia?

Przełożona, której uszu doszedł, po skończonych modlitwach „Anioł Pański" za w czyścu cierpiących odmówić kazała.

I raz jeszcze ten sam jęk odezwał się — skąd? nie pochwycono, bo go zaraz wycie wichru zagłuszyło.

Nim przerażone zakonnice wyszły z chóru, gdy u furty siedząca, na poły głucha, siostra Plecyda, ze drżeniem opowiadać zaczęła, że i ona jęk jakiś, dobywający się z ziemi, słyszała. Nieochybnie sądzono, iż musiał być płaczem duszy, o ratunek wołającej, domagającej się modlitwy.

Przez całą noc śnieżyca mroźna szalała, wszystkie

załomy przy murach poprzysypywał śnieg, nagromadzony zawieją.

Umiatano podwórza, gdy dało się słyszeć silne dzwonienie do wrót.

We drzwiach stała baba, która nabiału i jaj do klasztoru dostarczała, z bladą twarzą, wskazując coś poza sobą, a ze strachu mówić nie mogąc.

Siostra furtjanka odważyła się wyjrzeć.

U progu furty na wpół zasypana śniegiem, klęczała z twarzą ku ziemi, z rękami ściśniętemi, jak do modlitwy, niewiasta w sukni zakonnej św. Franciszka, ku kościołowi obrócona, zastygła już i skostniała.

Wnet nadbiegły ją ratować zakonnice.

Z wielką trudnością dało się wydobyć ciało z zaspy śnieżnej, w której do połowy tkwiło. Życia już nic rozbudzić nie mogło w zmarzłej pokutnicy.

Nie poznał ją nikt, zajęto się pogrzebem nieszczęśliwej, gdy przybyły z Krakowa przypadkiem staruszek, O. P. ochor, wejrzawszy na zwłoki, oznajmił, że to była owa Bieta, niegdyś ze Skały porwana i uwięziona.

Świadczył kapłan, iż pojednania z Bogiem w skrusze i na pokucie dokonała.

W rogu cmentarza, opodal od zakonnic, złożono jej zwłoki na spoczynek wieczny.

KONIEC.

Grudzień 1879.
W starym domku.

PRZYPIS.

Historya Pawła z Przemankowa, jak tak ją tu podajemy, pozostała nietylko w kronice Długoszowej, ale w aktach kapituły i mnogich współczesnych dokumentach. Badał ją krytycznie ś. p. Aleksander Przezdziecki i biskup Łętowki. Trzymaliśmy się w niej wiernie podań i faktów, na których osnowie powieść nasza została opartą.